Liz Carlyle

Panna młoda w blasku księżyca

Liz Carlyle

Panna młoda
w blasku księżyca

przełożyła
Anna Pajek

Warszawa 2014
bis

Tytuł oryginału: ***A Bride by Moonlight***

Projekt okładki: *Ilona Gostyńska-Rymkiewicz*

Copyright © 2013 by Susan Woodhouse
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.

Copyright © Wydawnictwo BIS, 2014

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty.
Szanujmy cudzą własność i prawo.
Więcej na www.legalnakultura.pl

Polska Izba Książki

ISBN 978-83-7551-390-5

Wydawnictwo BIS
ul. Lędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Panna młoda w blasku księżyca

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
Lista znamienitych postaci
Prolog ***Zjawisko w błękicie***
Rozdział 1 ***Kiedy to diabeł sięga po swoje***
Rozdział 2 ***Cicha zasadzka w Two Chairmen***
Rozdział 3 ***Zdarzenie w Mayfair***
Rozdział 4 ***Mefistofeles stawia warunki***
Rozdział 5 ***Kiedy to nasza nieustraszona bohaterka rzuca się w wir przygody***
Rozdział 6 ***Kiedy to pan Napier pojmuje, jak wielki popełnił błąd***
Rozdział 7 ***Beatrice wszystko wyjaśnia***
Rozdział 8 ***Mądrość Samudriki***
Rozdział 9 ***Wszystko, co prawdziwe i doskonałe***
Rozdział 10 ***Doktor Underwood odbywa wizytę domową***
Rozdział 11 ***Po ratunek do Fanny***
Rozdział 12 ***Jolley odgrywa włamywacza***
Rozdział 13 ***Nasz „zatroskany obywatel" wyjawia wszystko***
Rozdział 14 ***Głos zza grobu***
Rozdział 15 ***W którym na scenie pojawia się Jane***

Epilog ***Skrzynka dobrego szampana***
Okładka tylna

Lista znamienitych postaci

Nieustraszeni główni bohaterowie

Royden Napier: nieugięty komisarz londyńskiej Policji Metropolitalnej zawsze dopada przestępcę, na którego się zasadzi – o ile jest nim mężczyzna. Niestety, z kobietami nie idzie mu już tak dobrze. Czyżby z powodu zimnego, stalowego spojrzenia?

Elizabeth „Lisette" Colburne: tragicznie osierocona, została wysłana do Ameryki i oddana na wychowanie nieuczciwemu wujowi o gwałtownym charakterze, panu Ashtonowi. Powraca do Londynu pełna gniewu, przebiegła i zdecydowana ukarać człowieka, który, jak sądzi, zniszczył jej życie – Rance'a Welhama.

Występują znani nam bohaterowie, a mianowicie

Rance Welham, lord Lazonby: niepoprawny hazardzista, aresztowany kiedyś za morderstwo, pogardza Napierem. Wzajemna wrogość pogłębia się, gdy zaczynają zabiegać o względy tej samej damy.

Lady Anisha Stafford: niegdyś obiekt uczuć Napiera, zwróciła się teraz ku Lazonby'emu – nie odtrącając jednak zupełnie dawnego wielbiciela.

Sir Wilfred Leeton: jeden z dawnych kumpli Lazonby'ego od karcianego stolika pojawia się na scenie jedynie na krótko. Na bardzo krótko.

Odkomenderowani z rządu Wielkiej Brytanii

Sir George Grey, baronet: minister spraw wewnętrznych i, pośrednio, zwierzchnik Napiera. Służył bezinteresownie Koronie oraz krajowi przez ponad dwadzieścia lat. (Tak, naprawdę).

Członkowie rodziny Napiera, przedstawieni po raz pierwszy na kartach tej książki:

Henry Tarleton, wicehrabia Duncaster: dziadek Napiera. Nie utrzymuje stosunków z wnukiem i rządzi dynastią żelazną ręką. Jednak niemal równoczesna śmierć szwagra oraz dziedzica omal go nie załamały.

Panna Gwyneth Tarleton: najstarsza wnuczka Duncastera. Stara panna z wyboru oraz sufrażystka, nie znosi mężczyzn w ogóle, a swego kuzyna dorobkiewicza, Napiera, w szczególności.

Anne, lady Keaton: siostra Gwen. Szczęśliwa mężatka, która nie spieszy się z oceną Napiera.

Panna Beatrice Tarleton: przyrodnia siostra Gwen i Anne, lat jedenaście. Zważywszy, iż wuj i ojciec dziewczyny zmarli

szybko po sobie, obawia się, że dziadek Duncaster może być następny.

Cordelia, lady Hepplewood: przyrodnia siostra Duncastera, owdowiała w tajemniczych okolicznościach. Stryjeczna ciotka zarówno Napiera, jak Gwen, Anne i Bei. Okropna snobka, przerażona tym, iż Napier może odziedziczyć tytuł.

Tony, obecny lord Hepplewood: syn Cordelii jest czarującym utracjuszem, notorycznie ignorującym prośby matki, by znalazł sobie narzeczoną i się ożenił. Czyżby monstrualne długi karciane miały coś wspólnego z nagłym ogłoszeniem zaręczyn?

Panna Diana Jeffers: towarzyszka lady Hepplewood, zaręczona z dziedzicem lorda Duncastera, lordem Saint-Bryce'em, który zmarł, zanim zdążyli się pobrać.

I wreszcie

Pan Bodkins: prawnik zmarłego dziadka Lisette nadal stara się utrzymać podopieczną z dala od kłopotów – a ona wcale mu tego nie ułatwia.

Fanny: pokojówka i zaufana towarzyszka Lisette, zawsze mówi to, co myśli.

Jolley: zawodowy fałszerz, zmuszony służyć u Napiera jako lokaj.

Pani Jansen: zubożała wdowa i dawna koleżanka szkolna Gwen, obecnie guwernantka Bei.

Doktor Underwood: lekarz rodzinny Duncasterów.

Panna Felicity Willet: narzeczona Tony'ego. Jej ojciec to postać z koszmarów lady Hepplewood – nowobogacki przemysłowiec.

Sir Philip Keaton: cichy, spokojny i sympatyczny mąż Anne, prominentny członek parlamentu.

Prolog
Zjawisko w błękicie

Rok 1847
Whitehall

Prawda.

To proste słowo stanowiło znak firmowy Roydena Napiera. Motto, którym się kierował, kształtując swój los. Kryterium oceny każdego, kto wkroczył do jego życia i gabinetu.

Lecz prawda, podobnie jak piękno, bywa nieuchwytna, podczas gdy kłamstwa pospolite są niczym muchy. Doświadczenie nauczyło Napiera, iż wcześniej czy później wszyscy kłamią. Zdradzają. Kradną. Albo i gorzej – czasami znacznie gorzej. I na tym przekonaniu oparł służbę w Policji Metropolitalnej Jej Królewskiej Mości, królowej Wiktorii.

Och, często nazywano go cynikiem, lecz każda z osób, które pokonały cztery kondygnacje schodów wiodących z placu Whitehall do jego gabinetu, miała do opowiedzenia jakąś historyjkę, począwszy od wstrętnych kreatur z rządu, próbujących sypać pogróżkami oraz wywierać polityczny nacisk, po śledczych

z jego biura oraz kryminalistów, sprowadzanych od czasu do czasu ze Scotland Yardu, by ich przesłuchał.

Większość była bardziej niż chętna poświęcić prawdę – albo przynajmniej ją nagiąć – byle dostać to, czego pragnęli. Sprawić, żeby sprawy wyglądały tak, jak życzyli sobie je widzieć, i osiągnąć coś, co pozwoliłoby im dokonać zemsty, zyskać wpływy lub wolność.

A piękna kobieta czekająca teraz przed gabinetem niczym się od nich, zdaniem Roydena, nie różniła.

Mimo to wielce go intrygowała.

Zastanawiał się, jaką opowiastkę może mieć w zanadrzu taka piękność. Jakaż głęboka potrzeba przywiodła ją do tego miejsca pełnego gniewu i cieni, gdzie nikt nie zjawiał się z własnej woli, chyba że pragnął czegoś – i to pragnął rozpaczliwie?

Przechylił lekko w bok głowę i zerkając przez szparę w drzwiach, przesunął spojrzeniem po wykładanym boazerią pokoju przed gabinetem. Po jednej stronie ustawiono tam biurka dla urzędników, po drugiej rząd wielce niewygodnych krzeseł z wysokim oparciem, cieszących się zasłużenie złą sławą.

Na ogół starał się przetrzymać wizytujących, by nieco ich zmiękczyć, a po załatwieniu sprawy pospiesznie wyprowadzić. Numer cztery przy placu Whitehall był niczym młyn z większą ilością ziarna do zmielenia, niźli był w stanie przerobić, a Napier czas miał wypełniony po brzegi spotkaniami, zebraniami i całowaniem tyłka wyższych urzędników.

Jednak długonoga, smukła niczym chart rudowłosa za drzwiami wydawała się zdeterminowana. Wyglądało na to, iż

zamierza czekać do skutku niczym pies myśliwski przed lisią norą.

Przesunął po niej spojrzeniem. Siedziała, złożywszy na kolanach zaciśnięte w pięści dłonie i zadarłszy niemal arogancko brodę. Ocenił, iż musi mieć około dwudziestu pięciu lat. Jej głowę zdobił mały, niemodny kapelusik z błękitnej siatki i aksamitu, dziwnie pasujący do masy dziko kręconych włosów.

Nie uczesała ich w modną fryzurę, złożoną z grzecznych loczków i splotów, ale upięła niedbale w miękki kok, z którego próbowały się – z sukcesem – wymykać. Wijące się pasma okalały jej twarz. Pomyślał, że gdyby puścić je wolno, opadłyby do bioder falą rudego jedwabiu. U stóp kobiety stała niewielka, zniszczona torba podróżna.

Napier był szczególnie nieufny w stosunku do kobiet, zwłaszcza gdy były piękne.

Tylko że rudowłosa nie była tak właściwie piękna.

Nie, wydawała się raczej... wyzywająca. I wściekła. Wiedział wystarczająco dużo o naturze ludzkiej, aby rozpoznać gwałtowne uczucia, kiedy się ujawniały.

Nie miało to znaczenia. Otworzył gwałtownie drzwi i przygotował się, żeby odesłać ją z innymi na parter.

– Komisarz Napier – powiedział szorstko, blokując drzwi szerokimi barkami. – Czym mogę służyć?

Odwróciła ku niemu gwałtownie głowę. Jej oczy zabłysły niczym gwiazdy na bezksiężycowym niebie.

– Robiąc, co do pana należy – powiedziała, podnosząc się z szelestem ciemnoniebieskiego jedwabiu.

– Przepraszam bardzo – zauważył chłodno – ale nie miałem przyjemności zostać pani przedstawiony.

Dama nawet nie mrugnęła.

– Może pan pamiętać mnie jako Elizabeth Colburne.

Nazwisko było dość pospolite i nie potrafił skojarzyć, skąd mógłby ja znać. Mimo to spoglądała na niego wyczekująco. Poczuł wewnętrzne drżenie, które uznał później za przeczucie. Odsunął się jednak i zaprosił ją gestem, by weszła.

– Do usług, *madame*.

Uniosła ciemne, wyraźnie zarysowane brwi.

– Doprawdy? – zauważyła krótko. – Sądząc z tego, co wyczytałam w londyńskich gazetach, pozostaje pan raczej na usługach lorda Lazonby'ego.

Napierowi zabrakło słów, co nie zdarzało się często.

Dama minęła go, dźwigając w jednej ręce torbę, a drugą unosząc nieco spódnice, jakby już samo dotknięcie Napiera mogło ją skalać.

Zamknął drzwi z większym rozmachem, niż miał w zwyczaju.

– Proszę pozwolić, że wyjaśnię – powiedział, okrążając ją. – Nie jestem przyjacielem lorda Lazonby'ego. Poza tym lord i tak jest na łożu śmierci. Jak słyszałem, to rak. Tylko Bóg może mu teraz pomóc.

– Och, cóż za tragedia – prychnęła z pogardą. – Jest Welhamem, prawda? To podstępne, pospolite plemię trudno wytępić. Udowodnił to panu, i to nieraz, jego syn.

– Rance Welham może kpić sobie z prawa i żyć jeszcze bardzo długo, uciekając przed sprawiedliwością – stwierdził Napier ponuro. – Lecz ja nie jestem sędzią, droga pani. Ani katem.

Pracuję w policji i jeśli chodzi o syna Lazonby'ego, zrobiliśmy, co do nas należało. I znakomicie się spisaliśmy.

– Znakomicie? – powtórzyła ostro. – Dobry Boże, nie potrafiliście nawet pozbawić go życia! A teraz czytam, że ma zostać ułaskawiony i wypuszczony na wolność! To nie do pomyślenia!

Napier położył dłoń płasko na blacie biurka i pochylił się ku nieznajomej.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział chłodno – lecz sprawa jest praktycznie przesądzona.

– Gdyby policja wykonała kiedyś swoją robotę jak należy, Rance Welham zgniłby już w grobie! Ale to była parodia. Biurokratyczne brednie i matactwa! Niekompetencja! Boże, *sir*, czy ci ludzie nie potrafią nawet założyć pętli?

Napier uśmiechnął się cierpko.

– Jest pani mistrzynią przymiotników, *madame*.

Oczy kobiety zabłysły wymownie.

– Nie dość, że nie potrafiliście go powiesić – mówiła dalej – to teraz zamierzacie pozwolić, by wybiegł tanecznym krokiem z Newgate jako wolny człowiek?

– Wybiegł? – wymamrotał Napier pod nosem. – Stawiałbym raczej na królewską kawalkadę.

– Nie, nie – kontynuowała, podnosząc głos. – Nie tylko jako wolny człowiek. Gdy jego wpływowy ojciec wreszcie umrze, Rance Welham zostanie parem królestwa – lordem Lazonbym – i będzie cieszył się bogactwem i swobodą, a jego ofiary zostaną zapomniane.

Napier zaczął tracić wreszcie cierpliwość.

– Na Boga, *madame* – przerwał jej chłodno – czy sądzi pani, że to mi się podoba? Mój ojciec badał tę sprawę niemal do ostatniego tchu. A niełatwo było doprowadzić do skazania syna para, zwłaszcza tak bogatego jak lord Lazonby.

Na chwilę w pokoju zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami ruchu ulicznego z placu poniżej. Kobieta zbladła nagle – to znaczy zbladła jeszcze bardziej, ponieważ jej przejrzysta, z natury jasna cera i tak zdradzała wszelkie emocje.

– Tak, zawsze na tym się kończy, prawda? – Głos jej drżał. – Pieniądze, pieniądze, pieniądze. Zawsze i za każdym razem, ponieważ to jest Anglia i wpływy są kupowane przez bogaczy, a biedni niech idą do diabła. Och, tyle jeszcze pamiętam!

Napier zawahał się, zaskoczony zmianą tonu.

Najwidoczniej zwlekał zbyt długo, ponieważ kobieta podeszła szybko do biurka, uniosła torbę i otworzyła ją. Ze środka wypadła kaskada banknotów, tworząc na wypolerowanym blacie imponujących rozmiarów stos.

Napier wpatrywał się w nie zdumiony. Stos poruszył się i jeden plik zsunął się na podłogę, pociągając za sobą kolejne. Opadały niczym liście, unoszone jesiennym wiatrem.

– Boże święty – wyszeptał.

Podniósł wzrok, spojrzał kobiecie w oczy i zaschło mu w ustach.

Wpatrywała się w niego nieporuszona z wyrazem pogardliwej satysfakcji.

– Cóż – powiedziała cicho. – Należą do pana. Amerykańskie dolary, ponieważ wyjeżdżałam w pośpiechu. Będzie tego ze dwadzieścia tysięcy funtów. Proszę mi więc powiedzieć: ile angielskiej sprawiedliwości będę mogła za nie kupić?

– Słucham?

Machnęła dłonią w kierunku biurka.

– Proszę je wziąć. To wszystko, co mam, albo prawie. Lecz moje pieniądze są równie dobre jak Lazonby'ego. O ile się orientuję, wystarczy tego, aby zatrzymać Rance'a Welhama w wiezieniu. Tym razem do czasu aż będzie cholernym trupem.

– Boże, zaczynam sądzić, że postradała pani zmysły. – Wyrwał jej torbę i zaczął wpychać do niej banknoty. – Próba przekupienia urzędnika państwowego to przestępstwo. Proszę zabrać swoje pieniądze i wynieść się stąd, bo inaczej przysięgam, że panią aresztuję.

– Aresztuje mnie pan? – Wszelka łagodność zniknęła z jej głosu. – Na Boga, prawo w tym kraju musiało bardzo się zmienić, odkąd stąd wyjechałam. Zatem to w porządku, że wyrachowany morderca wychodzi na wolność, lecz moja próba przekupstwa stanowi przestępstwo?

– Proszę usiąść – rozkazał – i być cicho. Tak, powiedziałem, że panią aresztuję i nie radzę sprawdzać, czy mówiłem poważnie.

Jednak dziewczyna nie usiadła ani nie przestała mówić.

– Do licha – wymamrotała, przyglądając się, jak Napier zbiera pojedyncze banknoty. – Źle pana oceniłam.

Napier wepchnął banknoty do torby, zamknął ją i cisnął kobiecie pod nogi. Wpatrywał się w nią z gniewem.

– To, *madame*, duże niedopowiedzenie.

Ani trochę nieskonsternowana, przeszła przez pokój i stanęła obok Napiera. Czuł woń jej gniewu, a także perfum, ciepłych i egzotycznych niczym wschodnie lilie w gorącym sierpniowym słońcu.

Zaczęła zdejmować rękawiczki, zsuwając je ostrymi, szarpiącymi ruchami i mierząc przy tym Napiera szacującym spojrzeniem z góry na dół.

– Cóż – powiedziała lekko ochrypłym głosem. – Jeśli nie pieniądze, panie komisarzu, to może mogłabym... powtarzam, mogłabym... przekonać pana w inny sposób?

Rzuciła na blat rękawiczki i odpięła guzik sukni, ukazując fragment delikatnego ciała, bladego i gładkiego niczym śmietanka.

To byłoby z pewnością skuteczniejsze, pomyślał.

Przez chwilę odczuwał pokusę, aby skorzystać z propozycji. Wzdrygnął się wewnętrznie, czując, jak żar wsącza mu się do żył. Fala pożądania zalała mu trzewia. Pragnął tego, co oferowała i przerażało go, iż w ogóle rozważa taką możliwość. Z drugiej strony nie był przecież święty.

Przełknął mocno ślinę i spróbował oderwać wzrok od jej dekoltu. Boże, kobieta nie była nawet w jego typie. Zbyt szczupła, za wysoka. O dzikim spojrzeniu i rudowłosa. Zbyt... wyrazista.

Podeszła o krok bliżej i rozpięła kolejny guzik.

– Czyżbym dostrzegła w pańskich oczach zainteresowanie? – Jej oddech muskał mu policzek. – No dalej, niechże pan złoży mi ofertę. Quid pro quo. Coś za coś. Jak pan widzi, jestem dosyć zdesperowana.

Napier wiedział, że powinien się odsunąć, lecz nie był w stanie tego zrobić. Wszystko przebiegało inaczej, niż powinno. Z najwyższym trudem wstrzymywał się, by nie przesunąć palcami po uwodzicielskim zagłębieniu jej szyi, a potem opuścić dłoń niżej. I jeszcze niżej.

Musiała się domyślić, co czuje, spojrzała bowiem wymownie na dół jego kamizelki.

Uniósł brew.

– Na Boga, *madame* – powiedział. – Odważna z pani osóbka.

– Gdy nie mam wyboru, owszem – odparła, spoglądając mu znów w oczy. – Chcę, żeby Rance Welham został ukarany... lub powieszony... I jeśli będę musiała sprzedać diabłu duszę, zrobię to. Lub sprzedać się panu. W końcu, co za różnica?

– Może pani uważać się za szczęściarę, *madame* – przerwał jej szorstko – że nie zadarłem pani spódnicy i nie wziąłem tego, co tak szczodrze mi pani oferuje, nie bacząc na *quid pro quo*. – Chwycił ją za ramię i pociągnął ku drzwiom. – Nie słynę z dżentelmeńskiego zachowania.

– Czy resztę ma pan równie twardą jak uścisk, panie Napier? – spytała, rzucając mu przez ramię gorące spojrzenie. – Jest pan całkiem, absolutnie pewny, że nie chce pertraktować?

Coś w nim pękło, uwalniając gniew, a może było to pożądanie? Odwrócił ją gwałtownie ku sobie, zdecydowany powstrzymać złośliwe docinki.

I wtedy zobaczył w jej oczach błysk lęku. Och, ukryła go dobrze, lecz Napier miał za sobą dziesięcioletnie doświadczenie w obcowaniu z kłamcami, łgarzami naciągającymi prawdę. Potrafił rozpoznać fałszywą brawurę. Poluzował nieco uścisk.

– Proszę posłuchać – powiedział ponuro. – Jest pani zdenerwowana, owszem, i rozgniewana. Ale to dla mnie jasne, że nie jest pani tego rodzaju kobietą.

– Tak pan sądzi? – Uniosła wyżej brodę, ale nie była w stanie spojrzeć mu w oczy. – Ja... mogłabym to zrobić. Jest pan całkiem

przystojny pomimo tego lodowatego spojrzenia. Więc zrobi to pan? Pomoże mi? Jeśli spełnię... każde pańskie żądanie?

Poczuł przypływ pożądania wymieszanego z odrazą. Jednak dolna warga kobiety drżała i widział, że jest na równi przerażona, co wściekła.

– Moja droga – powiedział spokojnie – uwierz mi, jesteś bardzo pociągająca. Prowadzisz jednak niebezpieczną grę. Co w rzeczy samej mi oferujesz? Swój honor. Uczciwość. Naprawdę zbrukałaby to pani dla zemsty?

Coś w kobiecie jakby się załamało. Jej twarz złagodniała, a ramiona opadły. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Boże – wyszeptała, podnosząc dłoń do ust.

Nie zastanawiając się, co robi, przyciągnął ją do siebie. Opadła mu na pierś, szlochając rozpaczliwie i czepiając się klap surduta, jakby tylko to mogło powstrzymać ją przed pogrążeniem się w otchłani rozpaczy. Wbrew zdrowemu rozsądkowi przytulał ją, opierając dłoń na jej łopatkach.

Do diabła z tym, pomyślał.

Nie miał zbyt dużego doświadczenia w postępowaniu z płaczącymi kobietami, nie był jednak z natury okrutny, a przynajmniej taką żywił nadzieję. A jej łzy były szczere i wynikały z bezradności. Co gorsza, wcale nie miał ochoty wypuszczać jej z objęć, przeciwnie, pragnął trzymać ją jak najdłużej, wdychać woń egzotycznych perfum i udawać, że to nie czyste szaleństwo.

Ale to było szaleństwo. Ona też musiała zdać sobie z tego sprawę, ponieważ odsunęła się gwałtownie, odwróciła i zaczęła ocierać oczy grzbietem dłoni.

– O nie, nic z tego! – westchnęła urywanie, najwidoczniej zła na siebie. – Nie przebyłam całej tej drogi po to, by teraz stchórzyć. Nie zrobię tego. Nie.

Napier poczuł się nagle niezręcznie. A kiedy opadło pożądanie, wrócił mu rozsądek.

– Może byłaby pani tak uprzejma i nieco mnie oświeciła – powiedział. – Dlaczego tak bardzo interesuje panią ta sprawa?

Odwróciła się. Oczy nadal błyszczały jej od łez.

– Nie zadał pan sobie trudu, aby przeczytać akta, które zgromadził pański ojciec? – spytała cicho. – Jestem młodszą córką sir Arthura Colburne'a, który został zniszczony... praktycznie zamordowany przez pana

Welhama.

Napier zamarł.

Pogmatwaną sprawę okropnej zbrodni prowadził jego ojciec, lecz było to dwanaście lat temu. I to nie sir Arthur został wtedy ofiarą. Przeciwnie, ledwie był w nią zaangażowany.

Mimo to pamiętał, że była tam jakaś córka. Ellen? Elinor? Narzeczona ofiary, zmarła krótko po procesie. Czy było też młodsze dziecko? Najwidoczniej. I była panną, nie panią...

Do licha!

– Panno Colburne – powiedział spokojnie – wszystko to wydarzyło się na długo przed tym, zanim zacząłem tu pracować. Wierzę, iż Rance Welham zabił narzeczonego pani siostry. Ale, o ile wiem, sir Arthur zabił się sam.

– Ponieważ Welham nie pozostawił mu wyboru! – Emocje doszły znowu do głosu, zabarwiając szkarłatem jej policzki. – Umarł z rozpaczy! A moja biedna siostra? Odesłana, by umrzeć jako

sierota bez pensa na drugim końcu świata, z dala od wszystkiego, co znała? Jej narzeczony został zamordowany, jej serce złamane. A wszystko to, panie Napier, wszystko z winy Welhama.

Napier zacisnął szczęki.

– Przykro mi z powodu pani straty – powiedział. – Lecz ani pani pieniądze, ani łzy nie zdołają zmienić biegu spraw. Welham znalazł sobie wpływowych przyjaciół, cieszących się względami królowej. Co więcej, jego ojciec namówił kluczowego świadka, aby wycofał zeznania. A teraz lord kanclerz zamierza odrzucić oskarżenie.

– Ale to parodia sprawiedliwości! – wykrzyknęła. – Nie może pan się poddać i zrezygnować ze śledztwa. Musi pan spróbować znowu...

– Przeciwnie, panno Colburne, to będzie koniec sprawy – wtrącił stanowczo. – Czy nam się to podoba, czy nie.

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Dama stała jednak nieporuszona. Jej gniew powrócił zwielokrotniony.

– Jest pan tchórzem i... tyranizuje słabszych – powiedziała drżącym głosem. – Ale ja nie dam się zastraszyć. Doprowadzę do tego, że Welham zapłaci, panie Napier, jeśli nie zrobi tego pan. Jeśli nie odważy się pan tego zrobić.

– Mam odwagę robić wiele rzeczy, panno Colburne – stwierdził ponuro – lecz nie zamierzam popełnić politycznego samobójstwa. A teraz proszę już iść. I radzę w przyszłości zważać na słowa. Choć bardzo pani współczuję, jako urzędnik Korony powinienem potraktować pani groźby poważnie i postąpić, jak nakazuje prawo.

Wyminęła go i chwyciła torbę. Jej oczy miotały błyskawice.

– Och, to nie była groźba, *sir* – powiedziała, rzuciwszy mu ostatnie pogardliwe spojrzenie. – Lecz czysta prawda. Coś, ośmielam się twierdzić, zupełnie panu nieznanego.

Napier nie zareagował.

Nie był człowiekiem skłonnym się wahać czy też niepewnym swoich racji. A jednak nie zrobił nic. Stał tylko, wsparty jedną ręką o framugę i spoglądał w ślad za kobietą zmierzającą gniewnym krokiem ku wyjściu.

Nie zrobił nic, ponieważ wiedział, że kobieta ma rację.

Elizabeth Colburne straciła wszystko.

Rance Welham był zaś mordercą i kłamcą, który zasłużył na śmierć.

W końcu prawda była jego znakiem firmowym.

Zły na siebie – i na okoliczności – trzasnął drzwiami i wrócił do biurka, spoglądając z frustracją na blat.

Przeklęte rękawiczki leżały tam, zapomniane i porzucone. Niedorzecznie delikatne kawałki koźlej skórki, zapinane przy nadgarstkach na małe perłowe guziczki zachowały jeszcze ciepło jej ciała. Dobiegł go zapach perfum Elizabeth, zmieszany z wonią nowej skóry.

Przez chwilę pozwolił sobie go wdychać. Wreszcie zaklął pod nosem, otworzył szufladę, wrzucił do środka rękawiczki i zamknął ją niemal z hukiem.

Rozdział 1
Kiedy to diabeł sięga po swoje

Rok 1849
Greenwich

Tylko niewiele osób potrafi pokonywać zagrożenia, jakich nie szczędzi im życie, będąc uzbrojonym jedynie w wysoce rozwinięty instynkt oraz wrodzoną nieufność wobec rasy ludzkiej. Napier był jedną z takich osób i w pełni zasłużył na niemiły przydomek.

Bezlitosny Roy.

Podziemny świat Londynu dawno już się o tym przekonał. Jednak dzisiejsze wezwanie nie miało nic wspólnego z przestępczym półświatkiem. Tym większa szkoda.

Napier, zły jak osa, wysiadł z eleganckiego powozu, który po niego przysłano. Niechętnie oderwał się od skoroszytów z dokumentami oraz popołudniowej filiżanki herbaty darjeeling stygnącej teraz na biurku. Wcisnąwszy pod ramię skórzaną aktówkę, przystanął pośród otaczającej go wspaniałości i potoczył uważnym spojrzeniem na wpół zakrytych ciężkimi powiekami

oczu po gromadzie arystokratów, zaludniających ogród z tyłu rezydencji sir Wilfreda Leetona. A potem wypuścił z płuc powietrze.

Elegancja otoczenia nie mogła zamaskować woni śmierci. A ta unosiła się w powietrzu niczym coś prawie namacalnego.

Dwaj umundurowani konstable pospieszyli za nim, stąpając po żwirowanym podjeździe. Powóz, opatrzony złotym herbem lorda Lazonby'ego, odjechał, pozostawiwszy Napiera i konstabli stojących osobno i wyglądających niczym szczątki rozbitego statku na morzu bogactwa.

Od grupki zgromadzonych przy kuchennym ogrodzie służących oderwał się przysadzisty kamerdyner. Gdy podszedł, Napier pochylił się i spytał cicho:

– Chyba nie... sir Wilfred?

Służący przytaknął ponuro, a potem, po chwili przyciszonej rozmowy, wskazał stojący osobno, kamienny budynek, zagłębiony niemal do połowy w ziemi.

Napier ruszył ku niemu przez zadbany trawnik, ignorując otaczający go szmer rozmów. Odprowadzały go niepewne spojrzenia zebranych gości.

I nawet wtedy – pomimo złego humoru i zniecierpliwienia – uderzyło go, że choć stał się obiektem ogólnej uwagi, właśnie chłodne, bystre spojrzenie Elizabeth Ashton odczuwa najmocniej.

Było to tym bardziej dziwne, że aż do tej chwili nie wiedział nawet o jej istnieniu. Czuł na sobie żar tego spojrzenia – o ile lodowate spojrzenie może emitować żar – przez całą drogę ku domkowi, choć nie był w stanie sobie wyobrazić, dlaczego kobieta miałaby aż tak się nim interesować. Może – nawet w tych

pierwszych, krytycznych chwilach – podświadomie zdawał sobie sprawę, iż odwieczne koło fortuny zostało właśnie wprawione w ruch.

A może miało to coś wspólnego z faktem, że smukła szatynka w szarej sukni wydała mu się dziwnie znajoma?

Poza tym, co bardziej niepokojące, jej dłoń spoczywała na ramieniu człowieka, który go tu ściągnął: Rance'a Welhama, nowego lorda Lazonby, łajdaka tak splamionego oszustwem i zdradą, że jego duszy nie dałoby się wybielić, nawet gdyby wywrócić ją na nice i potraktować ługiem.

Jakkolwiek dobrotliwy albo nikczemny człowiek by był, kiedy spotyka go śmierć, wygląda zawsze tak samo: brzydko i bez wdzięku. Często towarzyszy temu brutalność. Śmierć w kamiennym budynku była właśnie taka, pomyślał Napier, spoglądając w dół.

Sir Wilfred miał pośrodku czoła ziejącą, osmaloną dziurę, z której wyciekła strumyczkiem krew i zgromadziła się na wyłożonej białymi płytkami podłodze. Napier poczuł, że znów jeżą mu się włosy na karku. To nie było pierwsze morderstwo, w jakie zaangażowany był sir Wilfred, ponieważ występował on już wcześniej jako świadek w paskudnym procesie – procesie Lazonby'ego. Ten zbieg okoliczności wielce niepokoił Napiera.

Ignorując szelest spódnic i dźwięk przyciszonych głosów, zstąpił z trawy na kamienne stopnie prowadzące do pomieszczenia, które kiedyś było zapewne mleczarnią, a teraz służyło być może jako ujęcie wody.

Ponieważ tego po nim oczekiwano, przykucnął i ujął nadgarstek sir Wilfreda w poszukiwaniu pulsu, choć wiedział, że jest to

czynność zupełnie bezowocna.

– Ach, Will – wymamrotał, podnosząc się. – Jakież to skrywasz sekrety?

To był jego stały – i nie najprzyjemniejszy – zwyczaj: rozmawiał ze zwłokami.

Sir Wilfred nie odpowiedział; nigdy nie odpowiadali.

Rozciągnięty na plecach, ze zjeżonymi, rzednącymi włosami, brązową kamizelką, opiętą ciasno na wydatnym brzuchu i zaskakująco drobnymi stopami obutymi w pantofle z ciemnej skóry, przypominał do złudzenia przekarmionego świstaka, który wybrał zły moment, aby wyskoczyć z żywopłotu.

Ale nie było to bezbronne leśne stworzenie, w żadnym razie. Nie, sir Wilfred Leeton przedstawiał sobą kłopot najgorszego rodzaju – kłopot polityczny – a zważywszy na okoliczności śmierci i zamieszane w zdarzenie osoby... Jezu Chryste! Nim śledztwo zostanie zakończone, jego macki rozciągną się bez wątpienia na całe Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Na razie sięgnęły Napiera – za sprawą, jak przypuszczał, lorda Lazonby'ego. Komisarz nie prowadził osobiście śledztw w sprawie morderstw. Lecz będzie musiał zająć się tym, żaden niższy rangą urzędnik nie wystarczy, ponieważ wydarzyło się tu coś bardzo złego – coś więcej niż śmierć sir Wilfreda. A on nie miał pojęcia, co to mogłoby być takiego. Na razie nie miał.

Zaledwie kilka dni wcześniej był w operze ze zdrowym i bardzo żywotnym sir Wilfredem – a przynajmniej tam się spotkali. Sir Wilfred był starym znajomym ojca Napiera, poprzedniego komisarza. I choć Napier ani go nie lubił, ani mu nie ufał, odebranie życia – nawet komuś tak rozpuszczonemu i zepsutemu

jak lord Leeton – sprawiało, że odczuwał dręczącą potrzebę wymierzenia sprawiedliwości.

Nagle poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Odwrócił się i spojrzał za otwarte okno. Kobieta w szarej sukni nadal uparcie mu się przyglądała. Ogarnęło go dziwne, niedające się sprecyzować, acz niezwykle intymne wrażenie rozpoznania; coś jakby dawno zapomniane pożądanie albo tęsknota, której nie potrafił wyjaśnić.

Wstrzymał oddech, potrząsnął głową i odwrócił się od okna. Dama nie powinna go obchodzić. Przynajmniej na razie.

Zza małych drzwi dobiegał szloch wdowy, która ocknęła się z oszołomienia i dawała właśnie wyraz rozpaczy. Skinął na jednego z konstabli, stojącego na szczycie schodów i mnącego w dłoniach kapelusz. Ponieważ byli w Greenwich, konstabl różnił się od londyńskich funkcjonariuszy jak kreda od sera.

O tak. Ten był zdecydowanie kredą.

Napier uśmiechnął się leciutko, zatroskany o bezpieczeństwo swoich wypolerowanych butów.

Mężczyzna podszedł ku niemu ostrożnie po wykładanej płytkami podłodze.

– Ta... tak, panie komisarzu?

– To pańska pierwsza śmierć, panie Terry?

– Pierwszy postrzał, ta... tak – wykrztusił młodzieniec. – Zwykle mamy tu do czynienia z utonięciami, chociaż ostatniej zimy znalazłem też zamordowanego marynarza.

– Doskonale – Napier zdzielił konstabla mocno między łopatki. – Zatem jesteście oswojeni z nagłą śmiercią.

– Tamten facet został zadźgany na błoniach Deptford Green, a potem ciało porzucono u nas – kontynuował młodzieniec,

śledząc wzrokiem strużkę krwi. Spłynęła po białych kafelkach w stronę cementowego basenu pod kranem, zabarwiając wodę na różowo.

Napier pochylił głowę, aby podchwycić spojrzenie niższego mężczyzny.

– Panie Terry?

Młodzieniec podniósł wzrok i zamrugał szeroko otwartymi, bladymi oczami.

– Ta... tak, proszę pana?

– Nie zamierzasz pozbyć się zawartości swoich trzewi i zanieczyścić miejsca zbrodni, prawda?

Terry zacisnął wargi i potrząsnął niepewnie głową.

– Ulżyło mi, kiedy to usłyszałem. – Wskazał zakrwawiony szpadel obok basenu. – A co z tym?

– Podobno sir Wilfred... – Konstabl przełknął mocno ślinę i zerknął niepewnie na zwłoki – zaatakował nim jakąś damę i...

– Jaką damę? – zapytał Napier.

– Hinduską damę z namiotu wróżki – odparł Terry, zniżając głos do szeptu. – Domyślam się, że chciał ją zabić, ale nikt o tym nie mówi. Straszne, prawda, *sir*?

Napier poczuł, że robi mu się zimno. A zatem kamerdyner powiedział prawdę. Lady Anisha Stafford, kobieta, którą wielce poważał, była zamieszana w zbrodnię.

– Jak poważnie została zraniona? – spytał lodowatym tonem.

– Słyszałem, że wyszła o własnych siłach, jednak lord Lazonby zabrał ją stąd natychmiast, żeby uchronić przed skandalem.

– Chwała mu za to – zauważył Napier ponuro. I szczerze.

– Ale tu jest okropnie dużo krwi – mówił dalej Terry – to znaczy, jeśli się weźmie wszystko pod uwagę. – Towarzyszył temu kolejny gardłowy odgłos. Młodzieniec zasłonił usta dłonią.

– Do licha, człowieku, wyjdź! – Napier popchnął go ku drzwiom.

Konstabl obrzucił komisarza omdlewającym spojrzeniem, po czym wbiegł po schodkach i znikł w plamie słonecznego blasku.

Napier rozejrzał się uważnie po wnętrzu, a potem zbadał jeszcze raz ciało. A także szpadel. Krew. Przewrócony stołek. Odłamany kawałek marmuru pod oknem.

Niech to diabli! Brutalne zabójstwo nie było niczym dobrym, lecz kiedy w sprawę zamieszany był ktoś z arystokracji, niezwykle utrudniało to sytuację. Spojrzał ku miejscu, gdzie, jakby na poparcie powyższej tezy, tkwił Lazonby, arogancki jak zawsze i najwidoczniej zdecydowany stanąć znów na przeszkodzie wymiarowi sprawiedliwości.

Poczuł, że budzi się w nim dawny gniew. Zacisnął bezradnie dłonie w pięści. Lazonby był nikim innym, jak tylko mordercą odzianym w przedniej jakości wełnę i pozostającym w kręgu zainteresowania Scotland Yardu od lat, przy czym raz ledwie uniknął szubienicy. Nie był godny czyścić butów lady Anishy, a co dopiero zalecać się do niej. A teraz dopuścił, by ją skrzywdzono.

Ale co mogło spowodować tak dramatyczny obrót wypadków?

Sir Wilfred i Lazonby obracali się swego czasu w tych samych, niebezpiecznych kręgach. Może miało to coś wspólnego z przeszłością Lazonby'ego? A po zabiciu sir Wilfreda – lub po tym, jak kazał go zabić – Lazonby posłał po Napiera jedynie po to, by rzucić mu wyzwanie?

Z drugiej strony, gdyby Napierowi udało się udowodnić tę teorię, Korona mogłaby dać mu kolejną szansę, by zaprowadził Lazonby'ego z powrotem na szubienicę.

Otworzył skórzaną walizeczkę i wziął się do roboty.

* * *

Lord Lazonby przyglądał się, stojąc po drugiej stronie szerokiego trawnika, jak konstabl, zielony na twarzy, wybiega z mleczarni i znika wśród drzew. Bez wątpienia to wygłaszane przez Napiera teorie doprowadziły młodego człowieka do mdłości.

Z lewej dobiegł go cichy szloch wdowy. Dźwięk bardzo go poruszył. Lazonby nie był potworem bez serca. Chętnie podszedłby do niej i powiedział...

Co mianowicie? Że jej mąż był zakłamanym draniem i mordercą, który zasłużył na coś zdecydowanie gorszego niż kulka między oczy? I to coś wymierzonego w bardziej dogodnym czasie. Na przykład przed piętnastoma laty. Oszczędziłoby mu to dwóch pobytów w więzieniu i godnej pożałowania kariery we francuskiej Legii Cudzoziemskiej pomiędzy.

Aż do dzisiejszego dnia nie zdawał sobie sprawy, jak zdradzieckim – i do głębi złym – człowiekiem był sir Wilfred. To zabawne, że lufa przystawiona do głowy wyzwoliła w nim aż taką chęć zwierzeń.

Cóż, tak jak się sprawy miały, lepiej było zostawić pocieszanie lady Leeton bardziej kompetentnym osobom: gromadce dobrze urodzonych wdów, które kręciły się teraz wokół niej, ćwierkając pocieszająco i osuszając jej łzy. Co zaś się tyczy przyjęcia na cele dobroczynne, przyszłoroczna subskrypcja okaże się zapewne

trzykrotnie wyższa od obecnej. Towarzystwo nie kochało bowiem niczego tak bardzo jak skandalu.

Jeśli chodzi o łzy wylane w jego bezpośredniej bliskości, to dawno już obeschły, choć dama, która nazywała się teraz panią Elizabeth Ashton, nadal wspierała się na jego ramieniu. Jej twarz odzyskała jednak kolory, odkąd pomógł jej wydobyć się z okropnej sytuacji, a rysy odzyskały tak dobrze mu znane, dumne krzywizny.

Nadal nie mógł się nadziwić, że aż tyle czasu zajęło mu rozpoznanie jej. Lecz teraz, kiedy przesuwał spojrzeniem po twarzy dziewczyny – nie tyle konwencjonalnie ładnej, ile zdecydowanie interesującej – mógł bez trudu powiedzieć, kim jest.

Kim była przez cały czas.

Czuł się jak ostatni głupiec. Przez ponad rok Elizabeth go prześladowała – w takim czy innym przebraniu – zmieniając jego i tak niełatwe życie w jeszcze gorsze piekło. Oskarżała go o zabójstwo, którego nie popełnił. A także spowodowanie, choć niebezpośrednie, samobójstwa ojca. Dziś wreszcie zrozumiał, dlaczego była tak przekonana o jego winie. Sir Wilfred przyznał się, że go wrobił.

– Pozbierała się pani, panno Ashton – powiedział nie bez sympatii w głosie – o ile tak się pani teraz nazywa?

Rumieniec pokrył szyję kobiety, sięgając wydatnych, mocno zarysowanych kości policzkowych.

– Nie ma w tym nic niegodziwego. Kiedy postanowiłam pomagać lady Leeton w szkole dla biednych dzieci, uznałam, że „pani” brzmi stosowniej niż „panna”.

– Ach! Zatem nazwisko też jest fałszywe? – zapytał chłodno.

Uniosła lekko brwi.

– W przeciwieństwie do Colburne?

– Och, nie mówmy teraz o pani rozlicznych wcieleniach – zaproponował zrezygnowany. – Z pewnością i tak nie potrafiłbym ich zliczyć. Jesteś jednak sprytna, moja droga. Powinienem był zdać sobie sprawę, jak bardzo sprytna, kiedy zaczęłaś prześladować mnie na każdym kroku, obrzucając błotem... I to w gazetach.

Uśmiechnęła się, lecz bardzo słabo.

– Jakąkolwiek rolę odgrywałam, nie zaprzeczyłam nigdy, że jestem córką sir Arthura Colburne'a – odparła. – Lecz odkąd ciotka i wuj Ashtonowie zostali zmuszeni, by wychowywać mnie po tym, jak ten potwór zabił mojego ojca...

– Nie, nie, droga dziewczyno! – wtrącił łagodnie Lazonby, ściskając dłoń, spoczywającą na jego ramieniu. – Zważaj na każde swoje słowo. Mój przyjaciel Napier sądzi, że ma już mordercę. A oboje wiemy, że twój ojciec zabił się sam.

Jej dziwne, niebieskozielone oczy zabłysły.

– Owszem, po tym jak stracił wszystko.

– W rzeczy samej – zgodził się z nią Lazonby. – Ale wierzyłaś dotąd, że była to moja wina. Podobnie sądziła policja. Wszyscy tańczyliście tak, jak zagrał wam sir Wilfred. I spójrz tylko, do czego doprowadził nas ten upór, moja droga.

– Proszę się tak do mnie nie zwracać – zaprotestowała gorąco. – A pan nadal jest łajdakiem.

– Owszem – przytaknął Lazonby sucho. – Ale niewinnym.

Dama zerknęła z ukosa na drzwi mleczarni.

– Och, dobry Boże – wyszeptała, przyciskając palce do ust. – Stale wydaje mi się, że się obudzę, że mogę cofnąć czas, ale sir Wilfred naprawdę nie żyje.

– I w końcu żadne z nas nie będzie po nim płakać – stwierdził Lazonby, rozglądając się ostrożnie. – Lecz jeśli będziesz mówiła o tym zbyt głośno, moja panno, dasz im wspaniały motyw zabójstwa.

– Ale ja... muszę powiedzieć Napierowi, co się wydarzyło – wyszeptała przerażona. – On i tak się dowie, Lazonby. A wtedy to ja wyląduję w więzieniu, nie pan.

– Ani mi się waż – rozkazał ponuro. – Zrobię, co będę mógł, by cię ochronić.

– Niby dlaczego miałby pan zadawać sobie trud? – westchnęła gorzko.

– Dlatego że potrzebuję czegoś od ciebie – odparował Lazonby. – Chcę oczyścić swoje imię. Nie mogę dopuścić, by oskarżono cię o morderstwo. Napier jest niebezpieczny, doprowadzi błyskawicznie do tego, że założą ci pętlę na szyję, nie bacząc, czy jesteś winna, czy nie. Zaufaj mi. Wiem, jaki był jego ojciec.

– Zaufać panu! – wyszeptała. – Dobry Boże.

– Posłuchaj, Elizabeth. Jesteś jedyną osobą, która słyszała, co wyznał sir Wilfred. Po wszystkich tych latach oskarżania mnie wiesz teraz, że jestem niewinny, i przekonasz o tym Napiera. Jeśli nie będziesz wiarygodna, na nic mi się nie przydasz. Co więcej, jak wiesz, przebywałem w więzieniu i nie życzę tego nikomu.

– Tak, Napier dopilnowałby, aby mnie powieszono, prawda? – wyszeptała, odwracając wzrok. – Nie pozwoli mi pan o tym zapomnieć, czyż nie?

– Dlaczego miałbym pozwolić? – zapytał spokojnie. – A tak nawiasem mówiąc, popraw, proszę, szal. Masz w staniku dziurę wypaloną przez proch. O, właśnie tam. Dzięki Bogu, wykazałaś się przytomnością umysłu i założyłaś szary strój.

– Ja zawsze wykazuję przytomność umysłu – odparła.

– Rzeczywiście, zauważyłem.

– Powiem to jeszcze raz, lordzie Lazonby – przerwała mu – na wypadek gdyby nie zrozumiał pan za pierwszym razem: nie nosiłam pistoletu w torebce przez wszystkie te miesiące po to, aby zastrzelić sir Wilfreda Leetona.

Lazonby uśmiechnął się z niejakim przymusem.

– Na Boga, nie! – przytaknął. – Myślę, że oboje wiemy, iż zamierzałaś zastrzelić mnie... Gdyby nie udało ci się znowu założyć mi pętli na szyję.

Tę interesującą wymianę zdań przerwało pojawienie się Napiera. Wyłonił się z mleczarni i podszedł do swoich konstabli. Porozmawiał z nimi przez chwilę, a potem ruszył wprost ku Laznoby'emu i pannie Ashton.

Lazonby zerknął na towarzyszkę i mrugnął.

– Cóż, kurtyna idzie w górę, moja droga! – powiedział cicho. – Gotowa stanąć na deskach?

* * *

Pozostawiwszy instrukcje konstablom oraz koronerowi, Napier wspiął się po schodkach i wszedł na starannie wypielęgnowany trawnik ciągnący się aż do budynku rezydencji Leetonów.

– Postarajcie się trzymać ode mnie z daleka wszystkich poza Lazonbym i pozostałymi świadkami – polecił funkcjonariuszom,

których przywiózł ze sobą ze Scotland Yardu.

– Tak jest, proszę pana – powiedział starszy. – A co z wdową?

Jednak spojrzenie Napiera powędrowało znowu ku damie w szarej sukni.

– Dopilnujcie po prostu, aby znalazła się w domu – wymamrotał z roztargnieniem – porozmawiam z nią, kiedy skończę z Lazonbym i guwernantką, czy kimkolwiek tam ona jest.

Zażądał już, by kamerdyner dostarczył mu listę gości. Wyglądała niczym fragment księgi heraldycznej DeBretta. Na szczęście nie miało to znaczenia. Poinformowano go, iż w krytycznej chwili większość gości siedziała w okolicach namiotu, gdzie podawano herbatę, rozstawionego na zachodnim trawniku. Słyszeli strzał, który zabił gospodarza, lecz nie widzieli sceny zbrodni.

Wszyscy z wyjątkiem lady Anishy i pary, ku której zmierzał teraz przez trawnik.

Zbliżając się, przyglądał się uważnie kobiecie. W lodowatych, zielononiebieskich oczach damy zabłysł niepokój, starannie zaraz ukryty. Po chwili jej blada twarz o przejrzystej cerze nie wyrażała już niczego.

Ta twarz nie dawała mu spokoju. Było w niej coś... znajomego. Lecz nie do końca.

Nie, nie znał jej.

Ale czy na pewno?

– Lazonby. – Napier skinął lekko głową lordowi i przedstawił się kobiecie.

– Elizabeth Ashton – odwzajemniła się głosem nieco ochrypłym, jakby zbierało się jej na płacz. – Uczę gramatyki w szkole pani

Leeton.

Zaskoczyło to Napiera. Pomimo tego, co powiedział konstablowi, nie było w niej nic z chłodnej, surowej nauczycielki. A kiedy przyjrzał się kobiecie bliżej, zauważył, że szara suknia, choć skromna, uszyta została z kosztownej tkaniny.

– Zechce pani usiąść, *madame*? – zaproponował, wskazując gestem kamienną ławę, gdzie przed chwilą siedziała lady Leeton.

Lord Lazonby nie puścił ramienia damy, lecz podprowadził ją do ławy i został przy niej, wyprostowany sztywno niczym żołnierz, którym kiedyś był.

Napier skinął głową w kierunku alejki.

– Może przeszedłby się pan ze mną, jeśli łaska?

– Nie mam do powiedzenia nic, co nie mogłoby zostać powiedziane w obecności panny Ashton – stwierdził lord chłodno.

Napier zerknął znowu na damę.

– Dobrze więc. Co to wszystko znaczy? Dlaczego posłał pan po mnie?

Lazonby uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– To, że ofiarą jest pański stary przyjaciel, nie stanowi dostatecznego powodu?

– Sir Wilfred był zaledwie znajomym...

– Och, był kimś znacznie więcej dla pańskiego ojca, poprzedniego komisarza. – W głosie Lazonby'ego dało się wyczuć nutkę ostrzeżenia, zmieszanego z pogardą. – Prawdę mówiąc, sir Wilfred wyjaśniał właśnie, tuż przed tym, jak został zabity, w jak bliskich pozostawali stosunkach.

– O co chodzi, Lazonby? – zapytał Napier, zirytowany jak zwykle w obecności lorda. – Nie jestem moim ojcem.

– Nie, ale sprawuje pan tę samą funkcję – odparował Lazonby. – Przejął pan jego biuro. I dokumenty. Dokumenty mojej sprawy. Te, na podstawie których skazano mnie niesłusznie za morderstwo.

Napier zagryzł wargę.

– Może i jestem tylko urzędnikiem, wasza lordowska mość, lecz niech mnie licho, jeśli będę tłumaczył się przed kimś takim jak pan – wyszeptał. – Poza tym, jesteśmy w Greenwich, nie w Londynie. Moja jurysdykcja tu nie sięga.

– Jurysdykcja może i nie – odparł Lazonby. – Lecz wpływy, owszem. I to nie byle jakie.

– Marnuje pan mój czas – rzucił Napier.

Oczy Lazonby'ego zabłysły.

– Posłałem po pana, ponieważ leży w naszym wspólnym interesie, aby tę sprawę załatwiono szybko i dyskretnie.

Napier zareagował na pogardliwy uśmieszek lorda własnym, wyrażającym równy brak szacunku.

– Doprawdy? – burknął. – Nie jestem w stanie wyobrazić sobie okazji, kiedy nasza znajomość nie mogłaby ograniczyć się do wymiany skąpych ukłonów.

– Sir Wilfred leży martwy w swojej mleczarni – powtórzył Lazonby. – Nie chciałby się pan dowiedzieć, co się wydarzyło?

– Mogę się, oczywiście, mylić – zauważył Napier zjadliwie – odniosłem jednak wrażenie, że został postrzelony w głowę.

– Tak, ale to był wypadek! – wtrąciła dama. – Sir Wilfred był... on oszalał! Chwycił za pistolet i...

– I broń wystrzeliła – przerwał jej Lazonby, kładąc dłoń na ramieniu damy.

– Och? – Napier spuścił wzrok i utkwił go w niezwykłych oczach kobiety, przyszpilając ją spojrzeniem. – Czy rzeczywiście tak było?

– Doprawdy, panno Ashton – kontynuował Lazonby. – Jest pani zdenerwowana. Proszę pozwolić, że wyjaśnię.

– No, nie wiem – powiedział Napier. – Wolałbym poznać opinię damy. Nie wiedzieć czemu, ufam jej bardziej niż panu. Poza tym wydaje się chłodna niczym bryła lodu.

Lazonby pochylił się ku komisarzowi.

– Zapomina się pan, komisarzu – wyszeptał – i to bardzo. A teraz powiem panu, co się tu dziś wydarzyło, a pan zapisze każde słowo w swoim małym czarnym notesiku. A potem, drogi panie, postara się pan sprawę wyciszyć.

Napier ledwie zwrócił uwagę na ostatnie słowa lorda. Zbyt był zajęty spoglądaniem na zegarek.

– Na Boga, staruszku – stwierdził Lazonby kpiąco – nie przeszkadzamy panu chyba w odbyciu popołudniowej przechadzki?

Napier oderwał wzrok od zegarka i spojrzał na lorda.

– Posłał pan po mnie, zanim sir Wilfred został postrzelony! – stwierdził oskarżycielsko. – Musiało tak być. Ciało nadal jest ciepłe. Kamerdyner Leetonów twierdzi, że strzał usłyszano około czwartej. Byłem już wtedy w połowie Westminster Bridge.

– Napier, stary druhu, proszę, mów ciszej. – Lazonby położył komisarzowi dłoń na ramieniu. – Tak, posłałem po pana, ponieważ...

– Na Boga, Lazonby, jeśli zamordowałeś kolejną niewinną osobę, dopilnuję, żeby cię powieszono, tym razem skutecznie.

Kobieta zerwała się z ławki i powiedziała z naciskiem:

– Ale Lazonby nikogo nie zamordował! Ani teraz, ani wtedy, nie rozumie pan? A w sir Wilfredzie Leetonie nie było nic niewinnego. Nic! To był diabeł, podstępny diabeł!

Jej porywczość także wydała mu się znajoma.

– Proszę się uspokoić, *madame*.

– Nie. Na Boga, nie rozumie pan? – Nieco ochrypły głos panny Ashton drżał teraz z gniewu, jakby coś w niej nareszcie pękło. – To... to wszystko jest skutek kłamstw i niekompetencji! – kontynuowała. – Niepopartych dowodami założeń i bezwzględnej chciwości! Leeton zrobił z nas wszystkich głupców, panie Napier. Z pańskim świętym ojcem na czele.

– Ach tak? – Uczucie, że zna damę, pogłębiało się z każdą chwilą. – Zatem to pani zastrzeliła sir Wilfreda?

Zaczerpnęła drżącego oddechu:

– Ja... ja...

– Zamierzała powiedzieć – wtrącił Lazonby, rzucając Napierowi mroczne spojrzenie – że to jej brat zastrzelił sir Wilfreda. Przypadkowo.

Dama zaskoczyła Napiera, opadając na trawę i wybuchając rozpaczliwym szlochem. Płakała, jakby jej świat miał się zaraz skończyć, otoczona kałużą połyskliwego szarego jedwabiu.

– Ach! – Napier machnął niedbale dłonią, obejmując tym gestem cały trawnik. – A gdzież to przebywa obecnie ten tajemniczy brat?

– Wystraszył się i uciekł. – Lazonby przykląkł i jął uspokajać płaczącą kobietę. – Tak nawiasem mówiąc, to Jack Coldwater z „Morning Chronicle” – powiedział, spoglądając chłodno na

Napiera. – Zapewne zechce pan to sobie zapisać w swoim notatniku.

– Jack Coldwater? Rudowłosy reporter o ostrym piórze, który prowadzi przeciwko panu krucjatę w gazetach? Lazonby, to kompletnie bez sensu.

– Cóż, tak właśnie było – kontynuował Lazonby, kiedy Napier pomagał ponieść się drżącej, zapłakanej damie. – A tuż przed tym, nim rozległ się strzał, jak opisano by to zapewne w tanim dreszczowcu, sir Wilfred przyznał się do zadźgania faceta, za którą to zbrodnię pański ojciec posłał mnie do Newgate.

– Pan chyba oszalał.

– Nie. Nic podobnego. – Cudowne oczy panny Ashton złagodniały, zamglone woalem łez spływających jej nadal po policzkach.

– Rzeczywiście, jestem absolutnie zdrowy na umyśle, jak w każdej chwili, od czasu kiedy Nickowi Napierowi udało się doprowadzić do tego, że skazano mnie za morderstwo. – Lazonby pomógł pannie Ashton usadowić się znowu na ławie. – Powtarzałem panu w kółko, że nie mam z tym nic wspólnego. A teraz ma pan dowód.

– Dowód?! – wykrzyknął Napier. – Nie ma żadnego dowodu!

Jednak panna Ashton zdążyła już widać dojść do siebie.

– Przeciwnie, jest – zapewniła głosem drżącym nieco od łez. – Podsłuchałam, jak sir Wilfred przyznaje się do wszystkiego. Najwidoczniej lady Anisha powzięła jakieś podejrzenia. Nie wiem dlaczego. Jednak sir Wilfred uderzył ją w głowę szpadlem i zaczął wlec do mleczarni, żeby utopić w zbiorniku na wodę.

– A wie pani o tym, ponieważ...? – zapytał Napier, wpatrując się w kobietę podejrzliwie zwężonymi oczami.

– Poszłam za nimi.

– Doprawdy? Dlaczegóż to?

– Powiedzmy, że szukała brata – wtrącił Lazonby. – Jack Coldwater także ich śledził.

– Cóż, musiała odbywać się tu istna parada! – Napier potrząsnął głową, jakby próbował rozjaśnić umysł.

– Nie, to całkiem proste – powiedział Lazonby. Napier wiedział, że jest wręcz przeciwnie. – Będziemy utrzymywać, iż panna Ashton zobaczyła w tłumie brata i odgadła, że przyszedł zobaczyć się z sir Wilfredem.

– Będziemy utrzymywać? – Pomimo iż mąciło mu się w głowie, to, co powiedział Lazonby, wreszcie do Napiera dotarło. – Nie, na Boga, dowiem się prawdy. Wydobędę ją z was: obojga!

– Prawda wygląda tak, że Jack Coldwater poszedł do mleczarni, ponieważ badał sprawę dawnego morderstwa, podobnie jak Anisha – przypomniał mu Lazonby cokolwiek oskarżycielskim tonem. – Kto jak kto, ale pan powinien o tym wiedzieć. Wpuścił ją pan do swego gabinetu i pozwolił przejrzeć dokumenty ojca. Zaczęła zadawać potem zbyt wiele pytań i sir Wilfred przestraszył się, że jego domek z kart zaczyna się walić.

Napier mógł tylko wpatrywać się w lorda. Czuł, jak lodowaty dreszcz wędruje mu wzdłuż kręgosłupa. Rzeczywiście wpuścił lady Anishę do swego gabinetu, i to z osobistych pobudek. A teraz stawało się dlań przerażająco jasne, dlaczego został tutaj wezwany.

Jednak Lazonby nie przestawał mówić, do tego aż nazbyt władczym tonem.

– Zatem Coldwater skradał się za sir Wilfredem, kiedy zobaczył, że ten uderza lady Anishę i ciągnie nieprzytomną do mleczarni. Próbował ją ratować, ale sir Wilfred rzucił się na niego. Wywiązała się walka i pistolet Coldwatera wypalił. Przypadkowo.

– Interesującą historia – wycedził Napier. – Ale nikt nie mógłby zarzucić panu braku wyobraźni, Lazonby.

– Ma pan świadka, pannę Ashton. I samą Anishę. Ostrzegam jednak, że nie pozwolę, by mieszał ją pan w to dochodzenie. Posprząta pan tu sam, Napier. Zrobi pan to.

– Do diabła! – zaklął Napier. – Nie zrobię nic podobnego.

– Och, chyba pan powinien – głos panny Ashton nie drżał już ani trochę – ponieważ to prawda. Poza tym, sir Wilfred powiedział coś jeszcze, panie Napier, nim zginął. Prawdę mówiąc, wręcz się przechwalał.

– Tak? – zapytał Napier, starał się, by jego głos nie brzmiał zbyt ostro. – I cóż to było takiego?

Dama wpatrywała się teraz weń bez zmrużenia powiek i Napier był już pewny, że ją zna.

Policyjny instynkt podpowiadał mu także, iż to, co za chwilę usłyszy, ani trochę mu się nie spodoba.

Zaczerpnęła głębokiego, urywanego oddechu.

– Przechwalał się, że przekupił poprzedniego komisarza Policji Metropolitalnej – powiedziała. – Pańskiego ojca, panie Napier. Zapłacił mu, by dopilnował, żeby Rance Welham, obecnie lord Lazonby, zawisnął za czyn, którego nie popełnił.

Napier mógł tylko wpatrywać się w nią z niedowierzaniem. Nieokreślony niepokój zmienił się w mrożącą krew w żyłach niepewność, jakby sekret, zbyt długo skrywany, wyszedł wreszcie na jaw. Słowa panny Ashton rozbrzmiewały mu w głowie, grożąc utratą wszelkiej kontroli.

– Nie. Ja... Nie wierzę pani – wykrztusił w końcu.

Cóż innego mógł powiedzieć?

Nicholas Napier znany był szeroko jako najbardziej skuteczny i bezlitosny śledczy Policji Metropolitalnej. Gdy jego ludzie raz kogoś aresztowali, można było mieć pewność, że zostanie powieszony. Jedynie Lazonby zdołał wymknąć się katu.

Jako chłopiec Napier czcił ojca. Uważał go za ideał bez skazy. A jeśli później, po latach, pojawiły się wątpliwości... Cóż, niech go diabli, jeśli przyzna się do nich skazanemu mordercy.

O ile Lazonby był naprawdę mordercą.

Przesunął dłonią po twarzy. Świadomość tego, co usłyszał i co się właśnie wydarzyło, legła mu ciężarem na barkach. Ledwie był w stanie zaczerpnąć oddechu.

Sir Wilfred... Och, ten był zawsze zbyt sprytny, by wyszło to komukolwiek na dobre. Gdy minie szok, nikt nie będzie długo go opłakiwał.

Tymczasem Lazonby, arogancki drań, odsunął się trochę – jak zawsze dżentelmen – dając mu czas, by mógł oswoić się z tym, co usłyszał, i opanować.

Panna Ashton tylko westchnęła.

– Nie pamięta mnie pan, prawda, panie Napier? – spytała. – Spotkaliśmy się prawie dwa lata temu w pańskim biurze.

Napier wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem uświadomił sobie nagle, dlaczego wydaje mu się znajoma. Dlaczego odczuwa tę dziwną wieź, na równi pociągającą, jak budzącą niepokój.

– Elizabeth Colburne! – warknął. – Na Boga, to nie może być zbieg okoliczności!

– Cóż, niestety, jest – odparła spokojnie, składając szczupłe dłonie w niemal modlitewnym geście.

To te jej oczy, uświadomił sobie. Te niewiarygodne oczy stanowiły wskazówkę. Jedyną, jako że włosy miała teraz zdecydowanie ciemniejsze, a figurę pełniejszą i dużo bardziej kobiecą.

– Jeśli zaś chodzi o to, co powiedział przed chwilą lord Lazonby – kontynuowała drżącym nieco głosem – obawiam się, że będzie pan musiał mu uwierzyć. Tak, jak ja uwierzyłam. Chociaż żadnemu z nas, ośmielę się twierdzić, nie spodoba się to, iż nasze wygodne, utrwalone przekonania będą musiały ulec tak drastycznej zmianie.

Wpatrywał się w nią w oczekiwaniu, że rzuci następną bombę. Bo skoro tego dnia wszystko układało się tak fatalnie, z pewnością miała w zanadrzu coś jeszcze.

A potem Elizabeth Colburne-Ashton, czy jakkolwiek brzmiało jej przeklęte nazwisko, westchnęła znowu i utkwiła w nim zapierające dech spojrzenie. Pochyliła się na tyle blisko, że poczuł znów zapach jej perfum: kombinację rozgrzanych słońcem lilii oraz jaśminu, niezwykłą jak dama, która ich używała.

– Zatem, panie Napier – wyszeptała lekko ochrypłym głosem – czy nie byłoby lepiej dla wszystkich, gdybyśmy pozwolili tej sprawie przycichnąć?

Napier wpatrywał się w kobietę, oszołomiony jej bliskością i wonią perfum.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Lazonby przerwał czar, kładąc na ramieniu Napiera ciężką dłoń.

– Chciała powiedzieć, że lepiej nie budzić licha – wyjaśnił, poklepując go mocno. – Pogódź się z tym, staruszku. Zaufaj mi, jeśli zaczniesz grzebać w tym bagnie, reputacja twego ojca zostanie bezpowrotnie zniszczona. Panno Ashton, proszę łaskawie zamilknąć.

– Ty diable! – zaklął Napier.

Jednak Lazonby tylko zamrugał.

– Posłuchaj uważnie, stary druhu – mruknął, obejmując Napiera ramieniem i odprowadzając ścieżką od miejsca, gdzie siedziała dama w szarej sukni. – Zamierzam przedstawić ci opowieść, której na twoim miejscu nie podawałbym raczej w wątpliwość.

– Och, opowieść, tak? – wycedził Napier. – Czegóż innego mógłbym się po tobie spodziewać, Lazonby?

– Nazwijmy to zatem legendą – poprawił się Lazonby. – Legendą o młodym, utalentowanym dziennikarzu o radykalnych poglądach, Jacku Coldwaterze, a ma on za sobą długą karierę w zawodzie, i to na dwóch kontynentach, ten nasz Jack. Teraz zamierza oszczędzić nam mnóstwa nieprzyjemności i ocalić przy okazji reputację pańskiego ojca.

– Doprawdy? – prychnął Napier. – A to w jaki sposób?

– Pozostając nieuchwytny – odparł Lazonby z szerokim uśmiechem. – Próbowałem swego czasu sam go odszukać i nie

udało mi się – obawiam się, że podobnie będzie się miała sprawa z panem.

Rozdział 2
Cicha zasadzka w Two Chairmen

Restauracja Two Chairmen, usytuowana w spokojnym zaułku dzielnicy Westminster, od dawna stanowiła przybytek chętnie odwiedzany przez urzędników i podsekretarzy, których zwabiały tam nie tylko doskonałe piwo, ale i szybko podawane dania. A to dlatego że, być może z wyjątkiem kilku członków Izby Lordów sprawy państwowe nie czekały na nikogo, głodnego czy nie.

Tego dżdżystego dnia sir George Grey zaatakował stek z szynki z determinacją człowieka niemającego chwili do stracenia.

Royden Napier jednakże, któremu od kilku dni nie dopisywał apetyt, przesuwał tylko jedzenie po talerzu, jakby próbował znaleźć tam ślad, pozwalający wyjaśnić tajemnice, które ostatnio go prześladowały.

Rozmowa też nie zapowiadała się przyjemnie. Sekretarz nie zaprosił z pewnością podwładnego na obiad w miejscu publicznym po to, aby rozmawiać o pogodzie.

– Nie smakuje panu? – spytała udręczona nawałem pracy kelnerka.

Napier uśmiechnął się z przymusem.

– Zjadłem późne śniadanie.

Wzruszyła wymownie ramionami, zebrała brudne naczynia i odeszła, przedzierając się przez tłum napływający nieustająco z ulicy. W ostatniej chwili odwróciła się jednak i uśmiechnęła do sir George'a.

– Jeszcze pintę, sir George?

Podniósł w górę dwa palce i wskazał głową Napiera.

Gdy tylko znalazła się poza zasięgiem słuchu, sekretarz oparł się wygodnie na krześle i przesunął dłonią o długich palcach po siwiejących bokobrodach. Nie wydawał się uszczęśliwiony.

– Nie podoba mi się to, Royden – powiedział po raz kolejny. – Minął już ponad tydzień. Jak ten dziennikarzyna mógł tak po prostu rozpłynąć się w powietrzu?

– Nie w powietrzu, *sir*, już raczej w wodzie. – Napier uśmiechnął się ponuro. – Odnaleźliśmy jego nazwisko na liście pasażerów frachtowca, który wypłynął dwa dni po śmierci sir Wilfreda z Londynu.

Napier nienawidził kłamać. Chociaż właściwie, przecież właśnie to zobaczył. Przypuszczał jednak, że nazwisko Jacka Coldwatera znalazło się tam za sprawą Lazonby'ego albo któregoś z jego popleczników. W końcu czy trudno byłoby przekupić urzędnika, aby dopisał do listy nazwisko nieistniejącego pasażera?

– Hm...! – chrząknął sir Geroge. – Wrócił zatem do Stanów, tak? Cóż, musimy go tam odszukać. Nie możemy pozwolić, aby mordercy – nawet jeśli zabili przypadkiem – uciekali przed wymiarem sprawiedliwości królowej, czyż nie?

– Oczywiście, *sir*.

Lecz tego jednego mordercy, dodał w duchu, nigdy nie uda nam się schwytać.

Sir George potrząsnął głową.

– Bardzo szanowałem twojego ojca, Royden – powiedział. – Na pewno o tym wiesz. Ale, na Boga, jak mógł tak spaprać tamto stare śledztwo?

Napier był zbyt dumny, by zwiesić głowę.

– Nie wiem, *sir* – powtórzył, patrząc zwierzchnikowi w oczy. – Sam nie bardzo mogę to zrozumieć.

Niedopowiedzenie stulecia.

– A teraz Rance Welham, a raczej lord Lazonby, został uwolniony od winy po latach publicznego upokarzania i prześladowania go przez prasę – poskarżył się sir George. – Gnił w więzieniu, podczas gdy prawdziwy zabójca, sir Wilfred Leeton, żył sobie w luksusie i został nawet uszlachcony! Doprawdy, trudno się z tym pogodzić.

Napier nie wiedział, w co wierzyć.

Sprawa zaczęła się lata temu, kiedy dwóch młodych dżentelmenów pokłóciło się przy karcianych stoliku w domu sir Wilfreda. Niektórzy twierdzili, że tak naprawdę nie chodziło o grę, lecz o kobietę. Syn księcia oskarżył jednak Lazonby'ego, wtedy jeszcze pana Welhama, o to, iż oszukuje. Następnego dnia został znaleziony zasztyletowany w swoim apartamencie.

Jeśli wierzyć Lazonby'emu, zabójcą był nie kto inny jak sir Wilfred. Zapłacono mu ogromną sumę za pozbycie się Lazonby'ego, który wygrywał przy karcianym stoliku tyle pieniędzy, że pewnym ludziom trudno się było z tym pogodzić.

Historia była na tyle wiarygodna, by zachwiać przekonaniem Napiera.

– Jeśli pan pamięta – wtrącił – mieliśmy wtedy świadka, portiera z Albany, który zidentyfikował Lazonby'ego jako zabójcę.

– Świadek, tak... – Sir George spojrzał na podwładnego ponad porysowanym blatem drewnianego stolika. – Ten, który odwołał zeznanie na łożu śmierci. Lazonby od początku twierdził, że został przez kogoś przekupiony. I myślę, że obaj wiemy, kim była ta osoba.

– Sir Wilfred, któż by inny. – Napier chrząknął głośno. Czuł się tak, jakby próbowano coś mu odebrać – jego uczciwość zapewne. – Cóż – dodał na koniec – poprosimy naszych przyjaciół zza wielkiej wody, by rozejrzeli się za panem Coldwaterem. Uspokoiłem też biedną lady Leeton, jak tylko umiałem. Myślę, że nadal nie zdaje sobie sprawy z perfidii męża.

– Z pewnością nie jest w tym odosobniona.

– W rzeczy samej. Zatem... czego pan ode mnie oczekuje?

Wiedzieli obaj, że to pytanie retoryczne. Sprawa zabójstwa syna księcia była tak stara, że dokumenty zdążyły już prawdopodobnie zapleśnieć. Jeden człowiek zadźgany, drugi zginął z własnej ręki, a wszystko z powodu gry, która poszła nie tak jak powinna. A teraz, lata później, sir Wilfred przyznał się prawdopodobnie do zabójstwa i został przypadkowo zastrzelony.

Zaiste bardzo dogodny przypadek.

Tak czy inaczej, nic więcej nie dało się zrobić. Wszyscy poza Lazonbym i, jak się okazało, nieznośną córką sir Arthura zmarli albo zniknęli. A Lazonby sprytnie uniemożliwił mu prowadzenie śledztwa, jak robił to od lat.

Choć prawdę mówiąc, czy Korona pozostawiła mu jakiś wybór?

Och, winny czy nie, Napier i tak nie znosił Lazonby'ego. Jednak przyznanie, nawet przed sobą samym, że mógł aż tak się pomylić, nie było przyjemne.

Cóż, nie mylił się jednak całkowicie.

Podobnie jak jego ojciec. W młodości Lazonby był graczem najgorszego rodzaju. Co najmniej kilka osób wierzyło, iż dostał to, na co zasłużył.

– A ten świadek, ta Elizabeth Ashton – kontynuował sir George. – Wyjechała do Ameryki i przybrała nazwisko ciotki, czy tak?

– Wygląda na to, że siostra sir Arthura poślubiła pana Ashtona, właściciela kiepsko prosperującej gazety, chyba „Boston Examiner", a ponieważ nie mieli dzieci, przyjęli do siebie Elizabeth.

Celowo nie wspomniał o podejrzanej inklinacji damy do zmiany nazwiska, ilekroć było to dla niej wygodne. Jak dotąd, doliczył się trzech, a nadal szukał.

– Mam nadzieję, że nie jest, jak jej brat, mąciwodą – powiedział sir George. – A skąd się ten Coldwater w ogóle wziął? Sądziłem, że sir Arthur miał tylko córki.

Napier uniósł jedno ramię i wygłosił kolejną półprawdę.

– Lazonby przypuszcza, że jest bękartem, spłodzonym z aktorką, której nazwiska nikt już nie pamięta – wyjaśnił. – Panna Ashton twierdzi, że sir Arthur przyznał się do niego przed najbliższą rodziną. Powiada, że stracili na jakiś czas kontakt, a potem pojawił się nagle w Bostonie i zaczął pracować w gazecie Ashtona.

Twierdzi. Powiada. Przypuszcza.

Chryste, zniżył się już niemal do poziomu Lazonby'ego! Nic tylko wykręty!

– Nieprawy syn – wymamrotał sir George. – Nie mogę powiedzieć, by mnie to zaskoczyło. Poznałem kiedyś sir Arthura. Czarujący szelma, zawsze na granicy bankructwa. Jaka jest ta córka?

Napier nie miał ochoty odpowiadać. Prawdę mówiąc, starał się nie pamiętać, choć jego praca polegała przecież na tym, by zapamiętać jak najwięcej. Lecz dama była tajemnicą spowitą w zagadkę. Niestety, Napier uwielbiał zagadki. I tajemnice.

Może to właśnie owa dwoistość – inteligentne, niemal bezlitosne spojrzenie i uparty zarys ust, skontrastowany z przejrzystą cerą i uderzającym do głowy zapachem perfum – budziła w nim ciekawość. Lecz także podejrzliwość.

Jaka była? Pierwszym określeniem, które przyszło mu na myśl, było eteryczna. Jednak *eteryczna* kojarzyło się z *nieziemsko*, w Elizabeth Ashton nie było zaś nic anielskiego.

– Jest damą – przyznał niechętnie – dosyć wysoką i o uderzającej powierzchowności.

– Uderzającej? – Sir George przechylił w bok głowę. – W jakim sensie?

Napier potrząsnął głową sfrustrowany.

– Ma oczy w niezwykłym odcieniu zieleni – powiedział. – A może błękitu...? Jak... kot. A jej twarz jest niemal przejrzysta, jak u postaci z portretu Romneya. Włosy ma zaś całkiem...

Zamilkł, gdyż uświadomił sobie, że nie jest pewny, jakiego koloru dziewczyna ma włosy.

– Całkiem...? – powtórzył sir George zniecierpliwiony.

– ...ładne – dokończył niezręcznie.

Sir George uniósł brwi.

– Do licha, Royden. Zabrzmiało to tak, jakbyś był w niej zadurzony.

Napier otworzył usta, gotów odpalić coś niegrzecznie, przypomniał sobie jednak, z kim rozmawia i zrezygnował.

– Nic podobnego, *sir* – wykrztusił w końcu. – Mam ją po prostu na oku, to wszystko.

– Tak? – spytał sir George z nadzieją. – A w jakim celu?

Napier wzruszył ramionami.

– W żadnym, jeśli mam być szczery. Tej sprawy nie da się prawdopodobnie rozwikłać. I myślę, że obaj o tym wiemy.

Sir George westchnął głęboko.

– Musimy jednak sprawiać wrażenie, że traktujemy ją niezwykle poważnie – powiedział. – Zrób... coś, Royden.

– Na przykład?

Sir George uśmiechnął się blado.

– Przesłuchaj ją ponownie – odparł. – Zajmij się tym osobiście, postępuj jednak delikatnie. Przynajmniej ludzie zobaczą, że dobijamy się do drzwi damy.

– Mieszka w Hackney – stwierdził Napier chłodno. – Nikt tam mnie nie rozpozna.

Dziewczyna wróciła z dwoma kuflami i postawiła je z rozmachem na stole. W dźwięku, jaki się przy tym rozległ, była jakaś ostateczność.

– Zatem podsumujmy. – Sir George wyrzucił w powietrze dłonie. – Sir Wilfred był winny. Lord Lazonby przeciwnie, policja

została upokorzona, Jack Coldwater uciekł i raczej nie uda się go dopaść. Czy tak wygląda sytuacja?

Napier nie mógł się zmusić, by odpowiedzieć. Gwar w pubie jeszcze się wzmógł, nie na tyle jednak, aby zagłuszyć w nim poczucie winy.

W końcu sir George uśmiechnął się słabo.

– Cóż, ty w niczym nie zawiniłeś.

– To zdarzyło się podczas mojej służby – odparł Napier. – I mojego ojca.

– Ach tak. Twój ojciec. To następna sprawa, o której chciałbym z tobą pomówić. – Widać było, że czuje się niezręcznie. – Otrzymałem kolejny list od twego dziadka, lorda Duncastera.

Napier zesztywniał. Jego dziadek ze strony ojca, Henry Tarleton, szósty lord Duncaster, był zgorzkniałym starcem, który dawno zerwał wszelkie stosunki z ojcem Napiera. Napier nie widział lorda aż do ostatniej jesieni, kiedy to sir George wysłał go do rodzinnych włości w Wiltshire, aby zbadał sprawę tajemniczego listu.

– Znowu coś knuje, czy tak? – burknął Napier.

Sir George machnął dłonią, jakby nie miało to znaczenia.

– Powołuje się na przyjaźń pomiędzy naszymi rodzinami. Jak wiesz, jestem teraz w policji jedyną osobą, która wie o powiązaniach rodzinnych twego ojca.

– Mój ojciec właśnie tego sobie życzył – stwierdził Napier sztywno.

Sir George położył dłonie płasko na blacie i chrząknął.

– Duncaster potwierdza, że jesteś jego dziedzicem – powiedział po chwili. – Lord Saint-Bryce, starszy brat twojego ojca, zmarł

przed dwoma miesiącami, niech Bóg ma go w opiece. Zostałeś więc tylko ty. I, mówiąc wprost, Duncaster życzy sobie, byś wrócił do domu.

Napier zesztywniał jeszcze bardziej.

– Jedyny dom, jaki znam, znajduje się w Londynie, *sir* – odparł.

– A dlaczego tak jest? – spytał sir George spokojnie. – Interesowałem się twoim ojcem. Nie dlatego że byliśmy zaprzyjaźnieni, bo nie byliśmy. Nikt nie był z nim zaprzyjaźniony. Już on o to zadbał. Jednak wieloletnia przyjaźń pomiędzy rodzinami... Ach, tego nie był w stanie zmienić. Nicholas mógł przyjąć inne nazwisko: Napier. Ale krew Tarletonów? Och, krwi nie da się zmienić, choćby się nie wiem jak chciało.

– Nigdy się nad tym zbytnio nie zastanawiałem – powiedział Napier.

– Myślę, że jednak o tym myślałeś – odparł sir George łagodnie. – W końcu pojechałeś w zeszłym roku do domu na życzenie lorda Hepplewooda.

– Pojechałem do Wiltshire dwukrotnie – sprostował Napier. – Raz, by zbadać sprawę dziwnego, pozbawionego sensu listu, przysłanego do pana, nie do mnie. I tak, wybrałem się po kilku tygodniach na jego pogrzeb. Ja... nadal nie bardzo wiem, dlaczego to zrobiłem.

Twarz sir George'a ściągnęła się.

– Marnujesz się tu, w Londynie, Royden – powiedział. – Teraz masz przed sobą wyższy cel.

– Jak może pan tak mówić? – Napier odsunął gwałtownie krzesło. – Na Boga, poświęciłem życie temu departamentowi

i miastu. Jaki cel może być ważniejszy niż odkrywanie prawdy i wymierzanie sprawiedliwości?

Pytanie zabrzmiało jednak głucho, nawet w jego uszach. Odkąd pamiętał, starał się podążać śladem ojca. A teraz... teraz nie wiedział już nawet, czym jest prawda. Lub sprawiedliwość.

Co gorsza, zaczynał się zastanawiać, czy znał w ogóle swego ojca.

Zawsze sądził, iż przyjęcie czegokolwiek, co mógłby mu zaoferować lord Duncaster, byłoby odrzuceniem wszystkiego, co poświęcił ojciec, zostawiając rodzinę i zmieniając nazwisko. Czy to, iż żyje się na własny rachunek, nie powinno budzić szacunku? Albo odnosi sukces bez wsparcia bogatej i wpływowej rodziny?

Ale co dokładnie poświęcił Nicholas Napier?

Z pewnością nie honor? Nie chodziło jedynie o to, aby ukarać lorda Duncastera po tym, jak się pokłócili? Czy ktoś mógł być tak dumny – tak ogarnięty żądzą zemsty – aby poświęcić zasady dla pieniędzy? Przyjąć łapówkę i skazać niewinnego człowieka?

Z pewnością nie było to możliwe.

– Nie powinienem był powiedzieć: wyższy cel – poprawił się sir George, wyrywając Napiera z zamyślenia. – Raczej: nieoczekiwany zwrot. Lord Hepplewood był najlepszym przyjacielem Duncastera. A teraz po ledwie trzech miesiącach Duncaster stracił też ostatniego z trzech synów. Przeżyć własne dziecko... Dobry Boże! Nie jestem w stanie wyobrazić sobie takiej rozpaczy. A twój dziadek stracił wszystkich synów.

Napier spochmurniał.

– Ma owdowiałą siostrę, lady Hepplewood, która szczęśliwie umościła się tuż pod jego nosem – zauważył. – Nie żeby dama choć

raz obdarzyła moją gałąź rodziny dobrym słowem.

Sir George rozłożył wymownie dłonie. – Cóż, jak powiedziałem, nie znałem dobrze twojego ojca.

– Nie, nie znał go pan – przytaknął Napier. Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzył.

– Głównie dlatego – kontynuował tymczasem sir George – że Nicholas był człowiekiem zamkniętym w sobie, bezlitośnie skutecznym w pracy. Nie chciał nic od rodziny. Ale czy naprawdę jego ojciec był aż takim potworem, jakim go malował? A jeśli tak, czy nie jest możliwe, aby złagodniał z wiekiem?

– Złagodniał z wiekiem? – powtórzył za nim Napier. – Duncaster to nie butelka brandy. Poza tym musi być już jedną nogą w grobie.

Sir George pochylił się nad stołem.

– Tym bardziej powinieneś jechać – powiedział spokojnie. – Może twój dziadek chce się pogodzić? Musi być blisko osiemdziesiątki, Roydenie. Jesteś jego jedynym wnukiem. Dziedzicem. I kimś... kimś, kto musi dopilnować biegu spraw.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego to mam być ja.

Wiedział już jednak od jakiegoś czasu, że nie ma nikogo innego.

Jak mógł sobie w ogóle wyobrażać, iż zdoła tego uniknąć?

Wszyscy trzej synowie Duncastera nie żyli. Najstarszy nie zostawił potomstwa. A teraz średni syn, który spłodził jedynie córki, odszedł do lepszego świata na kilka tygodni przed tym, zanim ponownie się ożenił i być może spłodził dziedzica, który mógłby na dobre odciąć wstydliwą gałąź rodziny od pnia familijnego drzewa.

Napier życzył mu powodzenia. Prawdę mówiąc, już czuł się odcięty.

Lecz wuj, lord Saint-Bryce, był mężczyzną po pięćdziesiątce i oszałamiająca perspektywa poślubienia pięknej kobiety, o połowę od niego młodszej, najwidoczniej okazała się dla jego serca zbyt dużym obciążeniem. Albo to, albo też odszedł, by uciec przed ciągłym nagabywaniem ze strony lady Hepplewood. Z tego, co udało mu się zaobserwować, stara smoczyca deptała nieustająco bratankowi po piętach, zdecydowana ponownie go ożenić.

Wspomniał napisaną dziwnie nieskładnym językiem prośbę, jaką Hepplewood przysłał sir George'owi przed kilkoma miesiącami. Niejasne uwagi sugerowały, że któryś z licznych krewnych źle mu życzy. Zatem Napier pojechał, na wyraźne życzenie sir George'a, do Wiltshire, by sprawdzić, co się tam dzieje.

Tylko że nie działo się nic nadzwyczajnego. Ani podejrzanego. Hepplewood zachowywał się, jakby tracił zmysły i przez cały pobyt Napiera w rezydencji nic się w tym względzie nie zmieniło. Zaczynał po prostu cierpieć z powodu rodzinnej klątwy, jak ujęła to lady Hepplewood, mając na myśli starcze otępienie.

Kolejna zagadka rozwiązana.

Napier potrząsnął głową. Nie potrzebował kolejnej.

Sir George wyjął list i popchnął go ku niemu po stole.

– Obiecałem Duncasterowi, że cię poproszę – powiedział. – I właśnie to robię. To znaczy, proszę. Jedź i go uspokój. Dopilnuję, by ktoś tu przejął twoje obowiązki, póki się nie zdecydujesz.

– Nie zdecyduję? – Napier spojrzał na sir George'a z niedowierzaniem. – Na co?

– Żeby tu zostać i zmarnować swoją krew i swoje talenty – odparł sir George – albo pojechać do domu i przejąć obowiązki jako dziedzic lorda Duncastera.

– Dziedzic! – Napier niemal wypluł to słowo. – Jestem synem urzędnika!

– Nonsens – napomniał go sir George. – Posiadasz maniery, wykształcenie i wszystkie inne cechy potrzebne dżentelmenowi. W rzeczy samej, urodziłeś się jako dżentelmen.

Napier potrząsnął znów głową. Zacisnął wargi.

– To stary człowiek, Roydenie, zapewne kruchy i bliski śmierci. Nie chciałbyś usłyszeć, co ma ci do powiedzenia?

Nie, do licha, nie chciał.

Przynajmniej tak było do niedawna.

Póki Lazonby nie okrył mrokiem niepewności jego życia, wygłaszając to, co Napier rozpaczliwie pragnął uważać za kłamstwa na temat jego ojca. Teraz zaczynał jednak kwestionować wszystko, w co dotąd niezachwianie wierzył: że jego ojciec był stoickim bohaterem, niezmordowanym krzyżowcem, walczącym o zwycięstwo dobra nad złem, zaś dziadek bogatym, upartym despotą, otoczonym przez pochlebców oraz nadętych, pasożytujących na nim krewnych.

Jak we wszystkim, tak i tu prawda leżała zapewne pośrodku.

Westchnął.

– Proszę dać mi ten list – powiedział, wyciągając dłoń.

Sir George przesunął złożoną kartkę o kolejny cal, a potem się zawahał.

– Jest jeszcze coś.

– Tak, z tymi ludźmi zawsze coś jest. – Napier odchylił się na krześle. – Proszę mówić. O co chodzi?

– Lady Hepplewood, twoja stryjeczna babka... – Sir George wydawał się teraz zdecydowanie zakłopotany. – Ma towarzyszkę, a raczej... swego rodzaju podopieczną.

– Niedoszłą żonę Saint-Bryce'a? – Napier spojrzał na niego zaskoczony. – To jakaś powinowata. Kuzynka Hepplewooda, jak sądzę.

Sir George odwrócił wzrok. Zdecydowanie zły znak.

– Cóż, lady Hepplewood powiedziała Duncasterowi, że dziewczynie dano do zrozumienia, iż zostanie następną baronową Saint-Bryce.

– Cóż, skoro Saint-Bryce nie żyje, będą z tym pewne trudności – zauważył Napier ironicznie. – Życzę jednak Lady Hepplewood sukcesu.

– Z pewnością ucieszy się, gdy to usłyszy. Ponieważ, Roydenie... cóż, ty jesteś następnym Saint-Bryce'em.

– W żadnym razie.

– Technicznie rzecz biorąc, jesteś.

– Nie – odparował Napier. – Technicznie rzecz biorąc, jestem komisarzem Policji Metropolitalnej – chyba że chce pan zwolnić mnie z powodu tego fiaska z Coldwaterem.

– Lecz baron Saint-Bryce to drugi tytuł lorda Duncastera – wytknął mu sir George. – Grzecznościowy, i posługuje się nim zgodnie z tradycją dziedzic.

– Gdyby mi go zaoferowano – wycedził Napier przez zaciśnięte zęby – natychmiast bym odmówił.

Sir George uniósł ramiona w geście bezradności.

– Obawiam się, że lady Hepplewood już tak się o tobie wyraża.

– Dobry Boże!

– Och, wątpię, aby twój dziadek popierał małżeńskie intrygi młodszej siostry – zapewnił sir George pocieszającym tonem. – W końcu jest od niej o wiele starszy i jest mężczyzną, Roydenie. Z pewnością poczuje się usatysfakcjonowany, jeśli postawisz choć stopę na progu.

– Obawiam się, że oboje doznają rozczarowania – odparł Napier chłodno. – Co więcej, ich nie sposób zadowolić. Zaobserwowałem przynajmniej tyle.

– Lecz lady Hepplewood... – Sir George pochylił się ku Napierowi. – Cóż, chłopcze, spędziłeś kilka dni pod jednym dachem z tą damą. Czy ona cię nie onieśmiela? Mnie wydawała się zawsze przerażająca.

Napier wzruszył ramionami.

– Ledwie zaszczyciła mnie spojrzeniem – odparł szczerze.

Sir George się odsunął.

– Cóż, teraz będzie musiała poświęcić ci zdecydowanie więcej uwagi – ostrzegł go. – Znam ją od lat i doradzam usilnie...

– Co mianowicie?

– Żebyś się przygotował – odparł. – Może... może nie powinieneś jechać sam?

– Jakie to uprzejme z pańskiej strony, *sir* – oznajmił Napier kwaśno – że chce pan towarzyszyć mi podczas długiej podróży do Wiltshire.

Sir George zbladł.

– Nie, nie, miałem na myśli...

– Tak...?

– Cóż, widziałem cię ostatnio w operze z uderzająco piękną wdową u boku.

Napier mógł tylko wpatrywać się w sir George'a gniewnie.

– Ma pan na myśli lady Anishę Stafford?

– W rzeczy samej. Wydaje się zarówno pełna wdzięku, jak i opanowana. – Niepewny uśmiech powrócił. – Jej zmarły mąż był jednym ze Staffordów z Dorset. Na pewno szkockie korzenie tej rodziny są zarówno stare, jak i szlachetne.

Usilnie stara się nie wspomnieć o matce Anishy, radźpuckiej księżniczce, zauważył Napier. Ale nie miało to znaczenia.

– Co właściwie chciał pan zasugerować?

– Nic – odparł sir George. – Dano mi jednak do zrozumienia, że lubicie swoje towarzystwo. Jadłeś ostatnio u niej kolację, a ona odwiedziła cię w biurze. Pomyślałem więc, że jeśli jest w tym coś więcej, byłaby to odpowiednia pora, aby oznajmić...

– Nic więcej w tym nie ma – zaprotestował burkliwie Napier. – To jedynie przyjaźń, niezbyt serdeczna w dodatku. Co zaś się tyczy uczuć lady Anishy, to ulokowała je gdzie indziej.

– Och. – Sir George posmutniał i wydał się Napierowi nagle bardzo znużony. – To niefortunne.

Nie sądziłby tak, pomyślał Napier, gdyby wiedział, że dama zamieszana jest w morderstwo. Poczuł przypływ poczucia winy z powodu tego, iż użył swoich wpływów, aby wykreślić jej nazwisko z listy świadków. Nie wątpił, że groźba Lazonby'ego była realna: łajdak zmieszałby z błotem nazwisko Napier na zawsze i zniszczył dziedzictwo ojca Roydena.

Nie był to jednak czynnik decydujący. I tak nie chciał mieszać Anishy w tę ponurą sprawę. Och, nie uważał jej już za kogoś więcej niż tylko drogą przyjaciółkę. Całą jego uwagę pochłaniała ta przeklęta sprawa.

I dama w szarej sukni.

Dobry Boże! Odsunął pospiesznie myśl o Elizabeth Ashton.

Mimo to nawet tutaj czuł na sobie spojrzenie jej chłodnych oczu. Ciepło dłoni, kiedy pomagał jej usiąść na ławce. Była tak różna od Anishy, jak księżyc różni się od słońca.

– Cóż, trudno – westchnął sir George. – Byłoby idealnie, gdybyś mógł przedstawić dziadkowi przyszłą żonę.

– Żonę? – odpalił Napier. – Ledwie mam czas zjeść śniadanie, a co dopiero starać się o żonę!

– Cóż, obawiam się, że nic innego nie skłoni lady Hepplewood, by porzuciła swoje plany matrymonialne.

– Jej plany to już nie moja sprawa – odparł Napier.

– Hm... – Sir George nadal wydawał się zmartwiony. – Przekonamy się.

Jednak rozmowa o zamysłach lady Hepplewood utwierdziła tylko Napiera w postanowieniu. – Nie, nie przekonamy. Nie mam czasu, żeby jechać do Wiltshire zabiegać o względy staruszka i znosić jego humory.

Wyraz irytacji przemknął przez twarz sir George'a.

– Royden, na miłość boską, bądźże rozsądny – wysyczał ponad panującym w sali gwarem. – Duncaster kiedyś umrze, i co wtedy? Myślisz, że komisarz Mayne zatrzyma cię w Scotland Yardzie choćby przez jeden dzień? Że zechce cię zatrzymać? A ja nie będę

mógł go zmusić, uwierz mi. Nie rezygnuje się tak po prostu z tytułu i włości. Trzeba wypełnić obowiązek względem Korony.

– Nie prosiłem o to – mruknął Napier. – Boże, nawet o tym nie śniłem!

– Nikt inny także – stwierdził sir George ponuro. – Jednak lepiej jedź teraz, dogadaj się jakoś z Duncasterem i dowiedz, co i jak. Bo jeśli będziesz czekał, aż dziadek umrze, wszyscy uznają cię potem za neofitę, którego można łatwo oszukać. Wszyscy, to oznaczy: służba, zarządcy i ta gromada zalotnych córek. Będziesz kompletnym ignorantem, na dodatek znienawidzonym.

Napier wzruszył ramionami.

– Już i tak postrzegają mnie jako rzep pod siodłem.

Sir George uśmiechnął się kątem ust i popchnął ku niemu list.

– Zatem to dla ciebie nic nowego. Poczujesz się jak każdego dnia w biurze, czyż nie?

* * *

Deszczowe chmury, które zawisły nad Hackney rankiem, najwidoczniej rozgościły się na dobre. Wczesnym popołudniem ruch na ulicy przed schludnym domkiem Elizabeth ograniczał się już do pojedynczych powozów i furmanek z okrytym derką woźnicą, skulonym i wyglądającym jak zmokły szczur.

Uniosła czubkiem palca firankę i wyjrzała po raz kolejny na tonący w wilgoci ogród. W rynsztokach nadal bulgotała woda, a krople deszczu odbijały się od wyłożonej kamiennymi płytami ścieżki niczym zesłany z niebios żwir wielkości grochu. Elizabeth zadrżała na samą myśl o opuszczeniu przytulnego wnętrza. A jednak odczuwała przemożną pokusę, by zrobić właśnie to.

Uciec. Zniknąć.

Rzucić się na oślep w coś, cokolwiek, co mogłoby zabrać ją z tego miejsca.

Albo, być może, od siebie.

Stłumiła chęć wykręcania dłoni i zacisnęła jedną na skraju szala. Dokądkolwiek chciałaby się udać i tak nie może zrobić tego natychmiast. Sprowadzenie rodzinnego prawnika i uporządkowanie spraw zajęło kilka dobrych dni. Uznała jednak, że ma jeszcze trochę czasu. Nauczyła się kalkulować ryzyko i brać pod uwagę okoliczności.

Opuściła zasłonę i odwróciła się od okna. Zastanawiała, czy nie wezwać służącej i nie polecić, by rozpaliła w kominku. Obawiała się jednak, iż chłodu, jaki odczuwa, nie przepędzi żaden ogień. Był to chłód duszy – i sama była sobie winna.

Starszy dżentelmen, sporządzający pracowicie jakiś dokument w głębi pokoju wyprostował się i zanurzył pióro w kałamarzu. Skrzyp krzesła przywołał Elizabeth do rzeczywistości. Pan Bodkins wrócił do swego zajęcia, poświęcając mu całą uwagę. Jakby nie zauważył, że klientka nadal jest w pokoju.

Nagle usłyszała lekkie, szybkie kroki dobiegające od strony schodów. Jej pokojówka, Fanny, wychyliła się zza poręczy, trzymając w dłoniach wielką walizę z wikliny.

– Przepraszam, panno Lisette, czy to będzie dobre na kapelusze? – spytała. – A może wolałaby pani pudła?

Elizabeth zamrugała, próbując skupić się na bieżących sprawach; z dala od bladego ciała sir Wilfreda, wszystkowiedzącego spojrzenia Lazonby'ego i czarnych, zimnych

oczu Roydena Napiera. Cała trójka zaczęła nawiedzać ostatnio jej sny.

– Chyba waliza będzie lepsza – odparła bez przekonania.

– I... rzeczy pana Coldwatera zostały posortowane. – Twarz dziewczyny przybrała wyraz współczucia. – Mam pochować je do kufrów?

Elizabeth ścisnęła mocniej skraj szala.

– Nie będziemy miały na nie miejsca – powiedziała po chwili. – Zabierz wszystko do St. John's. Damy z komitetu parafialnego będą wiedziały, jak to spożytkować.

Fanny zerknęła szacująco na gościa.

– Stare kocice będą mnie wypytywały – ostrzegła.

– Zostaw rzeczy w zakrystii – poradziła Elizabeth obojętnie. – A jeśli ktoś spyta, dlaczego to robisz, zachowuj się, jakbyś kompletnie ogłuchła.

Usłyszawszy to, Bodkins zatrzasnął wieko kasetki z przyborami do pisania wykonanej z drewna różanego i wstał od stołu z grymasem zmartwienia na czole. Elizabeth uświadomiła sobie, że wyraz ów zawsze gościł na jego twarzy, i to już od dwudziestu lat.

– Skończyłem, Lisette – powiedział, skłoniwszy się niezdarnie. – Możesz podpisać?

Podeszła do stołu, naskrobała pospiesznie podpis, a wtedy zebrał papiery w stos i go wyrównał.

– Doskonale – powiedział i odłożył pióro. – Wszystko zostało podpisane i twoje rachunki uporządkowane. A teraz, co się tyczy dzierżawy tego domu...

– Dziękuję, Bodkins – uprzedziła go Elizabeth – lecz jestem zdecydowana opuścić Hackney.

Mars na czole Bodkinsa pogłębił się, gdy utkwił w niej wzrok ponad srebrną oprawką okularów.

– Lecz dokąd się udasz, jeśli wolno spytać? Mocno się natrudziłem, żeby wynająć ten dom, i to dlatego że nalegałaś. Co więcej, Hackney to cicha, spokojna wioska i stać cię na to, by żyć tu wygodnie.

– Dziękuję – powtórzyła. – Mimo to nalegam.

Bodkins potrząsnął głową.

– Ale dokąd zamierzasz się udać? – naciskał. – I kiedy?

– Pojutrze – odparła zdecydowanie. – Co zaś się tyczy miejsca... – Tym razem to na jej czole ukazała się zmarszczka. – Gdzie znajduje się ten stary dwór, o którym wspomniałeś?

– Ten, który odziedziczyłaś przed dziesięcioma laty?

– A jest jakiś inny? – spytała cokolwiek zgryźliwie. – Na Boga, gdyby było ich więcej, papa mógłby sprzedać jeden i spłacić długi, zamiast wsuwać sobie do nosa lufę pistoletu.

Bodkins zbladł.

– Postępki twego ojca to nie temat do żartów, Lisette. A już na pewno nie jego śmierć.

Otwarła szerzej oczy.

– Rzeczywiście – przyznała cokolwiek chrapliwie. – Zwłaszcza dla mnie. Ponieważ to ja go znalazłam i ja musiałam umyć później podłogę, jako że Elinor nie była w stanie tego zrobić, a służba... służący po prostu by odmówili. Nie płacono im, a ponieważ uznali, iż nie ma nadziei, że to się kiedykolwiek zmieni, odeszli. Wszyscy, poza Nanną.

– Och. – Twarz Bodkinsa jakby się zapadła. – Obawiam się, że bardzo zgorzkniałaś, moja droga.

– A pan zrobił się przebiegły – odparła – choć jestem pewna, że ma pan dobre intencje.

– Lecz ty naprawdę stałaś się cyniczna, Lisette, i to łamie mi serce. – Wpatrywał się w nią przez chwilę, a ponieważ nie zanosiło się, by powiedziała coś jeszcze, kontynuował: – Tak czy inaczej, odziedziczyłaś ten dwór po babce, ponieważ twoja matka i siostra umarły przed tobą. Jak wyjaśniłem twojej ciotce, pani Ashton, było to jedyny spadek, którego dziadek ze strony matki nie mógł kontrolować, ponieważ takie poczyniono ustalenia, gdy babka wychodziła za niego za mąż...

– Tak, dziękuję – wtrąciła. – Rozumiem. Ale pan... czy mam rozumieć, że napisał pan do Ameryki i powiadomił ciotkę o spadku?

Bodkins spojrzał na nią zmieszany.

– Cóż, gdybym tego nie zrobił, nie wywiązałbym się z obowiązków względem rodziny twojej zmarłej matki, Lisette – odparł. – Aż do dzisiejszego poranka myślałem, że o tym wiedziałaś.

Elizabeth spojrzała na niego z obojętną miną.

– I co ciotka odpowiedziała?

– Że powinienem go sprzedać – odparł kwaśno – i wysłać ci pieniądze, a właściwie, panu Ashtonowi, do Bostonu. Odmówiłem sprzedaży, póki nie osiągniesz pełnoletności i nie polecisz mi tego osobiście. Więcej nie było o tym mowy, więc dwór był wynajmowany, a czynsz, jakkolwiek żałośnie niski, odkładany.

Elizabeth machnęła ręką, jakby nie miało to znaczenia, w rzeczywistości była jednak panu Bodkinsowi głęboko wdzięczna.

– Dziękuję – powiedziała znacznie łagodniej. – Dziękuję, że się pan mną opiekował, panie Bodkins. Był pan w Anglii moim jedynym przyjacielem. A teraz proszę powiedzieć: gdzie leży ten dwór?

– Cóż, w Caithness.

– Caithness? – Zmarszczyła brwi. – Czyli gdzie?

– W Szkocji, panienko.

– Ach, daleko od Londynu – wymamrotała. – Znakomicie.

– W północnej Szkocji, moja droga – uzupełnił Bodkins, teraz już nie na żarty zaalarmowany. – Na samym jej krańcu.

– Proszę nie mieć takiej miny! – Elizabeth zmusiła się, by się uśmiechnąć. – Chyba nie może tam być aż tak strasznie.

– Drogie dziecko, tam nie ma nawet dróg!

– Och, Bodkins, to po prostu śmieszne! Dziś drogi są wszędzie, tak jak pociągi. No, prawie wszędzie.

– Droga Lisette, przebywałaś chyba zbyt długo w koloniach.

– W Stanach Zjednoczonych, Bodkins – przypomniała mu chłodno. – Nie są kolonią już od dziesięcioleci. I nie mają tam wszędzie dróg. Przeciwnie, większa część Stanów to piekło pozbawione cywilizacji. Lecz Szkocja... Cóż, nadal jest częścią Brytanii, chyba że odkąd opuściłam salę szkolną, wiele się zmieniło.

– Tak, tak, z pewnością – powiedział, zniecierpliwiony. – Lecz z Caithness widać praktycznie Orkady. I nie, nie mają tam dróg.

Lecz Elizabeth nie odpowiedziała, zamyślona. Północna Szkocja rzeczywiście wydawała się być ponurym miejscem. Lecz jaką miała alternatywę? Doprowadziła do tego, że nikt nie mógł jej teraz pomóc i musiała ratować się sama. Musi umknąć przed zemstą Lazonby'ego – na którą w pełni zasłużyła – i dalszym wypytywaniem Napiera.

Może zasłużyła też na to. Może powinna po prostu się poddać. Wyjaśnić wszystko. Lecz jak wyjaśnić coś, co samemu ledwie się rozumiało? Co jej się, na Boga, przydarzyło? Odwróciła głowę, walcząc z pokusą, by pofolgować łzom.

Czuła się tak, jakby jej serce było balonem, napełnionym ogrzanym powietrzem i uwolnionym. Przez jakiś czas szybował, unoszony żarem jej pragnienia zemsty, by opaść w końcu na ziemię ku rzeczywistości jej błędów.

A może i szaleństwa.

Może chłód wsączający się w każdy zakamarek jej duszy był właśnie tym – szaleństwem.

Och, musi od tego uciec!

– Ile czasu potrzeba, by się tam dostać, Bodkins?

– Tygodnie! – odparł z przekonaniem. – Jeśli w ogóle można dotrzeć tam stąd. Poważnie w to wątpię. Co więcej, dom pozostawał niezamieszkany od lat. Proszę sobie wyobrazić, jak musi wyglądać. No i ta pogoda! Doprawdy, moja droga, to nie wchodzi w grę.

– Ale, Bodkins...

– Jeśli moje rady wydają się zbyt nachalne – przerwał jej, unosząc palec – przypomnij sobie, proszę, że służyłem nimi szlachetnej i starej rodzinie lorda Rowenda przez cztery

dziesięciolecia, a także twojej matce, lady Mary Rowend, póki nie poślubiła twojego ojca.

Coś w Elizabeth pękło.

– Jesteś bardzo uprzejmy, Bodkins – powiedziała, zaciskając znów dłoń. – Ale gdzie była szlachetna troska lorda, kiedy zostałam w wieku dwunastu lat sierotą i naprawdę jej potrzebowałam?

Starszy dżentelmen cofnął się, jakby go spoliczkowano.

– Przepraszam bardzo.

Elizabeth łzy napłynęły znowu do oczu.

– Nie, to ja przepraszam – powiedziała znacznie łagodniej. – Ja... nie jestem dziś sobą. Zdaję sobie sprawę, że to nie pańska wina, iż spakowano mnie i sprzedano niczym belę wełny. Ani że moja siostra umarła pośrodku Atlantyku i została wyrzucona za burtę jak sztuka zbędnego bagażu.

– Lisette, moja droga! – Bodkins cofnął się o krok. – Rodzina lady Mary... Oni nie mieli po prostu środków, by przyjąć pod swój dach dwie hałaśliwe wnuczki. A rodzina twego ojca... Cóż, wydawali się zdeterminowani, żeby was wziąć. W rzeczy samej, błagali o to.

– Tak powiedział panu lord Rowend? – Podeszła do drzwi salonu, jakby chciała zachęcić starszego mężczyznę do wyjścia. – Że w jego wielkiej, wspaniałej posiadłości nie ma nawet izdebki, gdzie mogłyby schronić się osierocone wnuczki? Cóż, nie mogę podawać tego w wątpliwość.

Lecz Bodkins nie ruszył się od stołu. Jego obwisłe policzki drżały, gdy mówił:

– To przez tego Coldwatera. Wplątał cię w skandal ze strzelaniną! I tak, to prawda, że lord Rowend nie lubił twojego ojca i nie chciał, by mu o nim przypominano, ale...

– A my nie byłyśmy niczym więcej jak tylko przypomnieniem? – wtrąciła. – Elinor i ja?

Starszy człowiek wyprostował się oburzony.

– Może nie należało was odsyłać – przyznał – ale nie można było nie współczuć twojemu dziadkowi. Biedna lady Mary została uwiedziona przez sir Arthura, a jej fortuna stopniała jak śniegi na wiosnę. Lord Rowend tak bardzo to przeżył, że nie chciał mieć do czynienia z krewnymi zięcia.

Elizabeth była zbyt wyczerpana emocjonalnie, by zastanawiać się nad definicją słowa „uwiedziona".

– Ojciec był rzeczywiście czarujący – przyznała. – I lubili oboje ładne rzeczy. Lecz zawsze wyrażał się o mamie tak, jakby była miłością jego życia.

Wiedziała też jednak, że rodzice żyli ponad stan. Co zaś się tyczy wielkiej miłości – w życiu jej ojca było ich mnóstwo, zarówno przed ślubem, jak po nim. A może nawet pomiędzy. Wolałaby, żeby było inaczej, lecz Bodkins miał rację. Jej starsze, mądrzejsze ja było zmęczone. Zgorzkniałe.

Co się zaś tyczy lady Mary, umarła tak wcześnie, że nie zdawała sobie zapewne sprawy, w jakiej biedzie przyjdzie żyć jej dzieciom. Elizabeth ledwie pamiętała matkę, ale jej starsza siostra Elinor zawsze przedstawiała związek rodziców jako cudowny romans.

Elinor była jednak podobna do ojca. Żywotna i ujmująca. Nastawiona optymistycznie do granic naiwności.

I, tak – piękna.

– Nie zdawał pan sobie sprawy, Bodkins – powiedziała zadziwiająco czystym głosem – że dziadek zapłacił ciotce i wujowi Ashtonom, żeby nas przygarnęli?

Bodkins spojrzał na nią z poczuciem winy.

– Była to decyzja, której chyba żałował – odparł. – W końcu zostawił ci niewielki fundusz i możesz teraz wynająć dom, prowadzić wygodne życie i sprawiać sobie ładne rzeczy. Czy to nic nie znaczy?

Wydawał się szczerze zraniony.

Elizabeth westchnęła. Czy cokolwiek z tego, co ją spotkało, było winą Bodkinsa?

– Och, proszę zrozumieć – powiedziała bardziej ugodowym tonem. – Nie mogę tu zostać. Po prostu nie mogę!

Obrzucił ją domyślnym spojrzeniem.

– Ten przeklęty Coldwater! – stwierdził ponuro. – Gdybym wiedział, że w ogóle istnieje, doradziłbym ci, żebyś się z nim nie zadawała. Nie należy przecież tak naprawdę do rodziny!

– Nie – odparła Elizabeth, niezdolna wytrzymać jego spojrzenie. – Chyba nie.

– Na pewno! – oznajmił z mocą. – A teraz zostałaś zmuszona, żeby opuścić dom, a wszystko z powodu skandalu, jaki wywołał. Wiem, że to dlatego chcesz wyjechać.

Jej dom.

Tak, jej. Chociaż przybyła tutaj sama i przejęta smutkiem, rzeczywiście, odnalazła w nim spokój. Uczucie przynależności do miejsca – pierwsze od śmierci ojca. Chociaż spędziła pod dachem ciotki tyle lat, nigdy nie czuła się tam jak w domu. Mrugając zawzięcie, rozejrzała się po obszernym salonie z ciemnymi

belkami stropowymi, bladożółtą tapetą w różyczki, delikatnym pianinem, na którym tak lubiła grać – kiedy już udawało jej się oderwać myśli od misji, jaką sobie wyznaczyła i nieco się odprężyć.

Misji zniszczenia Rance'a Welhama. Lorda Lazonby'ego.

Za to, że wprawił z egoistycznych pobudek w ruch machinę, która zniszczyła jej rodzinę.

Tylko że... on tego nie zrobił.

Dobry Boże! Lazonby nie zrujnował jej życia. Nie zadźgał biednego Percy'ego, bogatego narzeczonego Elinor – człowieka, który mógł uchronić ich przed bankructwem. Nie doprowadził jej ojca do samobójstwa. Ani nie spowodował, że Elinor umarła z rozpaczy i gorączki. Prawdopodobnie nie oszukiwał nawet w kartach.

Elizabeth wróciła do Londynu kierowana bezlitosnym pragnieniem zemsty – na niewłaściwym człowieku.

Na myśl o tym znów ogarnęło ją przerażenie, potrzeba ucieczki tak silna, że ledwie była w stanie oddychać.

Nie może zostać tutaj i czekać z założonymi rękami, aż Lazonby zacznie się mścić.

Przez ponad rok obsmarowywała go w gazetach i śledziła. Szpiegowała jego przyjaciół, przekupywała służbę i najwidoczniej skłoniła lady Anishę do zadawania niebezpiecznych pytań w desperackiej próbie udowodnienia, że ukochany jest niewinny.

Elizabeth zniżyła się nawet do tego, by grzebać w śmieciach Lazonby'ego w nadziei zalezienia czegoś – czegokolwiek – co mogłoby odesłać go z powrotem do więzienia.

Tylko tyle mogła zrobić. Nienawiść oraz zgorzknienie były jej jedynymi pocieszycielami podczas długich, samotnych lat w Bostonie. Palące pragnienie pomszczenia rodziny, którą straciła i odpłacenia Lazonby'emu za wszystko, co zostało jej odebrane. Tatuś. Elinor. Percy. Całe jej życie.

A teraz, niespodziewanie, to się skończyło.

Cel, dla którego żyła, przestał istnieć.

Nie, Lazonby jej tego nie daruje – niech tylko ma czas pomyśleć i oczyścić swoje imię. A gdyby nawet on jej wybaczył, czarnooki policjant o jastrzębim nosie z pewnością nie odpuści. Lazonby mógł sobie być roześmianym, beztroskim na pozór kozłem ofiarnym, lecz Napier to coś zupełnie innego.

Komisarz był bezlitosny – wyciekało to z niego wszystkimi porami. I zamierzał dopilnować, by ktoś zapłacił w końcu za śmierć sir Wilfreda.

Nagle poczuła się tak, jakby podłoga poruszyła się jej pod stopami.

– Lisette? – Bodkins wyciągnął ramię, próbując ją podtrzymać.

Przezwyciężyła zawrót głowy i odsunęła się.

– Nic mi nie jest, dziękuję.

Opuścił rękę.

– Cóż, przemyśl jeszcze decyzję o wyjeździe – powiedział łagodnie. – Jestem pewien, że skandal wkrótce ucichnie. Musisz unikać, oczywiście, lady Leeton. Jednak z pewnością w innej szkole powitają cię jako ochotniczkę z otwartymi ramionami.

Elizabeth uśmiechnęła się z przymusem.

– Dziękuję panu, Bodkins, lecz nie ma powodu martwić się o mnie. Zamierzam wyjechać od razu. Pani Fenwick zostanie

i zamknie dom.

Bodkins westchnął.

– Widzę, że nie dasz się przekonać – powiedział. – Błagam jednak, zrezygnuj ze Szkocji. Może... Paryż?

Elizabeth zawahała się.

– Nie wydaje się być wystarczająco daleko – powiedziała, myśląc o czarnych oczach Napiera i jego długich rękach.

Bodkins się uśmiechnął.

– Zatem południe Francji albo wybrzeże Włoch? – zasugerował. – Niewielki dom gdzieś przy Promenadzie Anglików, z widokiem na morze?

– Lecz nie kolejna dzierżawa – ostrzegła go. – Mam dosyć tułania się. Chcę... chcę mieć dom. Własny. Taki, z którego nie będzie można mnie wyrzucić... Albo odesłać z powodu czyjegoś kaprysu.

Staruszek westchnął.

– Daj mi kilka dni, Lisette – powiedział. – Zobaczę, co da się zrobić.

* * *

Pod koniec popołudnia wypełnionego zbyt wieloma spotkaniami i obciążonego wewnętrznym konfliktem, Royden Napier wrócił do domu przy Eaton Square, gdzie powitały go błogosławiony spokój i woń piekącego się drobiu dobiegająca z kuchni. Niezawodna pani Bourne, oczywiście. Jak w każdy pierwszy czwartek miesiąca, na obiad miało być dzikie ptactwo z tłuszczem z bekonu i purée z selera, ziemniaków i karczochów z masłem.

Zapach był nader kuszący, nawet przy braku apetytu.

W rzeczy samej, kierowane delikatną dłonią pani Bourne gospodarstwo funkcjonowało jak w zegarku. Niektórzy mogliby uznać tego rodzaju życie domowe za nudne i przewidywalne, jednak w pracy Napier wystarczająco często stykał się z chaosem oraz tragedią, by cenić spokój i porządek poza nią. Udawało mu się go osiągnąć, jeśli nie liczyć okazjonalnych zakłóceń, kiedy to w jego życiu pojawiała się kobieta.

Lady Anisha Stafford była taką kobietą – lub raczej – mogła nią być. Napier poznał damę przed kilkoma miesiącami i natychmiast przyciągnęło go ku niej wewnętrzne ciepło. A kiedy po jakimś czasie poprosiła, by mogła zapoznać się z zawartością teczki Lazonby'ego, wyraził zgodę, chociaż nie było to zbyt mądre. Tak, podobała mu się. I nie pozostawała obojętna na jego awanse. To się jednak szybko skończyło, i pewnie tak było lepiej. Stała w społecznej hierarchii o wiele wyżej od niego.

Ale czy na pewno?

Napier zaklął pod nosem i odłożył kapelusz, wracając myślami do niezręcznej rozmowy z sir George'em. Czy gdyby wyjawił, że jest wnukiem wicehrabiego Duncastera – i niespodziewanie, jego dziedzicem – lady Anisha spojrzałaby na niego przychylniej?

Z pewnością jej starszy brat, lord Ruthveyn, by spojrzał.

Jak dotąd, jeszcze jej nie powiedział. Nie oszukiwał się co do swoich motywów. Tak, chciał, aby pragnęła go dla niego samego, nie dla tytułu. Ale była też inna kwestia – otóż po części nie życzył sobie zostać oderwanym od pracy po to, by jak należy się zalecać.

Chociaż tym razem pokusa była silna. Kusiło go, aby poświęcić niezmącony spokój dla czegoś, co, jak czuł, byłoby chaosem.

Ociągał się zatem i dama zwróciła się ku Lazonby'emu.

Cóż, w poważnym wieku lat trzydziestu czterech Napier zdecydowany był pozostać kawalerem i niech diabli porwą ciotkę Hepplewood, chyba że jakaś pulchna, ładna wdówka zechce ogrzewać mu łóżko i skłoni go, by zrobił z siebie głupca. Ale i tak nie będzie to kobieta, którą wybierze mu lady Hepplewood, tego był absolutnie pewny. Gałąź rodziny z Wiltshire od dziesięcioleci nie dyktowała londyńskim Napierom, co mają robić. Niech go diabli, jeśli pozwoli, aby zaczęli wtrącać się teraz.

Wyjął z walizeczki dokumenty ze sprawy sir Wilfreda Leetona i ruszył korytarzem, z którego wchodziło się do frontowych saloników. W przypływie niespotykanie dla siebie refleksyjnego nastroju zatrzymał się i spojrzał nowymi oczami na wypolerowane drewniane podłogi, aksamitne wiltońskie dywany, odkurzone tak, że wyglądały jak nowe, połyskującą porcelanę i marmur z odrobiną złota, zdobiące całość.

Czy pragnął czegoś więcej?

Nie otaczał go luksus, lecz elegancja, właściwa wyższej klasie średniej. Mieszkał tu od dzieciństwa, ciesząc się bezpieczeństwem oraz pewnością, że jego potrzeby zostaną zaspokojone.

Tak, cokolwiek uczynił Nicholas Napier, jego synowi niczego nie brakowało. I, jak zauważył sir George, ukoronowaniem całego tego bezpieczeństwa i elegancji domu w Belgravii było wykształcenie godne dżentelmena. I to pomimo faktu, że Nicholas Napier nie był u progu kariery nikim więcej jak tylko niższym urzędnikiem ożenionym z córką pracującego dla rządu biurokraty.

Nagle zaczął się zastanawiać, jak ojciec mógł sobie na to pozwolić. Nie chodziło tylko o dom, ale o styl życia. O ile pamiętał,

matka ubierała się nie gorzej niż każda z dam. Jadali też dobrze i czasem przyjmowali nawet gości.

Jak? Skąd brały się na to pieniądze? W podświadomości zawsze zadawał sobie to pytanie.

Może nie musiał się już zastanawiać.

Zirytowany, rzucił dokumenty na blat, wszedł do salonu i nalał sobie solidną miarkę brandy, przeklinając pod nosem Lazonby'ego.

Coś takiego nie było po prostu możliwe. Nie będzie o tym myślał.

Odstawił karafkę z rozmachem na boczny stolik, wypił duszkiem trunek, podniósł popołudniowe wydanie „Gazette" i jął przeglądać spoczywającą pod nim, starannie poukładaną pocztę.

Nie było w niej nic poza kilkoma spodziewanymi rachunkami ze sklepu winiarskiego i z męską galanterią. Leżały otwarte i przygotowane do przejrzenia wraz z zaproszeniem na wieczorek muzyczny w domu superintendenta Centralnego Archiwum, mężczyzny niedysponującego środkami pozwalającymi zaspokoić towarzyskie aspiracje.

Zaproszenia zaczęły napływać regularnie, odkąd do Whitehall przeciekły plotki na temat rodzinnych koneksji Napiera. Jego przyjaźń z lady Anishą tylko dolała oliwy do ognia spekulacji, ponieważ brat damy był markizem i ulubieńcem królowej.

Fakt, iż został nagle osobą pożądaną w towarzystwie, nadal budził w Napierze niestosowną wesołość. Odsunął zaproszenie, aby zobaczyć, co jest pod nim i dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Jolley! – zawołał.

Na schodach rozległy się natychmiast ciche kroki i już po chwili zjawił się służący wyglądający trochę jak duch. Wrażenie

potęgowały: chmura białych włosów, białe wełniste bokobrody i długi biały fartuch na ponurym ciemnym uniformie. Było to jednak mylące złudzenie, ponieważ Jolley był osobą jak najbardziej z tego świata.

– Tak, proszę pana?

– Ten list. – Napier wskazał czubkiem palca inkryminowany arkusz. – Kiedy go przyniesiono?

– Cóż, z ranną pocztą – odparł Jolley, zaintrygowany.

– I nikt nie zakwestionował adresata?

Jolley przyjrzał się listowi bliżej.

– Do licha!

Napier spojrzał jeszcze raz. Nic się jednak nie zmieniło, nagłówek nadal głosił:

Lord Saint-Bryce
22 Eaton Square
Londyn

– Nie otworzyłeś go – zauważył.

– Nie, proszę pana – odparł służący. – Wyglądał mi na sprawę osobistą.

Napier wziął do rąk nóż do papieru, przeciął pieczęć i otworzył gwałtownie list. Przebiegł spojrzeniem mało wyraźne pismo rozmieszczone nierówno po prawej stronie i tylko na jednej trzeciej kartki:

Milordzie,

Zastanawiam się, czy nie powinien pan przyjechać do domu w Burlingham? Byłoby lepiej, gdybyśmy mogli Pana do tego

nakłonić. Bez wątpienia Londyn oferuje Wiele Rozrywek, ale od tajemniczych Śmierci sprawy przybrały dziwny obrót i Niektórzy z nas czują się zaniepokojeni, że ma tu miejsce jakieś łotrostwo.

Uniżony sługa,
Zatroskany obywatel

– Zatroskany obywatel? – Napier rzucił list na blat. – Łotrostwo...?

– Mogę, *sir*?

Napier skinął lekko głową i Jolley wziął list do rąk.

– Cóż – powiedział, przeczytawszy go – przynajmniej nie są to jakieś majaczenia, jak to, co przysłał biedny stary Hepplewood.

– Nie, lecz nie brak w nim aluzji – burknął Napier.

– I nadal to mi się nie podoba, *sir* – powiedział Jolley. – Dżentelmen taki jak Hepplewood robi sobie wrogów.

– Ale Saint-Bryce nie miał ani jednego – wytknął mu Napier. – Był jak każdy wiejski dżentelmen, butwiejący z wolna w Wiltshire: brzuchaty, łysiejący i ogarnięty obsesją buszowania w mokrej trawie i strzelania do wszystkiego, co się rusza. Gdzie tu łotrostwo?

Volley ściągnął brwi.

– Nie ma związku pomiędzy tytułami? – zapytał. – To znaczy, ujmijmy to tak: jest pan jedyną osobą, która skorzystała na śmierci Saint-Bryce'a?

– Tylko ty, Jolley, masz czelność sugerować, iż mógłbym być mordercą – powiedział Napier złowróżbnie spokojnym tonem. – Ale nie, Hepplewood był po prostu przyjacielem i szwagrem

dziadka. Jego śmierć nie przyniosła mi korzyści. A śmierć Saint-Bryce'a jedynie smutek i kłopoty.

Jolley odłożył list.

– Kto mógł napisać coś takiego?

Napier wziął list ponownie do rąk. – Jakiś zdesperowany półanalfabeta – burknął. – To pewnie nic innego jak fałszywka. Powinienem go spalić.

– Nie jest fałszywy, *sir* – zaoponował Volley. – Skoro nikt nie spodziewa się nic po nim zyskać, prawo nie będzie autora ścigało. Udaje po prostu kogoś innego, nie prosi pana o pieniądze.

– Jeszcze nie. – Napier spojrzał ponuro na służącego. – I oszczędź mi tego prawniczego rozdzielania włosa na czworo, Jolley. Właśnie przez to skończyłeś u mnie na służbie.

– Skoro pan tak twierdzi, *sir*.

Jolley odszedł, szurając stopami i jął sprawdzać przygotowane na wieczór lampy.

Napier popatrzył znowu na list. Nie dawał mu spokoju.

– Nie, raczej nie półanalfabeta – wymamrotał. – Struktura zdań jest poprawna, a forma też całkiem niezła, jeśli pominąć fakt, że pisze z błędami i wydaje się niepewny tego, jak wolałbym, żeby się do mnie zwracano.

Jolley towarzyszył swemu panu do Wiltshire podczas choroby lorda Hepplewooda, znał więc rodzinne powiązania.

– Nie sposób nie skojarzyć tego z dziwacznym listem, który Hepplewood przysłał sekretarzowi – rzucił przez ramię. – Mógłbym je porównać?

Był to dobry pomysł.

– Dziękuję, tak. – Napier wyjął z kieszeni kamizelki niewielki klucz. – Jest w drugiej szufladzie biurka.

Jolley odszukał szybko dokument i podszedł z nim do okna. Napier podążył za nim, czekając na opinię eksperta z większym zaniepokojeniem, niźli gotów był przyznać. Po co wysłano tego rodzaju list? I dlaczego akurat do niego?

Ponieważ był dziedzicem?

Albo policjantem?

– Hm... – dobiegło od strony okna.

– Klucz – zażądał Napier, wyciągnąwszy dłoń.

Jolley przewrócił oczami, lecz oddał klucz.

Napier wrzucił go na powrót do kieszeni. Mimo anielskiej prezencji Jolley był kiedyś najbardziej znanym w półświatku fałszerzem.

A także najbardziej utalentowanym. W rzeczy samej, uwielbiał swoje rzemiosło i uprawiał je niczym sztukę, podrabiając rzeczy nawet, jeśli nie było po temu potrzeby i nie przynosiło mu to żadnego zysku – po prostu, aby przekonać się, czy będzie w stanie zrobić to jak należy. Testamenty, rachunki, certyfikaty udziałów, wszelkiego rodzaju dokumenty prawne stanowiły dlań ulubioną rozrywkę.

Posiadł także niewąską znajomość prawa, łącznie z zawiłościami, wyciekającymi z niego niczym masło ze szczeliny w gorącym naleśniku. Przed kilkoma laty stanął jednak wobec oskarżenia, z którego nie był w stanie się wywinąć, ponieważ został wrobiony przez młodych, bardziej bezwzględnych konkurentów z East Endu. A on młody już nie był.

Napier zaoferował mu przyjazną alternatywę wobec powolnego konania w Newgate – coś jak w starym porzekadle: trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej. I to się sprawdzało. Jolley potrafił w sekundę pozbyć się akcentu z East Endu i prezentować maniery godne dżentelmena. Był też doskonałym osobistym lokajem – o ile miało się go pod kontrolą.

Teraz wyjął z kieszeni starą lupę jubilerską i wetknął ją w oko.

– Hm... – powiedział po raz kolejny. – Papier został oderwany od większego arkusza, takiego z nagłówkiem, a potem obrócony do góry nogami i dopiero wykorzystany.

– I...? – ponaglił go Napier, przyglądając się, jak służący odwraca ku światłu starszy dokument.

– Nie ma podobieństw, jeśli chodzi o papier, atrament i pióro – odparł Jolley. – A już na pewno w doborze słów. Mimo to oba zostały nadane w Wiltshire. Znaczki są bez wątpienia autentyczne.

Napier przesunął dłonią po szczęce. Coś nie dawało mu spokoju, coś mającego związek z lordem Hepplewoodem.

Swego czasu Hepplewood posiadał sporą władzę i wpływy. Był politykiem z krwi i kości, stworzonym, aby zajmować się sprawami najwyższej wagi. A także ambasadorem w kilku krajach i członkiem Tajnej Rady króla Wilhelma IV. Tacy ludzie wiedzą różne rzeczy – często niebezpieczne.

Jednak Saint-Bryce był zwykłym wiejskim szlachcicem, który nie zrobił w życiu nic bardziej niekonwencjonalnego niż sędziowanie podczas konkursu warzyw na targu w okolicy. Słowa: „dziwny obrót” w ogóle tu nie pasowały. Hepplewood był stary,

a Saint-Bryce nader korpulentny. Tacy mężczyźni umierają i nie ma w tym nic niezwykłego.

Lecz Jolley odłożył listy na parapet z wyrazem zakłopotania na twarzy.

– Ten nowy, *sir* – powiedział, zerkając na arkusz przez lupę – ma niespotykany znak wodny.

– Znak wodny?

– Tak, proszę pana, zrobiono go podczas produkcji papieru.

– Wiem, czym jest przeklęty znak wodny, Jolley – powiedział Napier zirytowany.

– Proszę więc na to spojrzeć – Jolley wypuścił z oka lupę i podał mu. – To Dziewica z Dort.

– Dort? Cóż to takiego?

– Oznacza Dordrecht. Czyli, że papier wyprodukowano nie w Anglii, lecz w Holandii.

– Nie jest brytyjski? – Napier przysunął arkusz do oka, by lepiej mu się przyjrzeć. – Dzięki, nie potrzebuję lupy. Co ona, u diabła, trzyma? Kapelusz na kiju? I... jakieś stworzenie?

– Ma pan rację, *sir* – odparł Jolley, jakby rozmawiał z dzieckiem. – To Dziewica z Dort. Właśnie przebiła oszczepem hełm nieprzyjaciela. A jej lew – widzi go pan? – ma strzały i miecz. To rodzaj ostrzeżenia dla wrogów Holandii. Jeśli znajdzie pan gdzieś papier tego rodzaju, będzie pan wiedział, kto napisał list.

– Interesujące – wymamrotał Napier. – Musi być dość rzadki, prawda?

– Na pewno nie spotyka się go na każdym kroku. – Jolley podał chlebodawcy list od Hepplewooda. – Co pan zamierza, *sir*?

Napier rzucił listy na blat, a potem wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę. Rozmyślał nadal o śmierci – i, jeśli miał być szczery – o paskudnych oskarżeniach, jakie wysunął pod adresem jego ojca Lazonby. Tak naprawdę wysunęła je panna Ashton, jednak on nadal wierzył, że kryje się za tym Lazonby.

Wszystko to przypominało kręgi na wodzie. Listy, a po nich kolejne, sugerujące jedno i żądające czegoś innego.

Do licha, nie miał na to czasu. Zaklął pod nosem i napełnił znowu szklaneczkę brandy, tym razem na trzy palce, przyglądając się, jak trunek skrzy się złotawo w promieniach zachodzącego słońca.

Odstawił karafkę, zapominał, że jest otwarta. Nieprzyjemne uczucie z tyłu głowy i dręcząca, mroczna wątpliwość nie znikną same. I, co bardziej frustrujące, prawdy na ten temat należałoby szukać właśnie w Burlingame Court.

– Jak myślisz, Jolley – powiedział w końcu – czy pani Bourne miałaby coś przeciwko temu, aby pojechać na jakiś czas do siostry w Hull?

– Wątpię. – Jolley sięgnął po korek i zamknął karafkę.

– Dobrze więc, stary druhu. – Napier przerwał i wypuścił z wolna oddech. – Może my też powinniśmy wybrać się na małą wycieczkę.

– Och, nie, *sir*, tylko nie do Wiltshire – Jolley skrzywił się wymownie. – Nie przepadam jakoś za wsią.

Napier wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że nie masz w tej sprawie wiele do powiedzenia – oznajmił i wziął znów do rąk listy. – Wybrałeś areszt domowy – i to ja decyduję, w którym domu będziesz go odbywał.

Rozdział 3
Zdarzenie w Mayfair

Następnego ranka wyruszył z aktówką w dłoni, zdecydowany spełnić polecenie sir George'a i udać się do Hackney. Ponieważ perspektywa spotkania z panną Ashton budziła w nim niewytłumaczalną niechęć, chciał mieć to jak najszybciej za sobą.

Po tamtym fatalnym spotkaniu w biurze – prawie dwa lata temu – wyobrażał sobie naiwnie, że nie zobaczy więcej córki sir Arthura Colburne'a. Ależ był głupi. Kłopoty zdawały się emanować z porów jej skóry niczym woń ulubionych, egzotycznych perfum. Nawet teraz widział oczyma wyobraźni, jak długie, smukłe palce rozpinają z wprawą guziczki stanika, a zadziwiające oczy wpatrują się w niego szyderczo, podczas gdy ich właścicielka sugeruje, w jakiż to sposób może mu odpłacić za spełnienie jej życzenia.

Przedstawiła się wtedy jako Elizabeth Colburne. Przyznała także, że jest zdesperowana.

Zastanawiał się, na ile zdeterminowana byłaby teraz. A potem, dlaczego coś takiego w ogóle przyszło mu na myśl. Boże święty!

Jedyne, co musiał zrobić, to pójść do niej, zweryfikować po raz ostatni zeznanie – próbując nie utonąć przy tym w niewiarygodnie pięknych oczach damy – a potem udawać, że wierzy, iż władze w Ameryce będą w stanie dopaść jej nieuchwytnego brata.

Nie, to raczej mało prawdopodobne, aby rozpięła tym razem dla niego guziki.

Postanowiwszy oczyścić raz na zawsze umysł z niepożądanych obrazów, zaczerpnął głęboko chłodnego, wiosennego powietrza, zauważając, iż kwaśna woń spalonego węgla zelżała nieco podczas nocy. A potem rozejrzał się uważnie i przebiegł przez ulicę, klucząc pomiędzy wozem z cegłami a kierującym się na zachód ku Hyde Park Corner dyliżansem pocztowym.

Uważał, iż jego dwukółka jest zbyt ekstrawagancka jak na to, żeby używać jej w sprawach służbowych, a ponieważ do Hackney nie jeździły jeszcze pociągi – nad budynkiem stacji nie było nawet dachu – uznał, że najlepiej będzie przejść się po prostu do Oxford Street i złapać zielony omnibus. Pomimo tak starannie przemyślanego planu uświadomił sobie po chwili, iż zdąża do celu mocno okrężną drogą. W połowie Park Lane skręcił w Upper Grosvenor Street, wmawiając sobie, że obiera skrót poprzez alejki dzielnicy Mayfair.

Półkolisty podjazd przed domem lady Anishy okazał się pusty, a żelazna brama zamknięta. Było, oczywiście, zbyt wcześnie na wizytę. Zabawne spostrzeżenie, zważywszy że nie zamierzał przecież odwiedzać damy.

Czuł się odrobinę głupio. Ruszył alejką wzdłuż domu, zamierzając dotrzeć do Oxford Street tak szybko, jak tylko będzie

to możliwe. Przeszedł mniej więcej połowę zaułka oddzielającego dom od stajen, gdy nagle ktoś chlusnął wodą przez żywopłot, dokładnie pomiędzy dwoma krzewami.

Odskoczył, klnąc, i omal nie wpadł na świeży stosik końskiego łajna.

– Och! – Pomiędzy krzewami zabłysnął na mgnienie oka kolorowy szal. – Och, jej! Tak mi okropnie... wielkie nieba! Pan Napier...?

– W rzeczy samej, *madame* – powiedział, spoglądając na gors koszuli. – Dzień dobry.

– Och, tak mi przykro! – Lady Anisha Stafford zerknęła na niego przez krzewy. Głowę i ramiona okryte miała jaskrawym, przejrzystym szalem, a oczy wielkie jak spodki. – Ależ ze mnie niezdara!

Napier opanował się i ukłonił.

– Nic podobnego – zaprotestował. – Jest pani, jak zwykle, uosobieniem wdzięku i urody.

– Zatem to Wdzięk lub Uroda zniszczyły panu surdut. – Schyliła się i otworzyła niewielką furtkę. – Co nie brzmi zbyt zachęcająco, zważywszy jak bardzo chciałam się z panem zobaczyć. Och, proszę wejść. Próbowałam wyczyścić klatkę Mila i...

– Nie ma pani służby, żeby się tym zajęła? – spytał, nim zdążył się zastanowić.

Uśmiechnęła się doń zażenowana.

– Tak, ale Milo chce mieć czystą klatkę od razu, i świeże zioła, a jego woda... Och, nieważne. Proszę wejść. Powiem, aby podano w oranżerii herbatę i przyjrzę się pańskiemu surdutowi.

– Dziękuję – powiedział – zapewniam jednak, że podczas służby zdarzało mi się być oblanym czymś znacznie gorszym niż woda.

Przechyliła z uporem głowę w bok i nakazała mu gestem, by wszedł. Dopiero wtedy zauważył na trawie klatkę, a obok puste wiadro. Ruszył za lady Anishą wykładaną kamiennymi płytami alejką ku tylnemu wejściu. Nie spodziewała się widać tego ranka wizyty, ubrana była bowiem po domowemu w jedwabne spodnie i długą do pół łydki tunikę w kolorze połyskującego błękitu.

– Miniemy róg domu – rzuciła przez ramię – i wejdziemy tylnymi drzwiami.

Drzwi prowadziły do dużego, oszklonego z trzech stron pomieszczenia. Pod sufitem latał zielony ptak. Zapewne grymaśny Milo.

Usiadł na wskazanym mu rattanowym krześle, lady Anisha zaś wydała polecenie służącej i usiadła naprzeciw niego. Ptak wylądował z trzepotem skrzydeł na oparciu i zaczął skubać złoty haft na szalu.

– Milo! – zganiła go ze śmiechem, odrzucając szal na plecy.

Dopiero wtedy zauważył na jej skroni paskudny, żółty siniec.

– Na Boga! – krzyknął, na wpół wstając. – Anisho!

Dama uniosła dłoń, powstrzymując go.

– Nic mi nie jest, panie Napier. I jak pan widzi, mój tradycyjny szal może być całkiem przydatną częścią garderoby.

Uświadomił sobie, że aż do tej pory nie wierzył tak do końca w szaloną opowieść Lazonby'ego.

– Na Boga, mógłbym zabić sir Wilfreda własnymi rękami! – wykrztusił przez zaciśnięte zęby.

– Na szczęście ktoś pana wyręczył – odparła Anisha chłodno. – Prawdę mówiąc, spodziewałam się pana wcześniej. Nie wierzyłam ani przez chwilę, że groźby Lazonby'ego będą w stanie pana powstrzymać. Przyszedł pan odebrać ode mnie zeznanie, czy tak?

Uniósł z rozmysłem brew.

– Dano mi do zrozumienia, że pani nic nie pamięta.

Przyglądała mu się przez chwilę uważnie.

– Otrzymałam silny cios w głowę, to prawda, i byłam przez jakiś czas nieprzytomna – odparła z wolna, dobierając starannie słowa. – Pamiętam jednak dosyć, by sprawiedliwości mogło stać się zadość.

Nie był pewny, co mu właściwie oferuje. Albo czym grozi.

– A przez zadośćuczynienie sprawiedliwości rozumie pani...

– Czy kogokolwiek w tej sprawie oskarżono?

– Nie. Tajemniczy Jack Coldwater zniknął – stwierdził sucho Napier – i jestem niemal pewny, że więcej o nim nie usłyszymy.

Anisha odetchnęła z widoczną ulgą.

– Doskonale! Zatem trzeba uznać sprawę za zamkniętą. Zrobimy tak, prawda, panie komisarzu? Nikt nie chce wyciągać na światło dzienne tamtego skandalu, czyż nie?

Napier oparł się wygodnie i westchnął.

– Wiem, kiedy zostałem pokonany – powiedział. – Tak, zapewne jest już po wszystkim. I nie chcę odbierać od pani zeznania. Podobnie jak Lazonby, życzyłbym sobie, by znajdowała się pani o pięćdziesiąt mil od tego okropnego skandalu.

– A ta biedna dziewczyna? – Anisha nadal go obserwowała. – Panna... Ashton, prawda? Nawiasem mówiąc, co pan o niej myśli? Dosyć niekonwencjonalna, czyż nie? I całkiem ładna.

– Właśnie się do niej wybierałem – powiedział, zignorował resztę pytania. – Muszę uzupełnić jej zeznania, ponieważ wyjeżdżam na jakiś czas z miasta.

Przyniesiono herbatę. Lady Anisha rozlała napój do filiżanek, a potem usiadła, objęła dłońmi filiżankę i zaczęła znowu mu się przyglądać.

– A dokąd pan się udaje, panie Napier? – spytała. – Mam nadzieję, że na odpoczynek?

– Nie, sprawy rodzinne.

– Och, w Burlingame Court? – rzuciła lekko.

A kiedy spojrzał na nią, zaskoczony, uśmiechnęła się.

– Przypominam sobie, że jeździł pan tam już przed kilkoma miesiącami – dodała. – Kiedy zmarł lord Hepplewood.

– Wiedziała pani o tym?

– Że ktoś z pańskiej rodziny zmarł? Tak. Doprawdy, panie Napier, musi pan zdawać sobie sprawę, że Lazonby śledził każdy pański krok nie mniej uważnie niż pan jego. Choć nie wiem dokładnie, jakie łączyło pana ze zmarłym pokrewieństwo.

– Lord Hepplewood poślubił moją cioteczną babkę.

– A ona była...? – lady Anisha uśmiechnęła się nieśmiało. – Widzi pan, przyjechałam z Indii tak niedawno, że nie zdążyłam zapoznać się jeszcze z *Wykazem parów* Burke'a. Czy jeśli poszukam, znajdę tam pańskie nazwisko?

Uświadomił sobie, że pora wreszcie się zdecydować.

– Raczej nie – odparł – choć nie sprawdzałem. Mój ojciec poróżnił się w młodości z krewnymi. Poszło o damę, którą wybrał sobie na żonę. Po ślubie przyjął więc jej nazwisko, Napier. Rodzina rozpuściła zapewne pogłoskę, że zmarł.

Lady Anisha odsunęła się nieco, a jej uśmiech złagodniał.

– Panie Napier, Lazonby powiedział kiedyś, że ma pan oczy jak kuchenne noże – powiedziała. – I chyba właśnie mnie pan nimi przebija.

Napier się skrzywił.

– A nie miał nic do powiedzenia na temat mojego nosa? Zawsze byłem z niego dość dumny.

– Twierdzi, że wygląda jak siekiera – dodała, odstawiając filiżankę. – Dość tego wścibskiego wypytywania, panie Napier. Mam nadzieję, że wie pan, iż podobają mi się pańskie oczy i nos. Pasują do pana.

Napier milczał przez chwilę, a potem odstawił filiżankę.

– Niedawno zmarł mój ostatni wuj – powiedział cicho. – Widzi pani, w domu było trzech synów, z czego mój ojciec najmłodszy. Zatem pomimo gniewu dziadka nie przejęto się zbytnio tym, że jeden z nich popełnił mezalians i skalał nieco błękitną krew.

– Ach – westchnęła cicho. – Lecz teraz starsi bracia też zmarli? Nie pozostawiając synów?

– Coś w tym rodzaju – odparł ponuro. – Dziadek to żałosny stary tyran. Domaga się, żebym wrócił.

– Ha! – prychnęła. – Nie zna pana widać zbyt dobrze, skoro sądzi, że zdoła zyskać cokolwiek, domagając się.

– Ledwie w ogóle mnie zna. Napisał więc do sir George'a Greya, ponieważ przyjaźnił się kiedyś z jego ojcem.

– Och, coś takiego. – Anisha zrobiła poważną minę. – Dlaczego zaczynam podejrzewać, że chodzi tu o stary i szlachetny tytuł? Rodzina Greyów jest *haute ton*, nawet ja to wiem.

– Tak. – Zawahał się, lecz w końcu powiedział: – Mój dziadek to wicehrabia Duncaster, wujowi zaś przysługiwał tytuł barona Saint-Bryce.

– Obawiam się, że nie słyszałam o żadnym z tych dżentelmenów – powiedziała przepraszająco. – Czy to stare i szlachetne tytuły? Sądząc po pańskiej minie, tak właśnie jest. – A kiedy się nie odezwał, spojrzała na niego, przygnębiona. – I nie ma pan w tej sprawie nic do powiedzenia? – mówiła dalej. – Sir George nie pozwoli panu zapewne dalej pracować, a prawo majoratu nie dopuszcza możliwości, by dziadek pana wydziedziczył. Och, panie Napier, wiem, jak to jest zostać wyrwanym z jednego życia i rzuconym w inne. Czy taki los pana czeka? Jest pan teraz, wbrew swojej woli, baronem Saint-Bryce'em?

Westchnął w duchu z ulgą, pewien, że tylko lady Anisha może go zrozumieć. A wyraz współczucia na jej twarzy jest z pewnością szczery.

– Rzeczywiście – przyznał spokojnie. – Obawiam się, że sytuacja wygląda dokładnie tak.

– Cóż – powiedziała, rozpogodziwszy się. – Nie ma rady, musi pan pogodzić się z tym, iż odziedziczył władzę i niewyobrażalne bogactwo. Muszę powiedzieć jednak, że powinien był pan uprzedzić mnie, że będzie wkrótce aż tak bogaty. Może potraktowałabym pańskie zaloty z większą uwagą.

O mało się w głos nie roześmiał.

– Nie jest pani tego rodzaju osobą, lady Anisho. Żadne z nas nie wierzy, że byłaby pani zdolna wydać się za mąż dla pieniędzy.

Ptak zaczął ciągnąć za kolczyk w jej uchu.

– Dziękuję – powiedziała.

Westchnął głośno.

– Czy prawdą jest to, co podejrzewam? Zgodziła się pani wyjść za Lazonby'ego?

Spuściła wzrok.

– Jeszcze mnie oficjalnie nie poprosił.

– A jeśli... Nie jeśli, kiedy to zrobi, powie pani „tak"?

Uniosła wzrok i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Owszem – odparła cicho. – Gdy się oświadczy, z rozkoszą powiem „tak". Lecz jest pan drogim przyjacielem i przykro mi, że go pan nie lubi.

– Rzeczywiście, nie lubię – przyznał. – Lecz nie jest pani głupia. I sądzę, że on uczyni panią szczęśliwą. Za bardzo boi się pani brata, by ryzykować.

Uśmiechnęła się kątem ust.

– Och, Lazonby nie boi się niczego, nawet kiedy powinien – odparła. – To wada charakteru, która was łączy. Doprawdy, możliwe, iż nie znosicie się dlatego, że jesteście aż tak do siebie podobni. Nie przyszło to panu na myśl?

– Proszę nie być śmieszną.

– A tak właściwie – spytała chytrze – po co pan dziś do mnie przyszedł?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie wybierałem się tutaj – powiedział. – Choć, jeśli mam być szczery, kołatała mi się po głowie myśl, aby poprosić panią o przysługę.

– Przysługę? Jakiego rodzaju?

– Wielką – przyznał. – Jednak skoro oczekuje pani oświadczyn, nie może być o tym mowy. Jestem... zadowolony. Chyba i tak bym

pani nie poprosił.

– Ale o co? I skąd pan wie, że bym odmówiła?

Zawahał się na mgnienie oka.

– Jak powiedziałem, powinienem już iść – odparł. – Chciałem... cóż, chciałem, żeby pojechała pani ze mną. Co gorsza, pod fałszywym pretekstem.

– Ach! Ma to coś wspólnego z pańską rodziną w Burlingame, prawda?

– Owszem. – Obrzucił ją miażdżącym spojrzeniem, a potem westchnął. – Potrzebuję kobiety przy boku, pięknej i stanowiącej dobrą partię. Jako ozdoby, można tak powiedzieć, by udaremnić matrymonialne zapędy ciotki. Lady Hepplewood. Siostry Duncastera.

Anisha roześmiała się znowu.

– Umie pan schlebić damie. Ale z pewnością wielki Royden Napier nie boi się ciotki?

– Cóż, mam nadzieję, że tak jest w istocie – wymamrotał. – Jednak sir George ostrzega, że będzie zamęczała mnie na śmierć. Widzi pani, to nie jest wizyta li tylko towarzyska, a ponieważ lady Hepplewood o tym nie wie...

Nie miał pojęcia, jak wyjaśnić przeczucie, które nie opuszczało go, odkąd sir George przekazał mu list napisany przez Hepplewooda. No i jeszcze ta zagadkowa przesyłka we wczorajszej poczcie...

Nie był w stanie dopatrzyć się w tym sensu.

– Cóż, dwóch pańskich krewnych zmarło w niejasnych okolicznościach – zauważyła taktownie Anisha. – Wydaje się pan więc bardziej niż zwykle zaniepokojony, i nic w tym dziwnego.

– Zapewne niepotrzebnie – powiedział. – Rozpaczliwie potrzebuję jednak kogoś, kto zabezpieczałby mi tyły i powstrzymał staruszkę przed deptaniem mi po piętach, gdy będę węszył.

– Cóż, szczerze mówiąc, żałuję, iż nie mogę z panem pojechać, ponieważ byłby to niezły żart. – Roześmiała się znowu. – Dziedzic z mezaliansu i półkrwi narzeczona! Może pan sobie wyobrazić minę swojej krewniaczki? Lecz jeśli lady Hepplewood przypomina choć trochę ciotkę Pernicię, to ma pan powody się bać.

– Nie pocieszyła mnie pani – wymamrotał.

– Proszę zaczekać, mam pomysł. Nie mógłby pan zatrudnić po prostu aktorki?

Napier się roześmiał.

– W przeciwieństwie do pani ciotka Hepplewood sypia zapewne z egzemplarzem *Wykazu parów* pod poduszką, zaopatrzonym w notatki i zaktualizowanym.

Anisha opuściła ramiona, zrezygnowana.

– Tak, wystarczyłoby, by napisała do jednej ze swoich londyńskich przyjaciółek.

– Cóż – odstawił filiżankę. – Wracajmy do rzeczy, które mogę zrobić. Powinienem pójść teraz do panny Ashton.

Anisha przygryzła na chwilę wargę.

– Proszę uważać – powiedziała cicho – gdy będzie pan miał do czynienia z panną Ashton.

Tym razem to on się roześmiał.

– Nie jestem kompletnym głupcem, moja droga – powiedział szorstko. – Myśli pani, że nie wiem, z kim mam do czynienia?

– Rzeczywiście, tak właśnie myślę. – Sięgnęła po jego dłoń, odwróciła ją grzbietem do dołu i przesunęła palcem po wnętrzu. –

Roydenie, ja... widziałam jej dłoń. Tamtego dnia w namiocie wróżki. To osoba głęboko zaburzona. Całe jej życie legło w gruzach za sprawą śmierci w rodzinie.

Napier zmrużył oczy.

– Co masz na myśli, Anisho, mówiąc, że widziałaś jej dłoń?

Zerknęła na niego zniecierpliwiona.

– To się nazywa *hasta samudrika shastra* – wyjaśniła – i nie patrz tak na mnie. To nauka, nie salonowa sztuczka. I nie, nie jestem jak mój brat, więc nie zaczynaj, proszę.

Nie zamierzał dyskutować z nią o mrocznych talentach Ruthveyna. Na samą myśl o nich cierpła mu skóra.

– Zatem naprawdę przepowiadała pani przyszłość podczas imprezy lady Leeton? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie, to miała być jedynie rozrywka. – Puściła jego dłoń. Westchnęła. – Jednak dłoń panny Ashton mnie zaskoczyła, i chyba ją przestraszyłam.

Napier uśmiechnął się krzywo.

– Och, sądząc po tym, czego byłem świadkiem, panna Ashton jest nieustraszona.

– Zatem przynajmniej ją rozgniewałam. – Anisha oparła się wygodniej. – Lecz to nieważne. Na pewno nie potrzebuje pan mojego oświadczenia? Jestem gotowa wypełnić obywatelski obowiązek, nieważne, czy się to podoba Lazonby'emu, czy nie.

– Lazonby wykorzystuje moją słabość do pani – burknął Napier. – Wie pani o tym, prawda?

– Jest beznadziejnie niepoprawny. – Spojrzała na niego z szacującym błyskiem w oku. – A pańska słabość wobec panny Ashton? – dodała lekko. – Co z nią?

– Słucham?

Anisha miała na tyle przyzwoitości, by udać zakłopotanie. Zaczęła poprawiać fałdy tuniki.

– Cóż, nie mogłam nie zauważyć, iż nie tylko moje nazwisko nie pojawiło się gazetach. Można byłoby domniemywać, że dama po prostu przechadzała się w pobliżu, kiedy padł strzał i nie znała w ogóle pana Coldwatera.

Przyjrzał się jej uważnie i nieco groźnie.

– Nie mam pojęcia, co pani sugeruje, lady Anisho.

Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tylko tyle, że ma pan miękkie serce i dobrze się z tym kryje. Nie ma pan pannie Ashton nic do zawdzięczenia, a jednak ktoś, jestem pewna, że był to pan, uchronił ją przed napastliwością pismaków.

– Hm... – chrząknął Napier. – Może powinna pani podziękować za to przyszłemu narzeczonemu. Zagroził, że zniszczy reputację mojego ojca.

– Och, nie, mój panie! – odparowała lady Ashton. – Lazonby nie dba ani trochę o pannę Ashton. Prawdę mówiąc, ma wiele powodów, by życzyć jej... ach, nieważne.

Napier wstał, czując się dziwnie zakłopotany.

– Zatrzymałem już panią zbyt długo.

Klejnoty na jej pantofelkach zabłysły, gdy poderwała się z krzesła.

– Och, musi pan już iść?

– Obawiam się, że tak – odparł zgodnie z prawdą. – Będę wyczekiwał dobrych wieści, nim znów panią odwiedzę...

– Napier! – zganiła go.

– ...postaram się wtedy ukryć na dzień czy dwa gorycz, złożę wam obojgu najlepsze życzenia i obdaruję skrzynką szampana.

Klasnęła w dłonie, udając zadowolenie.

– Jakie to miłe.

– A potem postaram się nie żywić nadziei – dodał – że Lazonby się nim zakrztusi.

* * *

Lisette stała na stołku w niewielkiej kuchni, przesuwając spojrzeniem po na wpół opróżnionych półkach. Garnki i misy stały teraz poustawiane na kuchennym stole.

– Cóż, wystarczy – powiedziała, wycierając zakurzone dłonie w fartuch. – Reszta była tu już, gdy się wprowadzałyśmy.

– Nie moje sito o drobnych oczkach – przemówiła pani Fenwick z głębi pudła do pakowania. – Proszę mi je podać, doskonale zmieści się w garnku do duszenia.

– Tę staroć?

– Tak, taką samą jak ja – odparła pani Fenwick z naganą w głosie. – Nie będę mogła zrobić przyzwoitego purée ani nawet zupy bez tego sita.

– Mamy zacząć pakować to wszystko w gazety? – spytała Lisette i podała kucharce stożkowate naczynie. – Rozpakowywanie zajmie nam tygodnie.

Nagle ciszę zakłócił głośny stukot kołatki. Starsza z kobiet westchnęła i nasunęła na głowę czepek.

– Ja pójdę. – Lisette zeskoczyła zgrabnie ze stołka i odwiązała fartuch. – Może to pan Bodkins z wieściami na temat domu.

– Cóż, każde miejsce będzie lepsze niż Szkocja, panienko – ostrzegła ją pani Fenwick.

Pomimo tego, co właśnie powiedziała, Lisette czuła, że to nie Bodkins. Na to było jeszcze za wcześnie. Zwolniła kroku, tknięta niemiłym przeczuciem. Podeszła do okna saloniku, odchyliła firankę i zerknęła na tonący w słońcu ganek.

Komisarz Napier stał na progu, złowieszczy niczym Mefisto, dzierżąc w dłoni skórzaną walizeczkę z błyszczącymi mosiężnymi okuciami.

Wysłannik szatana odziany był nieskazitelnie w czarny cylinder i pasujący do niego żakiet, wcięty w pasie, aby podkreślić smukłość talii. Pod spodem miał kamizelkę w kolorze wina i śnieżnobiałą, wykrochmaloną na sztywno krawatkę, zawiązaną starannie na węzeł umieszczony idealnie pośrodku szyi. Czysta męska elegancja, wprost z pracowni krawieckiej przy Bond Street, domyśliła się.

Przesunęła dłońmi po włosach i weszła do niewielkiego holu. Zamarła na chwilę z ręką na klamce. Nie miało jednak sensu się ociągać – spotkanie było nieuchronne niczym wizyta szatana u Fausta.

Posławszy do Boga, który najwidoczniej przestał jej słuchać, niemą prośbę o siłę, otworzyła błyszczące lakierem niebieskie drzwi.

– Pan Napier – powiedziała. – Jak się pan ma?

– Całkiem dobrze, dziękuję – odparł głosem głębokim i grzechoczącym jak odgłos butów na żwirze, a potem zdjął kapelusz, odsłaniając ciemne, niemal czarne włosy, sczesane w tył, wysokie czoło oraz ogoloną starannie twarz o wyrazistych

rysach. Mocny zarost zaczynał się już jednak uwidaczniać. – Mogę na słówko?

Zmusiła się, by się uśmiechnąć.

– A mam wybór?

Napier nie odwzajemnił uśmiechu.

– Niestety, nie.

Nie była głupia, wiedziała, dlaczego przyszedł. Och, dostała to, czego chciała – choć nieoczekiwanie – wraz ze śmiercią sir Wilfreda. Wszystko ma jednak swoją cenę. A Royden Napier, jak się obawiała, przyszedł odebrać właśnie zapłatę.

– Cóż – powiedziała dziarsko – nie można marnować czasu wiecznie zajętego Scotland Yardu. – Odsunęła się i czekała, aż zacznie się kolejny rozdział jej życia. – Proszę wejść.

Rozdział 4
Mefistofeles stawia warunki

Napier rozejrzał się po uporządkowanym holu wejściowym domu Elizabeth Ashton. Było to z jego strony działanie instynktowne: sprawdzić położenie drzwi, okien, ocenić możliwość ucieczki.

Co było o tyle śmieszne, że ta akurat dama nie miała powodu uciekać. Już Lazonby tego dopilnował – przynajmniej na jakiś czas. Mimo to nie przestał się rozglądać. Z holu łukowe przejścia prowadziły do trzech pomieszczeń, w tym dużego salonu. Widoczne w rogu pokoju schody wiodły bez wątpienia na piętro. Zobaczył ładny stół z opuszczanymi bocznymi skrzydłami, wart roczną pensję konstabla. Ponad nim zawieszono oprawny w ramkę krajobraz, dopełniający wrażenie dostatku, jeśli nie bogactwa.

– Nie tak tu wspaniale jak w Mayfair – powiedziała, jakby czytając mu w myślach – lecz to mój dom.

Napier nie połknął przynęty. Jeśli to była przynęta. Z tą kobietą nigdy nie miało się pewności.

– Jest tu gdzieś miejsce, gdzie moglibyśmy w spokoju porozmawiać? – zapytał, spoglądając w czyste oczy o chłodnym spojrzeniu. – Sir George życzył sobie, abym powtórnie panią przesłuchał.

– Skrupulatność godna pochwały – zauważyła. – Jednak doprawdy, panie Napier, nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać.

Parsknął szorstkim śmiechem.

– Ależ, panno Ashton, żadne z nas w to nie wierzy.

Uśmiech zamarł jej na wargach. Zauważył, że oczy ma podkrążone, a rysy napięte. Nie spała widać dobrze. Może nie była tak wyrachowana, jaką się wydawała.

– Napije się pan kawy? – spytała, prowadząc go do salonu.

– Dziękuję – odparł, spoglądając na przygotowane do wywiezienia bagaże. – Wybiera się pani dokądś?

– Mam w Szkocji dom – odparła niejasno. – Proszę mi wybaczyć, przygotuję kawę. Nie zatrudniam wiele służby. Może pan usiąść przy stole, jeśli ma pan życzenie.

Wróciła do cokolwiek mrocznego holu i przeszła stamtąd do pomieszczenia z tyłu domu. Natychmiast jął się zastanawiać, czy nie zamierza uciec. Nie dostrzegł jednak w jej spojrzeniu desperacji. Wierzyła widać, że Lazonby zdoła ją ochronić. Przynajmniej przez jakiś czas.

I tak zwierzyna stała się... kim? Sojusznikiem łowczyni? To bardzo nietypowa rola dla Lazonby'ego, a i panna Ashton nie wyglądała mu na osobę, która mogłaby sprzymierzyć się z kimkolwiek. W jej oczach nie było za grosz ufności. Zapewne życie tak ją ukształtowało. Nie, nie ucieknie. Jeszcze nie. Była na to zbyt odważna.

Postawił walizeczkę na okrągłym stole. Jadano przy nim zapewne śniadania, ponieważ salonik wyglądał na pomieszczenie służące wielu celom. Po obu stronach kominka wbudowano biblioteczki, pod tylną ścianą stało stare pianino, a pod bocznym oknem damskie, intarsjowane biureczko. Za nim widać było czarującą pergolę obrośniętą kwitnącą obficie białą różą.

Dziwnie zdenerwowany, podążył śladem panny Ashton do holu. Drzwi naprzeciw pokoju, który właśnie opuścił, prowadziły do oficjalnego salonu z zasłonami z niebieskiego jedwabiu i dużym lustrem w złoconej ramie. Mebli nie był jednak w stanie ocenić, jako że kryły je płócienne pokrowce.

Odgadł więc prawidłowo: panna Ashton zamykała dom.

Rozmyślając o tym, co właśnie zobaczył, wrócił po swoich śladach. Na biureczku zauważył miniaturę w srebrnych ramkach, ustawioną obok dwóch ciężkich kryształowych kałamarzy. Podniósł portret i spojrzał w okrągłe, błękitne jak chabry oczy młodej damy ubranej w różową balową suknię. Krój wskazywał, że miniaturę wykonano ładnych kilka lat wcześniej.

Dama była niezaprzeczenie piękna, z wąskim, zgrabnym noskiem i pełnymi ustami, których kuszący kształt podkreślał jeszcze pieprzyk w kąciku. Panna Elinor Colburne, bez wątpienia. Jej podobieństwo do siostry rzucało się w oczy.

Mimo to mocno się różniły.

Bardzo dziwne, skonstatował, odwracając się ku światłu. Oczy jasnowłosej Elinor, choć ładne, miały dosyć zwyczajną barwę. Oczy Elizabeth były niebieskozielone i nieco skośne, karnacja porcelanowo-mleczna, a włosy kasztanowe.

Podobieństwo sprowadzało się więc jedynie do kształtu twarzy: czystego, doskonałego owalu, z mocno zaznaczonymi kośćmi policzkowymi, które mówiły o szlachetnym urodzeniu i elegancji. I te usta. Miękkie łuki Kupidyna z pełną, niemal jakby spuchniętą dolną wargą sprawiały, że mężczyzna zaczynał myśleć natychmiast o...

– Widzę, że znalazł pan portret Elinor. – Słowa poprzedził brzęk porcelany.

Przywołany gwałtownie do rzeczywistości, odstawił miniaturę i spojrzał na pannę Ashton. Niosła masywną srebrną tacę z pełnym serwisem do kawy. Wszystko to musiało sporo ważyć.

– Chętnie bym pani pomógł – powiedział, spoglądając na tacę.

Podniosła na niego wzrok i powiedziała z nutą pogardy w głosie:

– Doprawdy, panie Napier, czyżby odniósł pan wrażenie, że jestem kruchą istotką? – mruknęła, stawiając tacę na stole. – Jeśli tak, to się pan pomylił. – Wskazała głową biurko. – To Ellie była tą delikatną.

Napier nadal trzymał w dłoniach kapelusz, od którego zapomniała go uwolnić. – Delikatność przybiera wiele form, panno Ashton – powiedział spokojnie. – Często spotykam się z tym w mojej pracy. Ale nie, nie wątpię w pani możliwości.

Opadła na krzesło.

– Proszę usiąść, panie Napier i zacząć zadawać pytania.

Lecz on nie usiadł, odłożył jedynie kapelusz.

– Po pierwsze – powiedział, spoglądając na nią z góry – chciałbym, by pani wyznała, co konkretnie zdarzyło się w mleczarni...

Panna Ashton uniosła dłoń i powstrzymała go gestem.

– Powiedziałam już wszystko, co było w tej sprawie do opowiedzenia. Ma pan moje zeznanie. Chce pan to jeszcze raz usłyszeć?

– Do licha! – zaklął cicho. – Chcę, żeby przyznała pani, iż żaden Jack Coldwater nie zbliżył się tamtego dnia do sir Wilfreda nawet na cal. Tak wygląda prawda, a cała reszta to stek kłamstw.

Panna Ashton otworzyła nieco szerzej swoje niezwykłe oczy.

– Skoro tak – zapytała spokojnie – to jak pan sądzi, kto zastrzelił sir Wilfreda? Lazonby? Powodzenia, jeśli chce pan go tym obciążyć. Lady Anisha? Przyznaję, nie wydaje się zdolna do przemocy. Lecz zaczekajmy... Może sądzi pan, że to byłam ja? Jeśli tak, mam prawo odmówić zeznań, które by mnie obciążały, a nie jestem aż tak głupia, by z tego prawa zrezygnować.

– Marnuję tylko czas, prawda? – zauważył, sfrustrowany jej zachowaniem. – Nic mi pani nie powie. Pani przyjaciel Lazonby dobrze panią wyszkolił.

Wstała, wyprostowana i sztywna niczym księżna.

– Och, Lazonby nie jest moim przyjacielem. Nawet w najmniejszym stopniu – odparła. – Nie zaufałabym mu za nic na świecie.

Napier parsknął gardłowym śmiechem.

– W tym się, *madame*, zgadzamy – powiedział. – Nie warto mu ufać. A przecież...

– A przecież, co...? – okrążyła stół z szelestem spódnic i podeszła do Roydena. – Podstępnie go oskarżyłam? Dręczyłam przez wszystkie te miesiące niewinnego człowieka? Och, niechże pan da spokój! Nawet gdyby potrafił pan to udowodnić i tak nie po

to pan przyszedł. Poza tym można byłoby powiedzieć, że bogaci, utytułowani mężczyźni, tacy jak Lazonby, rzadko bywają zupełnie niewinni.

– Doprawdy, panno Ashton...

– Och, na miłość boską, niech pan po prostu kontynuuje. – Zatrzymała się przed nim gwałtownie. – Po co pan przyszedł? Proszę łaskawie odpowiedzieć lub zadać pytanie i oszczędzić mi moralizowania.

– Nie jestem pewien, czy powinienem marnować oddech – odpalił, nie wiedząc, dlaczego jest aż tak zły. I czego właściwie od niej chce. Prawdy? Zobaczyć ją we łzach? Nie zanosiło się, by dostał jedno albo drugie. – Pani i Lazonby jesteście według mnie osobami tego samego pokroju, naginającymi prawdę tak, jak jest wam wygodnie.

– Proszę posłuchać: problemy z Lazonbym to pańska sprawa – rzuciła gwałtownie. – Ja nie mam już w Londynie nic do roboty. Jeśli pana tak frustruje fakt, że Lazonby trzyma jako zakładnika reputację pańskiego ojca, proszę załatwić to z nim.

Nie zastanawiając się, chwycił ją za ramiona.

– Uważa mnie pani za kompletnego głupca, panno Ashton? – wybuchnął, próbując przemówić jej do rozumu. – Sądzi pani, że nie zorientowałem się, i to natychmiast, w tej waszej konspiracji? Lecz proszę wziąć łaskawie pod uwagę, skoro jest pani tak skłonna do uczestniczenia w zmowie: Lazonby wbije pani nóż w plecy, gdy tylko przestanie mu pani być potrzebna. Przysięgnie na cały stos Biblii, że to pani zabiła sir Wilfreda – nieważne, czy było tak naprawdę – już choćby po to, aby odpłacić pani za wszystko, przez co zmuszony był za sprawą pani przejść.

Zbladła, ale się nie poddała.

– A ja przysięgnę, że to „Morning Chronicle” i Jack go prześladowali.

Potrząsnął nią sfrustrowany.

– Sądzi pani, że nie wybrałem się na Fleet Street, panno Ashton? – Teraz już niemal krzyczał. – Wpoiłem bojaźń bożą każdej z pracujących w „Chronicle” osób. Obejrzałem sobie też gabinet Coldwatera i jego pokoje przy Shoe Lane. Powiedzmy to sobie głośno i wyraźnie: ktoś taki nie istnieje. I nigdy nie istniał, prawda?

Elizabeth z wolna pochyliła się ku niemu.

– Cóż, jeśli tak jest, będzie musiał pan tego dowieść – powiedziała cicho. – Jednak ludzie z „Chronicle” powiedzieli już panu zapewne, że współpracowali z nim blisko od ponad roku. Jego gospodyni widywała, jak regularnie wchodził i wychodził. Co więcej...

– Owszem, widziała też jednak...

– Co więcej – kontynuowała, zignorowawszy wtręt – proszę zapytać tego osiłka, który kręci się koło klubu Lazonby’ego, kto zapłacił mu, aby pilnował Lazonby’ego przez wszystkie te miesiące. Jack Coldwater znany był połowie łotrów w tym mieście. Wielu z nich płacił, co pozwalało mu wykazać się w pracy. Być może nie przesiadywał zbyt długo w redakcji, jednak „Chronicle” dostawała to, za co płaciła. I żaden z tych mężczyzn nie przyzna z ochotą, że został oszukany przez kobietę. Zakładając, oczywiście, że coś takiego miało w ogóle miejsce.

– Wszystko to banialuki – prychnął Napier. – Nie jest pani lepsza niż Lazonby, a ja mam już serdecznie dość waszych

półprawd i naginania faktów. Postanowiła pani zniszczyć Lazonby'ego – tropić go, prześladować i sprawić, aby skazano go za morderstwo – a jako ławę przysięgłych wybrała sobie pani opinię publiczną. I tym właśnie był przez cały czas Jack Coldwater. Bronią. Chimerą.

– Czy w tej tyradzie było ukryte pytanie? – odparła z pogardą. – A jeśli tak, to czy naprawdę chce pan, bym odpowiedziała tak, jak ma pan nadzieję, że odpowiem? Ponieważ, jeśli odpowiem – cóż, uważa się pan za dżentelmena, czyż nie? – będzie pan musiał zmagać się z całym tym dżentelmeńskim honorem. Obowiązkiem wobec Korony. Wszystkim, co słuszne prawnie i moralnie, a co kłuje pana niczym szpilka pozostawiona przez praczkę w kołnierzyku. Cóż, dawno temu przestałam zawracać sobie głowę prawdą i honorem, panie Napier. Nie przyniosły mojej rodzinie nic dobrego. Zatem proszę pozostawić mnie z moim poczuciem winy, o ile mam powód, by czuć się winną. A reputacja pańskiego ojca niechaj spoczywa nietknięta razem z nim w grobie.

Poczuł, jak napina mu się każdy mięsień w ciele.

– Na Boga – wyszeptał. – Powinienem aresztować panią za morderstwo... I za język niegodny damy.

Miała czelność przysunąć twarz tuż do jego twarzy.

– Niech więc pan tak zrobi – odparła – i zobaczymy, dokąd to pana zaprowadzi.

Zaślepiony frustracją i czymś na kształt pożądania, wzmocnił uścisk. Oparła się o biblioteczkę, a stojący na obrzeżu kominka wazon z białymi mieczykami zakołysał się niebezpiecznie.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy wsunął udo pomiędzy jej nogi i praktycznie ją unieruchomił.

– Kiedyś coś mi pani zaproponowała, panno Ashton – wyszeptał, wpatrując się w nią z żarem w spojrzeniu. – Proszę powiedzieć, czy propozycja jest ciągle aktualna? Nadal jest pani tak śmiała?

Odepchnęła go i powiedziała:

– Jestem wystarczająco śmiała, by zrobić to, co muszę. Należę do tych, którzy wiedzą, jak przetrwać, panie Napier. I nie, nie jestem głupia. Wiem, jaki pan naprawdę jest. I Lazonby także. Potrafię zajrzeć za tę fasadę dżentelmena. A teraz pytam po raz kolejny: czego pan ode mnie chce?

– Chcę zobaczyć panią w więzieniu – wykrztusił przez zaciśnięte zęby. – Umieścić gdzieś, gdzie mógłbym mieć na panią oko.

Co powiedziawszy, wsunął palce w jej włosy. Krzyknęła cicho, odwróciła twarz, jakby chciała uniknąć pocałunku i odepchnęła się od niego dłońmi.

Tylko że on jej nie pocałował, choć pożądanie i coś znacznie silniejszego rozpalało mu lędźwie. Zamiast tego podstępnie szarpnął za wypracowaną fryzurę. Kasztanowe loki odpadły w kaskadzie spadających szpilek. Jedna odbiła się nawet od lustra nad kominkiem.

Panna Ashton wzdrygnęła się, odmawiając spojrzenia mu w twarz.

– Och, pamiętam te dzikie, jaskraworude pukle – powiedział, odrzucając perukę. – Choć widzę, że niewiele z nich zostało. Lecz ja nigdy nie zapominam twarzy, panno Ashton. Wzrostu. Oczu. Zapachu kobiety. Ani prawdziwego koloru jej włosów.

– Puść mnie, łajdaku.

Zamiast tego przyciągnął ją bliżej, wdychając zapach jej skóry i przyglądając się, jak rzęsy kobiety opadają niczym ciemne, pierzaste wachlarze ku alabastrowym policzkom. Wszystko to zostało stworzone bez wątpienia po to, by doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Uczynić niezdolnym do myślenia.

Nie poddał się oczarowaniu. Nie całkiem.

– Och, nudna peruka, ponura suknia i kamienny spokój mogły zwieść mnie na chwilę w ogrodzie sir Wilfreda – powiedział ochryple – czułem jednak przez cały czas, że coś jest z panią nie tak.

Otworzyła oczy i Napier odsunął się nieco w trosce o zachowanie zdrowych zmysłów.

Wyglądało na to, że panna Ashton odzyskała kontrolę nad emocjami.

– Umie pan pochlebić damie, komisarzu – zauważyła kpiąco. – Nie zdawałam sobie sprawy, że wywarłam na panu aż tak niezatarte wrażenie. Ale cokolwiek wyobraża pan sobie teraz – tu mała wiedźma miała czelność spojrzeć wprost na jego wybrzuszające się krocze – proszę być świadomym, że nie jestem w domu sama.

Zły na siebie i zniesmaczony, puścił jej szczupłe ramiona i się odsunął. Jednak jej zapach, kwiatowy i uderzający do głowy, nie dawał się odpędzić. Boże, to było szaleństwo. Igrał z ogniem, i to niemal dosłownie.

A jakie myśli lęgły się w jego głowie, gdy na nią patrzył...

Kiedy tak stał, starając się odzyskać nad sobą władzę, usłyszał szelest jedwabiu, a potem cichy stuk skórzanej walizeczki o blat stołu.

Panna Ashton stanęła przed nim. Masa rudych loków wymknęła się z upięcia i otaczała teraz jej twarz niczym anielska aureola.

– Zastanawiam się – wymamrotał niemal do siebie – jak u licha udało się pani wcisnąć te loki pod perukę.

Uśmiechnęła się z fałszywą słodyczą.

– Powiedziano mi, że wielu panów używa specjalnego olejku do włosów – odparła, kołysząc zawieszoną na palcu walizeczką Napiera. – Choć tak naprawdę nie do końca wiem, jak byłam w stanie tego dokonać. Proszę nie zapomnieć aktówki, gdy będzie pan wychodził.

Pewność siebie kobiety sprawiła, że coś w nim pękło – zapewne była to zdolność oceny sytuacji – i spojrzał na nią z szyderstwem w oczach.

– Och, ale ja nigdzie się nie wybieram, panno Ashton. I pani też nie.

Fałszywy uśmiech znikł jak zdmuchnięty. Zerknęła na kufry przy schodach.

– Doskonale – powiedziała i puściła aktówkę, która spadła na podłogę. – Niech mnie pan aresztuje – jeśli wierzy pan, że oskarżenie się utrzyma. I jeśli sądzi pan, że zdoła przetrwać atak Lazonby'ego. Rozpaczliwie potrzebuje potwierdzenia przeze mnie tego, do czego przyznał się sir Wilfred.

– Och, nie boję się Lazonby'ego i nigdy się go nie bałem – powiedział. – To pani jest tak naprawdę niebezpieczna. Zaczynam też myśleć, że więcej niż trochę szalona.

Zaśmiała się ostro.

– Cóż, wie pan, co mówią: „Wielkie umysły dzieli od szaleństwa...

– ...zaledwie włos” – dokończył ponuro.

– Och, zna pan Drydena, panie Napier – zauważyła, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami. – W bardziej sprzyjających okolicznościach chętnie skrzyżowałabym z panem szpady w słownym pojedynku.

– Najpierw załatw to, co wymaga załatwienia już teraz, moja droga – ostrzegł ją. – Może i nie zasłużyłaś, żeby zawisnąć. Bóg jeden wie, że sir Wilfred prosił się wręcz, by go zamordowano. Jednak dwulicowość ma swoją cenę. A spójrzmy prawdzie w oczy: uczyniłaś z fałszu niemal sztukę.

Odsunęła się i jęła wyciągać z włosów pozostałe szpilki.

– A zatem? – powiedziała, rzuciwszy je na stół.

– Zatem chcę mieć panią tam, gdzie będę mógł mieć ją na oku, póki skandal wokół śmierci sir Wilfreda nie ucichnie.

– Panie Napier – powiedziała – jeśli spróbuje pan wsadzić mnie do więzienia, Lazonby...

– Nie do więzienia – sprostował. – Stamtąd zbyt łatwo byłoby mu panią w razie potrzeby wyciągnąć.

Jej dłoń zamarła.

– Zatem... gdzie?

– Gdzie indziej – odparł, zbyt głupi, by ugryźć się w język. – Gdzieś, gdzie będzie mogła pani wykorzystać swe niecne talenty.

– Och, nie sądzę – odparła. Odwróciła wzrok i odsunęła się.

Jednak on ledwie ją słyszał, zajęty obmyślaniem planu.

– Tak, to może się udać – wymruczał pod nosem. – Zawrę z panią swego rodzaju pakt, faustowski pakt.

Zdawał sobie sprawę, że musiał postradać chyba zmysły. I że popełnia błąd, którego nie popełnił nigdy wcześniej – pozwala, aby emocje zapanowały nad logiką.

Panna Ashton ewidentnie doszła do tego samego wniosku.

– Widzę, że pan coś knuje – zauważyła z nutką ostrzeżenia w głosie. – Muszę powiedzieć wprost, że nie zamierzam angażować się w nic nielegalnego.

– Och, nagle jest pani tak praworządna! – Roześmiał się. – Boże, *madame*, czy pani bezczelność nie zna granic?

I wtedy dostrzegł w swoim zamyśle sens. Nie chciał pozostawiać tej kobiety na swobodzie, pozwolić, by tak sprytne i szalone stworzenie wkroczyło pomiędzy niepodejrzewające niczego towarzystwo, póki nie upewni się, że nie poluje znowu na kogoś – być może nadal na Lazonby'ego – ponieważ panna Ashton umysł miała zdecydowanie zbyt bystry, żeby mogło wyjść jej to na dobre.

Czy była też niebezpieczna? Nie sądził.

Przynajmniej nie teraz. Płonął jednak z chęci, by mieć ją na oku, odkryć, co właściwie zrobiła i dlaczego. Miał tylko nadzieję, że czyniąc tak, zdoła kierować się głową, nie inną częścią ciała.

Panna Ashton odsunęła się tymczasem jeszcze bardziej.

– Może pan nazwać to bezczelnością, Napier – powiedziała. – Ale cokolwiek zrobiłam, zawsze chodziło mi o sprawiedliwość.

Spojrzał na nią ostro.

– Tak, a teraz rozpaczliwie potrzebuje pani opuścić Londyn – zauważył, myśląc głośno. – Jest pani dość bystra, by wiedzieć, że Lazonby wytrzyma tylko do chwili, aż oczyści w prasie swoje nazwisko i wróci na łono śmietanki towarzyskiej Londynu, co niechybnie wkrótce nastąpi. Nie życzy sobie, by z imieniem

Anishy wiązał się jakikolwiek skandal. Zatem tak, posłuży się panią. A potem rzuci na pożarcie wilkom.

Panna Ashton wzruszyła ramionami. Widział jednak, że słucha.

– Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak zawrzeć pakt z diabłem? – spytała lekko. – A potem... co? Obroni mnie pan przed Lazonbym, jeśli ten zechce mścić się za to, co zrobił mój brat Jack?

– Coś w tym rodzaju – odparł.

Uniosła brodę. Jej arogancja wróciła nienaruszona.

– Musi pan wyrażać się bardziej precyzyjnie.

Wskazał skinieniem głowy bagaże.

– Proszę rozpakować większość – polecił. – Będzie pani potrzebowała tylko jednego kufra. Eleganckie rzeczy, odpowiednie na wsi... i w domu żałoby. Mój stangret przyjedzie po panią we wtorek o ósmej rano.

Panna Ashton zamarła.

– I co pan sobie wyobraża, dokąd mnie niby zawiezie?

– Do Wiltshire – powiedział, podnosząc swoją walizeczkę. – I niczego sobie nie wyobrażam. Pojedzie pani. To będzie pani kara.

– Do Wiltshire? Z... panem? – Spojrzała w ślad za nim. – Ale dlaczego? Co miałabym tam robić?

– Udawać – odparł ponuro. – Bóg jeden wie, że jest pani w tym dobra.

– Potrafię udawać skromną nauczycielkę gramatyki – przyznała. – Wątpię jednak, aby potrzebowali kogoś takiego w Wiltshire.

– Rzeczywiście, za to ja potrzebuję fałszywej narzeczonej – odparł i chwycił kapelusz ze stołu. – Pewnie to z mojej strony niemądre, lecz jednak pani współczuję. Ale, na Boga, póki nie przekonam się, że nie jest pani szalona ani niebezpieczna, zamierzam mieć na panią baczenie.

W końcu udało mu się sprawić, że damie zabrakło słów. Oczy miała jak spodki i dosłownie opadła jej szczęka. Poczuł przypływ współczucia.

– Panno Ashton – powiedział, spoglądając na nią ponuro – uważam, iż przez ponad rok oszukiwała pani połowę Londynu, każąc ludziom wierzyć, że jest pani młodym reporterem o radykalnych poglądach. Z pewnością potrafi pani więc sprawić, by moja wścibska rodzina uwierzyła, że jest pani we mnie choć trochę zakochana. Nie potrwa to dłużej niż dwa tygodnie.

Czy tylko mu się wydawało, czy jej spojrzenie złagodniało?

– I potem będę mogła wyjechać? – spytała, uśmiechając się kątem ust. – Mam pańskie słowo? Słowo dżentelmena?

Przechylił w bok głowę i przyglądał się jej przez chwilę.

– Cóż, to będzie zależało – odparł – czy uzna mnie pani za dżentelmena. I czy potrafi pani zachowywać się jak zdrowy na umyśle, odpowiedzialny członek społeczeństwa. A także, na ile skutecznie uda się pani powstrzymać moich wścibskich krewnych przed wtrącaniem się. Widzi pani, muszę przeprowadzić tam coś w rodzaju dochodzenia. Pani zadaniem będzie sprawić, by mi nie przeszkadzano.

Panna Ashton skrzyżowała ramiona.

– Zatem niech pan przyśle po mnie stangreta – powiedziała. – I może z panem pojadę. A może będę już w połowie drogi do

Szkocji.

Uśmiechnął się.

– Och, nie pojedziesz do Szkocji, moja droga.

Zareagowała olśniewającym uśmiechem.

– Tak pan myśli?

– Ja to wiem – odparł i ruszył do drzwi. – Nakażę połowie konstabli, by pilnowali wszystkich dróg wylotowych z Hackney.

Usłyszawszy to, pospieszyła w ślad za nim.

– Nie jestem przecież więźniem – poskarżyła się. – Nie może pan mnie tu trzymać.

– Nie mogę? – rzucił przez ramię.

– Napier! – Jej spojrzenie wypalało mu dziurę w karku. – Nie ma pan sumienia!

– Tak, już mi to mówiono – zauważył, po czym odwrócił się i ceremonialnie ukłonił. – Zatem, spotkamy się na peronie pierwszym dworca Paddington we wtorek o ósmej rano... Lub znajdę sposób, by panią aresztować.

– Ty psie bez serca – wyszeptała. – Teraz wiem, dlaczego nazywają cię Bezlitosny Roy.

– W rzeczy samej – przytaknął. – Zatem do wtorku rano. I proszę się nie spóźnić. Ma pani pokojówkę? Jeśli nie, proszę jakąś wynająć.

– Tak. Oczywiście, że mam pokojówkę. – Panna Ashton zacisnęła dłonie w pięści. – Lecz może wcale mnie tam nie będzie. Może jestem jedyną osobą, która ma odwagę się panu przeciwstawić.

– Och, przedślubne nerwy? Tak wcześnie, moja droga? – Uśmiechnął się złośliwie i ruszył ku drzwiom. – Nie

spodziewałbym się tego po pani.

– Napier...

Lecz Napier otworzył już drzwi.

– Życzę miłego dnia, panno Ashton – powiedział radośnie, wkładając kapelusz. – Będę liczył godziny, nie mogąc się doczekać, kiedy znów ujrzę moją narzeczoną!

* * *

Lisette przyglądała się, jak Napier kroczy wykładaną kamiennymi płytami dróżką i z trudem powstrzymywała chęć, by rzucić za nim mosiężnym świecznikiem. Lecz był to piękny świecznik i z pewnością nie przetrwałby zderzenia z twardą czaszką Napiera.

Poza tym: za wszystko trzeba płacić.

Teraz wiedziała przynajmniej, jakiego rodzaju zapłaty żąda Napier.

Odwróciła się i ze ściśniętym żołądkiem weszła do saloniku. Fanny stała, niewidoczna na pierwszy rzut oka, w połowie schodów, z zaciśniętą na poręczy dłonią i zaszokowanym wyrazem twarzy.

– Jadę z panienką – powiedziała.

– Och, Fanny. – Lisette rzuciła pokojówce zaniepokojone spojrzenie. – Słyszałaś, prawda?

– Oczywiście. – Rysy dziewczyny ściągnęły się w wyrazie niepokoju. – Gdy tylko go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że sprowadzi na nas kłopoty.

Lisette podeszła do biurka i opadła na krzesło ze wzrokiem utkwionym w portret Ellie.

– On wie, prawda?

– Owszem – odparła z ponurą miną Fanny, schodząc. – Ale wie również, że za diabła nie uda mu się nic udowodnić.

Lisette przeczesała dłonią krótkie loki, przyglądając się, jak Fanny zbiera szpilki rozrzucone po blacie. Musiała przyznać, że Napier budził w niej respekt. Nie lubił jej. Ale nie przepadał też za sir Wilfredem Leetonem.

Fanny potrząsnęła peruką.

– Zamierza panienka jechać, prawda?

Lisette wstała, czując, jak wraca jej pewność siebie.

– Dlaczego nie? – spytała i odwróciła się do biurka. – I tak chciałam uciec z Londynu, znaleźć się jak najdalej od Lazonby'ego. Może... może Napierem da się manipulować?

– Och, nie jestem pewna, panienko – odparła Fanny sceptycznie.

– Cóż, musimy spróbować. – Lisette uśmiechnęła się z przymusem. – Zatem do dzieła. Powiedz, proszę, pani Fenwick, żeby przestała pakować rzeczy. Niech przyśle mi wszystkie gazety, których zamierzała do tego celu użyć.

– Tak? – Pokojówka spojrzała na nią zaintrygowana. – Po co?

– Zawsze należy poznać wroga, Fanny – odparła Lisette. – A ja zamierzam poznać mojego naprawdę dobrze.

Rozdział 5
Kiedy to nasza nieustraszona bohaterka rzuca się w wir przygody

O wpół do dziesiątej rano na stacji końcowej Great Western panował ogłuszający zgiełk. Lisette wysiadła z powozu pana Napiera, wzięła do rąk torbę podróżną, zebrała się w sobie i ujęła pod ramię Fanny.

Razem minęły kilka czekających dwukółek, weszły do budynku stacji i zostały natychmiast porwane przez tłum podróżnych spieszących na perony albo ku wyjściu. Dodajmy do tego potok tragarzy, służących i urzędników kolejowych, a otrzymamy iście oszołamiające pandemonium.

Lisette podróżowała dotąd pociągiem tylko raz, z Liverpoolu do Londynu, i była wtedy tak zaabsorbowana, że zapamiętała niewiele. W rzeczy samej, została wyrwana z dawnego życia w Bostonie tak gwałtownie, że nie zamknęła nawet porządnie domu, lecz przefrunęła niemal Atlantyk, ściskając w dłoni stary, pognieciony egzemplarz londyńskiego „Timesa". Artykuł na stronie tytułowej, obwieszczający rychłe zwolnienie z więzienia Lazonby'ego, znała niemal na pamięć.

Nie opuszczała jej myśl o ojcu, takim przystojnym i wesołym. O Ellie, pięknej i obiecującej. Nieustająco zastanawiała się także, dlaczego to ją, najmniej wartą z całej trójki, los łaskawie oszczędził.

Tak, podróż i przejazd pociągiem zlały się w pamięci Lisette w jedno zamazane wspomnienie. Lecz ten artykuł – i późniejsze spotkanie z Roydenem Napierem – pamiętała doskonale.

– Tam jest, panienko – Fanny wskazała mężczyznę w wysokim kapeluszu, blokującego przejście. – Pod znakiem zawieszonym na krokształynie.

– Och, rzeczywiście. Ruszajmy zatem, Fanny.

Lisette, znacznie wyższa od pokojówki, zaczęła torować sobie drogę wzdłuż peronu, mijając prowizoryczne pomieszczenia oznakowane jako *Przechowalnia bagażu*, *Kasy biletowe* oraz *Telegraf*, póki nie dotarła do znaku.

Komisarz stał tuż pod nim, wysoki i sztywny, ubrany bardziej elegancko, niźli zdarzyło jej się go dotąd widywać – w czarny żakiet, szarą jedwabną kamizelkę oraz szeroki, śnieżnobiały krawat. Rondo kapelusza otaczała czarna wstążka, co stanowiło ukłon w stronę żałoby, przez ramię miał zaś Napier przewieszoną czarną jak węgiel pelerynę z podszewką w kolorze cyny.

Mahoniowe włosy, ciężkie i błyszczące, opadały mu na twarz, a pociągłe, lekko zapadnięte policzki podkreślały wydatne kości nad szczęką, która była – zapewne jak sam Napier – mocna i kwadratowa.

U stóp komisarza stała wielka skórzana waliza, opierał się zaś na eleganckiej laseczce z mosiężną gałką. Ponure, nieustępliwe spojrzenie utkwił w tarczy trzymanego w dłoni zegarka i to

otwierał, to zamykał złotą kopertę, jakby odmierzał każdy krok Lisette.

Zatrzymała się, upuściła torbę i spojrzała na niego. Musiała mocno zadrzeć głowę, gdyż choć sama była wysoka, Napier zdawał się górować nad nią w sposób prawie onieśmielający.

Zignorowała to.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała radośnie, unosząc do pocałunku dłoń w rękawiczce. – Och, jakże dłużył mi się czas, odkąd spojrzałam po raz ostatni na twoje przystojne oblicze.

Przeniósł na nią spojrzenie ciemnych oczu, o wiele zbyt bezpośrednie i zjadliwe.

– Zatrzymaj to na Wiltshire, Sarah Siddons – powiedział, nawiązując do słynnej w Anglii aktorki. Zatrzasnął kopertę i wsunął zegarek do kieszonki. – Czy stangret zajął się waszymi bagażami? O, jest Jolley. Masz bilety? Doskonale.

Lisette opuściła dłoń.

Jolley był, jak się okazało, lokajem Napiera. Powiedział, że owszem, ma bilety, bagaż został załadowany, a stangret odesłany. Szczupły, lekko pochylony starszy mężczyzna prezentował światu znużone spojrzenie i ani odrobiny lęku przed chlebodawcą.

– Musiałem wziąć dwa ostatnie miejsca – zakończył z wyrazem rezygnacji na twarzy – w drugiej klasie.

– Z pewnością podróżowałeś już w gorszych warunkach. – Napier schylił się, chwycił płynnym ruchem walizę i podniósł ją bez wysiłku, podobnie jak torbę Lisette. – Proszę zostawić pokojówkę z Jolleyem, panno Ashton i pójść za mną.

Po czym, nie wyjaśniając niczego więcej, ruszył przed siebie peronem, dźwigając bez wysiłku bagaże i wymachując beztrosko

laseczką. Peleryna, którą miał przewieszoną przez ramię, unosiła się lekko, poruszana wiatrem, gdy szedł.

Lisette ścisnęła po raz ostatni dłoń Fanny i pospieszyła za nim, pozbawiona szansy, aby poruszać się z gracją godną damy. Kiedy mijała posykującą zieloną lokomotywę, ta wydała z siebie niespodziewanie przerażający świst, wyrzucając strumień pary i przerażając Lisette niemal na śmierć.

Zatrzymała się i przycisnęła dłoń do serca.

Czy świat zmierzał doprawdy w takim kierunku? By wszyscy spieszyli się szaleńczo jak szczury wypłoszone z nory? Po to jedynie, by dać się zamknąć w przerażających, dusznych i hałaśliwych klatkach, które powiozą ich ku następnemu miejscu, pełnemu pośpiechu i zamieszania?

Napier szedł niestrudzenie dalej, nieświadom tego, co dzieje się za nim.

Zaklęła więc cicho pod nosem, poprawiła kapelusz i ruszyła peronem.

Przeszli tak jeszcze ze dwadzieścia jardów, a potem Napier zatrzymał się i wcisnął monetę w dłoń czekającego pracownika obsługi. Mężczyzna zeskoczył na peron i otworzył drzwi przedziału pierwszej klasy. Napier wstawił bagaże, a mężczyzna wsiadł, aby umieścić je na półkach.

Kiedy skończył, Napier podał dłoń Lisette i pomógł jej wejść na stopień. Lecz kiedy to robił, jakieś mroczne, niedające się odczytać emocje przemknęły mu przez twarz i Lisette pożałowała, nie wiedzieć czemu, że ma na dłoni rękawiczkę.

Czy chodziło o dotyk mężczyzny, tak pewny jak jego spojrzenie? Lub mocne ramię?

Lecz Napier wsiadł za nią i odstawił laseczkę z głośnym stuknięciem. Nagły dźwięk przerwał dziwną, magiczną chwilę. Drzwi przedziału zatrzasnęły się, rozbrzmiał kolejny, przerażający świst i pociąg gwałtownie szarpnął. Lisette, która ledwie zdążyła przycupnąć na siedzeniu, niemal została z niego zrzucona. Napier chwycił ją wszakże i podtrzymał, ściskając mocno poniżej łokcia.

Zażenowana, uniosła dłoń do kapelusza, by go przytrzymać.

– Cóż, wyglądało to prawie jak ucieczka – mruknęła, gdy cofnął rękę. – Był pan pewny, że się pojawię, prawda?

Spojrzał na nią bez wyrazu.

– Póki Jolley nie zauważył powozu, nie wykupiłem biletów – powiedział, siadając. – Nie spodziewałem się, że przyjdzie pani dobrowolnie.

Lisette spojrzała na niego z gniewem.

– Przysłałam przecież wczoraj wiadomość – powiedziała – i poinformowałam, że przyjmę pańskie... cóż, nazwijmy to uprzejmym zaproszeniem.

Machnął lekceważąco dłonią.

– Uznałem to za wybieg. Coś, co miało pozbawić mnie czujności.

Lisette przewróciła oczami.

– Biedny Napier! – powiedziała. – Cóż za kompletny brak zaufania do ludzkiej natury! Zastanawiam się, jak może pan z tym żyć.

Czy tylko to sobie wyobraziła, czy rzeczywiście się skrzywił?

– Jakoś mi się udaje – odparł.

Zwrócił mroczne spojrzenie za okno, wpatrzył się w wysokie żelazne wsporniki stacji Paddington. Mijali je jeden po drugim, podczas gdy metaliczny stukot metalu o metal przybierał z każdą

chwilą na sile. Napier rozsiadł się, jakby posiadał na własność cały przedział, zauważyła zirytowana. Ramię wyciągnął swobodnie wzdłuż ławki, nogi rozstawił szeroko, a pelerynę rzucił na siedzenie obok.

Przypatrywała mu się w milczeniu, czekając, aż powie coś więcej. I rzeczywiście, taktyka okazała się skuteczna.

Po pięciu minutach odwrócił się od okna i utkwił w niej stanowcze spojrzenie.

– Rozumie pani zatem, że zamierzam domagać się dotrzymania umowy? – zapytał w końcu niskim, głębokim głosem. – Ostrzegam panią jednak, panno Ashton. Nie będę tolerował sprzeciwu wobec moich działań ani żadnego fałszu.

– Ależ jak coś takiego mogłoby przyjść mi w ogóle do głowy? – spytała słodko. – Żadnego oszukiwania. Po tym, jak skłonił mnie pan szantażem, żebym zgodziła się w jednym oszustwie uczestniczyć.

Obrzucił ją długim, szacującym spojrzeniem, po raz pierwszy pozwalając sobie bez żenady się jej przyglądać. Przesunął wzrokiem z wystudiowanym zainteresowaniem po twarzy Lisette, jakby nie wiedział, co z nią zrobić.

Wyczuwała w nim tego dnia jakiś rodzaj niechęci i zaczęła się zastanawiać, czy nie żałuje poczynionego pod wpływem emocji planu. Bo że kierował się nimi, uświadomiła sobie już wtedy, gdy wykrzykiwał rozkazy w jej salonie w Hackney.

A przecież nie wyglądał na człowieka skłonnego ulegać impulsom. Już raczej na zimnego i wyrachowanego. Ciekawe, co zrobiłby, gdyby nie pojawiła się na dworcu? Może w duchu by mu ulżyło? Złapałby późniejszy pociąg i zajął się swoimi sprawami?

– Myślę, panie Napier, iż zaczyna pan żałować naszej umowy – zaryzykowała.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Jestem przekonany, że będę tego żałował – przyznał w końcu. – Mam do załatwienia delikatną sprawę. I jak ostatni głupiec pozwoliłem, by pokierował mną impuls.

– Nie ufa mi pan – dodała.

– Nie ufam – powtórzył, unosząc w posępnym uśmiechu kącik ust. – Czuję się raczej tak, jakbym złapał za uszy wilka.

– Och, a ja nie? – Oparła głowę o ściankę i westchnęła głęboko. – Powinnam była uciec, prawda? – kontynuowała. – Nie schwytałby mnie pan... przynajmniej tak myślę. Zapędził mnie pan jednak w kozi róg z czystej złośliwości.

– Bez wątpienia – przyznał.

– Jednak się pojawiłam i teraz jesteśmy tu uwięzieni – powiedziała – przynajmniej do następnej stacji.

Nie odzywali się przez jakiś czas, siedzieli w mroku przedziału, przysłuchując się rytmicznemu stukotowi kół, kiedy pociąg mijał rogatki Londynu.

Napier zajął, jak przystało na dżentelmena, miejsce tyłem do kierunku jazdy, co pozwoliło Lisette spoglądać na zbliżające się Notting Hill. Wpatrywała się bez zainteresowania w rogatki cywilizacji, póki nie zniknęły na dobre, zastąpione wiejskim krajobrazem.

W końcu milczenie zaczęło jej ciążyć. Chrząknęła głośno.

– Dokąd właściwie jedziemy? – spytała. – I jak długo potrwa podróż?

– Około trzech godzin – powiedział. – Wysiądziemy w Swindon Junction, skąd udamy się do zapomnianych przez Boga i ludzi ostępów Wiltshire.

Spróbowała uśmiechnąć się sarkastycznie, ale ku swemu przerażeniu przekonała się, że nie potrafi.

– Zatem nie zamierza pan wysadzić mnie na najbliższej stacji?

Napier wyglądał znowu przez okno, ściągnąwszy mocno brwi.

Czy naprawdę mógł rozważać coś takiego? I dlaczego poczułaby się tym rozczarowana? Bała się go, i to nie na żarty. Nie było w nim nic, do czego mogłaby się odwołać. Nie ufał jej, co zrozumiałe. Ale też jej nie lubił. A pewnie nawet potępiał.

Czy właśnie to aż tak ją martwiło?

Cóż, być może, podobnie jak fakt, iż jej życie legło po raz kolejny w gruzach.

Na samą myśl o tym poczuła, że szczypią ją oczy. Jeszcze chwila i się rozpłacze. Przez ponad połowę swego dwudziestosiedmioletniego życia wszystko, co robiła, podporządkowane było jednemu celowi: zemście. A teraz, kiedy jej wreszcie zaznała, czuła w ustach smak popiołu. Wyłoniła się z oparów szaleństwa niczym kret wysuwający głowę na światło dnia po to jedynie, żeby blask go oślepił.

Z pewnością było w jej życiu coś więcej? Musiało być! I jeśli tego nie znajdzie – albo przynajmniej nie skupi się na czymś, co mogłoby zająć na jakiś czas myśli – może naprawdę postradać zmysły. Ale, na Boga, czy Royden Napier to wszystko, co jej zostało? Naprawdę chciała pojechać z nim do Wiltshire?

Na razie tak to właśnie wyglądało. Pragnęła uciec od siebie za wszelką cenę, choćby i z Napierem.

– Proszę posłuchać – zaczęła – może i zawarłam pakt z diabłem, ale...

– Doprawdy? – Odwrócił głowę i uniósł groźnie brwi.

Lisette z pozorowaną nonszalancją wzruszyła ramionami.

– W tej chwili tak to właśnie odbieram. Lecz jestem tutaj, czyż nie?

– Dlaczego zbytnio mnie to nie pociesza? – wymamrotał.

Lisette spojrzała na niego gniewnie.

– Jeśli nie zmieni pan nastawienia, czeka nas kilka naprawdę ciężkich dni.

– Owszem – przytaknął. – Albo tygodni.

– Jak miło – stwierdziła zjadliwie.

– Ma pani jakieś plany, panno Ashton? Musi pani kogoś poprześladować, zniesławić lub uciec? – Spojrzenie Napiera stwardniało. – A tak przy okazji, proszę zdjąć tę okropną perukę.

– Ale... – spojrzała na niego, zaszokowana. – Nie mam włosów.

– Owszem, ma pani – odparował. – Co więcej, pasują do pani, a ta peruka nie.

– Krótkie loki wyszły z mody po śmierci lady Caroline Lamb – ostrzegła Lisette, unosząc dłonie, by odpiąć perukę. – Lecz jeśli życzy pan sobie, by pańska narzeczona uznana została za osobę niekonwencjonalną, proszę bardzo.

– Panno Ashton – zauważył obojętnie – w pani nie ma nic choćby odrobinę konwencjonalnego i żadna peruka tego nie zmieni.

Nie wiedziała: poczuć się urażoną czy pochlebioną? Zdjęła jednak perukę i uwolniła krótkie loki, które Fanny tak pracowicie

upięła, a potem przeczesała je palcami. Royden Napier przyglądał się temu z uwagą, ale się nie odezwał.

Nie zadała sobie trudu, by włożyć znowu kapelusz, ponieważ peruka nadal była do niego przypięta. Zamiast tego utkwiła wzrok w krajobrazie za oknem, zamykając się w sobie jak przedtem Napier. Mijali właśnie stary sad rosnący za niskim kamiennym murem. Kamiennym jak jej skamieniałe serce. Drzewa powyginały się ze starości jak jej charakter pod wpływem goryczy.

Nie chciała z niej zrezygnować. Zbyt dużo kosztowało ją, aby jej serce stało się tak nieczułe. Zamierzała pomóc Napierowi – z egoistycznych powodów – ale i może trochę, odrobinę, ze współczucia?

Nie zmieniało to jednak niczego, co zrobiła. Nie zmieni też tego, jakim człowiekiem był Napier – ani co o niej myślał. Obawiała się, że nic nie zdoła naprawić tej szkody. Nic nie złagodzi wyrazu tych oczu, nie usunie z warg pogardliwego grymasu. Powiedziała sobie twardo, że o to nie dba, i modliła się, aby była to prawda.

Odwróciła się od okna i przygwoździła go spojrzeniem.

– Cóż – zagaiła – skoro nie zamierza mnie pan wypuścić, lepiej się przygotujmy.

Zmrużył oczy.

– Do czego?

– Do udzielenia wyjaśnień – odparła. – Musimy przygotować sobie jakąś historyjkę. Na Boga, jest pan policjantem, czyż nie? Jak mamy przeprowadzić tę pańską mistyfikację, jeśli nie będziemy mieli planu?

– Tak, oczywiście – przytaknął z pogardą. – Zdaję się w tej sprawie na eksperta. Od czego zaczniemy?

– Po pierwsze – odparła – muszę wiedzieć, czy sądzi pan, że lord Saint-Bryce zmarł śmiercią naturalną.

– Słucham? – zapytał, spoglądając na nią z rezerwą.

– Po drugie: jakie łączy pana z nim pokrewieństwo.

– Doprawdy? – Podejrzliwe spojrzenie złagodniało, lecz tylko odrobinę. – A ja powinienem się dowiedzieć, jak...

Uniosła dłoń, powstrzymując go.

– Owszem, pomagałam wujowi prowadzić gazetę, panie Napier – powiedziała. – Potrafię wyszukiwać fakty. Powiedział pan, iż jedzie odwiedzić rodzinę. W Wiltshire. I że w domu panuje żałoba. Polecił pan także, bym zabrała najelegantsze stroje.

– I co..?

– A to, że tylko jeden dżentelmen zmarł w Wiltshire w ciągu mniej więcej ostatnich trzech miesięcy, i był nim baron Saint-Bryce, zatem...

– Dobry Boże – przerwał jej.

– ...zatem nietrudno się domyślić, że musi pan być z nim spokrewniony – naciskała. – A ponieważ nie wydaje się pan tą wizytą uszczęśliwiony ani trochę bardziej niż ja, na dodatek polecił mi, bym oszukiwała pańskich krewnych i usuwała ich z drogi, nietrudno dojść do wniosku, że bada pan sprawę kryminalnej natury.

– Dobry Boże – powtórzył.

– Tak, tak – przerwała mu Lisette niecierpliwie. – Jest dobry, lecz nie pomoże żadnemu z nas, prawda? Nie w tej sprawie. Może

pan równie dobrze zaprzestać przywoływania jego imienia i powiedzieć mi, kto jest kim i jak wygląda sytuacja w Wiltshire.

Rzucił jej mroczne spojrzenie.

– Widzę, że dowiedziała się pani prawie wszystkiego, zanim zdążyłem choćby otworzyć usta. Może powinienem pozwolić po prostu, by pani kontynuowała?

Lisette uśmiechnęła z udawanym pobłażaniem.

– Proszę dać spokój, Napier. Przyjęłam pańską propozycję. Czy jest jakiś powód, bym zaangażowała się tylko częściowo? Nie lepiej zrobić wszystko szybko i jak należy, byśmy mogli jak najrychlej się rozstać? Tak ja to widzę.

– Cóż, jest w tym pewna logika – burknął. – Doskonale. Saint-Bryce był starszym bratem mojego ojca. Nie mam pojęcia, co go zabiło. Zmarł jednak nagle, kilka tygodni przed tym, nim zdążył ponownie się ożenić.

Lisette zastanawiała się przez chwilę.

– Lecz jego nazwisko rodowe brzmi Tarleton – powiedziała w końcu. – Jest pan bękartem?

– Nazywano mnie już gorzej, choć moi rodzice byli małżeństwem – stwierdził z przebłyskiem sardonicznego humoru. Dopiero teraz zauważyła, że jego oczy nie są czarne, lecz ciemnobłękitne. – Ojciec przyjął nazwisko żony. To długa historia.

– I długa podróż – odparła Lisette. – Zostawmy to jednak. Zmierzamy zatem, jak rozumiem, do Burlingame Court?

– Tak – odparł lakonicznie.

– Domu barona Saint-Bryce'a i... – zawahała się – jego ojca, czyli pańskiego dziadka?

– Tak.

– Zatem pańskim dziadkiem jest nie kto inny jak wicehrabia Duncaster? – naciskała. – Doprawdy, Napier, muszę to z pana wyciągać? Spędziłam połowę życia w Ameryce. Nie miałam czasu zagłębiać się w artykuły na temat arystokracji ani towarzyskie plotki.

– Co chce pani wiedzieć?

– Musi pan opowiedzieć mi o tych ludziach.

Napier rzucił elegancki czarny kapelusz na siedzenie obok i wydął policzki.

– Doskonale – powiedział. – Duncaster miał trzech synów. Mój ojciec, czcigodny Nicholas Tarleton, był najmłodszy, ale opuścił rodzinę po kłótni i został wydziedziczony.

– Ach – zauważyła Lisette. – Pieniądze? Małżeństwo?

– Małżeństwo. A w jego wyniku odcięcie od pieniędzy. Rodzinnych pieniędzy.

– Tak to już bywa w podobnych przypadkach – stwierdziła Lisette sucho. – Jednak pański ojciec zmienił nazwisko. To... robi wrażenie, a także wyjaśnia, dlaczego musiał pan zarabiać na utrzymanie. Często bywa pan w domu?

– Każdego dnia po pracy – odparł sztywno. – Jednak w Burlingame byłem tylko dwa razy. W zeszłym roku lord Hepplewood napisał do sekretarza w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych z prośbą...

– ...Hepplewood to mąż pańskiej ciotecznej babki? – przerwała mu. – Siostry lorda Duncastera?

– Siostry przyrodniej, tak – poprawił ją. – Jest dzieckiem z drugiego małżeństwa. Co zaś się tyczy jej męża, zmarł w Burlingame po napisaniu tamtego dziwnego listu. Cioteczna

babka pozostała w posiadłości, spowita w krepę i emanująca złośliwością.

– W Burlingame? Nie w domu męża?

– Domyślam się, że od dawna spędzali część roku u Duncastera – odparł Napier. – A przed rokiem czy dwoma przeprowadzili się tam niemal na stałe. Można by odnieść wrażenie, że posiadłość Hepplewooda w Northumberland to jedynie ruina, w której szaleją przeciągi.

– Northumberland i przeciągi jakoś do siebie nie pasują.

Napier wzruszył ramionami.

– Lady Hepplewood zawsze była uparta i samowolna – odparł. – Jest o wiele młodsza od brata, bardzo mu oddana i woli swój dom rodzinny. Hepplewood, jako dyplomata, najwidoczniej wolał jej ustępować.

– Tak, pamiętam jego polityczną karierę – zauważyła. – Czy nie był przez krótki czas ambasadorem w Stanach Zjednoczonych?

– Zapewne.

– Tak ważna persona nie wolałaby mieszkać bliżej Londynu? Kto zarządza jego włościami?

– Jakiś daleki kuzyn. – Machnął lekceważąco dłonią. – Choć Hepplewood zostawił syna: rozpieszczonego aroganta przepuszczającego rodzinną fortunę w Londynie.

– To on jest teraz lordem Hepplewoodem – zauważyła Lisette.

– Owszem. Tony, tak ma chyba na imię. – Zamyślił się. – Ciotka Hepplewood urodziła go dość późno i bez wątpienia przesadnie mu pobłaża. Nie wiem o nim zbyt wiele poza tym, że jest okropnie bogaty, mieszka przy Clarges Street i uprawia nieustająco hazard, oczywiście tylko w najlepszych lokalach.

– Nie wpadł nigdy na obiad do domu przy Eaton Square? – spytała chłodno. – Ciekawe dlaczego.

– Podejrzewam, że nie ma ochoty jadać w towarzystwie wydziedziczonego, zapracowanego urzędnika – odpalił Napier. – Nie bardziej niż ja zadawać się z zepsutym, aroganckim utracjuszem.

Lisette wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że w Burlingame panuje niezły tłok – zauważyła. – Saint-Bryce zostawił dzieci, prawda? A dziadzio Duncaster nadal żyje?

Napier skrzywił się po raz kolejny.

– Pomimo iż usiłowano mi wmówić, że jest inaczej, spodziewam się zastać go w doskonałym zdrowiu – odparł. – I tak, Saint-Bryce miał dzieci. Trzy córki: najstarsza jest zatwardziałą starą panną, średnia wyszła co prawda za mąż, lecz wraca często do Burlingame, a trzecia, najmłodsza, to jeszcze uczennica.

– A lady Saint-Bryce?

– Były dwie. Ostatnia zmarła przed rokiem po długiej chorobie.

– Zatem obie żony zostawiły Saint-Bryce'a bez dziedzica – wymamrotała Lisette. – A on zmarł, nim zdążył po raz trzeci się ożenić. Interesujące. O kim jeszcze powinnam wiedzieć?

Napier chrząknął.

– To już, dzięki Bogu, wszyscy – odparł. – Choć nie, zapomniałem o kuzynce Hepplewooda, Dianie Jeffers. Domyślam się, że jest damą do towarzystwa lady Hepplewood.

– Doskonale. Uściślimy, kto jest kim. – Zaczęła liczyć na palcach: – W Burlingame mamy pańskiego dziadka, Duncastera, jego o wiele młodszą siostrę, lady Hepplewood, obecnie owdowiałą.

Jej syna Tony'ego, mieszkającego w Londynie. Jej towarzyszkę, Dianę. A także trzy córki Saint-Bryce'a. Mogę poznać ich imiona?

– Najstarsza, stara panna, ma na imię Gwyneth – odparł. – Anne wyszła za łysiejącego, niezwykle spokojnego faceta, którego widziałem tylko raz, na pogrzebie. Dziewczynka zaś to Bea.

– Doskonale. Zyskałam przynajmniej pojęcie, z kim będziemy mieć do czynienia. Nie zamierza pan jednak powiedzieć mi, po co właściwie tam jedzie i co podejrzewa?

– Nie zamierzam.

– Jak pan sobie życzy. – Wzruszyła ramionami. – Nie było to częścią umowy.

Nie próbowała go przekonać, lecz wstała, zdjęła z półki swoją torbę i buszowała w niej przez chwilę w poszukiwaniu papieru i ołówka. Lecz kiedy miała ją odłożyć, pociąg skręcił gwałtownie w lewo i zahamował. Lisette, chwycona w pół ruchu, zatoczyła się do tyłu.

– Och! – krzyknęła, gdy para mocnych, pewnych ramion chwyciła ją w talii. Pociąg wyjechał znowu na prostą, gwizd lokomotywy ucichł, a Lisette uświadomiła sobie, że siedzi na kolanach Napiera, wpatrując się w jego granatowe oczy o przenikliwym spojrzeniu. Jedną dłonią otaczał talię Lisette, druga obejmowała ściśle jej pierś.

Przełknęła mocno ślinę i spłonęła rumieńcem.

– Och!

Duża, ciepła dłoń zsunęła się z jej biustu, jednak nieprzesadnie szybko.

– Przepraszam – mruknął.

Lisette nie była w stanie odpowiedzieć ani nawet myśleć. Byli tak blisko siebie, że czuła piżmowy, męski zapach i widziała cień zarostu na policzkach Napiera. Pasmo ciemnych włosów opadło mu na czoło, łagodząc surowość rysów i przydając twarzy łobuzerskiego uroku.

Zamrugała i spojrzała na niego.

– Do licha – wykrztusiła. – Jakież to niestosowne, nawet jeśli mamy wkrótce się pobrać.

Napięcie opadło, a oczy Napiera zabłysły. Jakoś opanowała się na tyle, by zejść mu z kolan. Pomógł jej, unosząc jak piórko. Jego dłonie pozostały jednak na talii Lisette zdecydowanie dłużej, niż było potrzeba.

Chwyciła się półki na bagaż i strzepnęła spódnicę, a potem usiadła z największą godnością, na jaką tylko mogła się zdobyć. Pociąg wjeżdżał właśnie na stację – a raczej stacyjkę – aby zatrzymać się po chwili z głośnym zgrzytem kół.

– Dziękuję – powiedziała – za to, że mnie pan złapał. – Wzięła do rąk papier i ołówek. Miała nadzieję, że nie jest czerwona jak burak.

– Panno Ashton... – zaczął Napier surowo.

Spojrzała na niego i zobaczyła, że palce, którymi przytrzymywał się ławki, zbielały. – Tak?

– To rzeczywiście... niestosowne.

Lisette opuściła gwałtownym ruchem ołówek.

– Zatem proszę mi wybaczyć – odparła z gniewem. – Nie mam doświadczenia, jeśli chodzi o pociągi. Co zaś się tyczy rzeczy niestosownych, to pan położył dłoń na mojej... cóż, nieważne.

– Nie o to mi chodziło – odparł. – Miałem na myśli to, że my... cóż... nie powinniśmy przebywać ze sobą w Burlingame zbyt często. Pani będzie miała swoje zadanie, ja swoje.

– Tak, zapewne.

– Musimy skupić się na tym, co mamy do zrobienia – dodał cokolwiek ochryple. – Nie możemy sobie pozwolić na żaden fałszywy krok.

– Nic takiego nie zrobiłam, Napier. – Lisette chwyciła znowu ołówek. – Rzuciło mnie na pana, kiedy ta monstrualna bestia, do podróżowania którą zmusił mnie pan szantażem, gwałtownie zahamowała.

Jego oczy nadal niebezpiecznie błyszczały.

– Lubi pani używać określenia szantaż.

– Ponieważ oddaje istotę sprawy – odparowała. – Co więcej, moim zdaniem ostatnią naprawdę użyteczną machiną, jaką wynaleziono, była prasa drukarska. Zatem, gdy ta przeklęta sprawa wreszcie się skończy, będzie pan mógł wsadzić mnie do pierwszego dyliżansu pocztowego do Londynu i pomachać mi na pożegnanie. I proszę mi wierzyć, kiedy już dowiem się wszystkiego, co powinnam wiedzieć, wypełnię swoją część umowy bez zarzutu.

Teraz to Napier wydawał się dziwnie rozbawiony.

– Miło mi to słyszeć.

Lisette westchnęła zdesperowana.

– Powtórzmy sobie jeszcze raz wszystkie imiona, nazwiska i tytuły – powiedziała. – Muszę je zapisać i zapamiętać.

– Dlaczego miałoby to panią obchodzić – zauważył bez złośliwości – skoro nie obchodzi mnie?

Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

– Zbytnio pan przywykł to wyrąbywania sobie ścieżki przez życie, mając po swojej stronie prawo – odparła. – Lecz teraz wybiera się pan z wizytą do rodziny, i to z mało chwalebnym zamysłem, delikatnie mówiąc.

Wzruszył szerokimi ramionami.

– I..?

– ...zamierza pan przedstawić mnie jako przyszłą żonę – zakończyła. – Nawet jeśli nie interesuje się pan tymi ludźmi, uznaliby za bardzo dziwne, gdybym i ja nie była nimi zainteresowana. Kobiety wiedzą po prostu takie rzeczy, Napier, ponieważ są one dla nich ważne.

– Tak, zapewne.

– Zapewne? – spojrzała na niego z naganą. – A jeśli jestem interesowna? Wie pan, większość kobiet taka właśnie jest. Najprawdopodobniej mam zamiar pana poślubić z uwagi na rodzinne powiązania.

– Nie na mój nieodparty urok? – zapytał Napier z ironią. – Lub mój majątek?

– Nie posiada pan uroku – odparła. – Lecz proszę opowiedzieć mi więcej o majątku. Może rozbudzi to we mnie uczucie.

– Wilk schwytany za uszy – wymamrotał.

Lisette tylko się uśmiechnęła, trzymając w pogotowiu ołówek.

Pociąg ruszył, a Napier przesunął znużonym gestem dłonią po twarzy i jął recytować po raz kolejny najdrobniejsze szczegóły dotyczące rodziny Tarletonów. Nie zaskoczyło Lisette, że je zna. Gdy podejmował dochodzenie, jego zadaniem było wiedzieć wszystko o wszystkich.

Mówił jednak o nich tak, jakby byli obcymi ludźmi, nie rodziną, wzrok miał utkwiony w krajobraz za oknem. Poranne słońce padało mu na twarz, gdy podnosiła od czasu do czasu wzrok, oświetlając ją do połowy. Druga połowa pozostawała w cieniu, co w dziwny sposób odzwierciedlało jego osobowość.

Lisette zażartowała kiedyś na ten temat, lecz Napier był rzeczywiście godnym uwagi mężczyzną. Nie pięknym, nie, gdyż jego rysy były na to zbyt wyraziste, spojrzenie za twarde. Wydatny, ostry nos, odziedziczony zapewne po odległych, rzymskich przodkach zaświadczał o uporze i zawziętości. Jednakże w pokoju pełnym bogatszych, bardziej przystojnych mężczyzn i tak przyciągałby spojrzenia kobiet, ponieważ odznaczał się czymś, co jej stara guwernantka nazywała „specyficznym ne sais quoi".

I choć miał nieczułe serce, był od Lisette o pół głowy wyższy, co w dziwny sposób sprawiało jej przyjemność. Kiedy spotkają się z jego rodziną, nie będą stanowili niedobranej pary.

Nim skończył mówić, zdążyła naszkicować w miarę dokładne drzewo genealogiczne starej, szlacheckiej rodziny – choć nie uświadomiła sobie wtedy jeszcze, iż brakuje w nim jednego, niezwykle istotnego szczegółu.

– Zamierza pani zapamiętać to wszystko? – spytał, wyrywając ją z zamyślenia.

– Chyba już mi się udało – odparła, sprawdzając listę. – Mam łatwość zapamiętywania rzeczy, gdy o nich przeczytam.

Przyglądał się jej przez chwilę bez słowa. Lisette odłożyła kartkę.

– To by było na tyle – powiedziała. – Pański dziadek. Cioteczna babka. Jej towarzyszka. Córki wuja Saint-Bryce'a: stara panna, mężatka i uczennica. A może, jeśli dopisze nam szczęście, arogancki i mało szacowny utracjusz Tony pojawi się, aby dostarczyć krewnym rozrywki. Coś jeszcze powinnam wiedzieć?

– Nie. – Milczał przez dłuższą chwilę, wyraźnie zakłopotany. – Cóż. Być może. Widzi pani, Cordelia... cioteczna babka, lady Hepplewood...

– Tak?

– Powzięła pewien niefortunny zamysł. – Lisette wpatrywała się w niego zaintrygowana, wzniósł więc oczy do nieba i zrezygnowany dokończył: – Sir George twierdzi, że lady Hepplewood wbiła sobie do głowy, iż powinienem poślubić jej towarzyszkę.

– Pannę Jeffers? – Lisette cofnęła się, przyłożywszy w dramatycznym geście dłoń do serca. – Dlatego tak bardzo jestem panu potrzebna. Lecz jeśli będę miała rywalkę, nie przyjmę tego z pokorą, ostrzegam. Jestem nie tylko interesowana, Napier, ale też zaborcza.

Uśmiechnął się lekko, przesuwając po twarzy Lisette spojrzeniem, jakby od nowa ją oceniał. – Doskonale – powiedział w końcu. – Proszę działać szybko i brutalnie, jeśli będzie pani musiała. Nie chciałbym nikogo rozczarować – choć prawdę mówiąc, jak kobieta może chcieć poślubić mężczyznę, którego prawie nie zna? Lecz ciotka twierdzi, że skoro biedna dziewczyna miała wyjść za mąż... – Zamilkł, a potem, ku zaskoczeniu Lisette, lekko się zaczerwienił.

Utkwiła dyplomatycznie wzrok w notatkach.

– Dama miała poślubić chyba lorda Saint-Bryce'a.

– Właśnie – mruknął. – A oni wyobrażają sobie chyba... cóż, że teraz to ja nim jestem.

Chwilę trwało nim to, co powiedział, w pełni do niej dotarło, a gdy tak się stało, upuściła ołówek.

– Boże wielki – powiedziała. – Dziedzic Duncastera, baron Saint-Bryce, haruje w służbie Korony?

Skrzywił się poirytowany.

– Nic nie zostało jeszcze ustalone.

– Cóż, żaden ze mnie ekspert – powiedziała – lecz jeśli urodził się pan w legalnym związku, a pańscy wujowie zmarli, nie pozostawiwszy synów, nie ma czego ustalać.

Napier odwrócił znów wzrok.

– Mówi pani zupełnie jak sir George.

– Wszyscy pańscy wujowie nie żyją? – spytała. – Co z trzecim?

– Najstarszy okazał się łobuzem i rozpustnikiem – odparł Napier obojętnie. – Zadawał się z żonami innych mężczyzn, aż wreszcie któryś z rogaczy zastrzelił go na Primrose Hill.

– Doprawdy? – przyglądała mu się przez chwilę uważnie. – A pan... Nie ma żadnego zdradzonego męża, który by się na pana zasadzał?

– Chyba już to ustaliliśmy – stwierdził chłodno. – Tak czy inaczej, musimy od razu powiadomić krewnych, iż zamierzamy się pobrać, a rodzina pani oczekuje, że... – Zamilkł i spojrzał na nią z ukosa.

– ...że zrobi pan co? – spytała.

– Przepraszam – powiedział niemal łagodnie. – Ma pani w ogóle rodzinę? Nie pomyślałem... To znaczy, skoro Ashtonowie nie żyją.

Bo nie żyją, prawda?

– Tak, oboje.

– To może jakiś krewny ze strony matki?

Lisette nie życzyła sobie jednak, żeby się nad nią litowano.

– Och, doprawdy! – powiedziała, wyprostowawszy się dumnie. – Ma pan przyjemność rozmawiać z jedyną żyjącą wnuczką dziewiątego lorda Rowend. Zechce pan ucałować mój pierścień i złożyć przysięgę na wierność?

Wszelka łagodność zniknęła.

– Proszę być poważną.

– Jestem. I potrafię zachowywać się równie wyniośle jak każde z Tarletonów. Dopóki ojciec był w stanie płacić, miałyśmy nawet francuską guwernantkę, a nikt nie wpaja poczucia wyższości tak skutecznie jak Francuzka urodzona i wychowana w Paryżu.

Lecz Napier zamknął się już w sobie.

– Tytuł lordowski, tak?

Lisette uniosła brwi.

– Co, córka sir Arthura Colburne'a, przystojnego, chociaż otoczonego aurą skandalu bon vivanta nie była dla pana dość dobra? – Machnęła królewskim gestem dłonią. – Cóż, może pan przedstawić mnie jako krewną szlachetnie urodzonego lorda Rowenda, jeśli pan woli.

– Czy dziadek pani żyje? – zapytał szorstko.

– Nie, ale to bez znaczenia. Rodzina pogardzała tatusiem i niemal mnie wydziedziczyła. Na ogół nie wiedzą, gdzie przebywam ani co robię.

– To dobrze – zauważył. – Bardzo dobrze. Może uda nam się przeprowadzić ten wariacki plan.

To, iż powiedział „nam”, sprawiło Lisette niedorzeczną przyjemność. A potem uświadomiła sobie, co implikował.

– Och, nie, Napier, chwileczkę – powiedziała, wskazując go palcem. – Chyba nie ośmiela się pan sugerować, że ktoś mógłby oczekiwać, iż będzie pan honorował tę parodię zaręczyn? Albo, co gorsza, że ja będę?

W oczach Napiera pojawił się na moment trudny do odczytania wyraz.

– Teoretycznie dżentelmen nie może złamać obietnicy małżeńskiej.

– Och, ależ pan sobie pochlebia! – wykrzyknęła Lisette, oburzona. – Nie ma pan co marzyć, że zechciałabym za pana wyjść. Nie ma potrzeby dotrzymywać słowa. Nie z uwagi na moją rodzinę. Kontaktują się ze mną, wysyłając dwa razy do roku prawnika, by sprawdził, czy nie umarłam i nie przestałam sprawiać kłopotów. Zatem do diabła z panem i pańską arogancją.

Jednak Napier nie wydawał się ani trochę urażony. Tym razem kącik jego ust drgnął wyraźnie.

– Tak, ma pani zapewne rację. Taki właśnie jestem.

Koła dudniły na szynach, zaś w przedziale panowała cisza. Lisette wpatrywała się gniewnie w siedzącego naprzeciw Napiera. Nie udało jej się skłonić go, by spuścił wzrok, po chwili zmęczyła się zatem i sięgnęła po ołówek.

– Doskonale – rzekła. – Do Swindon będę już znała niezbędne szczegóły powiązań rodzinnych. Teraz musimy popracować nad historią naszej znajomości.

Napier zamrugał, jakby wyrwała go z transu.

– Ach tak. To niezbędne.

– Niestety. – Uśmiechnęła się kwaśno. – A skoro to narzeczeństwo owiane zostało aurą skandalu, musimy wszystko dokładnie wyjaśnić, ponieważ ludzie potykają się zwykle na drobnych kłamstwach.

– Nie ma to jak głos doświadczenia – zauważył Napier sucho. – Co pani zatem sugeruje?

Lisette nie zawracała sobie głowy obrażaniem się. W końcu, niestety, jego sarkazm był w dużej części usprawiedliwiony.

– Moje nazwisko pojawiło się w „Timesie", lecz tylko jako świadka – odparła po prostu. – Ośmielam się przypuszczać, iż gazety czytane są nawet w zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku Wiltshire? Jak sobie z tym poradzimy, panie Napier?

– Ach – zauważył. – W rzeczy samej: jak?

– Czy byliśmy już wtedy zaręczeni? – naciskała, mierząc go spojrzeniem. – W gazetach nie wspomniano o takim zbiegu okoliczności. Czy było to zatem narzeczeństwo trzymane w tajemnicy? Jesteśmy zakochani, panie Napier? A może nie powinniśmy aż tak naciągać prawdy?

Potrząsnął głową.

– To nie może być zaaranżowany związek. Coś takiego nie przejdzie.

Westchnęła.

– A ja nie mam dosyć pieniędzy, by zwabić dziedzica wicehrabiego.

Napier utkwił w niej na chwilę chłodne, szacujące spojrzenie.

– Zatem prawda będzie musiała wystarczyć – powiedział. – Poznaliśmy się, kiedy przyszła pani do mnie, żeby poskarżyć się na Lazonby'ego, i podbiła moje serce swoją...?

– ...odwagą? – podsunęła.

– Prawdę mówiąc, chodziło raczej o skłonność do przekupstwa i uwodzenia – odparował – w połączeniu z kawałkiem lewej piersi, którym błysnęła mi pani przed oczami. Ale tak, nazwijmy to odwagą.

– Ależ z pana dżentelmen. Może spotykaliśmy się od czasu do czasu, aby mógł pan powiadomić mnie, jak posuwa się sprawa przeciwko Lazonby'emu?

– Bez wątpienia, skoro tak bardzo oczarowała mnie chęć pani do rozpinania w moim biurze sukni. – Rozsiadł się wygodniej na ławce. – Proszę mówić dalej, panno Ashton. Przed nami jeszcze dwie godziny jazdy.

– Oczywiście, kochanie.

– Proszę zaczekać. – Wyprostował się, kończąc z udawaniem. – Dlaczego nie mielibyśmy przedstawić pani jako Elizabeth Colburne? Jest pani bardzo przywiązana do nazwiska Ashton?

Lisette dawno nauczyła się nie przywiązywać do niczego. Kiedy przybyła do Bostonu, zaczęła używać nazwiska wujostwa, ponieważ miała dopiero dwanaście lat, a oni byli bezdzietni i bardzo nalegali. Nie miało to dla niej znaczenia, skoro ojciec i siostra nie żyli. Jednak w dokumentach powierniczych, które Bodkins pokazał jej po powrocie do Anglii – a także w zeszłym tygodniu – występowała jako Elizabeth Colburne. Nie zastanawiała się nad tym aż do tej pory.

– Mój ojciec zmienił nazwisko oficjalnie – zauważył Napier obojętnie. – A pani?

Potrząsnęła głową.

– Nadal jestem zapewne Elizabeth Colburne – powiedziała z zastanowieniem. – I jakoś dziwnie się z tym czuję.

Napier siedział teraz na skraju ławki, rozłożywszy szeroko kolana. Dłonie, złączone luźno, umieścił pomiędzy nimi. Zdawał się zajmować cały przedział, kiedy tak zastanawiał się w ten swój intensywny, mroczny sposób. Przyglądał się jej przy tym tak uważnie, że aż przeszył ją dreszcz. Pomyśleć tylko, jak by się czuła, gdyby była przestępczynią, a on oficjalnie ją przesłuchiwał!

Lecz w pewnym sensie przecież nią była. I zapewne tylko tak ją traktował, podejrzewając najwyraźniej o czyny, do których nawet ona nie była zdolna.

A może sprawy nie przedstawiały się aż tak źle. Kiedy bowiem przemówił, jego głos brzmiał łagodnie i nie było w nim sarkazmu.

– Zrobiłaby to pani jednak? – zapytał. – Nie musi pani, to nie było częścią umowy, lecz gdybym powiedział, że zaręczyłem się z wnuczką lorda Rowenda, nawet taką, z którą rodzina nie utrzymuje stosunków, z pewnością ciotka nie mogłaby doszukać się w tym niczego niestosownego.

– Dlaczego nie miałabym się zgodzić? – Ona też nie spuściła wzroku. – Słowo jest dla mnie wszystkim, a zawarłam przecież z panem umowę. Proszę wziąć jednak pod uwagę, że do niczego się nie przyznaję. Kimkolwiek jestem, nie morduję ludzi z zimną krwią, nie kradnę, ani nie kłamię... Cóż, chyba że zmuszają mnie do tego okoliczności. A teraz chcę zadać panu pytanie, na które muszę uzyskać odpowiedź, zanim wysiądę z tego pociągu w Swindon: czy ma pan dość władzy, aby obronić mnie przed Lazonbym, jeśli zechce się mścić, obojętnie za co?

– Ze strony wymiaru sprawiedliwości, na pewno – odparł, wpatrując się w nią z najwyższą powagą. – Nie mogę jednak kontrolować tego, co ten człowiek mówi na ulicy. Lecz nawet Lazonby nie ma dość wpływów, by kogoś powiesić. Nie wbrew mojej woli.

W to akurat skłonna była uwierzyć.

– Zatem uzgodnijmy – powiedziała, zdejmując rękawiczkę i wyciągając do niego dłoń – zamierzam wypełnić jak należy moją część umowy, jeśli pan wypełni swoją. Chcę, by dał mi pan słowo, Napier. Słowo dżentelmena.

Spojrzał na wyciągniętą dłoń – zatrzymał nawet na niej na chwilę wzrok – a potem wyciągnął swoją i otoczył długimi, silnymi palcami. Uścisk jego dłoni był ciepły i mocny.

– Ma pani moje słowo, panno Colburne, jako dżentelmena. Zakładając, że nie jest pani morderczynią, złodziejką ani kłamczynią, będę bronił panią przed zemstą ze strony Lazonby'ego za pomocą środków prawnych i w każdy dostępny sposób.

Uścisnęła jego dłoń, przytrzymując ją odrobinę dłużej, niż było trzeba, wpatrując się weń i zastanawiając, czy nie postradała aby zmysłów. I kiedy to duma i przemożne pragnienie, aby ten człowiek dobrze o niej myślał, zastąpiły zdrowy rozsądek.

A także nad trzema słowami, których Napier po niej nie powtórzył.

Z zimną krwią.

Rozdział 6
Kiedy to pan Napier pojmuje, jak wielki popełnił błąd

Napier musiał oddać jej sprawiedliwość. Elizabeth Colburne była mistrzynią.

On zaś... cóż, przeklętym głupcem. Albo geniuszem.

Nim pociąg wjechał na peron w Swindon Junction, kobieta, nazywająca sama siebie ofiarą szantażu, zmieniła się nie do poznania po tym, jak spędziła ostatnie pół godziny, przetrząsając głębiny swojej przepastnej torby niczym magik wyciągający w Covent Garden króliki z kapelusza.

– Dobrze, że się przygotowałam – dobiegło od strony torby, kiedy zanurkowała tam w poszukiwaniu, jak się okazało, kasetki z biżuterią – zamiast ograniczyć się po prostu do wykonania pańskich instrukcji. Cóż, aspirowanie do tego, by stać się panią Napier to jedno, lecz jeśli chce się zostać baronową Saint-Bryce z Burlingame, trzeba bardziej się postarać.

Przyglądał się w niemym podziwie, jak zmienia fryzurę, zakłada biżuterię, pudruje lekko policzki i odkłada prosty

gabardynowy płaszcz, w którym zjawiła się na dworcu. Kiedy skończyła, w niczym nie przypominała dziewczyny z ulicy.

Prawdę mówiąc, nie przypominała nawet kobiety, z którą opuścił Londyn. A już na pewno młodego reportera o radykalnych poglądach. Zmieniła się tak dalece, że zaczął powątpiewać w swoją teorię na temat tego, jak zginął sir Leeton.

Elizabeth Colburne miała teraz na sobie szal w tureckie wzory o barwie szlachetnych kamieni. Otulał niczym chmurka kaszmiru jej ramiona, współgrając doskonale z naszyjnikiem z pereł, ozdobionym kwadratowym szmaragdem w kolorze identycznym z barwą zielonej podróżnej sukni.

Drobne szmaragdy, zakończone perłowymi łezkami, zdobiły jej uszy, głowę zaś obwiązała kremowo-satynowym sznurem, tworząc neoklasyczną fryzurę, która zmieniła jej włosy w masę zmierzwionych, ognistych loków.

Kiedy minęli wysokie szkaradzieństwo zdobiące podjazd – przedstawiało zapewne Hadesa, uprowadzającego Persefonę – pomógł jej wysiąść z wynajętej dwukółki i po raz pierwszy poczuł dumę z rodowej posiadłości.

A potem uświadomił sobie z niepokojem, iż czuje się dumny również dlatego, że Lisette wygląda tak wspaniale. Zerknął na kobietę u swego boku i oddech uwiązł mu w piersi. Stała u stóp schodów, wyglądając w każdym calu jak dama: piękna, bogata i, za sprawą fryzury, nieco ekscentryczna.

Lecz Burlingame nie było jego domem. A panna Colburne... Cóż, to jedynie ktoś w rodzaju opłaconej aktorki. Rozsądny człowiek powinien pamiętać zarówno o jednym, jak o drugim, inaczej straci głowę.

– Cóż, oto i ona – powiedział, wskazując gestem dom – fasada Burlingame w całej barokowej chwale.

Elizabeth Colburne ujęła jego podsunięte usłużnie ramię i uniosła wyżej brodę.

– Ma tylko trzy skrzydła? – spytała z niejaką wyższością. – Rowend Hall, siedziba mojego drogiego, zmarłego dziadka, lorda Rowenda, miała ich przynajmniej sześć.

– Doprawdy? – wymamrotał, ruszając wraz z nią schodami. – Bardzo chętnie bym się przekonał, jak też architekt poradził sobie z takim zadaniem. Te tutaj nazywają chyba pawilonami. Zwyczajne skrzydła nie byłyby dla Tarletonów dość wyszukane.

Przyszła baronowa nie raczyła jednak odpowiedzieć. Zamiast tego zwróciła się z całą dopiero co odnalezioną wyższością ku wyprostowanej, starszej damie, stojącej tuż za frontowymi drzwiami.

Hrabina Hepplewood, wsparta ciężko na solidnej lasce z hebanu, obserwowała ich przybycie z umiarkowanym entuzjazmem. Poza wyszukaną fryzurą z siwiejących włosów nie sposób było nie zauważyć czarnego żałobnego stroju i przeszywającego, jastrzębiego spojrzenia.

Napier przywitał ją grzecznie, acz chłodno. Nie bał się ciotki. Prawdę mówiąc, ledwie ją znał i jej opinie niewiele go obchodziły. A może tylko sobie to wmawiał, oszukiwał sam siebie. Bo inaczej, dlaczego czułby tak niedorzeczną wdzięczność za to, że na jego ramieniu wspiera się mała, ciepła rączka?

Przetrwali jakoś powitania i panna Colburne, już nie megiera, zmuszona do współpracy szantażem, ale wytworna dama, zasiadła w wielkim salonie Burlingame wyprostowana niczym

księżna, ująwszy wytwornym gestem delikatną porcelanową filiżankę. Lady Hepplewood przyglądała się jej z czujnym zainteresowaniem.

Pomimo iż zasady etykiety tego zabraniały, lady Hepplewood poświęcała dużo uwagi zwłaszcza nietypowej fryzurze gościa i Napier uświadomił sobie, że był w swoich żądaniach nie tylko samolubny, ale i nieprzewidujący. Damy, które znał, nosiły włosy upięte w proste koki, ozdobione warkoczami. Tymczasem ta szalona gmatwanina loków i satyny... cóż, to była po prostu ona. I wolał nie zastanawiać się zbyt głęboko, dlaczego miało to dlań znaczenie.

– Obawiam się, panno Colburne, że nie wiem zbyt dużo o pani rodzinie – zauważyła lady Hepplewood – jako że Saint-Bryce napisał jedynie, iż przywozi narzeczoną.

– Och – odparł Napier, odstawiając z cichym brzękiem filiżankę na spodek. – Nie wspomniałem nazwiska?

Lady Hepplewood zerknęła na niego karcąco.

– Nie – odparła. – Czy dobrze zrozumiałam, że jest pani spokrewniona z lordem Rowendem?

– W rzeczy samej, *madame*, dziewiąty lord był moim dziadkiem. – Towarzyszył temu nonszalancki ruch głową. Niezwykłe loki zabłysły w promieniu słońca, wpadającego przez wysokie okna. – Chociaż nie mogę powiedzieć, żebyśmy byli sobie bliscy. To mama była jego ulubienicą, lecz drogi dziadek nie pogodził się nigdy z faktem, iż poślubiła zwykłego baroneta. To błąd, którego ja stanowczo nie zamierzam popełnić... – Umilkła na tyle długo, aby obrzucić Napiera pełnym oddania uśmiechem – ...prawda, kochanie?

– Och, oczywiście, skarbie, potrafisz być bardzo stanowcza – wykrztusił.

– A także nadzwyczaj szczera – zauważyła lady Hepplewood chłodno, postukując łyżeczką o spodek.

Panna Colburne zaśmiała się beztrosko.

– Prawdę mówiąc, lady Hepplewood, obawiam się, że bywam też po prostu nieznośna. – I znowu to pełne oddania spojrzenie, któremu towarzyszył tym razem olśniewający błysk zębów i oczu, rzucających zielononiebieskie błyski. – Drogi pan Napier nie protestuje, bo wie, że tylko się z nim droczę.

– Ach tak? – Lady Hepplewood ledwie się uśmiechnęła. – Mogę wiedzieć, w jaki sposób?

Panna Colburne pochyliła się ku niej konspiracyjnie i wyszeptała z odpowiednią dozą dramatyzmu:

– Kiedy się poznaliśmy, drogi pan Napier nie pofatygował się, by wspomnieć o swoich powiązaniach rodzinnych. Może to sobie pani wyobrazić?

– Prawdę mówiąc, nie. – Lady Hepplewood spojrzała z wyższością na Napiera. – Nie potrafię.

– Rzeczywiście, i było to bardzo okrutne – oznajmiła Lisette – ponieważ pozwolił, bym całymi tygodniami zadręczała się tym, iż zakochałam się w biedaku.

– Otaczał cię taki rój wielbicieli – zauważył Napier sztywno – iż dziwię się, że w ogóle zechciałaś ponownie na mnie spojrzeć.

– Doprawdy, kochanie, nie wolno ci okłamywać ciotki – ostrzegła go z oczami skrzącymi się humorem. – Pomimo iż pochodzę z dobrej rodziny, wiek przemawia na moją niekorzyść,

i dobrze o tym wiesz. No i te włosy... Cóż, nie każdy mężczyzna zechce poślubić rudzielca, przyznaję, ponieważ jesteśmy...

– Nieznośne – przerwał jej pospiesznie Napier. – Chyba już o tym wspomniałaś.

– Nie, uparte i porywcze. To chciałam powiedzieć – zakończyła panna Colburne. – Lecz nigdy nie podważam twojej opinii, prawda? Kiedy dwa lata temu zmarła moja ciotka, przestałam aż tak bardzo przejmować się konwenansami. Może nie było to zbyt rozsądne, postanowiłam jednak nie wychodzić za mąż, po czym zamieszkałam z drogą Fanny i starą nianią. Póki pan Napier nie zawrócił mi w głowie, spodziewałam się dożyć swoich dni jako stara panna. – Zamilkła, by napić się z wdziękiem herbaty. – Na Boga, lady Hepplewood, cóż za niezwykły napar. Czyżbym wyczuwała nutkę... tak, to jaśmin, prawda?

Lady Hepplewood przechyliła potakująco głowę.

– Jest aromatyzowana kwiatami jaśminu – przyznała. – Niezwykły gatunek, jak mi powiedziano, który przewyższa jakością wszystkie inne.

– I słusznie panią poinformowano – odparła panna Colburne, osoba o wyrafinowanym smaku. Zamilkła i upiła kolejny łyk. – Chińczycy nazywają go *mo li hua cha*. To herbata zielona, nie zwykły *oolung*.

– Eee, tak. – Lady Hepplewood wydawała się zaskoczona. – Rzeczywiście, jest chyba zielona.

Panna Colburne odstawiła filiżankę i rozejrzała się po bogato wyposażonym pokoju z miną osoby, która uznała właśnie, że w Burlingame nie ma jednak pcheł.

– Ma pani wyrobiony smak – powiedziała po chwili. – Nigdy nie wiadomo, jakie niedogodności trzeba będzie znosić na wsi, prawda? Jednak Burlingame jest wspaniałe, a najlepsze panie domu w Londynie nie byłyby w stanie podać takiej herbaty.

– Dziękuję – odparła lady Hepplewood nieco cieplej. Nie było w tym co prawda serdeczności, hrabina schowała jednak, przynajmniej na razie, pazury.

– Cokolwiek to jest – powiedział Napier – doskonale zwilża wyschnięte po podróży gardło.

Pazury wskoczyły na miejsce z niemal słyszalnym kliknięciem. Dama spojrzała na bratanka z dezaprobatą.

– Jak wspomniałam, żałuję wielce, iż nie przysłałeś wiadomości ze Swindon – powiedziała lodowatym tonem. – Doprawdy, to wstyd, by dziedzic Duncastera był widziany, jak jeździ po okolicy wynajętym ekwipażem.

– Lady Hepplewood ma rację, mój drogi. – Tu Elizabeth obdarzyła Napiera kochającym, acz pełnym delikatnej nagany spojrzeniem. – Powiedziałam ci to samo na dworcu, pamiętasz? Ale, jak zwykle, nie słuchałeś.

– Czy dwukółka ze Swindon zasługuje w ogóle na miano ekwipażu? – zapytał Napier chłodno. – I, jeśli łaska, *madame*, chciałbym pozostać nadal przy swoim nazwisku.

Słysząc to, lady Hepplewood wyprostowała się jeszcze bardziej – o ile było to w ogóle możliwe.

– Co za nonsens – odparła. – Doprawdy, Nicholas nie powinien był zachowywać się tak dziecinnie i w ogóle go zmieniać. I ten ślub w Gretna Green![1]. Był jeszcze bardzo młody, to prawda, lecz jego postępowanie i tak sprzeciwia się logice.

Napier odczuwał wielką chęć, aby odpalić gniewnie, iż być może ojciec chciał uhonorować w ten sposób rodzinę, która przyjęła go do siebie, wyrzekając się tej, która ochoczo go odrzuciła, prawda wyglądała jednak tak, że nie był już pewny wyborów ojca. Zaś panna Colburne zerknęła tylko na niego spod oka i pospieszyła w sukurs ciotce.

– Twoja cioteczna babka ma absolutną rację, mój drogi – powiedziała słodko. – Możesz robić, co chcesz, w Londynie, tu jednak może to wprowadzać ludzi w zakłopotanie.

Zapukano do drzwi, a potem pokojówka wniosła tacę z przekąskami i ustawiła obok serwisu do herbaty.

– Pomyślałam, że pewnie już zgłodnieliście – zauważyła lady Hepplewood sztywno. – Proszę, częstujcie się.

– Dziękuję – odparł Napier, który istotnie umierał z głodu.

– Och, ciasteczka cytrynowe! – wykrzyknęła panna Colburne, chwytając jedno. – Zaczekaj... – Utkwiła pełen dezaprobaty wzrok w talerzu Napiera.

– Co takiego? – zapytał.

Sięgnęła i zabrała mu z talerza kanapkę, którą zdążył już sobie nałożyć. – Ogórek! – złajała go. – Wiesz, że szkodzi ci na trawienie. Zjedz po prostu kawałek ciasta, jeśli łaska.

Napier obrzucił mrocznym spojrzeniem znikającą kanapkę. Tymczasem Lisette wgryzła się w nią z apetytem białymi zębami, a potem odwróciła lekko głowę i bezczelnie do niego mrugnęła.

I nagle to się zdarzyło. Pożądanie zapłonęło w nim niczym żar poruszony pogrzebaczem, gorące i płynące z głębi trzewi – wraz z przemożną pokusą, by chwycić pannę Colburne za jaskraworude loki, przerzucić przez kolano i wymierzyć solidnego klapsa.

Nie trwało to jednak długo.

– A może jajko z majonezem i rukwią? – zasugerowała lady Hepplewood, odwracając ku nim talerz. – Takie połączenie działa na mnie zawsze łagodząco. Mogę zapytać, jak się poznaliście?

Napier odstawił z głośnym stukiem talerz, próbując stłumić wzburzone emocje. Boże, czyżby zaczynał tracić zmysły?

Elizabeth Colburne wyjaśniała już wszakże, nie czekając na niego:

– Cóż, wpadliśmy na siebie podczas spotkania literackiego – skłamała gładko, strzepując okruch z zielonej aksamitnej spódnicy. – Wieczorek poetycki u naszej wspólnej przyjaciółki, lady Anishy Stafford, siostry markiza Ruthveyna.

– Poetycki? – Lady Hepplewood spojrzała, zaskoczona na bratanka. – Nie sądziłam, że interesuje cię poezja, Saint-Bryce. Kim był autor?

– Nie mam pojęcia – odparł Napier. – Poszedłem tam, ponieważ byłem winny damie przysługę, i strasznie się wynudziłem.

Zegar na kominku wybił godzinę. Lady Hepplewood zmarszczyła brwi.

– Gwyneth i Diana powinny były wrócić już z plebanii – zauważyła zirytowana. – Zawsze się spóźniają. Doprawdy, żałuję, że nie wiedziałam, iż przyjedziecie. Anne i sir Phillip przebywają w Londynie, on zasiada w Izbie Gmin... A Duncaster jest nieosiągalny.

To, co robi Anne, nie było jego sprawą, zaś dziadek odbywał zapewne drzemkę.

– Proszę się tym nie kłopotać, *madame* – powiedział. – Zamierzam pozostać tu przez jakiś czas, zgodnie z życzeniem

Duncastera.

Nagle jego uszu dobiegł cichy dźwięk. Podniósł wzrok i zobaczył, że lokaj uchyla masywne drzwi. W cieniu za progiem stała niebrzydka kobieta o krągłej figurze, odziana w brąz, trzymając za rękę dziewczynkę. Lokaj pochylił się i wyszeptał jej coś do ucha.

Rysy kobiety stężały. Minęła lokaja i weszła, wyprostowana, do pokoju. Okazało się, że dziewczynka, którą przyprowadziła, to Beatrice, jedyne dziecko, jakie dała Saint-Bryce'owi druga żona, i teraz, niestety, sierota.

Zauważył, że mała wydaje się trochę dziwna. W wieku mniej więcej dziesięciu, jedenastu lat sprawiała wrażenie zarówno po dziecinnemu otwartej, jak i czujnej. Pomyślał, że ta dziecięca naiwność nie jest szczera, gdyż – o ile się nie mylił – w jej spojrzeniu kryła się szczególna uważność.

– Przepraszam panią – przemówiła kobieta w brązowej sukni – lecz powiedziała pani, że wolno nam zejść?

Przedstawiono ją jako guwernantkę Beatrice, panią Jansen. Dygnęła, nie spuszczając czujnego wzroku z lokaja. Tymczasem Beatrice wysunęła rączkę z jej dłoni i weszła głębiej do pokoju, popatrując nieśmiało na pannę Colburne.

– Jeśli można, *madame* – powiedziała do lady Hepplewood, dygając tak szybko, że aż podskoczyły jej blond loki – chciałabym poznać nową damę.

Lady Hepplewood skinęła po królewsku głową, zaprosiła gestem panią Jansen, aby usiadła, i posłała lokaja po kolejne nakrycia.

– Bardzo mi miło, pani Jansen – panna Colburne błysnęła olśniewającym uśmiechem ku Beatrice. – Jak się masz, panno Tarleton? Mogę nazywać cię Beatrice? A może nawet Beą?

– Och, Bea wystarczy – odparła dziewczynka, przysuwając się bliżej stolika z herbatą. – Ma pani strasznie rude włosy. Dlaczego są tak krótkie?

– Beatrice! – Pani Jansen poczerwieniała z oburzenia.

– Wystarczy, Beatrice. – Lady Hepplewood zaakcentowała polecenie głośnym stuknięciem laski o podłogę.

Jednak panna Colburne otwarła jedynie szerzej oczy.

– Och, rozmawiałyśmy tylko o moich włosach – powiedziała, podając dziecku talerz. – Jesteś może jasnowidzką?

– Nie sądzę. – Beatrice zamilkła na minutę, skubnęła ciastko, a potem podniosła znów wzrok. – Zastanawiałam się jednak... zamierza pani poślubić Saint-Bryce'a zamiast Diany?

Uśmiech panny Colburne pojaśniał jeszcze bardziej, o ile było to w ogóle możliwe.

– Cóż, Diana nie poprosiła mnie, bym za nią wyszła – odparła żartobliwie – a Saint-Bryce, owszem. Jak sądzisz, powinnam wyrazić zgodę?

Beatrice przyglądała się jej przez chwilę bardzo uważnie.

– Chyba pani powinna – powiedziała w końcu. – Gwyneth twierdzi, że on jest teraz dobrą partią, a Diana to idiotka o cielęcym spojrzeniu.

Napier usłyszał, jak ciotka nabiera głęboko oddechu.

– Może podyskutujemy o tym później, Beatrice? – zasugerował łagodnie, pochylając się na krześle. – Kiedy odwiedzę cię któregoś dnia w sali lekcyjnej?

– Doprawdy, Saint-Bryce, nie powinieneś jej zachęcać do impertynencji – zganiła go lady Hepplewood. – Beatrice musi pamiętać, gdzie jest jej miejsce.

Napier powściągnął frustrację.

– Jej miejsce jest w tym domu – powiedział sztywno. – Dziewczynka nie jest może zbyt taktowna, lecz Burlingame to jej dom. No i straciła niedawno ojca.

Lady Hepplewood rzuciła mu spojrzenie, mówiące jasno, iż nie podoba się jej, że została przywołana do porządku.

– A co to ma, u licha, wspólnego z czymkolwiek?

– Dzieci potrzebują stabilizacji – odparł, starając się zachować spokój. – Mają prawo rozumieć, co dzieje się dookoła nich i z nimi. Od tego zależą ich zdrowie i samopoczucie.

– Jakiś ty wrażliwy, mój drogi – zauważyła panna Colburne, po czym podjęła bez najmniejszego trudu salonową rozmowę, tym razem zwracając się głównie do pani Jansen. Rozmawiały chyba o francuskiej guwernantce Lisette.

Napier nie włączył się do pogawędki. Zamiast tego potoczył spojrzeniem po nader bogato wyposażonym salonie, rozmyślając o Beatrice. Jeszcze niedawno jej ojciec miał to wszystko odziedziczyć, a jej pozycja była zabezpieczona. Teraz, gdy oboje rodzice nie żyli, przyrodnie siostry były o wiele starsze, a lady Hepplewood waliła laską o podłogę przy najmniejszym przewinieniu, Beatrice z pewnością nie czuła się w domu zbyt pewnie. Bóg wie, że z nim sprawa miała się podobnie.

Czy to naprawdę możliwe, by miał zarządzać tym wszystkim, póki nie zastąpi go ktoś z następnego pokolenia? I skąd miałoby się owo pokolenie wziąć?

Och, znał odpowiedź na to pytanie. Utkwił wzrok w kolekcji oprawnych w złote ramy pejzaży nad marmurowym kominkiem i uznał, że nikt nie nadawałby się do tego zadania mniej niż on.

Podczas pierwszej wizyty w Burlingame przed kilkoma miesiącami wspaniałość domu wprawiła go w zakłopotanie. Po raz pierwszy zdał sobie wtedy sprawę, jak wiele jego ojciec poświęcił i jak zmieniło się przez to jego położenie.

Szlachetnie urodzony pan Nicholas Tarleton był dzieckiem wychowanym pośród bogactwa i przywilejów. Czy wyobrażał sobie naiwnie, że zmiana nazwiska dotknie jego rodzinę? Sądząc po tym, co Napier zdążył już zaobserwować, dla nich było to jak ukąszenie komara – drobna dolegliwość, którą należy po prostu przeczekać.

Nie, nie wyczuwał tu upokorzenia, jedynie czyste poczucie wyższości i przekonanie o własnym uprzywilejowaniu. Trwały nienaruszone, niezakłócone wątpliwościami. Widział to już u dziadka. Wyczuł też jednak od razu, że gdzieś tam czai się ciemność. Nie znalazł wszakże niczego – niczego poza starym człowiekiem, zagubionym w mrocznym świecie braku spójności.

Lecz Hepplewood miał już ponad sześćdziesiąt lat, artretyzm i podagrę. Saint-Bryce cieszył się zaś doskonałym zdrowiem. Ojciec Bei nie był może młodzieńcem, jednak zbieg okoliczności nadal wydawał się Napierowi podejrzany. Zaś dziwne przeczucie nadciągającej katastrofy, które nawiedziło go, gdy pojawił się tu po raz pierwszy, nie zniknęło.

A może tylko on to wyczuwał?

Na przykład dlatego że był kimś z zewnątrz?

Lady Hepplewood dała podczas pierwszej wizyty jasno do zrozumienia, że jest w Burlingame ledwie tolerowany. Nawet fakt, iż przybył nie po to, by zacieśniać rodzinne więzy, ale na prośbę jej umierającego męża nie sprawił, by stała się choć odrobinę bardziej

serdeczna. Przeciwnie, zdawało się, że jeszcze mocniej ją to irytuje.

Lecz wtedy Napier był nikim, gdyż spodziewano się, że wuj Saint-Bryce i jego narzeczona wypełnią obowiązek. To Dianie Jeffers przypadło zadanie urodzenia tak wielu potencjalnych dziedziców, którzy odsunęliby widmo przejęcia kiedyś tytułu przez Napiera, jak tylko będzie to fizycznie możliwe.

Dwie kobiety zmarły już jednak, próbując sprowadzić na świat syna, a trzeciej nie dane było nawet spróbować. Ciekawe, czy panna Jeffers była tym rozczarowana, czy też po prostu jej ulżyło.

Wrócił do teraźniejszości, gdy Beatrice odstawiła talerz, a lady Hepplewood wstała z krzesła. Wyglądało na to, iż rzucił na rozmowę cień, którego nawet błyskotliwej pannie Colburne nie udało się rozproszyć. Zerwał się z ulgą i zaoferował lady Hepplewood ramię.

Przyjęła je, acz niechętnie.

– Z pewnością będziecie chcieli przed kolacją odpocząć – powiedziała, kiedy sunęli majestatycznie przez szeroką połać dywanu, kierując się ku masywnym, zdobionym złoceniami drzwiom. – Poleciłam Gwyneth, by umieściła was we wschodnim pawilonie. W ten sposób...

Nie zdążyła dokończyć, ponieważ drzwi otwarły się gwałtownie i do salonu wmaszerowała panna Gwyneth Tarleton we własnej osobie, a za nią, oddalona o dziesięć kroków, Diana Jeffers.

Gwyneth okazała się wysoką niewiastą o nieco końskiej twarzy i szorstkim sposobie bycia. Zmierzyła spojrzeniem Napiera i zatrzymała się tuż przed nim.

– Na Boga, Saint-Bryce – burknęła. – Nie spodziewaliśmy się ciebie dzisiaj.

– Tak, już mi to uświadomiono – odparł sucho. – Może powinienem był dokładniej wyrazić się w liście. Jak się pani ma, panno Tarleton? A pani, panno Jeffers?

Panna Tarleton uśmiechnęła się kątem ust.

– Powinieneś zwracać się do mnie: kuzynko Gwyneth – poprawiła go, wyglądając przy tym tak, jakby sprawiło jej to ból.

On zaś z trudem wstrzymywał się, by nie powiedzieć, że byli kuzynami, odkąd przyszła na świat i dotąd jakoś nie odczuwała potrzeby podkreślania tej relacji. Opanował jednak ten dziecinny impuls. Nie wiedział nic o Gwyneth Tarleton ani o tym, jak wyglądało jej życie.

Co więcej, nie przybył do Burlingame po to, by zaspokajać swoją dumę albo dopieszczać ją. Zamiast tego przedstawił więc po prostu pannę Colburne.

Diana Jeffers była delikatna i ładna, a jeśli odczuwała jakąkolwiek urazę wobec kobiety, która miała zastąpić ją u boku Saint-Bryce'a, to tego nie okazała.

– Witamy w Burlingame – powiedziała serdecznie, choć głos nieco się jej łamał.

– Mam zabrać Beatrice na górę? – spytała pani Jansen, jakby nie była pewna, kto powinien udzielić jej odpowiedzi.

– Tak – odparły lady Hepplewood i Gwyneth jednocześnie.

Starsza dama sposępniała jeszcze bardziej.

– Gwyneth zaprowadzi was do wschodniego skrzydła – kontynuowała. – Diano, wrócisz ze mną.

– Nie powinnam pomóc Gwyneth rozlokować gości? – zasugerowała panna Jeffers.

Lecz lady Hepplewood ruszyła już w przeciwnym kierunku, stukając laską o marmurowe płytki holu.

– Gwyneth nie potrzebuje pomocy – odparła, oglądając się za siebie z oczekiwaniem. – Chodź, Diano. Nie mogę znaleźć robótki. Jestem pewna, że musiałaś gdzieś ją przełożyć.

Po twarzy panny Jeffers przemknął wyraz frustracji.

– Oczywiście, kuzynko Cordelio. – Odwróciła się i rzuciła Napierowi i pannie Colburne ostatnie spojrzenie. – Nasze apartamenty znajdują się w zachodnim skrzydle. Odwiedźcie nas tam, jeśli będziecie czegoś potrzebować.

Napier podziękował, a potem odwrócił się, by ruszyć w przeciwnym kierunku za Gwyneth.

– Musisz wybaczyć ciotce arogancję – powiedziała Gwyneth, gdy szli.

– Doprawdy? Muszę?

– Podejrzewam, że śmierć wuja i to, że Tony okazał się czarną owcą, wytrąciły ją z równowagi – odparła Gwyneth bez cienia współczucia.

Tony był dziedzicem Hepplewooda i ich jedynym dzieckiem. A jeśli połowa z tego, co o nim słyszał, była prawdą, matka miała powody, by się zamartwiać. Nie skomentował jednak uwagi kuzynki. Wady Tony'ego to nie jego sprawa.

Droga z oficjalnej części domu do wschodniego skrzydła była długa i wiodła przez szereg luksusowo wyposażonych pomieszczeń. Wreszcie dotarli do galerii łączącej główny budynek z pawilonem.

Znajdujące się tu barokowe łuki musiały być kiedyś otwarte, lecz potem wmontowano w nie wysokie okna. Podłogę wyłożono kostką z biało-czarnego marmuru, zaś sufit wspierał się na dwóch wspaniałych kolumnach, także – jak podejrzewał – marmurowych.

Panna Colburne, wyrażając należny podziw dla całości, nazwała kolumny *scagliola*, a samą galerię *grand colonnade*. Napier zakarbował sobie w pamięci, aby zapytać, na czym polega różnica. Elizabeth wydawała się chodzącym zbiorem niezrozumiałych informacji.

Gwyneth Tarleton skinęła z aprobatą głową, po czym ruszyła żwawo dalej. Najwidoczniej uznała jednak, że panna Colburne może – tylko może – okazać się godna jej uwagi, gdyż zwolniła nieco kroku, by móc wskazywać im od czasu do czasu architektoniczne detale.

Po raz kolejny poczuł wdzięczność za to, że panna Colburne jest tu z nim, ponieważ zdawała się odgadywać bezbłędnie, co należy powiedzieć i o co zapytać. Och, uczucie to minie z pewnością, gdy po raz kolejny nadużyje jego cierpliwości – co było, jak sądził, nieuniknione.

Jak dotąd, wywiązywała się jednak z umowy, i to w godny podziwu sposób. Czuł, jakby w pociągu coś się pomiędzy nimi zmieniło, a w jej spojrzeniu nie było już pełnej niepokoju podejrzliwości. Ani, zapewne, w jego. Cóż, wyglądało na to, że cokolwiek miało się wydarzyć, siedzieli w tym razem.

Minęli galerię i znaleźli się w zupełnie odmiennej części domu. Nie był tu poprzednio, a jak się domyślił, rezydował w niej lord Duncaster, ponieważ wyglądała zdecydowanie bardziej jak stary wiejski dwór, nie zaś przesadnie wystylizowana wersja Wersalu.

Świadomość, że Duncaster przedkłada taki wystrój nad wyszukaną elegancję głównego budynku, sprawiła Napierowi ulgę.

Wspięli się krętą klatką schodową na trzecie piętro, po czym wprowadzono go do przestronnej sypialni z dwoma dużymi oknami wychodzącymi na ogród podzielony na szesnaście symetrycznych kwadratów, za którym połyskiwało w promieniach słońca jezioro w kształcie półksiężyca. Na końcu niewielkiego molo ustawiono altanę z dachem o kształcie kopuły. Pomyślał, że utrzymanie tego wszystkiego w jakim takim porządku musi wymagać armii ogrodników.

Upewniwszy się, że pokój mu odpowiada, niezwykle skuteczna Gwyneth poprowadziła pannę Colburne dalej korytarzem, a on został sam. Jolley dotarł już z bagażami i zdążył je nawet rozpakować, ponieważ na starej toaletce leżały przybory do golenia, a na haku przy drzwiach powieszono szlafrok.

Co zaś się tyczy samego lokaja, siedział już zapewne na dole i oczarowywał kucharkę. Dobrze wiedział, co dla niego ważne. Napier, pozostawiony sam sobie, wszedł do gotowalni. Przypuszczał, że w tej starej kupie kamieni trudno liczyć na bieżącą wodę, ale i tak tam zajrzał.

Nic. Rozejrzał się w poszukiwaniu sznura od dzwonka, którym mógłby przywołać służącego i polecić, by przyniesiono wodę do mycia. Lecz kiedy wrócił do sypialni, drzwi prowadzące na korytarz otwarły się gwałtownie i do pokoju wpadła panna Colburne z oczami płonącymi ciekawością.

– Cóż – powiedziała, zamknąwszy drzwi i oparłszy się o nie – jak pan myśli, kto to zrobił?

Napier rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Przynajmniej miał nadzieję, iż odczytała je jako ostrzeżenie.

– Nie mam pojęcia, kto co zrobił i komu – powiedział. – Może uważać się jednak pani za szczęściarę, że nie zdążyłem rozebrać się do kalesonów, by móc swobodnie się nad tym zastanawiać.

– Bądź poważny, Napier. Nie masz zbyt dużo czasu. – Zamilkła, po czym przekręciła klucz w zamku i podeszła ku niemu i oknu. – Jak na razie, stawiałabym na Gwyneth Tarleton. Jest przerażająco skuteczna w działaniu, a tacy ludzie bywają bezlitośni.

Napier nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Choć stał ze wzrokiem utkwionym w rząd przyciętych ozdobnie cisów, czuł obok siebie ciepło jej ciała – emanującą z niego czystą żywiołowość. Obecność Elizabeth uspokajała go, wprawiając zarazem w stan dziwnej frustracji. Nie życzył sobie czuć jednego ani drugiego, nie w związku z nią.

Niezaprzeczalna prawda wyglądała jednak tak, że odkąd zobaczył ją po raz pierwszy, nieodparcie go pociągała. Było to niebezpieczne zauroczenie, na domiar złego, choć Elizabeth zdawała się tego nieświadoma, jego siła z każdym dniem rosła.

– Przypuszczam, że nie ma sensu mówić, iż nie powinna pani przebywać ze mną sam na sam w sypialni? – zapytał w końcu.

Prychnęła zdegustowana.

– Cóż, podobnie jak podróżować z mężczyzną, którego ledwie znam i z pewnością nie zamierzam poślubić – odparła. – Ale nie powstrzymało to żadnego z nas, prawda? Poza tym, jeśli mamy razem pracować, będzie nam potrzebne miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie rozmawiać.

– O to właśnie chodzi. – Obrócił się na pięcie, by na nią spojrzeć i natychmiast tego pożałował. – Nie pracujemy razem. Pani ma odwracać po prostu uwagę tej denerwującej gromady kobiet.

Usłyszał, jak przytupuje stopą pod elegancką aksamitną spódnicą.

– Zatem moje talenty śledcze po prostu będą się tu marnować – odparła zniecierpliwiona.

– Ach tak? – powiedział, rzucając jej wyzwanie, by powiedziała prawdę. – A jakiż to rodzaj talentów śledczych, jeśli można wiedzieć, może posiadać nauczycielka szkoły powszechnej z Hackney?

Elizabeth poczerwieniała gwałtownie.

– Wie pan, że nie jestem głupia, Napier – powiedziała. – Doskonale: owszem, pracowałam trochę w Bostonie, pomagałam wujowi w gazecie. I mogłabym zrobić wiele rzeczy tutaj, w Burlingame, gdyby tylko powiedział mi pan...

– Panno Colburne... – przerwał jej.

– Elizabeth – głos lekko się jej załamał. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Albo Lisette, jeśli pan woli. Tak nazywano mnie w domu. Nie może pan nadal zwracać się do mnie „panno Colburne". Wydaje się pan wtedy taki... daleki.

I właśnie o to mu chodziło, żeby być jak najdalej od niej i ciepłego, świeżego zapachu, który tak sobie upodobała. Zmieszany z wonią kurzu i rozgrzanego ciała tworzył uderzającą do głowy, kobiecą mieszankę, kuszącą, by zrobił to, co sugerowała. Zaufał jej... albo i coś gorszego.

Postąpiła o krok bliżej.

– Zatem... Lisette, tak?

Napier przymknął na chwilę oczy i spróbował przypomnieć sobie, kim była i dlaczego się tu znalazła.

– A ty... – wykrztusił wreszcie – jak będziesz się do mnie zwracać?

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Cóż, chyba Saint-Bryce – powiedziała – o ile pańska rodzina ma w tej kwestii coś do powiedzenia.

Odwrócił się znowu do okna i położył dłonie na parapecie, niemal się na nich wspierając. Delikatny wietrzyk musnął mu policzek, przynosząc zapach świeżo skopanej ziemi i kwitnących jabłoni. Towarzyszyło temu gruchanie wyczekujących zachodu gołębi.

Saint-Bryce.

Tym właśnie się stał?

To, że Elizabeth oparła mniejsze, bledsze dłonie na parapecie tuż obok i także się pochyliła, nie pomagało.

– Co za przeklęte zamieszanie – mruknął, nie do końca zdając sobie sprawę, o które zamieszanie mu chodzi.

– Nie zastanawia się pan chyba, czy skoczyć? – spytała. – Ponieważ skacząc z tej wysokości, połamałby pan sobie jedynie nogi i byłby tu uwięziony.

Uśmiechnął się posępnie.

– Te wieże z wykuszami na froncie? – zasugerował. – Jak myślisz, nadałyby się?

Udawała przez chwilę, że się zastanawia.

– Obawiam się, że żwir w alejce pod nimi tylko porysowałby panu tę przystojną twarz – powiedziała lekko. – Mógłby pan jednak wspiąć się na monstrualną płaskorzeźbę, którą mijaliśmy

przy wjeździe, a gdyby dalej traktował mnie pan z takim lekceważeniem, kto wie? Może dałabym się namówić, żeby pana popchnąć.

Zostało to powiedziane lekkim tonem, mimo to coś ścisnęło go w środku.

– Do licha, Elizabeth, nie... – zamilkł i potrząsnął głową.

– Mam nie robić... czego? – Ściągnęła brwi i dotknęła znów jego ramienia.

Wolałby, żeby tego nie robiła. Zmusił się jednak, by na nią spojrzeć, popatrzeć przez chwilę na przejrzystą, idealnie gładką skórę, zobaczyć coś na kształt troski w jej oczach. Pożądał tej kobiety niemal do bólu, mimo iż zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Nie mów takich rzeczy – wykrztusił. – Ani z nich nie żartuj.

Nie zmuszaj mnie, bym myślał, kim możesz być. Bym w ciebie wątpił.

To powinien był tak naprawdę powiedzieć.

Już i tak poddawał się jej syreniemu czarowi – opartemu, jak przypuszczał, jedynie na sztucznym uroku i tych wijących się dziko, ogniście rudych włosach. Lecz pod tą piękną fasadą kryło się wyrachowanie, chłodna, bezwzględna kalkulacja. Dostrzegł te cechy już za pierwszym razem, gdy oskarżyła go o niekompetencję i branie łapówek – a potem sama próbowała przekupić: pieniędzmi, a kiedy to nie podziałało, ciałem.

Podczas długiej podróży pociągiem mógł myśleć jedynie o tym, iż bardzo żałuje, że nie wziął wtedy tego, co oferowała. Nawet teraz członek zaczynał mu twardnieć na myśl o tym, jak jej jędrny tyłeczek wiercił się na jego kolanach w pociągu.

Jakoś udało mu się odepchnąć od parapetu i stanąć prosto, z dala od niej.

– Może powinnaś wrócić do swego pokoju, Elizabeth – powiedział spokojnie. – Zobaczymy się przy kolacji.

Lecz Elizabeth skrzywiła się tylko i zaczęła wyciągać z włosów ozdobny sznur, nieświadoma jego pożądania.

– Moim zdaniem – stwierdziła – lady Hepplewood to kobieta zgorzkniała i pełna gniewu. Och, tak, zdecydowanie lepiej – dodała, uwalniając niesforne loki.

– Jest po prostu arogancka i przyzwyczajona stawiać na swoim – powiedział.

– To coś więcej. – Potrząsnęła głową pełną loków i Napierowi zaschło w gardle. – Zauważył pan, jak zaciska dłoń na gałce laski? Gdyby można było zgnieść uściskiem mosiądz, gałka już by nie wytrzymała. A ta biedna panna Jeffers... Kim ona jest? Damą do towarzystwa czy służącą?

– Po trosze jednym i drugim.

– Biedactwo – westchnęła Elizabeth. – Wiem, co się czuje, kiedy trzeba okazywać nieustająco wdzięczność, i nie polecam tego.

Miał ochotę zapytać, co ma na myśli, lecz nie śmiał. I tak atmosfera zrobiła się już zbyt intymna. Nie potrzebował wiedzieć o niej nic więcej. Już to, co podejrzewał, sprawiało, że czuł się, jakby celowo zaniedbał obowiązki.

Zamiast tego oparł się biodrem o parapet i utkwił w niej wzrok.

– Dlaczego po prostu nie wyjedziesz, Elizabeth? – zapytał spokojnie.

Elizabeth zdążyła już odłożyć satynowe ozdoby i wyrzuciła teraz dłonie w górę, spoglądając na niego z niedowierzaniem.

– Bo mamy do wykonania zadanie? – zasugerowała. – Ponieważ im szybciej zrobimy to, po co pan tu przyjechał, tym szybciej będziemy mogli wyjechać?

Wyjechać.

Znaleźć się z dala od niej.

Modlił się o jedno i drugie, zaczynał jednak podejrzewać, że z zupełnie innych powodów.

Nagle otworzyła szeroko oczy, podbiegła do drzwi i pochyliła się, przyciskając do nich ucho. Suknia przylgnęła jej do bioder i pośladków, zapewniając rozkoszny widok.

Zdawało mu się, że nim się wreszcie wyprostowała, minęły godziny.

– To tylko wyobraźnia – wymamrotała. – Przepraszam, co takiego pan mówił?

Napier westchnął i zmienił strategię.

– Wyłóż swój punkt widzenia, lecz zrób to szybko – powiedział. – W jaki sposób mogłabyś być mi pomocna?

Znowu to szczere spojrzenie.

– Cóż, trudno powiedzieć – odparła – kiedy nie ma się pojęcia, co sprowadziło pana do Burlingame. Tak czy inaczej, będę spędzała mnóstwo czasu z tą „denerwującą gromadką kobiet", a damy plotkują. Co więcej, nie zwracają uwagi na to, że inna dama zadaje wiele pytań. Doprawdy, zważywszy na moje kłopotliwe położenie, zdziwiłyby się, gdyby było inaczej.

– Jest w tym trochę racji – przyznał.

– Poza tym, jest jeszcze Fanny.

– A kim, na Boga, jest Fanny?

– Moją pokojówką – odparła zniecierpliwiona. – A w pomieszczeniach dla służby plotkuje się na potęgę.

– Rzeczywiście, mój Jolley jest pod tym względem nieoceniony.

– Co więcej, Fanny i ja możemy przebywać w części domu, do której pan nie będzie miał wstępu – mówiła dalej. – Podczas gdy będzie pan zamknięty z Duncasterem w jakimś zakurzonym gabinecie, damy będą piły herbatę w salonie, szyły w pokoju dziennym albo czytały w bibliotece. Szuka pan może broni? Lub skradzionych przedmiotów?

Zastanawiał się przez chwilę. Rozmyślał o tym, dlaczego nie może skorzystać z jej oferty. Elizabeth Colburne była sprytna i inteligentna, a fakt, że członek zaczynał mu pulsować, gdy tylko znalazła się pobliżu, świadczył jedynie o jego głupocie.

– No dobrze – powiedział, oparłszy dłoń na słupku przy łóżku. – Będę potrzebował każdej plotki, jaką uda się wam usłyszeć, byleście nie narażały się przy tym na niebezpieczeństwo. A także papieru.

– Papieru?

– Listowego – wyjaśnił. – Z każdego pokoju w domu, chociaż zapewne nie będzie to możliwe. Daj próbki Jolleyowi albo niech zrobi to Fanny.

Niemal widział, jak trybiki w jej głowie zaczynają się obracać.

– Ktoś napisał do pana anonimowo – powiedziała. – Albo napisał coś podejrzanego do innej osoby, a pan chce się dowiedzieć, czy list wyszedł z tego domu.

– Nieważne, czego ja chcę – prychnął. – Potrzebuję po prostu próbek papieru. Nie rób nic głupiego. Jeśli ktoś przyłapie cię, jak

grzebiesz w jego biurku, powiedz, że potrzebowałaś coś zanotować lub wysłać list do domu.

– Tak, do kochanego wuja, lorda Rowenda, bez wątpienia – zauważyła chłodno. – Będzie potrzebował czasu, by zaplanować wesele.

Napier parsknął śmiechem.

– Och, bez wątpienia.

I wtedy popełnił poważny błąd – spojrzał na nią. Naprawdę na nią spojrzał. Uśmiechała się szelmowsko kątem ust, a jej zieloniebieskie oczy błyszczały humorem.

Przeciągnął dłonią po twarzy.

– Co takiego? – spytała.

Jednak powaga sytuacji, w jakiej się znalazł, wróciła, i to zwielokrotniona.

– Popełniłem błąd – powiedział.

– Ach tak? – Przechyliła głowę, jakby chciała lepiej mu się przyjrzeć. – Jakiego rodzaju?

– Każdego – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Przywożąc cię tutaj. Te wszystkie kłamstwa. Przebieranki. Ta przeklęta peruka. Nie wiem, doprawdy, co sobie myślałem. Wszystko to było... nierozsądne.

Wyraz niedowierzania powrócił.

– Cóż, trochę za późno na skruchę – burknęła. – Mogłam być już w połowie drogi na Côte d'Azur.

Chrząknął.

– Sądziłem, że wybierasz się do Szkocji, krainy bezprawia i ostatniego schronienia wszelkiego autoramentu łajdaków?

Przesunęła po nim spojrzeniem mrocznym i zielonym jak jej suknia.

– Cóż, przede wszystkim zależało mi na tym, by znaleźć się jak najdalej od pana i Lazonby'ego.

– A ja powinienem był pozwolić ci wyjechać.

– Dlaczego? – spytała stanowczo. – Uważa mnie pan za przestępczynię i, tak, dopiero co pan to powiedział: łotrzycę. Dlaczego miałby pan pozwolić mi wyjechać?

Głowę miała nadal przechyloną, wzrok utkwiony w jego twarzy, pełne wargi lekko rozchylone, a oczy płonące gniewem, lecz także inteligencją.

Najwidoczniej nie była jednak wystarczająco inteligentna.

Wysunął ramię, pochwycił ją i przyciągnął gwałtownie do siebie.

– Dlatego – powiedział, a potem ją pocałował.

Ledwie miała czas zaczerpnąć oddechu, gdy nakrył jej usta swoimi, dając upust długo tłumionemu pożądaniu. Spróbowała odepchnąć go drugą ręką, było już jednak za późno. Poddając się pierwotnemu instynktowi, przycisnął ją do masywnego dębowego słupka.

Jęknęła cicho. Pomyślał, że z pożądania i przylgnął do niej jeszcze mocniej, pożerając jej usta swoimi. Choć nadal trzymała dłoń na jego obojczyku, nie broniła się.

Miał po części nadzieję, że będzie.

Zamiast tego, kiedy przeciągnął delikatnie językiem po jej ustach, rozchyliła wargi, wydając cichy, zapraszający dźwięk i pozwalając mu robić, na co ma ochotę. Napier skorzystał natychmiast z okazji, by wsunąć pomiędzy nie język i badać rozkoszne głębiny jej ust.

Przemknęło mu mgliście przez myśl, iż jest zastanawiająco doświadczona, jednak kolejna fala pożądania przepędziła wszelkie wątpliwości. Czuł się tak, jakby wbito mu w brzuch gorące żelazo. Zacisnął lędźwie.

Ześliznęli się niespodziewanie ze słupka i Napier przydusił Elizabeth do miękkiego materaca. Wsunął się na nią i pogłębił pocałunek, splątując zmysłowo język z jej językiem i niemal przestając nad sobą panować.

Zarzuciła mu dłonie na ramiona, nieśmiało i z wahaniem. A potem przesunęła jedną wzdłuż jego pleców, rozpalając go aż do kręgosłupa. Błagał ją w milczeniu, by przesunęła ją jeszcze niżej, przylgnęła do niego w najbardziej grzeszny i namiętny sposób.

Pogrążył się w czystym, zmysłowym głodzie i niczym tonący czuł, że wciąga go w mroczną otchłań ku ryczącemu wodospadowi pożądania, znad którego nie było już odwrotu. Ponieważ Elizabeth była niebezpieczna i zdolna wciągnąć go w głębinę. Po prostu to wiedział.

A jednak miękkie, kobiece kształty jej ciała pasowały do niego zbyt dobrze, a ciepło jej piersi i brzucha doprowadzało do szaleństwa.

Przeturlali się na bok na puchowym materacu i spódnica Elizabeth uniosła się powyżej kolana. Nie myśląc, wpychał rytmicznie język w jej usta w jawnym zaproszeniu. A kiedy podciągnęła kolano i jęknęła z przyjemności, ciepło jej uda sprawiło, że zadrżał.

Zatracił się tak dalece, że objął jej twarz dłońmi i przesunął ustami wzdłuż policzka i skroni, szepcząc do ucha szalone słowa, słowa uwielbienia i pożądania.

Objął dłonią pierś, zsuwając materiał, póki nie poczuł pod palcami twardego pączka jej sutka. Wywołało to nieuchronny przypływ żądzy.

– Och, Elizabeth – wyszeptał, przesuwając językiem wzdłuż jej ucha. – Pozwól mi...

– N-nnie... – Zdyszana położyła dłoń na jego ramieniu i odepchnęła go zdecydowanie. – Napier, przestań... Ja... my wcale tego nie chcemy.

Na Boga, on chciał, i to jak!

Jednak jej słowa były jak kubeł zimnej wody. Znieruchomiał, oddychając ciężko i spojrzał na Elizabeth. Wydawała się rozpustna i chętna, gdy tak leżała z masą kręconych włosów, kontrastujących z bielą poduszki. Pożądała go, w tym instynkt go nie mylił. Wargi miała wilgotne i lekko rozchylone, a oczy zamglone i szkliście zielone. Czuł, że jej ciało drży – i podejrzewał, że nie ze strachu.

– Chcesz tego, Elizabeth – wyszeptał, mając po części nadzieję, że zaprzeczy. – Chcesz poczuć mnie w sobie.

Zerknęła na niego i oblizała kącik ust.

– Tak – westchnęła. – Nie przeczę. Ale... nie możemy.

Pocałował ją znowu, tym razem bardziej delikatnie, nie chcąc wyrzec się zdobyczy, która należała już niemal do niego i której pragnął od miesięcy.

Odsunęła go delikatnie.

– Proszę, nie – wyszeptała. Długie rzęsy opadły jej niczym koronka ku bladym policzkom. – Będziemy tego żałować. Pan będzie żałował.

Dotknął czołem jej czoła i zmusił się, by wyrównać oddech.

– Tak – powiedział, parskając szorstkim śmiechem. – Wiem.

– A ja zasługuję na coś lepszego – powiedziała cicho – niż mężczyzna, który będzie żałował, że się ze mną kochał. Jestem, rozumie pan, beznadziejną romantyczką.

Na to nie było już odpowiedzi. A kiedy spojrzała na niego z czułością, poczuł, że coś ściska go za gardło.

Boże! Ona – romantyczką?

Musnął wargami jej pięknie zarysowane brwi i odtoczył się na bok. Przez dłuższą chwilę leżał na materacu, wpatrując się w plafon na suficie i czekając, aż erekcja stanie się mniej bolesna.

Elizabeth Colburne zasługiwała na coś lepszego.

Jednak większość kobiet to romantyczki. Dlaczego zatem nie ona?

– Jest pan zbyt milczący – powiedziała drżącym głosem. – Czy ja...

– Czy ty, co...? – wykrztusił bardziej szorstko, niż zamierzał.

– Rozgniewałam pana? – spytała. – Czy miała to być cena, jaką miałabym zapłacić za wolność?

Zaklął pod nosem.

– Och, wiem, uważa mnie pan za Jezebel – kontynuowała znacznie silniejszym głosem – i może nie bez powodu. Lecz proszę zrozumieć: zrobiłabym wszystko, absolutnie wszystko, by pomścić ojca. Zapłaciłabym każdą cenę. Lecz po to, żeby ocalić siebie? Musi pan wiedzieć, że nie jestem do tego zdolna.

– Myślisz, że co to jest? – zapytał ponuro. – Cena, którą można zapłacić? Część układu z diabłem, który, jak sądzisz, zawarłaś?

– A nie?

– Jezu Chryste, Elizabeth. – Węzeł na jego gardle zacisnął się mocniej. – Co takiego zrobiłem, że uznałaś mnie za mężczyznę tego pokroju?

– N-nic... – wyszeptała.

– Do licha, widzisz teraz, o co mi chodziło? Na czym polega błąd?

Plafon rozpłynął mu się przed oczami – przedstawiał Faetona powalonego błyskawicą. Jakże stosownie. Nie odezwała się, a on po jakimś czasie zebrał się w sobie na tyle, by zejść z łóżka i pomóc jej się pozbierać. Lecz kiedy odwróciła się, żeby poprawić stanik, zauważył na pościeli zgniecione sznury z jej włosów.

Kierowany żałosnym impulsem, chwycił je i zacisnął wokół dłoni tak mocno, że odciął dopływ krwi, a potem rozprostował i wepchnął pospiesznie do kieszeni.

Odwróciła się ze słabym uśmiechem.

– Miał pan rację – przyznała. – Nie powinnam była tak tu wpadać. Biorę za to pełną odpowiedzialność.

Napier wzruszył ramionami i zmusił się do uśmiechu, który musiał przypominać raczej grymas.

– Dama ma prawo odmówić swych względów dżentelmenowi – powiedział, zacisnąwszy dłoń na słupku. – Przepraszam, Elizabeth. O ósmej rano odjeżdża z miasteczka pociąg do Londynu. Dopilnuję, żebyś do niego wsiadła.

Zamyśliła się na chwilę.

– Tylko do czego miałabym wracać? – spytała głucho. – W Londynie nic na mnie nie czeka. Nie mogę nawet wrócić do pracy w szkole lady Leeton.

Miała rację i dobrze o tym wiedział. Co gorsza, nie chciał, by wyjeżdżała.

– Doskonale – powiedział. – Zapewniam więc, że to się nie powtórzy.

Uśmiechnęła się tym razem szerzej.

– Czyli, że się dogadaliśmy – powiedziała. – W końcu, skoro już tu jestem, mogę równie dobrze pomóc.

Puścił słupek.

– Tak, a ja postaram się obronić cię przed Lazonbym – zauważył cokolwiek szorstko, zmierzając ku drzwiom.

Nie odpowiedziała. Położył dłoń na klamce i zauważył, że uniosła wyżej brodę.

– Co innego mogłabym zrobić? – spytała w końcu.

W rzeczy samej, co?

Otworzył zamek w drzwiach i wyjrzał na korytarz.

– Droga wolna – powiedział, wskazał gestem drzwi.

Minęła go bez słowa niczym chmura lilii i kobiecego ciepła. Nie spojrzał w ślad za nią, lecz stał oparty o framugę, nasłuchując cichnących w korytarzu kroków.

Po chwili jego uszu dobiegło skrzypienie zawiasów. Oderwał się od framugi i zamknął za sobą drzwi.

Tym razem na klucz.

---

[1] Gretna Green – szkocka wieś przy granicy z Anglią, gdzie udzielano ślubów bez zgody rodziny (przyp. red.).

Rozdział 7
Beatrice wszystko wyjaśnia

Lisette cuchnęła dymem. Jej włosy. Ubranie. Swąd zatykał jej nozdrza, dusił.

Lampa zamigotała. Zerknęła na nią w panice. Nafta prawie się już wypaliła. Pracowała jak szalona. Wykreślić akapit. Nabazgrać coś na marginesie. Poszukać w głowie odpowiedniego słowa.

Spłonął zamiast się spalił. Bryg w porcie bostońskim spłonął. Ashton nienawidził określenia spalił się.

Zerknęła na zegar. Pięć minut. Za pięć minut Len przyjdzie zabrać artykuł do składania. Zagryzła wargi i spuściła znów wzrok. Oddech uwiązł jej w gardle. Słowa znikały – wtapiały się w papier niczym gorące masło. Drzwi za nią otworzyły się szeroko.

– I co, dziewczyno? – zapytał ktoś władczym głosem, a nozdrzy Lisette dobiegła woń brandy. – Kto umarł?

– Pani Stanton, zapewne – odparła, pisząc gorączkowo. – Jest w bardzo złym stanie.

Gorzej niż złym. Lisette nauczyła się rozpoznawać nadchodzącą śmierć. Krucha postać w szeroko rozpostartej, przesiąkniętej wodą

pelerynie spoczywała na nabrzeżu niczym anioł o zielonych skrzydłach, zbyt słaba i drżąca, żeby wymiotować, chociaż szarpały nią skurcze.

– Dosyć. – Ashton przysunął się bliżej. – Wezmę to.

Żołądek skręcił się jej w supeł.

– Już prawie skończyłam, sir.

– Prawie? – ryknął Aston. – Mam tu gazetę, którą muszę sprzedać, ty mała krowo, a obijanie się nie zapewni ci dachu nad głową. A już na pewno nie u mnie.

– Dopiero wróciłam – odpaliła.

Zegar wybił godzinę.

– Już czas – warknął, wyciągając rękę po artykuł.

– Nie jest skończony.

– Tak, jesteś zbyt dobra na to, żeby zarabiać na swoje utrzymanie, co? – Chwycił Lisette jedną ręką za ramię i zamierzył się drugą z twarzą wykrzywioną pogardą.

Jednak cios nie padł. Jak zawsze zresztą.

Ponieważ wiedział lepiej.

– Panienko? – Ktoś trącał ją w ramię. Głos tej osoby dobiegał jakby z tunelu. – Panienko, to ja, Fanny. Proszę się obudzić.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy i zobaczyła nad sobą twarz pokojówki. Ciemne brwi ściągnięte miała w wyrazie niepokoju.

– Co...? – wykrztusiła.

Fanny puściła jej ramię i uśmiechnęła się łagodnie.

– Jest wpół do ósmej – powiedziała. – A z kim to panienka rozmawiała?

Lisette uniosła się na łokciu, odgarniając z twarzy włosy i starając się sobie przypomnieć.

– Na Boga, Fanny – odparła, wzdragając się. – Śnił mi się Ashton. Znowu.

– Ten wyszczekany łajdak? Ha! Nie dawała mu panienka sobą pomiatać. Dostawał to, na co zasłużył. Poza tym, teraz nic już nam nie zrobi. – Podeszła do kominka i przyjrzała się z dezaprobatą palenisku. – Ktokolwiek ułożył tu wczoraj wieczorem drewno, też musiał być chyba pijany. Dym mógłby zadusić człowieka na śmierć.

Lisette usiadła na łóżku i rozejrzała się w poszukiwaniu porannej czekolady. Fanny podeszła do okna. Odsunęła draperie i podwiązała je sznurem, a potem podciągnęła szybę. Framuga zaskrzypiała na znak protestu. Czyste, chłodne powietrze wypełniło pokój.

Lisette nabrała go głęboko do płuc, pozbywając się resztek wywołanego snem otumanienia. – Śniłam o „Złotym Orle" – powiedziała cicho, otaczając dłońmi ciepły kubek. – To ten statek, który zapalił się, kiedy wypływał z portu w Bostonie, a wszystkich, którzy znajdowali się na pokładzie, trzeba było wyciągać z wody. Pamiętasz?

– Tak, okropne wydarzenie, lecz dawno temu – Fanny machała pod oknem fartuchem, jakby chciała przyspieszyć wietrzenie. – Ale to była sprawka naszego Jacka, czyż nie? A teraz Ashton gnije w grobie, a biedna pani także odeszła. Co zaś się tyczy tej studni bez dna, tego „Examinera", to już nie pani zmartwienie, prawda?

W rzeczy samej. Ponieważ Lisette sprzedała gazetę, oddała za grosze po śmierci ciotki, gdyż słabość wuja do radykalnej polityki i alkoholu doprowadziła biedny szmatławiec na skraj bankructwa. Przez dwa lata po jego śmierci jakoś udawało się im utrzymać

pismo na powierzchni, lecz teraz w życiu Lisette nie pozostało już nic z tamtych czasów. Nic poza domem przy Federal Street, który stał obecnie pusty.

Prawie nigdy nie myślała o latach spędzonych w Bostonie. I udawało jej się to, póki jakieś wydarzenie nie wytrąciło jej z równowagi, zakłócając sen.

Ostatniego wieczoru coś takiego się wydarzyło.

Coś wysokiego, ciemnowłosego i wielce irytującego.

Odrzuciła kołdrę, podeszła szybko do umywalni i nalała do miski zimnej wody, żeby zmyć ślady łez. Teraz, kiedy w pokoju zrobiło się widno, Fanny z pewnością by je zauważyła, a Lisette nie zniosłaby wypytywania. Nie była nawet pewna, jakich wyjaśnień mogłaby udzielić – co tylko pogarszało sprawę.

Osuszyła policzki i spojrzała w lustro nad umywalnią. Blada, doskonale owalna twarz spoglądała na nią oczami o dziwnej barwie. Wyglądała normalnie. Nie jak rozpustna dziewka, która wierciła się i pojękiwała wczoraj pod silnym – i dosyć zdecydowanym – ciałem Roydena Napiera. Tak zdecydowanym, iż obawiała się przez moment, że przesadziła z ryzykiem i ten mężczyzna nie pogodzi się z odmową.

Zamiast nalegać, pozwolił jej odejść. I wtedy, przez krótką chwilę, miała nad nim przewagę. Był zażenowany i pełen skruchy. Mimo to, zamiast natychmiast się spakować, odrzuciła jego propozycję i nie uciekła, choć miała szansę. Znowu.

Odwróciła wzrok od lustra i roześmiała się żałośnie, zakłopotana własną naiwnością. Dobry Boże, czy naprawdę wyobrażała sobie, że ta wycieczka w głuszę przerodzi się w coś w rodzaju wyprawy po ocalenie, ona zaś, pomagając Napierowi

w jego szalonym przedsięwzięciu, odkupi, choćby w niewielkim stopniu, swoje winy?

W świetle dnia łatwiej było przyznać, o co jej chodziło. Ponieważ prawda wyglądała tak, że gdyby chciała uciec od Napiera, spróbowałaby opuścić Hackney już przed kilkoma tygodniami. I pewnie by się jej udało.

Zamiast tego zgodziła się przyjechać tutaj. Ponieważ stanowiło to wyzwanie. Odwracało uwagę od tego, czym się stała. I ponieważ wybrała tę niejasną ścieżkę ku odkupieniu.

Tylko że za to, co zrobiła, nie było odkupienia.

Człowiek leżał martwy – zły człowiek, zgoda – nazwisko innego zostało nieodwołalnie zszargane i była to częściowo jej wina. Uparta, niemal obsesyjna pogoń za lordem Lazonbym uświadomiła Lisette jaśniej niż cokolwiek, że pomsta rzeczywiście należy do Pana.

Odłożyła lniany ręcznik, odwróciła się i jęła przyglądać, jak Fanny wykłada jej ubrania. Zastanawiała się, jak zdołała przetrwać wczorajszą kolację. Napiera posadzono po przeciwnej stronie stołu i ledwie na nią patrzył. Lord Duncaster nie zszedł na posiłek, nie było zatem komu udać się na szklaneczkę porto i po jedzeniu przeszli wszyscy od razu do małego saloniku, gdzie podano kawę. Lisette odczekała chwilę, po czym wymówiła się zmęczeniem po podróży i uciekła do swojej sypialni.

Zamiast o zmęczeniu należałoby wspomnieć raczej o głupocie.

Napier był w każdym calu mężczyzną i miał męskie pragnienia. Lecz ona pozostawała jego więźniarką albo kimś w tym rodzaju i dobrze wiedziała, że lepiej nie sprawdzać, jak daleko może się posunąć.

Albo do czego może posunąć się ona.

Ubrała się i odbyła długi spacer korytarzami Burlingame, kierując się ku pomieszczeniu, które Gwyneth nazwała poprzedniego wieczoru małą jadalnią. Napier zdążył już zjeść i wyjść, lecz panie nadal siedziały przy kawie. Obok talerza lady Hepplewood leżała złożona gazeta, zaś Gwyneth Tarleton oglądała kilka kawałków zwilżonego jedwabiu ułożonego na skraju stołu.

Gdy weszła, pozdrowiły ją dosyć serdecznie. Diana Jeffers zerwała się z krzesła i podeszła wraz z Lisette do kredensu.

– Mam zadzwonić po ciepłe grzanki, panno Colburne?

– Dziękuję, nie – odparła, nakładając sobie na talerz. – I, proszę, mów mi Elizabeth, albo, jeśli wolisz, Lisette.

– Doskonale – panna Jeffers uśmiechnęła się słabo. – Skoro tak, jestem Diana.

– A ja, oczywiście, Gwyneth – wtrąciła panna Tarleton. – Mam nadzieję, że dobrze spałaś?

– Cudownie – skłamała. – Dziękuję.

Diana pokazała Lisette zawartość nakrytych półmisków, a potem odeszła.

Lady Hepplewood chrząknęła.

– Zastanawiałam się, panno Colburn, czy ustaliliście już datę ślubu?

Lisette się odwróciła.

– Och, jakoś tak na wiosnę – odparła niejasno.

– Lecz nic nie zostało jeszcze ustalone? – naciskała lady Hepplewood z nadzieją. – Rodzina nie ma szczególnych oczekiwań?

Tym razem uśmiech Lisette nie był już tak radosny.

– Rodzina oczekuje po mnie jedynie, bym podjęła wreszcie decyzję – odparła. – Oczywiście, kiedy wybierzemy datę, natychmiast wszystkich zawiadomię.

Lady Hepplewood poddała się i wróciła do czytania gazety, a Lisette do kredensu. Z tyłu dobiegł ją szelest – to Gwyneth składała materiał.

– Doprawdy, Diano – powiedziała, gdy Diana usiadła – nie znam się na kolorach. Nie potrafię też sobie wyobrazić, dlaczego chce ci się zmieniać wystrój pokoju, który został na nowo urządzony zaledwie przed rokiem.

Diana wydawała się urażona.

– Kiedy tu zamieszkaliśmy, Hepplewood powiedział, że mogę umeblować nasze pokoje jak zechcę.

– Tak, zawsze byłaś jego ulubienicą – wymamrotała Gwyneth. – Lecz on nie żyje. Nie będzie korzystał z tego pokoju.

Lisette odwróciła się i zobaczyła, że lady Hepplewood spogląda na bratanicę z wyższością.

– To sprawa uczuć, Gwyneth. Nie będziesz w stanie tego zrozumieć – wyjaśniła chłodno. – Diana wybrała zieleń ze względu na Hepplewooda. To był zawsze jego ulubiony kolor.

– W rzeczy samej, i nadal mi się podoba – dobiegł je senny, męski głos.

Diana otworzyła szeroko oczy, po czym zerwała się od stołu, omal nie przewracając filiżanki.

– Tony! – krzyknęła, ruszając ku drzwiom.

Lisette odwróciła się i zobaczyła uderzająco przystojnego mężczyznę w indyjskim szlafroku. Stał w progu, opierając się ramieniem niedbale o framugę, jasne loki opadały mu na oczy.

Wyglądał, jakby dopiero się obudził. Miał co prawda pod szlafrokiem koszulę i luźno zawiązany krawat, lecz nie zmieniało to ogólnego wrażenia. Równie dobrze mógłby mieć wypisane na czole: sybaryta.

Diana Jeffers uściskała go serdecznie. Lady Hepplewood przyglądała się temu z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Cóż, chłopcze – powiedziała chłodno – czyżby znudziły cię londyńskie rozrywki?

Diana wprowadziła młodego człowieka do jadalni.

– Kiedy przyjechałeś? – spytała z odcieniem lekkiej nagany w głosie. – Dlaczego nas nie uprzedziłeś?

– Dzień dobry, Hepplewood. – Gwyneth wręczyła materiał Dianie.

– Cześć, Gwen. Dobrze wyglądasz, mamo. – Podryfował leniwie ku lady Hepplewood, ta zaś uniosła ku niemu upudrowany policzek. – Pisałem, Di. Do mamy.

– Nie wspomniałeś jednak, że wybierasz się do domu – powiedziała lady Hepplewood. Nie wyglądało na to, by ucieszyła się z wizyty.

– Cóż, mam w końcu dla was kilka nowin – powiedział Tony cokolwiek czujnie. A potem dostrzegł Lisette, stojącą obok kredensu i przyglądającą się drobnemu zamieszaniu.

– Do licha! – powiedział, przesuwając po niej z wolna spojrzeniem. – Kim jest ta wysoka bogini ukrywająca się w naszym pokoju śniadaniowym? A ja stoję tutaj w dezabilu niczym najgorszy leń.

Zauważyła jednak, że nie przeprosił za brak formalnego stroju.

– Ominęło cię ekscytujące wydarzenie, Hepplewood

– zauważyła jego matka, otwierając egzemplarz „Timesa”. – To panna Colburne, narzeczona Saint-Bryce’a.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy i rzucił Dianie spojrzenie pełne wyrzutu.

– Saint-Bryce’a? – powtórzył.

– Jestem Elizabeth – odstawiła talerz i wyciągnęła ku niemu dłoń. – I tak, jestem narzeczoną Saint-Bryce’a. Będzie mu przykro, że się minęliście.

– Ach. – Lord Hepplewood uśmiechnął się lekko i zaczął nakładać sobie jedzenie na talerz. – Chodzi o tego Napiera... Ma chyba na imię Royden, czy tak?

– Dobrze wiesz, jak ma na imię. – Papier zaszeleścił, gdy lady Hepplewood odwróciła stronę w gazecie. – Kiedy przyjechałeś, mój drogi? Nie słyszałam, jak wchodzisz.

– Złapałem ostatni pociąg z Paddington wczoraj wieczorem – odparł lord Hepplewood, wyskrobując głośno resztki jajecznicy. – Marsh wpuścił mnie i od razu się położyłem.

Z połową butelki brandy, zauważyła Lisette po cichu. Najwidoczniej nie był to odosobniony przypadek, ponieważ woń alkoholu otaczała go niczym chmura.

Diana odłożyła z brzękiem widelec.

– Do którego łóżka? – spytała.

Hepplewood osunął się na krzesło obok matki.

– Mojego – odparł, jakby Diana rzuciła mu wyzwanie. – Tego wielkiego w zielonym pokoju. W dawnym pokoju papy.

– Ale ja zmieniam w nim wystrój – zaprotestowała Diana z uporem. – Nie zauważyłeś, że zdjęto draperie? Doprawdy, Tony,

musisz przenieść się do żółtej sypialni. Gwyneth pomaga mi właśnie wybrać obicia.

Tony wzruszył ramionami.

– Dlaczego ona? – zapytał. – Jeśli ktokolwiek poza mną ma decydować o tym, gdzie sypiam i jak wygląda pokój, tą osobą jest panna Colburne, czyż nie? Wkrótce wszystko tu będzie należało do niej. Poza tym lubię zieleń.

– Nie ma mowy – Diana wstała, chwytając filiżankę.

Lisette uśmiechnęła się radośnie.

– Diana wie z pewnością, co jest najlepsze – powiedziała uspokajająco. – A ja nie mam w tej kwestii wyrobionego zdania.

– W rzeczy samej. – Lady Hepplewood odłożyła głośno gazetę. – Poza tym, skoro Dianę bawi, iż może się czymś zająć, dość o tym. A teraz, Hepplewood, co to za nowina, która nie może czekać?

Na twarzy młodego mężczyzny zagościł na chwilę wyraz niepewności.

– Cóż – powiedział, siadając. – Musisz mi pogratulować, mamo. Zamierzam się ożenić.

– Coś takiego! – Gwyneth odstawiła z brzękiem filiżankę.

Diana, która nalewała sobie kawę przy kredensie, odwróciła się, wciągając głośno powietrze.

Lady Hepplewood utkwiła w twarzy syna stanowcze spojrzenie.

– Słucham? – powiedziała. – Nie mam w tej kwestii nic do powiedzenia?

– Prawdę mówiąc, nie. – Rysy Hepplewooda zastygły w wyrazie uporu. – Wybrałem pannę Felicity Willet z Lincolnshire.

– Willet? Lincolnshire? Nie słyszałam o... – Lady Hepplewood pobladła. – Na miłość boską, Hepplewood! Coś ty zrobił?

– Och, Tony... – Diana wpatrywała się w niego, jakby był duchem.

Tylko Gwyneth nie wyglądała, jakby tknęła ją apopleksja, choć wydawała się mocno zaskoczona. Lisette rozejrzała się, szukając pretekstu, by uciec.

Dżentelmen rozłożył tymczasem serwetkę i zaczął jeść.

– Poślubię pannę Willet – oznajmił. – Sama mówiłaś, że Loughford potrzebuje pani domu, a ja żony. Felicity doskonale się nada. I, nim zaczniesz: nie, nie znasz jej rodziny. To przemysłowcy z Midlands, a pan Willet wart jest co najmniej pół miliona...

– Przemysłowcy? – Lady Hepplewood odsunęła gwałtownie krzesło i wstała. – To znaczy, czym się zajmują? Produkują tekstylia? Posiadają kopalnie węgla? – Rzuciła na stół serwetkę, tłumiąc gniew. – Ani słowa więcej, Tony. Wstaniesz i odprowadzisz mnie do mojego saloniku. Natychmiast.

Hepplewood zacisnął wargi, a potem zaklął pod nosem, rzucił na stół serwetkę i wyszedł za matką z pokoju.

Diana Jeffers, drżąc, opadła na krzesło. Lecz Gwyneth spoglądała za ciotką i kuzynem bez śladu emocji.

– Co za ponury dzień, kiedy dżentelmen musi zamienić londyńskich lichwiarzy na fabrykanta z Midlands, żeby utrzymać się z dala wierzycieli!

– Gwyneth! – załkała Diana. – To niegodziwe!

Gwyneth wzruszyła ramionami.

– Mówię tylko, że Tony musiał wpaść po uszy w długi, skoro uznał, że pora poświęcić kawalerski stan. A teraz ciotka Hepplewood złoi mu skórę za to, że wybrał sobie narzeczoną poniżej swojej sfery.

Usłyszawszy to, Diana zalała się łzami, odsunęła krzesło tak gwałtownie, że aż się przewróciło i wypadła z pokoju, zakrywając dłonią usta. Lisette mogła jedynie stać, wpatrując się ze zdumieniem w drzwi, którymi opuszczali jadalnię kolejni bohaterowie dramatu.

Gwyneth tylko westchnęła, nie przerywając mieszania herbaty.

– Niczym nadmiernie dramatyczna inscenizacja opery komicznej, prawda?

Lisette zaczerpnęła głęboko oddechu.

– Czy byłoby to bardzo niewłaściwe, gdybym zapytała, co tu się właściwie wydarzyło?

Gwyneth uśmiechnęła się rozbawiona.

– Zastanawiałam się, jak długo wytrzymasz. – A potem westchnęła ciężko i odłożyła łyżeczkę. – Nie, nie ma w tym nic niewłaściwego. Tony ma rację, zostaniesz kiedyś panią tego całego bałaganu.

– Ach, nie. – Lisette uniosła dłoń. – Nie zamierzam być panią niczego, Gwyneth. Ja tylko... po prostu jest mi ich żal. Zwłaszcza panny Jeffers.

– Och, nie przejmuj się Dianą – odparła Gwyneth lekceważąco. – Nigdy nie mogła znieść, gdy Tony cierpiał, to wszystko.

– Są tak blisko?

– Jako dziecko chodziła za nim jak cień – odparła Gwyneth ze wzruszeniem ramion – a Anne była jeszcze gorsza. Nie potrafią jednak dostrzec, że słodki chłopczyk wyrósł na hulakę i utracjusza. Podobnie jak wujek Hep, nie są w stanie wyobrazić sobie, że mógłby postąpić źle. A ciotka Hepplewood musi uprzątać potem cały bałagan.

– Jakie to tragiczne – westchnęła Lisette.

– Tragiczne? – Gwyneth wzruszyła znów ramionami. – Głównie dla biednego pana Willeta. Tony skompromitował już jego córkę lub rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy, a prawdopodobnie jedno i drugie.

– Jedno i drugie?

Gwyneth błysnęła sardonicznym uśmiechem.

– Skoro wychowywałaś się w Londynie, panno Colburne, z pewnością słyszałaś określenie „łowca fortun”? Jeśli mężczyzna jest wystarczająco przystojny, nie musi zbytnio się napracować, żeby dziewczynę, która przyjechała dopiero co z prowincji, zwabić do ciemnego kąta i zszargać jej reputację. A zrobi to tym szybciej, im bogatszy jest jej ojciec.

Lisette wiedziała o tym aż nadto dobrze. Lord Rowend nie przestawał powtarzać, że właśnie z tego powodu jej rodzice zostali sobie poślubieni. Jeśli była to prawda, nie pozostawiono mu wielkiego wyboru: musiał zaakceptować oświadczyny sir Arthura Colburne’a.

Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy patrzy na to, co wydarzyło się w jej rodzinie z punktu widzenia Rowenda.

– Takie małżeństwa się zdarzają – wymamrotała, zastanawiając się, jak daleko może się posunąć. – Hepplewoodowie nie mają zatem pieniędzy?

Gwyneth się roześmiała.

– Cóż, mają olbrzymi dom i dobre, stare nazwisko – odparła. – Lecz Loughford to studnia bez dna, aż człowiek się dziwi, iż można utrzymać ją w jakim takim stanie za pieniądze z czynszów.

Lisette pogrzebała widelcem w talerzu, zastanawiając się.

– Dlatego lady Hepplewood mieszka praktycznie tutaj? Ponieważ ich dom popada w ruinę?

Choć raz Gwyneth wydawała się zakłopotana.

– Nie sądzę, by było aż tak źle – odparła. – Ale to stare domiszcze, pełne przeciągów. Z drugiej strony, Diana twierdzi, że jest tam pięknie.

– Zastanawiam się więc, dlaczego lady Hepplewood nie zaciągnie Tony'ego do domu – powiedziała Lisette, zachęcona szczerością Gwyneth. – Wydaje się całkowicie jej podporządkowany.

– Myślę, że ciotka chce wydać wpierw za mąż Dianę – odparła Gwyneth. – Podobnie jak ja, za długo już pozostaje panną i domyślam się, że w Northumberland nie ma kandydata, który by się nadawał.

Lisette zastanawiała się nad czymś przez chwilę.

– Ale gdy tak się stanie, kto zostanie towarzyszką lady Hepplewood?

– Nie ja – oznajmiła Gwyneth. – Lecz Diana nie jest właściwie towarzyszką, tylko kuzynką. Dorastaliśmy razem: Anne, Diana, Tony i ja.

– Rodzice Diany nie żyją?

– Ojciec jest w Hepplewood zarządcą. Mają na terenie włości ładny dom. Matka zmarła, kiedy Diana miała pięć lat.

– Jest zatem coś, co nas łączy, prawda? – zauważyła Lisette, przesuwając w zamyśleniu po talerzu kawałek bekonu. – Wszystkie straciłyśmy matki bardzo wcześnie.

– Zapewne. – Twarz Gwyneth złagodniała. – A teraz ciotka powiada, że to jej obowiązek: znaleźć Dianie męża. A jeśli jakaś kobieta nadaje się idealnie do małżeństwa, to jest nią Diana.

– Cóż, znalazła kandydata – zauważyła Lisette. – Twojego ojca, lorda Saint-Bryce'a.

– Czyż nie było to wygodne? – Gwyneth wygięła wargi w uśmiechu. – Ledwie papa zdjął żałobę, Diana musiała już ją założyć. A teraz pan Napier ma poślubić ciebie. Potem zapewne pozbędzie się nas stąd i umyje od wszystkiego ręce.

– Och, nie! – wykrzyknęła Lisette. – Jestem pewna, że nie chciałby...

Zamilkła gwałtownie, uświadamiając sobie, że nie wie, czego chciałby Napier. Czy wyrzuciłby ich wszystkich z Burlingame? A może w ogóle przestałby się tu pokazywać?

– Nie jesteś wszakże pewna, prawda? – spytała Gwyneth, jakby czytała jej w myślach. – Nic nie szkodzi. Zasługujemy na to, skoro jesteśmy taką bandą nadętych snobów.

Lisette zastanawiała się, czy Gwyneth ulżyło, że Diana nie zostanie jednak jej macochą. A jeśli wzdragała się na samą myśl o tym, co z Anne?

Lecz Anne była mężatką i trzecia żona ojca nie miałaby wpływu na jej życie.

– Ciekawe, czy Beatrice wiedziała, że będzie miała macochę? – spytała Lisette, zastanawiając się na głos.

– Jest bystrzejsza, niż mogłabyś się spodziewać – odparła Gwyneth. – A ciotka Hepplewood ściągnęła do Burlingame niczym sęp, kiedy matka Bei leżała na łożu śmierci, nietrudno więc było

się domyślić, co zamierza. Lecz kiedy papa umarł, plan obrócił się wniwecz i ciotka zwróciła się ku...

Zamilkła i miała na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

Lisette uśmiechnęła się i machnęła beztrosko dłonią.

– Tak, wiem, miała nadzieję, że uda się wydać Dianę za pana Napiera.

– Na jej obronę muszę dodać – zauważyła Gwyneth – iż nie sądziła, że jest zajęty.

– I była dla mnie łaskawa – dodała Lisette pospiesznie. – Zatem matka Beatrice nie miała więcej dzieci. Jakie to smutne.

– Biedna Julia była zupełnie jak mama – powiedziała Gwyneth niemal z żalem. – Obie nie nadawały się do rodzenia dzieci, i w końcu to je zabiło.

– Jakież to tragiczne – zauważyła Lisette. – Czy Julia też zmarła w połogu?

– Nie, ale została potem kaleką. Bea była cudem. Julia straciła sześcioro dzieci, zanim ją urodziła. Lecz papa i dziadek desperacko pragnęli... Och, Boże! Ależ jestem dziś niezręczna!

– ...kolejnego dziedzica – dokończyła Lisette. – Wiem. Sądzę także, iż pan Napier nie miałby nic przeciwko temu, gdyby jakiegoś znaleźli.

Gwyneth zmrużyła oczy.

– Możliwe, ale co wtedy z tobą?

Lisette obdarzyła ją niewinnym spojrzeniem. – Cóż, przyjęłam oświadczyny pana Napiera, nie mając pojęcia o jego rodzinnych powiązaniach – odparła szczerze. – Sądziłam, że zaręczam się z komisarzem stołecznej policji.

Gwyneth spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Cóż, Nicholas Napier był bogaty – zasugerowała. – Choć nie wiadomo, jak zdobył majątek.

Zważywszy, co powiedział przed śmiercią sir Wilfred, nietrudno było się domyślić, zmilczała jednak.

– Nie uważałam pana Napiera za biedaka – odparła ze śmiechem. – Widziałam jego powóz, ubrania i ten ładny dom przy Eaton Square.

Gwyneth odprężyła się nieco i usiadła wygodniej.

– Mimo to popełniłabyś mezalians – zauważyła. – I to niemały.

Lisette wzruszyła tylko ramionami i powiedziała prawdę.

– Mój ojciec wiódł skandaliczny żywot i skończył tragicznie. Coś takiego może sprawić, że człowiek zmienia poglądy na to, co właściwe, a co nie. Szanowałam pana Napiera i uważałam, że jest przystojny. Przyjęłam więc oświadczyny.

– Decyzja, z której musiałaś się, jak widzę, wytłumaczyć, moja droga – rozbrzmiał głęboki głos.

To „moja droga", wypowiedziane znajomym, niemal zmysłowym głosem, posłało wzdłuż kręgosłupa Lisette falę niebezpiecznego ciepła – uczucie zarówno niemądre, jak niepożądane.

Rozciągnęła wargi w uśmiechu, odwróciła się i zobaczyła Napiera. Stał w progu, blokując wejście niewiarygodnie szerokimi ramionami. Znowu przywdział czarny strój... i posępny wyraz twarzy.

– Dzień dobry, kochanie – powiedziała i wstała.

– Skończyłaś śniadanie?

– Tak, nie miałam za bardzo apetytu.

Napier wyciągnął do niej rękę.

– Zatem, jeśli zechcesz się do mnie przyłączyć – powiedział niskim, dobywającym się z głębi piersi barytonem – lord Duncaster życzy sobie nas widzieć.

– Oboje? – spytała niepewnie. – Razem?

– Teraz i zawsze – odparł Napier sucho – póki nas śmierć nie rozłączy.

Droga powrotna do wschodniego pawilonu zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Lisette szła obok Napiera przez luksusowo wyposażone pomieszczenia. Nie odzywali się do siebie, póki nie doszli do kolumnady. Masywne okna zostały uniesione, otwierając długą galerię na zaskakująco ciepły dzień. Słońce padało na ułożone naprzemiennie kwadraty marmuru, sprawiając wrażenie, jakby podłoga posypana została diamentowym pyłem.

Pośrodku galerii Napier zatrzymał się nagle i rozejrzał, by się upewnić, że w pobliżu nie ma nikogo. Sardoniczny humor, jaki dojrzała w jego spojrzeniu w jadalni, zniknął. Oczy Napiera wydawały się teraz ciemnoszare jak niebo zaciągnięte chmurami.

– Elizabeth – powiedział cicho. – Chciałbym…

– Napier, nie. – Skrzywiła się i uniosła dłoń, by go powstrzymać.

– Nie: co? – zapytał, stojąc sztywno tuż obok.

– Nie przepraszaj – odparła i ruszyła. – Prawdę mówiąc, nie musi pan nic robić.

Chwycił ją mocno za ramię i obrócił ku sobie.

– Elizabeth, zaczekaj. – Przyglądał się jej twarzy jak ktoś oglądający porcelanową filiżankę w poszukiwaniu rys i wyszczerbień. – Jak myślisz, co ja takiego robię?

– Próbuje pan być... Sama nie wiem, uprzejmy dla mnie? – Westchnęła. – To nie leży w pańskiej naturze. A ja nie jestem kruchą istotką. Kiedy wciągał mnie pan w tę grę, sugerował pan, że jestem wręcz bezlitosna.

– Każdy bywa kruchy – odparł spokojnie – na swój własny sposób.

Wzruszyła ramionami, nie wiedzieć czemu zirytowana jego łagodnym tonem.

– Nawet mój prawnik zauważył ostatnio, że stałam się twarda i cyniczna – powiedziała. – I nie uważał tego za komplement. A pan... Cóż, pan myśli o mnie jeszcze gorzej, prawda?

Nadal uważnie się jej przyglądał.

– Nie wiem już, co myśleć – przyznał. – Zaczynam sądzić, że zrozumieć ciebie, to jak nabierać wodę przetakiem.

Znów wzruszyła ramionami.

– Musi pan zrozumieć, że nie byłam chowana pod kloszem. Nawet zanim umarł papa, a co dopiero potem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Potrząsnęła głową. Naprawdę nie miała ochoty o tym rozmawiać.

– Ojciec był czarującym szelmą – powiedziała. – Sądzi pan, że o tym nie wiem? Albo że nie wiedziałam, jakie życie prowadził? Co zaś się tyczy późniejszego okresu, Ashtonowie wydawali gazetę, a obracając się w takim towarzystwie, nie sposób zbyt długo zachować dziewczęcą naiwność. Wiem, jak funkcjonuje ten świat, Napier. I jacy są mężczyźni.

Zacisnął mocniej dłoń na jej ramieniu.

– Jeśli tak myślisz – zauważył – to w ogóle mnie nie rozumiesz.

– Przynajmniej w tym się zgadzamy – odparła i znów ruszyła dalej. – Chodźmy, nie możemy kazać Duncasterowi czekać. Może umrzeć ze starości, nim tam dotrzemy. I co się wtedy z nami stanie?

Napier zawahał się na chwilę, lecz potem także ruszył, uderzając podeszwami wypolerowanymi butów mocniej o marmur. Lisette z trudem powstrzymywała się, żeby nie zgrzytać z irytacji zębami. Przeklęty facet nie znosił, kiedy mu się przeciwstawiano – nawet po to, aby powstrzymać go przed robieniem z siebie idioty.

Wszelka łagodność zniknęła z jego oczu i sprawiał znowu wrażenie zamkniętego w sobie i wyobcowanego. Zapewne nie bez powodu, pomyślała. Może nikt w Burlingame nie życzył mu źle, ale nie powitano go też zbyt serdecznie, co do tego zdążyła się już zorientować. Może Duncaster odczuwał tak samo.

Jednak dla Napiera nie powinno to mieć znaczenia. Chadzał bez wątpienia, dokąd i kiedy chciał, nie przejmując się niczyją opinią.

Zerknęła spod oka na wysoką, smukłą postać u swego boku. Napier poruszał się swobodnie i z gracją. Wyglądało też na to, że bardziej niż ktokolwiek, kogo znała, dobrze czuł się we własnej skórze. Wyczuwała w nim pewność siebie człowieka, który wie dokładnie, kim jest, i kształtuje swój los, tak jak chce.

Dla większości ludzi niespodziewany spadek stanowiłby okazję do odmiany życia. Lecz Napier traktował go wyłącznie jak uciążliwą niedogodność. Wierzyła, że tak naprawdę jest, nieważne, ile pełnych niedowierzania spojrzeń rzucały w jego kierunku osoby, takie jak Gwyneth Tarleton.

Spojrzała na niego znowu, zastanawiając się, co lord Duncaster mógłby uznać za niegodne jego dziedzica i nie znalazła niczego takiego. Przeciwnie.

Nie kłamała, mówiąc Gwyneth, iż uznała Napiera za przystojnego, choć nie w konwencjonalny sposób. Tego dnia miał na sobie strój do jazdy konnej: ciemny surdut z prostą czarną krawatką, wysokie czarne buty oraz bryczesy. Dzięki Bogu, nie było w nim nic z dandysa. Przeciwnie, wydawał się bardzo męski, emanując żywotnością, gibkością i siłą.

Westchnęła w duchu na wspomnienie tego, jak jego twarde i silne ciało wciskało ją w materac. Na samą myśl rumieniec zabarwił jej policzki. Uznała, że niezobowiązująca pogawędka będzie jak najbardziej na miejscu.

– Słyszał pan, że syn marnotrawny pojawił się dziś przy śniadaniu? – powiedziała, ściszywszy nieco głos. – Najwidoczniej on także się zaręczył, nie pytając matki o zgodę.

– Nie potrzebowałem jej przeklętej zgody.

– Lecz Tony najwidoczniej tak – zauważyła. – Lady Hepplewood chwyciła tę swoją okropną czarną lagę i powlokła go gdzieś w celu wychłostania. Proszę uważać się więc za szczęściarza. Wczorajsza herbatka mogła przebiegać w znacznie gorszej atmosferze.

– Cóż, jakież to czarujące! – wtrąciła Lisette nieco zbyt radośnie. – Widzę, że pan, milordzie, i pański dziedzic macie przynajmniej jedną cechę wspólną.

Stary człowiek odwrócił głowę. Jego oczy zwęziły się w wąskie szparki.

– Hę? A cóż by to mogło być takiego?

– Nader irytujący nawyk zakładania, iż wiecie, czego mogłabym chcieć, a czego nie – odparła rezolutnie. – Pan Napier uważa na przykład...

– Napier, też mi coś! – Twarz starca przybrała wyraz uporu. – Jego nazwisko brzmi: Tarleton. Musi wrócić do niego natychmiast.

Napier nie obruszył się, powiedział jedynie:

– Rozumiem, że tego by pan sobie życzył, przez całe życie byłem jednak Napierem i nie zamierzam tego zmieniać.

– Lecz twoje dzieci, Royden! – wykrzyknął Duncaster, czerwieniejąc gwałtownie. – Powinny... Nie! One zasługują na to, by nosić nazwisko Tarleton.

– Zajmiemy się tym, gdy przyjdą na świat – odparł Napier. – Lecz jeśli będę miał dzieci, pozostawię im wybór: kiedy dorosną, będą mogły zadecydować, jakie nazwisko chcą nosić. Jeśli będą wolały Tarleton, nie będę im zabraniał.

– Na pewno tak się stanie – oznajmił starzec. – Jeśli będą miały choć trochę rozumu.

– Zapewne ma pan rację – Napier był, jak zwykle, nader opanowany – i niemal bezlitośnie chłodny.

Lisette postarała się, żeby wrócono do interesującego ją tematu.

– Sprawa wygląda tak, że kiedy pan Napier mi się oświadczył, sądziłam, iż jest zaledwie komisarzem policji zadowolonym ze swojego miejsca w świecie. Zapewniam też pana, że będę całkowicie usatysfakcjonowana, mogąc ozdabiać poduszki i prowadzić mu dom przy Eaton Square. Nawiasem mówiąc, *sir*, czy pofatygował się pan kiedyś, by go obejrzeć? Określenie „nędzny” raczej do niego nie pasuje.

– Czy go widziałem? – powtórzył Duncaster. – Kupiłem ten przeklęty budynek.

– Jakie to wspaniałomyślne z pańskiej strony – zauważyła Lisette zwodniczo uprzejmym tonem. – Jednakże...

– Przestańcie. – Głos Napiera rozbrzmiał echem w zbrojowni. – Natychmiast. Co to znaczy, że pan go kupił?

Duncaster zaciskał dłonie na głowach smoków, pocierając jedną z nich nieświadomie kciukiem.

– Kupiłem go – powtórzył z uporem. – Nabyłem i przekazałem Agnes Napier jako... coś w rodzaju spóźnionego prezentu ślubnego. Miałeś wtedy osiem czy dziewięć lat.

– Kupił pan dom – powtórzył Napier głosem bez wyrazu – i podarował go mojej matce? Czy chciał ją pan w ten sposób przeprosić?

Duncaster poruszył się w fotelu niemal z poczuciem winy.

– Dałem go jej, gdyż było jasne, że twój ojciec nic ode mnie nie przyjmie – prychnął. – Wiedziałem jednak, że Agnes będzie chciała dla dziecka wszystkiego, co najlepsze. To u kobiet zawsze słaby punkt: dzieci.

Napier uniósł tylko brwi.

– Dlaczego w ogóle zadał pan sobie trud?

– Och, na miłość boską, chłopcze! Myślisz, że nie zdawałem sobie sprawy, że to Nicholas może zostać kiedyś moim dziedzicem? – burknął Duncaster. – Z Jamesem, romansującym na prawo i lewo i wdającym się co rusz w pojedynki, oraz Haroldem, który miał dwie córki i żonę zbyt chorą, by mogła dzielić z nim łoże?

– Proszę, *sir*. Jest z nami dama.

– Och, to ja proszę – kontynuował starzec burkliwie. – Z przyjemnością powiem ci to, czego twój ojciec nigdy by nie powiedział. Na Boga, Roydenie, naprawdę sądzisz, iż rządowy urzędas mógłby pozwolić sobie, by mieszkać w Belgravii? Nicholas i jego dziecinna duma doprowadzili do tego, że gnieździliście się we trójkę w mieszkanku nad sklepem z bielizną pościelową! A twoja matka musiała sama sobie prać! Jak zapatruje się na to mój wnuk? Jak...?

– Boże – wymamrotała Lisette, płonąc z ciekawości. – Czy syn wiedział, że pan to zrobił?

– Musiał wiedzieć. – Duncaster rzucił jej pełne niedowierzania spojrzenie, a potem utkwił płonący wzrok znów w twarzy wnuka. – Zatem, tak, kupiłem dom i zadbałem, by Agnes miała pieniądze, żeby odpowiednio cię wykształcić. Umarła jednak i to był koniec. – Zamilkł, a potem prychnął z pogardą. – Nie wiem, jak Nicholas radził sobie później, lecz ponoć dobrze mu się powodziło.

Twarz Napiera pociemniała i Lisette pomyślała znów o paskudnym oskarżeniu sir Wilfreda. – Cóż, cokolwiek zrobił pan dla mojej matki, bardzo panu dziękuję, gdyż była dobrą kobietą i bardzo ją kochałem – powiedział. – Odbiegliśmy jednak dosyć daleko od tematu naszej rozmowy.

– Zatem powróćmy do niego najszybciej, jak się da – powiedział Duncaster z nutką goryczy w głosie. – Twoi rodzice nie stanowią dla mnie ulubionego tematu.

– Nie powinniście mieszać do tej rozmowy moich życzeń – zauważyła Lisette. – Ponieważ żaden z was ich nie zna. Musicie ustalić wszystko pomiędzy sobą.

– Zgoda – prychnął Napier.

Duncaster poruszył się niespokojnie na krześle.

– Chcę tylko powiedzieć, chłopcze, iż musisz nauczyć się, jak funkcjonuje Burlingame – powiedział niemal płaczliwie. – Harold i Diana nie zapewnią nam już dziedzica i musimy jakoś sobie poradzić.

– Z całym szacunkiem, *sir*, nie jestem pewien, czy ja naprawdę coś muszę – powiedział Napier.

– Zatem dlaczego, u diabła, przyjechałeś? – zapytał Duncaster, machając w kierunku Napiera gniewnie dłonią. – Dlaczego tu przyszedłeś w butach do jazdy konnej! Sądziłem, że dziś zaczniemy. Wybierzesz się z Craddockiem w objazd posiadłości i spędzisz z nim kilka dni.

Skrzywił się, zirytowany. To, że wnuk mógł przyjechać do Burlingame w innym celu niż tylko skuszony perspektywą odziedziczenia majątku oraz tytułu, w ogóle nie przyszło mu do głowy. Co więcej, należał do ludzi, którzy uwielbiają mieć przewagę i z niej korzystać.

Lisette zaczynała rozumieć, co skłoniło ojca Napiera do opuszczenia rodzinnego domu.

W pokoju zapadła cisza. Duncaster nie przestawał pocierać nerwowo łba smoka – musiał mieć to w zwyczaju od dawna, gdyż spod politury wyzierało gołe drewno, a lewe ucho bestii zostało niemal zupełnie wygładzone.

Kiedy Napier w końcu się odezwał, jego głos nie brzmiał już tak zaczepnie.

– Przybyłem, *sir*, z tego samego powodu, który sprowadził mnie do Burlingame poprzednio. Ponieważ prosił mnie o to sir George i dlatego że coś nie daje mi spokoju. A założyłem buty do jazdy

konnej, ponieważ wybieram się do Marlborough spotkać się z doktorem Underwoodem.

– Spotkać się z Underwoodem? – powtórzył Duncaster z niedowierzaniem. – Co on, u Boga ojca, ma z czymkolwiek wspólnego?

– Jest lekarzem rodzinnym, prawda? – Napier rzucił szybkie spojrzenie Lisette. – Wiem, że Hepplewood nie był młody, nie rozumiem jednak, jak mężczyzna w wieku Saint-Bryce'a może umrzeć tak nagle, i to zaledwie w kilka miesięcy po tym, jak Hepplewood napisał do sir George'a niepokojący list.

Duncaster cofnął się gwałtownie.

– Co? Bzdury o tym, jakoby miał zostać otruty?

– Otruty? – powtórzył Napier. – Powiedział coś takiego do pana?

– Och, Boże święty! Mówił to każdemu, kto chciał słuchać – oznajmił wicehrabia. – Twierdził, że Cordelia próbuje go zabić! Mówię ci, pod koniec zupełnie sfiksował!

– Lecz lady Hepplewood? – Napier przemawiał teraz zaskakująco rzeczowo. – Jaki pańska siostra mogła mieć powód, by chcieć śmierci męża?

Lisette zauważyła, że Duncaster nie patrzy już na nich. Nagle wydał się jej mniejszy, bardziej wyczerpany, jakby zapadł się w siebie na masywnym czarnym krześle.

– Żadnego – odparł w końcu. – Cordelia potrafi być prawdziwą jędzą, zapewniam. I Bóg jeden wie, że mieli problemy. Lecz ona go uwielbiała.

– Jakiego rodzaju problemy?

Duncaster wbił w Napiera gniewny wzrok.

– Takie, jakie miewają małżeństwa – odparł wymijająco. – Lecz gdyby moja siostra chciała zabić męża, przywlokłaby go tutaj.

Lisette uznała za nader interesujące, iż Duncaster nie stwierdził, że lady Hepplewood byłaby niezdolna do morderstwa, ale jedynie, że fakty przeczą temu, aby je popełniła.

– Ciotka stwierdziła, że cierpiał na uwiąd starczy – powiedział Napier. – Wydał się panu słaby na umyśle, kiedy tu przyjechali?

Duncaster zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, umysł miał ostry jak brzytwa – odparł w końcu szczerze. – Musiał taki być, żeby poradzić sobie z sępami z rządu, z którymi przyszło mu pracować. – Uparty wyraz twarzy powrócił. – Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, więc jeśli sądzisz, że pozwoliłbym komukolwiek źle go traktować pod moim dachem, nawet tej mojej wyniosłej siostrze, lepiej to przemyśl.

Napier potrząsnął głową.

– Nie, *sir*, wcale tak nie myślę – powiedział. – Nie mogę wszakże zrozumieć, dlaczego tak nagle mu się pogorszyło. Postradał rozum w ile? Kilka tygodni? – Spojrzał na dziadka, szukając potwierdzenia.

Duncaster skinął niechętnie głową.

– Cóż, raczej miesięcy – powiedział – ale zaledwie kilku.

– No i jak taki inteligentny człowiek mógł nabrać przekonania, że jest truty, czy co tam sobie wyobrażał? – naciskał Napier.

Starzec uśmiechnął się szatańsko.

– Starzy ludzie miewają swoje fantazje – powiedział. – Ja, na przykład, wyobraziłem sobie, że wnuk przybywa do domu, by podjąć swoje obowiązki.

Napier skrzywił się zirytowany.

– Czy przyszło panu kiedykolwiek do głowy, że właśnie na tym polega mój obowiązek? – zapytał. – Obowiązek wobec Korony. A jeśli cokolwiek tu było nie tak, nie chciałby pan o tym wiedzieć?

– Ja... – Duncaster wzruszył ramionami. – Cóż, tak, oczywiście.

Lisette przyglądała się zafascynowana, jak Napier pochyla się i opiera łokcie na kolanach, zwieszając swobodnie dłonie. Oczy pociemniały mu znowu, a twarz przybrała wyraz skupienia. Wyglądał jak jastrząb wypatrujący ofiary, jednak ten akurat drapieżca – była tego pewna – nie zadowoliłby się byle przepiórką.

– Jego słowa wydają się wielce znaczące – powiedział. – Napisał, że Burlingame wyciska z niego życie. Że ściany zamykają się wokół niego i nie może oddychać. Co chciał powiedzieć, posługując się taką metaforą? Zamierzałem go spytać, lecz zanim przybyłem...

– Mówił mnóstwo rzeczy. – Duncaster był już ewidentnie znużony tematem. – Cóż, jedź zatem do Underwooda, jeśli chcesz – powiedział, machając niedbale dłonią w kierunku francuskiego okna. – Ktoś osiodła dla ciebie wierzchowca.

Napier milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się, czy powinien naciskać dalej, lecz doszedł widać do wniosku, że na dziś wystarczy.

– Dziękuję, sir – powiedział, wstając. – Nie zamierzałem pana zmęczyć ani zdenerwować.

Duncaster nie wydawał się zadowolony.

– Zrobiłeś jedno i drugie – burknął. – Jako rekompensaty domagam się czterech godzin twojego czasu jutro. Jeśli zamierzasz korzystać z mojej gościnności, możesz rzucić

przynajmniej okiem na posiadłość. Jutro zaczniesz objeżdżać dzierżawców ze mną i Craddockiem.

Lisette widziała, że Napier przeżywa rozterkę. Musiał wybierać pomiędzy obowiązkami wynikającymi ze stanowiska a tymi, które – jak zaczął już sobie zdawać sprawę – miały spaść nieodwołalnie na jego barki.

Co się zaś tyczy lorda Duncastera, choć starał się robić dobrą minę, widać było, że jest zmęczony, zarówno fizycznie, jak emocjonalnie. Lisette umiała patrzeć, zobaczyła zatem tyrana, który stał się pod koniec życia po dziecięcemu drażliwy – częściowo, być może, z żalu. Należało pamiętać, że pochował żonę, dzieci i najlepszego przyjaciela.

Wstała i spojrzała na Napiera.

– Mogę odprowadzić cię do stajni?

– Oczywiście, moja droga.

Zeszli po omszałych kamiennych stopniach i podążyli ścieżką, którą oddalił się łowczy. Stajnie znajdowały się za zachodnim pawilonem, w pewnej odległości od tej części domu i żeby tam dotrzeć, należało minąć sad jabłoni. Torowali sobie razem drogę przez bujną i zadbaną roślinność ogrodu z tyłu domu.

– Pański dziadek jest żywotny jak na swój wiek – zauważyła Lisette.

– Tak – odparł Napier sucho. – Zwłaszcza iż większość jego równolatków jest już od dekady martwa.

– Ach – powiedziała spokojnie. – Nie musimy o tym rozmawiać, prawda? Dostrzega pan to, co nieuniknione. I nie jest moją rolą pana ostrzegać.

Napier wzruszył ramionami.

– Co się tyczy twojej roli...

– Tak?

Zdawał się wahać.

– Nieważne – powiedział, kiedy mijali wysoki posąg z wapienia, przedstawiający grecką boginię, nalewającą wodę z dzbana do marmurowego basenu. W wodzie połyskiwało coś złotawo. Uświadomiła sobie, że to ryby.

– Pięknie tutaj, prawda? – zauważył. – Bogactwo i zbytek rzucają na nas blask nawet na zewnątrz niczym samo słońce.

Lisette mruknęła tylko na potwierdzenie, gdyż pytanie uznała za retoryczne. Lecz słońce ogrzewało rzeczywiście jej ramiona, a w powietrzu unosił się zapach róż i świeżo skoszonej trawy. Szła wyłożoną żwirem alejką, niebywale świadoma obecności silnego, ciepłego męskiego ciała tuż obok. Zerknęła znowu na jego przykuwający uwagę profil.

Wydawał się pogrążony w myślach. Nie sposób było odgadnąć, w jakim jest nastroju.

– Zaczynam rozumieć, co skłoniło pana do przyjazdu tutaj – zauważyła spokojnie. – Chciałabym bardzo, z uwagi na pana, aby i Duncaster to zrozumiał.

Napier chrząknął lekceważąco.

– On rozumie tylko, że ktoś sprzeciwia się jego woli – odparł. – A to dla niego równie niewybaczalne jak morderstwo.

– Zatem obawia się pan, iż rzeczywiście popełniono tu przestępstwo? – naciskała. – Ktoś pragnął śmierci Hepplewooda? I może Saint-Bryce'a?

– Nie bardzo wiem, czego się boję – przyznał. – Poza tym, że zajmowanie się tą kupą kamienia spadnie nieuchronnie na moje

barki.

Dotarli do długiej, porośniętej winoroślą pergoli, która prowadziła z formalnych ogrodów ku czemuś bardziej dzikiemu. Pośrodku znajdowała się ławka z kutego żelaza, ustawiona tak, by zapewnić widok na połyskującą w oddali taflę jeziora. Na pobliskim wzgórzu wznosiła się kamienna wieża.

– Chciałabym o czymś panu powiedzieć, Napier.

Przystanął na ścieżce i spojrzał na nią. Uświadomiła sobie, że coś go niepokoi, coś poza kłótnią z dziadkiem. Podejrzewała, iż wie, co to takiego.

– Chodzi o Duncastera? – zapytał. – Czy o coś gorszego?

– To drugie. – Uśmiechnęła się słabo i wskazała ławkę. – Usiądzie pan ze mną na moment?

Widziała, że niemal przytupuje z niecierpliwości, skinął jednak głową. Kiedy usiedli, spojrzała na opadający łagodnie ku jezioru trawnik. Powierzchnia wody była tak przejrzysta i gładka, że odbijało się w niej wolne od obłoków niebo. Co za szkoda, że decyzje, które trzeba podejmować, nie mogą być równie przejrzyste, pomyślała.

Napier dotknął ramienia Lisette, by wyrwać ją z zamyślenia. Skrzywiła się, więc cofnął natychmiast dłoń.

Lisette spojrzała na niego.

– Przepraszam. – Zaskoczona tym, co robi, ujęła jego dłoń w swoje. – Nie chodziło o pana. Po prostu się zamyśliłam.

Pochylił głowę, jakby chciał lepiej ją widzieć. Jego dłoń, ciepła i ciężka, spoczywała bezwładnie w jej dłoniach. Lisette wiedziała, co jest winna temu mężczyźnie. Prawdę. Wiedziała też jednak, do

jakich pytań prowadziłoby wyznanie prawdy. Nie chciała na nie odpowiadać. Zatem przeprosiny będą musiały wystarczyć.

– Elizabeth – powiedział łagodnie. – O co chodzi?

Puściła jego dłoń i zmusiła się, by kontynuować.

– Zaczynam uświadamiać sobie, jak poważnie traktuje pan obowiązki – powiedziała. – Jestem pewna, że sir George o tym wie. Dlatego gdy zaczął się martwić, że w Burlingame może dziać się coś złego, zwrócił się do pana. Nie chodziło jedynie o rodzinne powiązania.

– Nie mogę wypowiadać się za sir George'a, lecz w moim mniemaniu nie ma wyższego powołania jak służba w policji. Przynajmniej dla mnie. – Zaśmiał się szorstko. – Nie mam talentu do medycyny, a chyba oboje zgodzimy się, że nie nadaję się też na księdza. Ale czy naprawdę zaciągnęłaś mnie tutaj, żeby rozmawiać o mojej karierze?

Zerknęła na niego z żalem.

– Nie, po to, żeby przeprosić. – Zaczerpnęła oddechu, starając się uspokoić. Chciała mieć to wreszcie za sobą. – Ponad dwa lata temu – zaczęła – wparowałam do pańskiego gabinetu w Whitehall i oskarżyłam pana o brak kompetencji. Chyba nazwałam pana nawet skorumpowanym i zasugerowałam, iż można go kupić. Uważam, że to nieprawda. I że panu bardzo zależy.

– Doprawdy? – Napier przeczesał z wolna dłonią gęste, ciemne włosy. – Po dwunastu latach w tym interesie sam już nie wiem.

– Ci, którzy pracują ciężko, zajmując się naprawdę ważnymi sprawami, często bywają wypaleni – stwierdziła. – A sądzę, że jest pan w tym, co robi, bardzo dobry. Jest w panu jakiś dystans, to prawda, lecz zastanawiam się, czy bez niego zdołałby pan

przetrwać w swoim świecie. Postąpiłam niewłaściwie, oskarżając pana. Źle oceniłam pański charakter... i nie był to mój pierwszy błąd. Myliłam się co do całej sprawy. Co do wszystkiego. I wszystkich.

Zawstydzona uświadomiła sobie, że głos jej drży.

– Elizabeth – napomniał ją delikatnie.

Wydała z siebie dźwięk, przypominający zarówno szloch, jak śmiech. Uniosła dłoń.

– Zapewniam, Napier, że mówię szczerze. Mimo że jestem, albo za taką mnie pan bierze, doskonałą aktorką.

– Cóż – zauważył spokojnie – byłaś mi winna przeprosiny. Powinnaś jednak przejmować się bardziej Lazonbym. Ma wpływy i prawdopodobnie zechce się mścić, a ja nie...

– Pan nie...? – uśmiechnęła się krzywo.

Jego twarz przybrała mroczny wyraz.

– Zrewanżowałem się, wymuszając na tobie, żebyś tu ze mną przyjechała – odparł. – Powiedziałem, że ochronię cię przed Lazonbym, jeśli będzie trzeba, i zamierzam dotrzymać słowa.

– Ja... przypuszczam, że tak właśnie będzie.

– Dotrzymam słowa – burknął. – Ale jest jeszcze coś, co chciałbym, żebyś dla mnie zrobiła, Elizabeth.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego, zaniepokojona napięciem w jego głosie.

Przyglądał się jej uważnie pociemniałymi oczami. Wyglądały tak samo na chwilę przed tym, zanim ją pocałował, i Elizabeth wstrzymała oddech.

Lecz nie o całowanie mu chodziło.

– Chciałbym wiedzieć – usłyszała w końcu – co dokładnie powiedział sir Wilfred tamtego dnia w mleczarni, nim zginął. Nie proszę, byś powiedziała coś więcej albo do czegoś się przyznała. Chcę tylko wiedzieć bez cienia wątpliwości, co zostało powiedziane.

Lisette domyślała się, o co tak naprawdę pyta.

– Chodzi o pańskiego ojca.

Zacisnął szczęki.

– Tak.

Westchnęła w duchu. Kolejny temat, którego wolałaby nie podejmować – od śniadania naliczyła już ze cztery takie. A to, o co prosił, było jak spacer po kruchym lodzie.

Oblizała wargi.

– Jak pan wie, uczestniczyłam w ogrodowym przyjęciu – zaczęła niepewnie. – Wszystkie wolontariuszki ze szkoły Hanny... lady Leeton zostały zaproszone. Był to dzień rozdawania nagród dla dziewcząt. Ja miałam wręczać tę za znajomość gramatyki.

– Tak – powiedział cierpliwie – Lazonby już mi o tym mówił. Lecz skoro poruszyłaś ten temat: nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że zaczęłaś pracę w tej szkole. Zwłaszcza jeżeli, jak twierdzisz, nie miałaś pojęcia o roli, jaką odegrał w samobójstwie twojego ojca sir Wilfred.

Lisette nieraz sama się nad tym zastanawiała.

– Chyba... chyba chciałam zobaczyć znów Hannę – odparła w końcu. – Pomarzyć, jak mogłoby być, gdyby życie taty nie potoczyło się takim złym torem. Hanna wydawała mi się zawsze taka piękna... Niczym królowa wróżek. Miałam nadzieję, że pewnego dnia mnie... cóż, że mnie polubi.

– Hanna? – powtórzył z niedowierzaniem. – Lady Leeton?

Lisette wzruszyła lekko ramionami.

– Trochę się bałam, iż może mnie rozpoznać – przyznała. – Poszłam zatem do szkoły pod fałszywym pretekstem, peruka oczywiście pomogła. A potem chyba... zaplątałam się w sieć własnych kłamstw i nie było już odwrotu.

Podniosła wzrok i spostrzegła, że Napier przygląda się jej zaintrygowany.

– Ale, Lisette, skąd miałaby cię znać? A tym bardziej: rozpoznać?

Lisette spojrzała na niego bez wyrazu.

– Z powodu tatusia – wyjaśniła. – Byli kochankami, na poważnie, na długo przed tym, nim poślubiła sir Wilfreda. Nie wiedział pan? Że cała trójka była ze sobą blisko?

Napier potrząsnął głową.

– W papierach ojca nie było nic o Hannie Leeton – powiedział – chociaż Lazonby sugerował, że w grę wchodziła rywalizacja o względy damy.

– O coś więcej. Hanna uwielbiała tatusia i chciała go poślubić – głos Lisette opadł niemal do szeptu. – Lecz teraz znam prawdę. Sir Wilfred pragnął Hanny dla siebie, a także jej majątku.

Napier ściągnął brwi.

– Nie pojmuję – powiedział. – Myślałem, że sir Wilfred był tylko wynajętym przez syndykat hazardowy zabójcą. Tak przynajmniej twierdził Lazonby.

– Był nim – zapewniła Lisette – i dobrze mu za to płacono. Syndykat chciał się pozbyć Lazonby'ego, za dobrze grał. Zapłacili

więc sir Wilfriedowi, żeby to za nich załatwił, obojętnie w jaki sposób.

– I sir Wilfred się przyznał? – Napier nie wydawał się przekonany. – W mleczarni?

– Ta... tak.... Jak powiedziałam tamtego dnia, wręcz się tym chełpił. Oznajmił, że wybrał na ofiarę bogatego narzeczonego Elinor nie tylko po to, żeby pozbyć się Lazonby'ego, ale by wprawić w panikę tatusia. Chciał, żeby uciekł przed wierzycielami na kontynent, i porzucił Hannę, którą on, sir Wilfred, mógłby pocieszyć.

– Boże święty – wymamrotał Napier.

Lisette zapanowała nad emocjami, powstrzymując z trudem łzy.

– Jak można być tak podłym? Intrygować w ten sposób? – zastanawiała się głośno. – Sir Wilfred powiedział... powiedział, że trafiła mu się okazja, by zabić dwa ptaki jednym strzałem. Wziąć od syndykatu pieniądze, pozbyć się Lazonby'ego i dostać jeszcze Hannę.

– A ten lord Percy, narzeczony twojej siostry, miał dawny zatarg z Lazonbym – zastanawiał się na głos Napier. – Dla policji wyglądało to więc na oczywisty motyw.

Lisette poczuła, że ogarnia ją znajoma fala nudności.

– A my wszyscy uwierzyliśmy, że to zrobił, prawda? Pan. Ja. Poszłam... Boże, poszłam nawet do Newgate. Zobaczyć, jak będą go wieszali. – Przycisnęła dłoń grzbietem do czoła, jakby chciała zablokować wspomnienia. Lecz, oczywiście, nic to nie dało. – Miałam dwanaście lat. Pamiętam, jak lina się napięła. Lazonby po prostu tam wisiał. Sądziłam, że był martwy. Potem Ellie zemdlała i upadła. Jakoś udało mi się ją podnieść. A następnego

dnia prawnik lorda Rowenda zabrał nas do Bristolu i wsadził na statek płynący do Ameryki.

Napier otoczył w milczeniu ramieniem jej barki i tym razem się nie skrzywiła. Nie zareagowała w ogóle.

– Ellie umarła dwa tygodnie później – wyszeptała. – Powiedzieli, że zabiła ją gorączka. Myślę jednak, że pękło jej serce. A teraz... spoglądam wstecz na to, co się zdarzyło, w co wierzyłam, i widzę jeden wielki koszmar.

– Znam to uczucie – mruknął Napier ponuro. – Bez względu na wszystko, co nas różni, Elizabeth, przykro mi, że musiałaś przez to przejść. Lecz skoro Hanna była bogatą, chętną wdową, dlaczego sir Arthur jej nie poślubił?

Lisette poczuła, że się czerwieni.

– Z powodu Elinor – odparła po chwili. – Powiedziała tatusiowi, że nigdy mu nie wybaczy, jeśli skala w ten sposób nasze nazwisko.

– To znaczy, w jaki?

Lisette wzruszyła ramionami.

– Elinor zakończyła dopiero swój pierwszy sezon w towarzystwie – wyjaśniła. – Tatuś zadłużył się okropnie, aby ją wyposażyć i wielu dżentelmenów było zainteresowanych. Upatrzyła sobie jednak lorda Percy'ego Peverala, ponieważ był synem księcia. Ten zaś był okropnym snobem i Elinor o tym wiedziała. Powiedziała tatusiowi, że Hanna to parweniuszka, która zniszczy jej szansę na zamążpójście. Panna sklepowa, która wzbogaciła się na żydowskich pieniądzach, a potem wykorzystała je, aby zadawać się z ludźmi z półświatka...

– I...? – naciskał delikatnie Napier.

Głos Lisette załamał się upokarzająco.

– Tak, Napier, dostrzegam ironię tej sytuacji – kontynuowała. – Ludzie, którymi Elinor tak pogardzała, to było towarzystwo, w którym obracał się nasz ojciec. A także sir Wilfred. Mężczyznom wybacza się jednak nierozważne zachowanie. Kobietom najwidoczniej nie.

Napier siedział bardzo cicho.

– Przypominam sobie mgliście, że pierwszy mąż Hanny był bogatym kupcem z City.

Lisette westchnęła.

– Ona nie była Żydówką. To znaczy, nie sądzę...

I, prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi – powiedziała. – I jest też prawdą, że jej ojciec był zwykłym aptekarzem. Potrafiła jednak sprawić, że tatuś się śmiał i zastanawiam się czasami... – Umilkła i potrząsnęła głową.

Napier uścisnął jej dłoń.

– Nad czym?

Czy moja siostra nie była aby samolubną dziwką.

Odrzuciła jednak tę myśl, ledwie zalęgła się jej w głowie.

Ellie była wyjątkowa: piękna i czarująca. Ludzie kochali ją za to tak, jak kochali tatusia. Fakt, że była też spokrewniona z lordem Rowendem, napawał ją dumą. Czy było to aż tak złe? Czyż to nie duma arystokracji podtrzymywała angielską klasę wyższą – kręgosłup narodu?

Wiedziała jednak, że w Ameryce pochodzenie nie ma prawie znaczenia i jakoś nie szkodzi to narodowi. Przeciwnie, można byłoby argumentować, że bez podziałów klasowych kraj był silniejszy, a ludzie bardziej równi sobie. Toteż pan Ashton

argumentował – głośno i z zapałem – co tydzień na łamach swojej radykalnej gazety. Lisette zgadzała się po większej części z jego poglądami, nawet jeżeli nie podobał jej się sposób ich wyrażania.

Kolejny przykład ironii ranił jej serce. Dlaczego świat nie może być czarno-biały? Tak, czasami była zła na Elinor i tatusia – zwłaszcza ostatnio – i bardzo się tego wstydziła. Wmawiała sobie, że szuka po prostu kogoś, kogo mogłaby obwinić o nieszczęścia, jakie spotkały jej rodzinę. Teraz, kiedy Lazonby okazał się niewinny.

Parsknęła cichym, sardonicznym śmiechem.

– Wie pan, Napier, jak nazywała mnie Hanna?

– Nie – odparł z wahaniem.

– Nieszczęsna Elizabeth – odparła. – Usłyszałam raz, jak mówi do tatusia, że Ellie to diament, a ja z pewnością okażę się trudna. Byłam zbyt niezdarna, za blada i miałam zbyt rude włosy.

– Co za piramidalna bzdura – obruszył się Napier. – Mam nadzieję, że nie wzięłaś sobie tego do serca.

Lisette wzruszyła ramionami zawstydzona dziecinnym wyznaniem. Doprawdy, zbytnio już użalała się nad sobą, na dodatek tym razem otwarcie. Nie pragnęła niczyjego współczucia, nie doświadczyła go też zbyt wiele.

Sądziła, że tak jest lepiej. Życie tatusia pokazało, że nigdy nie wiadomo, komu można ufać. Napier tymczasem po prostu ją obserwował, oceniał. Zastanawiał się też zapewne, czy to wszystko gra i czy zamierza odpowiedzieć na to jedyne pytanie, na które naprawdę chciał poznać odpowiedź.

– Zatem, przeprosiłam – wykrztusiła, zaczerpnąwszy dla uspokojenia oddechu. – A słuchanie o moich osobistych tragediach

to dla pana jedynie strata czasu. Sprawa śmierci tatusia została zakończona, Ellie także. Ale pan... chciał pan wiedzieć dokładnie, co sir Wilfred powiedział o pańskim ojcu.

– Tak – odparł sztywno.

Uświadomiła sobie, że już nie otacza jej ramieniem. Odwróciła się na ławce i zmusiła go, by spojrzał jej w oczy. – Słowo w słowo? – upewniła się. – Bo widzi pan, posiadam dar dokładnego zapamiętywania.

– Słowo w słowo – zażądał.

Lisette zamknęła oczy i poczuła na skórze chłodne, gęste powietrze mleczarni. Otulało ją niczym zakurzony pled. Słyszała lady Anishę, na wpół przytomną i szlochającą, czuła ostrą woń skisłego mleka. Nieważne, ile nocy spędziła, próbując pozbyć się go z nozdrzy, podobnie jak obrazu krwi sir Wilfreda ściekającej strużkami na kamienną podłogę – wspomnienia przylgnęły do niej niczym wilgoć, koszmar, który musiała przeżywać wciąż od nowa.

– Elizabeth? – ponaglił ją Napier.

– Proszę zaczekać, przywołuję wspomnienia. – Otworzyła raptownie oczy. – Dobrze. Sir Wilfred powiedział: *Nie tknąłem Arthura. Ja tylko dźgnąłem Percy'ego. Owszem, przekupiłem Nicka Napiera i portiera, a potem skierowałem podejrzenie na Lazonby'ego. Lecz na tym koniec. Lubiłem Arthura. Naprawdę. Przecież kiedy przekonałem Hannę, żeby za mnie wyszła, zamierzałem go odwiedzić. We Francji. Czy gdziekolwiek indziej...*

– Chryste – wykrztusił Napier.

– Chyba przytoczyłam dokładnie – powiedziała.

Co dziwne, wypowiedzenie tego na głos wzmocniło jej postanowienie. Było po wszystkim – albo przynajmniej będzie,

kiedy zakończy się ta sprawa z Napierem. W miarę jak zżerający ją przez lata gniew z wolna wygasał, uświadamiała sobie, że musi zostawić za sobą całe to przeciągające się szaleństwo, znaleźć sposób, by mogła prowadzić normalne życie. Musi, ponieważ nie było już kogo winić. Na kim się mścić. Jej krewni odeszli i nie mogła przywrócić ich do życia. A teraz będzie musiała wybaczyć sobie to, że tak niesprawiedliwie potraktowała lorda Lazonby'ego, nawet jeśli on nigdy jej tego nie wybaczy.

Jednego wszakże nie wolno jej robić – polegać zbytnio na Roydenie Napierze. Nie żywiła już doń niechęci, wiedziała jednak, że ktoś taki jak on przedłoży sprawiedliwość ponad wszystko, nawet własny interes. Czyż nie udowodnił tego dopiero co w rozmowie z dziadkiem?

Wyprostowała się na ławce.

– Powtórzenie tego nie sprawiło mi przyjemności, Napier – powiedziała cicho. – Poza tym fakt, że sir Wilfred coś takiego powiedział, nie oznacza jeszcze, iż była to cała prawda.

– Tak, ale która jej część? – mruknął ze wzrokiem utkwionym w odległe jezioro. – Mam niemiłe podejrzenie, że w kwestii mojego ojca nie kłamał.

– Przeglądał pan kiedykolwiek jego rachunki? – spytała rzeczowo. – Musiał pan to zrobić przynajmniej, gdy zmarł.

Napier skinął głową.

– Owszem, raz czy dwa.

– Tak duże pieniądze trudno byłoby ukryć.

– Rzeczywiście? – zdziwiła się, rzucając mu kolejne spojrzenie spod oka. – Nie pomyślałabym, że zakochanie to coś, o czym może pan mieć choćby najsłabsze pojęcie.

Wszelkie ciepło znikło z jego uśmiechu.

– Ach, w tej kwestii może się pani mylić, panno Colburne – powiedział z zadumą. – Wątpię jednak, by miało to znaczenie.

– Może mieć dla damy, którą się pan interesuje.

– Mogłoby, gdyby takowa istniała – zaśmiał się, odzyskawszy humor. – Panna Willet zdaje sobie sprawę z zaszczytu, jaki ją spotyka, lecz mnie nie kocha.

– Mam nadzieję, lordzie Hepplewood, że pan się myli, ze względu na was oboje.

– O Boże! – Wzniósł oczy do nieba i przycisnął dłoń do serca. – Tylko nie kolejna romantyczka.

– Owszem – powiedziała cicho. – Chyba jednak nią jestem.

– Cóż – odparł i puścił jej dłoń. – Wyleczy się pani z tego jak większość z nas. Zwłaszcza jeśli poślubi pani tego mizantropa bez serca. Ale dość o tym. Polecono mi przyprowadzić panią do saloniku dla dam.

– Doprawdy?

– Tak. – Uśmiechnął się nieco życzliwiej. – Diana i Gwyneth przygotowują się do popołudniowego spaceru i chyba chcą panią zaprosić.

* * *

Napier, niespokojny niczym ogier w Newmarket, zszedł ze wzgórza i opuścił ogrody. Zbliżając się do stajen, zwolnił i zatrzymał się pod kopułą gałęzi powyginanych ze starości jabłoni rosnących wzdłuż ścieżki.

– Przeklęty arogancki bufon – powiedział i obejrzał się za siebie, na sad.

Lecz prawdę mówiąc, to nie bufon wytrącił go z równowagi. Ani nie Anisha.

To Elizabeth Colburne, której zapach dalej go otaczał, a bystre oczy barwy akwamaryny zdawały się prześladować. Jej bliskość, jej wibrująca energia, wrodzona, nieudawana zmysłowość... Sam stworzył sobie piekło, które nieźle da mu się we znaki, nim sprawa zostanie zakończona.

Lecz Elizabeth nie była dziewczęciem. Jeśli dobrze pamiętał, musiała mieć około dwudziestu siedmiu lat. I dzięki otaczającej ją aurze światowego obycia sprawiała wrażenie kobiety doświadczonej. Pomimo to zdawała się nie dostrzegać, jak bardzo na niego działa.

Czy to możliwe, by była aż tak naiwna?

Może celowo go torturuje. Może głupcy dostają po prostu to, na co zasługują. Westchnął zdesperowany, a potem oparł się plecami o pień jabłoni i wyjął list Anishy.

Niepotrzebnie zadawał sobie trud.

– Do diabła z tym – mruknął, przebiegając wzrokiem linijki tekstu.

Była mężatką.

Poślubiła Lazonby'ego, który na nią nie zasługiwał i nie był wart jej miłości. A może był. Napier sam nie wiedział, czy nadaje się na sędziego cudzych charakterów – a już na pewno nie Lazonby'ego. Należało pamiętać, iż mąż Anishy został przez ojca Napiera niesłusznie oskarżony i wsadzony do więzienia.

Boże, przyznanie tego, nawet przed sobą, sprawiało Roydenowi niemal fizyczny ból. Wiedzieć, że Lazonby był niewinny, przynajmniej nie był winny morderstwa. Co się tyczy innych

grzeszków – rozwiązłości i hazardu – może nie był już takim łajdakiem jak kiedyś. A może nie był nim nigdy?

A jeśli żaden z zarzutów nie był prawdziwy?

Boże, czuł się tak, jakby całe jego życie – to, czego się trzymał i w co wierzył – wywracało się powoli do góry nogami. Nie lubił niejasnych sytuacji. Zwłaszcza zaś wątpliwości, jakie Lazonby – a w konsekwencji także Elizabeth – włożyli mu do głowy. Niepewności co do tego, jaką rolę odegrał w tej okropnej tragedii jego ojciec.

A teraz dowiedział się na dodatek, że wysoki standard życia jego rodzina zawdzięczała nie ciężkiej pracy ani nawet staromodnemu przekupstwu, ale wspaniałomyślności Duncastera.

Odkąd tylko był w stanie pojąć, kim jest wicehrabia – i co oznaczają bogactwo oraz władza – gardził tymi ludźmi, nienawidził ich za to, jak potraktowali jego ojca. A teraz musiał się zastanawiać, czy to Duncaster płacił za to, by mieli dach nad głową. I czy Nicholas Napier nie był aby dwulicowy i skorumpowany.

I czy Elizabeth Colburne była naprawdę morderczynią.

Nie znajdował na to odpowiedzi. Wiedział tylko, że duma poprzedza zwykle upadek, o czym przekonał się zapewne jego ojciec. Czy było możliwe, aby przywykłszy do wygodnego życia, jakie w subtelny sposób zapewniał mu za pośrednictwem żony Duncaster, nie potrafił zrezygnować z niego po jej śmierci?

Pochylił ramiona, wsparty o szorstką korę jabłoni. Bóg wie, że utrzymanie domu przy Eaton Square musiało kosztować, podobnie jak drogie ubrania i wychowywanie syna na dżentelmena.

Nie znał prawdy. I pewnie nigdy jej nie pozna.

Wiedział jednak, że mężczyzna, którego serdecznie nie znosił, poślubił właśnie kobietę, którą wielce szanował. Choć uważał takie postępowanie za irracjonalne, łatwiej było skierować gniew w tę stronę. I to właśnie zrobił, wpychając list z powrotem do kieszeni surduta, czemu towarzyszyło tym razem naprawdę soczyste przekleństwo.

– Dżentelmeni nie powinni używać takich słów – dobiegł go wysoki głosik gdzieś z góry.

Podniósł wzrok, nie odrywając pleców od pnia, i spojrzał wprost w różanolicą twarzyczkę Beatrice Tarleton. Wysokość, na jakiej siedziała, sprawiła, że przeszył go dreszcz strachu.

– Przepraszam, Beo – powiedział, przytrzymując dłonią kapelusz. – Nie wiedziałem, że jest tu dama. Mogłabyś zejść nieco niżej? Kręci mi się w głowie, kiedy na ciebie patrzę.

Bea opuściła się o jedną gałąź, posyłając w dół istny deszcz przekwitłych płatków. Nadal znajdowała się jednak wysoko poza zasięgiem jego rąk.

– Pani Jansen powtarza, że nazywanie kogoś arogantem też jest niegrzeczne.

– Pani Jansen ma rację – przytaknął. – Jednak dama powinna dać znać dżentelmenowi, że znajduje się w pobliżu, by wiedział, iż nie należy używać pewnych słów. Jak myślisz, mogłabyś zejść z tego drzewa?

Bea zastanawiała się przez chwilę.

– A dlaczego? – spytała w końcu.

– Ponieważ idę do stajni wybrać sobie wierzchowca. Przydałaby mi się opinia kogoś, kto zna tutejsze konie.

– Nie wolno mi chodzić do stajni – odparła spokojnie.

Stała teraz na palcach, zawiesiwszy ramiona na gałęzi nie grubszej niż nadgarstek Napiera. Jej zwisające dłonie kołysały się swobodnie. Napier odszedł od drzewa i rozejrzał się, żałując, że wie o dzieciach tak mało i że nie pamięta, jak to jest wdrapywać się na drzewa. Oczom dorosłego pozycja Bei wydawała się wysoce niebezpieczna.

– A co powiesz na to – zaryzykował. – Boję się, że możesz spaść. Albo nie będziesz potrafiła zejść. Zastanawiam się, czy pobiec do stajni po drabinę. Albo sprowadzić wóz z sianem. Tak na wszelki wypadek.

– Phi! – zachichotała Bea. – Wspinam się tu na okrągło. Nikt tego nie zauważa.

Napier obawiał się, że tak jest w istocie. Dziecko nie było żadną miarą zaniedbywane, nie miało jednak nikogo, kto naprawdę by się o nie troszczył. Płatna guwernantka się nie liczyła.

Uśmiechnął się, chociaż nie przyszło mu to łatwo.

– Może weźmiesz zatem pod uwagę stan moich nerwów i zejdziesz – powiedział. – W końcu jestem tu gościem, a gościom należy dogadzać.

Zamrugała, spoglądając na niego z góry.

– Gwyneth mówi, że nie jest pan już gościem – odparowała, zeszła jednak o jedną gałąź niżej. Kawałki kory posypały się z pnia na trawę. – Ale dziedzicem dziadka. I że Burlingame będzie należało do pana. To dlatego ciocia Hepplewood każe nam zwracać się do pana: Saint-Bryce?

Zostało to powiedziane z pozorną nonszalancją, lecz Napier wyczuł w jej słowach obawę.

– Gwyneth się myli – powiedział. – Burlingame nigdy nie będzie moje. Należy do całej rodziny Tarletonów i to się nie zmieni.

Twarzyczka Bei wyjrzała ku niemu spoza zasłony młodych listków.

– Ale miało należeć do tatusia – odparła – gdyby nie umarł.

Napier wyciągnął ku niej rękę.

– Zejdź, Beo, porozmawiamy o tym – zaproponował. – Jestem twoim kuzynem, nie wrogiem.

Dziewczynka przyglądała mu się przez chwilę czujnie.

– Kiedy przyjechał pan poprzednio, tatuś powiedział, że pracuje pan w policji i że policja chwyta złych ludzi. To prawda? Jest pan z policji?

– Rzeczywiście, policjanci i detektywi to moi podwładni – przytaknął – choć sam nie byłem nigdy policjantem. Ale tak, pomogłem wsadzić do więzienia kilku złych ludzi. Na tym polega moja praca.

Nie odezwała się, lecz widział, że próbuje przetrawić to, co usłyszała.

– Wszyscy źli ludzie trafiają do więzienia? – spytała w końcu.

– Jeśli łamią prawo, owszem. A przynajmniej tak być powinno. – Wyciągnął rękę jeszcze dalej i złagodził ton. – Przykro mi, Beo, że twój tatuś nie żyje. Ubolewam nad tym bardziej, niż mogłabyś sądzić. Zejdziesz i porozmawiasz ze mną? Proszę?

Przygryzła dolną wargę i zsunęła się po gałęziach niczym małpka, a potem zeskoczyła na ziemię z szumem halek i muślinu.

– Dziękuję – powiedział Napier szczerze.

Spojrzała na niego, mrużąc oczy przed słońcem.

– Jest pan bardzo wysoki – powiedziała.

– Prawda? Mój lokaj ciągle się na to uskarża.

Opadła na ziemię pośród wysokiej trawy, zerwała źdźbło i wsunęła sobie do ust.

Napierowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo. – Na pewno tęsknisz bardzo za tatą – powiedział. – Nie znałem go dobrze, ale wydawał się pogodny z natury.

Beatrice westchnęła ciężko.

– Bo był – oznajmiła. – Robiliśmy wszystko razem. Tatuś mawiał, że nie pozwalam mu się zestarzeć.

Napier przyjrzał się jej uważnie.

– Co takiego robiliście?

Wzruszyła ramionami.

– Różne rzeczy. Zbieraliśmy liście. I ptasie gniazda. Chodziliśmy do psiarni oglądać szczeniaki. I uczył mnie jeździć na kucyku. Czasami, w gabinecie, czytaliśmy albo bawiliśmy się lalkami.

Napier uniósł brwi.

– Lalkami? – powtórzył. – Przyznaję, że nigdy bym się tego po twoim tacie nie spodziewał.

– Cóż, ja się bawiłam – przyznała – a on pisał listy. Pisywał mnóstwo listów, dlatego lalki tam mieszkały. W jego przechowalni. Lecz teraz jestem już chyba na to za duża.

Napier zastanawiał się przez chwilę.

– Brzmi całkiem sympatycznie – odparł. – Muszę przyznać, że ja nie spędzałem z tatą zbyt wiele czasu. Rzadko bywał w domu, a ja przebywałem w szkole z internatem.

Twarz Bei pojaśniała.

– Dlatego mam panią Jansen.

– Wydaje się wspaniałą guwernantką – zauważył. – Jak to się stało, że do was trafiła?

– Była przyjaciółką Gwyneth – wyjaśniła dziewczynka. – Ze szkoły. Po śmierci mamy ciocia Hepplewood powiedziała tatusiowi, że trzeba wysłać mnie do szkoły, żeby mnie oszlifowano. Cokolwiek to znaczy. Lecz tatuś się nie zgodził. Gwyneth napisała zatem do pani Jansen. A ja tak bardzo się ucieszyłam. Nie chcę wyjeżdżać z Burlingame. Nigdy.

– Nie będziesz musiała – zapewnił Napier pospiesznie. – Czy właśnie te obawy tak ci ciążyły?

Znów to wzruszenie ramion.

– A co to znaczy, że mi ciążyły?

Napier wyciągnął rękę i zdjął liść z jej długich, jasnych loków.

– Zapytałem, czy martwiłaś się, iż możesz zostać odesłana? – wyjaśnił. – Niepotrzebnie, ponieważ tak się nie stanie. Burlingame będzie twoim domem, jak długo zechcesz.

– Nawet kiedy będę miała sto lat?

– Choćby i sto dwa – zapewnił. – Przynajmniej.

Bea zachichotała i nagle wydała mu się młodsza, niż wskazywał jej wiek. A potem spoważniała, mrużąc oczy w bardzo dorosły sposób.

– Jest pan pewien, że nie zamierza poślubić Diany? – spytała, unosząc brodę. – Pani Jansen mówi, że to panna Colburne jest pańską narzeczoną i że to z nią się pan ożeni. A potem zamieszkacie z nami.

Napier otworzył usta, lecz się zawahał. Co innego skłamać wścibskiej ciotce, a co innego dziecku, które potrzebowało pewności i które będzie pewnego dnia od niego zależne, i to pod

każdym względem. Nie orientował się, w jaki sposób rodzice zabezpieczyli córkę i co Duncaster zechce dla niej zrobić.

Po części żałował, że jego spojrzenie padło kiedykolwiek na Elizabeth Colburne i jej ognistorude loki. Diana Jeffers z kolei, ze swymi gładkimi, brązowymi włosami i delikatnym sposobem bycia byłaby dla mężczyzny doskonałą kandydatką na żonę, nawet jeżeli najlepsze lata miała już za sobą.

Z drugiej strony, wolał dojrzałe kobiety. I, być może, gdyby nie zakosztował smaku ust Elizabeth, nie poczuł pod sobą jej smukłego, jędrnego ciała...

Jezu...

Diana Jeffers nie wchodziła w grę.

Westchnął głośno.

– Uważam, że panna Colburne jest bardzo piękna – powiedział – i że do siebie pasujemy, lecz póki małżeństwo nie zostanie zawarte, nie można być niczego pewnym. A co ty o tym sądzisz? Wolałabyś, żebym poślubił pannę Jeffers?

Bea odrzuciła źdźbło i zapatrzyła się na swoje kolana.

– Nie, wcale nie! – odparła gwałtownie. – Tylko ciocia Hepplewood sobie tego życzy!

Napier przyglądał się jej przez chwilę, a potem powiedział:

– Wydajesz się bardzo pewna swego. Panna Jeffers miała zostać twoją nową mamą i może...

– Nie chcę jej! – przerwała mu dziewczynka. – Nigdy nie chciałam! I tatuś też nie. Wiem, że nie chciał. Nieważne, co mówił. Wszyscy starali się go do tego nakłonić!

Przemawiała tak zapalczywie, że Napier nie wiedział, jak zareagować. Nie miał doświadczenia z dziećmi, a już na pewno

takimi jak Bea. Pomyślał znowu o jej spojrzeniu, poważnym czasem i przenikliwym niczym u osoby o dziesięć lat starszej. Jednak jej śmiech nadal miał w sobie dziecięcą niewinność.

A on bardzo się z tego cieszył.

Czując się cokolwiek niezręcznie, ujął dłoń Bei w swoją.

– Cóż, Beo, nieważne, kogo poślubię – powiedział, poklepując małą rączkę – dla ciebie nic się nie musi zmienić. Nadal nie będziesz miała macochy. Panna Jansen wydaje się tu szczęśliwa. Nie zaprzątaj sobie zatem głowy martwieniem się o przyszłość.

– Dobrze. – Nie spojrzała na Napiera, ale wyjęła rękę z jego dłoni i zerwała kolejne źdźbło.

– Cóż – powiedział, kładąc dłonie na udach. – Ktoś pewnie na ciebie czeka.

– Tylko pani Buttons – odparła. – W środy smaży naleśniki i zjadamy je z panią Marsh w jej saloniku. Czasami przychodzi także Marsh.

Napier nie miał pojęcia, dlaczego Bei pozwala się jadać z kucharką i gospodynią. Jednak ten zwyczaj zapewniał dziecku poczucie ciągłości, co mogło tylko wyjść mu na dobre.

– Żałuję, że nie mogę zjeść z tobą naleśników, Beo – powiedział szczerze – lecz teraz lepiej już pójdę.

– Dokąd? – spytała.

– Wybieram się do Marlborough.

Obróciła ku niemu głowę.

– Co takiego jest w Marlborough? – spytała. – Dlaczego nie może pan zostać? Powinien pan, skoro ma być dziedzicem.

Napier wahał się, czy powinien powiedzieć prawdę, chciał jednak sprawdzić jej reakcję.

– Chcę spotkać się z doktorem Underwoodem – powiedział – i zadać mu kilka pytań.

– Jakich pytań? – spytała, spoglądając na niego podejrzliwie.

Znajomy, zimny dreszcz przebiegł Napierowi wzdłuż kręgosłupa.

– Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego twój tata zachorował – odparł. – Poznać przyczynę jego śmierci.

Bea odrzuciła źdźbło i zerwała się z trawy.

– Ja już wiem – stwierdziła gniewnie.

– Beatrice? – zapytał Napier łagodnie. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– O n i go zabili – odpowiedziało dziecko, spoglądając zmrużonymi jak szparki oczami ku domowi. – Zrobili to. Dręczyli go, aż umarł. Dokładnie tak, jak przepowiedział.

– Ależ, Beo... – Napier wyciągnął znów do niej dłoń, lecz Beatrice wyrwała mu się, a potem odwróciła i popędziła w górę zbocza.

Patrzył, jak biegnie, i zastanawiał się nad jej słowami.

Rozdział 8
Mądrość Samudriki

W końcu nie udało mu się wrócić do domu na kolację. Tymczasem Lisette, w przypływie próżności czy też szaleństwa, włożyła swoją najlepszą błękitną suknię i ujarzmiła rude loki niebieską aksamitną opaską. Wszystko na próżno. Jedyną osobą, na której wywarło to pewne wrażenie, był lord Duncaster, siedzący z miną władcy u szczytu stołu, podczas gdy Gwyneth czyniła złośliwe uwagi na temat zbliżającego się ożenku lorda Hepplewooda.

Wystarczyło, by rzucić cień na cały pokój, co stanowiło wyczyn nie lada, jako że pomieszczenie było naprawdę wysokie. Pod koniec posiłku Diana wpatrywała się z pobladłą twarzą w talerz, zaś lady Hepplewood przeciwnie, wpatrywała się głównie w Gwyneth – może należałoby raczej powiedzieć, iż przeszywała ją spojrzeniem – a jej oblicze koloru miało aż nadto.

Lisette zobaczyła Napiera dopiero przy kolacji następnego dnia. Zagrali później partyjkę wista z Gwyneth i Hepplewoodem, po czym Napier wymówił się stwierdzeniem, iż czeka na niego papierkowa robota związana ze stanowiskiem w Whitehall.

Duncaster zmarszczył lekko brwi, ale się nie odezwał. Kolejny dzień wyglądał podobnie, z tą jedynie różnicą, że Diana śpiewała, a pani Jansen akompaniowała jej na fortepianie. Lisette uznała taką egzystencję za nudną i pomyślała z tęsknotą o swoim życiu w Bostonie. Może i było niełatwe, ale nigdy nudne.

Przy śniadaniu – kiedy ich ścieżki wreszcie się skrzyżowały – Napier wziął na siebie prowadzenie najbardziej błahej konwersacji, jaką tylko można sobie wyobrazić. Chwile, gdy byli sobie bliscy, zdawały się należeć do przeszłości. Kiedy poprosiła, by towarzyszył jej podczas spaceru, odmówił grzecznie, zasłaniając się obowiązkami.

Choć zabolało ją to bardziej, niż chciałaby przyznać, uznała, że nie ma wyjścia: musi pogodzić się z sytuacją. Nie mogła zrobić nic innego – chyba że przejść te kilka kroków korytarzem i zapukać znowu do jego sypialni – niepokojąco kusząca perspektywa. Było tak, jakby dotyk Napiera obudził w niej coś od dawna uśpionego, a bolesna samotność, która tak bardzo jej dokuczała, stała się teraz wręcz nie do zniesienia.

Prawda wyglądała tak, że miała prawie dwadzieścia osiem lat i jeśli nie liczyć dzieciństwa, nie zaznała wiele bliskości. Nie mogła sobie przypomnieć, aby od śmierci ojca jej serce wzlatywało od uniesień lub roztapiało się w zadowoleniu. Może zaczęło uciszać się nawet wcześniej. A teraz nie mogła przestać się zastanawiać, co powiedziałby Napier, gdyby zaproponowała, że będzie dzieliła z nim łóżko.

Był to, oczywiście, szalony, głupi pomysł. Ciepło męskiego ciała – nawet jego namiętność – nie mogły zniweczyć prawdziwej samotności.

Ale czy nie mogłyby przynajmniej złagodzić jej na jakiś czas?

Och, nie kłamała, kiedy mówiła lady Hepplewood, iż nie zamierzała nigdy wyjść za mąż. Lecz teraz, kiedy jej misja została zakończona – a raczej, rozbita w drobny mak – czuła się tak, jakby czarna pustka, z której składało się przez lata jej życie, mogła pochłonąć ją całą. W głębi duszy podejrzewała także, iż mężczyzna – niekoniecznie tak silny i opanowany jak Royden Napier – potrafiłby ją wydobyć z tej strasznej otchłani.

I tak to trwało, póki pod koniec tygodnia nie stało się jasne, iż narzeczony jej unika. Nawet ciotka Hepplewood zaczęła robić na ten temat uwagi, rzucając pełne nadziei spojrzenia w stronę Diany. Lisette ze śmiechem je skomentowała, nazywając Roydena poślubionym pracy.

Starała się nie podsycać w sobie kobiecych fantazji i dotrzymać z honorem swojej części umowy. Odwracała uwagę lady Hepplewood, trzymając ją z dala od Napiera, gdy byli razem. Wydobywała z Diany i Gwyneth najmniejszą wzmiankę o skandalach, a Fanny czyniła podobnie ze służbą. Okazało się, że jest tego całkiem sporo.

Pokojówka dowiedziała się na przykład z pewnego źródła, że Walton, pierwszy lokaj, odprawiony wielokrotnie przez panią Jansen, sypiał teraz z wioskową poczmistrzynią, zamężną z potężnie zbudowanym i skorym do gniewu właścicielem gospody. Spodziewano się wkrótce nie lada awantury.

Wierzono również powszechnie, iż lady Hepplewood nie znosiła pod koniec swego męża – podsłuchano liczne kłótnie – lecz nikt nie oskarżył jej otwarcie o to, iż go otruła.

Gwyneth podejrzewano o skłonności lesbijskie – skierowane, jakżeby inaczej – w stronę pani Jansen.

Jedyną osobą, która nie interesowała się guwernantką, był najwidoczniej lord Hepplewood. Nawet na nią nie patrzył. Dawno temu postanowiono ponoć, iż ożeni się ze swoją kuzynką Anne. Jednak pod koniec sezonu niemądra Anne uparła się poślubić zwyczajnego, średnio zamożnego sir Philipa Keatona, a Hepplewood zajął się swoimi sprawami.

Co się zaś tyczy Burlingame jako takiego, służba uważała Dianę Jeffers za zbyt nieśmiałą i niekonsekwentną, by mogła rządzić w tak dużej posiadłości. Co do Lisette, nie wyrobili sobie jeszcze zdania. Zaś lokaj Napiera, Jolley, został uznany za cokolwiek śliskiego, z tą opinią Lisette w pełni się zgadzała.

Zanotowała to wszystko w pamięci, na wypadek gdyby Napier zadał sobie trud i ją zapytał. Zbierała także papier listowy, sprytnie biorąc po dwie kartki z każdego pokoju, kiedy wystarczyłaby jedna. Pisała na niej, a drugą chowała.

Napisała do pana Bodkinsa. Do swojej starej niani i do pani Fenwick, a nawet do przyjaciół i sąsiadów w Bostonie: dwa razy do wielebnego pana Bowena, proboszcza, który nieraz służył jej pociechą w młodości. Dodatkowy papier przekazywała w kompetentne dłonie Jolleya, który pocierał go niemal z czułością pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, kiwając na znak podziękowania głową niczym chudy ptak, a potem odchodząc.

W następny poniedziałek zrobiło się nieznośnie gorąco i dziwnym zrządzeniem losu wszyscy zjawili się na śniadaniu o tej samej porze. Nastroje nie poprawiły się, kiedy lord Hepplewood

oznajmił nad porcją nereczek, że wkrótce przybędzie z wizytą panna Willet.

Gwyneth prychnęła głośno. Diana i lady Hepplewood spojrzały na nią gniewnie.

Duncaster powstrzymał się przed wyrażeniem opinii na temat ożenku Hepplewooda. Kiedy opróżnił talerz, chrząknął jednak donośnie i powiedział:

– Zastanawiałeś się, Saint-Bryce, nad prośbą dziedzica Taftona?

Napier podniósł wzrok i odłożył z brzękiem widelec.

– Nie, sir – powiedział. – Zamierzałem pojechać znów jutro do Marlborough.

– Czego może chcieć ten mały nudziarz? – spytała lady Hepplewood zirytowana. – Z pewnością nie skarży się znowu na melioracje?

– Nie, nie ma to nic wspólnego z ziemią. – Duncaster wycelował widelec w Lisette. – Wygląda na to, że pani Tafton koniecznie chciałaby przekonać się na własne oczy, jaka też jest przyszła lady Saint-Bryce. Zaprasza ich na herbatę do Grange.

– Ach, to. – Lady Hepplewood prychnęła z pogardą. – Kolejny krok, by wznieść się w hierarchii powyżej wieśniaków i pokazać to swoje dziecko.

Napier podchwycił spojrzenie Lisette.

– Powiadom ich, że przyjdziecie, chłopcze – polecił Duncaster, kłując znowu powietrze widelcem. – Dobrze ci radzę. Mogę zniknąć w każdej chwili z tego świata. Tafton jest co prawda nikim, lecz jego ziemie graniczą z naszymi.

Napier zerknął znów na Lisette i uniósł brwi. Lisette usłyszała niezadane pytanie.

– Jakie to miłe z jego strony – powiedziała radośnie. – Chętnie poznam panią Tafton.

– Hm... – chrząknęła lady Hepplewood.

Wkrótce potem Diana przeprosiła i wstała od stołu.

– Dziś rano otrzymałam wreszcie próbki tkanin i skóry z Manchesteru – powiedziała. – Gdyby ktoś mnie potrzebował, będę w zielonym pokoju.

Lady Hepplewood zrobiła znudzoną minę.

– Poczytam więc sobie na mojej kanapie – powiedziała. – Lecz najpierw przynieś mi książkę, Diano.

– Oczywiście, kuzynko Cordelio.

Gwyneth dopiła kawę.

– Ja zamierzam spędzić ranek na zachodnim balkonie – powiedziała. – Mam tam teleskop, Elizabeth. Pani Jansen zna się na astronomii, gdybyś chciała popatrzeć któregoś wieczoru na niebo. Może udałoby się znaleźć twój znak zodiaku.

– Tak, zapewne – odparła Lisette niejasno. – Któregoś wieczoru.

Nie zamierzała wdrapywać się na wysoko położony, otwarty balkon z Gwyneth. Wzdrygnęła się i wspomniała chwilę, kiedy ostatni raz ktoś mówił do niej o gwiazdach.

Miało to miejsce tamtego okropnego dnia w ogrodzie Leetonów. Lady Anisha Stafford zasiadła w barwnym namiocie, przebrana za wróżkę – kolejne przedsięwzięcie, mające przynieść szkole dochód. *Tajemnicza Karishma*, głosił napis, *prosto z Kalkuty*.

Lisette próbowała jej unikać. Od dawna podejrzewała, że dama jest kochanką Lazonby'ego. W końcu jednak koleżanki nauczycielki zaciągnęły ją ze śmiechem do namiotu.

Lady Anisha nie widziała dotąd Lisette w szarej sukni i brązowej peruce. Uderzyło ją wszakże, iż w kobiecie było coś niepokojącego. Anisha – pomimo egzotycznego kostiumu – nie wyglądała ani trochę tak, jakby po prostu bawiła się wróżeniem. Zamiast tego zerknęła na dłoń Lisette i oznajmiła od razu, że jest spod znaku Bliźniąt i ma wiele do ukrycia.

A potem było już tylko gorzej.

Przerażająco.

– Jak wiele osób spod tego znaku, ma pani dwojaką naturę – powiedziała nieobecnym, posępnym tonem. – Jest pani rozdarta na dwoje, a lepsza część pani osobowości została zdominowana przez gorszą. Jeśli nie będzie pani uważać, czeka panią katastrofa. Pozwoliła pani, aby gniew, determinacja i odmawianie sobie wszelkiej radości pozbawiły ją zdolności racjonalnego myślenia.

To dziwne, ale najbardziej rozwścieczyły Lisette słowa „odmawianie sobie radości". Nie chciała zmierzyć się z prawdą o tym, co zrobiła ze swoim życiem. Lecz kiedy odepchnęła gwałtownie krzesło i zaproponowała Anishy, by poszła do diabła i zabrała ze sobą nonsensy, które wypowiada, dama przechyliła się nad stolikiem, nie puszczając jej dłoni.

Zamiast tego znów ją ostrzegła.

– Jeśli nadal będzie pani tak postępowała, utraci pani do reszty swój kompas moralny – wyszeptała, zaciskając palce wokół nadgarstka Lisette. – Tego pani chce? Musi pani wybrać rękę.

Prawa? A może lewa? Musi pani wybrać stronę. Ciemność? Czy światło?

Już po półgodzinie Lisette pożałowała rozpaczliwie, że jej nie posłuchała.

I nie wybrała światła.

Zamiast tego pogrążyła się głębiej w ciemności. Mroku zemsty. A lord Lazonby i sir Wilfred zapłacili za to okrutną cenę. Doprowadziła się niemal na skraj szaleństwa, a może nawet mu uległa.

Nawet teraz poczucie winy było w niej tak silne, że przyprawiało niemal o mdłości. Nawet teraz chciała... Czego? Rozgrzeszenia? Z pewnością nie życzyła sobie, by Royden Napier dowiedział się, co zrobiła. Kim naprawdę była i jak czarną miała duszę.

Tak, właśnie tego pragnęła. Jej marzenia nie mogły jednak się spełnić. Był zbyt dobry w tym, co robił. Już wiedział, w jaki sposób prześladowała Lazonby'ego. Chciał jednak, by to wyznała. Opowiedziała, jak zginął sir Wilfred. Głośno i wyraźnie. A tego nigdy nie zrobi.

Mimo to Napier pociągał ją w wysoce niepokojący sposób. Zupełnie, jakby życzyła sobie bezwiednie, by ją schwytano.

Spojrzała w dół i zobaczyła, że trzęsą się jej dłonie.

Boże!

Czy to naprawdę to? Delikatny taniec samozniszczenia? Tylko ktoś prawdziwie szalony może robić coś takiego. Ale czy kusiła los, rzucając wyzwanie Napierowi? Albo zaczęła pożądać go z niebezpieczną siłą? Szukała choćby odrobiny radości oraz bliskości – w najbardziej niebezpiecznym miejscu?

– Moja droga? – dobiegło ją z oddali.

Rozejrzała się i spostrzegła, że została w jadalni sama z Napierem i jego dziadkiem.

Odsunęła nieco zbyt energicznie krzesło.

– Poszukam Diany – powiedziała. – Może... może nauczę się od niej czegoś o urządzaniu wnętrz.

Napier siedział przy końcu stołu, wyglądając w każdym calu jak pan i władca i wpatrywał się w nią ciemnymi oczami o twardym spojrzeniu, jakby potrafił przeniknąć jej myśli. Zmieszana pospieszyła ku drzwiom i opuściła jadalnię.

Niemal natychmiast usłyszała, że ktoś odsuwa krzesło. Wkrótce dobiegł ją złowróżbny odgłos kroków. Napier. Poznawała to stanowcze stąpanie. Skręciła pospiesznie za róg, ale dogonił ją przy drzwiach biblioteki.

– Elizabeth, zaczekaj – polecił.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

– O co chodzi? – zapytał, stając przed nią.

– Co takiego? – wykrztusiła. – O nic. Dlaczego?

Skrzywił się zniecierpliwiony.

– Wyglądałaś, jakbyś zobaczyła ducha.

Błysnęła słabym uśmiechem.

– Każdy z nas ma ich kilka, czyż nie?

Spojrzenie Napiera niespodziewanie złagodniało.

– Elizabeth – powiedział z leciutką naganą w głosie i ujął jej dłoń.

Pociągnął ją do biblioteki, gdzie pachniało starymi książkami i rozgrzanym w słońcu kurzem. Poszła za nim niechętnie, a kiedy

podniosła wzrok, przekonała się, że znów jej się przypatruje. Było tak, jak się tego obawiała: temu człowiekowi nic nie umykało.

– Trudno mi sobie uzmysłowić – powiedział cicho – że akurat ty, ze wszystkich ludzi, możesz się mnie bać.

– Bać się pana? – powtórzyła. – Co za dziwna uwaga.

– Pomyślałem, że nie chcesz iść do Taftonów. Sama. Ze mną. W końcu, nie zgodziłaś się jeździć po Wiltshire niczym klacz rozpłodowa na wystawie.

Lisette wzruszyła ramionami.

– To bez znaczenia. Nie będę musiała żyć obok tych ludzi.

– A potem co? – naciskał. – Już teraz, w pokoju śniadaniowym, drżały ci ręce. Wydawałaś się nieco wstrząśnięta.

Zaśmiała się lekko.

– Doświadczenie podpowiada mi – odparła – że ilekroć człowiek wygląda, jakby zobaczył widmo, oznacza to, że dopadła go przeszłość.

– O to więc chodzi? – zapytał, nie puszczając jej dłoni, jak kiedyś lady Anisha. Jakby oboje chcieli zmusić ją, żeby stawiła czoło prawdzie o tym, jakim człowiekiem się stała. – Nie mogłem tego wiedzieć – mówił dalej, znacznie łagodniejszym tonem. – Nie opowiedziałaś mi o sobie zbyt wiele.

– I nie zamierzam – odparła, wyrywając się.

– Nie ufasz mi ani trochę, prawda? – zapytał. Teraz nie wydawał się już tak zatroskany.

– Nie w ten sposób – odparła szeptem, odsunąwszy się o krok. – Jak mogłabym? A pan mi nie ufa. Oboje wiemy, kim jest to drugie, Napier.

Przeciągnął dłonią po włosach. Wydawał się oszołomiony.

– Tak, zapewne – powiedział. – To znaczy... do licha, nie wiem, co to znaczy. Próbuję po prostu zorientować się, co jest pomiędzy nami. To znaczy, rozumiemy się nawzajem... bez słów, prawda?

Lisette ledwie zdawała sobie sprawę, o co on pyta, a co dopiero, jak odpowiedzieć. Jej życie wydawało się teraz bezcelową gmatwaniną, on zaś stanowił zapewne największą groźbę. Nie mogła jednak zaprzeczyć, iż odczuwa przemożną pokusę, by oprzeć się na tym szerokim ramieniu i wyrzucić z siebie całą okropną prawdę.

To by dopiero był błąd!

Wybrała bardziej dwuznaczną drogę.

– Rozumiemy się, owszem – przyznała. – Żadne z nas nie powinno jednak zapominać, że przyjechałam tutaj niedobrowolnie, a pan nadal jest komisarzem stołecznej policji.

Zacisnął z uporem szczęki.

– Nie o to mi chodziło – powiedział. – Mówiłem o tym... tym niebezpiecznym fizycznym przyciąganiu między nami. I nie, nie pochlebiam sobie. Potrafię rozpoznać w oczach kobiety błysk pożądania.

– Pożądania? – Lisette zmusiła się, aby wytrzymać jego spojrzenie. – Nie, nie będę się wypierała. Prawdę mówiąc, wątpię, aby kobiety zbyt często panu odmawiały.

– Byłabyś zdziwiona – powiedział, krzywiąc się.

Lisette wzruszyła ramionami.

– Tak czy inaczej, unikał mnie pan celowo.

– Nie przyszło ci do głowy, że postępuję tak dla twojego dobra?

Zaśmiała się lekko, choć wcale nie było jej do śmiechu.

– Chyba powiedział pan kiedyś, iż potrafię doskonale o siebie zadbać, czyż nie?

– Zatem, może chodzi o moje dobro – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie miałem dotąd zwyczaju narzucać się kobiecie, jeśli nie życzyła sobie, bym otaczał ją względami.

To była dla niej szansa. Nade wszystko pragnęła zburzyć tę bezlitosną samokontrolę.

– Zatem – powiedziała, zniżając głos – może powinien pan zastanowić się nad zmianą strategii.

Szaleństwem było przysunąć się bliżej. Później nie była w stanie zrozumieć, co ją opętało, lecz w tamtej chwili pragnęła tylko go podręczyć. Położyć dłoń na jego szerokiej piersi i zatonąć w poczuciu siły i pewności, które zdawały się z niego emanować. Sprawić, aby poświadczył ciałem słowa, które dopiero co wypowiedział.

Był to najlżejszy pocałunek na świecie, ledwie muśnięcie warg, mimo to rozgrzał ją do czerwoności. Odsunęła się, opuściwszy rzęsy, i czekała.

Nie musiała czekać długo.

Napier zaklął cicho, a potem przyciągnął ją do siebie, otaczając ramieniem w talii. Opuścił głowę, a Lisette odchyliła się do tyłu. Czas się zatrzymał, kiedy szerokie, zmysłowe usta Napiera zawisły oddalone od jej ust zaledwie o dwa cale.

– Tak? – westchnął chrapliwie. Jego ciepły oddech musnął jej policzek.

– Tak – odparła.

Posłuchał jej. Tym razem, kiedy rozchyliła wargi, był to powolny, głęboki pocałunek. Poddała mu się ochoczo, pozwalając,

by język Roydena wił się zmysłowo wokół jej języka.

Jego usta były zaskakująco miękkie, a uścisk kusząco twardy. Objął wolną dłonią policzek Lisette, unieruchamiając jej twarz – tak jakby w ogóle była w stanie się poruszyć! – i przyciągnął ją bliżej siebie. Żar pomiędzy nimi wzmagał się, przesycony zapachem jego mydła do golenia. Mężczyzna wpychał głęboko język w usta Lisette, nie spiesząc się. Smakując ją do woli.

Wspięła się na palce, zachęcając go, by jeszcze pogłębił pocałunek. Coś, jakaś tęsknota ciepła i nieokreślona owinęła się wokół jej serca, a potem opuściła się niżej, ku brzuchowi, wijąc się i sprawiając, że zesztywniała z nadmiaru emocji, za którymi nauczyła się już tęsknić.

To było nieracjonalne. Niemądre. Mimo to ciągnęło ją do tego ognia – jakby jego żar mógł ją oczyścić, tak by rozkwitła niczym kwiat wyrosły na popiołach.

Jęknęła cicho i przesunęła dłońmi po talii Napiera, a potem w górę jego pleców. Zadrżał pod dotykiem jej dłoni i przesunął wargi na kącik ust. Musnęły leciutko policzek Lisette, a potem ucho.

– Elizabeth – wyszeptał. – Chcę...

Nagle w świadomość Lisette wdarł się niepożądany odgłos – ostre *klik, klak* laski lady Hepplewood. Odskoczyli od siebie tuż przed tym, jak starsza dama weszła do biblioteki.

– No, no – oznajmiła, przyglądając się im uważnie. – A zaczynałam już sądzić, iż żałujecie decyzji o zaręczynach.

– W żadnym razie – odparł Napier, posępny niczym chmura gradowa. – Wolałbym jednak...

Lady Hepplewood uniosła dłoń, powstrzymując go.

– Nieważne, Saint-Bryce, możesz odejść – oznajmiła szorstko. – Droga panno Colburne, musi pani uważać na ten śliczny kaszmirowy szal. Jeden koniec wlecze się po dywanie.

Napier skrzywił się złowróżbnie, a potem rzucił Lisette ostatnie, przeciągłe spojrzenie, ukłonił sztywno lady Hepplewood, płonąc z namiętności lub gniewu, trudno powiedzieć. Jego spojrzenie mówiło jednak, że nie koniec na tym.

Lady Hepplewood miała najwidoczniej w tej kwestii inne zdanie, przynajmniej w tej chwili.

– Cóż, panno Colburne – powiedziała wyniośle, wskazując szczupłą, arystokratyczną dłonią półki. – Diana niemądrze odłożyła książkę, którą chciałam czytać. Bądź tak dobra, przesuń drabinkę i znajdź mi egzemplarz *Podróży sentymentalnej* pana Sterne'a. Nie jestem już tak zwinna jak kiedyś.

– Oczywiście, *madame*.

Mimo iż trzęsły się pod nią kolana, przesunęła jakoś drabinkę, nim kroki Napiera ucichły w korytarzu. Wspięła się na nią i przesuwając palcem wzdłuż szeregu oprawnych w skórę dzieł, spostrzegła, że w obszernej bibliotece Burlingame znajdują się aż trzy egzemplarze klasycznej trylogii Sterne'a, co uznała za niepotrzebną ekstrawagancję. Zdjęła jeden z półki zadowolona, iż nie drżą jej dłonie.

Zeszła z drabinki i podała książkę starszej damie.

– Chyba o to pani chodziło, *madame*.

Lady Hepplewood ledwie zerknęła na książkę.

– Panno Colburne – powiedziała chłodno. – Czy mogę wykorzystać nasze zbliżające się pokrewieństwo?

W Lisette natychmiast obudziła się czujność.

– W jaki sposób, *madame*?

– Aby dać pani radę – odparła starsza dama. – Zastanawiałam się, czy nie wyobraża sobie pani przypadkiem, iż jest w Saint-Brysie zakochana.

Lisette milczała przez chwilę.

– Bardzo go szanuję – odparła wreszcie. – Uważam, że jest uczciwy i kompetentny, a także na swój sposób przystojny. Wierzę również, że do siebie pasujemy.

– Doskonała odpowiedź – na ustach lady Hepplewood zaigrał uśmiech. – W naszym świecie, panno Colburne, żonie nie wychodzi na dobre, jeśli darzy męża zbyt głębokim uczuciem.

– Przyznaję, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Proszę więc zrobić to teraz. – Lady Hepplewood uniosła władczym gestem brwi. – Błagam, niech pani nie podda się tym burżuazyjnym mrzonkom i nie uzna, że Saint-Bryce to miłość jej życia, bo inaczej czekają panią same rozczarowania. Ośmielę się jednak twierdzić, że już pani o tym wie.

Była to zawoalowana aluzja do małżeństwa jej rodziców. A może lady Hepplewood wiedziała o przeszłości Napiera coś, czego nie wiedziała Lisette?

Z drugiej strony, może starsza pani próbowała ją po prostu zniechęcić. Jeśli tak, jasna odpowiedź Lisette zniweczyła te nadzieje. Zresztą i tak nie miało to znaczenia: wszak nie zamierzała poślubić Napiera.

Dygnęła lekko, podziękowała za radę i zostawiła starszą damę przycupniętą niczym czarny ptak na krześle z wysokim oparciem, ustawionym w pobliżu okien. W korytarzu odetchnęła z ulgą i skierowała się w przeciwną stronę niż przed chwilą Napier. Nie

mogła jednak poradzić nic na to, że myślami powraca co rusz do pocałunku.

Czyżby postradała do reszty rozum? Kiedy ta nędzna parodia zaręczyn się skończy, będzie musiała żyć ze skandalem i wspomnieniami. Od skandalu mogła uciec, i pewnie tak właśnie postąpi. Lecz jeszcze jeden taki pocałunek i wspomnienia będą ścigały ją do końca świata.

Wędrówka ciągnącymi się w nieskończoność korytarzami dała jej czas, by mogła opanować emocje. Zdecydowanie spokojniejsza skierowała się w stronę apartamentów lady Hepplewood. Wymagało to pokonania mnóstwa zakrętów i wielokrotnego zawracania, a także pomocy lokaja – nie cudzołożnika Waltona, ale bardziej pogodnego młodzieńca, którego nazwisko jakoś jej umknęło.

Minęła podwójny salon, zadowolona, że przystojnego, acz mało szacownego lorda Hepplewooda nie ma w pobliżu. Kiedy wchodziła za służącym w głąb apartamentu, uświadomiła sobie, że siostrze Duncastera oddano do dyspozycji w zachodnim pawilonie piętro o powierzchni większej niż cały jej domek w Hockney. Znajdowały się tu: prywatna jadalnia, salonik, pokój dzienny, gabinet i, jak sobie później uświadomiła, co najmniej sześć sypialni. Wszystkie pomieszczenia zalane były słonecznym blaskiem, wyposażone w eleganckie, utrzymane w neutralnej kolorystyce draperie i zapełnione meblami, wyglądającymi na niemal nowe.

Lokaj zatrzymał się, skłonił i wykonał obszerny gest dłonią.

– Sypialnie znajdują się w tym korytarzu, panienko.

– Dziękuję... Prater, czy tak?

Prater się uśmiechnął.

– W rzeczy samej. Mam pokazać, które drzwi?

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Tak, proszę.

Minęli kolejny zakręt i Lisette weszła do ostatniej sypialni. Diana stała nad stosem zielonych, sięgających jej niemal do talii draperii.

Prawdę mówiąc, w całym pokoju panował nieład, okna i wszystkie ściany, poza jedną, odarto z tapet i gobelinów, pozostawiając drewno i goły tynk. Pod ścianą stała drabina, jakby ktoś miał zaraz rozpocząć malowanie. Wspaniały komplet mebli z orzecha przesunięto pod ścianę, która nie została jeszcze ogołocona, podobnie dywan, pasujący barwą do zielonych draperii przy łóżku. W powietrzu unosił się zapach octu.

Na dźwięk otwierających się drzwi Diana obróciła się na pięcie.

– Och, Elizabeth – powiedziała odrobinę zdyszana. – Co za niespodzianka.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Ani trochę. – Spostrzegła lokaja i uniosła brwi. – Ach, Prater...

– Tak, panienko? – powiedział lokaj w połowie drogi do drzwi.

– Czy nie wyraziłam się jasno, kiedy poleciłam, by ten materiał wyniesiono i spalono? – powiedziała, wskazując stos zielonej tkaniny. – W zeszłym tygodniu, o ile mnie pamięć nie myli.

– Byliśmy bardzo zajęci, panienko – odparł lokaj przepraszającym tonem. – Skoro Walton zachorował...

– Nie był aż tak chory, by nie wypuścić się w niedzielę do wioski – zauważyła Diana nadąsanym, zaskakująco dziewczęcym tonem.

– Czy nie miał mi tu pomagać? Doprawdy, zważywszy jak traktuje się mnie w tym domu, równie dobrze mogłabym być lampą lub meblem.

– Błagam o wybaczenie, panienko – powiedział Prater, nim zamknął drzwi. – Przyślę kogoś.

– Och, Boże, jednak przeszkadzam – stwierdziła Lisette, rozglądając się po pokoju. – Przepraszam.

Diana rozpogodziła się w ułamku sekundy.

– Nic podobnego. – Czasami zdarzało jej się mówić tak cicho, że ledwie było ją słychać. – Ukrywasz się przed Gwyneth i jej przerażającym teleskopem?

Lisette uśmiechnęła się z niejakim trudem.

– Nie tylko przed nią – przyznała. – Chyba mogłabym sporządzić całą listę takich osób.

– Tu możesz czuć się bezpieczna – odparła Diana, podchodząc do stojącego pośrodku roboczego stołu. – Chodź, obejrzymy razem próbki. Przepraszam, że potraktowałam Pratera tak ostro. Pomaganie mi nie należy do jego obowiązków, ale Waltona. Zaczął to zdzierać, a potem zostawił jedną ścianę i zniknął.

Lisette się roześmiała.

– Sądząc z tego, co mówi moja pokojówka, Walton cierpi z powodu miłości – powiedziała – lecz jeśli to coś zmieni, ponoć dopadła go także silna niedyspozycja żołądkowa.

Diana się skrzywiła.

– Pani Boothe będzie bardzo rozczarowana.

Pani Boothe, jak dowiedziała się Lisette, była poczmistrzową. Zauważyła, że Diana położyła próbki skór obok próbek materiału

otrzymanych w zeszłym tygodniu, ewidentnie próbując dopasować coś do siebie.

Przez jakiś czas Lisette przyglądała się po prostu, jak Diana pracuje. Jej dłonie poruszały się szybko i sprawnie – dało się zauważyć, iż nie ma nawyku obgryzania paznokci. Miała natomiast krótszy trzeci palec i przez chwilę Lisette sądziła, że musiał zdarzyć się wypadek. Paznokieć wydawał się jednak nietknięty: zatem była to po prostu anomalia.

Diana musiała zauważyć, że Lisette się jej przygląda.

– Dziwne, prawda?

– Przepraszam. – Lisette poczuła, że się czerwieni. – Nie chciałam się gapić.

Diana się roześmiała.

– Gwyneth ma krótki, płaski kciuk – powiedziała – a środkowy palec u stopy Tony'ego jest zadziwiająco długi. W dzieciństwie nazywaliśmy się Dziwne Palce. Mieliśmy nawet klub, do którego nie pozwoliliśmy wstąpić Anne. Okrutne, prawda?

Lisette się uśmiechnęła. Zastanawiała się, jaka też może być Anne.

– Które z was jest najstarsze? – spytała.

– Gwyneth, potem mamy Tony'ego, mnie i Anne – odparła Diana, marszcząc brwi. – Tak, zgadza się. Anne jest młodsza ode mnie, chociaż niewiele.

Jedna z próbek przyciągnęła uwagę Lisette.

– Och, podoba mi się ten jedwab. – Sięgnęła przez stół i wzięła do rąk kawałek materiału o barwie szampana.

– Tak, myślałam, by uszyć z niego draperie – odparła Diana, przypinając nieco ciemniejszy kawałek do dużego kwadratu

z muślinu. – Gwyneth też się podobał. Lecz to nie jedwab.

Lisette przyjrzała się próbce.

– Ale ma w sobie połysk – wymamrotała, miętosząc materiał w palcach. – Co to takiego?

– Rodzaj wysokogatunkowej bawełny – odparła Diana z ustami pełnymi szpilek. – Wytwarza się go dopiero od niedawna. Przędzę traktuje się chemikaliami, aby uzyskać połysk.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lisette.

Diana się zaczerwieniła.

– Moja mama pochodziła z rodziny fabrykantów tkanin z Lancashire.

Lisette starała się zachować obojętną minę, pomyślała jednak znowu o pogardzie lady Hepplewood względem rodziny narzeczonej syna. Oni też byli fabrykantami.

– Cóż, wielu osobom udało się odnieść w przemyśle znaczny sukces – zauważyła spokojnie.

Diana wyjęła z ust szpilkę i wbiła ją z wprawą w materiał.

– Nie jestem pewna, czy dotyczy to także dziadka, choć mama wychowana została na damę. Jej brat nadal stara się ocalić starą fabrykę przed bankructwem. Przysłał mi te wszystkie materiały.

W jej głosie dał się słyszeć smutek, a nawet odrobina żalu.

– Opowiedz mi o mamie – zasugerowała Lisette. – Jaka była?

Spojrzenie Diany złagodniało.

– Bardzo piękna – odparła, podchodząc do najbliższego okna, by dokładniej przyjrzeć się próbce. – I doskonale wykształcona. Myślę, że to dlatego lady Hepplewood zwróciła na nią uwagę.

– Lady Hepplewood?

– O, tak. – Diana spojrzała na nią od okna. – Nie wiedziałaś? Mama była pierwszą guwernantką Tony'ego. Poznała tatusia tego samego dnia, kiedy przybyła do Loughford. Jak uważasz, czy ten materiał wystarczająco filtruje światło?

Lisette przechyliła w bok głowę.

– Okna pokoju wychodzą na północ, więc chyba tak – odparła. – Zapomniałam, że twój ojciec jest zarządcą majątku Hepplewooda, no i był jego kuzynem.

– Lecz wtedy przebywał w Loughford jedynie z wizytą – kontynuowała Diana, podchodząc znowu do stołu. – Zakończył właśnie edukację na uniwersytecie i szukał dla siebie miejsca. Poprosił o radę Hepplewooda.

Lisette się uśmiechnęła.

– Czy była to miłość od pierwszego wejrzenia?

Diana roześmiała się znowu.

– Mama twierdziła, że dla niej jak najbardziej – odparła. – Uważam jednak, że tatuś nie padł jej do stóp, póki nie wrócił, by objąć posadę. A jak poznali się twoi rodzice? – Lisette skrzywiła się, a Diana wydęła wargi. – Daj spokój, uwielbiam romantyczne opowieści.

– Czasami zastanawiam się, czy naprawdę było to aż tak romantyczne – odparła Lisette ze śmiechem. – Matka była siedemnastoletnią debiutantką, a tatuś czarną owcą, potępianą powszechnie za rozwiązły styl życia. Twierdził, że zakochał się, gdy tylko ją zobaczył. Ich flirt wywołał nie lada skandal, lecz w końcu się pobrali.

Oczy Diany błyszczały.

– I żyli potem szczęśliwie?

– Och, nie wiem. – Lisette wzruszyła ramionami. – Czy można wiedzieć coś takiego na pewno?

– Tak. – Diana okręciła się na pięcie i spojrzała na Lisette. – Och, tak, Elizabeth, na pewno byli szczęśliwi! A ty planujesz żyć szczęśliwie z Saint-Bryce'em?

Po tym, jak lady Hepplewood uraczyła ją swymi poglądami na miłość, optymizm Diany był odświeżający.

– Cóż, zawsze ma się nadzieję na szczęście – odparła wymijająco. – Czasami jednak los wtrąca się w nasze życie w sposób zgoła nieprzewidziany.

– Ale ty go kochasz, prawda? – Diana zaskoczyła Lisette, ujmując jej dłonie. – Och, moja droga, bo jeśli nie, nie wolno ci go poślubić. Proszę, obiecaj mi, że tego nie zrobisz. Nic nie może stanąć na drodze prawdziwej miłości. A jeśli wyjdziesz teraz za mąż, nigdy jej nie znajdziesz.

Lisette była zakłopotana.

– Ale... zamierzałaś poślubić poprzedniego barona.

Diana zawahała się na jedno uderzenie serca.

– Cóż, moja sytuacja była inna – odparła, ściskając mocno dłonie Elizabeth. – Lubiłam jednak bardzo Saint-Bryce'a. Znałam go od dziecka. Był porządnym człowiekiem. Uczciwym.

– No i lady Hepplewood nalegała – wtrąciła Lisette. – Prawda?

Diana odwróciła wzrok.

– Zmuszano cię, żebyś za niego wyszła, Diano? – spytała Lisette ściszonym głosem. – To znaczy, mogłaś wyjść za kogoś innego, prawda? Jesteś... zabezpieczona finansowo?

Diana odwróciła się, a jej spojrzenie przybrało niemal czuły wyraz.

– O, tak! – odparła. – Dobrze zabezpieczona. Lord Hepplewood zostawił mi posag w wysokości dwudziestu tysięcy funtów w dowód wdzięczności dla tatusia. A tatusiowi też dobrze się powodzi. Inwestuje w koleje żelazne. Jestem jego jedynym dzieckiem.

– Zatem musisz tylko spotkać swojego księcia w lśniącej zbroi – zauważyła Lisette wesoło. – Tutaj będzie jednak o niego dość trudno. Powinnaś... cóż, powinnaś wyjechać do Londynu. Mieć swój sezon.

Diana wzruszyła ramionami.

– Miałam, razem z Anne – odparła, wracając do próbek. – Kuzynka Cordelia zafundowała go nam w tym samym roku. Lecz teraz nie mam już chęci na podobne nonsensy. Uczciwie mówiąc, uważam, że powinniśmy wrócić wszyscy do domu.

– Do twego ojca?

– Do Northumberland. – Mówiąc, nie patrzyła Lisette w oczy. – Tak, do tatusia. Do... wszystkiego.

Lisette dostrzegła wreszcie prawdę.

– Och, Diano – powiedziała cicho. – Tak ci tu źle?

Przez jakiś czas Diana bawiła się po prostu skrawkami materiałów.

– Nie przynależymy tutaj – odparła wreszcie, rzucając na blat pognieciony kawałek kremowego lnu. – Teraz to Gwyneth powinna zarządzać Burlingame, przynajmniej póki żyje Duncaster, a ona nie życzy sobie pomocy. Z pewnością nie chciała, bym poślubiła jej ojca. Anne mnie po prostu nie znosi. Kuzynka Cordelia jest nieszczęśliwa, a jeśli Tony zostanie w Londynie,

jeszcze... Cóż, chciałam tylko powiedzieć, że nie wiem, dlaczego musimy tu siedzieć.

– Och, Diano...

Diana westchnęła głośno.

– Boże, muszę wydawać ci się niewdzięczna – zauważyła. – Tak, kuzynka Cordelia powiada, że w końcu zamieszkamy w niewielkim domu w stolicy. Kuzynka Gwyneth także powinna odejść i nie odrywać panny Jansen od obowiązków.

Nie wydawała się jednak tą perspektywą szczególnie uradowana. Lisette zaczęła się zastanawiać, czy Diana i lady Hepplewood nie były dla siebie niczym kamienie uwieszone u szyi. Co zaś się tyczy Gwyneth i lady Hepplewood lub Gwyneth i pani Jansen, lepiej było nie wdawać się w spekulacje.

– Może w następnym roku stolica wyda ci się bardziej interesująca – zauważyła neutralnym tonem.

– Cóż, mogłybyśmy pojechać tam już w tym roku. – Diana otworzyła tekturowe pudełko z chwastami do zasłon i zaczęła w nich przebierać. – Lecz mamy wszyscy żałobę.

Lisette oparła się biodrem o blat i obserwowała przez chwilę jej pracę.

– Jak umarł lord Saint-Bryce, Diano? – spytała, zaciekawiona. – Jakoś nikt o tym nie mówi.

Diana podniosła wzrok znad pudełka.

– Doktor Underwood stwierdził atak apopleksji, chociaż przez jakiś czas wydawało się, że lord wyzdrowieje.

– Zatem śmierć nie przyszła nagle?

– Nie, żył jeszcze przez jakiś czas. Nie mógł jednak mówić, miał też sparaliżowane prawe ramię i nogę. Walton i Prater musieli

zanosić go do łóżka.

– Cóż, Bogu dzięki, że go znaleźli – zauważyła Lisette.

– Nie oni – sprostowała Diana, mrugając gwałtownie. – Ja.

– Doprawdy? – zdziwiła się Lisette. – Boże, to musiało być okropne!

Diana wyglądała teraz na bardzo przygnębioną.

– Przechodziłam obok gabinetu, zmierzając do pokoju szkolnego – powiedziała. – Usłyszałam przerażający, głuchy stukot i po prostu wiedziałam, że wydarzyło się coś strasznego. Gdy weszłam, nie mógł mówić. Na szczęście Walton i Prater byli tuż za rogiem.

– Cóż – stwierdziła Lisette filozoficznie – oto jak życie może zmienić się w mgnieniu oka. A skoro już o tym mowa, jak myślisz, czy lady Hepplewood zmieni zdanie co do panny Willet?

Diana się roześmiała.

– Och, to narzeczeństwo nie przetrwa – stwierdziła, trzymając w uniesionych dłoniach chwasty. – Jak myślisz? Złoty czy niebieski?

– Cóż, w pokojach recepcyjnych nie ma zbyt wiele koloru – zauważyła Lisette, krążąc po sypialni. – Są neutralne, ale w przyjemny sposób.

– Wiem – odparła Diana. – Wybierałam meble. Kocham kość słoniową i złoto. A kuzynce Cordelii i tak jest to obojętne, byle wszystko było najwyższej jakości.

– Czy tak właśnie wygląda Loughford? – Lisette zatrzymała się przy palenisku i odwróciła. – Wszystko jest tam najwyższej jakości?

– Owszem, i bardzo stare – odparła Diana znacznie łagodniejszym tonem. – Klasyczne. Loughford jest... och, chyba

najpiękniejszym domem na świecie.

– A jednak wymaga solidnego remontu – zauważyła Lisette.

Diana poderwała gwałtownie głowę.

– Kto ci to powiedział?

Lisette otwarła szeroko czy.

– Ja... cóż, chyba Gwyneth.

– Gwyneth nie ma o niczym pojęcia. – Głos Diany brzmiał teraz rozpaczliwie. – Dom jest dobrze utrzymany.

– Może lady Hepplewood wspomniała bratu, że jest inaczej? – zasugerowała lekkim tonem Lisette. – Po to, by mieć powód do pozostania tutaj?

Diana otworzyła usta, a potem je zamknęła, wyraźnie się zastanawiając.

– Mogło tak być – przyznała. – Jednak oboje, Duncaster i jego siostra, rozmieją się jak para złodziei.

– Ach tak.

Krążyła jeszcze przez chwilę po pokoju, podziwiając elegancki kominek i zawieszony nad nim pejzaż. Diana spinała próbki i podchodziła z nimi do okna, pytając Lisette od czasu do czasu o opinię. A kiedy ustaliły ostatecznie, że najlepsze będą: białe tło, na nim tkanina o barwie szampana, a wszystko ozdobione złotymi chwostami, Diana zajęła się próbkami skóry, wyjaśniwszy, że lady Hepplewood zażyczyła sobie, by przed kominkiem stanęły dwie bliźniacze sofy.

Wydawało się to czystą ekstrawagancją, zważywszy, że pokój miał być użytkowany jedynie okazjonalnie i prowadziło do jedynego słusznego wniosku: lady Hepplewood nie brakowało funduszy. A może przydzielił je siostrze Duncaster?

Zastanawiając się nad tym, Lisette pochyliła się i podniosła dziwacznie wyglądający czajnik, zwisający na długim haku nad paleniskiem.

– Jest śliczny – zauważyła.

– Prawda? – zgodziła się z nią Diana, nie odrywając wzroku od skrawków. – Saint-Bryce... to znaczy ojciec Gwyneth przywiózł go z którejś podróży na Wschód. A może z Afryki? Był w młodości zapalonym podróżnikiem. Nie wiem, do czego ta rzecz służyła, zapewne do odprawiania jakiejś diabelskiej ceremonii, przekonaliśmy się jednak, że doskonale nadaje się do parzenia ziółek.

Naczynie było ciężkie, bogato zdobione, miało zbiornik na wodę i podziurawiony jak sito zbiorniczek powyżej.

– Jakich ziółek? – spytała.

Diana wyjęła szpilkę z ust.

– Lawendy i rozmarynu na nerwy – wyjaśniła – albo eukaliptusa na złe trawienie. Lord Heplewood czuł się znacznie spokojniejszy, gdy się zaparzały.

– Musiały działać rzeczywiście kojąco – zauważyła Lisette, wieszając czajnik z powrotem na haku. – I co, zdecydowałaś się?

– Nie, zobacz sama – zachęciła ją Diana. – Jak sądzisz, czy w świetle popołudnia ten kolor może się zmieniać?

Lisette wróciła do stołu. Zaczęły kolejną rundę przypinania i wybierania.

– Ostatnie dni lorda Hepplewooda musiały być dla jego żony trudne – zauważyła na pozór obojętnie. – Jak zrozumiałam, pomieszało mu się w głowie?

Diana oderwała wzrok od próbek i zerknęła na Lisette.

– Z początku był jedynie słaby i nieco wytrącony z równowagi – powiedziała. – Pod koniec zaczął mówić jednak od rzeczy.

Lisette pochyliła się nad stołem.

– Dlatego tak często się kłócili? – spytała, zniżając konspiracyjnie głos. – Czy lord stał się agresywny? Trudno było nad nim zapanować?

Diana zacisnęła wargi i odłożyła poduszeczkę do szpilek.

– Lord Hepplewood chciał, byśmy wrócili wszyscy do domu – powiedziała. – Może kłócili się o to raz czy dwa. A może... może bał się, że umiera? A ludzie wolą umierać we własnym łóżku, prawda?

– Lecz lady Hepplewood nie chciała wracać?

Diana potrząsnęła głową.

– Dlaczego?

Diana wzruszyła szczupłymi jak u ptaka ramionami.

– Twierdzi, że w Northumberland jest za zimno – odparła. – A Tony zasmakował samodzielnego życia w Londynie.

– Najwidoczniej wręcz się w nim rozsmakował – zauważyła Lisette chłodno. – Poza tym, musi być niemal w moim wieku. Nie mieszkał wcześniej poza domem?

– Spędził chyba dwa lata w Oksfordzie – wyjaśniła Diana – lecz niezbyt mu się tam podobało. Przebywał też raz czy dwa podczas sezonu w Londynie, ale nic z tego nie wynikło.

Lisette nie rozumiała.

– Kiedy lord Hepplewood pracował w Londynie, nie było przy nim żony i Tony'ego?

– Czasami byli, czasami nie – Diana strzepnęła nitkę z próbki. – Na ogół jeździł pociągiem sam i zatrzymywał się przy Clarges

Street. Tony nie interesował się polityką ani życiem towarzyskim, przynajmniej do niedawna.

Dziwne, pomyślała Lisette. Nowy lord Hepplewood nie wydawał się taki zły ani zepsuty, jakim odmalował go Napier. A może to Diana miała klapki na oczach i nie potrafiła właściwie go ocenić.

Zastanawiała się, jak zadać następne pytanie, ale nie przychodziło jej na myśl nic wystarczająco taktownego.

– Duncaster powiedział, że Hepplewood oskarżył żonę, iż stara się go otruć – powiedziała zatem jak gdyby nigdy nic. – Oczywiście, nikt w to nie uwierzył. Ale napisał do Whitehall kilka bardzo dziwnych listów...

– Listów? – powtórzyła Diana zaskoczona, podrzuciwszy głową niczym spłoszona łania. – To dlatego Napier... lord Saint-Bryce tu przyjechał?

– Nie jestem pewna. – Lisette wzruszyła ramionami. – Nie rozmawiamy zbyt często o jego pracy. Pomagałaś opiekować się lordem?

Diana przełknęła mocno ślinę i przytaknęła.

– Wszyscy pomagaliśmy. Siedziałam przy nim niemal codziennie. Podobnie Gwyneth. Kiedy był chory, chłodziłyśmy mu czoło kompresami i namawiałyśmy, by wypił nieco bulionu. Czytywałyśmy mu też kolejno Biblię, a nawet gazety.

– Musiałaś bardzo go kochać – zauważyła Lisette łagodnie.

– Kochałam! – Wyglądała tak, jakby miała zaraz się rozpłakać. – Był dla mnie jak... jak dziadek. Zawdzięczałam mu wszystko. Byłam zrozpaczona, gdy umarł. Wszyscy byliśmy zrozpaczeni.

– Nawet lady Hepplewood?

– Tak. – Diana przytaknęła energicznie. – O tak, pomimo różnicy wieku było to małżeństwo z miłości. W późniejszych latach owszem, zdarzało im się kłócić. Jakiej parze się to nie zdarza?

Duncaster powiedział dokładnie to samo. Lisette była zaintrygowana. Doświadczenie, jakkolwiek mocno ograniczone, podpowiadało jej, że pary kłócą się zwykle na początku małżeństwa, nie po wielu latach.

Otworzyła usta, by zadać kolejne pytanie, lecz drzwi otwarły się niespodziewanie. Wszedł Prater, ubrany zamiast w liberię w długi płócienny fartuch.

– Marsh zwolnił mnie z obowiązków, bym pani pomógł, panienko Jeffers – powiedział. – Proszę powiedzieć, co mam robić.

Diana przeprosiła Lisette i podeszła do stosu zielonej materii. Lisette przyglądała się jej przez chwilę, przetrawiając w myślach to, co właśnie usłyszała. Lecz Diana zajęła się już ewidentnie czymś innym.

Pożegnała się zatem, skinąwszy na pożegnanie niedbale dłonią, i rozpoczęła długą wędrówkę do swojej sypialni, czując się dziwnie nieswojo... i bardziej niż kiedykolwiek niepewnie.

Rozdział 9
Wszystko, co prawdziwe i doskonałe

Cały świat to scena – napisał kiedyś Szekspir – a ludzie na nim to tylko aktorzy[2]. W ocenie Napiera nikt nie odzwierciedlał tego stwierdzenia lepiej niż jego tymczasowa narzeczona. Nawet tak przysięgły sceptyk jak on nie mógł się czasami oprzeć wrażeniu, że przeklęta kobieta jest w nim na wpół zakochana.

Emocje, które temu towarzyszyły, sprawiały, że czuł się zakłopotany i dziwnie bezsilny.

Podczas herbatki w schludnym dworku dziedzica Taftona Elizabeth odgrywała oddaną przyszłą żonę idealnie, siedząc blisko Napiera na wąskiej, obitej beżową materią sofie i spoglądając nań przy byle okazji z uwielbieniem.

Otoczona chmurką ciepłego zapachu perfum, bawiła gospodarzy anegdotkami z dzieciństwa Napiera – zmyślonymi od początku do końca, chociaż twierdziła, że usłyszała je od jego starej niani. A potem opowiedziała, nie żałując dramatycznych szczegółów, jak ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy w zatłoczonym salonie.

Od razu wiedziałam, oznajmiła z westchnieniem, że to ten właściwy.

Dziedzic uśmiechnął się i zawyrokował, że Napier musi być największym szczęściarzem na ziemi.

Napier pomyślał, że raczej największym głupcem, do tego zadurzonym, skoro słucha bajania Elizabeth z choćby odrobiną żalu. Była zdecydowanie niebezpieczna. A on... Cóż, kiedy na Boga stał się tak podatny na urok kobiety?

Był ostatnim człowiekiem na świecie, który powinien w ten sposób zareagować. Jako dziecko nie tylko nie czytywał bajek, ale w nie nie wierzył. A podczas pracy w Departamencie Czwartym stykał się na co dzień z najpodlejszymi czynami, do jakich zdolny jest człowiek. Och, znał kobiety – rozkoszne, godne najwyższego pożądania – i miał zaszczyt sypiać z kilkoma z nich. Żadna nie sprawiła jednak, aby odczuwał tę przedziwną tęsknotę.

I nie odczuwa jej teraz, do licha!

Wmawiał sobie, że to jedynie namiętność. Płonący głęboko, palący pociąg do kobiety, która nie wiedziała, co to prawda... Popęd, któremu powinien położyć kres w najprostszy z możliwych sposób: biorąc rudowłosą wiedźmę do łóżka, kiedy odczytał w jej oczach przyzwolenie.

Nagle uświadomił sobie, że jeśli nie chce ubliżyć przyzwoitości, powinien czym prędzej nieco się od rzeczonej wiedźmy odsunąć.

Skupił zamiast tego uwagę na gospodarzach i wyobraził sobie ich w łóżku. Okazało się to niezwykle skutecznym sposobem, by jego pączkująca erekcja zanikła. Tafton był bowiem chudym, niezdarnym facetem z widocznymi brakami w uzębieniu.

Owszem, miał miłe usposobienie. Pił herbatę z większym entuzjazmem niż gracją.

Jego żona była pulchna, okrągła i niemal onieśmielona wizytą dostojnych gości. Napier, nieprzywykły do takich atencji, powstrzymywał się ze wszystkich sił, by głośno nie prychnąć.

Za to Elizabeth szybko sprawiła, że pani Tafton poczuła się swobodnie. Zbyt szybko jak dla Napiera, ponieważ gdy tylko wyniesiono serwis do herbaty, gospodyni spytała, czy panna Colburne nie chciałaby zobaczyć najmłodszego potomka Taftonów.

Po raz pierwszy dostrzegł wtedy na twarzy Elizabeth wyraz niepewności, zastąpiony jednak natychmiast pełnym entuzjazmu uśmiechem.

– Och, tak, proszę – powiedziała bez tchu. – To byłaby wielka przyjemność.

– Mamy dwie dziewczynki, prawie dorosłe – powiedział Tafton, gdy jego żona znikła na piętrze – i są światłem moich oczu. Jednak syn... Nie muszę panu tego mówić, milordzie, prawie już straciliśmy nadzieję.

Napier rozumiał, że dla drobnego szlachcica syn był niezwykle ważny. Córki wyjdą, o ile dopisze im szczęście, dobrze za mąż i zamieszkają z rodzinami, do których weszły. Syn miał pozostać w rodzinnym majątku, pomagać ojcu go prowadzić, a kiedyś przejąć i zachować dla swoich potomków.

Nie minęła chwila, a pani Tafton była już na dole, tuląc w ramionach zawiniątko. Tuż za nią dreptała posłusznie młoda pokojówka.

– A oto nasz Andrew, panno Colburne – oznajmiła z dumą i pochyliła się, by Elizabeth mogła przyjrzeć się dziecku. – Dopiero

co się obudził, nie powinien więc płakać.

Napier też się pochylił i posłusznie zachwycał, nazywając niemowlę najpiękniejszym dzieckiem na ziemi – nie przyszło mu to z trudem, gdyż malec, ze swymi jaskrawobłękitnymi oczami i pulchnymi, różanymi policzkami stanowił rzeczywiście uosobienie dziecięcej urody. A kiedy dziecko chwyciło palec wskazujący Elizabeth i mocno go ścisnęło, kopiąc nóżkami z wielką radością i wigorem, poczuł w sercu niemal bolesną tęsknotę.

Elizabeth zamilkła, a jej twarz wyraźnie pobladła.

Pani Tafton najwidoczniej nic nie zauważyła, ponieważ podała jej niemowlę.

– Chciałaby pani trochę go potrzymać, panno Colburne?

Elizabeth ocknęła się z oszołomienia.

– Och, tak – wyszeptała, wyciągając ramiona.

Pani Tafton złożyła w nie zawiniątko. Elizabeth siedziała przez chwilę sztywno, trzymając dziecko w zgięciu ramienia.

– Może pani go przytulić, moja droga – zachęciła ją żona dziedzica. – Zapewniam, że nic mu się nie stanie.

Elizabeth rzuciła błyszczące, niemal pełne nadziei spojrzenie na panią Tafton, a potem przytuliła dziecko do piersi. Malec zacisnął dłonie w piąstki, ziewnął przeciągle, przymknął oczy i zapadł znów w drzemkę, opuściwszy jasne, delikatne rzęsy.

Zdawało się, że na pokój padł jakiś czar. Elizabeth kołysała dziecko, szepcząc przeróżne słodkie głupstewka, a państwo Taftonowie przyglądali się temu z zadowoleniem. Lecz to nie wyraz szczęścia na twarzach gospodarzy sprawił, że Napierowi ścisnęło się serce.

Chodziło raczej o Elizabeth.

Kiedy tuliła czule dziecko do piersi, wyraz tęsknego cierpienia na jej twarzy powiedział mu więcej, niż zdołałoby tysiąc słów.

Przemknęło mu przez myśl pytanie, czy Elizabeth może mieć dzieci. Osiągnęła wiek, gdy większość kobiet zdążyła wyjść już za mąż, a Bóg jeden wie, że była na swój niezwykły sposób piękna. Lecz wielu mężczyzn nie wzięłoby sobie jałowej żony... Samo to określenie działało mu na nerwy. Było zimne i pełne brzydkich skojarzeń.

W jej przypadku byłaby to niezwykle okrutna okoliczność, ponieważ kobieta o inteligencji i determinacji Elizabeth mogłaby dać mężczyźnie o wiele więcej niż tylko dziecko.

Z drugiej strony podejrzewał, że właśnie te cechy niemal zniszczyły jej życie. Może dlatego nie miała jeszcze męża ani dzieci? Może cel, jaki sobie postawiła, zmusił ją, aby zrezygnowała z pewnych aspektów życia?

Cóż to byłaby za strata!

Po chwili Elizabeth oddała jednak dziecko pani Tafton, uśmiechając się znowu uprzejmie, z twarzą wyzutą z prawdziwych emocji. Zdawał sobie sprawę, że nie ma co wspominać o wyrazie cierpienia, jaki zagościł na chwilę na jej twarzy. To nie jego sprawa, a Elizabeth i tak wszystkiego by się wyparła.

Kiedy się w końcu pożegnali i pomógł Elizabeth wsiąść do pożyczonej dwukółki, starał się zapomnieć, jak wyglądała z dzieckiem przytulonym do piersi.

– I jak mi poszło? – spytała, kiedy wskoczył do powoziku i usadowił się obok niej.

Obrzucił ją z ukosa mrocznym spojrzeniem.

– Ci biedni ludzie przeżyją wkrótce podwójne rozczarowanie – wymamrotał, chwyciwszy wodze. – Pierwsze, kiedy nie dojdzie do ślubu, a drugie, gdy przekonają się, jak nędzną imitację właściciela ziemskiego mają za sąsiada.

Elizabeth, która najwyraźniej odzyskała już kontenans, prychnęła mało wytwornie.

– Przynajmniej zaczął pan godzić się z losem.

– Jaki los masz na myśli? – zapytał spokojnie, potrząsając lejcami. – To, że mnie nie poślubisz, czy że zostanę kiedyś wysoce niekompetentnym panem na włościach?

Elizabeth spoważniała i spojrzała na niego dziwnie.

Co za przeklęty idiota ze mnie, pomyślał.

Chętnie cofnąłby wypowiedziane słowa, zwłaszcza że usta Elizabeth wykrzywił już kpiący uśmieszek.

– Och, myślę, że jesteśmy oboje zbyt znużeni życiem i zgorzkniali, by wierzyć we własne kłamstwa – powiedziała. – Co zaś się tyczy pana, Napier, powinien pan nieco wyżej się cenić.

– Ach tak? – wykrztusił, zerkając na nią znowu spod oka. – Dlaczegóż to?

Machnęła niedbale dłonią.

– Cóż, zarządzanie majątkiem takim jak Burlingame nie może różnić się zbytnio od tego, co robi pan w policji. Ośmielę się twierdzić, że jest nawet łatwiejsze.

– Nie wiem, jak byłoby to możliwe – zauważył – skoro nie odróżniam nawet ziarna od siana.

– A zna pan każdy róg ulicy i budkę policyjną w Londynie? Każdego urzędnika w Westminsterze? Wszelkie przepisy prawne?

– Nie, ale...

– Nie, ale administruje pan departamentem – przerwała mu. – Przekona się pan, że administrowanie majątkiem wiele się od tego nie różni. Sądzę, że jedno i drugie wymaga raczej umiejętności zarządzania i znajomości ludzkiej natury niż wiedzy, którą można czerpać z książek.

To dziwne, lecz jej opinia dodała Napierowi pewności siebie, chociaż nie wiedział o prowadzeniu majątku ani trochę więcej niźli przed chwilą.

– A skoro mówimy już o radzeniu sobie – stwierdził chłodno – poczynałaś sobie z naszymi gospodarzami doskonale.

Spojrzała na niego figlarnie.

– Czyż nie do tego zostałam zatrudniona?

– Spisałaś się aż nazbyt dobrze – poskarżył się. – Byłaś czarująca, dowcipna i piękna. Kiedy mnie rzucisz, uznają mnie za idiotę i prostaka.

– Och, Napier, tyle komplementów naraz! Proszę uważać, by pański język nie zabarwił się na czarno. – Uniosła wyżej brodę, w jej oczach płonęły iskierki rozbawienia. – Poza tym, może to pan rzuci mnie?

– I zostanę uznany za łotra bez czci i sumienia? – odparował, pochmurniejąc. – Daj spokój, Elizabeth. Odbyliśmy już tę dyskusję gdzieś pomiędzy Twyford a Reading. Nie chcę zaczynać jej od nowa.

Zapadło niezręczne milczenie. Minęli słupki oznaczające granice posiadłości Taftonów i wjechali na wiejską drogę. Nagle Lisette obejrzała się z wyrazem żalu na twarzy.

– Polubiłam ich, lecz wkrótce o nas zapomną – powiedziała głosem, w którym więcej było nadziei niż pewności. – Czyż nie? To znaczy, wszyscy. Wrócimy do Londynu, a jeśli Bóg okaże się łaskawy, pański dziadek pożyje jeszcze jakiś czas. Wrócimy do naszego zwykłego życia.

Napier prychnął lekceważąco.

– Nie rozpoznałabyś zwykłego życia, gdyby skoczyło na ciebie i cię ugryzło – powiedział, wznosząc oczy do nieba. – Ja, zapewne, również. A teraz, patrz, zaraz będzie padało.

– Proszę winić to nieznośne gorąco, nie mnie. – Elizabeth układała starannie fałdy podróżnej sukni. – Wystarczy pospieszyć konie.

Zrobił tak, lecz od granic posiadłości dzieliło ich sześć mil, a potem należało przejechać jeszcze cztery krętym podjazdem kończącym się przed domem. Wkrótce zaczęło kropić, a temperatura znacząco spadła. Liście na drzewach wzdłuż drogi zaczęły szeleścić, a potem odwracać się, poruszane wiatrem.

Napier pognał konie, lecz kiedy przejeżdżali przez wieś, szybami w oknach miejscowej gospody wstrząsnął huk gromu. Ściągnął wodze, by zahamować, lecz na dziedzińcu przerażony wałach, parskający i przewracający oczami, kopał rozpaczliwie zadnimi nogami, odrzucając żwir, podczas gdy stajenny próbował jakoś go uspokoić, trzymając za uzdę. Z przeciwka nadjeżdżał czarno-czerwony dyliżans pocztowy z trzema zupełnie przemoczonymi mężczyznami na koźle.

Napier zerknął tylko na biednego stajennego i pojechał dalej, popełniając ostatni tego popołudnia błąd. Pół mili dalej Elizabeth zaczęła otulać się ciaśniej szalem, zerkając co i rusz na niebo.

– Nie moglibyśmy przeczekać gdzieś deszczu? – zasugerowała w końcu. – Na przykład w wieży?

– Za daleko – odparł. – Poza tym Craddock zamknął ją, by robotnicy mogli wznieść rusztowanie. Blanki grożą zawaleniem.

– Tak, Gwyneth pożyczyła w zeszłym tygodniu klucz od Marsha – odparła. – Niemal umarłam z wyczerpania, wspinając się tam. Lecz kiedy dotrzesz już na szczyt i się wychylisz, widok roztacza się na pięćdziesiąt mil dookoła.

Zerknął na nią ponuro.

– O co chodzi? – Lisette odrzuciła w tył głowę i parsknęła śmiechem. – Tylko się droczę. Byłyśmy ostrożne. I widok roztacza się zaledwie na trzydzieści mil.

Napier potrząsnął tylko głową.

– Lepiej skierujmy się ku tylnej bramie – powiedział. – Znam miejsce, gdzie będziemy mogli się zatrzymać.

Nim tam dotarli, deszcz na dobre się rozpadał, a zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej. To dlatego trzej podróżni w dyliżansie przyjechali tak przemoczeni. Napier szybko dał za wygraną i skręcił w boczną odnogę. Jeszcze kilka minut i dotarli do niewielkiego lasku rosnącego po obu stronach drogi.

Zeskoczył z siedzenia i podał dłoń Elizabeth.

– Za tymi drzewami znajduje się gajówka – poinformował ją, przekrzykując deszcz. – Lepiej napić się gorącej herbaty z panią Hoxton, niż zmarznąć i się przeziębić.

– Zapewniam, że nie jestem aż tak delikatna – odparła.

Napier odwrócił się, by zabezpieczyć konie.

– Słyszałem, że jeden z lokajów mocno niedomaga – powiedział. – Lepiej zatem uważać.

– To niedyspozycja żołądkowa, nie przeziębienie.

– Jeśli tak, to mamy do czynienia z wyjątkowo paskudnym przypadkiem – zauważył Napier. Chwycił dłoń Elizabeth i ruszyli w stronę lasu. – Duncaster powiedział, że musieli posłać do Marlborough po lekarza. Biedaczysko dostał w nocy konwulsji.

– Boże święty! – Elizabeth natychmiast spoważniała. – Nie wiedziałam.

Prowadził ją leśną dróżką, trzymając nadal za rękę. Gałęzie tłumiły szum deszczu i było tu stosunkowo cicho. Buty zaczęły mu już jednak przemakać i wolał nie wyobrażać sobie, w jakim stanie muszą być pantofelki Elizabeth.

Jeszcze chwila i dotarli do domu, który Napier zauważył podczas jednej z wypraw z Craddockiem. Była to stara gajówka, tak przynajmniej nazwał ją rządca. Teraz uzmysłowił sobie, że powinien był zwrócić większą uwagę na słowo „stara", ponieważ kiedy podeszli do stopni, uderzyło go, że dom wydaje się niezamieszkany.

Choć opuszczony, nie był jednak zaniedbany. Zasłony w oknach były zaciągnięte, ganek usłany opadłymi liśćmi, a wnętrze puste. Zastukał mocno jedną dłonią, a drugą pociągnął Elizabeth pod zadaszenie.

– Nikt tu nie mieszka – odparła, drżąc z zimna. – Odsunęłam zasuwę.

Po chwili zrobił to samo, a potem pchnął drzwi i zajrzał do chłodnego, mrocznego saloniku z kominkiem, w którym nie palono ewidentnie od miesięcy. W powietrzu unosiła się woń wapiennego pyłu, jednak pokój pozostał częściowo umeblowany. Zauważył dębową ławę ze schowkiem, stół z krzesłami i gruby,

podniszczony czerwony dywan. Co ważniejsze, obok kominka stał pojemnik z węglem.

Lisette pociągnęła nosem.

– Ktoś tu tynkował.

– Zaczekamy, aż przestanie padać – powiedział władczo. – Połóż szal i buty przy kominku. Rozniecę ogień.

Z gwoździa przy obramowaniu zwisała stara blaszana puszka na zapałki. Napier położył nieco drewna na podpałkę i po chwili w kominku płonął już ogień. Słyszał, jak Elizabeth buszuje w tylnej części domu.

Po chwili wróciła. Przesunęła dłońmi wzdłuż ramion.

– Czy istnieje jakaś pani Hoxton? – spytała, rozejrzawszy się. – Ktoś otynkował i pomalował ściany, lecz nie ma tu rzeczy osobistych.

Napier, który klęczał nadal przy kominku, zastanowił się.

– Na wschodnim krańcu posiadłości znajduje się farma Hoxtonów – powiedział. – Może facet nadal mieszka z rodzicami?

– Wydawał się młody. – Elizabeth wzruszyła ramionami i usiadła na skrzyni blisko ognia.

Napier dorzucił ostatni kawałek węgla i wstał. Jego skórzane buty zaskrzypiały.

– Powinien pan je zdjąć – poradziła mu Elizabeth.

Napier posłuchał. Obok kominka zauważył wbity w podłogę żelazny przyrząd do ściągania butów. Podszedł boso do wykutego w grubym murze okienka i odsunął zasłonę. Grube krople spływały jedna po drugiej po dzielonych ołowiem szybkach.

– Ulewa nie potrwa długo – rzucił przez ramię, modląc się w duchu, by się nie mylił.

Ledwie to powiedział, pokój rozświetliła błyskawica, a nad domem przetoczył się grzmot tak silny, że aż zagrzechotały dachówki. Deszcz jeszcze się nasilił.

Uśmiechnęła się do niego.

– Nie przeszkadza mi, że tu jesteśmy – powiedziała i przesunęła odzianą w pończochę stopą po dywanie. – Jest całkiem przytulnie. W Burlingame panuje przygnębiająca atmosfera i wszyscy wydają się być na skraju załamania nerwowego.

Odwrócił się i powiedział burkliwie:

– Przykro mi, że ci się tam nie podoba.

Odpowiedziała równie gniewnym spojrzeniem.

– Do licha, Napier, proszę tak na mnie nie patrzeć. Pan też nie lubi tego domu, prawda?

Wrócił do kominka, zdjął surdut i rzucił go na oparcie starego krzesła, niezadowolony z tego, że zabolała go jej uwaga. Bo dlaczego miałaby mieć dla niego znaczenie?

– Owszem, jest nieco zbyt wielkopański – przyznał, oparłszy się ramieniem o kominek. – Nie mam wszakże w tej kwestii wyboru. Nie chciałbym jednak, byś czuła się nieszczęśliwa.

Zaśmiała się krótko i zdjęła kapelusz.

– Przypominam panu, jeśli zdążył już pan zapomnieć, że nie troszczył się pan ani trochę o to, bym była zadowolona, kiedy mnie pan w to wciągał – zauważyła. – I, prawdę mówiąc, tak naprawdę nie ma to znaczenia.

– Co masz na myśli?

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się krzywo.

– Wie pan, naprawdę nie umiem sobie przypomnieć, kiedy byłam po raz ostatni szczęśliwa.

– Spróbuj – powiedział, zaskakując samego siebie. – Chciałbym wiedzieć.

Elizabeth pochyliła się, strzepnęła wodę z krótkich loków, a potem przeczesała je palcami.

– Może w dwudzieste pierwsze urodziny? – zastanowiła się, podnosząc głowę. – Ciocia Ashton wykopała skądś złoty medalion mamy. Był schowany w kufrze Ellie.

– I to sprawiło, że poczułaś się szczęśliwa? – zapytał, przyglądając się jej przez pokój.

– Przez godzinę, gdy go nosiłam, tak. – Usiadła prosto i potrząsnęła włosami w sposób, który zawsze zapierał mu dech. – A potem wrócił na wpół pijany wuj i odebrał mi go, stwierdziwszy, że należy mu się coś za to, iż musi się mną opiekować.

– Boże święty...

Uśmiechnęła się blado.

– Wybuchła wielka kłótnia – kontynuowała. – Ashton chwycił misę ze srebrnej patery ciotki i rzucił nią. Rozbiła się o kominek. Ciotka się rozpłakała. A potem...

Czekał, lecz Elizabeth milczała.

– A potem: co? – naciskał.

Lisette rzuciła mu znużone spojrzenie i zacisnęła mocniej szczęki.

– Potem, gdy łzy obeschły, obwiniła mnie. Tak to już było w Bostonie. Wuj nie był nigdy niczemu winien i należało za wszelką cenę utrzymać spokój w domu.

– Ach – zauważył cicho. – Jedno z tych małżeństw.

Spojrzała na niego zaciekawiona.

– Co ma pan na myśli?

Odepchnął się od kominka i przetarł dłonią twarz, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć.

– Stykam się z nimi od czasu do czasu w mojej pracy – powiedział w końcu. – Nie możemy jednak nic zrobić. Prawo przyznaje mężowi wielką władzę, a niektórzy jej nadużywają, znęcając się nad żoną psychicznie. I nie tylko. Podejrzewam, że zdarzało mu się także ją bić, prawda?

Elizabeth przełknęła mocno ślinę.

– Owszem, od czasu do czasu.

Napier poczuł, że krew zaczyna gotować mu się w żyłach.

– A ciebie?

– Nigdy. – Zaprzeczenie było stanowcze i twarde. Jak ona.

– Dobre i to.

– Wiedział, że gdyby zrobił coś takiego, uciekłabym – dodała – albo podcięła mu gardło we śnie, gdybym musiała. Boczył się, grzmiał i groził, lecz w końcu zawsze obchodził mnie łukiem.

Ani przez chwilę w to nie wątpił. Osoby, lubiące terroryzować innych, zazwyczaj dobrze wiedziały, jak daleko mogą się posunąć i z kim. On sam zaczynał coraz lepiej zdawać sobie sprawę, że Elizabeth nie należy doprowadzać do ostateczności.

– Masz jeszcze ten medalion?

Uniosła brodę i wsunęła palec za dekolt.

– Ashton był tak pijany, że następnego ranka nic nie pamiętał – powiedziała i wyciągnęła zawieszony na łańcuszku medalion. – Inaczej zostałby sprzedany.

Delikatny klejnot spoczywał pomiędzy jej piersiami, połyskując złotem na zielonej tkaninie sukni.

– To wszystko, co zostało ci po matce? – zapytał, zmuszając się, by podnieść wzrok.

– Mam cenniejsze rzeczy – odparła. – Naszyjnik i kolczyki, które noszę w Burlingame, a także inne klejnoty, które wniosła do małżeństwa. Po jej śmierci pan Bodkins schował je do sejfu. Kilka kamieni zostało jednak zastąpionych imitacjami, by spłacić długi tatusia.

Choć przemawiała na pozór obojętnie, zauważył, że ramiona jej opadły. Pochyliła się ku ogniowi, który zaczął już przepędzać z pokoju wilgoć i chłód. Uświadomił sobie, że musiała przeżywać tragedię za tragedią oraz upokorzenia, których wystarczyłoby na niejedno życie. Wszystko to uczyniło ją tym, kim była. Kobietą z piekła rodem, ale i wojowniczką. Nieustępliwą i niepokonaną.

A także sprytną. Och, nie zamierzał ani przez chwilę tego negować. Tylko tak mogła przetrwać w nieprzyjaznym świecie, mając za ojca śliskiego, pozbawionego charakteru hulakę, który zastrzelił się, gdy życie stało się dlań zbyt trudne. Lord Rowend też srodze ją zawiódł. A zapijaczony burżuj Ashton wydawał się najgorszy ze wszystkich.

Mimo woli zaczął się zastanawiać, czy była w życiu Elizabeth choć jedna osoba, która kochała ją bezinteresownie. Osoba dorosła, na którą mogłaby liczyć. Wyglądało na to, że nie – to zaś czyniło, przez porównanie, Nicka Napiera rodzicem niemal idealnym.

Tylko dlaczego tak go to obchodzi?

W końcu, jak mu to kiedyś wytknęła, uważany był powszechnie za drania bez serca. Zasłużył na ten paskudny przydomek, ponieważ zrobiłby prawie wszystko, by przestępca wylądował za kratami lub został sprawiedliwie ukarany – sprawiedliwie, to oznaczy tak, jak on pojmował sprawiedliwość. Lecz ta wizyta w Burlingame – a może sama Elizabeth – sprawiła, że czuł się... dziwnie, jakby go coś odmieniło.

Poruszył nerwowo ramionami pod obcisłą kamizelką.

– Wiem, co pan sobie myśli. – Odwróciła się i przyszpiliła go chłodnym spojrzeniem zielonych oczu. – Uważa pan, że tatuś był nic niewart. Że nas nie kochał. Lecz to nieprawda. Nieprawda. Był utracjuszem, zdaję sobie z tego sprawę, ale i najweselszym człowiekiem, jakiego znam i bywało tak, że doskonale się bawiliśmy, cała nasza trójka. Uwielbiał nas, mnie i Ellie.

Może i był wesoły, lecz Napier najchętniej sięgnąłby w głąb jego mogiły i zacisnął dłonie na szyi nieboszczyka. Radosne usposobienie i talia kart nie nakarmią dzieci ani nie zapewnią im dachu nad głową. I w głębi serca Elizabeth musiała o tym wiedzieć.

Trzymała się po prostu uparcie tego, jak mogło być, sięgając z otchłani smutku, by uchwycić wspomnienie rycerza w lśniącej zbroi, i czepiając się marzenia po to, by nie utonąć w poczuciu straty. Bo przecież straciła niemal wszystko. Zatrzymał jednak te myśli dla siebie.

– Nie pamiętasz matki? – zapytał jedynie.

Elizabeth potrząsnęła głową.

– Niezbyt dobrze. Kojarzę, że była serdeczna i bardzo piękna, i pachniała zawsze *Esprit de Fleury*. Tatuś kupował jej te perfumy

na rue de la Paix za każdym razem, kiedy był w Paryżu.

Zapewne kierowany poczuciem winy, pomyślał Napier, ale się nie odezwał. Salony hazardu w Paryżu cieszyły się sławą legendarnych.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

– *Esprit de Fleury*... Czy to tych perfum używasz?

– Ostatnio tak – powiedziała, uśmiechając się do niego. – Są... ciepłe. Jak lilie i jaśmin. Jestem zaskoczona, że pan to zauważył.

Poczuł kolejny przypływ pożądania, płynący gdzieś z głębi trzewi i tak intensywny, że aż go to przerażało. To samo czuł podczas herbatki w salonie. W swojej sypialni. W bibliotece.

Uświadomił sobie nagle, iż byłoby prościej dla nich obojga, gdyby pojechali dalej w deszczu i zaryzykowali, że na śmierć się przeziębią.

Podróż do Taftonów odbyła się pod zachmurzonym niebem, zaś rozmowa, jaką prowadzili, była konwencjonalna, jakby oboje mieli nadzieję uciec przed tym, co rozgorzało pomiędzy nimi poprzedniego dnia. Nie rozmawiali o namiętnym pocałunku, a Royden nie przeprosił – głównie dlatego że, prawdę mówiąc, nie potrafił wzbudzić w sobie żalu ani skruchy.

Elizabeth powtarzała jedynie plotki, które udało jej się zasłyszeć podczas mało znaczących rozmów z członkami jego rodziny. On zaś opowiadał o popołudniu spędzonym z Duncasterem i jego frustracji spowodowanej tym, że nie był w stanie skłonić doktora Underwooda, by odpowiedział na jego pytania. Jednym słowem, zwykłe rzeczy.

Lecz teraz wyglądało to tak, jakby niebo sprzysięgło się przeciwko nim, ponieważ w spokojnej intymności mrocznego

salonu nie było nic zwyczajnego i zaczynał czuć, że znowu budzi się w nim wewnętrzny niepokój. Niemal z nadzieją powrócił do okna, zastanawiał się, czy aby nie zdążył się już w niej zakochać.

Lecz jak byłoby to możliwe, skoro wiedział dokładnie, jaka jest? Sama zwróciła mu przecież na to uwagę.

Zdawał sobie sprawę, iż nie można jej ufać.

A jednak nie miało to znaczenia.

Płonął namiętnością do kobiety, co do której był niemal pewny, że jest morderczynią. Imperia upadały z bardziej błahych powodów. Z pewnością jego kariera ległaby w gruzach, a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zostałoby skompromitowane. Wiedział to wszystko, a jednak coś w Elizabeth Colburne – jej niekonwencjonalny urok albo nieziemskie piękno – sprawiało, że odczuwał pokusę, aby odrzucić precz zasady i zapomnieć o karierze.

Lecz jego życie i tak miało wkrótce zupełnie się zmienić i nie mógł tego powstrzymać. Ducnaster może i wydawał się niezniszczalny, lecz jego dni były policzone – tak jak każdego z ludzi. Już niedługo, czy tego chce, czy nie, Royden winien będzie lojalność nie tylko ministerstwu.

Przyłożył dłoń do zimnej szyby w nadziei, że chłód przywróci mu rozsądek. Na zewnątrz pociemniało, jakby zaraz miał zapaść zmierzch. On także czuł, że wkrótce wydarzy się coś wielkiego. Pożądał teraz Elizabeth w sposób niemal bolesny i nie było sensu temu zaprzeczać.

– Nie przyszło panu czasem do głowy – powiedziała, jakby czytała w jego myślach – że za bardzo komplikuje pan sprawy?

Zacisnął dłonie w pięści tak mocno, iż czuł, że paznokcie wbijają mu się w ciało.

– Lisette... – powiedział chrapliwie, wpatrując się w strugi deszczu za oknem. – Co my z tym zrobimy?

Nie udawała, że nie rozumie, o co mu chodzi.

– Nie wiem – wyszeptała. – Ale przynajmniej przestał pan zwracać się do mnie Elizabeth.

Odwrócił się od okna i przemierzył pokój trzema długimi krokami. Przystanął przed ławą i bez słowa wyciągnął dłoń do dziewczyny.

Spojrzała na niego, a potem spuściła wzrok. Ciemne rzęsy zatrzepotały nieśmiało. Wsunęła mu chłodne palce w dłoń i otworzyła oczy.

– Nie ma w panu nic romantycznego? – spytała, przeszywając go spojrzeniem. – Nic zupełnie?

– Nic – odparł.

– To dobrze – zauważyła, wstając. – Piękne słówka przychodzą mężczyznom zbyt łatwo.

Uświadomił sobie, że to jedna z najbardziej prawdziwych rzeczy, jakie od niej usłyszał.

Objął zimnymi palcami brodę Lisette, uniósł ku sobie jej twarz i zaczął całować ją powoli i czule, przekazując wargami i dłońmi to, czego nie potrafił powiedzieć słowami. Nie był z natury elokwentny i piękne słówka, o których wspomniała, nie przeszłyby mu przez gardło, nawet gdyby bito go pałką któregoś z podległych mu konstabli.

Lecz pragnął jej ponad wszystko.

I, przynajmniej w tej chwili, chciał, by o tym wiedziała.

Kiedy oderwał usta od jej ust, zauważył, że mu się przygląda.

– Lisette – wyszeptał, obejmując dłońmi jej twarz. – Nie zamierzam rzucić cię znowu na łóżko. Nie zrobię niczego wbrew twojej woli.

– Nie pozwoliłabym na to.

Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion, wciągając głęboko do płuc zapach lilii i kobiety.

– Powiedz mi zatem, co to takiego – wyszeptał. – Powiedz, czego chcesz.

Odsunęła się nieco.

– Chcę ciebie – powiedziała po prostu. – I sądzę, że z wzajemnością. Wątpię jednak, czy którekolwiek z nas wie, co się między nami dzieje.

Obawiał się, że Lisette ma rację.

Bał się też tego, co przyciągało go ku niej – nie słodkiej obietnicy ust czy skurczu lędźwi, ale intensywności spojrzenia. Szczerości. Choć nie był w stanie pojąć, jak najbardziej zakłamana kobieta, jaką znał, jest w stanie zaglądać tak głęboko w jego duszę.

– Pożądasz mnie, Napier? – wyszeptała.

Poczuł, że całe jego ciało drży z powstrzymywanej żądzy. Uniosła kącik ust we wszystkowiedzącym uśmieszku. Pocałował ją tam, muskając pieszczotliwie palcami policzek, a potem wsuwając je w miękkie włosy nad karkiem.

Przez cały czas czuł na sobie spojrzenie tych cudownych oczu, wymuszające zmierzenie się z prawdą, której tak długo unikał. Dziwnych, niezwykłych oczu, które rozpaliły w nim płomień, gdy

tylko pierwszy raz je zobaczył. Podążały za nim jak oczy Mony Lizy, kiedy przemierzał tamten ogród w Greenwich.

Znał kobiety lepiej, niż nieżonaty mężczyzna powinien. Doświadczenie mówiło mu, że kochając się, unikają zazwyczaj kontaktu wzrokowego, wolą się całować albo, jeśli tylko jest to możliwe, zgasić po prostu lampę. Lecz kiedy rozbierał powoli Lisette, nie spuszczała zeń wzroku. Nawet kiedy zsunął jej z ramion ciemnoniebieski jedwab i próbował niezdarnie rozpiąć ubranie.

Oczy są, jak wiadomo, oknami duszy, zastanawiał się więc, czy będzie mógł za nie zajrzeć.

– Napier.

Pocałowała go wargami miękkimi jak ciepła satyna. W usta. W policzek, nieco już zarośnięty po porannym goleniu. Nawet w zagłębienie szyi. Stała na palcach, ubrana jedynie w koszulę i cokolwiek miała pod spodem, kusząc go, owijając język wokół jego języka, póki nie zaczęli oboje szybciej oddychać, a jego członek nie zesztywniał i nie zaczął boleśnie pulsować.

Rozgorączkowana, odsunęła się nieco i zaczęła rozpinać bladymi, smukłymi palcami kamizelkę Napiera.

– W pokoju z tyłu jest łóżko – powiedziała szybko. – Lecz jeśli chodzi o mnie, wolałabym ten czerwony dywan przy kominku.

– Mnie zaś – powiedział, pochylając głowę, by wtulić twarz w jej szyję – zawsze podobało się wszystko, co czerwone.

Zamarła na chwilę, a potem dokończyła rozpinać kamizelkę. Wymamrotała coś niecierpliwie, zsunęła ją Napierowi z ramion i spojrzała na niego oczami rozjarzonymi namiętnością. Dokończył

dzieła, zrywając z szyi krawatkę i wyciągając ze spodni poły koszuli. Przesunął ją przez głowę i odrzucił.

Małe, sprytne dłonie Lisette zajęły się tymczasem guzikami jego spodni. Rozpięły najpierw ten na górze, a potem drugi, poniżej. Krew napływała mu falami do lędźwi, gorąca i pulsująca, aż był nabrzmiały i gotowy dla niej.

Nagle palce Lisette znieruchomiały, a jego serce wraz z nimi.

Wahanie zawisło w powietrzu, ciężkie niczym węglowy dym.

Proszę, proszę, proszę, powtarzał w myślach.

– Napier – powiedziała chrapliwie. – Jej oczy... i palce pozostawały nieruchome w pobliżu wybrzuszenia w jego spodniach.

Westchnął przeciągle, a potem ujął ją pod brodę i zebrał całą siłę woli.

– Rozumiem, Lisette – powiedział. – Deszcz wkrótce ustanie. Będziemy mogli wyruszyć, nawet zaraz, jeśli chcesz.

– Nie – powiedziała. Uniosła wzrok, spoglądając na niego z wyrazem czujności. – Nie o to chodzi.

– A zatem... o co?

– O to, że jesteś tak... lub że powinnam chyba cię uprzedzić...

Zaróżowiła się ślicznie. Rumieniec rozświetlił jej przejrzystą cerę, ocieplając całą twarz. I nagle już wiedział. Uświadomił sobie, że powinien był wiedzieć przez cały czas. Opuścił dłonie i spytał, przezwyciężając rozczarowanie.

– Jesteś dziewicą?

Skinęła ledwie dostrzegalnie głową.

Boże święty!

Lecz co on sobie wyobrażał? Powiedziała mu przecież, że jest nieuleczalną romantyczką. I że zasługuje na więcej niż tylko żal po stosunku z nieodpowiednią kobietą. Była śmiała, owszem, i skłonna kłamać, gdy było jej to na rękę, lecz jeśli pominąć brutalną, rozpaczliwą propozycję, jaką uczyniła mu przed dwoma laty, nic w jej zachowaniu nie sugerowało, by była łatwa.

Westchnął głośno, a potem ujął jej dłonie, odsunął od guzików spodni, podniósł do ust i ucałował.

Wcale jej się to nie spodobało.

– I na tym koniec? – spytała oskarżycielskim tonem. – Zamierzasz postąpić honorowo i zdecydować za mnie? Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

– Lisette. – Przyciągnął ją mocno do siebie i wsunął dłoń pomiędzy ogniste loki. – Och, Lisette. Zastanów się, co robisz.

– Dokładnie to, co chciałam zrobić już od kilku dni – odparła głosem stłumionym, z twarzą wtuloną w jego pierś. – A ty nie jesteś romantykiem, pamiętasz?

– Przeciwnie niż ty – zauważył. – Mam nadzieję, że znam wartość kobiecej cnoty.

– Dla mnie nie ma ona wartości – odparła nieco szorstko. – Uważam już samo to określenie za poniżające. Skończyłam dwadzieścia siedem lat, Napier. Jeśli zechcę wyjść za mąż, to mężczyzna skłonny przedłożyć cnotę nad to, co mam w sercu, nie będzie wart mojego czasu.

Uświadomił sobie, że jest w tym sporo racji.

Rozumowanie Lisette wydało mu się tym bardziej słuszne, że trzymała już dłoń na jego członku.

Przesunęła palcami po rozporku i Napier wstrzymał oddech. Nim zdążył się zastanowić, zrzucił jednym ruchem resztę ubrania – pończochy, bieliznę i spodnie – pozwalając im opaść bezładnie na podłogę.

Lisette spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, a potem odsunęła się o krok, chwyciła skraj koszuli i uniosła ją, ukazując drobne, doskonałe piersi z twardymi sutkami koloru dojrzałych brzoskwiń.

Później nie bardzo mógł sobie przypomnieć, jak to się stało, że reszta jej ubrania zniknęła, ani jak skończyli, leżąc na dywanie – on na górze, a Lisette pod nim. Owładnięty pożądaniem wiedział tylko, że czas jest bardzo ważny, że jeśli będzie zwlekał, zdrowy rozsądek zwycięży.

Odszukał ustami jej wargi i przywarł do nich w namiętnym pocałunku. Dobre intencje zniknęły niczym zdmuchnięte, zabrawszy ze sobą wątpliwość i wahanie. Była Elizabeth, kobieta, której, jak sobie to teraz uświadamiał, pożądał od miesięcy.

Nie będzie myślał o tym, jakie szaleństwo popełniają.

Zamierzał ją posiąść. Dać jej przyjemność, o jaką błagała, wpatrując się w niego wymownym spojrzeniem wszystkowiedzących oczu. Przyciskał ją swoim ciężarem do dywanu, podczas gdy odblask płomieni tańczył na jej kremowej skórze. Była istną doskonałością: wysoka i smukła, z ciałem tancerki. I, jak zdarzało mu się myśleć, z duszą wojownika.

Rozchyliła usta, pozwalając mu się całować, tak jak chciał i smakując go z równym zapałem, podczas gdy jej dłonie przesuwały się po nim: niespokojne i cokolwiek nieporadne. A kiedy się w końcu odsunął, pozwolił spojrzeniu wędrować po

bladym owalu jej twarzy. Podziwiać wąski nos, wysokie, arystokratyczne czoło, oczy, szeroko rozstawione i o niemal migdałowym kształcie, brodę, która mogłaby wydawać się nieco zbyt spiczasta, gdyby tak dobrze do niej nie pasowała.

– Boże, Lisette! Zapragnąłem cię chyba już wtedy, gdy weszłaś do mojego gabinetu.

– Przybrałam od tego czasu trochę na wadze – wyszeptała – i ścięłam włosy.

Pochylił głowę i przeciągnął językiem po twardym sutku, sprawiając, że zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

– To, czego ci przybyło, trafiło w odpowiednie miejsca – powiedział. – A co do włosów... Boże, zdajesz sobie chyba sprawę, co one ze mną robią.

– Nie – szepnęła. – Niezupełnie.

Nie odpowiedział, ale przesunął ustami wzdłuż łabędziej szyi, wdychając zapach jej skóry. Lisette pachniała... właściwie. Ciepło i zapraszająco. Zmysłowo i kojąco. Jak wszystko, co prawdziwe i doskonałe i za czym mężczyzna może tęsknić podczas długich, zimowych nocy.

A jeśli nie była do końca prawdziwa – nie taka, jak wierzył i miał nadzieję – zajmie się tym kiedy indziej. To burzowe popołudnie przeznaczone było na miłość; a może tylko na udawanie. Udawanie, że to coś więcej. Że są innymi ludźmi, którzy poznali się w innych okolicznościach.

Odszukał ustami jej pierś i zaczął mocno ssać. Lisette krzyknęła i wygięła się ku niemu. Napier okrążył czubkiem języka sutek, który zmienił się pod jego dotykiem w twardy

węzełek. A potem przesunął delikatnie dłoń w dół i pogładził kępkę cynamonowych loczków.

Zadrżała w jego objęciach i Napier uniósł głowę, nadal delikatnie ją pieszcząc. W palenisku bryłka węgla osunęła się, posyłając dokoła deszcz iskier, który oblał ciało Lisette ciepłym blaskiem. Lecz żar w jej spojrzeniu nie miał nic wspólnego z ogniem.

Później zacznie się zastanawiać, czy nie była to kolejna gra, jednak w tej chwili pożądanie w jej oczach wydawało mu się bardziej nawet realne niż jego własne ciało i krew. Uznał, że ciepły wyraz tych oczu świadczy, iż Lisette wie, co robi. Czemu ulega.

Objął dłonią jej policzek i wsunął palec pomiędzy uda, drażniąc, ale nie dotykając najbardziej wrażliwego miejsca. Poruszyła niespokojnie biodrami, a potem odwróciła twarz i wtuliła ją w dłoń Napiera z otwartymi lekko ustami. Przesunął kciukiem po wypukłości jej dolnej wargi, a wtedy, ku jego zaskoczeniu, wysunęła odrobinę język i polizała wilgotnym koniuszkiem wnętrze jego dłoni.

Każdy nerw w ciele Napiera zareagował na pieszczotę.

To był tylko kciuk, na Boga!

Jęknął bezwiednie, a wtedy ujęła kciuk pomiędzy wargi i zaczęła mocno ssać. Żądza przeniknęła jego ciało niczym naprężona lina, a członek jął boleśnie pulsować. Wypuściła z ust kciuk, odwróciła głowę i spojrzała na niego z szelmowskim uśmieszkiem w błyszczących zielonych oczach.

– Niegrzeczna dziewczynka – wyszeptał i wsunął palec głębiej, pocierając mocno łechtaczkę i rozkoszując się zduszonymi

okrzykami Lisette.

Czuła, że jej ciało drży pod dotykiem dłoni Napiera. Wypchnęła ku niemu biodra, a on gładził ją i gładził, wsuwając palec coraz głębiej pomiędzy wilgotne fałdki. Nie była tak zupełnie naiwna – wiedziała, co mężczyźni robią z kobietami.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

A to, że robił to jej akurat on... Dobry Boże!

– Napier – wyszeptała ponaglająco. – Nie moglibyśmy...

– Nie – odparł stanowczo. – Jeszcze nie.

Opuścił głowę, proste, ciężkie włosy opadły mu na czoło niczym kurtyna czarnego jedwabiu, a wargi objęły we władanie jej pierś. Ssał z zapałem, odwzorowując językiem ruchy palca. A potem dwóch palców.

Kiedy wsunął w nią jeden całkowicie, krzyknęła cicho, zaskoczona.

– Cii... kochanie – uspokoił ją.

A potem przygryzł delikatnie sutek, posyłając rozkosznie bolesny dreszcz wzdłuż całego ciała Lisette, od piersi po brzuch i wilgotne miejsce, którego dotykał i które teraz nagląco pulsowało.

Czuła, że dłużej tego nie zniesie.

– Przestań! – wykrzyknęła. – Boże, Napier, przestań i zrób... coś.

Choć oczy miała zamknięte, wyczuła, że się porusza. Musnął szorstkim od zarostu policzkiem jej policzek.

– Lisette, jeśli...

– Nie ma żadnego jeśli! – Otworzyła gwałtownie oczy. – Och, nie zniosę tego dłużej!

– Musisz pozwolić, abym to ja postanowił, kiedy – oznajmił stanowczo, muskając ustami jej brew. – Będzie bolało.

– Już boli. W środku. A ty wiesz, jak uśmierzyć ten ból. – Słyszała w mroku swój przyspieszony oddech. – Proszę.

Poczuła, że wsuwa się na nią całym ciężarem, wciskając głębiej w miękki dywan. Pocałował ją namiętnie, a potem się odsunął. – Za bardzo przywykłaś, nieznośna dziewczyno, stawiać na swoim – wymamrotał.

– Napier – wykrztusiła.

– Nie. – Pocałował ją, przytrzymując jej dłonie w swoich. Lecz kiedy zaszlochała znowu, ulitował się i wsunął udo pomiędzy jej uda, rozsunąwszy je delikatnie. Poczuła między nogami ciężar jego erekcji. Miała ochotę jej dotknąć, nie wiedziała jednak, czy powinna.

Napier wsunął w nią znowu palce, a potem odnalazł kciukiem to pulsujące boleśnie miejsce pomiędzy nogami i jął zataczać nim niewielkie kółka.

– Ach – wyszeptała.

A potem było tak, jakby coś w niej nagle się poddało, jakby pękła tama, rozpadając się w rozbłysku światła. Jego dotyk stał się częścią niej, kiedy przetaczało się przez nią coś przemożnego – fala za falą nieopisanej przyjemności.

Złamie jej serce.

Było to pierwsze, co przyszło jej na myśl, gdy nieco oprzytomniała. A wraz z tą myślą nadeszła świadomość, że to – tak, to uczucie – może być warte późniejszego cierpienia.

Gdy fala cofnęła się, a Lisette odzyskała zdolność logicznego myślenia, zobaczyła, że Napier klęczy pomiędzy jej nogami,

wydając się niebezpiecznie zadowolony z siebie. Pomyślała, że to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała. Nie piękny, nie, ale niezwykle męski, z szerokimi barkami i umięśnionymi ramionami, poznaczonymi siatką wypukłych żył.

Jak we wszystkim, co robił, także i teraz wydawał się śmiertelnie poważny. Fala ciężkich, ciemnych włosów opadła mu na oko, a męskość sterczała pomiędzy jej nogami, nieomylnie gotowa i nieco onieśmielająca. Ujęła ją z wahaniem w dłoń, zadziwiona jedwabistą gładkością i ciężarem członka.

Napier obnażył zęby i wstrzymał oddech. Okrążyła delikatnie kciukiem nabrzmiałą główkę, odwzorowując ruchy, jakie wywołały u niej tak rozkoszny skutek i na czubku członka pojawiła się kropelka płynu.

– Aaa – jęknął Royden.

A potem chwycił ją w objęcia i nieco uniósł, przyciskając do siebie. Czuła na brzuchu nabrzmiałą erekcję. Wsunął palce we włosy Lisette nad karkiem i przytrzymywał jej głowę, obdarzając pocałunkiem, wykraczającym daleko poza zwykłą zmysłowość. Była w tym zaborczość, zmuszająca ją, aby bez reszty mu się poddała. Poczuła, że jej ciało drży, a między nogami zaczyna się znowu pełne oczekiwania pulsowanie.

Na zewnątrz deszcz przybrał jeszcze na sile. Trzask gromu rozdarł nocne niebo i pokój rozświetliła błyskawica. Lisette czuła, jak serce Napiera bije tuż obok jej serca – wciąż szybciej i szybciej. A kiedy jego skóra rozgrzała się, zmysły dziewczyny zalała woń cytrynowego mydła do golenia i mocno podnieconego mężczyzny.

Poddając się kobiecemu instynktowi, przesunęła językiem wzdłuż jego języka, odparowując głębokie pchnięcia. Napier zadrżał i oderwał gwałtownie usta od jej ust.

– Teraz – powiedział, popychając Lisette delikatnie na dywan i wsuwając się na nią jednym gładkim ruchem. Mięśnie jego ramion napięły się niczym u drapieżnika. Umieścił członek pomiędzy jej udami i naprowadził go ręką.

Podciągnęła instynktownie nogi i rozsunęła je szerzej. Męskość Napiera, rozpalona i twarda, naparła na nią, a potem wsunęła się na cal w głąb jej ciała. Lisette szarpnęła się nieco, a potem zmusiła, by leżeć spokojnie i się odprężyć. Napier spoczywał wsparty na jednym ramieniu, z zamkniętymi oczami. Zaryzykowała i poruszyła lekko biodrami.

– Zaczekaj – wykrztusił. – Jezu Chryste.

W ciszy słyszała swój przyspieszony oddech.

– Jesteś bardzo władczy, kiedy się kochasz – wykrztusiła. – Tylko dlaczego mnie to dziwi?

Roześmiał się i oparł czoło o czoło Lisette.

– Boże, jesteś taka ciasna – powiedział. – Zrobię ci krzywdę. Nie zniosę tego.

– Ale ja tak. – Wypuściła z wolna powietrze, a potem uniosła ku niemu biodra. Napier chrząknął, po czym wsunął się w nią głęboko i było to jak dźgnięcie nożem. Musiała krzyknąć, otworzył bowiem oczy – rozpalone namiętnością i nieco zagniewane. Uświadomiła sobie, że to na siebie jest zły.

Popatrzył na nią pytająco. Lisette zagryzła wargi i zakołysała znowu biodrami.

– Aaach… – wyszeptała.

Przyciągnęła kolana odrobinę bliżej i pozwoliła dłoniom błądzić przez chwilę wzdłuż pleców i bioder Napiera, nim pociągnęła go mocniej na siebie. Napier cofnął się nieco i spojrzał na nią, sprawdzając, czy bardzo cierpi.

– Tak – wyszeptała, zachęcając go.

Pchnął mocno, wydając z siebie jęk męskiego triumfu tak jednoznaczny, że zabolało ją serce. Och, jakże tego pragnęła. Nie tylko seksu – och, tego, jak najbardziej, także – ale bliskości dwojga ludzi, stapiających się w miłosnym akcie.

Pragnęła jego.

Zachłysnęła się tą bliskością, spychając w odległe zakamarki duszy świadomość, jak to się skończy. Jak musi się skończyć.

Napier wsparł się na przedramionach i ustanowił stały rytm, wsuwając się głęboko i muskając przy tym wrażliwe miejsce pomiędzy jej nogami. Lisette czuła, jak wnętrze jej ciała staje się śliskie pod dotykiem jego przesuwającego się członka. Napier przyspieszył, a żyły nabrzmiały mu jak postronki.

Miała wrażenie, iż otwiera się dla niego niczym kwiat w słoneczny dzień, odpowiadając na jego potrzebę własną, pchnięcie po pchnięciu. Wkrótce cudowne uczucie wróciło. Przelotny ból został zapomniany i pozostała jedynie rozpalona do białości przyjemność, która była, niestety, tuż poza jej zasięgiem. Uniosła się ku niemu. Ich ciała zjednoczyły się, zlały w jedno i tamto światło rozbłysło w niej znowu. Poczuła się tak, jakby coś w niej uwolniło się i poszybowało ku Napierowi, zabierając z sobą jej serce.

Krzyknęła cicho i pozwoliła, by wypełniła ją rozkosz. Napier pchnął raz jeszcze, odrzuciwszy w tył głowę. Każde ścięgno w jego

szyi napięło się z wysiłku, kiedy zalała ją od środka fala czegoś ciepłego i słodkiego jak sama rozkosz. Pchnął energicznie jeszcze dwa razy, a potem opuścił głowę i zatopił intensywne spojrzenie ciemnych oczu w jej oczach.

Wreszcie zaklął cicho i opadł na nią.

Musieli przysnąć na chwilę, ponieważ kiedy się poruszyła, głowa Napiera spoczywała na jej piersi, a noga na brzuchu i udach.

Nie mogła nie zauważyć, iż była to długa, dobrze umięśniona noga, pokryta ciemnymi włoskami. Przechodziła w pośladek, który mógłby zostać wyrzeźbiony przez Berniniego. Doskonała półkula warta była uwagi. Przyrzekła sobie w duchu, że zajmie się nią, kiedy dowie się już nieco więcej o kochaniu się.

Było to jednak wybieganie w przyszłość, której nie mieli, a ona już dawno nauczyła się godzić z tym, co nieuchronne. Pomiędzy nimi nic się nie zmieniło. Choćby Napier znalazł sposób, aby przebaczyć jej to, kim była, nie zapomni z pewnością, co zrobiła.

Westchnęła w duchu i odwróciła twarz ku oknu. Choć słońce nadal kryło się za chmurami, deszcz nie bębnił już o szyby, zatem najgorsze minęło. Lisette przeciągnęła się na próbę. Niektóre części ciała wydawały się cokolwiek obolałe, ale nie było to niemiłe.

Po chwili Napier także otworzył oczy. Przyglądał się jej przez chwilę uważnie, a potem podniósł głowę i pocałował ją z niezwykłą czułością.

– Boże w niebiesiech – jęknął i opadł na dywan, pociągając Lisette za sobą. – Wiedziałem, że zadawanie się z tobą oznacza kłopoty, gdy tylko cię zobaczyłem.

– A podobno nie jesteś romantyczny – zamruczała, rozciągnięta na jego piersi.

Parsknął głębokim śmiechem.

– Ach, znów ten mój brak elokwencji.

Lecz niemal natychmiast rozbawienie zniknęło i na twarzy Napiera pojawił się znany Lisette, zamyślony wyraz. Podniósł rękę i założył jej za ucho pasmo włosów.

– Jednak, Lisette, dla ciebie... dla tego cudownego uczucia... może nawet stary pies mógłby nauczyć się nowych sztuczek?

Zmusiła się, by się roześmiać.

– Och, to tylko przelotna męska wdzięczność – mruknęła – a jeśli to były twoje stare sztuczki, możesz spocząć na laurach. Poza tym, Napier, niczego od ciebie nie chcę.

Ułożył się wygodniej, przyciągnął ją do siebie.

– Miejmy nadzieję, że ten stan nie będzie musiał ulec zmianie – powiedział cicho.

Lecz kiedy spytała, co ma na myśli, zamknął się w sobie i nie odpowiedział. Lisette nie naciskała. Zamiast tego poleżeli jeszcze trochę w swoich ramionach, ona z policzkiem przyciśniętym do szerokiej piersi Napiera, wsłuchując się w miarowe bicie jego serca.

Wkrótce przestało jednak padać i dalsza zwłoka mogłaby spowodować, że zaczęto by ich szukać.

Musieli jechać dalej, lecz było jeszcze coś, co chciała – nie, musiała – powiedzieć. Uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Chciałeś wiedzieć, kiedy byłam po raz ostatni szczęśliwa – powiedziała, gładząc palcem ciemny zarost na jego piersi. – I chyba skłamałam.

Zaniepokojony uniósł brwi.

– Naprawdę?

– Tak, ponieważ – wyjaśniła zamyślona – co dziwne, odnalazłam szczęście w całej tej sprawie. W tym, że przyjechałam do Burlingame i że mam znowu przed sobą cel, choćby na krótko. I jestem szczęśliwa teraz, w tej chwili, w najwyższym stopniu szczęśliwa. Dziękuję ci za to.

– Mam nadzieję, że zawsze będziesz mi dziękować – powiedział cicho. – I nie będziesz żałowała tego, co tu dziś zrobiliśmy.

– A co z tobą? – spytała, wpatrując się w niego. – Będziesz żałował?

Potrząsnął głową. Ciemne włosy rozsypały się po dywanie.

– Nie – odparł poważnie. – Obawiam się, że nie będę, cokolwiek miałoby z tego wyniknąć.

Potem, po kilku nieśpiesznych pocałunkach, ubrał się i wyszedł tylnymi drzwiami. Wrócił z wiadrem zimnej wody do mycia – choć uczyniłby z kubła lepszy użytek, pomyślała, gdyby wylał go jej na głowę, przepędzając niemądre marzenia, które zdążyły się już tam zadomowić.

Wracali do Burlingame niemal w ciszy. Napier powoził wyjątkowo uważnie, starając się przesadnie, by powóz omijał kałuże. Lisette siedziała spokojnie tuż obok, podczas gdy ogrom tego, co zrobiła – i związane z tym ryzyko – z wolna do niej docierały.

Nie żałowała utraty dziewictwa. Oddała się Napierowi w pełni świadomie. Domyślała się jednak, dlaczego zaklął pod nosem. Gdyby mieli kontynuować romans, będzie musiała zwracać uwagę na kalendarz, a przedtem zasięgnąć w tej sprawie rady Fanny.

Była to przygnębiająca myśl. A pod nią czaiła się przerażająca niepewność.

Dla niej popołudniowe interludium w gajówce nie było jedynie fizyczną przyjemnością. Nie była tak głupia, by tego nie widzieć. Zaczęła polegać na Napierze – czerpać zeń pewien rodzaj siły i emocjonalnego wsparcia, jakiego nie zaznała od bardzo dawna.

Przerażające, w rzeczy samej.

---

[2] Według tłumaczenia Macieja Słomczyńskiego – przyp. red.

Rozdział 10
Doktor Underwood odbywa wizytę domową

Royden Napier spędził najbliższe trzy mile podróży w przemoczonych butach i stanie powiększającej się frustracji. Gdyby miał wybierać pomiędzy dwiema niedogodnościami, wybrałby przemoczone buty. Nabawiwszy się w konsekwencji zapalenia płuc, miałby przynajmniej czas, by odzyskać rozum.

Kiedy przyjechali, został na jakiś czas pozbawiony możliwości wewnętrznego samobiczowania się, ponieważ na podjeździe stał czarny kabriolet z podniesionym dachem, zaprzężony w ładnego siwka. Ledwie minęli monstrualny posąg Hadesa, z domu wyszedł szczupły mężczyzna z czarną walizeczką. Zatrzymał się na progu i odwrócił, jakby zwracał się do kogoś wewnątrz.

Stajenny wziął od Napiera wodze i kiedy ten pomagał wysiąść Elizabeth, trzymając ją tak blisko, jak się ośmielił, dżentelmen jął schodzić szybko po schodach. Minę miał poważną, a spojrzenie zatroskane.

– Dzień dobry – powiedział, podchodząc z wyciągniętą dłonią. – Pan musi być komisarzem Napierem, prawda?

Napier, zaskoczony tym, że ktoś zwrócił się do niego jako do policjanta, wyciągnął rękę.

– W rzeczy samej.

Dżentelmen zdjął kapelusz.

– Jestem doktor Underwood – powiedział, a potem skłonił się, kiedy Napier przedstawił Lisette. – Przykro mi, że czekał pan na mnie na próżno w zeszłym tygodniu. Zatrzymały mnie obowiązki: pacjent, którego odwiedzałem, okazał się bardziej chory, niż się spodziewałem.

– Trudy lekarskiego życia, jestem o tym przekonany – powiedział Napier, odnotowując szczere zaniepokojenie lekarza. – Proszę powiedzieć, jak się ma lokaj Duncastera?

– Jest bardzo chory, *sir*. Bardzo. – Lekarz zerknął niepewnie na Elizabeth. – Możemy porozmawiać na osobności?

– Jeśli pan woli – odparł Napier. – Lecz może pan mówić swobodnie w obecności panny Colburne.

– Doskonale. – Mimo to nie wydawał się zadowolony. – Wejdźmy lepiej do środka.

Instynkt policjanta podpowiadał Napierowi, że coś jest mocno nie w porządku. Weszli pospiesznie po stopniach i Napier wprowadził lekarza do pierwszego wolnego pokoju – wąskiego gabinetu kamerdynera z boku głównego holu.

– Nie zastawszy pana, zamierzałem udać się wprost do dziedzica Taftona – powiedział lekarz, kiedy zamknęły się za nimi drzwi. – Po śmierci pańskiego wuja Harolda to najbliższy sędzia pokoju w okolicy.

– Nie wiedziałem, że Saint-Bryce był sędzią pokoju – zauważył Napier zaskoczony. – Ale do czego jest panu potrzebny sędzia? Co się wydarzyło?

Lekarz zerknął znowu na drzwi.

– Nie podobają mi się objawy Waltona – powiedział, zniżając głos do szeptu. – Są bardzo niepokojące. Obawiam się poważnie, *sir*, że lokaj... cóż, mógł zostać otruty.

Tego się Napier nie spodziewał.

– Boże święty – wymamrotał. – Przez kogo? A może był to przypadek?

– Mogło być jedno albo drugie – odparł doktor. – Jest wszakże bardzo chory i dano mi do zrozumienia, że...

– Proszę, niech pan mówi dalej... – ponaglił go zniecierpliwiony Napier.

Lekarz postawił z rozmachem torbę na biurku kamerdynera pokrytym zieloną skórą.

– Czuję się okropnie niezręcznie.

Elizabeth uśmiechnęła się z troską i poklepała go lekko po grzbiecie dłoni.

– Wspomniałam już wcześniej panu Napierowi, że Walton bywał cokolwiek beztroski w kwestiach sercowych – wyszeptała. – Trzeba wziąć pod uwagę męża poczmistrzyni, czyż nie?

Doktor spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami i zbladł jeszcze bardziej.

– Ja nie muszę tego rozważać – powiedział. – To sprawa dla wymiaru sprawiedliwości... W tym wypadku dla pana, panie Napier.

– Obawiam się, że mam w Wiltshire ograniczone uprawnienia – odparł Napier, nie do końca przekonany, czy jest to prawda. Przyjechał tu na zlecenie sir George'a Greya, a ten miał z pewnością wszelkie uprawnienia. – Jakie zauważył pan symptomy?

– Wygląd chorego wskazywałby na cholera morbus – powiedział lekarz, zerkając znowu niepewnie na Elizabeth. – Ale... to coś innego. Po prostu to wiem.

– Biegunka? Wymioty? – zapytał Napier wprost. – Ostre bóle brzucha? Przyspieszone bicie serca?

Underwood wyglądał, jakby mu ulżyło.

– Już pan to widział, prawda?

– Częściej, niż mógłbym zliczyć – odparł Napier, spoglądając wymownie na Elizabeth. – Stawiałbym na arszenik. Moi ludzie w Scotland Yardzie nazywają go „proszkiem na dziedziczenie". Lecz jeśli konwulsje ustaną i nie będzie dłużej wystawiony na działanie trucizny, ma szansę wyzdrowieć.

– Zgadzam się w zupełności – potwierdził Underwood. – O ile w ogóle mieliśmy tu do czynienia z trucizną.

– Można się jakoś upewnić? – spytała Lisette.

– Nie mając próbki podejrzanej substancji, a nie znalazłem nic użytecznego, pewność dałaby jedynie autopsja. Proszę mi jednak wybaczyć, panno Colburne, że poruszyłem przy pani taki temat. Delikatna kondycja damy...

– Och, nic mi nie jest – wtrąciła Lisette, machnąwszy beztrosko dłonią. – Zauważył pan zapewne, że Napier nie wahał się użyć określeń, takich jak biegunka czy wymioty.

– Nie zapomnij o ostrych bólach brzucha – uzupełnił Napier sucho. – Underwood, moja narzeczona pochodzi z rodziny, zajmującej się prasą i, o ile zdążyłem się zorientować, nie jest przesadnie wrażliwa.

– Och. – Underwood uśmiechnął się słabo. – To... dogodne, zważywszy na rodzaj pańskiej pracy.

– Właśnie – zgodził się z nim Napier. – Zatem, przeprowadzał pan już autopsje?

– Nie, tylko o nich czytałem – przyznał lekarz. – Jak zrozumiałem, skutki działania trucizny dałyby się zauważyć głównie w przewodzie pokarmowym, podobnie jak zaczerwienienie śluzówki przełyku.

– Byłaby też poznaczona krwawym śluzem – wtrąciła Elizabeth. – A zawartość żołądka przypominałaby fusy po kawie: strawiona krew.

Napier odwrócił się i utkwił w niej wzrok.

– Doprawdy, moja droga?

– W przypadku bezpośredniego przyjęcia, tak – Lisette uśmiechnęła się śmiało. – Prawdę mówiąc, pisałam kiedyś... To znaczy, czytałam o przypadku, kiedy granulki arszeniku przywarły do śluzówki żołądka ofiary. To było przypadkowe zatrucie, nikt nie zawinił.

– Hm... – chrząknął Napier ponuro.

Underwood wpatrywał się w nią jeszcze bardziej pobladły.

Lecz potem Napier widocznie się odprężył.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – powiedział i uniósł dłoń. – Zakładamy, że ktoś celowo chciał go otruć. Tymczasem

arszenik działa powoli i można przyjąć truciznę przypadkowo lub zostać wystawionym na jej działanie w inny sposób.

– W takim przypadku – wtrącił lekarz ponuro – autopsja niewiele by dała.

* * *

W pokoju zapanowało przygnębiające milczenie. Doktor wydawał się z każdą minutą bardziej zatroskany. Napier podszedł do wąskiego okna, z którego służący mogli obserwować podjazd, wypatrując nadjeżdżających powozów.

Stał tak przez chwilę, oparłszy jedną dłoń na biodrze, pocierając drugą delikatny cień zarostu na twarzy i wpatrując się nieobecnym wzrokiem w posągi Hadesa i Persefony.

Wyglądało na to, że godzina namiętności minęła i została zapomniana.

Lisette starała się przezwyciężyć rozczarowanie – wiedziała od początku, że dla Napiera najważniejsza jest praca. A teraz całą uwagę zamierzał ewidentnie poświęcić dziwnym wydarzeniom w Burlingame.

Kiedy odwrócił się od okna, minę miał poważną.

– Możemy przeszukać dom od strychu po piwnice – powiedział. – Wywrócić wszystko na nice. Potem możemy pojechać do wioski i zrobić to samo w gospodzie, a nawet w samym urzędzie pocztowym. I z pewnością znajdziemy w każdym z tych miejsc jakiś rodzaj produktu zawierającego arszenik. Prawie w każdym gospodarstwie, zwłaszcza dużym, trzyma się jego zapas. I co by nam to dało? Podsycilibyśmy tylko... albo, co gorsza, wzniecili niebezpieczne plotki.

– Sądzę dokładnie tak samo – powiedział doktor Underwood. – Ten pan Boothe to bardzo niemiły jegomość. Bałbym się o jego żonę, gdyby dotarły do niego jakieś insynuacje. Dlatego pomyślałem o Taftonie. Tylko że on też nie mógłby zrobić nic więcej. Chyba że Walton by umarł.

Napier potrząsnął jedynie głową.

– Ponura sprawa – powiedział i wepchnął dłonie w kieszenie. – I prowadzi nas to tego, o co chciałem zapytać pana w zeszłym tygodniu.

– Domyślam się – odparł Underowood z posępną miną. – Wygląda pan bowiem kwitnąco.

– Rzeczywiście, nic mi nie dolega – odparł Napier. – Wybrałem się do pana służbowo. Widziałem, oczywiście, raport koronera, lecz chciałbym poznać bardziej szczegółową opinię, a nawet przypuszczenia dotyczące tego, co zabiło mojego wuja, a przedtem lorda Hepplewooda.

Underwood spojrzał na niego przerażony.

– Jak stwierdza się w raporcie, Hepplewood cierpiał na chroniczne zaburzenia wydzielania żółci – powiedział. – Przynajmniej tak to wtedy oceniłem. Pogarszało mu się stopniowo, a potem nastąpiło nagłe załamanie. Ma pan powód, by podejrzewać coś innego?

– Rozmawiał pan z nim kiedykolwiek na osobności? – zapytał Napier ostro.

Lekarz potrząsnął głową.

– O ile sobie przypominam, nie – powiedział. – Zawsze podczas wizyty była obecna jego żona.

– Hepplewood napisał do swego przyjaciela, sir George'a Graya, wyznając, że obawia się o życie – powiedział Napier – chociaż nie sprecyzował, na czym miałoby polegać zagrożenie. To właśnie, jak się pan zapewne domyśla, sprowadziło mnie do Burlingame po raz pierwszy. Zostałem tu przysłany. Przez ministra spraw wewnętrznych. Tak jak teraz.

Mówiąc to, dawał do zrozumienia, iż nie przyjechał, by tańczyć, jak zagra mu zgryźliwy dziadek, ani skorzystać na zacieśnieniu więzi rodzinnych. I po raz pierwszy Lisette zaczęła się zastanawiać, jak wiele musiało kosztować go przed kilkoma miesiącami, by przełknąć dumę i przyjechać do miejsca, gdzie nie był mile widziany. Do tego domu i tej rodziny. Życia pełnego arystokratycznego splendoru, z którego jego ojciec został tak bezlitośnie wykluczony.

Przyjechał jednak, ponieważ uważał to za swój obowiązek. Był bowiem tego rodzaju człowiekiem, który nie pozostanie w żadnych okolicznościach głuchy na głos obowiązku, zawsze przedłoży go nad osobiste życzenia, a zapewne nawet pragnienia serca.

Dla Lisette oznaczało to nieprzyjemne przypomnienie, w jakiej znajduje się sytuacji, zaś oddanie Napiera pracy budziło w niej zarówno podziw, jak i lęk.

Lecz Underwood potrząsał z wolna głową.

– Wiem, że pod koniec Hepplewood czegoś się bał – powiedział. – Jednak ludzie stojący u progu śmierci często stają się niestabilni emocjonalnie, zwłaszcza starsi. Rzeczywiście, paplał czasami coś bez sensu.

– Zabiła go więc choroba – naciskał Napier – czy uwiąd starczy?

Underwood lekko się skrzywił.

– Lady Hepplewood wierzyła, że to ostatnie – powiedział – lecz doświadczenie mówi mi, że starzy ludzie z wiekiem na ogół dziecinnieją. Pamiętają przeszłość lepiej niż dzień wczorajszy i podobnie sprawa miała się z Hepplewoodem. Pod koniec jednak, widzi pan, on... cóż, wykrzykiwał w kółko jedno imię.

– Imię? – powtórzył Napier. – Jakie?

Doktor zarumienił się lekko.

– Jane – powiedział, zniżając głos niemal do szeptu. – „Jane, Jane, Jane, powtarzał, myślę, że oni próbują mnie zabić". Brzmiało to bardzo żałośnie.

– Jane? – zdziwił się Napier. – Kim, u licha, jest Jane?

Underwood wzruszył ramionami.

– Na tym polega problem – odparł. – Lady Hepplewood utrzymywała, że mąż miał kiedyś ciotkę imieniem Jane, do której był bardzo przywiązany. Tylko że dama nie żyje już do trzydziestu lat.

– Nie było innych kobiet o tym imieniu? Jest dość pospolite.

– Była tu jedna Jane, pokojówka. Siadywała przy łóżku chorego, kiedy panna Jeffers i panna Gwyneth nie mogły się nim opiekować. Lecz wtedy Hepplewood postradał już niemal zmysły. Był tak... niespokojny. Niemal przerażony.

– Czy mógł zostać otruty?

Underwood rozłożył bezradnie dłonie.

– To możliwe, lecz jak już powiedziałem, umierał powoli i pod koniec czuł się bardzo źle.

– Ma pan na myśli fizyczne dolegliwości?

– Tak, głównie. I rzeczywiście, coś musiało być wtedy na rzeczy, ponieważ przez kilka dni panna Gwyneth też czuła się niezdrowa.

Objawy były podobne, choć znacznie łagodniejsze. Doszła szybko do siebie, lecz Hepplewood był już widać za bardzo osłabiony, żeby poradzić sobie z chorobą.

– A Saint-Bryce? – naciskał Napier. – W raporcie stwierdzono, że zmarł w wyniku udaru.

– Tak, i będę przy tym obstawał – odparł Underwood stanowczo. – Miał wszystkie charakterystyczne objawy i nie wątpię, że autopsja wykazałaby silne krwawienie do mózgu.

Lisette zdawała się nad czymś zastanawiać.

– A czy udar może zostać spowodowany przez truciznę? – spytała po chwili.

Lekarz potrząsnął głową.

– Istnieją pewne niepotwierdzone teorie – powiedział. – Najczęściej dochodzi do niego jednak w wyniku urazu albo choroby Brighta, czyli kłębuszkowego zapalenia nerek. Poza tym, jeśli ktoś ma zatkane arterie, duży wysiłek lub stresujące wydarzenie mogą wywołać tego rodzaju krwawienie.

Napier przysłuchiwał się temu, marszcząc brwi.

– Czy Saint-Bryce kłócił się z kimś...

Przerwało im pukanie do drzwi.

– Marsha tu nie ma! – zawołał ostro Napier.

Mimo to osoba za drzwiami nie odeszła.

– Przepraszam pana – odparł zirytowany głos – ale to właśnie ja, Marsh.

Napier podszedł do drzwi i otworzył je szarpnięciem.

Kamerdyner stał w progu, wyprostowany niczym żołnierz na warcie. Twarz miał pobladłą. Odszukał spojrzeniem Underwooda.

– Obawiam się, doktorze, że znów jest pan potrzebny na górze – powiedział.

– O Boże – wyszeptała Lisette. – Czy Walton..?

Marsh potrząsnął lekko głową.

– Nie Walton – odparł. – Prater.

* * *

W ciągu kilku następnych dni życie w Burlingame toczyło się w zwolnionym rytmie. Na szczęście dla Napiera okoliczności nie pozwalały na rozpamiętywanie tego, co zaszło pomiędzy nim a Elizabeth. Walton stał u wrót śmierci, mamrocząc niezrozumiale lub pokrzykując na opiekujące się nim osoby.

Prater nie był tak poszkodowany na zdrowiu jak Walton, lecz nadal bardzo chory, a symptomy jego choroby przypominały do złudzenia te, które objawiły się u Gwyneth przed śmiercią Hepplewooda.

Underwood przychodził codziennie, zawsze zostając dłużej, aby zamienić słowo z Napierem, choć tak naprawdę nie bardzo było o czym mówić. Ku frustracji komisarza zacny doktor szybko wycofał się z początkowej diagnozy, utrzymując, że choroba nie była wynikiem działania trucizny, ale przypadkowego zatrucia, ponieważ lokaje zajmowali ten sam pokój. Napier nie podzielał tej pewności.

Lecz jako że byli obaj młodzi i w dobrej kondycji, okazali się bardziej odporni niż stary lord i najgorszy scenariusz się nie sprawdził. Po kilku dniach starannej opieki i niemal ciągłego picia płynów Prater mógł wskoczyć z powrotem w liberię, trochę co prawda za luźną, a i Walton zapragnął urozmaicić sobie nudę,

szczypiąc w pośladek jedną z mniej współczująco nastawionych pokojówek, kiedy niebacznie pochyliła się obok jego łóżka.

Popełnił jednak poważny błąd w ocenie, ponieważ dziewczyna wyprostowała się błyskawicznie i walnęła natręta jego własnym nocnikiem, łamiąc mu nos.

Pani Jansen ledwie zdołała powstrzymać wesołość, kiedy wspomniała o tym podczas kolacji, a następnego ranka, jak wszyscy się spodziewali, Underwood uznał, że lokaj wyzdrowiał i może wracać do pracy. Tylko jego nos miał pozostać już na zawsze krzywy.

Usłyszawszy to, Gwyneth zaśmiała się głośno.

– Miejmy nadzieję – zaskrzeczała – że spuchnięty, sinożółty nochal nie zniechęci zbytnio pani Boothe.

I tak, w miarę jak życie w Burlingame wracało z wolna do normalności i strach zanikał, Napier próbował skupić znowu uwagę na tym, co nie dawało mu spokoju od początku – śmierci lorda Hepplewooda, a potem swego wuja – ponieważ wiedział, że jeśli przestanie się nad tym zastanawiać, jego myśli zajmie natychmiast inny, o wiele bardziej niepokojący problem.

Jednak los Hepplewooda nie był już w stanie oderwać go od pokusy, jaką stanowiła Lisette Colburne.

Czuł się dziwnie rozstrojony i oczarowany, wydany na żer nienazwanej tęsknoty, która była zarówno cierpieniem, jak i pokusą. Ta ostatnia dopadała go, ilekroć Lisette podchwyciła jego spojrzenie ponad stołem w jadalni, wpatrując się weń zielononiebieskimi oczami, których tajemnicy nie potrafił rozszyfrować. Cierpienie przychodziło zaś nocą, zwłaszcza gdy

liczył kroki dzielące ich sypialnie. A było ich dokładnie dwadzieścia trzy.

Skoro obaj lokaje wrócili do pracy, kolacja w poniedziałkowy wieczór przebiegła jak każdy formalny posiłek w wielkim angielskim domu. Zaserwowano więcej dań, niż Napier zdołałby zliczyć, a co dopiero zjeść. Jedno krzesło było wszakże puste, gdyż pani Jansen pozostała w swoim pokoju, skarżąc się na kolejny ból głowy. Diana też opuściła szybko jadalnię, by zająć się zamiast guwernantki Beatrice.

Nim dopito w salonie kawę, Duncaster zdążył przysnąć, osunąwszy się nieco na krześle, z dłońmi zaplecionymi na kamizelce, podczas gdy lord Hepplewood i Gwyneth sprzeczali się nad partyjką pikiety.

– Jestem absolutnie pewny – zarzekał się lord, sepleniąc z powodu nadmiernej ilości wina do kolacji – że masz za ósemką kierów ukrytego waleta.

– No wiesz, Tony! – odpaliła Gwen. – Nie pokażę ci po raz kolejny kart. Masz mnie za idiotkę?

– Oszukujesz, Gwen – zrewanżował się jej kuzyn. – Przez cały czas!

– Przez cały czas? – Gwen poczerwieniała mocno. – Doprawdy, Tony? To twoja wymówka? Zrobiłam to tylko raz i miałam wtedy dwanaście lat. Jesteś zalany w pestkę. Może odstawiłbyś to sherry i zaczął po prostu grać?

– A ty może odpuściłabyś sobie ten ton wyższości? – zasugerował Hepplewood i rzucił karty na stół. – Lub idź po prostu na górę. Z pewnością pani Jansen da się namówić na zabawę, która bardziej przypadnie ci do gustu.

Lady Hepplewood chwyciła hebanową laskę.

– Wy dwoje – powiedziała lodowatym tonem – macie dawać przykład stojącym niżej od siebie, nie zachowywać się jak oni.

– Mamo, ja...

– Oszczędź mi swoich wykrętów – prychnęła lady Hepplewood i postawiła laskę mocno na dywanie. – Jeśli chcesz zachowywać się wulgarnie, idź po prostu do gospody...

Duncaster podsumował dyskusję głośnym chrapnięciem, po czym głowa opadła mu na pierś.

Napier zerwał się z krzesła i zaproponował spacer po ogrodzie, spoglądając znacząco na Lisette.

– Moglibyśmy dojść aż do jeziora – dodał. – Mamy prawie pełnię.

Plan jednak nie wypalił, ponieważ Gwen, usłyszawszy propozycję, wstała i sztywna niczym kij od szczotki, rzuciła kuzynowi swoje karty na kolana.

– Doskonały pomysł – powiedziała. – Jeśli chodzi o mnie, atmosfera stała się w tym domu zdecydowanie zbyt przygnębiająca.

– Z przyjemnością się przejdę. – Lisette zdjęła z oparcia krzesła kaszmirowy szal. – Wygląda na to, że będziemy mieli bezchmurną noc.

Hepplewood może i był zawiany, lecz nie na tyle, by się nie zorientować, że jeszcze chwila i zostanie sam na sam z matką.

– Ja też chętnie pójdę – oznajmił, stając chwiejnie na nogach. – Chyba że narzeczeni potrzebują chwili samotności?

– Och, przyda nam się towarzystwo – oznajmiła Lisette tak radośnie, że Napier miał ochotę ją udusić.

Podejrzewał, że dziewczyna robi dokładnie to, co on przez kilka poprzednich dni. Unika go. Udaje, próbując przekonać zapewne samą siebie, że nie przekroczyli wszelkich granic, on nie wziął od niej tego, do czego nie miał prawa, a ona mu tego ochoczo nie dała.

Tak, może Lisette żałowała. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie dowie się tego, jeśli z nią nie porozmawia. Nie pozna, co ma naprawdę w sercu, jeśli nie ośmieli się zapytać.

To nie jej uczucia wobec siebie kwestionował – nie był aż tak zarozumiały, by przypisywać temu, co się wydarzyło, znaczenie inne, niż miało. Odkrył jednak, że rozpaczliwie pragnie lepiej ją poznać. Jej charakter, usposobienie.

Na pierwszy rzut oka nietrudno było założyć, że Lisette ma serce z lodu i jest cokolwiek niezrównoważona. Lub że jest morderczynią. Lecz z każdym mijającym dniem zaczynał bardziej ją cenić – choćby za to, że potrafiła utrzymać pomiędzy nimi dystans. Pożądał jej i obawiał się, że zaczyna się w Lisette zakochiwać. Jeszcze bardziej niepokojące zaś było, że wszystko, czego mógł się poza tym dowiedzieć, przestawało mieć znaczenie.

Nie, w tej akurat chwili zdecydowanie ważniejsze było dowiedzieć się, jak głęboko wpadł, niż wyobrażać sobie, jak będzie żył z tym później.

Tymczasem pozostała trójka, nieświadoma miotających Napierem emocji, wyszła na taras z tyłu domu i zstąpiła po kamiennych schodkach do ogrodu. I dobrze. Miał większą szansę rozwiązać zagadkę śmierci w Burlingame niż tamtej, wiszącej nad nim w Greenwich.

Szedł, ledwie zauważając otaczające go piękno ogrodów. Hepplewood, pokłóciwszy się z Gwyneth, ujął pod ramię Lisette i zaczął raczyć ją wesołymi historyjkami z czasów chłopięcych, kiedy to spędzał lato, buszując po zakamarkach posiadłości.

Napier, skazany na towarzystwo milczącej kuzynki, podał Gwyneth ramię. Maszerowała, dotrzymując mu kroku, i wkrótce zostawili pozostałą dwójkę nieco z tyłu.

Cisza i spokój były tu prawie namacalne, otulając świat miękkim kokonem. Jedynymi dźwiękami, jakie do nich docierały, były: melancholijne pohukiwanie sowy w lesie za jeziorem i wybuchy śmiechu Lisette oraz Hepplewooda. Napier zaczerpnął głęboko do płuc chłodnego, czystego powietrza i uświadomił sobie, że choć brakuje mu miejskiego gwaru, życie pełne spokoju i ciszy także ma swoje zalety.

Wkrótce opuścili ogrody i weszli w długą, cisową alejkę, prowadzącą w dół do jeziora. Za nimi Hepplewood zaczął flirtować z Lisette.

Gwyneth rzuciła kuzynowi mroczne spojrzenie przez ramię.

– Nie przejmuj się Tonym – mruknęła. – Jest nieszkodliwy, zapewniam.

– Och, on mi zupełnie nie przeszkadza – odparł Napier szczerze.

– Cóż, większość mężczyzn miałaby w tej kwestii inne zdanie – zauważyła Gwyneth. – Drań jest nieprzyzwoicie przystojny. Ale za tym urokiem nic się nie kryje. Inteligentna kobieta nigdy by się w nim nie zakochała.

– Rzeczywiście – przytaknął Napier chłodno. – Lecz wiele głupich już to zrobiło.

Gywneth się roześmiała, a kiedy Napier nie zareagował, przemówiła znowu.

– Byłeś dziś bardzo milczący, kuzynie.

– Doprawdy? Zatem lepiej zacznij o czymś rozprawiać, kuzynko. Marny ze mnie rozmówca.

– Och, nie mam talentu do salonowych pogaduszek – odparła Gwyneth – przynajmniej jeśli wierzyć ciotce. Skoro więc żadni z nas mistrzowie konwersacji, od czego zaczniemy? Może spróbujmy tak: ogrody Burlingame są piękne w nocy, czyż nie? Uwielbiam patrzeć, jak księżyc odbija się w wodzie jeziora.

– W Burlingame wszystko jest piękne – przyznał Napier. – Czasami aż zapiera dech. Nie można ogarnąć tego piękna podczas jednej wizyty, a nawet dwóch.

Gwyneth wydawała się zaskoczona szczerze wyrażonym podziwem i rozmowa znowu zamarła.

W końcu Napier chrząknął i zagaił.

– Panno Tarleton... Mam nadzieję, że rozumie pani, iż nie chciałem...

– Gwyneth – przerwała mu. – Proszę zwracać się do mnie po imieniu. A ty jesteś Nicholas Royden. Po ojcu, prawda? Mogę zwracać się do ciebie: Royden zamiast Saint-Bryce, jeśli wolisz.

– Zdecydowanie – odparł.

– Royden było nazwiskiem naszej praprababki – kontynuowała Gwyneth konwersacyjnym tonem. – I w rodzinie przestrzega się tradycji, by dla jej upamiętnienia ktoś zawsze je nosił.

– Tym bardziej dziwne, że padło akurat na mnie – zauważył.

Gwyneth wzruszyła ramionami.

– Twój ojciec nazywał się Nicholas Royden Tarleton, nim zmienił nazwisko – odparła. – Podejrzewam, że chciał nadać synowi imiona po sobie. Co się zaś tyczy babci Royden, to jej solidny posag uczynił Burlingame tym, czym jest dzisiaj. Zbudowano też wtedy wieżę. Tak brzmi jej właściwa nazwa, wieża Royden, ale o tym zapewne już wiesz?

– Prawdę mówiąc – przyznał – nie wiedziałem.

Przez chwilę czuł niemal dziecinny żal o to, że pozbawiono go wiedzy o rodzinnych sekretach, które powinien był poznać. Tymczasem nie wiedział prawie nic. Lecz to jego ojciec dokonał wyboru, nie Gwyneth. I odkąd to Burlingame zaczęło budzić w nim uczucia bliskie tęsknocie?

– Wieża musi być wysoka co najmniej na trzydzieści metrów – zauważył, zachowując obojętny ton.

– Niezupełnie – odparła. – Ponoć wzniesiono ją na tyle wysoką, żeby babcia Royden mogła widzieć ze szczytu dom ojca w Berkshire, gdy najdzie ją tęsknota. – Gwyneth uśmiechnęła się do niego w półmroku. – Póki nie poślubiła prapradziadka, Burlingame było tylko zniszczonym starym dworem.

– Trudno to sobie dziś wyobrazić – wymamrotał. Ze ścieżki za nimi dobiegł śmiech Lisette.

Gwyneth go zignorowała.

– Cóż, w dzisiejszych nowoczesnych czasach historia nie ma już takiego znaczenia, chociaż rodziny czasem kurczowo się jej trzymają – zauważyła ze swobodą, o którą by jej nie podejrzewał. – Poza tym słyszałam, że w Scotland Yardzie rzadko mówią o tobie Royden lub Napier.

Roześmiał się.

– Rzeczywiście.

– Zatem to prawda? – spytała kuzynka, uśmiechając się szeroko w świetle księżyca. – Nazywają cię Bezlitosnym Royem?

– W pełni zasłużył na ten przydomek! – zawołała Lisette. – Podejrzewam, że wziął się stąd, iż nie posiada... cóż, nazwijmy to brakiem zdolności dyplomatycznych.

– Tej wady staram się usilnie pozbyć, moja droga – rzucił przez ramię.

– Nie oczekuję szybkich rezultatów – odparła, a potem wróciła do rozmowy z Tonym.

– Mówiąc poważnie, Gwyneth – Napier wrócił do poprzedniego tematu – Burlingame jest wspaniałe, lecz nie nadaję się, aby nim zarządzać. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek brano mnie pod uwagę. Wolałbym tysiąc razy, aby wuj Harold – twój ojciec – żył i przejął rządy, do czego był przygotowany. Mam nadzieję, że mi wierzysz.

Odwróciła się ku niemu, jednak mijali właśnie część ścieżki, gdzie było wyjątkowo ciemno, więc bardziej domyślił się, niźli zobaczył, że się uśmiecha.

– Czyż to nie czysta ironia? – spytała.

– Co mianowicie?

– Nikt nie zyskuje bardziej na śmierci mojego ojca niż ty – odparła. – A wygląda na to, że jedynie ty się nią interesujesz.

– Mam nadzieję, że się mylisz.

Wzruszyła ramionami.

– Och, Bea jest zrozpaczona, a dziadek wielce przygnębiony, przypuszczam jednak, że pogodził się z faktem, iż nie da się

przywrócić ojca do życia, choćbyśmy nie wiem, jak tego pragnęli. Ale ty... trochę tu węszysz, prawda?

– Co właściwie sugerujesz? – mruknął.

– Och, daj spokój – odparła Gwyneth wszystkowiedzącym tonem. – Myślisz, że nie wiem, co robisz? Wypytujesz dziadka, doktora Underwooda i nawet Beatrice. A indagacje panny Colburne, choć tak subtelne, też mnie nie zwiodły. Oczywiście, może być tak, że jest po prostu ciekawa. Większość kobiet byłaby. Ale ty byłeś tu już trzy razy, wypytując o Hepplewooda. A teraz jeszcze o tatusia.

– Ufam, że nie sprawiłem nikomu zbyt wiele kłopotu – odparł Napier. Uświadomił sobie, że Gwyneth okazała się o wiele bardziej spostrzegawcza, niż mógłby sądzić.

– Och, tylko ciotce Hepplewood. – Gwyneth zaśmiała się szorstko. – Dobrze, że przywiozłeś pannę Colburne, inaczej zamęczałaby cię na okrągło, jak przedtem tatusia. I wcale nie jestem przekonana, że zrezygnowała zupełnie ze swoich planów.

Napier nie zamierzał udawać, że nie rozumie.

– Domyślam się, że masz na myśli przyszłość panny Jeffers – powiedział. – Sądzę jednak, że mogłaby trafić lepiej.

– A ja – wtrąciła Gwyneth – że ma taką nadzieję.

Napier nie był pewny, kogo dotyczy ten komentarz: panny Jeffers? A może ciotki Hepplewood?

– Mogę dowiedzieć się o tobie czegoś więcej, Gwyneth? – zapytał. – Jakie żywisz nadzieje? Jakie marzenia? Ciotka Hepplewood twierdzi, że nie zamierzasz wyjść za mąż.

– Mam trzydzieści lat – odparła, tym razem bardziej szorstko. – Czy wygląda na to, że zamierzam wziąć sobie męża?

– Chciałem jedynie powiedzieć...

– Chciałeś powiedzieć, że chętnie pozbędziesz się mnie, gdy tylko dziadek spocznie w grobie – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. – Rzeczywiście, po co mężczyzna miałby obarczać się niezamężną krewną, uczepioną rodowego drzewa i plączącą się po domu?

– Gwyneth – odpowiedział łagodnie. – Nie sugerowałem nic w tym rodzaju. Gdyby świat był sprawiedliwy...

– Ale nie jest, prawda? – przerwała mu. – Inaczej kobiety mogłyby dziedziczyć. A Burlingame byłoby moje. Nie twoje.

Napier cofnął się odruchowo, lecz w głosie kuzynki dało się wyczuć nie tyle gorycz, ile frustrację. Może nie był tu jedyną osobą, która uważała się za pokrzywdzoną przez los.

– Masz całkowitą rację – przyznał. – To nie w porządku. Ale czy mogę coś zmienić? Chyba nie. Prawa dziedziczenia są nieubłagane.

– Rzeczywiście – przyznała, ale bez uprzedniego gniewu. – I nie, nie chcę męża. Chcę jedynie tego, czego pragnęłam zawsze, a czego tatuś nigdy...

Zamilkła i w panującym dokoła mroku dostrzegł na jej twarzy smutek. Doszli już do mola, wchodzącego w jezioro. Na jego końcu postawiono budyneczek, który był na wpół altanką, na wpół szopą na łodzie. Fale obmywały go delikatnie, rozsiewając dookoła blask księżyca niczym odłamki szkła.

Lisette i jej nowy wielbiciel pozostali nieco z tyłu. Napier zatrzymał się na końcu mola, mając nadzieję, że Gwyneth będzie mówiła dalej.

– Czego odmówił ci ojciec, Gwyneth? – zapytał w końcu. – Chciałbym wiedzieć.

Zawahała się na chwilę, lecz potem powiedziała:

– Chciałam mieć wdowi dom. To znaczy, móc w nim mieszkać do końca życia.

– Nie wiedziałem, że mamy takowy – odparł. Zauważył z niepokojem, iż użył zaimka „my".

– To ładny stary dom z ogrodem po drugiej stronie wsi – odparła Gwyneth głosem drżącym z emocji. – Chciałabym się tam przeprowadzić i zabrać, a raczej zatrudnić, panią Jansen. Jako towarzyszkę. Kłóciliśmy się o to z tatusiem okropnie. Jak mógł w ogóle oczekiwać... – zamilkła i potrząsnęła głową.

– Czego? – ponaglił ją.

Zacisnęła wargi w wąską kreskę.

– Jak mógł oczekiwać, że będę mieszkała tutaj? – wyszeptała. – Z Dianą jako panią mojego domu? Nie dość że ciotka Hepplewood ignoruje na każdym kroku moje zdanie? Jednak to się przynajmniej kiedyś zmieni. Lecz tatuś oczekiwał, iż przekażę rządy Dianie? Jako mojej macosze?

– Jeśli tak bardzo pragniesz tamtego domu, Gwyneth – powiedział – z radością ci go dam. Mam porozmawiać z Duncasterem?

Potrząsnęła znów głową.

– Nie zgodzi się – powiedziała. – Kiedy wyprowadził się najemca, błagałam...

Przerwał im głośny wybuch wesołości z tyłu. Odwrócili się i zobaczyli, że Hepplewood aż popłakał się ze śmiechu.

– Boże, ocal nas od głupców – mruknęła Gwyneth.

– Nie, Gwyneth, posłuchaj – powiedział Hepplewood, przywołując ją do siebie. – Opowiadałem właśnie pannie Colburne... Boże, to takie zabawne! Pamiętasz, jak skakaliśmy wszyscy z dachu szopy? Wprost do jeziora? I Anne wydarła sobie w koszuli wielką dziurę?

– Rzeczywiście, Tony, któż mógłby o tym zapomnieć? – odparła Gwyneth, ledwie się uśmiechając. – Rozdarła koszulę o gwóźdź i miałeś nie lada widok.

– No pewnie! – Hepplewood zasłonił sobie dramatycznym gestem oczy. – Dla ciebie i Diany nie było w tym nic szczególnego, lecz moja chłopięca niewinność została tego dnia utracona na zawsze. I patrzcie tylko, do czego to doprowadziło.

– Kilka lat później zażartowałam, że to dlatego nigdy się z nią nie ożenisz – odparła Gwyneth zjadliwie. – Mężczyzna nie musi kupować kota w worku, skoro go już obejrzał. O ile pamiętam, rzuciła wtedy we mnie kieliszkiem madery.

– Gwen! – Hepplewood opuścił dłoń i spojrzał na kuzynkę przerażony. – Na miłość boską, nie mogłaś chyba powiedzieć czegoś tak okrutnego? Poza tym, nie powiedziałem, że się z nią nie ożenię. Nigdy tak nie mówiłem.

Gwyneth cofnęła się, unosząc sztywno głowę.

– Ale jej się nie oświadczyłeś – odpaliła. – Przez cały sezon ledwie zamieniłeś z nią słowo.

Hepplewood wydawał się zakłopotany.

– Ponieważ, do licha, nie mogłem – powiedział. – Nie, kiedy tatuś i dziadek czyhali nad moją głową niczym para sępów czekających, by dobrać się do trupa. Ja po prostu... Nie rozumiesz, Gwyneth? Nie mogłem.

– Nic podobnego, po prostu nie chciałeś. – Gwyneth wsparła dłonie na biodrach. – Była załamana, Tony. Przeznaczono ją dla ciebie od kolebki i wszyscy o tym wiedzieli. To ty ją upokorzyłeś, mój chłopcze. Nie ja.

– Jak cholera! – prychnął Tony. – Co niby zrobiłem?

– Nic – warknęła Gwyneth. – I o to chodzi. Przez cały sezon moja siostra ledwie ośmieliła się zatańczyć od czasu do czasu z jakimś dżentelmenem, ponieważ czekała na ciebie. A kiedy się nie pojawiłeś, wszyscy w towarzystwie wiedzieli, że została odtrącona. Musiała przyjąć w ostatniej chwili oświadczyny tego mięczaka Philipa Keatona. I ty ośmielasz się sugerować, że to ja postąpiłam z nią okrutnie, Tony?

Lecz Hepplewood zdążył już się odwrócić i maszerował teraz z powrotem w kierunku domu, wspinając się na wzgórze.

– Do licha z tobą, Gwyneth! – rzucił mało oryginalnie przez ramię. – Niech cię diabli porwą!

Gwyneth, zdecydowanie bardziej elokwentna, zaczęła obrzucać go wymyślnymi epitetami. Tony odwrócił się i jął cofać, mamrocząc coś pod nosem.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o spokój – powiedział cicho Napier. – I otulającą wszystko ciszę.

Lisette odwróciła się i spojrzała na niego.

– Słucham?

– Nieważne – wymamrotał. – Chciałabyś przejść się na przystań?

– Cóż, z pewnością wolałabym nie wchodzić na wzgórze z Gwyneth i Tonym – odparła. – Tak, przystań brzmi doskonale. Dziękuję.

Napier podał jej ramię pewny, że na spacerze się nie skończy.

Nawet gdy byli już na wodzie, z oddali nadal dobiegały odgłosy kłótni. I nagle uświadomił sobie, że Burlingame, pomimo swojego piękna, przesiąknięte jest drobnymi animozjami i podskórną wrogością.

A posiadłość była naprawdę piękna. Lecz jak błyszczące jabłko, w którego wnętrzu krył się robak, nagle wydała mu się odrażająca.

Łodzie trzymano w ośmiokątnym hangarze, którego dwa boki pozostawiono otwarte, by móc spuszczać łodzie. Na nisko położonych belkach czekały tu: łódka z pojedynczym wiosłem oraz niewielki skif. Wyglądały na rzadko używane. Napier wprowadził Lisette do środka, a potem obrócił tak, że stanęła wsparta plecami o jeden ze słupków podtrzymujących dach.

Wstrzymała gwałtownie oddech, kiedy wysunął nogę, uniemożliwiając jej odsunięcie się.

– Ojej – wymamrotała bez tchu. – Co też pan sobie myśli, panie Napier?

– Myślę, że chciałbym cię pocałować – odparł, pochylając się ku niej. – I dobrze o tym wiesz.

– Ach – westchnęła z błyskiem rozbawienia w oczach. – A już sądziłam, że uznał mnie pan za nudną.

– Och, dużo by można o tobie powiedzieć – zauważył ściszonym głosem – ale nie to, że jesteś nudna.

A potem zaczął ją całować. Pozwalała na to, rozchylając ochoczo wargi i przesuwając dłońmi po jego barkach, a potem znacznie niżej. Gdy ich języki się splątały, poczuł znajomy dreszcz –

przypływ gwałtownego pożądania, tęsknoty i cóż, odrobiny lęku – właśnie takiego, jakiego się spodziewał.

Jednak tym razem nie było w tym desperacji, jedynie tęsknota: stała i nieukojona. Tylko że teraz nie było powodu się spieszyć. Nie, kiedy wpadło się już po same uszy.

Gdy się odsunął, w oczach Lisette nie było rozbawienia. Usta miała obrzmiałe z pożądania, oczy szeroko otwarte i błyszczące w świetle księżyca. Wydał z siebie przeciągłe westchnienie i oparł czoło o jej czoło.

– Boże, potrzebowałem tego – powiedział – żeby pozbyć się paskudnego smaku kłótni Tony'ego i Gwyneth.

Zaśmiała się cicho i przyłożyła mu dłoń do policzka.

– Znowu mnie unikałeś.

Stał z ręką opartą o słupek i pochyloną głową.

– Próbowałem wykazać się opanowaniem – odparł spokojnie.

Jej dłoń opadła.

– I udawało ci się – zauważyła. – Aż do tej chwili. Miej tylko świadomość, że twoja rezerwa budzi w lady Hepplewood nadzieje.

– Nadzieje jakiego rodzaju? – Nie był jednak zaskoczony. Gwyneth sugerowała to samo.

– Na to, że masz mnie już dosyć – objaśniła Lisette. – A skoro tak, może uda jej się zaaranżować małżeństwo pomiędzy tobą a Dianą.

– Ktoś ci to powiedział?

Lisette zagryzła wargę.

– Diana – przyznała po chwili. – Wczoraj.

Napier roześmiał się bez śladu wesołości.

– Nadal się obawia, że utknie w małżeństwie ze mną?

– Tak – odparła Lisette. – Jest głupia. – Napier spojrzał na nią, ale z wyrazu twarzy Lisette nic nie dało się wyczytać. Nagle zaczerpnęła głęboko tchu. – Tak czy inaczej – powiedziała gwałtownie – zaczynam odnosić wrażenie, że twoja ciotka wydałaby tę biedną dziewczynę za wioskowego kowala, gdyby nadarzyła się okazja.

– Skoro tak, nabrała widać o mnie lepszego mniemania – stwierdził sardonicznie. – Dotąd plasowałem się chyba gdzieś za pucybutem.

Lisette się roześmiała, lecz niemal natychmiast umilkła i w szopie zapadła znów pełna napięcia cisza. Westchnął i pocałował Lisette – tym razem w czoło – a potem podał jej ramię i poprowadził wzdłuż bocznych ścian hangaru. Milczała, spoglądając na wodę, lecz w głowie Napiera panował zamęt. Jego umysł pracował, gorączkowo szukając czegoś, czego on wcale nie chciał znaleźć. Miał nadzieję, że to coś po prostu nie istnieje.

Przypomniał sobie, że Lisette to utalentowana aktorka. Musiała taką się stać, by przetrwać jako bezkompromisowy reporter szukający zemsty. I był niemal pewien, że w końcu to pragnienie zemsty zaspokoiła. Co więcej, podejrzewał, iż żyła w ten sposób, a prawdopodobnie została zmuszona, aby tak żyć, także w Bostonie. Może rola oddanej narzeczonej była po prostu jedną z kolejnych, a odgrywała ją tak dobrze, że doprowadzało go to do szaleństwa.

– I co – zapytała, widząc, że spoważniał – znalazłeś swój tajemniczy papier?

Potrząsnął głową.

– Dziękuję jednak, że się starałaś. Jolley był pod wrażeniem.

– Brakuje mi już miejsc, z których mogłabym jeszcze go wykraść – odparła – chyba że zacznę myszkować po niezamieszkanych pokojach. Byłam wszędzie poza gabinetem lorda Saint-Bryce'a.

– Doprawdy?

– Musisz przyznać, że znajduje się mocno na uboczu – zauważyła obronnym tonem. – Chociaż powinien być chyba w bardziej prominentnym miejscu.

– Marsh powiedział Jolleyowi, że Saint-Bryce przeniósł gabinet na górę, gdy urodziła się Bea – odparł Napier. – Jego żona nie czuła się dobrze i chciał być blisko dziecka.

– Chyba polubiłabym twojego wuja – odparła Lisette z nutką tęsknoty w głosie. – Jednak ilekroć przechodzę obok, jego gabinet jest zawsze zamknięty.

– Zamknięty? – powtórzył Napier. – To dziwne.

Zerknęła na niego spod oka.

– Mogłabym wziąć szpilkę do włosów – zasugerowała. – Co prawda, nie otwierałam jeszcze w ten sposób zamka, chętnie jednak spróbuję. To najbardziej zwyczajny mechanizm z możliwych.

– Żadnych szpilek – oznajmił ponuro.

– Och, Boże – westchnęła. – Co mogliby mi zrobić: poćwiartować? Tak czy inaczej, uwierz: jestem zbyt szybka, by dało się mnie łatwo przyłapać.

– O tym – stwierdził ponuro – zdążyłem się już przekonać.

Zatrzymała się i odwróciła ku niemu. Nawet w mroku jej twarz wydawała się blada.

– A cóż to miało znaczyć?

Napier miał już dość gierek.

– Do licha, Lisette, dobrze wiesz.

Uniosła brew.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś miał nadzieję przyłapać mnie na czymś – zasugerowała. – Sądziłam jednak, że mamy układ?

– Nie przekręcaj moich słów. – Położył dłonie na smukłych barkach dziewczyny i mocno je zacisnął. – I nie, nie przeczę: jesteś dobra w tym, co robisz. Może nie zostawiono ci szansy, byś mogła żyć inaczej. Ale czy nie zamierzasz nigdy mi zaufać? W jakiejkolwiek sprawie, poza łóżkiem?

Potrząsnęła głową.

– Nie – wyszeptała. – I wcale sobie tego nie życzysz. Jeśli nie chcesz myśleć o mnie, Napier, pomyśl o swojej karierze. I o honorze.

Zacisnął dłonie mocniej na jej ramionach.

– Jakbym nie naraził już na szwank jednego i drugiego. – Próbowała się odwrócić, lecz nie pozwolił na to. – Przymknąłem oczy na prawdę, Lisette. Na Boga, uległem nawet perswazji lorda Lazonby'ego, najbardziej szatańskiego, dwulicowego z ludzi, po to, żeby cię chronić.

Wyprostowała się dumnie.

– Nie – poprawiła go – dogadałeś się z Lazonbym, by chronić swego ojca. I jeśli teraz trudno ci z tym żyć, nie wiń mnie za wybory, których dokonałeś.

Miała rację.

Do licha! Kiedyż to determinacja sprawiła, że stracił z oczu cel? A desperacja Lisette udzieliła się jemu?

– Ale być może nie musisz liczyć już na dobrą wolę Lazonby'ego – zauważyła zimno. – Może potrafisz udowodnić, że twój ojciec zawdzięczał wysoki standard życia łaskawości Duncastera.

Opuścił dłonie i ścisnął mocno nasadę nosa.

– Wolałbym teraz o tym nie rozmawiać.

– Ani ja – odparła. – A jednak rozmawiamy.

– Zatem nie, to nie były tylko pieniądze Duncastera – powiedział wściekły. – Nie jestem idiotą, Lisette. Powiedziałem ci, że przejrzałem rachunki. Poza tym, oboje wiemy, że sir Wilfred powiedział prawdę: człowiek nie kłamie, mając przystawiony do głowy pistolet i szykując się na spotkanie ze Stwórcą.

Powiedział to bez zastanowienia, wyglądało jednak na to, że jego słowa przelały czarę goryczy. Lisette pisnęła cicho, a potem odwróciła się i opadła na ławkę. Spoglądała przed siebie otwartymi szeroko oczami.

Musiał odgadnąć prawdę, a przynajmniej jej część.

Z pewnością ktoś wydobył z sir Wilfreda wyznanie, i to raczej nie za pomocą perswazji.

– Może spróbowałbym zgadnąć, co się wydarzyło, Lisette. – Stał wyprostowany sztywno tuż przed nią. – Ponieważ cię znam. Wiem, do czego jesteś zdolna. Zwłaszcza kiedy ktoś cię rozgniewa i cierpisz.

– Doprawdy, wiesz do czego jestem zdolna, Napier? – Oblizała wargi, nie podnosząc głosu. – Cóż, moje gratulacje, bo ja z pewnością tego nie wiem. Nie jestem nawet pewna, czy potrafię odczuwać jeszcze ból.

– Lisette. – Ukląkł i chwycił ją znów za ramiona. – Powiedz mi po prostu, że ty nie...

Zerwała się z ławki i odeszła. Stanęła po przeciwnej stronie szopy, chwyciła się kurczowo poręczy. Wyglądała, jakby cała się trzęsła. Nie zamierzał jej przestraszyć, ale, na Boga, musiał wiedzieć.

Czy w szalonej opowieści Lazonby'ego było chociaż źdźbło prawdy? A może Lisette zastrzeliła po prostu człowieka z zimną krwią? Jeśli tak, czy miało to jeszcze dla niego znaczenie? Obawiał się mocno, że odpowiedź brzmi: nie. I że zrobiłby wszystko – kłamał, oszukiwał, zaniedbał obowiązki – byle ją chronić.

Naszło go pragnienie, by wsiąść do pierwszego lepszego pociągu do Londynu i wytrząsnąć prawdę z Anishy. Zakładając, że Anisha ją zna. Że była przytomna, a nawet obecna. I że udałoby mu się ominąć jej nowego męża, który miał wiele powodów, by życzyć sobie śmierci sir Wilfreda i kłamać – przynajmniej tak długo, jak byłoby mu to na rękę.

A potem mógłby równie dobrze wskazać Lisette jako morderczynię, ponieważ ich sojusz opierał się na kruchych podstawach. Jack Coldwater i „Chronicle" niszczyły mu opinię metodycznie i podstępnie, a stała za tym Lisette.

Jemu zaś nie pozostało nic innego, jak modlić się, żeby Lazonby okazał się lepszym człowiekiem, niż ten, za jakiego go uważał. Czerpać pociechę z faktu, że Anisha nie poślubiłaby niegodziwca, i zdać się na jej łaskę. Gdyby Lazonby okazał się na tyle głupi, żeby zmienić zeznanie – co nie przyszłoby mu łatwo – z pewnością by go powstrzymała?

Zaczerpnął głęboko oddechu, a potem wydychał powoli powietrze, walcząc z pokusą, aby powiedzieć Lisette, że

kimkolwiek jest i cokolwiek zrobiła, nie ma to już znaczenia. Pozostał jednak tam, gdzie był. Nie dlatego że nie była to prawda, ale ponieważ Lisette by mu nie uwierzyła.

Woda pluskała cicho, obmywając słupki poniżej. Gwyneth i Tony dawno wrócili już do domu. Nawet sowa przestała pohukiwać. W końcu Lisette się odwróciła. Jezioro za nią błyszczało niczym kobierzec z diamentów, lecz twarz dziewczyny skrywał cień.

– Sprowadziłeś mnie tutaj, Napier, ponieważ sądziłeś, że jestem dobrą aktorką – powiedziała zaskakująco spokojnym głosem. – A także dlatego że byłam zdeterminowana i... tak, może nawet trochę bezlitosna. Pozwól mi zatem działać. Zrobić choć raz to, co właściwe.

– A co by to miało być takiego, Lisette? – zapytał cicho.

– Cóż, wiem, co by nie było – odparła smutno. – Nie byłoby w porządku, gdybyśmy obwiniali dłużej za nasze problemy Lazonby'ego. Nazwałeś go człowiekiem dwulicowym i złym. Ja... kiedyś sądziłam tak samo. Ale kimkolwiek jest, nie miałam prawa niszczyć mu życia. Nie miałam. I bardzo się teraz wstydzę. Będę musiała żyć z poczuciem winy do końca swoich dni.

Było to tak bliskie wyznania, jakie mógł z niej wydusić.

– Lisette – powiedział, ruszając ku niej.

Uniosła dłoń, by go powstrzymać.

– Nie mogę cofnąć bólu, jakiego przysporzyłam Lazonby'emu czy komukolwiek innemu – powiedziała. – Za to, co zrobiłam, nie ma dla mnie zapewne odkupienia. Lecz może zdołam ujawnić inne zło. Potrafię dostać się do gabinetu Saint-Bryce'a. Jeśli zostanę przyłapana, będę trzepotała rzęsami i udawała głupią. Powiem, że

zamierzałam odwiedzić Beę i źle skręciłam, a drzwi były otwarte. Niech sobie myślą, co chcą.

Zaczerpnęła oddechu i czekała, co powie Napier. Nie sądziła, że stąpa po kruchym lodzie, jeszcze nie. Jednak było jej niedobrze i czuła się mocno niepewnie. Co więcej, po części miała już serdecznie dość zamartwiania się. Może powinna wyznać wszystko Napierowi, napisać list z przeprosinami do Lazonby'ego i pozwolić, aby zamknięto ją w więzieniu za zabicie sir Wilfreda. Bez wątpienia wiele osób uznałoby, że na to zasługuje.

Napier stał teraz obok ławki z zaciśniętymi w wyrazie uporu szczękami i włosami rozwianymi lekko przez wiatr. A kiedy się odwrócił i na nią spojrzał, wiedziała już, że walczy z demonami. Dokonuje wyboru, którego wolałby uniknąć.

Mogła się jedynie modlić, by nie miał on nic wspólnego z jej zbrodniami.

Oparł znów dłoń na biodrze i zaczął spacerować. Powoli, jak drapieżca, którym prawdopodobnie był. Jednak pomimo niebezpiecznej aury i ledwie powściąganych emocji wyglądał w każdym calu jak bogaty arystokrata, odziany w ciemny surdut i eleganckie bryczesy.

Duncaster nalegał, aby przebierać się do kolacji w bardziej formalny strój, ten zaś podkreślał niewątpliwe walory sylwetki Napiera. Nawet teraz widziała oczyma wyobraźni twarde mięśnie jego nagich łydek i ud, niemal czuła ciężar przerzuconej przez uda nogi i miękkie muśnięcia włosów, porastających...

Boże święty!

Jak mogła myśleć o tym teraz? Musiała wydać jakiś dźwięk – na przykład zaśmiać się z własnej głupoty, ponieważ utkwił w niej

wzrok. A potem nadpłynęły chmury, pogrążając go w cieniu.

– Lisette – powiedział szorstko.

Wyrzuciła przed siebie dłoń i potrząsnęła głową.

– Wiem, że potrafisz odkryć, co zrobiłam – powiedziała cokolwiek drżącym głosem. – Wiedziałam to już w chwili, gdy zobaczyłam, jak zmierzasz ku nam przez trawnik w domu sir Wilfreda, zdecydowany i bezlitosny. Obawiałam się, że w końcu będę musiała zapłacić, i nawet machinacje Lazonby'ego nie zdołają ocalić mnie przed samą sobą.

– Lisette – wyszeptał. – Nie jestem twoim wrogiem.

Nie opuściła dłoni, choć stanowiła nader wątłą przeszkodę.

– Sama już nie wiem – powiedziała. – Nie sądziłam, że będę czuła coś podobnego. Nie potrafię sobie z tym poradzić. Proszę, nie pozwól mi zrobić z siebie idiotki, Napier. Nie z twojego powodu.

Przeciął kilkoma stanowczym krokami hangar.

– Lecz skąd mam wiedzieć, co to takiego? – wyszeptał. – I co ty czujesz? Lub wiedzieć o tobie cokolwiek?

– Już czuję się jak idiotka – odparła ostro. – Co zaś się tyczy reszty, wiesz wszystko, co powinieneś. Możemy tak to zostawić? Proszę. Robię, co obiecałam. Dotrzymuję umowy i dobrze o tym wiesz.

Skrzywił się z gniewu.

– Chcesz zatem, żebym odpuścił – powiedział. – Nie jesteś w stanie mi zaufać. Nie pragniesz niczego więcej, jak tylko żebym dotrzymał tego cholernego układu. Nie chcesz, żebyśmy byli wobec siebie... szczerzy. Zbliżyli się do siebie w jakikolwiek liczący się sposób.

Lisette zamknęła oczy i potrząsnęła z wolna głową.

– Och, Royden, wiesz, że cię pożądam. – Jego imię ześliznęło się gładko z jej warg. – Jeszcze jeden z tych osłabiających wolę pocałunków i pewnie ległabym z tobą tu i teraz.

– Ale to byłby tylko seks – wykrztusił przez zaciśnięte zęby, podchodząc ku niej. – Nie czujesz do mnie nic więcej.

Wahała się przez dłuższą chwilę, lecz w końcu powiedziała:

– Nie. Czuję jedynie żądzę, Napier. I jeśli jesteśmy oboje mądrzy, tak właśnie będziemy to nazywać.

Odwrócił się i odszedł na skraj mola. Stał tam przez chwilę, zacisnąwszy złożone z tyłu dłonie tak mocno, że wydawało się to niemal bolesne.

– Stawiasz mnie w położeniu bez wyjścia – powiedział w końcu szorstko. – Jeśli będę argumentował, nazwiesz mnie łajdakiem. Jeśli powiem, że nie dbam o to, kim jesteś: kłamcą. Będziesz ze mną sypiała, jeśli będę nalegał. Wszystko, byleśmy tylko nie rozmawiali. O żadnych osobistych sprawach. Czy to się zgadza?

– Ja... tak, chyba tak. – Zwiesiła głowę.

– Zatem mamy impas – powiedział. – Powinienem cię teraz zostawić, Lisette? Tego chcesz?

Uniosła bezradnym gestem dłoń. Och, wiedziała, czego chce – i na co zasługuje. Łzy zakłuły ją pod powiekami.

– Powiedz mi tylko, żebym sobie poszedł – kontynuował tymczasem Napier, emanując gniewem – a to zrobię. Powiedz, bym nigdy więcej cię nie całował. Nie dotykał. Porzucił wszelką nadzieję, że zdołam uzyskać od ciebie coś więcej. Uwierz: w tej chwili sprawiłoby mi to ulgę.

Przełknęła mocno ślinę i odzyskała głos.

– Nie chcesz mnie, Napier – powiedziała, unosząc znów dłoń. – Nie wyobrażaj sobie, że mnie kochasz, ponieważ Bóg mi świadkiem, nie zamierzam zakochać się w tobie.

Napier poczuł się tak, jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Nim zdążył się opamiętać, przemierzył kilkoma szybkimi krokami dzielącą ich przestrzeń i chwycił Lisette w ramiona.

– Dobrze zatem, skoro tak, kochaj się ze mną teraz – wykrztusił. – W końcu, jak powiedziałaś, to tylko pożądanie. Coś bez znaczenia.

– Napier, nie o to mi...

Lecz on przyciskał już wargi do jej ust, całując ją nie tyle z czułością, ile zaborczo. Było to czysto męskie zawłaszczenie. Coś przerażająco podobnego do gniewu kłębiło się w nim, kiedy wpychał język głęboko w boleśnie mu już znajomą słodycz jej ust.

Lisette zadrżała, ale się nie odsunęła. Naparł na nią biodrami, nie pozostawiając wątpliwości co do swych intencji. Zareagowała cichym jękiem. Żądza, typowo męska potrzeba, aby natychmiast ją posiąść, przeszyła go niczym piorun.

Dłonie Lisette nadal spoczywały na jego barkach. Próbowała się cofnąć, ale kolejny przypływ bolesnego pożądania sprawił, że Napier nie zamierzał ustąpić. Płonął z żądzy. I ona także. Niech spróbuje odejść, jeśli starczy jej siły woli, nie zamierzał niczego jej ułatwiać. Potrzebował załatwić tę jedną drobną rzecz po swojemu – zmusić ją, by zadała działaniem kłam zimnym słowom lub potwierdziła je, wymierzając mu siarczysty policzek.

Nie ryzykował jednak wiele, ponieważ dłonie Lisette wkrótce opadły. A wtedy przycisnął ją mocniej do słupka i wsunął palce w gąszcz kręconych włosów na karku, by unieruchomić jej głowę

i móc swobodnie ją całować. Słyszał, jak krew pulsuje mu w uszach, a twardy jak drewno członek napiera na miękką wypukłość jej brzucha.

Chciał całować ją, aż braknie jej tchu, a oczy zasnuje mgiełka pożądania. Pragnął pieścić i ssać, póki jej chłodne, blade piękno nie rozpłynie się w rozkoszy. Chciał zmusić Lisette, żeby... co?

Żeby go pokochała?

Logika graniczącą z szaleństwem.

Lecz jeśli chciał walki, nie wyglądało na to, by jego życzenie miało się spełnić.

Lisette odpowiedziała bowiem na pocałunek i zaczęła też go całować: namiętnie, pożądliwie.

Przyłożył dłoń do jej policzka, a wtedy wsunęła mu z jękiem ręce pod surdut i objęła go w talii. Zadrżał z ledwie wstrzymywanej żądzy. Zapragnął nagle, by księżyc wyjrzał znowu zza chmur i pozwolił mu sycić oczy widokiem jej twarzy, zobaczyć w jej oczach pragnienie – przynajmniej tego, co mógł jej dać.

Westchnął przeciągle i objął dłońmi jej pełne piersi. Lisette jęknęła z ustami tuż przy jego ustach. Wsunął kciuki za dekolt sukni i zsuwał stanik, aż blade półkule wyskoczyły z gorsetu na spotkanie jego dłoni.

Oderwał usta od jej warg i zsunął je powoli na dekolt, by objąć następnie leciutko zębami słodki, twardy pączek sutka. Przygryzł go lekko, pocierając czubek językiem.

– Och, Napier.

Było to ledwie westchnienie, oznaczało jednak całkowitą kapitulację. Odrzuciła w tył głowę i oparła ją o kolumnę,

wypychając do przodu piersi. Oferując mu je. Przyjął dar i zaczął ssać – z początku delikatnie, a potem bardziej zdecydowanie.

Krzyknęła cicho, drżąc w jego objęciach. A kiedy przeniósł uwagę na drugą pierś, objęła dłońmi jego biodra i przyciągnęła go ku sobie w najbardziej zmysłowy sposób. Napier kontynuował słodką torturę, obejmując nabrzmiały pączek szerzej ustami i ssąc, póki oddech Lisette nie stał się szybki i urywany. Uwodzicielski zapach jej rozgrzanego namiętnością ciała potężniał, doprowadzając go do szaleństwa.

W końcu wsunęła mu palce we włosy i cicho krzyknęła.

Napier ledwie uświadamiał sobie, że ryzykuje. Księżyc mógł wyjść w każdej chwili zza chmur. Ktoś mógł ich zobaczyć.

Mógł też stracić Lisette na zawsze.

Wyrzucił jednak te obawy z umysłu, chwycił skraj jej spódnicy i halki i zaczął je unosić, odsłaniając wpierw kolano, a potem udo Lisette. Dotknął wilgotnego jedwabiu bielizny, a kiedy jęknęła cicho z przyjemności, przycisnął usta do jej ucha i wsunął palec w śliską szparkę.

– A więc to tylko... pożądanie? – wyszeptał.

Westchnęła głośno z głową wspartą nadal o słupek. Czuła, że uginają się pod nią kolana.

– Idź do diabła, Napier – powiedziała w końcu. – Zawsze wiedziałam, że siedzi w tobie szatan.

Przesunął znowu palcami po śliskich fałdkach, tym razem odnajdując słodki, pulsujący węzełek. Nie zaprotestowała, kiedy zadarł jej spódnicę do pasa, a potem rozwiązał tasiemkę przy majtkach.

Przyglądał się z satysfakcją, jak miękki jedwab opada Lisette do stóp. Miała smukłe, piękne nogi, stworzone wprost do tego, by obejmować jego biodra, zapewniając mu wolny dostęp, by mógł pchać i penetrować. Najpierw chciał jednak zniewolić ją tak, jak on czuł się zniewolony.

Zesztywniała z szoku, kiedy przyklęknął, a potem pisnęła cienko, gdy wsunął język pomiędzy śliskie fałdki.

– Napier...?

Może i było to szaleństwo. Zwłaszcza dla mężczyzny takiego jak on, przywykłego wszystko kalkulować. Kochał się z nią jednak ustami, wsunąwszy dwa palce pomiędzy wilgotne kędziorki, a potem głębiej. Przez długą chwilę to wsuwał je delikatnie, to wysuwał, torturując Lisette językiem i przysłuchując się z satysfakcją jej przerywanemu szlochem wysilonemu oddechowi.

Chwyciła się kurczowo jedną ręką poręczy, a drugą wsunęła mu we włosy.

– Och, Boże! – wykrzyknęła.

A kiedy zbliżał się orgazm, zaczęła drżeć niczym śmiertelnie przerażona istota. Poruszała przy tym dłońmi, jakby chciała go powstrzymać. Lecz on nie przestawał, wsunęła mu więc znowu dłonie we włosy. A potem wydała z siebie przeciągłe łkanie, wzdrygnęła się przemożnie, a jej smukłe ciało zadygotało, wstrząsane paroksyzmami rozkoszy.

Była w tym tak piękna, że jego pożądanie jeszcze wzrosło. Wstał i podtrzymywał ją, a kiedy fala ekstazy zaczęła opadać, rozpiął szybko spodnie, uwolnił członek, a potem uniósł Lisette i wepchnął się w nią cokolwiek niezdarnie. Podniósł ją nieco wyżej

i poczuł, że jego rozpalona męskość wsuwa się głęboko w pulsującą wilgoć jej wnętrza.

Lisette uniosła instynktownie nogę i zarzuciła mu ją na biodro. Napier jęknął, po czym przycisnął ją mocniej do słupka, uniósł w ramionach i znalazł własną rozkosz, wbijając się w nią tak mocno i szybko, że zawstydziłby najbardziej napalonego z uczniaków. W jego działaniu nie było subtelności, był to wulgarny akt wynikły z desperacji, a Lisette nie miała w miłości doświadczenia.

Nie przynosiło mu chluby to, co i jak robi, lecz wstyd nie złagodził jego żądzy. Oddychając ciężko, pompował i pompował, unosząc ją wraz z każdym ruchem, aż błogość wybuchła mu w głowie, oślepiając białym światłem. Kiedy osunął się wreszcie na Lisette, drżący i wyczerpany, wiedział bez cienia wątpliwości, że przepadł z kretesem.

Rozdział 11
Po ratunek do Fanny

Wrócili do domu ścieżką, spoglądając pod nogi z większą uwagą, niż kiedy schodzili. Chmury zasnuły niebo i nie wyglądało na to, by księżyc miał oświetlić im drogę. I bardzo dobrze, pomyślała Lisette, gdyż ciemność pomagała ukryć niezręczne milczenie, jakie zapanowało między nimi po tym, co stało się w hangarze.

Lecz może słowa nie były potrzebne? Jak poprzednio, tak i teraz Napier przejrzał ją na wylot. Odgadł najskrytsze pragnienia, zbliżył się do najstaranniej skrywanych sekretów i poznał być może najmroczniejsze obawy.

Nie po raz pierwszy pożałowała, że nie jest taka, jacy byli jej siostra i ojciec. Skłonni oddawać się złudzeniom, trzymać kurczowo nadziei ulotnej niczym dym z fajki i pewni, że szczęście czeka tuż za rogiem, a oni na nie zasługują.

Zamiast tego czuła na barkach ciężar klątwy Kasandry. To się dla niej dobrze nie skończy. Serce miała już na wpół złamane i o tym wiedziała.

W końcu to nie ona przerwała niezręczną ciszę. Napier zatrzymał się w połowie wzgórza i spojrzał na nią w półmroku.

– Przepraszam, Lisette – powiedział. – To, co właśnie zrobiliśmy... Prostytutki w Covent Garden traktuje się z większą delikatnością.

Stanęła sztywno na ścieżce.

– A czy prosiłam o delikatność? – spytała cicho. – Jesteś cudownym kochankiem, Napier, i bez wątpienia potrafisz to wykorzystać. Lecz gdybym powiedziała, iż żałuję tego, co zrobiliśmy, wiedzielibyśmy oboje, że kłamię.

– Dama zasługuje na coś bardziej eleganckiego, niż żeby zadarto jej po prostu spódnicę – powiedział głosem pełnym skruchy. – Zasługuje na... romans, Lisette. Na to, by zabiegano jak należy o jej względy. Flirtowano z nią.

– Lecz ty nie jesteś z natury romantyczny, pamiętasz? – Zmusiła się, by się uśmiechnąć, choć on i tak nie mógł tego zobaczyć. – I, prawdę mówiąc, trudno mi wyobrazić sobie mężczyznę mniej skłonnego do flirtu.

– Chryste, Lisette, nie masz litości.

– Nie chciałam cię urazić – odparła. – Jesteś jaki jesteś, i zawsze byłeś co do tego uczciwy. A jak na mężczyznę, który nie jest romantyczny, nie umie flirtować i nie bywa czarujący, radzisz sobie całkiem dobrze. Nie znalazłam w sobie dość siły, by ci odmówić. I... cóż, obawiam się, że nigdy nie znajdę.

Czuła, że przygląda się jej w ciemności.

– Zostawmy to, Napier – wyszeptała. – Pożądamy się nawzajem. Może to i niemądre, lecz nie jest zbrodnią ani czymś wulgarnym.

Zajmijmy się lepiej tym, co przywiodło nas tutaj i postarajmy się rozwikłać zagadkę.

Przez chwilę sądziła, iż nie zamierza odpowiedzieć. Potem, po długiej chwili, podjął znów marsz w górę wzgórza.

– Masz rację – powiedział. – Im szybciej tu skończymy, tym lepiej.

– Dziękuję. – Zignorowała delikatny przytyk w jego głosie. – Powiedz mi po prostu, co mam robić.

– Doskonale. – Przemawiał teraz zdecydowanie, krótkimi zdaniami. Pamiętała ten ton, posługiwał się nim, kiedy odwiedził ją w Hackney. – Jutro po śniadaniu idź do biblioteki. O ile to możliwe, sama.

– Dam sobie radę – odparła. – A kiedy już się tam znajdę..?

– Zachowuj się tak, jakbyś szukała książki – kontynuował chłodno – i obserwuj drzwi. W końcu pojawi się Jolley. Idź za nim do holu wejściowego i bądź czujna. Poprowadzi cię główną klatką schodową ku południowej stronie drugiego piętra.

– Południowej? To znaczy w kierunku pokoju lekcyjnego i gabinetu?

– Tak – odparł Napier krótko. – Będzie miał przy sobie wytrych...

– Ach – mruknęła. – Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Po prostu za nim idź – polecił. – Jeśli w pobliżu nikogo nie będzie, otworzy w mig drzwi gabinetu. Kazałbym mu go przeszukać, na pewno wiedziałby, jak to zrobić, lecz gdyby go przyłapano, nie miałby jak się usprawiedliwić. A jeśli ktoś przyłapie ciebie...

– Poradzę sobie, bez obaw – przerwała mu.

Zacisnął wargi.

– Doskonale. Wykorzystaj swą świetną pamięć i zapamiętaj dokładnie, co znajduje się w pomieszczeniu. Ani ja, ani Jolley nie mamy tego rodzaju umiejętności. A potem przeszukaj pokój i biurko. Zabierz próbki każdego papieru, jaki znajdziesz.

– Tak, oczywiście. A ty: gdzie będziesz?

– O ile nie zacznie padać, wybiorę się z Craddockiem do Berkshire na inspekcję jednego z pomniejszych majątków Duncastera – odparł. – Może się zdarzyć, że zostaniemy tam na noc, lecz jeśli zajdzie potrzeba, Jolley mnie sprowadzi.

– Nie zajdzie – zapewniła go. – Możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję – odparł nieco sztywno. – Lecz potem będziemy musieli podjąć kilka trudnych decyzji, Lisette.

– Co masz na myśli? – zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzyła.

Zawahał się.

– Wolałbym przekroczyć ten most innego dnia – powiedział w końcu. – Nie widzę, co jeszcze można by zrobić.

Podał jej ramię – swego rodzaju gest pojednawczy – i szli dalej w milczeniu, aż dotarli do ogrodów Burlingame. Lisette wsunęła dłoń w ciepłe zagłębienie rękawa jego surduta, świadoma kryjącej się pod nim siły.

– Byłaś już w pokoju lekcyjnym? – zapytał w końcu.

– Tak, ale nie mogłam dobrze się tam rozejrzeć. – Pusta gadanina wydawała się bezpieczniejsza niż omawianie tego, co wydarzyło się w hangarze. – Ktoś zawsze w nim był. Podejrzewasz o coś panią Jansen? Wydaje się z gruntu łagodna i życzliwa.

Napier potrząsnął głową i poczuła, że nieco się odprężył.

– Nie wiem, kogo podejrzewać ani o co – przyznał. – Dwie śmierci plus dwie osoby, które omal nie umarły... a wszystko w odstępie kilku miesięcy? Może Underwood jest pewien, że Saint-Bryce'a zabiła apopleksja, jednak...

Lisette uświadomiła sobie, że Napier czegoś jej nie mówi. Było coś jeszcze, coś poza niezbornym listem umierającego starszego mężczyzny i chorobą dwóch lokajów. Lecz teraz wrócili przynajmniej na znajomy grunt.

– I biedny Prater – wymamrotała. – Kto mógłby źle mu życzyć? Nie mogę powiedzieć, żebym współczuła zbytnio Waltonowi. Gapi się na kobiety zbyt bezczelnie jak na mój gust. Zaczął też traktować z pogardą panią Jansen. Biedne stworzenie z pewnością się go boi.

– Walton powinien raczej bać się Gwyneth – odparł Napier ponuro. – Ona z pewnością byłaby zdolna kogoś otruć.

– Och, nie chodzi jedynie o Gwyneth. W tym domu jest tyle tłumionego gniewu, że mógłby wysadzić w powietrze dach, gdyby ktoś wykonał niewłaściwy ruch. – Otuliła się ciaśniej szalem. – No i jest ta niezręczna sytuacja z panią Jansen.

Zerknął na nią z ukosa.

– Co masz na myśli?

– Cóż, może dlatego Walton tak źle ją traktuje. – Lisette poczuła, że płonie jej twarz. – Ponieważ nie reaguje na jego zaloty i to, że jest przystojny, tym razem nie wystarczyło. Czy wy, Anglicy, nie macie wszyscy choćby po jednej z tych dziwnych ciotek, starych panien, ukrytych gdzieś w kredensie?

– Stajesz się bardzo amerykańska, kiedy jest ci to na rękę – zauważył. – Poza tym pani Jansen jest chyba wdową. Kontynuuj

jednak, uważam twoje spostrzeżenia za fascynujące.

– Diana i Gwyneth przebywają na co dzień blisko siebie, uważam jednak, że się nienawidzą – odparła z namysłem. – Chociaż nienawiść to chyba zbyt mocne słowo. A lady Hepplewood stara się zdominować Gwyneth, zmienia lub ignoruje jej polecenia i chyba lekko pogardza Dianą. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie... pogrążonej w głębokim żalu. Przytłoczonej nim. Przez cały czas. Chyba to właśnie on uczynił ją na starość tak zgorzkniałą.

– Przytłoczona żalem? Nie użyłbym takiego określenia.

Lisette wzruszyła ramionami.

– Ale tak właśnie jest – odparła spokojnie. – Potrafię rozpoznać żal, kiedy go widzę. I rozumiem zgorzknienie.

Napier milczał przez chwilę.

– A pani Jansen? – zapytał w końcu. – Co sądzisz o niej?

– Jest bardzo cicha – odparła Lisette. – Ale raczej ją lubię.

– Ja także – przyznał. – Czy ona uważa, że jest... hm... emocjonalnie związana z Gwyneth?

– Myślę, że to możliwe – przyznała Lisette. – Spędzają czas razem, gdy tylko pozwalają im na to obowiązki. Ale czy może mieć to cokolwiek wspólnego ze śmiercią lorda Hepplewooda?

– Doświadczenie mówi mi, że namiętność może prowadzić do nie lada kłopotów – odparł.

Lisette uśmiechnęła się krzywo, przyznając mu w duchu rację.

– Jeśli o mnie chodzi, martwiłabym się raczej o lady Hepplewood – powiedziała. – Dlaczego zamieszkała w Wiltshire? Najpierw usłyszeliśmy, że dom w Northumberland jest zniszczony

i pełen przeciągów. A potem Diana, która zna dobrze posiadłość, twierdzi, że to nieprawda.

– Może lady Hepplewood po prostu nie czuje się tam dobrze – zauważył Napier, zastanawiając się na głos.

– To coś więcej – zaprotestowała Lisette. – A teraz okazało się, że Gwyneth jest wściekła, ponieważ Tony odtrącił jej siostrę Anne... A tak przy okazji, słyszałeś, że Anne przyjeżdża jutro z Londynu? I przywozi pannę Felicity Willet?

– Coś tam słyszałem, tak.

– To wszystko jest bardzo dziwne – kontynuowała Lisette. – Tony uchodzi w stolicy za uganiającego się za spódniczkami utracjusza, zaś Diana uważa go za miłego domatora, który nie marzy o niczym innym, jak tylko, by zasiąść wygodnie przy kominku. Ja go nawet lubię, trudno go nie lubić, uważam jednak za człowieka zdecydowanie bardziej skomplikowanego. I bystrzejszego, niż pozwala nam sądzić.

– A może to Diana jest naiwna? – zasugerował Napier.

Lisette owinęła się ciaśniej szalem. Chmury odpłynęły i ogród zatonął znów w księżycowym blasku. Coś nie dawało jej spokoju, coś, co uderzyło ją przed kilkoma dniami w zielonym pokoju i teraz domagało się uwagi. Nie była jednak w stanie sobie przypomnieć, co to takiego.

– Och, dobrze – powiedziała – Diana może i jest dziecinnie romantyczna, ale poza tym całkiem niegłupia.

– To znaczy, że bycie romantycznym czyni nas głupcami? – zapytał.

Spojrzała na niego ostro.

– Na ogół, tak.

– Ach, zaczynam pojmować twój sposób rozumowania. – Zamilkł na chwilę. – Ale czy nie miewałaś nigdy romantycznych tęsknot, Lisette? W końcu, przyznałaś sama, iż jesteś romantyczką.

– Owszem, nie mogłam sobie jednak pozwolić na próżne fantazje – odpaliła. – Nie byłam doskonałą księżniczką, Napier, jak lady Anisha Stafford. Moje życie to nie była nigdy bajka. Mam wady. Zawsze będę inna.

– Ale z pewnością miewałaś w Bostonie wielbicieli?

Lisette nie podobał się kierunek, w jakim zmierzały pytania.

– Kilku młodych ludzi, owszem – odparła – zwłaszcza po tym, jak wujek zaczął chorować i stało się jasne, że odziedziczę gazetę.

– Ach, tak, oportuniści – zauważył spokojnie.

– Chciwcy, którym należałaby się kara – odparła, kiedy skręcili pomiędzy starannie utrzymane żywopłoty. – Gazeta przynosiła na ogół więcej strat niż zysków.

– Odprawiłaś wszystkich, łamiąc im serca? – spytał z lekka sardonicznym tonem.

– Ocaliłam ich przed skutkami własnej głupoty – prychnęła. – Miałam inne plany.

– Tak – stwierdził ponuro. – Byłaś zbyt zajęta pogonią za sprawiedliwością i planowaniem zemsty, aby pomyśleć o przyszłości. I o tym, co tracisz. Widziałem cię z dzieckiem u Taftonów. Dostrzegłem w twoich oczach ból i tęsknotę. Nie waż się zatem udawać, że to, co straciłaś, nie ma znaczenia. Bo ma, i to cholerne.

Zatrzymała się raptownie na wyżwirowanej ścieżce.

– Jak śmiesz wspominać mi o pogoni za sprawiedliwością, skoro przyjechałeś do Wiltshire z powodów, których sam nie jesteś

w stanie zdefiniować? Cokolwiek poświęciłam, przynajmniej zrobiłam to z własnego wyboru.

Przez moment stał nieruchomo, blokując drogę. A potem powiedział cicho:

– *Touché*.

Lisette poczuła, że cała drży.

– Zaproponowałeś wcześniej, że zostawisz mnie samą – odparła. – Czy mogę przyjąć propozycję teraz? Chciałabym posiedzieć chwilę w ogrodzie i nacieszyć się spokojem.

Ukłonił się sztywno.

– Oczywiście.

Nagle, pod wpływem impulsu, którego nie zdołała, a może nie chciała opanować, wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

– Przykro mi, Napier – powiedziała. – Żałuję... Och, jak bardzo żałuję, że nie spotkaliśmy się w innym czasie i miejscu. Wtedy żadne z nas nie musiałoby mieć sobie nic do zarzucenia, gdy to się skończy.

Napier wykrzywił wargi w sardonicznym uśmiechu.

– Możesz uznać mnie za głupca, lecz nie żałuję niczego, co zrobiliśmy – powiedział. – Jeśli odczuwam jakiś rodzaj żalu, to jedynie z powodu twojej rezerwy i braku szczerości. – A potem, ku zaskoczeniu Lisette, pochylił się i musnął wargami jej czoło.

Zanim zdążyła choćby odetchnąć, odwrócił się i pomaszerował ku stopniom werandy. Po chwili w świetle padającym z domu ukazała się jego sylwetka: szerokie ramiona oraz imponujący wzrost. Potem Walton otworzył szerzej drzwi i Napier zniknął, nawet się nie obejrzawszy.

Lisette stała, otulając się szalem i spoglądając na dom. Po kilku minutach dostrzegła zarys postaci mężczyzny przemierzającego długą galerię. Westchnęła i usiadła na pierwszej ławce, jaką znalazła.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że trzęsą się jej dłonie.

Teraz wiedziała już, że Napier nie zadowoli się tym, iż zmusił ją, by pomogła mu tutaj, w Wiltshire. Ani tym, że mu się oddała.

Nie, chciał, by otwarła sobie żyły, by prawda trysnęła z niej niczym krew. By powiedziała mu o wszystkim, także o sprawach, z którymi nie miała odwagi dotychczas się zmierzyć.

Cóż, tego zrobić nie może. I nie zrobi. W końcu, przetrwała już większe zawieruchy, niż Napier byłby zdolny rozpętać.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że wytrwa w postanowieniu mimo pogłębiającej się namiętności.

Denerwowała ją własna głupota. Podobnie jak bezpańskie koty, polegała w pełni na instynkcie. Jako Jack Coldwater, androgyniczny, rudowłosy reporter, bratała się z przestępcami i wszelkiej maści łotrami – a także bardziej niebezpiecznymi od nich politykami – by zebrać materiał dla „Chronicle". Podążała za Lazonbym do jaskini hazardu i plątaniny ciemnych uliczek, a raz nawet do zakazanej dzielnicy Whitechapel, wypatrując pilnie czegoś, co mogłoby zaprowadzić go z powrotem na szubienicę.

Przetrwała to wszystko dzięki instynktowi.

Czyżby miał zawieść ją teraz z powodu wartego pożądania mężczyzny?

Och, z pewnością była na to zbyt mądra. Zbyt twarda.

A przynajmniej bywała taka kiedyś.

Zanim pojawił się Royden Napier i przejrzał ją na wylot.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w ogrodzie, rozpamiętując słabości swojego charakteru, a kiedy w końcu wstała, okazało się, że choć ochota do płaczu minęła i Lisette odzyskała nieco zwykłego opanowania, szczęka z zimna zębami.

Wbiegła na schodki werandy i podążyła śladem Napiera przez dom. Zegar w wielkim holu, ledwie widoczny w migoczącym świetle kinkietów, wskazywał kilka minut po północy. Minęła galerię i zaczęła wchodzić krętą klatką schodową, kierując się do wschodniego pawilonu.

Wytężyła słuch i podchwyciła cichy dźwięk gdzieś powyżej. Zamarła jak przerażony królik, wpatrując się w ciemność nad sobą.

Jakiś kształt oderwał się od balustrady i usłyszała znajome kroki zmierzające w kierunku sypialni Napiera. Uświadomiła sobie, że na nią czekał.

Lecz kiedy przyspieszyła, bez wątpienia po to, by zrobić coś... cóż, coś nieprzemyślanego i niemądrego, spostrzegła, że korytarz przed nią jest pusty. Drzwi sypialni Napiera były zamknięte na głucho i tylko słaba woń jego mydła do golenia świadczyła, że przed chwilą tam był.

Jak przystało na dżentelmena, czekał po prostu, by się przekonać, że wróciła bezpiecznie do domu. Było to miłe, choć czuła się też trochę rozczarowana. Stała przez dłuższą chwilę z uniesioną dłonią pod drzwiami jego sypialni, wahając się, czy zapukać.

Tylko co mogłaby mu powiedzieć?

Westchnęła, minęła drzwi i weszła do swego pokoju, gdzie Fanny przyszywała oderwany rąbek koszuli przy świetle nocnej

lampy.

Obrzuciła Lisette znad robótki wiele mówiącym spojrzeniem.

– Dobry wieczór, panno Lisette – powiedziała, odkładając szycie. – Pani fryzura wydaje się być cokolwiek... w nieładzie.

– Dlaczego nie jesteś jeszcze w łóżku? – Lisette opadła na krzesło przed toaletką i zaczęła wyjmować z włosów szpilki. – Lecz skoro już tu jesteś, może pomogłabyś mi powyciągać wstążki? Do licha, czy te włosy nigdy nie odrosną?

Fanny westchnęła, wstała i zabrała się do wyplątywania wstążek.

– Odrastają – powiedziała. – Poza tym, niektóre damy nadal noszą krótkie fryzury.

– Owszem – Lisette spojrzała ponuro na swoje odbicie w lustrze. – Ofiary zarazy.

– Jestem pewna, że nie tylko – zaprotestowała Fanny z nutką przygany w głosie. – Może w innych krajach, na przykład we Francji. Nie, proszę opuścić dłonie. Tylko mi panienka przeszkadza.

Lisette, zganiona, położyła dłonie na kolanach.

– O czym dzisiaj plotkowano, Fanny? – spytała lekko. – Słyszałam, że jutro przyjeżdża siostra panny Tarleton.

– O, tak. Pod schodami bardzo ją lubią. – Fanny starała się rozczesać szczególnie splątany lok. – Pani Marsh dostała od niej list. Wygląda na to, że panienka Anne, a raczej lady Keaton, spotkała tę Felicity Willet w kościele i się z nią zaprzyjaźniła.

– To w ten sposób Hepplewood poznał narzeczoną – zauważyła Lisette z namysłem.

– Tak, a lady Keaton jest zachwycona tym, że się zaręczyli – przytaknęła Fanny. – Przynajmniej tak napisała.

Zatem może Gwyneth się myli. Może Hepplewood nie skompromitował jednak panny Willet. Nie kochali się, to prawda, ponieważ niemal wyznał jej to podczas spaceru. Lecz może naprawdę się lubili?

Poczuła słaby przypływ nadziei. Boże, czyżby stawała się równie romantyczna i oderwana od rzeczywistości jak biedna Diana Jeffers?

– A co służba mówi o sir Philipie Keatonie? – spytała, zmieniając temat.

– Och, też jest lubiany. – Fanny odłożyła grzebień. – Marsh powiedział o nim nawet, że to prawdziwy dżentelmen.

– Gwyneth nazwała go mięczakiem.

Fanny prychnęła.

– Pewnie, w porównaniu z nią każdy wydaje się słaby i bez charakteru – odparła. – Aha, dałam ostatni kawałek papieru temu panu Jolleyowi. Prawdziwy z niego spryciarz, czyż nie? – Fanny wrzuciła szpilki do porcelanowej miseczki na toaletce. – I taki zaradny.

– Obawiam się, że nie wiemy nawet połowy – odparła Lisette.

– I nie chcemy wiedzieć.

Lisette podniosła wzrok i przyglądała się przez chwilę w lustrze, jak Fanny pracuje.

– Jesteś zawsze taka przenikliwa, Fanny – powiedziała po chwili. – I tyle wiesz.

Fanny podchwyciła jej spojrzenie w lustrze.

– Hm... – mruknęła. – Na czym polega kłopot, panienko?

Lisette spojrzała na swoje kolana. Zaczęła skubać skórkę przy paznokciu, co zawsze stanowiło zły znak. Robiła tak wtedy, gdy zamierzała postąpić naprawdę głupio. Obawiała się jednak, że nie zdoła trzymać się z dala od łóżka Roydena Napiera. Już łatwiej byłoby polecieć na Księżyc.

– Zastanawiałam się... – zaczęła – czy trudno jest... to znaczy, czy można uniknąć...

– Czego? – spytała Fanny szorstko.

– ...poczęcia – wykrztusiła wreszcie.

– Och, Boże. – Fanny wrzuciła garść szpilek do miseczki. – To się już stało, czy tak?

– Cóż, nie jestem pewna. Jeszcze.

Fanny zacisnęła z dezaprobatą usta.

– Cóż, trzeba przyznać, że ten pan Napier to rzeczywiście kawał chłopa – powiedziała – chociaż, jak na mój gust, trochę ponury, no i, jak twierdzi Jolley, lepiej mu się nie narażać.

Lisette obrzuciła mrocznym spojrzeniem odbicie Fanny w lustrze.

– Skąd wiesz, że chodzi o niego?

– A o kogóż by innego? – prychnęła Fanny. – Tego ślicznego lorda Hepplewooda z jego gładką gadką i zachowaniem dandysa? Nie, panienko, jest pani za mądra, żeby zadurzyć się w kimś takim. Ale Napier – wzdrygnęła się lekko – to zupełne przeciwieństwo tamtego. Różnią się od siebie aż za bardzo. Pomyślałabym dwa razy, panienko, zanim bym się zdecydowała ogrzewać łóżko temu czarnookiemu szatanowi.

– Prawdę mówiąc – zauważyła Lisette – oczy ma niebieskie. Widać to, kiedy podejdzie się naprawdę blisko.

Fanny westchnęła.

– Cóż, skoro podeszła panienka aż tak blisko – powiedziała, odstawiwszy ze stukiem miseczkę – nie mam co strzępić sobie języka. Panienka zaś lepiej zrobi, jak weźmie kalendarz i usiądzie tutaj przy lampie.

Rozdział 12
Jolley odgrywa włamywacza

Wygląda na to, że będzie padać – burknął Jolley następnego ranka, podając swemu chlebodawcy płaszcz przeciwdeszczowy. – Niepotrzebnie nadwerężyłem sobie łokieć, czyszcząc do połysku te wysokie buty.

Pomógł Napierowi włożyć surdut, uważając, by nie podciągnąć rękawów koszuli. A potem wziął szczotkę i oczyścił starannie materiał na klapach i ramionach.

Korzystanie z pomocy przy ubieraniu się było czymś, do czego Napier jakoś nie potrafił się przyzwyczaić. W przeszłości uważał coś takiego za wymysł bogaczy, którym nie chce się kiwnąć palcem, lecz Duncaster ostro mu to wyperswadował.

Włości bogatego dżentelmena, wyjaśnił, zapewniają zatrudnienie armii ludzi – od najniższego rangą chłopca stajennego po jakże utalentowanego Craddocka – i pozwalają im wyżywić rodziny. A służba w tak wspaniałej rezydencji jak Burlingame to dla tych ludzi powód do dumy.

Napier nie patrzył dotąd na to w ten sposób.

Ani, najwidoczniej, Jolley. Opuścił bowiem ręce i odrzucił szczotkę szerokim gestem.

– Zrobione – powiedział, poklepując się po kamizelce. – Jeśli na razie wystarczy panu porannego dopieszczania, lepiej pójdę spotkać się z tą Betty. – Napier rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. – Upewnij się tylko, że nie zostaniecie przyłapani – powiedział. – I dopilnuj, by panna Colburne nie wpadła w tarapaty.

Jolley skrzywił się z ręką na klamce.

– Może i jestem pierwszej klasy włamywaczem, potrafię też radzić sobie z zamkami równie dobrze jak z kobietami, ale jeszcze nie narodził się nikt taki, kto potrafiłby zapanować nad rudą kobietą, a nad tą akurat, to już na pewno, gdyby mnie kto pytał.

– Nie pytałem. – Napier spojrzał na niego ponuro. – Powiedz mi po prostu, gdzie te przeklęte buty.

– W garderobie, *sir*, tuż po lewej – odparł Jolley spokojnie – i tak się błyszczą, że będzie pan mógł zobaczyć w nich ten swój wielki nochal.

Co powiedziawszy, zamknął za sobą z hukiem drzwi, zostawiając Napiera niewyspanego i nie w humorze, by sam wciągnął rzeczone buty. Royden nie potrafił winić lokaja, tak jak by chciał. Biedny czort nie podjął się pracy dla niego dobrowolnie i to nie była jego wina, że Napier prawie nie zmrużył w nocy oka. Ani też wina Lisette.

Nie, jak zwykle, sam sprowadził na siebie kłopoty.

Już w butach, podszedł do okna przy łóżku i stał tam przez chwilę, spoglądając na jezioro i zastanawiając się, czy Jolley miał rację, kiedy mówił o rudych kobietach.

Ranek wstał tego dnia mglisty. Wilgoć nadciągała znad wody, przywierając do szyb niczym niepewność, jaka zakradła się do jego duszy. Powodowany impulsem, otworzył szeroko okno, wychylił się i zaczerpnął pełną piersią wilgotnego powietrza.

Uświadomił sobie, że kiedy miotał się nad ranem niespokojnie po łóżku, podjął decyzję.

Zabierze Lisette z powrotem do Hackney.

I to najdalej pod koniec tygodnia. Cokolwiek dziewczyna zrobi później – nawet jeśli ucieknie do Szkocji, Bostonu czy na włoską Riwierę – zdecyduje o tym sama. Nie potrafi sprawić, aby go pokochała. Ani się zmusić, żeby postawić ją przed obliczem sprawiedliwości. A sprowadzenie jej do Burlingame było szaleństwem najgorszego rodzaju. Takim, kiedy człowiek sam siebie oszukuje.

Od pierwszego spotkania w Whitechapel wiedział, że kobieta fascynuje go ponad wszelką logikę. A ostatni wieczór pokazał, że tam, gdzie chodzi o nią, nie może ufać ani swemu sercu, ani działaniu. Tęsknota wyzwalała w nim rodzaj szaleństwa, któremu nie potrafił się przeciwstawić. Wiedział też, że nawet gdyby była winna zbrodni – choćby i najcięższej – nie mógłby jej oskarżyć.

Jakoś by to sobie wytłumaczył, przynajmniej tak dyktował mu rozum.

Serce podpowiadało zaś, że Lisette jest niewinna.

Stał się widać jednym z tych ludzi, dla których prawda nie ma w pewnych okolicznościach znaczenia. Uwierzy w to, w co będzie chciał wierzyć.

Dla kogoś, kto postrzegał dotąd świat w czarno-białych barwach, to odstępstwo od zasad stanowiło swego rodzaju

wyzwolenie. Bo jeśli prawda nie miała znaczenia, może i to, co zrobił jego ojciec, nie było aż tak potworne? I może odejście ze służby, porzucenie kariery, która zarówno go frustrowała, jak dawała spełnienie, nie było wyborem samolubnym?

Lecz żadna z tych rzeczy nie miała nic wspólnego z Lisette pozbawioną możliwości szczęśliwego życia przez sir Wilfreda Leetona i niedoskonały, obfitujący w wypaczenia wymiar sprawiedliwości. Została zraniona tak mocno, iż sama przyznała, że nie jest pewna, czy potrafi odczuwać jeszcze ból.

Jednak, na Boga, on potrafił.

Za nich oboje.

Jedynym wyjściem było posuwać się naprzód. Zabrać stąd Lisette, zabezpieczyć jakoś sytuację w Burlingame, a potem wrócić do Londynu i złożyć rezygnację. Ponieważ to nie tylko swemu sercu nie mógł już ufać, lecz także temu, czy będzie w stanie wypełniać obowiązki jak należy. Przekroczył linię dzielącą czerń od bieli i nie zamierzał wracać.

Zważywszy, że wkrótce pojawią się w Burlingame sir Philip i lady Keaton z dzieckiem, ciotka będzie miała dosyć zajęcia, by zostawiła go w spokoju nawet pomimo nieobecności Lisette. Co więcej, jego teoria na temat anonimu się nie sprawdziła i zaczynał dochodzić do wniosku, że wysłał go raczej jakiś mąciwoda, nie zatroskany obywatel.

Przypomniało mu to o ponaglającym liście, jaki otrzymał od sir George'a. Spojrzawszy na zegar, uznał, że ma dość czasu, by odpowiedzieć. Przysunął krzesło do biurka. Uświadomił sobie, że choć brakuje mu zajęć, jakim oddawał się pod Numerem Czwartym, to nie aż tak bardzo, jak się obawiał.

Czuł, że mógłby prowadzić w Burlingame satysfakcjonujące życie i byłby równie zadowolony, jak potrafiłby być gdziekolwiek. Zwłaszcza gdyby opróżnił dom z wścibskich krewnych.

Nie był jednak wcale pewny, czy będzie kiedykolwiek szczęśliwy.

Poczuł, że znowu ogarnia go smutek i przeklął własną słabość. W chwilach takich jak ta tęsknił za czasami, kiedy wszystko było czarne lub białe. I kiedy był tak pewny każdej swojej decyzji. A także niestrudzony w pogoni – zarówno za sprawiedliwością, jak za kobietą.

Za dniami, nim zakochał się w Elizabeth Colburne, zaczął martwić o włości, zbiory i osierocone kuzynki. Następne będą zapewne szczenięta. Albo przeklęte róże w ogrodzie. Wyraźnie utracił dawną bezwzględność. Złagodniał. Zaczął sobie odpuszczać.

Chryste, ledwie poznawał samego siebie.

Był teraz zapewne lepszym człowiekiem. Oczywiście, że tak. Ale jakim kosztem? Kosztem swego serca?

Lecz skoro nie mógł mieć Lisette, czyż nie było tysiąca innych rzeczy, dużych i małych, ku którym mógłby zwrócić swoją energię, jeśli nie serce?

Nie daj Bóg, by Duncaster umarł wkrótce, postanowił jednak, że gdy tak się stanie, podaruje Gwyneth wdowi dom i zapakuje ciotkę wraz z panną Jeffers do pierwszego lepszego pociągu do Northumberland. Młoda dama może sama o siebie zadbać albo ozdabiać do woli przeklęty dom swego owdowiałego ojca. Wyglądało, że jest w tym dobra, zawsze na podorędziu z tymi wszystkimi skrawkami i szkicownikiem.

W Burlingame pozostałaby zatem jedynie Beatrice, i to pod warunkiem że wolałaby to od zamieszkania z którąś z sióstr. Napier mówił poważnie, kiedy obiecywał dziewczynce, że tutaj zawsze będzie jej dom, choć nie miał pojęcia, jak dałby sobie radę z opieką nad jedenastolatką.

Wydawało się to trudniejsze niż zarządzanie rozległymi włościami. I było równie ważne – jeśli nie bardziej. Co więcej, dziecko potrzebowało kobiecej ręki. Kogoś mądrego i opiekuńczego. Stanowczego, a zarazem łagodnego.

Uświadomił sobie, w jakim kierunku zmierzają jego myśli, i zaklął pod nosem, a potem zanurzył pióro w kałamarzu. Odsunął bezlitośnie na bok myśli o Lisette, napisał list do sir George'a i zszedł na śniadanie.

Pokój był pusty. Lisette wyszła, oczywiście, z pozostałymi. Zjadł samotnie i ruszył w kierunku biura.

Na próżno jednak. Craddock siedział przy rozpalonym kominku z przenośnym sekretarzykiem spoczywającym pod niebezpiecznym kątem na kolanie, lewą stopę – bez buta i pończochy – miał wspartą na stosie poduszek.

– Przepraszam, *sir* – powiedział, próbując odstawić sekretarzyk.

– Proszę nie wstawać – polecił Napier, powstrzymując rządcę gestem. – Co się stało?

Mężczyzna zaczerwienił się lekko.

– Obawiam się, *sir*, że mam atak podagry – powiedział. – Boli jak diabli. A ja sądziłem, że to choroba starych mężczyzn.

– Jest bardzo bolesna w każdym wieku – stwierdził Napier, podchodząc, by spojrzeć na spuchnięty, zaczerwieniony paluch. – Dobry człowieku, nie dasz rady założyć na tę stopę buta.

– Nawet pończochy – przyznał Craddock. – Jazda wierzchem nie wchodzi w grę.

– Nic nie szkodzi – zapewnił go Napier, prostując się. – Mój lokaj przewiduje opady, a rzadko się myli. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę go zapytać.

Craddock uśmiechnął się z trudem.

– Może chciałby pan przejrzeć zamiast tego wykresy hodowlane z farmy? – zaproponował.

Napier położył mu dłoń na ramieniu.

– Przede wszystkim chciałbym, aby pan zażył mocnej tynktury z opium i kwaśnych wiśni i położył się do łóżka – powiedział. – Najlepiej od razu.

– Pani Buttons zaraz mi ją przyniesie – odparł Craddock.

– Doskonale. Mam pomóc panu wejść na górę?

– Nie, dziękuję, *sir* – odparł Craddock, jeszcze bardziej zażenowany. – Z pewnością znajdzie pan sobie jakieś zajęcie?

– O, tak – powiedział Napier. – Na pewno coś wymyślę.

* * *

Jak przekonała się Lisette, na panu Jolleyu można było polegać. Po kolejnej nieprzespanej nocy przeglądała, punktualnie o ósmej trzydzieści, czwarty tom *Encyklopedii Britanniki*, zerkając od czasu do czasu na drzwi, kiedy minął je starszy, siwowłosy mężczyzna o zgarbionych ramionach, poruszający się tak, jakby zmierzał ku określonemu celowi.

Lisette wepchnęła tom na miejsce, chwyciła leżący z boku egzemplarz bajek, a potem policzyła do dziesięciu i ruszyła śladem Jolleya.

Nietrudno było trzymać się z daleka, wiedząc, dokąd lokaj się kieruje. Lecz kiedy przechodziła przez główny hol, z zaskoczeniem spostrzegła lorda Hepplewooda i Dianę. Stali w głębi galerii, pogrążeni w prowadzonej szeptem ożywionej rozmowie.

Tony, z masą potarganych loków, odziany w ciemnoniebieski surdut i pasującą do niego kamizelkę wydawał się jak zwykle zabójczo przystojny. Diana wyglądała jednak na zdenerwowaną. Hepplewood ściskał ją za ramię tuż powyżej nadgarstka, jakby próbował przed czymś powstrzymać.

Nagle, po ostrzejszej wymianie słów, Diana potrząsnęła głową, wyrwała się lordowi, minęła go, wbiegła do holu, pozdrowiła przelotnie Lisette i stukając obcasami, pospieszyła przez wysokie pomieszczenie o łukowym sklepieniu. Wyglądała, jakby ledwie powstrzymywała łzy.

Lisette się zawahała. Czuła, że powinna pójść za Dianą, lecz Jolley znikał już za zakrętem schodów.

Lord Hepplewood oszczędził jej decyzji.

– Proszę pozwolić Dianie odejść – powiedział, podchodząc. – To znowu mama – dodał ponuro.

Lisette poczuła, że różowieją jej policzki.

– Pokłóciły się?

– Niezupełnie. – Uśmiechnął się z przymusem. – Nikt tak naprawdę nie kłóci się z mamą, prawda?

– Lordzie Hepplewood – powiedziała pod wpływem impulsu – dlaczego nie mogę pozbyć się wrażenia, że jest pan lepszym człowiekiem, niż się wydaje? Prawdę mówiąc, czasami zastanawiam się, czy rzeczywiście taki z pana rozpustnik i utracjusz.

Uśmiechnął się, błyskając nieskazitelnie białymi zębami.

– Ach, droga panno Colburne! – powiedział. – Zatem uległa pani wreszcie mojemu czarowi? Z kobietami zwykle tak się dzieje. Nawet droga panna Willet musiała w końcu się poddać.

Lisette otwarła usta, żeby zaprotestować, ale nie okazało się to potrzebne. Lord Hepplewood skłonił się nisko, a potem wyminął ją i odszedł. Przez chwilę mogła tylko za nim patrzeć. Może był jednak szelmą. Nie wiedziała, i nie był to jej problem. Przezwyciężywszy impuls, by pobiec za Dianą, pospieszyła na piętro.

Jolley zwolnił ewidentnie po to, by mogła zobaczyć, jak znika za zakrętem. Podziękowała mu w duchu, a nim pokonała dwie kondygnacje schodów i plątaninę korytarzy, odchodził już, chowając coś do kieszeni.

Drzwi gabinetu lorda Saint-Bryce'a stały otworem.

Lisette wsunęła się do środka. Już miała zamknąć drzwi, uznała jednak, że gdyby miała zostać przyłapana, zamknięte drzwi będą wyglądały podejrzanie. Zamiast tego zostawiła je więc szeroko otwarte i zaczęła przeszukiwać metodycznie pokój, wyczulona na każdy dźwięk.

Pomieszczenie nie było duże. Przyjrzała się książkom na dwóch stojących obok kominka półkach. Żadna nie wystawała. Zerkając na drzwi, wyjęła dwa tomy, w które ewidentnie wsunięto jakieś papiery.

Oba dotyczyły tematyki rolniczej, a skrawki papieru okazały się po prostu zakładkami: jeden rachunkiem od szewca, a drugi notką od niejakiego pana Crawforda dotyczącą naprawy dachu

nad spichlerzem. Wsunęła tomy na miejsce i zajęła się szafkami na dokumenty.

Wyciągała po kolei szuflady, lecz wszystkie okazały się puste. Musiano opróżnić je niedawno, w środku nie było bowiem nawet kłaczka kurzu. Rozczarowana zajrzała za zasłony, a potem odwróciła trzy pejzaże w poszukiwaniu ukrytych dokumentów lub nawet sejfu.

Nic.

Podeszła do biurka. Okazało się zamknięte. Zniecierpliwiona szarpała za kolejne szuflady, na próżno jednak. Zaklęła pod nosem i przyjrzała się blatowi. Znajdowały się na nim: mocno zużyta suszka, pusty kałamarz, zabytkowe srebrne naczynko do topienia wosku, podniszczone i niekompletne – najwidoczniej trzymano je z powodów sentymentalnych.

Odłożyła naczynko i spojrzała na książki, ustawione w schludny stos na rogu. Były tam Biblia, słownik, rozprawa naukowa na temat hodowli zwierząt oraz modlitewnik, wszystkie noszące ślady częstego przeglądania. Przekartkowała pospiesznie każdy tom, lecz nie znalazła niczego.

A potem zamarła. Usłyszała kroki – lekkie i szybkie. Ktoś nadchodził korytarzem. Chwyciła pospiesznie tom bajek, podbiegła do drzwi i stanęła tyłem do nich, opierając jedną rękę na biodrze. Wyglądało to tak, jakby dopiero co weszła.

– Panna Colburne...?

– Och, Boże! – odwróciła się szybko, marszcząc brwi. – Pani Jansen, tu pani jest! Ale... gdzie ja jestem?

Pani Jansen nie wydawała się zadowolona.

– W gabinecie lorda Saint-Bryce'a – odparła z nutką dezaprobaty w głosie. – Gwyneth... panna Tarleton życzy sobie, by pozostawał zamknięty, dopóki wszystkiego tu nie uporządkuje.

– Naprawdę? – Starała się wyglądać na odrobinę tępą, co po ostatniej nocy nie przyszło jej ze zbyt wielkim trudem. – Drzwi były uchylone, pomyślałam więc... – Rozejrzała się po pokoju i potrząsnęła głową. – Wydawało mi się, że to powinien być pokój lekcyjny.

– Pokój lekcyjny?

– Tak, ale wszystkie drzwi na tym piętrze wyglądają podobnie, prawda? Przynajmniej dla kogoś nieprzyzwyczajonego do wspaniałych rezydencji. – Uśmiechnęła się niewinnie. – Tak czy inaczej, znalazłam w bibliotece tomik bajek i pomyślałam, że pokażę go Beatrice.

– Obawiam się, że skręciła pani w pewnym momencie w lewo zamiast w prawo. – Tu pani Jansen odwróciła się i zamknęła drzwi, odcinając Lisette odwrót. – Pokoje są swoim lustrzanym odbiciem albo prawie.

– Ale pani... właśnie zamknęła nas w środku – zauważyła Lisette, spoglądając niepewnie na zamek w drzwiach.

– Wyjdziemy inną drogą. – Mimo to nadal przyglądała się jej dziwnie. – Na pewno dobrze się pani czuje? – spytała. – Pani oczy, wyglądają trochę...

– Są zaczerwienione, wiem – Lisette znów uśmiechnęła się rozbrajająco. – To z powodu traw. O tej porze roku zawsze dokucza mi katar. Nie powinnam była spacerować wieczorem po ogrodzie z lordem Hepplewoodem.

– Ach tak – powiedziała guwernantka.

– Tak czy inaczej, wyjście jest...?

– Proszę za mną.

Podeszła do ściany, gdzie wisiał najmniejszy pejzaż i pchnęła kawałek gzymsu. Lisette poczuła się głupio, wcześniej nic bowiem nie zauważyła. Część ściany wraz z boazerią i obrazem odsunęła się, ukazując wąskie, nieoświetlone przejście. Pomimo mroku zauważyła, że jedna ściana zastawiona jest szafkami, zarówno stojącymi, jak wiszącymi, na drugiej zaś umieszczono otwarte półki, niektóre zapchane książkami i zabawkami. Najniższa mieściła starannie poukładane lalki, podczas gdy na tych powyżej stały miniaturowe mebelki.

– Jak pomysłowo – wymamrotała Lisette. – Co to za pomieszczenie?

– Dawny składzik kamerdynera – odparła pani Jansen, po czym dodała, wskazując na meble: – Trzymam tu trochę książek Beatrice, głównie jej zabawki.

Lisette przyklękła i spojrzała na miniaturową sofę.

– Jest śliczna.

Guwernantka zerknęła za siebie.

– Te szafki to jest, a raczej był, domek dla lalek Bei.

– Widzę. Ta to zapewne salon – odparła Lisette. – A tamta – dziecięca sypialnia. A tutaj... no proszę, maleńka kuchnia!

W oczach pani Jansen zabłysło wzruszenie.

– Beatrice twierdzi, że jest już za duża, by się tym bawić, lecz przyłapuję ją tu czasami, jak przestawia mebelki i wydaje lalkom polecenia. I wtedy wiem, że tęskni za ojcem – dodała, wyraźnie wzruszona.

– Bawili się razem? – spytała Lisette, wstając.

– O tak, dlatego urządził sobie gabinet na piętrze – odparła guwernantka. – Lord Saint-Bryce uwielbiał Beę.

Nagle jej twarz ściągnęła się, widocznie uznała, że powiedziała za dużo. A potem przyłożyła palec do ust i otworzyła drzwi na końcu przejścia.

– Och, Beatrice! – zawołała śpiewnie. – Spójrz tylko, kto przyszedł!

Dziewczynka siedziała przy długim stole, pochylona nad tabliczką. Długie loki przerzucone miała przez ramię i mozoliła się nad rachunkami. Na widok Lisette jej oczy pojaśniały. Odrzuciła kredę, która stuknęła głośno o blat.

– Panna Colburne – powiedziała, wstając, aby wykonać poprawny dyg. – Przyszła pani mnie odwiedzić? Chciałaby pani zobaczyć kolekcję liści?

– Prawdę mówiąc, przyniosłam tomik moich ulubionych bajek. – Zerknęła szybko na guwernantkę. – Jednak kolekcja liści wydaje się zdecydowanie bardziej interesująca. Pozwoli pani, pani Jansen?

– Och, jak najbardziej. Jest w niej teraz około pięćdziesięciu okazów. Skorzystajmy z okazji i sprawdźmy, czy Beatrice je wszystkie zidentyfikuje.

– Potrafię – pochwaliła się dziewczynka. Podeszła do głębokiej półki i wyjęła dwa grube albumy.

– Zatem, potraktujmy to jak wyzwanie – oznajmiła Lisette.

Dziewczynka usiadła obok panny Jansen, odwrócona plecami do drzwi. Nagle na pokój padł cień. Lisette podniosła wzrok i zobaczyła Napiera. Stał w progu, wypełniając framugę szerokimi barkami. Położył dłoń płasko na drzwiach i je pchnął.

Tę dłoń, która dotykała jej w tak intymny sposób wieczorem. Na samo wspomnienie przepłynęła przez nią fala gorąca, sprawiając, że miała ochotę uciec. Albo rzucić się bezwstydnie na przeklętego mężczyznę.

Pochwycił jej spojrzenie i wszedł. W jego oczach dostrzegła niewypowiedziane pytanie. Najwidoczniej on też zauważył skutki nieprzespanej nocy.

Nagle Beatrice go zobaczyła.

– Lord Saint-Bryce! – zawołała i podskoczyła.

– Dzień dobry, kochanie – odparł, skłoniwszy się leciutko. – Przeszkadzam?

– Miałam właśnie pokazać pannie Colburne liście – odparła Beatrice pospiesznie. – Chciałby pan popatrzeć? Panie myślą, że nie dam rady nazwać wszystkich, ale to nieprawda. Wiem, że to umiem.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem, dziecko. – Napier pochylił głowę w kierunku pani Jansen. – Pozwoli pani, *madame*?

– Oczywiście – odparła guwernantka. – Beatrice nie może się doczekać pańskiej codziennej wizyty.

Lisette nie miała pojęcia, że Napier odwiedza systematycznie pokój dziecinny, jednak zażyłość pomiędzy tymi dwojgiem rzucała się w oczy. Przypomniało jej to, jak mało o nim wie. Jak niewiele powiedział jej o powodach swojej wizyty w Burlingame, o swoich nadziejach, marzeniach czy też obawach... o ile takie miał.

– Wyjazd został odwołany? – spytała Bea z nadzieją. – Myślałam, że ma pan pojechać z panem Craddockiem.

– Pan Craddock niedomaga – odparł – odłożyliśmy zatem wyjazd o dzień lub dwa.

Rzeczywiście, ubrany był w strój do jazdy konnej: ciemny surdut i wypolerowane do połysku wysokie buty. Lecz żaden strój, choćby nie wiem jak elegancki, nie mógł złagodzić ostrych płaszczyzn jego twarzy ani zatuszować znużenia w oczach.

Pani Jansen podsunęła gościowi jedno z niewielkich krzesełek.

– Proszę usiąść, panie Napier.

Lisette przyglądała się, jak Napier składa długie ciało, próbując zmieścić się na krzesełku i wsunąć nogi pod stolik. Wyglądał cokolwiek zabawnie, zważywszy na długość tychże nóg oraz poważny wyraz twarzy, mimo to doceniła wysiłek. Opieka nad Beą mogła spaść wkrótce na jego barki, więc rozsądek nakazywał zbliżyć się przedtem nieco do dziecka. Lisette była akurat w wieku Bei, kiedy straciła ojca. Rozumiała zatem aż nadto dobrze, jak to jest być sierotą.

– Zatem do dzieła – Napier odchylił się na krześle, wyjął z kieszonki zegarek i otworzył kopertę teatralnym gestem. – Zróbmy to jak należy. Zawołaj, gdy będziesz gotowa, a zacznę mierzyć czas.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

– Raz, dwa, trzy, start! – wykrzyknęła, przewracając pierwszą stronę.

Zaczęła rzeczywiście tak, jakby chodziło o wyścig, wyrzucając z siebie z najwyższym pośpiechem: olcha, jesion, osika, buk. A kiedy dotarła do dębów: skalnego, szypułkowego i bezszypułkowego, wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać. Wreszcie, zakończywszy na wiązie górskim i cisie, zamknęła z hukiem album i rozpromieniona rozejrzała się po pokoju.

– Dziewięćdziesiąt trzy sekundy – oznajmił Napier, zatrzaskując kopertę zegarka – jeśli uwzględnić wybuch entuzjazmu panny Colburne.

– Rzeczywiście, trochę mnie spowolnił – zauważyła Bea z naganą w głosie.

Napier poruszył się, bez wątpienia po to, by wyprostować podkurczone nogi, i musnął mimo woli łydką nogę Lisette. Odsunęła ją gwałtownie. Nagła fala zmysłowego pobudzenia zaróżowiła jej policzki.

Oczywiście, arogancki diabeł natychmiast to zauważył. Spojrzał na nią ponad stolikiem, unosząc lekko brew.

Nagle ogarnęła ją niepowstrzymana chęć, by splatać mu figla. Uśmiechając się leciutko, wysunęła stopę z pantofla i przesuwała nią z rozmysłem w górę wysokiego buta, póki nie była w stanie pogłaskać palcami wewnętrznej strony kolana Napiera, a potem przesunęła ją jeszcze wyżej, wzdłuż jego uda.

Po czym nagle znieruchomiała. W oczach Napiera zabłysło ostrzeżenie, lecz była tam bez wątpienia i żądza.

– Mogę spojrzeć na twój zbiór, Beo? – spytała niewinnie, wsuwając na powrót stopę w pantofel. – Lubię mieć zajęte ręce... a czasem nawet stopy.

– Pastor powiada, że próżne dłonie to zachęta dla szatana – odparła dziewczynka, odwracając ciężki album – nie wspominał jednak nigdy o stopach.

Lisette wzięła album i zaczęła przewracać kartki, nie spoglądając przy tym na Napiera.

– Boże, to wszystko rośnie tu, w Anglii?

– Tak – odparła Beatrice. – Ale te w drugim albumie już nie. Tatuś zebrał je podczas podróży do Azji i Afryki przed moim urodzeniem. Nawet zanim urodziła się Gwyneth.

– Ojej, do Azji i Afryki – powtórzyła z należytym podziwem Lisette. – Brzmi ekscytująco.

– Tatuś był podróżnikiem – oznajmiła Bea dumnie. – Póki nie umarł mój najstarszy wujek. Potem musiał osiąść tutaj i spełnić obowiązek.

Zabrzmiało to tak, jakby powtarzała te słowa za kimś, nie bardzo wiedząc, co znaczą.

– Cóż, obowiązek to rzecz poważna – mruknęła Lisette, przypominając sobie opowieść Napiera o nieodpowiedzialnym dziedzicu zastrzelonym na Primrose Hill. – Ja nie byłam dotąd nigdzie, jeśli nie liczyć Bostonu.

– Oczywiście, że trzeba go liczyć – wtrąciła obronnym tonem pani Jansen. – Podobno Massachusetts to nasza najpiękniejsza kolonia.

Lisette nie pofatygowała się, aby sprostować. Zamiast tego uśmiechnęła się do Beatrice. Dziewczynka wzięła świeży liść z plecionego koszyka i jęła odrysowywać go na arkuszu grubego kremowego papieru.

Wyglądało na to, że po drugiej stronie kartki coś wydrukowano i Napier także przyglądał się Bei z uwagą. W jego spojrzeniu nie było teraz nawet cienia żądzy.

– A co z panią, pani Jansen? – zapytał, nie podnosząc wzroku. – Spędziła pani całe życie w Anglii?

– Cóż, prawdę mówiąc, nie – odparła. – Mieszkałam przez jakiś czas na kontynencie.

– I tam poznała pani męża? – zapytał Napier od niechcenia. – Wie pani, znałem pewną rodzinę o nazwisku Janson, przez o, z Northampton. Lecz pani nazwisko pisze się z holenderska, prawda? I czasami inaczej wymawia?

– Rzeczywiście, panie Napier, choć urodziłam się jako zwyczajna panna MacDonald z Glasgow. Mój świętej pamięci mąż był kupcem korzennym z Amsterdamu.

Napier wreszcie na nią spojrzał.

– Musi go pani bardzo brakować – powiedział, przyglądając się kobiecie w szczególny, wyważony sposób.

Pani Jansen zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

– Ja... tak, oczywiście – odparła. – Lecz mąż był ode mnie sporo starszy i nie byliśmy małżeństwem zbyt długo.

– Mam nadzieję, że to nie była przewlekła choroba – powiedział Napier z troską w głosie.

– Niedomagał przez kilka miesięcy. – Jej twarz posmutniała. – Coś z drogami żółciowymi, ale nie zrozumiałam nigdy, co konkretnie.

– Tragiczne – wymamrotał. – A interes?

– Zaczął podupadać, więc go sprzedałam.

– Cóż, zapewne tak było najlepiej. – Zmarszczył brwi i z nieobecną miną jął się poklepywać po kieszeniach.

– Cieszę się, że został sprzedany – powiedziała Beatrice, rysując żyłki w liściu – ponieważ Gwyneth sprowadziła ją, by ze mną zamieszkała. I nie pozwolę jej opuścić Burlingame, nigdy, przenigdy.

Napier dał sobie spokój z kieszeniami.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, spoglądając przepraszająco na panią Jansen – wygląda jednak na to, że wyszedłem bez mojego notatnika. Czy mogłaby pani poratować mnie kawałkiem papieru? Craddock powiedział przed chwilą coś, co powinienem był zanotować...

– Ojej. – Pani Jansen zrobiła przejętą minę i wstała, aby wysunąć szufladę. – Nie mam nic odpowiedniego – powiedziała, szperając – chyba że w moim pokoju. Mogłabym dać panu jedynie to. Druga strona jest czysta i można ją wykorzystać.

– Och, cokolwiek – powiedział Napier, machnął niedbale dłonią.

Odwróciła się z uśmiechem i podała mu kartkę kremowego papieru z nadrukiem.

– Dziękuję, uratowała mnie pani – powiedział, zapisując kilka liczb. – Craddock wyrzuca z siebie tony faktów oraz cyfr i spodziewa się, że je zapamiętam.

Lisette przyjrzała się kartce. *De Graff en Jansen*, widniało w nagłówku, wypisane ozdobnymi literami z mnóstwem pętli i zawijasów. Pod spodem znajdowały się trzy linijki tekstu w języku, którego nie potrafiła zidentyfikować.

Wyciągnęła rękę i przesunęła po nich palcem.

– Co tu jest napisane, pani Jansen? – spytała.

Dama oblała się znowu rumieńcem i pochyliła nad stołem.

– De Graff i Jansen – przeczytała, wymawiając nazwisko raczej jak Jonsen. – Importerzy Rzadkich Przypraw i Wybornych Herbat. Poniżej umieszczono nasz adres w Sint Antoniesbreestraat.

A kiedy Lisette spojrzała na nią, zaskoczona, wzruszyła z zakłopotaniem ramionami.

– Uznałam, że to byłoby marnotrawstwo wyrzucać dobry papier – powiedziała. – Używamy go podczas lekcji. Doskonale się nadaje.

– Bardzo rozsądnie – oznajmiła Lisette.

Napier złożył starannie kartkę i schował ją do kieszeni. Pomyślała, że wie, dlaczego. Nie musiała długo się nad tym zastanawiać, ponieważ ich uszu dobiegł odgłos szybkich kroków i po chwili do pokoju dosłownie wtargnęła Gwyneth, ewidentnie rozradowana.

– Chodź, Beo, szybko! – powiedziała, wyciągając do dziewczynki rękę. – Przyjechała Anne z dzieckiem! Ich powóz właśnie skręcił na podjazd!

* * *

Tego wieczoru do kolacji w Burlingame zasiadła niewielka, acz w większości wesoła gromadka biesiadników. Chociaż nie było ich zbyt wielu, Duncaster polecił otworzyć dużą jadalnię i rozstawić ogromny stół.

Chociaż Lisette z trudem zmuszała się, by nie wpatrywać się podczas posiłku w Napiera, zauważyła, że Anne, lady Keaton, jest ulubienicą rodziny i ukochaną wnuczką Duncastera.

Najbardziej atrakcyjna z sióstr Tarleton była drobną blondynką o ładnych oczach Gwyneth i ciężkich jasnych lokach Bei. Usposobienie miała jednak bardziej otwarte niż siostry. Jej wizyta wprawiła Duncastera w tak rzadki u niego dobry humor, że pomimo obecności panny Willet zarządził, by do każdego posiłku podawano najlepsze wino. W końcu Lisette poczuła, że kręci jej się w głowie.

Co się tyczy panny Willet, była ładną, jeśli nie piękną dziewczyną w wieku lat około dziewiętnastu. Na szczęście cień, jaki jej obecność rzucała na rodzinę, nie był na tyle głęboki, by czuli się szczególnie nieswojo, a i tak chłodna atmosfera przetrwała jedynie do chwili, kiedy podano rybę, ponieważ Duncaster zdawał się aprobować każdego, z kim zaprzyjaźniła się Anne. Nawet lord Hepplewood wydawał się zadurzony w swojej narzeczonej.

Stawiało to lady Hepplewood w niewygodnym położeniu. Musiała spoglądać z wyższością na dziewczynę, pozbawiona wsparcia Duncastera. Panna Willet mogła odnieść zatem wrażenie, że została przyjęta ciepło, a jeśli rzucała od czasu do czasu pełne niepokoju spojrzenia na lady Hepplewood, pozostali zdawali się tego nie zauważać.

Lisette nie miała okazji wypytać Napiera o papier zabrany z pokoju szkolnego, chociaż zżerała ją ciekawość. Wyglądało jednak na to, iż domownicy wylegli gromadnie, aby powitać Keatonów i ich maleńkiego synka, porwanego jednak zaraz do pokoju dziecinnego przez Beę i sprawiającą wrażenie bardzo kompetentnej nianię Keatonów.

Lisette przyglądała się Napierowi, siedzącemu pomiędzy panią Jansen a panną Willet. Chociaż nie mieli okazji porozmawiać od czasu przykrego rozstania poprzedniego wieczoru w ogrodzie, wyczuwała w nim starannie powściągane emocje. Spoglądał też na nią co rusz spod zasłony ciężkich powiek.

Oskarżyła go poprzedniego wieczoru, że działa w sposób nieracjonalny i że przyjechał do Wiltshire, goniąc nie wiadomo za

czym. I choć przyznał jej wtedy rację, w świetle dnia dostrzegła, jak bardzo była wobec niego niesprawiedliwa.

Napier się nie mylił. Nad domem i rodziną zawisło mroczne fatum. Nawet teraz, gdy wino lało się strumieniami i wznoszono kolejne toasty, czuła przebiegające jadalnię podskórne prądy, zimne jak kieliszek w jej dłoni.

Czy Napier podejrzewał o coś panią Jansen? Wydawało się to nieprawdopodobne. Znała go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że rozmowa w pokoju lekcyjnym nie była zwyczajną pogawędką. Pani Jansen zapewne również zdawała sobie z tego sprawę.

Wspomniała zimny dreszcz, jaki przebiegł jej po kręgosłupie, gdy guwernantka zamknęła za nimi drzwi gabinetu. Okazało się jednak, że był to lęk bez pokrycia, niewart, aby wspominać o całym incydencie Napierowi.

Kolacja zdawała się ciągnąć w nieskończoność, a ona czekała niecierpliwie, by zostać z nim choć przez chwilę sam na sam. I, co było bardzo niemądre, miała nadzieję na coś więcej. Chociaż wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie, pożądanie czyniło ją ślepą na niebezpieczeństwo. Niedługo jednak, o ile nie myliło jej przeczucie, nawet bardzo niedługo, opuści Burlingame i to, co płonęło pomiędzy nimi – czy była to miłość, pożądanie czy też szaleństwo – umrze śmiercią naturalną.

Jeśli chodzi o nią, dobrze wiedziała, jak to nazwać.

I nie była to słodycz i jasność, opisywana przez poetów, ale mroczne, bogate emocje, które legły jej kamieniem na sercu i spoczęły, zwinięte i gorące, w brzuchu. Pożądanie tak silne, że przenikało ją do szpiku kości.

Wiedziała, że to kara, która jej się należy. Spotkać takiego mężczyznę w zwrotnym momencie życia – cóż, można było jedynie skomentować, iż sprawiedliwość boża bywa czasami bardzo szybka. I nieubłagana.

Poza tym miejscem i czasem Napier z pewnością by się za nią nie uganiał, przynajmniej nie w romantycznym celu. Powinna raczej się modlić, by o niej zapomniał, a przynajmniej okazał na tyle silny, by utrzymać ich z dala od siebie. Ponieważ bardzo się obawiała, że jeśli o nią chodzi, z pewnością nie starczy jej siły woli.

Głos Gwyneth, proszącej o podanie sosu, przywrócił ją do rzeczywistości. Świadoma utkwionego w niej spojrzenia Napiera, wzięła do rąk sosjerkę, podała ją Gwyneth i grzecznie zwróciła się ku mężczyźnie u swego boku.

Sir Philip Keaton był mocno łysiejącym powściągliwym dżentelmenem w okularach w złoconych oprawkach. Lisette poczuła do niego sympatię, gdy wyznał nieśmiało podczas deseru, że jego matka była Amerykanką, a potem podzielił się z nią szczęśliwymi wspomnieniami z pobytu na uniwersytecie w pobliżu Bostonu. Kojarzył nawet gazetę wuja Ashtona, aczkolwiek zetknął się z nią jedynie przelotnie.

– Jestem zaskoczona, że pan ją pamięta – zauważyła.

– Cóż, mieszkałem w Cambridge, kiedy „Złoty Orzeł” spłonął, wypływając z portu w Bostonie – wyjaśnił. – Zdarzyło się to późno w nocy, a następnego dnia donosił o tym jedynie „Examiner”. Wydanie błyskawicznie się rozeszło i nie można było zdobyć ani egzemplarza.

– Tak, przypominam sobie – odparła z uśmiechem.

Rzeczywiście, pamiętała każde słowo, ponieważ był to dziennikarski debiut Jacka Coldwatera. Tamtego wieczoru Ashton upił się tak bardzo, że nie był w stanie wydawać poleceń, wepchnęła więc długie loki pod starą czapkę i założyła spodnie, po czym wybrała się sama do doków.

Liczyła na to, że w ciemności i panującym dookoła chaosie nikt się nie zorientuje, iż jest kobietą.

Niepotrzebnie się martwiła. Nikt nie poświęcił jej – ani jej notatnikowi – więcej niż jedno spojrzenie. Właśnie wtedy uświadomiła sobie, jak łatwo jest oszukać ludzi. Jak rzadko zaglądają pod powierzchnię rzeczy, wykonując niczym automaty codzienne czynności i widząc tylko to, co spodziewają się zobaczyć.

– Pomyślałem, że to niesamowita historia – kontynuował sir Philip, smarując starannie chleb masłem – to znaczy, że nikt nie zginął. Jakie były na to szanse, zważywszy na szalejące płomienie i lodowatą wodę, do której wskakiwali przerażeni?

Lisette cokolwiek niezdarnie odłożyła widelec.

– Nie wszyscy ocaleli – powiedziała cicho. – Jedna z dam zmarła następnego ranka.

– Ach, woda w płucach? – zapytał sir Philip smutno. – Skutki mogą być bardziej odległe w czasie, niż można by się spodziewać.

– Nie dlatego umarła – sprostowała Lisette. – Sprawa była znacznie dziwniejsza. Och, proszę mi wybaczyć, że poruszam takie tematy podczas rodzinnej kolacji.

– To raczej ja go poruszyłem – sprostował sir Philip uprzejmie. – A tak przy okazji, co stało się z „Examinerem”? Nadal wychodzi?

– Niestety, podzielił los tamtego statku – odparła lekkim tonem. – I także zatonął.

– Doprawdy, musimy rozmawiać o interesach podczas posiłku? – przerwała im lady Hepplewood, unosząc kieliszek i zerkając spod oka na pannę Willet. – Sir Philipie, proszę opowiedzieć nam raczej, kto przebywa podczas tego sezonu w mieście? I czy pański wuj znalazł męża dla tej ślicznej kuzynki?

Sir Philip się roześmiał.

– Obawiam się, że lady Emily jest zbyt wybredna, *madame* – odparł. – Wuj twierdzi, że czeka na księcia.

– To zwykły lord już nie wystarczy? – prychnęła lady Hepplewood. – Przekonywano mnie, że ona i Hepplewood mieli się zeszłego roku ku sobie.

– Ale wtedy nie byłem jeszcze Hepplewoodem, mamo – zauważył Tony żartobliwie, choć w jego oczach Lisette dostrzegła poirytowanie. – Dopiero czekałem na tytuł.

– A teraz jesteśmy wszyscy w żałobie – odparła jego matka kwaśno. – Zastanawiam się, czy miałeś w ogóle okazję poznać kogoś nowego.

– Obawiam się, że to ja za tym stoję – oświadczyła Anne stanowczo. – Zapraszałam Tony'ego regularnie na kolację, razem z kilkoma bliskimi przyjaciółmi. Trzymało go to z dala od salonów gry. Nie sądzę także, by tatuś wymagał ode mnie, żebym podczas żałoby nie jadła.

– W rzeczy samej – poparł ją Duncaster, dając lokajom znak, aby nalali znów wina. – To absolutnie stosowne, droga Cordelio, by chłopak jadał kolacje u kuzynki. Poza tym, ani Hep, ani Saint-Bryce nie życzyliby sobie, żebyśmy się aż tak umartwiali. Ośmielę

się twierdzić, że byliby oczarowani panną Willet i cieszyli się szczęściem Tony'ego.

– Bez wątpienia – mruknęła złośliwie lady Hepplewood.

– Jak długo będziesz mógł zostać, sir Philipie? – zapytał Duncaster, gdy napełniono kieliszki.

– Niestety, muszę wracać już jutro po południu – odparł gość. – Mamy w Izbie Gmin niezwykle ważną debatę. Wrócę jednak, by odwieźć panie do domu.

– Och, kochanie, zbyt nas rozpieszczasz. – Anne rzuciła mężowi spojrzenie pełne szczerego uczucia. – Philip uważa, że damy nie powinny podróżować pociągiem samotnie.

– Bo nie powinny – zgodził się z nim burkliwie Duncaster. – Zwłaszcza moje wnuczki.

Usłyszawszy to, Gwyneth przewróciła oczami. Hepplewood rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie i zmienił temat. Reszta posiłku upłynęła na rozmowach o tegorocznych debiutantkach i o tym, której z nich udało się zrobić najlepszą partię. Choć Anne nie zdjęła jeszcze żałoby, sir Philip zasiadał w Izbie Niższej parlamentu i dzięki temu byli na bieżąco ze wszystkim, co działo się w towarzystwie.

Kiedy tak przerzucano się nazwiskami, Lisette wymieniła z Napierem porozumiewawcze spojrzenia, a on wzruszył niemal niezauważalnie ramionami. Nie znali ludzi, o których mówiono i wcale im to nie przeszkadzało. Był to dziwnie podnoszący na duchu moment, jednak uświadomił jej po raz kolejny, jak bardzo żałuje, iż nie poznała Napiera w innych okolicznościach.

I że nie jest inną osobą.

Po kolacji zmieniali się przez jakiś czas przy fortepianie i nawet pannę Willet udało się namówić, by zaśpiewała czułą arię przy akompaniamencie narzeczonego. Lord Hepplewood okazał się bardziej uzdolniony muzycznie, niż można było sądzić, panna Willet zaś miała najczystszy, najbardziej nośny głos, jaki Lisette zdarzyło się słyszeć – chociaż z pewnością nie była w tej dziedzinie autorytetem.

Mimo woli zaczęła myśleć o tym, że Hepplewood dobrze wybrał. Panna Willet sprawiała wrażenie odpowiedniej kandydatki na żonę. Hepplewood wydawał się z tym zgadzać, ponieważ grając ostatnie akordy, spojrzał na dziewczynę tak czule, że w pokoju dało się słyszeć zbiorowe, acz ledwie słyszalne westchnienie.

Gwyneth, siedząca tuż za Lisette i Dianą, pochyliła się ku nim i wyszeptała:

– Boże, jest doskonała. Czyżby Tony'emu udało się osiągnąć coś poza stolikiem do gry, torem wyścigowym i burdelem?

– Nie bądź wulgarna, Gwyneth – zganiła ją Diana.

– Myślę, że on się naprawdę zakochał – zauważyła Lisette, pochyliwszy się ku nim. – A droga mamusia chyba nie jest z tego powodu szczególnie zadowolona.

Z pewnością żadna z nich nie miała śmiałości, by porozmawiać o pannie Willet z lady Hepplewood. Gwyneth wstała i zaproponowała partyjkę wista. Graczy wystarczyłoby na dwa stoliki, lecz pani Jansen wymówiła się koniecznością dopilnowania podopiecznej.

Lady Hepplewood chwyciła czarną laskę i pospieszyła za guwernantką, tym razem nie wyszczekując rozkazu, by Diana jej towarzyszyła. Mimo to Diana, uzyskawszy od panny Willet

obietnicę, że wybiorą się następnego dnia razem na długi spacer, ruszyła posłusznie za starszą damą, mamrocząc coś o tym, iż musi dokończyć szycia.

Tymczasem Duncaster zdążył przysnąć z głową opuszczoną na piersi. Wieczór dobiegł końca – jak zwykle, bardzo wcześnie. Nie minęło piętnaście minut, a Lisette opuszczała już salon pod ramię z Napierem, zdecydowana wyjść razem z nim.

– Czego dowiedziałeś się dziś rano? – wyszeptała, kiedy weszli do długiej galerii.

Nie udawał, że nie rozumie, o co jej chodzi.

– Poza tym, że głaskałaś mnie stopą po udzie? – wymamrotał, oglądając się za siebie. – Chyba tego, czego spodziewałem się dowiedzieć. Nie będziemy jednak rozmawiać o tym tutaj.

– Napier!

– Cicho bądź – powiedział stanowczo. – W tych korytarzach dźwięk niesie się niczym w gmachu królewskiej opery.

Nim weszli na schody i dotarli do kiepsko oświetlonego korytarza, czuła się już mocno zniecierpliwiona. Sypialnia Napiera była druga po prawej. Zatrzymał się przed drzwiami i położył dłoń na klamce, a potem odwrócił się, jakby chciał powiedzieć dobranoc.

– Zaczekaj. – Oparła dłoń na framudze, czekając z nadzieją, aż ją zaprosi.

Nie zrobił tego, lecz stał milczący i nieprzejednany przy drzwiach.

– Doskonale – powiedział cicho. – Czekam.

Lisette wiedziała, oczywiście, że powinna odejść, nie ryzykować więcej, niż już zaryzykowała. W jego oczach dostrzegała tego

wieczoru coś groźnego, mrocznego. Szczęki miał mocno zaciśnięte. Lecz była głupia.

– Potrafisz być bardzo uparty i bez serca, Napier – zauważyła w końcu, dotknięta. – Koniecznie chcesz, abym ja to powiedziała?

Skrzywił w sardonicznym grymasie usta.

– Nie byłem dotąd w stanie zmusić cię do niczego – powiedział – poza tym, żebyś mi tutaj towarzyszyła, czego w końcu oboje będziemy żałować.

– Może powinniśmy. – Zerknęła na niego, a potem przesunęła dłoń z framugi na jego pierś. – Martwi mnie raczej to, że... nie żałuję.

– Ach, znowu ten taniec z diabłem, czy tak? – stwierdził gorzko.

– Wbrew zdrowemu rozsądkowi, oczywiście. – Wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta.

Opanowanie Napiera prysnęło. Chwycił ją za ramiona, przyciągnął ku sobie, całował przez chwilę zachłannie, a potem się odsunął.

– Do licha, Lisette, jesteśmy głupcami – powiedział. – Byłoby lepiej, gdybyśmy w ogóle...

– Proszę, mogę wejść? – przerwała mu, spoglądając na zamknięte drzwi. – Przepraszam, powiedziałam kilka rzeczy, które nie były... Och, sama nie wiem! Ta wyprawa z tobą osłabiła moją wolę. Nie możemy tutaj stać, powarkując na siebie wzajemnie. Nie mógłbyś powiedzieć mi przynajmniej, czego się dowiedziałeś?

– Jeśli wejdziesz – ostrzegł ją – nie skończy się na rozmowie. Ja z pewnością na tym nie poprzestanę.

– A jeśli nie życzę sobie, aby się na tym skończyło? – spytała, spuściwszy wzrok. – Uważasz, że tak mało o ciebie dbam, aby nie brakowało mi tego... ciebie, kiedy to wszystko się skończy? Bym nie pamiętała twojego dotyku i za nim nie tęskniła?

Napier opuścił dłonie znużonym gestem.

– Przysięgam na Boga, czasami wydaje mi się, że mogłabyś wbić mężczyźnie nóż w serce i jeszcze go obrócić – zauważył ponuro. – Nie, nie wiem, co myśleć, Lisette. Czego ode mnie chcesz?

Otworzyła oczy i spojrzała na niego tak szczerze, jak tylko się ośmieliła.

– Chcę choć tego jednego wieczoru nie być samotna – powiedziała – ani sama. Chcę być z tobą. Spędzić z tobą wieczór. Po prostu. Tak trudno w to uwierzyć?

– Och, po prostu – wymamrotał. – Jak mężczyzna mógłby oprzeć się takiemu pochlebstwu?

– Nie przekręcaj moich słów – powiedziała. – Wiesz... wiesz, jak się przy tobie czuję. Miałam na myśli to, byśmy spędzili wieczór tak jak partnerzy... kochankowie mogliby go spędzić. Bez dogryzania sobie, udając, że jesteśmy zwyczajną parą.

– Tu nic nie jest zwyczajne – powiedział. – Ani normalne. Na tym polega problem, Lisette.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

– Czy aż tak bardzo pogardzasz sobą za to, że mnie pożądasz, Napier? – wyszeptała w końcu. – Czy nie ma dla mnie odkupienia?

– Lisette – powiedział i uniósł jej brodę. – Zareagowałaś zbyt ostro. Czy chciałbym, abyś mi zaufała? Tak. Ale ty tego nigdy nie zrobisz. Nauczyłaś się nie ufać nikomu i nie mnie to oceniać.

Jednak zeszły wieczór nie zakończył się zbyt dobrze dla żadnego z nas.

– To prawda, lecz środkowa część – uśmiechnęła się niepewnie – och, była po prostu cudowna. I namiętna.

Drobny mięsień koło jego ust zadrgał wymownie.

– Ach, zatem w pewnych okolicznościach, w zamian, powiedzmy, za określone przyjemności, dama byłaby w stanie tolerować, że jestem człowiekiem o zimnym sercu?

– Och, przyjemności wydają się niewątpliwe – wyszeptała, przysuwając się, by musnąć ustami jego policzek. – I to nie twoje zimne serce aż tak mnie intryguje. Chodzi raczej o... cóż, twój sztywny, choć doskonale ukształtowany... umysł.

– Ach – powiedział. – Umysł.

Wzruszyła z lekka ramionami.

– Widocznie podnieca mnie upór – kontynuowała. – To jedynie wytłumaczenie, zważywszy, jak dalece udało ci się mną zawładnąć.

Spojrzenie Napiera nie złagodniało, otworzył jednak szerzej drzwi o dobrze naoliwionych zawiasach.

– Cóż, moja droga, wobec tak monstrualnego łgarstwa nie pozostaje mi nic innego, jak tylko skłonić głowę i ulec. Wejdź, proszę.

Minęła go i weszła do pokoju. Łóżko zostało już przygotowane na noc, na kominku płonął ogień – słaba ochrona przeciwko wilgoci za oknem. Powietrze było ciepłe i przesycone męskim zapachem. Wiedziała, że nawet w absolutnej ciemności rozpoznałaby, czyj to pokój.

Na stole dostrzegła otwartą torbę na przybory kosmetyczne, a w stopach łóżka starannie złożoną koszulę. Pod stolik obok wepchnięto pantofle. Na blacie leżała książka z kopertą w charakterze zakładki. Była to sceneria tak intymna, tak osobista, że aż ścisnęło ją w sercu.

Napier uniósł brodę i szarpał niecierpliwie węzeł krawata.

– Na bocznym stoliku jest sherry – powiedział, wskazując mebel spojrzeniem – i trochę brandy. Poczęstuj się.

– Pozwól – powiedziała, podchodząc. – A może zaraz zjawi się lokaj?

Napier prychnął.

– Nie, jeśli go nie zawołam.

Lisette, która jako Jack Coldwater nosiła czasami krawat, nietrudno było uporać się z węzłem. O wiele prościej, niż stać blisko Napiera – na tyle blisko, aby czuć woń jego mydła do golenia, dobrze już teraz znaną mieszankę limetki, wawrzynu i czystego męskiego ciała. – Proszę – powiedziała cicho, opuściwszy dłonie.

Napier szarpnął za poluzowany materiał, ściągnął wprawnym ruchem krawat i rzucił na łóżko. Lisette podeszła do stołu i nalała obu trunków, przyglądając się kątem oka, jak Napier zdejmuje surdut.

Powiesił go w garderobie, a potem usiadł obok niej na małej sofie przy kominku. Jego okryte delikatnym płótnem ramiona wydawały się jeszcze szersze w porównaniu z talią, opiętą kamizelką. Wcisnęła mu kieliszek, czując się nagle bardzo zakłopotana.

– Zatem – powiedziała lekko, aby to ukryć – jak nam idzie? Mam na myśli zwyczajny wieczór we dwoje.

Napier zawahał się, a potem odwrócił wzrok.

– Czuję się zaskakująco po domowemu – powiedział. – I jest to całkiem przyjemne.

– Tylko całkiem? – Odchyliła głowę na oparcie sofy. – Boże, Napier, jesteśmy jak dwa bezdomne koty okrążające się nawzajem.

Parsknął głębokim śmiechem.

– Niech ci będzie. Jest bardzo przyjemnie – przyznał. – Wręcz obezwładniająco. Zadowolona?

– To dziwne, ale tak – wyszeptała. – A nawet szczęśliwa. Czasami. Z tobą. Ale powiedziałam to już w gajówce. I... mówiłam poważnie, Royden. Mam nadzieję, że kiedy to wszystko się skończy, spojrzysz wstecz i przypomnisz sobie, że dałeś mi zarówno przyjemność, jak i szczęście.

Napier milczał ze wzrokiem utkwionym gdzieś poza nią. Lisette odwróciła głowę w lewo, wędrując spojrzeniem po jego twarzy, ciemnych oczach i orlim nosie, które kochała tak bardzo. A także po linii szczęki, ocienionej już zarostem.

I te jego usta: szerokie, ruchliwe usta, które potrafiły zacisnąć się w wąską kreskę, aby w następnej chwili złagodnieć w wyrazie czułości zaprzeczającej pełnemu rezerwy zachowaniu.

Uświadomiła sobie, iż pokochała go tak bardzo, że wolałaby umrzeć, niźli go rozczarować. I to dlatego w nocy płakała. Royden Napier był przyzwoitym mężczyzną, jednym z niewielu, jakich spotkała.

Jak bardzo żałowała teraz, że nie posłuchała lady Anishy i nie wybrała światła zamiast mroku zemsty!

Westchnęła, uniosła dłoń i przesunęła delikatnie palcem wzdłuż linii jego szczęki.

– Nie sądzisz – powiedziała cicho – że gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, byli innymi ludźmi, choćby trochę, moglibyśmy stworzyć wspaniały związek?

Pochwycił jej dłoń i przysunął sobie do ust.

– Jestem dla ciebie za stary, Lisette – powiedział. – A przynajmniej tak sobie wmawiałem.

– Boże – zamrugała. – Nie możesz mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

– Za stary w sposób, który ma niewiele wspólnego z wiekiem – wyjaśnił spokojnie. – A tak przy okazji, mam trzydzieści cztery lata.

– To żadna różnica – skomentowała niecierpliwie. – A jeśli mowa o byciu dojrzałym ponad wiek, nie zapominaj, z kim rozmawiasz, Napier.

– Tak, zapewne.

W sypialni zapadła pełna zadumy cisza, przerywana jedynie potrzaskiwaniem ognia w kominku i uderzeniami kropel o szyby. Wisząca nad okolicą ciężka mgła zaowocowała w końcu deszczem. Napier siedział z głową zwieszoną niemal ponuro, wpatrując się w złocistą toń brandy i ogrzewając kieliszek dłońmi.

– Powiedz mi, że znalazłaś w gabinecie Saint-Bryce'a coś interesującego – odezwał się po dłuższej chwili.

Lisette wyprostowała się i potrząsnęła głową.

– Nic a nic – odparła. – Szuflady na dokumenty zostały opróżnione, i to niedawno. Nie znalazłam sejfu, ksiąg ani rejestrów. Biurko zaś było, co dziwne, zamknięte. Przekonałam się o tym na chwilę przedtem, jak pani Jansen mnie znalazła.

Napier zaklął pod nosem.

– Nic się nie stało – zapewniła go pospiesznie.

– Twoja obecność nie wydała się jej podejrzana?

– Jeśli już, to podejrzewała mnie raczej o to, że zachowuję się niemądrze, co mi się często zdarza. Na przykład teraz: siedzę tu z tobą, szczęśliwa, ignorując ryzyko, że złamiesz mi serce. Tak czy inaczej, przeprowadziła mnie stamtąd wprost do pokoju lekcyjnego.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Przepraszam – powiedział po chwili. – Przeprowadziła cię... dokąd?

– Gabinet i pokój lekcyjny są połączone pomieszczeniem, które było kiedyś składzikiem kamerdynera. – Odwróciła się ku niemu i podwinęła pod siebie stopę, a potem położyła dłoń z kieliszkiem na kolanie. – Obecny gabinet musiał być wtedy salonikiem śniadaniowym.

– Albo pokojem dziecinnym – zastanawiał się na głos. – W tych wielkich domach czasami znajdowało się pomieszczenie, gdzie przygotowywano posiłki dla dzieci. Czy będąc w gabinecie, można usłyszeć, co dzieje się w pokoju lekcyjnym i na odwrót?

Lisette potrząsnęła głową.

– Chyba nie, lecz gdyby ktoś znajdował się w składziku... Tak, wtedy raczej na pewno. Lecz pełno tam książek i zabawek Bei.

Głównie lalek. Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego ktoś miałby tam przebywać.

– Lalki, tak – wymamrotał, przenosząc wzrok na ogień. – Wspomniała o nich pewnego dnia w sadzie. Mówiła, że lalki mieszkają w magazynku i że bawiła się nimi, kiedy jej ojciec pisał listy.

– Hm... – Lisette odstawiła sherry. Nadal kręciło jej się w głowie od wina wypitego podczas kolacji. – Tak czy inaczej, nie dowiedziałam się niczego więcej. A teraz mów, co odkryłeś w związku z papierem wyłudzonym tak sprytnie od biednej pani Jansen?

Napier westchnął i osunął się niżej na sofie. Na stoliku przed nim spoczywał gruby tom, oprawny w marokin i zatytułowany: *Mapy geograficzne północnej Afryki*. Otworzył go i wyjął dwa arkusze grubego, kremowego welinu. Jeden był o trzy centymetry krótszy niż drugi.

– Spójrz – zachęcił ją. – Choć mogę ci już powiedzieć, że są identyczne. Jolley sprawdził znaki wodne, nawiasem mówiąc, holenderskie, jednak pierwszą kartkę, tę, na której napisano list, obcięto na górze.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– To nie może być przypadek – powiedziała. – I list wysłano do ciebie? Anonimowo?

– Tak, domyśliłaś się tego już kilka dni temu – przyznał. – Przyszedł do domu przy Eaton Square, zaadresowany, co bardziej interesujące, do barona Saint-Bryce'a.

Lisette właśnie go czytała.

– Boże święty, „zatroskany obywatel”? – wymamrotała. – I „jakieś łotrostwo”?

– Język nie jest wulgarny, prawda? – zauważył Napier ozięble.

– No cóż... nie – przyznała. – Jednak ktokolwiek napisał list, chciał cię tu sprowadzić. I znał twój nowy tytuł, a także adres domowy.

– A papier pochodził z szuflady pani Jansen – dodał.

Lisette skrzywiła się z powątpiewaniem.

– Tak, lecz każdy mógł go tam znaleźć.

– Tylko dlaczego miałby szukać? – zapytał. – To pokój lekcyjny. W każdym innym znajduje się go pod dostatkiem, no i nie trzeba odcinać nagłówka.

– Wygląda tak, jakby napisał go ktoś ze służby – zastanawiała się na głos. – Kto sprząta w pokoju szkolnym?

– Jane – odparł Napier ponuro.

– Jane? – powtórzyła zaskoczona Lisette. – Pokojówka, która opiekowała się lordem Hepplewoodem, kiedy Gwyneth i Diana były zajęte?

– Tak, tylko że Jolley twierdzi, iż dziewczyna jest niepiśmienna. To nie mogła być ona.

– Może wzięła papier dla kogoś innego? – zasugerowała Lisette.

– Nie sądzę.

– Zatem... pani Jansen? – Jakoś trudno jej było w to uwierzyć. – Ale dlaczego? A gdyby to ona napisała list, czy tak chętnie dałaby ci papier?

– Rzeczywiście, mogła chcieć pozbyć się Saint-Bryce’a – przyznał – ale nie sprowadzić mnie po to, bym zbadał okoliczności jego śmierci.

Lisette utkwiła w nim wzrok.

– Dlaczego miałaby chcieć pozbyć się Saint-Bryce'a?

Napier sprawiał wrażenie, jakby nie miał ochoty tego wyjaśniać. W końcu westchnął jednak głośno i powiedział:

– Wygląda na to, iż obie z Gwyneth rozpaczliwie pragną zamieszkać we wdowim domu. – Powtórzył, co powiedziała mu kuzynka. – Domyślam się, że Gwyneth kłóciła się o to z ojcem, zapewne nieraz.

– I obawiasz się, że damy uznały, iż Saint-Bryce stoi im na drodze do szczęścia? – Lisette zastanawiała się przez chwilę. – Zakłada to jednak, że przypuszczały, iż to ty go zastąpisz i że łatwiej im będzie cię przekonać. Musiałyby być jednak głupie, by wziąć cię za człowieka o miękkim sercu.

– Dziękuję bardzo – powiedział chłodno. – Obawiam się jednak, że już jej to przyrzekłem.

– Pani Jansen? Obiecałeś jej dom?

– Nie jej, Gwyneth – mruknął, wyraźnie zakłopotany. – W chwili słabości tamtego wieczoru, kiedy chichotałaś jak podlotek z Hepplewoodem.

– Aha, więc ja zachowywałam się jak podlotek, podczas gdy ty rozdawałeś majątek, który nie należał jeszcze nawet do ciebie – zaśmiała się Lisette. – Boże, Napier, ale z nas oszuści!

– Może właśnie nimi jesteśmy. – Uśmiechnął się, znużony, i odwrócił ku niej. – Ach, Lisette...

– Tak, mów dalej.

– Znów jest tak samo – powiedział, oparłszy się ramieniem o sofę. – Nic nie zmieniło się od tamtego dnia w gajówce. Pragnę cię tak rozpaczliwie, że to aż boli.

– Cóż, zatem. – Uśmiechnęła się lekko, zrzuciła satynowe pantofelki i usiadła Napierowi na kolanach, zwrócona do niego twarzą. – Pozwól, że wzmocnię jeszcze tę desperację.

Napier także się uśmiechnął, a potem ujął twarz Lisette w dłonie i przez chwilę ją całował. Powoli, leniwie. Uświadomiła sobie, że jest to ich pierwszy pocałunek niesprowokowany przez gniew ani nagły przypływ żądzy. Zamiast tego badali powoli wnętrze swych ust, podczas gdy Napier wsuwał palce głębiej w jej włosy. A gdy się odsunął, w jego oczach dostrzegła zarówno pożądanie, jak frustrację.

– Lisette – wyszeptał – czy to tylko tu i teraz? Tylko tyle mamy?

– To wszystko, co ma każde z nas. – Wytrzymała jego spojrzenie bez zmrużenia powiek. – Zabierz mnie do łóżka – wyszeptała, wbijając mu paznokcie w ramiona. – Proszę. Kochaj się ze mną.

– Uważaj, najmilsza. – Musnął wargami jej policzek. – Ponieważ nie jestem dżentelmenem, nieważne, ile tytułów przyczepię sobie do nazwiska. Co zaś się tyczy ciebie, ryzykujesz podwójnie. Wiesz o czym mówię, prawda?

– Że będę miała dziecko – powiedziała, wpatrując się w niego. Na ramionach czuł dotyk jej lekkich, ciepłych dłoni. – Ale nic się nie stanie. Liczyłam. Bardzo dokładnie.

– Ach tak.

Skinęła lekko głową.

– Liczyłam starannie – powtórzyła. – Jestem bardzo... przewidująca, jak widzisz. I całkiem dobra w rachunkach.

– Wolałbym, żebyś mnie aż tak nie kusiła – wyszeptał. – To... my... jest tak nierozsądne.

– Nierozsądne dla kogo? – Przesunęła dręcząco palcem wzdłuż jego szczęki. – Pożądasz mnie, przynajmniej trochę. I to już od tamtego pierwszego dnia w twoim gabinecie. Patrzyłeś na mnie wtedy tak, że trochę się bałam, iż możesz skorzystać z mojej niemądrej propozycji.

– Wiedźma – powiedział ochryple i ujął jej twarz w dłonie. – Nie wierzę jednak, że taka jesteś, Lisette. Nie jesteś tego rodzaju kobietą i...

– Nie przypisuj temu romantycznych odniesień – przerwała, odsunąwszy się nieco, żeby spojrzeć mu w twarz. – Nie rozumiesz? Właśnie tu leży ryzyko. Póki będzie chodziło jedynie o pożądanie, przyjemność, nie będzie to aż tak niebezpieczne.

– Ach, zapomniałem, twoja teoria na temat nieprzywiązywania się. – Głos Napiera brzmiał teraz obojętnie. – Myślałem, że już to przedyskutowaliśmy.

– Rzeczywiście – odparła szybko. – Dziś jestem jednak zmęczona. Samotnością. Pożądaniem.

– Lisette, to nigdy...

– Cicho bądź. – Przycisnęła mu palec do ust. – Ja się nie oszukuję. Za kilka dni wrócimy do Londynu. I do tego, kim i czym byliśmy.

– Dla siebie? – przesunął spojrzeniem po jej twarzy. – A kim byliśmy? Śmiertelnymi wrogami?

Zaśmiała się lekko i potrząsnęła głową.

– Nikim – powiedziała. – Byliśmy dla siebie niczym i nikim. Ledwie pamiętaliśmy o swoim istnieniu. Nie zostanę w Londynie, może wyjadę nawet z Brytanii. Nie próbuję zatem w żaden sposób cię... usidlić.

Ujął jej nadgarstek i ucałował puls.

– A gdybym to ja chciał usidlić ciebie? – wyszeptał.

– Szybko byś tego pożałował – odparła uczciwie. – I zawsze byś się zastanawiał...

Przyciągnął ją do siebie i zamknął jej usta pocałunkami.

Nie był pewien, kiedy tęsknota w oczach Lisette stała się dla niego nieznośnie bolesna. Chciała, aby dał jej przyjemność, i zamierzał właśnie to zrobić. Żaden zdrowy na umyśle mężczyzna by nie odmówił.

Całował ją zatem, jakby nigdy nie miał przestać, obejmując jedną dłonią jej kark, a drugą rozpinając guziki niebieskiej wieczorowej sukni. Jedwab był chłodny w dotyku, przeciwnie niż jej usta.

Zamknął oczy, niezdolny znieść pożądanie, jakie dostrzegał w spojrzeniu Lisette i to, jak omdlewała w jego ramionach.

A wszystko dlatego że już mu to nie wystarczało.

Pragnął, by całkowicie mu uległa.

A Elizabeth Colburne nie ulegała nikomu.

Mogła poddawać się jego pieszczotom po to, by zaznać rozkoszy, a do tego nie było już daleko, sądząc po przyspieszonym oddechu i szklistym spojrzeniu. Siedziała mu okrakiem na kolanach, odrzuciwszy w tył głowę. Rozpiął jej stanik i piersi wyskoczyły ku niemu, pełne i dojrzałe do pocałunków.

Nadal obejmując jej głowę, ssał sutki, aż wsunęła mu palce we włosy i jęła popiskiwać cichutko, a potem mamrotać, co chciałaby, aby z nią zrobił.

Z pewnością zamierzał jej posłuchać, i to od chwili gdy wprowadził ją do sypialni. W rzeczy samej, teraz nie byłby już

w stanie się powstrzymać, choćby nawet chciał. Wziął ją w ramiona, wsunąwszy jedną dłoń pod jędrną pupę, wstał i zaniósł na łóżko. Lisette odwzajemniała pocałunki, przesuwając usta wzdłuż jego szyi i szepcząc niewyraźne błagania. Długimi nogami obejmowała go w talii, a dłońmi za szyję, gibka niczym kot.

Posadził ją na skraju materaca i zaczął powoli rozbierać. A kiedy spróbowała mu pomóc, odsunął delikatnie jej dłonie, by nie przyspieszać biegu wydarzeń.

I nie ulec jej całkowicie.

– Cierpliwości, kochanie – wymruczał. – Chcę się tym nacieszyć.

Opuściła ręce i siedziała nieruchomo. Pragnęła go tylko z jednego powodu. A on zdecydowany był zrobić to po swojemu. Zawładnąć nią, choćby na godzinę czy dwie.

A może trzy, jeśli dobrze rozłoży siły.

I tak spojrzenie miała już zamglone z pożądania. Jedwabna suknia wznosiła się wokół jej talii niczym blada kałuża, połyskując na kremowej narzucie. Poluzował gorset Lisette, a potem go zdjął. Po gorsecie przyszła kolej na koszulę. Całował jej szyję, wędrując wargami wzdłuż obojczyka, a potem w dół, ku majtkom. Chwycił troczki w zęby i pociągnął, zatrzymał się tylko na chwilę, aby popieścić pępek czubkiem języka.

Westchnęła, dysząc. A potem uniósł ją, pozwalając, by reszta garderoby opadła i pozostały jedynie podwiązki i pończochy. Pozbywszy się także ich, szybko się rozebrał. Tym razem Lisette stała, obserwując go spokojnie.

Gdy rzucił koszulę na podłogę, wyciągnęła rękę i położyła mu ją na sercu. Zsunął spodnie oraz bieliznę, a wtedy przeniosła dłoń niżej.

– Powoli, kochanie – powstrzymał ją, popychając delikatnie z powrotem na łóżko.

Wsunął się na nią, przyciskając do materaca ciężarem swojego ciała i zaczął namiętnie całować. Jej głowa opadła na poduszki. Lisette wypuściła powietrze z płuc i położyła mu dłonie na ramionach. Wepchnął jej znowu język w usta, przesuwając nim zmysłowo wzdłuż jej języka, nie pozostawiającej złudzeń co do swoich intencji.

W odpowiedzi Lisette westchnęła i zamknęła oczy. Gęste rzęsy opadły ku bladym policzkom. Napier rozsunął nogi Lisette kolanem i zajął się jej piersiami, podczas gdy jego członek spoczywał, gruby i pulsujący wzdłuż alabastrowej bieli jej uda.

Nie sięgnęła po niego – nie przebiegła palcami po wrażliwej główce, jak się tego po trosze spodziewał. Leżała pod nim nieruchoma i przyzwalająca, jakby wiedziała dokładnie, czego pragnął.

Czego potrzebował.

Wziąć ją. Nie wbrew jej woli, nie, lecz skoro nie mógł kontrolować jej duszy, chciał zapanować przynajmniej nad ciałem. Objął dłonią nabrzmiałe piersi, przesuwając kciukiem po ciemnoróżowych sutkach i przysłuchiwał się przez chwilę, jak jej oddech przyspiesza. Dręcząc ją, póki pieszczota nie stała się zbyt trudna do zniesienia. Wtedy pochylił się i uspokoił ją czubkiem języka.

– Napier... – wyszeptała ponaglająco.

Jej cierpliwość – i zdolność pozostawania nieruchomą – były na wyczerpaniu. Zaczęła poruszać się niespokojnie, gładząc palcami jednej ręki jego plecy, a potem zsuwając ją niżej. Pochwycił jej palce, a potem skierował splecione dłonie w dół, pomiędzy rude kędziorki, i przesuwał nimi, póki nie pokazała się wilgoć.

Leżała, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami, z rozrzuconymi po białej poduszce włosami, błyszczącymi i jaskraworudymi. Wyglądała jak anioł – anioł, zesłany po to, aby pokazać mu piekło na ziemi.

Piekło tego, czego nie mógł mieć. Ani zachować.

Jednak przemijająca namiętność lepsza była niż nic.

Zastanawiał się gorączkowo, jak by tu odwlec moment rozkoszy i jeszcze bardziej ją podręczyć. Chciał nauczyć Lisette, jak się dotykać, kiedy on na nią patrzy. Zakosztować znowu językiem jej słodkiego węzełka. A może nawet poczuć na sobie ciepło jej ust.

Lecz była niedoświadczona i już wiła się pod nim – on zaś, cóż, musiał walczyć z własną niecierpliwością. Usadowił się zatem pomiędzy tymi niewiarygodnie długimi nogami i sycił wzrok widokiem, zastanawiając się, czy postępuje rozsądnie, utrwalając go sobie w pamięci, ponieważ już wkrótce wspomnienie będzie jedynym, co mu zostanie.

– Lisette – wyszeptał – jesteś piękna.

I mówił szczerze. Lisette, z jędrnym biustem, długimi, smukłymi kończynami i miękkim, kremowym zagłębieniem brzucha, zachęcającym, aby położyć na nim głowę, przypominała pełnego wdzięku źrebaka.

Spojrzała na niego zamglonymi oczami.

– A ty jesteś twardą, fizyczną doskonałością – wyszeptała. – Chodź. Wejdź we mnie. Pozwól mi poczuć, jak jesteś doskonały.

Wzdychała, błagając go wzrokiem, żeby posłuchał. Lecz Napier nie zamierzał się spieszyć.

– Teraz – wyszeptała.

Przesuwał dłońmi po alabastrowym wnętrzu jej ud, póki nie był w stanie wsunąć kciuków pomiędzy wilgotne fałdki, skrywające delikatny skarb.

Rozsunął je ostrożnie i wpatrywał się do woli w połyskującą od wilgoci, perłoworóżową skórę i słodki klejnot. Lisette wstrzymała oddech i zsunęła w dół rękę.

– Cierpliwości, kochanie – powiedział, dotykając jej delikatnie.

– Ach – wyszeptała, napierając biodrami na jego dłoń. – Proszę. Wejdź we mnie. Teraz.

Wyciągnęła znowu pospiesznie dłoń. Wiedział, że jeśli choćby go dotknie, będzie zgubiony. Nietrudno było jednak pochwycić tę dłoń i odsunąć na bezpieczną odległość.

– Napier – błagała, kręcąc biodrami. – Po prostu się pospiesz...

Lecz on był już zmęczony pośpiechem. Chciał nacieszyć się tym, co miał, choć było tego niewiele. Odwlec najdłużej, jak tylko zdarzy się to, co nieuchronne.

– Nie każ mi czekać – wyszeptała.

I nagle jakby opętał go diabeł.

Potem, kiedy odzyskał już zdolność myślenia, winił za to rozpacz. Jednak w tamtej chwili czuł jedynie czystą, męską frustrację.

Macając na oślep wolną ręką, odszukał w mroku krawat, rzucony przedtem niedbale na łóżko. I zanim zdążył się

zastanowić – i zanim Lisette zorientowała się, co zmierza – owinął jej nadgarstek materiałem, tworząc pętlę.

– Napier? – otworzyła szeroko oczy. – Co ty...?

– Pomagam ci zapanować nad niecierpliwością, kochanie – przerwał jej, zarzucając pętlę na drugi nadgarstek i zaciskając materiał.

Szarpnęła się, jakby chciała sprawdzić wytrzymałość węzła, ale nie było w tym determinacji. – Ach, zatem do dla mojego dobra, czy tak? – Coś płonęło teraz w jej oczach, nie była to irytacja, a już na pewno nie strach. – Mam zwyczaj wątpić, gdy słyszę coś takiego od mężczyzny.

– Niektóre kobiety wręcz o to błagają. – Poczuł, że jego lędźwie przeszywa dreszcz pożądania. – Nie, żebym pytał.

– Ojej, ależ jesteśmy aroganccy – zauważyła. – Wspomniałam o tym ostatnio?

– Chyba nie. – Zacisnął węzeł, zaniepokojony z lekka, że aż tak go to podnieciło. – Używałaś raczej słów: uparty, piekielny i... Jak to było? A, tak. Twardy.

– Lepiej, żeby było to dobre – stwierdziła ponuro, spoglądając na niego z dołu.

– Och, z pewnością będzie dobre dla mnie – wymamrotał, zaciskając kolejny węzeł. Lisette uderzyła grzbietem dłoni o zagłówek łóżka. – Ponieważ zamierzam robić z tobą, co zechcę. Uparcie i piekielnie, oczywiście.

– I twardo – mruknęła. Przesunęła spojrzeniem po jego członku, tak nabrzmiałym i grubym, że widać było żyły. – Bardzo... dosłownie.

– I to tak długo – związał nadgarstki Lisette razem i zakończył – jak tylko będzie to możliwe.

Wzdrygnęła się pod nim.

– Napier, proszę. – Teraz nie wydawała się już tak śmiała.

W końcu przykucnął, zadowolony ze swego dzieła: blade, smukłe ramiona Lisette spoczywały związane luźno za głową.

Czy mogłaby się jakoś oswobodzić?

Uznał, że byłoby to możliwe, chociaż niełatwe. Co więcej, był absolutnie pewny, że zdoła zająć jej uwagę na tyle, by tego nie próbowała.

– Musisz przyznać, Lisette – powiedział, przesuwając po niej spojrzeniem – że jak dotąd, to ty dyktowałaś w naszych relacjach warunki.

– Co takiego? – W jej głosie zabrzmiało niedowierzanie.

– To nieco upokarzające dla mężczyzny przekonać się, że ma ochotę reagować na każde skinienie kobiecego paluszka – kontynuował. – Ostrzegłem cię dzisiaj. Sugerowałem, byś tu nie wchodziła.

– Mimo to... jestem – odparła.

– Tak, całkowicie na mojej łasce. I ze wstydem przyznaję, że wygląda to bardzo erotycznie – choć wiem, że będzie musiało szybko się skończyć.

Zaśmiała się i szarpnęła mocno dłońmi. Węzeł wytrzymał, miękki, ale wystarczająco mocny. Na twarz Lisette wypłynął z wolna rumieniec. To nie była gra. Nie do końca.

– Napier – powiedziała z przekonaniem. – Rozwiąż mnie. Natychmiast.

– Pięć minut, Lisette – powiedział. – Tylko pięć minut... czy proszę o tak wiele?

– Pięć minut czego? – spytała załamującym się głosem.

Lecz Napier przesuwał już dłońmi wzdłuż ciepłego wnętrza jej ud. – Rozkoszowania się tym – powiedział, wytrzymując jej spojrzenie. – Och, Lisette, pozwól mi czuć przez chwilę, że mogę choć trochę cię kontrolować. A potem, jeśli ładnie poprosisz, tak, to cię rozwiążę.

– Royden – skarciła go. – To nie jest zabawne.

– Nie, ale podniecające jak diabli – powiedział. – A tak przy okazji, widzę, że teraz jestem Royden. Jak słodko brzmi to w twoich ustach, kochanie.

Nagle westchnęła. Tym razem nie szarpnęła za więzy, ponieważ przeciągnął kciukami przez jej kędziorki, gładząc delikatne ciało w pobliżu najbardziej wrażliwego miejsca.

– Na Boga, to uzależniające – wymamrotał, pocierając delikatnie łechtaczkę.

– Och – jęknęła cicho.

Pogładził znowu – baaardzo delikatnie – i Lisette zaczęła się trząść.

– Och, Lisette – powiedział z nutką ostrzeżenia w głosie. – Myślę, że to ci się podoba.

Zamknęła oczy.

– Dotknij mnie znowu – wyszeptała.

– O tak, zrobię to, kochanie, i będę kontynuował dopóty, dopóki nie zaczniesz błagać, bym przestał.

Sprawił coś więcej. Pochylił się i jął delikatnie skubać zębami skórę jej brzucha, sprawiając, że znów mocno zadrżała. A potem

uspokoił przygryzione miejsca, przesuwając po nich czubkiem języka, póki nie dotarł do wilgotnych kędziorków.

– Royden... – wyszeptała, kręcąc biodrami.

Odnalazł najczulsze miejsce. Przesunął po nim czubkiem języka raz, mocno i poczuł, że przeszywa ją dreszcz. Powtórzył to jeszcze dwa razy, delikatnie i drażniąco. A potem Lisette zesztywniała i rozpadła się pod dotykiem jego języka.

Boże święty! Nie spotkał dotąd kobiety, którą było tak łatwo – i tak mocno – podniecić.

Przyglądał się jej z pełnym oszołomienia podziwem. Zamierzał dotrzymać obietnicy i ją rozwiązać. Zamiast tego wsunął się na Lisette niczym dzika bestia, rozchyliwszy kolanem jej uda i wepchnął się w nią głęboko.

Wygięła plecy i krzyknęła cicho, przestraszona. Napier, na wpół oszalały z pożądania, chwycił się rękami zagłówka i pchał, pchał, i póki skurcze Lisette nie zanikły. Oczy miała szeroko otwarte, a dłonie zaciśnięte w pięści.

Ujeżdżał ją potem, przysłuchując się cichym odgłosom, wydawanym przez ich wilgotne, złączone ciała. Lisette uniosła kolana i uderzała mocno biodrami o jego biodra, zachęcając, by nie przestawał. Pchał zatem, zaciskając dłonie kurczowo na dębowym zagłówku.

Pot zrosił mu czoło. Wstrzymywał się, wykorzystując całą siłę woli. Dziesięć pchnięć później Lisette zaczęła znów pojękiwać i błagać o rozkosz, szepcząc jego imię. A także słowa... obietnice... których z pewnością nie będzie potem pamiętać.

Napawał się nimi, zatrzymywał w sercu. A potem uniósł się, podciągnął nieco wyżej i zaczął znów pchać. Było tak, jakby ktoś

rzucił na łóżko płonącą lampę. Lisette naparła biodrami na jego biodra i otworzyła usta do krzyku.

Napier nakrył je swoimi, powstrzymując krzyk. Była to ostatnia świadoma czynność, nim eksplodował. Rozkosz wybuchła mu w głowie, a żar wypływał z lędźwi i serca. Zadrżał przemożnie, poddając się rozkoszy tak intensywnej, że legła mu ciężarem na ciele, przyćmiewając wszelką racjonalną myśl.

Odzyskał świadomość po długiej chwili i przekonał się, że nadal spoczywa na Lisette. W kominku potrzaskiwał cicho ogień. Deszcz ustał i pokój pogrążył się w miękkim, białym świetle księżyca, wpadającym przez kotary, których żadne nie pofatygowało się zasunąć.

Uniósł się, stoczył na bok, sięgnął do szuflady przy łóżku i zaczął w niej grzebać, szukając noża, który miał zawsze na podorędziu. Lisette westchnęła.

– Nie ruszaj się – wymamrotał, przecinając tkaninę.

Materiał zsunął się, a dłonie Lisette opadły bezwładnie na poduszki.

– Boże, Napier – wymówiła chrapliwie – zapłacisz mi za to.

– Doprawdy, kochanie? – wyszeptał, przeczesując delikatnie palcami jej włosy.

– W końcu... – wymamrotała. – Może...

A potem przewróciła się na bok, złożyła głowę w zagłębieniu jego ramienia i głęboko zasnęła. Trzymał ją w objęciach, rozkoszując się ciepłem jej ciała i delikatnym unoszeniem się klatki piersiowej, gdy oddychała.

Boże, to było takie naturalne, naturalne i słuszne, leżeć na plecach, absolutnie zrelaksowanym, z Lisette u boku.

Zadziwiające, jak krzywizny jej ciała pasowały do jego ciała, a ciężar głowy na ramieniu wydawał się idealny. A kiedy pochylił się, by ucałować jej skroń, zapach jej włosów wydawał się taki... znajomy. Kojący.

Jak... dom.

Dom, który powinni mieć, ponieważ czuł, że Lisette jest dla niego stworzona. Wiedział o tym od jakiegoś czasu i był już zmęczony zaprzeczaniem prawdzie oczywistej. Na samą myśl o tym poczuł w kącikach oczu coś jakby... wilgoć?

Chryste. I co ma teraz zrobić?

Ożenić się z nią.

Po prostu rozwiązać największy dylemat, pozostawiając komuś innemu resztę.

Tak, mógł poślubić Lisette – zakładając, że udałoby mu się ją przekonać, aby za niego wyszła. Lecz rzadko nie udawało mu się postawić na swoim, jeśli się na coś zawziął. Nagle wydało mu się to najbardziej racjonalnym rozwiązaniem.

Tylko że wcale takie nie było, prawda? Logika, która rządziła do niedawna jego życiem, podpowiadała, że związek z Lisette wymagałby wielu przygotowań, a najważniejsza byłaby rezygnacja ze służby państwowej. Ponieważ Lisette – kimkolwiek była i co zrobiła – znaczyła dla niego więcej.

Wciągając w nozdrza zapach jej włosów, pocałował ją znowu, a potem utkwił spojrzenie w gipsowym plafonie nad głową. Wyglądało na to, że jego przeznaczeniem jest leżeć tutaj z Lisette, zakochując się w niej coraz mocniej z każdym oddechem unoszącym jej pierś.

Oddechem, który wreszcie się uspokoił. Royden odwrócił głowę i spojrzał na nią, spowitą księżycowym blaskiem. Masa rudych włosów wyglądała jak bogaty, czerwony mahoń, a blada, niemal opalizująca twarz była piękna w wyrazie zaspokojenia.

Jego panna młoda.

Czy było to możliwe?

Musi być. Jakoś tego dokona. Nie ośmielił się jednak pozwolić, by spała w jego pokoju zbyt długo. Z pewnością nie mógł zatrzymać jej tu na noc, choć bardzo tego pragnął.

Obudził ją pocałunkami, przyciskając usta do skroni. Poruszyła się i przeciągnęła jak kot.

– Ummm... – westchnęła. – Jestem obolała.

– Chryste, powinno się mnie wychłostać – wykrztusił, chwytając jej nadgarstek. – Pokaż.

– Nie tam – odparła ze śmiechem. – Trochę niżej, i nie sądzę, aby za tego rodzaju ból kochanek musiał przepraszać.

– Ach – westchnął, odprężając się.

Lisette spojrzała na niego oczami zamglonymi od snu.

– Byłeś jak zwierzę – wyszeptała. – To było... rozpustne, złe i absolutnie boskie.

Pocałował ją znowu, z wahaniem, jakby zrobiona była ze szkła.

– Zastanawiam się, czy nie odebrało mi rozumu – wymamrotał. – Mogłem zrobić ci krzywdę.

Przewróciła się na brzuch i pchnęła go z powrotem na poduszki.

– Och, sądzę że najbardziej ucierpiał twój krawat – powiedziała, kładąc się na nim. – Lecz jeśli poczujesz się przez to lepiej, mogę wymyślić jakąś karę. I nie będzie to chłosta. Nie byłabym w stanie

się zmusić. Choć chodzą słuchy, że niektóre damy z Covent Garden to potrafią za odpowiednią opłatą.

Bawiła się teraz pasmem jego włosów, uśmiechając się szelmowsko, lecz Napier nadal był na siebie wściekły. Och, Lisette nie była tak zupełnie nieuświadomiona. Nie można obracać się w półświatku Londynu, udając młodego reportera – a był pewien, że Lisette właśnie to robiła – nie dowiadując się przy tym i nie widząc rzeczy, o których dama nie powinna mieć pojęcia.

Jednak wiedzieć o czymś, a angażować się to coś zupełnie innego.

– Nie jesteś doświadczona – powiedział.

– Teraz już jestem. – Spoważniała i oparła brodę na jego piersi. – Ale być może uważasz mnie nadal za... cokolwiek zieloną? Bez wątpienia przywykłeś do kochanek, które...

– Ciii... – Przechylił głowę, spojrzał na Lisette i przycisnął jej palec do ust. – Jeśli miewałem inne kochanki, w co poważnie wątpię, to już tego nie pamiętam.

Parsknęła śmiechem.

– Straszny z ciebie kłamczuch.

Lecz Napier obawiał się, że to nieprawda. Z pewnością w tej chwili z trudnością przyszłoby mu przypomnieć sobie choćby imię innej kobiety, o twarzy nie wspominając. I nagle uderzyła go myśl, że w porównaniu z nią wszystkie wypadłyby blado.

Wsunął dłoń w gęste loki nad karkiem Lisette i przywarł ustami do jej ciepłej skroni.

– Zakochałem się, Lisette – powiedział cicho. – Po same uszy.

Poczuł, że zesztywniała w jego objęciach.

– Nie musisz tego mówić. – Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Napier, ty... po prostu nie musisz. Nie jestem taka.

– Och? – Uniósł pytająco brwi. – Jaka?

Odpowiedziała, uśmiechając się słabo.

– Wiesz, jak te kobiety, którym trzeba powtarzać w kółko...

– Co, prawdę? – Wzruszył ramionami. – Bo do tego to się sprowadza, Lisette. Zakochałem się w tobie.

– Och, Napier, nie mogę...

– Royden – przypomniał jej. – Pamiętasz?

Objęła dłonią jego twarz, a jej spojrzenie złagodniało tak, że niemal poczuł ból.

– Och, pamiętam. Nie powinnam jednak rozmawiać, oboje nie powinniśmy, o takich rzeczach. Proszę. Kochaj się po prostu znów ze mną, albo mnie wyrzuć i powiedz: krzyżyk na dr...

– Och, jeśli chcesz się z tego wyplątać – przerwał jej – będziesz musiała sama odejść.

Przewróciła się na plecy.

– Nie chcę – powiedziała cicho. – I na tym polega problem, a przynajmniej jego połowa.

– Ach. Wygląda więc na to, że znaleźliśmy się w kolejnym impasie. Albo na rozstajach.

Przez dłuższą chwilę leżała w milczeniu. Zegar na kominku tykał nieubłaganie, odmierzając uciekające sekundy.

– Nie chcę o tym rozmawiać, Royden – powiedziała w końcu. – Proszę, nie zmuszaj mnie.

Uświadomił sobie, że przełyka łzy i poczuł się paskudnie. Ścigał ją do Hackney, zmusił, by przyjechała z nim do Wiltshire – pod

fałszywym pretekstem, ponieważ tak było mu wygodnie – a potem, miast podziękować, odebrał jej dziewictwo.

A chwilę wcześniej przywiązał ją do swego łóżka i ujeżdżał jak dzikie zwierzę. Ale i to nie było najgorsze. Jak mogłaby teraz mu odpowiedzieć? Przytłoczona poczuciem winy, po latach pełnych rozczarowań, skąd mogła wiedzieć, co czuje?

Zapewne nie była w stanie. Chłód zaczął wkradać mu się do serca: absolutna pewność, że jeśli będzie naciskał zbyt mocno, Lisette po prostu ucieknie. Nadal się bała – Lazonby'ego i tego, co zrobiła. I bała się jego, na poziomie, którego nie potrafił zgłębić.

A gdyby uciekła, Bóg jeden wie, dokąd mogłaby się udać. Była o wiele za sprytna, aby odnalezienie jej było rzeczą łatwą. Och, w końcu by tego dokonał. Szukałby jej na krańcach świata. Lecz, ile czasu by to zajęło? I ile narobiłby przy tym szkód?

Nie, lepiej powściągnąć zniecierpliwienie. Polegać na chłodnej kalkulacji, która dotąd tak doskonale się sprawdzała.

Nagle Lisette przemówiła znowu, tak cicho, że ledwie było ją słychać.

– Wiem, że to z mojej strony nie w porządku – powiedziała, wpatrując się w sufit – ale nie mogę przestać się zastanawiać...

– Nad czym?

– Cóż... czy ją także kochałeś.

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Kogo?

Odwróciła się ku niemu. Jej twarz złagodniała.

– Lady Anishę – wyszeptała.

– Boże, nie! Kto naopowiadał ci takich bzdur?

– Nikt – odparła. – Sądziłam po prostu... wszyscy sugerowali...

Nagle zrozumiał.

– Wszyscy, poza mną i damą, o której mowa – powiedział zdecydowanie łagodniej. – Czy ją lubię? Tak, bardzo, chociaż obawiam się, że nasza przyjaźń nie przetrwa, zważywszy, kogo poślubiła.

– Jest ci z tego powodu smutno?

Czy było mu smutno? Najwidoczniej nie. Od wielu dni ledwie o niej pomyślał.

– Nie, życie ciągle się zmienia – powiedział. – Anisha wie, gdzie mnie znaleźć, gdybym był jej potrzebny. A Lazonby... Cóż, będzie się nią opiekował. Tego jestem pewny.

Lisette leżała skulona u jego boku, przeczesując mu palcami włosy na klatce piersiowej.

– A kiedy byłeś młodszy, zdarzyło ci się zakochać?

Chciał jej powiedzieć, że wie aż nadto dobrze, czym jest miłość, jeśli tego właśnie chciała się dowiedzieć. Zapanował jednak nad zniecierpliwieniem, przewrócił się na plecy i jął wpatrywać znowu w przeklęty plafon zadowolony, że Lisette wciąż mówi i że nie czmychnęła.

Może lepiej będzie porozmawiać przez jakiś czas o rzeczach płochych i bez znaczenia.

Tylko czy on był kiedykolwiek młody?

– Gdy miałem osiemnaście lat – powiedział w końcu – i byłem wysokim, niezdarnym młodzieńcem tuż po Oksfordzie, wmówiłem sobie, że jestem zakochany we wdowie po radnym.

– We wdowie? – Lisette uniosła głowę. – Naprawdę?

– O, tak – wyznał chłodno. – Wielbiłem ją z pełną zapału desperacją, na jaką może się zdobyć jedynie młody prawiczek.

– Ojej! Byłeś prawiczkiem w wieku osiemnastu lat?

– Z bólem przyznaję, że tak właśnie było. Ona miała blisko trzydzieści lat, była zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach i uwielbiała flirtować. Miała zwyczaj zerkać na mnie znad wachlarza, i to gdzie! W kościele! Zatem pewnej niedzieli po kolacji oznajmiłem z dumą, że chcę się o nią starać. Ojciec był wściekły i niemal mi tego zabronił.

– Ojej – wymamrotała. – Bardzo nierozsądne z jego strony.

Napier się roześmiał.

– Zapewne – przyznał – nie wspominając, że był to przypadek, kiedy kocioł przygania garnkowi, zważywszy, jak sam kiedyś postąpił. Byłem jednak młody, jurny i wyobraziłem sobie, że mam złamane serce.

– I co zrobiłeś?

– Och, to co zawsze robią młodzi mężczyźni, kiedy są napaleni, rozgorączkowani i ktoś się im przeciwstawi – odparł. – Przysiągłem, że będę kochał damę do śmierci i zacząłem adorować ją potajemnie, co jej bardzo odpowiadało, a mnie nie przysparzało cierpienia. I to powinno było stanowić wskazówkę.

– Wskazówkę? – Lisette spojrzała na niego, nie rozumiejąc. – W jakiej sprawie?

– Takiej, że dama i ja mieliśmy inne oczekiwania – powiedział. – Choć spędziliśmy wiele nocy, wychodząc naprzeciw jej oczekiwaniom.

– A twoim nie...?

Napier spochmurniał.

– Jak się okazało, nie zamierzała mnie poślubić – powiedział – ani, prawdę mówiąc, afiszować się z żółtodziobem świeżo po

uniwersytecie. Chyba że w inny sposób nie mogłaby dostać tego, czego było jej trzeba.

– A cóż to było takiego? – Lisette zmarszczyła czarująco brwi. – Twój majątek?

– Daj spokój, Lisette, nie miałem wtedy majątku. Byłem młodym prawnikiem i to wszystko. Dysponowałem jednak czymś, czego dama pragnęła, i przez jakiś czas dawałem jej to z niesłabnącym entuzjazmem.

Lisette otworzyła szeroko oczy. Wreszcie zrozumiała.

– Ach – powiedziała tylko.

– W rzeczy samej – przytaknął, podkładając ramię pod głowę. Boże, nie myślał o pulchnej pani Minter od lat. – Straciłem zatem dziewictwo i serce, a w końcu także ukochaną.

– Co się z nią stało?

– Poślubiła podstarzałego kupca żelaznego, który zbił majątek, sprzedając przybory do kominka na Strandzie – powiedział. – Mąż jednak, jak mi wyjaśniła, okazał się tak słabowity, że wolałby iść do łóżka z kurczakiem zamiast z żoną. Byłbym zatem bardzo mile widzianym gościem i mógłbym odwiedzać ją niemal każdego wieczoru, oczywiście gdy kurczaki usadowiłyby się już na grzędzie.

– Rozumiem – odparła Lisette domyślnie. – I co, odwiedzałeś ją?

Napier skrzywił się lekko.

– Nie – odparł. – Chociaż z zapałem oddawałem się igraszkom, nie chciałem dodawać cudzołóstwa do długiej listy moich grzechów.

Lisette zachichotała i zakryła usta dłonią.

Odwrócił się i spojrzał na nią, starając się, by jego twarz miała łagodny wyraz.

– Wydaje mi się – powiedział spokojnie – że zadałem ci kiedyś podobne pytanie, lecz nie zechciałaś na nie odpowiedzieć.

Westchnęła.

– Przeciwnie, powiedziałam, że kilku młodych ludzi próbowało mnie adorować – odparła. – Jak przypuszczam, zakładali, że odziedziczę to, co zostało z wydawniczego interesu wuja.

Napier dostrzegł okazję, żeby zapytać o coś, co go od dawna nurtowało.

– Lisette, czy Ashton od początku zamierzał zmusić cię do pracy w gazecie?

– Nie – odparła, spoglądając przed siebie z zagadkową miną. – Zgodził się nas przyjąć, ponieważ lord Rowend mu płacił. Poza tym Ellie by się do tego nie nadawała. Gdyby umysły były jak skrzydła, nie przefrunęłaby z jednej strony ulicy na drugą. Ale na pewno dobrze wyszłaby za mąż i przyniosła Ashtonowi dochód, ponieważ była taka ładna.

Napier ujął Lisette pod brodę i spojrzał jej w oczy.

– Owszem, była ładna tak, jak ładny jest kwiat róży. Ty jesteś piękna w sposób, który nie przemija z wiekiem. A także inteligentna. Zdeterminowana. Tylko głupiec mógłby przedłożyć nad wszystkie te cechy zwykłą urodę.

Potrząsnęła głową, więc ją puścił.

– Nie żałuję tego, jaka jestem – powiedziała. – Nigdy nie żałowałam. I tak, miałam starających się, ale nigdy nic z tego nie wyszło. Byłam zbyt zaabsorbowana myśleniem o Lazonbym. O tym, jak uniknął śmierci, podczas gdy tatusiowi, Percy'emu

i Ellie się nie udało. I że pewnego dnia wytropię go jak psa, którym jest.

Tym razem Napier nie był na tyle głupi, aby próbować uśmierzyć jej gniew.

– Jednak schwytaliśmy go i wsadzili do więzienia – powiedział łagodnie. – Nie poczułaś się na tyle wolna, by zająć się swoim życiem?

Wzruszyła ramionami.

– Zapewne, lecz później wuj umarł i próbowałyśmy z ciotką utrzymać gazetę. Byłyśmy zdesperowane, i wszyscy o tym wiedzieli.

– Rozumiem – powiedział z wolna. – To właśnie wtedy stałaś się... – Nie bardzo wiedział, jak to ująć.

– Czym? – Ściągnęła znów brwi i wyglądała z tym tak uroczo, że nie był w stanie się skupić.

– Jackiem – powiedział w końcu.

Wrzucił to imię niczym śmiertelny pocisk wprost w środek łóżka.

Jej twarz straciła wszelką barwę. Było za późno, by cofnąć wypowiedziane słowa.

I po co miałby to robić?

– Daj spokój, Lisette – powiedział zatem – nie ma co dłużej udawać. Oboje wiemy, że Jack Coldwater nie istnieje.

– Powiedz to Lazonby'emu – odparła krótko.

– Lazonby opowiedział po prostu historyjkę, której prawdziwość trudno byłoby udowodnić albo też ją podważyć – odparł Napier. – I zrobił to w bezczelnie ironiczny sposób.

Nie patrzyła teraz na niego.

– Najwidoczniej musisz sam zdecydować, co jest w tej sprawie prawdą.

– Zdecydowałem już przed kilkoma tygodniami – powiedział łagodnie. – Nadal nie wiem, kto zabił sir Wilfreda ani dlaczego. Najprawdopodobniej zrobiłaś to ty, a może Lazonby lub nawet lady Anisha... Do licha, może łajdak sam się zastrzelił lub zrobił to kamerdyner. Nie jestem pewny, czy jeszcze zależy mi, by poznać odpowiedź.

– A jednak o tym rozmawiamy – odpaliła. – Ciekawe dlaczego?

– Ponieważ, Lisette, staram się zrozumieć... ciebie.

– Zrozumieć mnie...? – Odwróciła się od niego i usiadła na łóżku, podwinąwszy pod siebie nogę. – Powiedz mi, Napier: uważasz mnie za szaloną? Niebezpieczną?

– Co takiego? – zdziwił się.

Uświadomił sobie, że przecenił intymność. Wyciągnął do Lisette rękę, mając nadzieję, iż uda mu się naprawić to, co zepsuł.

– Oczywiście, że nie. Lisette, kochanie, chodź tutaj.

Ona skubała jednak palcami materac, odwrócona do niego plecami.

– I zrobiłam to, o co mnie prosiłeś? Pomogłam ci w dochodzeniu?

Opuścił rękę. Głos Lisette mroził krew w żyłach.

– Zrobiłaś więcej, niż prosiłem – powiedział. – Chryste, Lisette! Bałem się jak diabli, że jeśli dzieje się tu coś niedobrego, narazisz się na niebezpieczeństwo, próbując mi pomóc... Ale co ma to wspólnego z... tym?

Wstała. Dłonie jej drżały, lecz głos brzmiał zaskakująco spokojnie.

– Zawarliśmy w Hackney umowę – oznajmiła, podnosząc koszulę z dywanu. – Powiedziałeś, że zamierzasz mieć mnie na oku, póki nie upewnisz się, iż nie jestem szalona ani niebezpieczna. A wtedy, jeśli zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, dasz sobie spokój z tą sprawą. I obronisz mnie przed Lazonbym, gdyby zechciał się mścić.

– Na Boga, dotrzymam słowa.

Jednak Lisette wkładała już koszulę.

– Mimo to nadal mnie zastraszasz – powiedziała. Jej głos, stłumiony przez materiał, ledwie do niego docierał. – Upierasz się, aby wydobyć ode mnie coś, co chcę zachować dla siebie, i próbujesz dostać więcej, niż oferuję: moje ciało. Namiętność. Nie chcę się od ciebie odcinać. Zależy mi na tobie, Roydenie. Naprawdę. Bardziej, niżbym chciała. Jesteś cudownym kochankiem. I... nie przeszkadza mi, że nie bywasz czarujący. Nie prawisz pięknych słówek.

Coś chwyciło ją za gardło, a jej twarz przybrała bolesny wyraz.

Napier stoczył się z materaca i obszedł łóżko.

– Zatem zależy ci na mnie i jestem cudownym kochankiem – powtórzył, przyglądając się, jak Lisette podnosi gorset i pończochy. – Wyznałem, i to nieraz, że cię kocham. Masz jednak łzy w oczach. Wybacz, jeśli nie potrafię tego dostrzec, ale w czym tkwi problem?

Wyprostowała się w końcu i spojrzała mu w oczy, na co niewiele kobiet potrafiłoby się zdobyć. Teraz wiedział już na pewno, że jego życie zmierza ku katastrofie.

– Problem – odparła, wpychając sobie pod ramię kłębek niebieskiego jedwabiu – polega na tym, że jeśli pójdziemy dalej tą

drogą, pewnego dnia obejrzysz się za siebie i wspomnisz tę rozmowę, chwilę, kiedy wyznałam ci prawdę, i stała się ona nagle dla ciebie przerażająco realna. Chwilę, kiedy dokonałeś trudnego wyboru, postanowiłeś nie robić nic i dalej mnie pieprzyć. A w końcu, kiedy pożądanie przygaśnie, zaczniesz się zastanawiać, czy nie poświęciłeś spokoju sumienia dla żądzy. I czy cię z zimną krwią nie uwiodłam.

Napier zacisnął dłonie, powstrzymując się z najwyższym trudem, by jej nie chwycić, nie rzucić na łóżko i nie wymierzyć klapsa.

– Lisette, ja cię nie pieprzę – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Kocham się z tobą. My się kochamy. A wszystko, co powiedziałaś poza tym, to bzdury.

– A jeśli nie? – Ruszyła ku drzwiom, ciągnąc za sobą pończochę, zwisającą z tobołka. – Tam, w korytarzu, zanim opanowała cię namiętność, nie chciałeś nawet mnie wpuścić. Powiedziałeś, że mogłabym wbić ci nóż w serce. Tymczasem ja praktycznie przepchnęłam się obok ciebie i wskoczyłam ci do łóżka. Z rozmysłem.

Postępował tuż za nią, zły i trochę przestraszony.

– Och, zatem to ty mnie dzisiaj uwiodłaś? – powiedział. – A potem przywiązałaś się do mojego łóżka i zmusiłaś, bym kochał się z tobą do utraty tchu, osiągnąwszy erekcję, jaka nie przydarzyła mi się, odkąd zacząłem się golić? Cóż, to była rzeczywiście sprytna sztuczka.

Odwróciła się gwałtownie, z twarzą pobladłą i zastygłą.

– Przecież jestem bardzo sprytna – wyszeptała. – Potrafię podnieść dwulicowość do rangi sztuki. To twoje słowa, nie moje.

Nie wypieraj się ich teraz, Napier, bo wrócą i będą prześladować cię do końca życia.

Oparł dłoń płasko na drzwiach.

– Nie zostałem uwiedziony, moja droga, odkąd pani Minter odebrała mi dziewictwo – wymruczał gniewnie – uważam również, iż jestem wystarczająco dorosły, aby odróżnić miłość od pożądania.

– Zabierz, proszę, rękę.

Nie posłuchał, lecz oparł się całym ciężarem na drzwiach.

– Znam różnicę – powtórzył z naciskiem. – A to, co wiem i czego nie wiem o tobie, nie ma tu prawie nic do rzeczy.

Pochyliła się i spojrzała mu twardo w oczy.

– Gdyby tak było – powiedziała cicho – to byś mnie nie zadręczał.

– Och, zaraz zadręczał! – Nadal opierał się o drzwi ramieniem, sztywnym jak przed kilkoma minutami jego erekcja. – Posłuchaj, Elizabeth, i to uważnie. Nie dam sobie tego wyperswadować. To, co do ciebie czuję, jest po prostu faktem.

Gniew zniknął, zastąpiony znajomym wyrazem znużenia. Potrząsnęła głową.

– Och, Napier, nie możesz być aż tak naiwny – odparła. – Nic nie bywa aż tak proste. A już na pewno nie fakty. Na ogół bywają zwyczajnie niewygodne. Zwłaszcza gdy chcemy, by świat wyglądał tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Kiedy rozpaczliwie staramy się dostrzec to, co chcemy widzieć, i żyć w poczuciu pewności. Lecz fakty nadal tam są, wchodzą nam w paradę, nawet jeśli na jakiś czas uda nam się o nich zapomnieć.

Opuścił rękę. Dziewczyna wyminęła go i otworzyła z rozmachem drzwi.

– Lisette – powiedział, chwytając ją za ramię tak gwałtownie, aż upuściła pończochę. – Posłuchaj, na miłość boską. To szaleństwo. Zamierzasz wyjść stąd w samej koszuli?

– Uważasz to za szaleństwo? – odwróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem. – Chcesz, bym obnażyła przed tobą duszę i przyznała się do zamordowania sir Wilfreda Leetona, lecz martwisz się, że ktoś może zobaczyć mnie w bieliźnie? Masz pojęcie, jakie to zwariowane?

Przesunął dłońmi po włosach, zwalczając chęć, by złapać ją i wciągnąć z powrotem do pokoju. Stał tam jak głupek z gołym tyłkiem, zastanawiając się, co zrobić lub powiedzieć, by wszystko naprawić.

Lisette skrzywiła się, nie wiadomo: z pogardą, czy po to, aby powstrzymać łzy, a potem odwróciła na pięcie i wyszła.

Napier został tam, gdzie był, wpatrując się w pustkę. Czuł się zdesperowany. Oślepiony. Przychodził mu na myśl tylko jeden sposób, aby pogorszyć sprawę – mianowicie pójść za nią i zmusić, by wróciła do jego łóżka i dokończyła rozmowę.

Wiedział, że niczego takiego nie zrobi, rozważał to jednak w myślach, kiedy usłyszał dźwięk zatrzaskujących się drzwi, a potem głośne klik! Przekręcanego klucza. Zabrzmiało niczym naciśnięcie spustu w pistolecie pozbawionym naboju.

Tylko że on został już postrzelony. Czuł się równie zimny i pozbawiony krwi jak sir Wilfred spoczywający na kamiennej posadzce, podczas gdy życie wyciekało z niego niczym woda z ujęcia tuż obok. Tylko za oczami czuł znajome pieczenie.

Poniósł klęskę i Lisette go nienawidziła.

Jak to się mogło, u licha, stać? Czy naprawdę aż tak nie rozumiał kobiet? Czy jej uczucie do niego było tak kruche, że kilka niezręcznych słów czy postępków mogło zupełnie je zniweczyć?

A może Lisette miała rację? Czy jego miłość uwarunkowana była czymś, o czym dotąd nawet nie pomyślał?

Do licha ciężkiego, jeszcze trochę i oszaleje. Dokonała tego, co sobie zamierzyła: posiała w jego duszy zwątpienie. Sprawiła, że nie dowierzał własnemu osądowi.

Zmusił się, by podnieść zgubioną pończochę i zamknąć przeklęte drzwi. Wrócił do nocnego stolika, czując się niemal chory. Szuflada nadal była otwarta i z głębi połyskiwało ku niemu ostrze noża, dręcząc go w czystym białym świetle, przy którym snuł swoje nierealne fantazje.

Fantazje na temat panny młodej w blasku księżyca.

Powoli upuścił pończochę na łóżko, gdzie spoczywała już pocięta krawatka. Teraz wydawało mu się, że rozciął ją wieki temu. Boże, kochał Lisette.

Kochał!

Ale cokolwiek ich łączyło, wydawało się skończone. Lisette nie zamierzała go słuchać. Może nie otrzymać już drugiej szansy. Przez głupi upór zniszczył budzące się zaufanie.

Choć bardzo nie chciał tego przyznać, Lisette miała rację. Naprawdę ją zadręczał. Powtarzał w kółko ten sam błąd, chociaż błagała go, by tego nie robił. Coś ścisnęło go w środku. Szloch, który nie dobył się z piersi. Bolesna tęsknota w pustce, gdzie było kiedyś jego serce, która zapewne nigdy go nie opuści. Usiadł na łóżku, a rozpacz objęła jego duszę i ciało lodowatymi mackami.

Wsunął do szuflady drżącą dłoń i grzebał w niej przez chwilę na oślep, a potem wydobył zieloną przepaskę Lisette, owinął ją sobie wokół dłoni i mocno zacisnął, odcinając niemal zupełnie dopływ krwi. Nie puścił, póki ból nie zmienił się w odrętwienie, pulsujące w rytm jego serca.

Rozdział 13
Nasz „zatroskany obywatel” wyjawia wszystko

Lisette stała w otwartych drzwiach zielonej sypialni, przyglądając się dość obojętnie metamorfozie, jaka zaszła w pomieszczeniu. Było teraz piękne – ściany w kolorze beżu, draperie w pasującym do niego odcieniu szampana. Meble nie zostały jednak nadal ustawione. Dwie masywne bieliźniarki stały pośrodku, wraz z tuzinem pudeł i kufrów.

Zaczerpnęła oddechu, a potem zapukała we framugę.

– Mogę wejść?

Lady Keaton podniosła raptownie głowę.

– Och, panna Colburne! – Zerwała się ze stołka o trzech nogach, ustawionego pośrodku całego tego rozgardiaszu. – Co za miła niespodzianka! Gdzie pani była przez cały ranek? Brakowało nam pani podczas śniadania.

– Dzień dobry, lady Keaton. – Lisette rozejrzała się niepewnie i przystanęła tuż za progiem. – Jak się pani ma?

– Zaraz, czy nie mówiłyśmy sobie już po imieniu? – Drobna blondynka, ubrana w prostą czarną suknię, torowała sobie drogę

pośród otwartych pudeł i kufrów, odsuwając z czoła opadający lok. – Mam się bardzo dobrze, dziękuję. Ale, moja droga, zastanawiam się, czy ty również?

– Tak okropnie wyglądam? – Weszła głębiej do pokoju, ściskając w dłoniach chusteczkę, aby powstrzymać ich drżenie. – Muszę przyznać, że nie spałam tej nocy zbyt dobrze i jakoś nie mam apetytu.

– Przykro mi. Usiądź, proszę. – Anne ujęła jej dłoń. – Pomagałam Dianie i Gwyneth zrobić porządki w szufladach.

– Prawdę mówiąc, szukałam właśnie Diany i Gwyneth – wyznała Lisette, chowając zmiętą chustkę. – Marsh powiedział, że mogą tu być.

– Och, właśnie się z nimi minęłaś. – Anne pociągnęła ją ku drugiemu stołkowi, stojącemu obok starego podróżnego kufra z otwartym szeroko wiekiem. – Diana zerwała się nagle w środku roboty, mówiąc, że przypomniała sobie, iż obiecała wybrać się z panną Willet na spacer.

– Wydawało mi się, że mają pójść po południu.

Anne wzruszyła ramionami.

– Tak czy inaczej, po chwili zjawiła się tu ciotka. Chciała, by Diana towarzyszyła jej na plebanię, lecz skoro już jej nie było, Gwyneth zaoferowała się ją zastąpić.

– Co takiego? Gwyneth? – Lisette przycupnęła na stołku. – Jakie to...

– ...do niej niepodobne? – dokończyła Anne i posmutniała. – Tak, świadczy też niewątpliwie o tym, jak bardzo Gwyneth jest zdesperowana.

– Zdesperowana?

Anne znowu się uśmiechnęła.

– Zauważyłaś bez wątpienia, droga panno Colburne, że moja starsza siostra nie przepada za domowymi zajęciami – powiedziała. – A i Dianie, chociaż uwielbia bardziej artystyczne aspekty prowadzenia domu, codzienna rutyna wydaje się mało pociągająca. Zawstydziłam je obie i skłoniłam do pomocy, a teraz znów się wymknęły.

– Boże, zostawiając cię, żebyś sama to wszystko posortowała? – Dobrze było współczuć komuś innemu, nie tylko sobie. – Mogę jakoś pomóc? Nie miałabym nic przeciwko temu, naprawdę.

– Powinnam odmówić, jako że jesteś gościem. – Rozejrzała się, opierając dłonie na biodrach. – Z drugiej strony, ja także. A wkrótce wszystko tu będzie twoje i będziesz musiała jakoś się z tym uporać.

– Wolałabym, żeby ludzie przestali mi o tym na okrągło przypominać – zauważyła Lisette ze śmiechem.

– Tak czy inaczej, przyjmuję twoją uprzejmą propozycję – powiedziała Anne, zwróciwszy zatroskane spojrzenie na Lisette. – Będziemy miały okazję porozmawiać. Mąż twierdzi, że jesteś przerażająco dobrze wykształcona. Nie mogę się więc doczekać, by poznać cię lepiej.

– Jesteście oboje bardzo mili – powiedziała Lisette szczerze.

Towarzystwo sir Philipa przy kolacji sprawiło jej prawdziwą przyjemność, a jego żona też wydawała się nader życzliwa, do tego pozbawiona opryskliwości Gwyneth i posępnej rezerwy Diany.

Nie lubiła też jednak tracić czasu, wskazała bowiem otwartą szufladę.

– Pończochy wuja Hepa – powiedziała. – Wrzucamy rzeczy do trzech kartonów: „Do naprawy”, „Dla biednych” i „Śmieci”. Wyciągnij tę, jeśli chcesz i sama wszystko oceniaj. Wuj nie lubił niczego wyrzucać.

Lisette, wdzięczna za to, iż może się czymś zająć, zabrała się natychmiast do roboty.

– Wuj umarł przed kilkoma miesiącami, prawda? – spytała od niechcenia.

– Tak, lecz ciotka Hepplewood nie mogła się zmusić, aby posortować jego rzeczy. A Diana jakoś nigdy tu nie dotarła. Teraz trzeba przygotować pokój dla Tony’ego i Felicity. – Westchnęła. – Tak się cieszę, Elizabeth, że zostaniesz lady Saint-Bryce.

– Naprawdę? – zdziwiła się Lisette. – Dlaczegóż to?

Anne strzepnęła zmarszczki z nocnej koszuli.

– Och, to domiszcze nie miało od wieków nikogo, kto kochałby je tak, jak na to zasługuje – powiedziała, przyglądając się bacznie szwom. – Chyba odkąd umarła nasza mama. Gwyneth się stara, ale nie ma do tego serca.

– A matka Bei była osobą słabego zdrowia?

– Tak, choć bardzo miłą. – Anne poskładała koszulę i włożyła do pudła oznakowanego: „Dla biednych”. – A teraz pozwól, że trochę cię wypytam. Chciałabym wiedzieć, czemu zawdzięczasz te przerażające cienie pod oczami.

– To ta przeklęta jasna cera – odparła Lisette z rozpaczą. – Wszystko na niej widać.

– Ale dlaczego nie spałaś, moja droga? Nie mogę sobie wyobrazić, aby rozmowa z moim mężem przy kolacji okazała się aż tak pobudzająca.

Lisette się roześmiała.

– Twój mąż to fascynujący mężczyzna. I bardzo troskliwy.

– Dziękuję i w pełni podzielam to zdanie! – W oczach Anne zabłysło rozbawienie. – Papa uważał Philipa za nudziarza, lecz nie znał go tak dobrze, jak ja. Philip ma bystry umysł... i cięty dowcip, kiedy już kogoś lepiej pozna... Lecz nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Skąd ta zła noc?

– Och, dostałam list – skłamała Lisette ze wzrokiem utkwionym w pończochy. – Przeczytałam go dopiero po kolacji. Moja stara niania źle się czuje.

– Och, to okropne! – Ładna twarzyczka Anne posmutniała. – Nadal jesteście sobie bliskie? Najwidoczniej. Wydajesz się poruszona.

Lisette skinęła lekko głową.

– Mieszka ze mną. W Hackney. Chyba będę musiała wrócić do domu. Właśnie dlatego szukałam Diany i Gwyneth, żeby im powiedzieć.

– A ja dopiero przyjechałam. – Anne zrobiła smutną minę. – Moja strata. Saint-Bryce też musi być rozczarowany. A może odwiezie cię do domu?

– Ja... nie, raczej nie – odparła Lisette. – To znaczy, nie wie, że wyjeżdżam. Jeszcze mu nie powiedziałam.

– Ach. – Anne zerknęła na nią zmartwiona. – Cóż. Kiedy wyjeżdżasz?

– Rankiem – odparła. – Złapię wtedy pociąg, prawda?

– Pewnie. Jeżdżą przez cały dzień. – Anne chwyciła następną koszulę. – Boże, spójrz tylko na to! Była zszywana co najmniej osiem razy. Lokaj wuja miał siedemdziesiąt pięć lat. Był oddany,

lecz prawie ślepy, a wuj nie chciał go odprawić. Dlatego jego rzeczy są w tak okropnym stanie.

– Musiał być człowiekiem zarówno oszczędnym, jak i lojalnym – zauważyła Lisette. – A żona musiała bardzo go kochać. To znaczy, skoro nie mogła zmusić się...

– ...by posortować jego rzeczy? – zakończyła Anne, wzdychając. – Tak, była mu bardzo oddana, chociaż był od niej sporo starszy. Duncaster ich sobie przedstawił. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak bardzo jest zrozpaczona.

Lisette wspomniała jednak rozmowę, którą przeprowadziła kiedyś z lady Hepplewood w bibliotece.

– Powiedziałabym, że jest raczej pragmatyczką, niepoddającą się romantycznym uczuciom – wymamrotała, dopasowując do siebie pończochy i wrzucając je do odpowiedniego pudła.

– Ach, ciotka nie zawsze była tak zgorzkniała – zauważyła Anne łagodnie. – Bardzo się zmieniła.

– Po śmierci męża?

Anne opuściła oglądaną właśnie koszulę i przez chwilę się zastanawiała.

– Chyba nawet przedtem – powiedziała w końcu. – Mniej więcej w okolicy mojego wesela. – Potrząsnęła głową, jakby chciała pozbyć się jakiejś myśli. – Potem zaczęli spędzać tu z wujem większość czasu. A Tony wyprowadził się do Londynu.

Lisette zastanawiała się, co poróżniło Hepplewoodów, gdyż najwidoczniej o to właśnie chodziło.

– Tak czy inaczej – zauważyła – nikomu nie przeszkadza, że ona i Diana przebywają w Burlingame.

– Boże, nie – zgodziła się z nią Anne. – Poza tym, Loughford należy teraz do Tony'ego – a, jak wspomniałyśmy o tym z Gwyneth – nie ma tam wdowiego domku.

– Doprawdy? – Lisette poskładała kolejną parę pończoch. – Cóż. Jakoś nie widzę lady Hepplewood wracającej do Loughford po tym, jak panna Willet zostanie tam panią.

– I kto mógłby ją za to winić? – zgodziła się Anne. – Lecz Burlingame jest trzy razy większe niż Loughford, możemy więc krążyć po domu i prawie wcale się nie spotykać.

– Czy Tony i panna Willet będą spędzać tutaj po ślubie dużo czasu?

– Och, zapewne. To zawsze był dla Tony'ego drugi dom. A i Felicity bardzo się w Burlingame podoba.

– Kiedy zamierzają się pobrać? – spytała Lisette.

– Diana spytała o to samo, co sprowokowało dyskusję o domu dla wdowy – odparła Anne. – Ślub ma się odbyć w połowie sierpnia.

– Boże, to już za kilka tygodni. – Lisette zerknęła na Anne spod oka. – Lecz Diana powiedziała...

Anne spojrzała na nią ostro.

– Co takiego?

Lisette potrząsnęła głową.

– Mogłam ją źle rozumieć.

Anne uśmiechnęła się szelmowsko.

– Wątpię – zauważyła. – No mów, przecież jesteśmy już prawie kuzynkami! Co powiedziała?

Lisette wzruszyła lekko ramionami.

– Zasugerowała, że zaręczyny nie przetrwają. Uznałam, że sądzi, iż lady Hepplewood sprzeciwi się temu związkowi.

– Cóż, ciotka może i nie jest zachwycona, lecz jakoś to przełknie. – Anne obdarzyła towarzyszkę znużonym uśmiechem. – Co zaś się tyczy tamtej uwagi, powiedzmy że Diana jest... cóż, z braku lepszego określenia: nad-opiekuńcza. Nie była wcale szczęśliwsza, gdy Gwyneth powiedziała jej, że ja i Tony zostaliśmy sobie przyrzeczeni. Poczuła się wykluczona.

A przecież to Diana i Tony – do spółki z Gwyneth – wykluczyli Annę ze swego grona jako dzieci.

– Byliście wtedy bardzo młodzi, prawda? – spytała, zanim zorientowała się, że wygląda to tak, jakby chciała plotkować.

– Ach, Gwen się wygadała, co? – Anne zachichotała rozbawiona. – Tak, dziadek i wujek Hep snuli plany małżeńskie, ale nigdy się tym zbytnio nie przejmowaliśmy.

– Nie myślałaś o Tonym w ten sposób? Nigdy?

Anne opuściła dłonie, w których trzymała dla odmiany pasiastą kamizelkę.

– Tony i ja uwielbiamy się nawzajem i zawsze tak było – odparła odrobinę zirytowana. – Tak, myślałam o tym, aby za niego wyjść. Sądzę, że bylibyśmy dobrą parą. Lecz potem poznałam Philipa. Tydzień później przekonałam się...

– O czym?

Anne potrząsnęła głową.

– Nieważne.

– Chciałabym wiedzieć – naciskała Lisette – o ile to nic osobistego.

Anne przygryzła wargę.

– Cóż, to nie tajemnica – sprostowała, rozglądając się po pokoju. – Widzisz, nie powiedziałam nic Gwyneth. Chciałam, ale nie mogłam się na to zdobyć. Gwen potrafi być w stosunku do mnie tak opiekuńcza... Jakbym nie była w stanie sama o siebie zadbać.

Poznawała oto całkiem inne, bardziej ludzkie oblicze Gwyneth. Takie, jakiego się zgoła nie spodziewała.

– Dlaczego, u licha, miałaby cię chronić?

Anne usiadła z powrotem na stołku, gniotąc kamizelkę.

– Tamtego roku zadebiutowałyśmy z Dianą w towarzystwie – powiedziała z lekkim poczuciem winy. – W połowie sezonu poznałam Philipa. I och, Lisette, tak bardzo go polubiłam! Mieliśmy tyle wspólnych zainteresowań: książki, poezja, polityka! Uważałam jednak, że jestem przeznaczona dla Tony'ego, że on mnie potrzebuje, rozumiesz?

– Nie mogę sobie wyobrazić, by Tony spodziewał się podobnego poświęcenia.

– Najwidoczniej nie oczekiwał. – Uśmiechnęła się lekko. – Ponieważ pewnego wieczoru, kilka tygodni po naszym pierwszym balu, przyłapałam go, jak całował w bibliotece Dianę.

– Całował Dianę? – Lisette ściągnęła brwi. – Całował jak...?

– Dobra próba – pochwaliła ją Anne. – Ale nie było to braterskie cmoknięcie w policzek. Obejmował ją ramieniem, a ona trzymała rękę na jego... Och, dajmy temu spokój.

– I co, byłaś zła? – spytała Lisette łagodnie.

– Trochę. – Anne znowu posmutniała. – Odczekałam jednak kilka tygodni, a kiedy nic się nie wydarzyło, a Tony nie wydawał się zainteresowany żadną z nas, przestałam czuć się tak przerażająco lojalna. Powiedziałam tatusiowi, że chcę, by Philip

się o mnie starał, i nie dam sobie tego wyperswadować. Ciotka była wściekła.

– Boże, co takiego zrobiłaś?

Anne wzruszyła ramionami.

– W końcu musiałam powiedzieć jej, co się wydarzyło. Z początku była bardzo zła. Później, po namyśle, uznała to jedynie za flirt bez znaczenia. A potem zasugerowała tym swoim posępnym, wiecznie zirytowanym tonem, że Tony w końcu zmądrzeje.

– Domyślam się, że kobiety rzadko mu odmawiają.

– O ile wiem, to się jeszcze nie zdarzyło – odparła Anne ze śmiechem. – Ale poślubić córkę rządcy? Zdaniem ciotki to poniżające. Lecz wcześniej zawsze mu ustępowała.

– Co więc się wydarzyło?

Anne uniosła w górę dłonie.

– Dziwne, ale nic – powiedziała. – Następnej wiosny poślubiłam Philipa, a Diana przyjęła w końcu oświadczyny tatusia. A teraz Tony też ma narzeczoną.

– Poślubiłaś idealnego dla siebie partnera – zapewniła ją Lisette. – I Tony też wkrótce to zrobi. Co się zaś tyczy Diany, kiedy przestanie opłakiwać waszego ojca, z pewnością znajdzie kogoś. Powiedziała, że lady Hepplewood życzy sobie, by spędziły następny sezon w Londynie.

– Och, cudownie! – Twarz Anne pojaśniała. – Muszę kogoś jej wyszukać. Do tego czasu ty też będziesz mężatką. Musimy obie się tym zająć.

Lisette pomyślała, że Anne to jedna z najmilszych osób, jakie spotkała. Jej wygląd – i absolutnie normalne zachowanie –

odbiegały zdecydowanie od tego, jak wyglądała i zachowywała się reszta rodziny. Co za szkoda, że dla niej to nie powinno mieć znaczenia. Wkrótce opuści to miejsce i zostanie zapomniana.

– Doskonale – stwierdziła dziarsko, wsuwając szufladę. – Ta jest już pusta. Co teraz?

– Nocne stoliki z orzecha. – Anne wskazała na prawo i lewo. – W każdym są po dwie szuflady pełne nie wiadomo czego. Chyba powinnaś przysunąć tam sobie pudło na śmieci.

Ponieważ szuflady były małe, łatwiej było je wyjąć i przenieść na środek pokoju. Pierwszą wypełniały magazyny dla panów, od miesięcy nieaktualne. Lisette opróżniła szufladę, wsunęła na miejsce i przyniosła następną.

Ta jednak była wypchana jaskrawozielonym materiałem, pociętym na kilka części. Lisette wyciągnęła jeden z kawałków i go rozpostarła.

– To tylko ścinki – powiedziała. – Lecz większe kawałki da się uratować.

Anne podniosła wzrok znad kłębowiska szelek, które starała się rozplątać.

– Och, nie wyrzucaj tego – powiedziała, podkreślając słowa gestem. – Diana pourywa nam głowy.

Lisette odłożyła kawałek i sięgnęła po następny, identyczny. Był to mięsisty, gruby aksamit, który wyglądał dziwnie znajomo.

– Czy to nie stare draperie z łóżka lorda Hepplewooda, Anne? – spytała.

– Tak, i są tam również zasłony okienne – odparła Anne, zerkając na materiał. – A raczej materiał, który został po uszyciu

zasłon i draperii. Po tym, jak Diana urządziła przed kilkoma miesiącami pokój, upchnęła skrawki w szufladzie.

– Pocięte?

Anne ściągnęła brwi.

– Nie, chyba były wtedy w jednym kawałku i leżały na dnie tamtej bieliźniarki – powiedziała. – Gwen znalazła je i zaczęła ciąć, by zrobić kompresy dla wuja.

– Och. – Lisette spojrzała na nią zaintrygowana. – Byłaś tu wtedy?

– Tak, przyjeżdżałam, kiedy tylko mogłam – odparła Anne, uwalniając z triumfalną miną jedną z szelek. – Kiedy wuj zaczynał być niespokojny, przykładałyśmy mu zimny ocet na czoło i nadgarstki. Moja teściowa często tak postępowała, kiedy ktoś miał gorączkę.

– Moja niania także, kiedy ja i siostra byłyśmy małe – przytaknęła jej Lisette. – To dziwnie kojące.

Anne wzruszyła ramionami.

– Uznałyśmy, że faktura aksamitu sprawi, iż kompres będzie miły w dotyku – powiedziała. – Lecz Diana dostała szału. Powiedziała, że zostawiła materiał, by obić paryską zielenią wezgłowie łóżka.

– Na pewno użyła określenia paryska zieleń? – spytała Lisette dociekliwie.

Anne podniosła wzrok.

– Tak sądzę. Wuj uwielbiał zieleń. Był już jednak tak chory, że kolor wydawał się przesadnie optymistyczny. Mimo to Gwen upchnęła resztę materiału do szuflady, by uspokoić Dianę.

Lisette zastanawiała się gorączkowo.

Boże święty! Czy to mogło być aż tak proste? Ale jakie są szanse, by coś takiego się wydarzyło? Na dodatek przypadkiem?

Poczuła, że robi jej się zimno. Zarówno Gwyneth, jak panna Jansen znały się na naukach ścisłych: astronomii, matematyce i tak... chemii. Odstawiła raptownie szufladę, wepchnęła skrawek materiału do kieszeni i podeszła do kominka.

Dziwaczny czajnik nadal tam był, zawieszony nad paleniskiem.

Nie, to z pewnością niemożliwe.

Mimo to odwróciła się z bijącym mocno sercem:

– Bardzo cię przepraszam, Anne – skłamała po raz kolejny, wyrzucając gwałtownie słowa. – Przypomniałam sobie o liście... To znaczy, że powinnam napisać do niani. Powiadomić ją, że wracam.

Anne stała przy jednej z bieliźniarek, wpychając na miejsce szufladę.

– Tak, oczywiście – powiedziała. – Bardzo mi pomogłaś. Ale, Elizabeth, wrócisz do domu zapewne równo z listem albo najwyżej kilka godzin po nim.

Lisette skinęła głową i spróbowała nieco się uspokoić.

– Masz rację – powiedziała. – Lecz może nie wyjadę jutro, a w piątek albo w sobotę. Powinnam dać jej znać, nie sądzisz? Tak, żeby wiedziała, że na pewno wrócę. I że jej nie porzuciłam.

– Och, z pewnością sprawiłoby to biednej kobiecie wielką przyjemność – odparła Anne radośnie. – Dziękuję za pomoc. Zobaczymy się przy kolacji?

– O, tak. Nie mogę się doczekać – zapewniła Lisette, po czym szybko uciekła.

* * *

Przypadkiem Napier postanowił złożyć tego dnia wizytę w pokoju lekcyjnym o dziesiątej trzydzieści. O tej porze pani Jansen zabierała zwykle podopieczną na poranny spacer, o ile pozwalała na to pogoda. A tego dnia była wprost znakomita – po wczorajszym deszczu nie zostało ani śladu, na bezchmurnym niebie świeciło słońce, a wiatr szybko osuszał ziemię.

Napier uznał, że nie ma co dłużej czekać i pomaszerował korytarzem z miną człowieka zmierzającego na szubienicę. Miał nadzieję, że uda się odłożyć nieprzyjemną chwilę o dzień lub dwa, jednak gniew Lisette i atak podagry Craddocka nie pozostawiały miejsca na wymówki. Musiał odbyć rozmowę, którą odwlekał od przyjazdu do Burlingame, a już z pewnością od ostatniej wizyty w pokoju lekcyjnym.

Spotkał je na schodach. Pani Jansen trzymała w jednej ręce olbrzymi kapelusz, a w drugiej powieść.

– Saint-Bryce! – zawołała dziewczynka. Jej buzia pojaśniała.

– Dzień dobry, Beo. – Zatrzymał się na podeście i skłonił. – Dobrze pani dzisiaj wygląda, pani Jansen.

– Och, a jak pan się ma? – spytała guwernantka. – Nie pojechał pan do Berkshire?

– Nie. Craddock chciał, ale jego stopa nadal wygląda okropnie – odparł. – Pomyślałem, że zamiast tego przejdę się z Beą po sadzie, oczywiście jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Pani Jansen zarumieniła się uroczo.

– Ależ nie, milordzie, oczywiście, że nie.

Napier odwrócił się i podał jej ramię.

– Może chciałaby pani usiąść sobie na ławce, żeby mieć nas na oku – zasugerował. – Na wypadek gdyby Bei zachciało się znów

chodzić po drzewach. Gdyby tak się stało, musiałaby pani przyjść i ściągnąć ją stamtąd, ponieważ cierpię na lęk wysokości.

Zaśmiały się, a potem Bea zaczęła bezlitośnie sobie z niego żartować. Po kilku minutach zostawili panią Jansen na ławce i ruszyli w dół wzgórza, ku stajniom, owiewani mocnym, acz ciepłym wiatrem.

– Nie zamierzasz wspinać się na drzewo, prawda? – zapytał czujnie.

– Nie, jeśli będę miała do roboty coś lepszego – odparła dziewczynka z uśmiechem.

– Ach tak. Co zamierzałaś dziś robić?

Wzruszyła ramionami i pobiegła przez trawę do swojej ulubionej jabłoni.

– Moglibyśmy pójść znowu na molo i puszczać kaczki na wodzie?

– Tak, moglibyśmy – odparł niechętnie.

Później żałował, że nie zniechęcił dziecka, jednak w tej chwili chciał uniknąć po prostu przeklętego hangaru i mola, jak robił to od dwóch dni. Już samo zerknięcie na pawilon przez okno przypominało mu gorące chwile z Lisette i okropną kłótnię, jaka nastąpiła później.

Ten sam schemat, co ostatniej nocy, tylko że tym razem szkody były większe. Lisette nie pojawiła się rankiem na śniadaniu. Był tego pewny, ponieważ zszedł wcześnie i siedział przy stole, póki wszyscy nie zjedli. Prawdę mówiąc, zwlekał z wyjściem tak bardzo, że w końcu służący zaczęli kręcić się niespokojnie przy kredensie, którego nie mogli posprzątać.

Wreszcie pogodził się z tym, że Lisette nie przyjdzie. A kiedy on siedzi nad filiżanką wystygłej kawy z żołądkiem zawiązanym na supeł i na wpół złamanym sercem, ona zapewne się pakuje, życząc mu, by poszedł do diabła.

Lecz jeśli miał siedzieć i rozpamiętywać swoje nieudane życie uczuciowe, równie dobrze mógł pójść na brzeg jeziora i się utopić. Już lepiej zająć się kimś, komu zapewne będzie mógł pomóc.

Ruszył ku Bei przez trawę, nie zważając, co powie Jolley, kiedy zobaczy, w jakim stanie są jego spodnie.

Spotkali się tu już kilka razy. Napier poznał rozkład zajęć dziewczynki, a pani Jansen zaczynała wreszcie mu ufać. Zadowolony był, że kobieta trzyma się podczas tych przechadzek w pobliżu, zawsze z książką lub czymś, co miało pomóc Beatrice w nauce. Uznał, że dziewczynka nie tyle jest zaniedbywana, ile otrzymuje zdrową porcję niezależności. Zawsze to jakaś pociecha, pomyślał.

Usiadł na trawie, wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach. Beatrice zrobiła to samo. Brązowe buciki dziewczynki wystawały spod piany koronek. A potem przewróciła się na plecy i zapatrzyła na gałęzie, poruszane wiatrem.

Spojrzał na nią. Z obramowującymi twarzyczkę jasnym lokami i skrzyżowanymi na piersi rękami wyglądała jak anioł. Uświadomił sobie, że bardzo polubił swoją małą kuzynkę, a nawet odczuwa w stosunku do niej swego rodzaju czułość. Nagle, w wyniku tej nieznanej mu emocji, serce ścisnęło mu się boleśnie.

Nie zamierzał jednak użalać się nad sobą w tak piękny dzień. Beatrice miała tego dosyć podczas spędzanych samotnie godzin.

A przynajmniej tak przypuszczał. Zaczerpnął zatem oddechu i powiedział:

– Ach, zapach świeżego powietrza, Beo. Będzie mi tego brakowało, gdy wrócę do Londynu.

– Powietrze tam jest naprawdę takie okropne? – spytała Bea z nieobecną miną. – Pani Jansen mówi, że cuchnie bardziej niż ścieki w Amsterdamie.

Roześmiał się, położył obok niej na trawie i utkwił wzrok w kopule liści nad głową.

– Często tak właśnie jest – przytaknął, zakładając ręce za głowę. – Zwłaszcza kiedy ten straszny odór wymiesza się z kwaśnym dymem ze spalonego węgla i smrodem rzeki, a wszystko spowije mgła. Jest specyficzna dla Londynu i trudno wtedy cokolwiek zobaczyć.

– Jeśli cuchnie aż tak bardzo, po co wracać? – spytała z nadzieją.

– Z powodu pracy – odpowiedział wymijająco.

– A co z panną Colburne? – spytała. – Nie zamierza pan ożenić się z nią i sprowadzić tutaj?

Napier zawahał się, nie chcąc okłamywać dziecka.

– Obawiam się, że ślub może nie dojść do skutku – powiedział spokojnie. – Panna Colburne zaczyna się wahać.

Bea odwróciła się ku niemu.

– Diana też się wahała – powiedziała cicho. – I nie skończyło się to dobrze.

Uśmiechnął się słabo.

– Obawiam się, że sam jestem sobie winny – powiedział. – Byłabyś bardzo rozczarowana?

Dziewczynka z przesadną obojętnością wzruszyła ramionami i przesunęła palcami po trawie.

– Poślubi pan zatem Dianę? – spytała cokolwiek posępnie.

Napier utkwił znów wzrok w listowiu.

– Nie, Beo – powiedział łagodnie. – Oddałem chyba serce pannie Colburne. To byłoby nie w porządku, poślubić kogoś, kogo się nie kocha.

– Ciotka Hepplewood powiedziała Dianie, że miłość to bzdura i że w tej kwestii lepiej słuchać rozumu niż serca.

– Może i ma rację – przyznał Napier – lecz dla mnie jest już za późno. Chciałbym jednak, żebyś na razie nikomu o tym nie mówiła. Na wypadek gdyby udało mi się przekonać jednak pannę Colburne. Możesz to zrobić?

Dziewczynka skinęła głową.

– Tak – zapewniła z poważną miną. – Potrafię dochować sekretu.

Napier zawahał się na chwilę, lecz w końcu powiedział:

– Myślę, że jesteś w tym bardzo dobra. W większości przypadków jest to godna podziwu cecha.

Nadal wpatrywała się w niego poprzez kołyszące się źdźbła.

– Ale nie zawsze?

– Nie. – Przewrócił się na bok i wyjął z kieszeni list. – Na przykład, Beo, uważam, że napisałaś do mnie po kryjomu przed kilkoma tygodniami.

Trzymał list dwoma palcami, a dziewczynka wpatrywała się w niego, mrużąc z lekka niebieskie oczy, ponieważ raziło ją słońce.

Opuścił dłoń.

– Właściwie, jestem pewny, że to ty go napisałaś. I chciałbym wiedzieć dlaczego.

– Skąd pan wie? – spytała z powątpiewaniem.

– Ponieważ na tym polega moja praca – odpowiedział. – Czasami trzeba odkrywać sekrety. Och, wygląda tak, jakby mógł napisać go ktoś ze służby. Bardzo sprytnie.

Milczała przez dłuższą chwilę. Złożył list i schował go z powrotem do kieszeni.

– Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz, wiedz tylko, że to, iż go napisałaś, jest absolutnie w porządku.

– Naprawdę? – spytała cichutko.

– Oczywiście – zapewnił ją. – Prawdę mówiąc, skoro mieszkam w Londynie, możesz pisać do mnie, kiedy tylko zechcesz. O wszystkim. Jeśli coś cię niepokoi, choćby była to błahostka, napisz do mnie. Nie musisz tego ukrywać, wolałbym jednak, żeby nie był anonimowy. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym dostał list z twoim podpisem.

Usiadła, podwinąwszy pod siebie nogę. Wydawała się odrobinę niezdarna, lecz także śliczna. Pomyślał, że wkrótce przewyższy urodą nawet Anne.

Jeszcze trochę i skończy się dla niej beztroski czas. Przestanie być dzieckiem. Zaczną się bale, zaloty, propozycje małżeństwa. Na samą myśl o tym zrobiło mu się zimno. Właśnie dlatego tak bardzo obawiał się zniszczyć rodzące się zaufanie dziewczynki.

Bea zwinęła tymczasem źdźbło trawy, tworząc pętlę.

– Mogłabym napisać do pana znowu – powiedziała – kiedyś... Jeśli nie wróci pan do Burlingame.

Uścisnął jej dłoń.

– Wrócę, Beo – powiedział spokojnie. – I będę co jakiś czas wracał. A jeśli coś przytrafi się twojemu dziadkowi... naszemu dziadkowi, jeśli pogorszy mu się zdrowie, przyjadę natychmiast. I zostanę.

– Na dobre? – wyszeptała.

– Na dobre – przyrzekł.

Nagle uderzyło go, że ta perspektywa nie budzi w nim już tak żywiołowej niechęci. Sir George miał rację. Nie można uciec od przeznaczenia. Co więcej, mnóstwa rzeczy musiał się nauczyć, a los wielu ludzi zależał od tego, czy mu się powiedzie.

Te kilka dni spędzonych z Craddockiem na objeżdżaniu włości uświadomiło mu, że Lisette też się nie pomyliła. Sprawowanie pieczy nad tak olbrzymim majątkiem wymagało umiejętności rozumienia ludzkiej natury oraz zdolności do zarządzania.

Lecz Bea nadal spoglądała na niego z zadumą.

Poklepał się lekko po kieszeni, gdzie schował list.

– Może się pobawimy? – zaproponował. – To będzie taka gra. Spróbuję zgadnąć, dlaczego przysłałaś mi list, a jeśli będę miał rację, skiniesz tylko głową. Może być?

Podniosła wzrok znad wianuszka z trawy i wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Niech będzie.

Napier udawał, że się zastanawia.

– Myślę, że trochę się bałaś, kiedy w zeszłym roku zachorował wuj Hepplewood – zaczął. – Stał się odrobinę... nieprzewidywalny, prawda?

Znów to wzruszenie szczupłych ramion.

– Nie pozwolili mi się z nim widywać – powiedziała cicho. – Ale czasami go słyszałam. Mówił... różne rzeczy. Bał się, a potem umarł.

Napier pomyślał, że rozumie.

– To musiało być przerażające wiedzieć, że wuj jest tak chory, iż nie potrafi jasno myśleć.

Skinęła lekko głową.

– A kiedy po kilku miesiącach zmarł także twój tata – kontynuował Napier – przestraszyłaś się jeszcze bardziej. Lecz, Beo, on umarł na apopleksję. Nie sposób było tego przewidzieć.

– Zapewne. – Uniosła buntowniczo brodę. – Lecz wujek powtarzał, że próbują go zabić. A potem tatuś powiedział...

Buzia jej się skrzywiła.

Napier położył pocieszającym gestem dłoń na ramieniu kuzynki.

– Mówił, że ludzie zadręczają go na śmierć – podsunął jej delikatnie. – Prawda? Ale chyba nie mówił tego do ciebie?

Potrząsnęła głową, aż zatańczyły złote loki.

– Może usłyszałaś, jak mówił to do siebie? – naciskał delikatnie. – Może kiedy bawiłaś się w pokoju za gabinetem, a on nie wiedział, że tam jesteś? Musiało zabrzmieć podobnie jak to, co mówił wuj Hepplewood.

– Nikt nie wierzył wujkowi i proszę tylko, co się wydarzyło. – Wysunęła z uporem dolną wargę. – A ja sobie tego nie wymyśliłam. Pani Jansen sądzi, że tak, lecz to nieprawda. Powiedział to nawet raz do Craddocka. Może pan go zapytać.

Napier poklepał ją po ramieniu.

– Och, ja ci wierzę – zapewnił ją. – Ale, Beo, dorośli czasami po prostu tak mówią. Takiego wyrażenia używamy, kiedy jesteśmy

sfrustrowani. Nie znaczy to jednak, iż naprawdę wierzymy, że ktoś źle nam życzy.

– Lecz tatuś umarł – stwierdziła z uporem, patrząc mu w oczy. – Powtarzał w kółko, że tak się stanie, i proszę! Zadręczali go, krzyczeli i mówili paskudne rzeczy, aż po prostu umarł.

Jej wybuch go zaszokował. Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, a potem się odezwał, dobierając starannie słowa.

– A kiedy mówisz „oni", kogo masz na myśli? To będzie nasza tajemnica, a ja też jestem bardzo dobry w dotrzymywaniu sekretów.

Beatrice wpatrywała się w trawę, ściągnąwszy jasne brwi.

– Gwen i Diana – wyszeptała oskarżycielsko. – Gwen krzyczała na niego, a Diana płakała. Zawsze płacze, a ja jej nie znoszę! A później... Nie wiem, co się wydarzyło! Nie na pewno. Lecz tatuś upadł, a potem... potem po prostu umarł.

Napier chwycił dłoń Bei w swoją i uścisnął, by dodać jej otuchy. Tylko że tym razem jej nie puścił.

– Byłaś tamtego dnia w składziku, Beo? – zapytał. – Pamiętaj, ja tylko zgaduję. Lecz napisałaś do mnie nie bez powodu. Zrobiłaś to, bo się martwiłaś. A także dlatego że chwytam złych ludzi, tak? Nie sądzę, aby w tej opowieści byli jacyś źli ludzie, tylko kilkoro nieszczęśliwych, upewnijmy się jednak co do tego, dobrze?

Skinęła niechętnie głową.

– W porządku – powiedział spokojnie. – Czy drzwi składziku były otwarte?

Potrząsnęła leciutko głową.

– Ale wynikła jakaś kłótnia? Z Gwyneth i Dianą?

– Najpierw z Gwyneth – poprawiła go – a potem z Dianą.

– Beo. – Jego głos brzmiał tym razem poważnie. – Myślę, że powinnaś powiedzieć mi, co właściwie usłyszałaś. Jeśli mi nie powiesz, nie zrozumiem tego, a co ważniejsze, nie będę w stanie wyjaśnić tobie.

Wypuściła z wolna powietrze, a potem spojrzała na niego czujnie.

– Gwen przyszła do gabinetu tatusia. I zaczęła głośno się z nim kłócić. Chodziło znowu o panią Jansen i tamten dom.

– Dom dla wdowy?

– Tak, właśnie o ten – przytaknęła. – Chciała go dostać i wprowadzić się tam z panią Jansen.

Napier skinął głową.

– A co tatuś na to?

– Powiedział, że Gwen powinna wyjechać czym prędzej do Londynu i znaleźć sobie męża. Kłócili się o to przez cały czas. Tym razem Gwen powiedziała jednak, że jeśli nie dostanie domu, zabierze panią Jansen i wyjadą obie do Amsterdamu. A tatuś na to, że nie jest aż tak duża, żeby nie mógł przełożyć jej przez kolano. I że to, co robi, jest niezgodne z naturą i trzeba ją wyprostować. Potem krzyczeli jeszcze trochę, aż w końcu tatuś powiedział, że zadręczy go na śmierć,

– Ach – wtrącił Napier cicho. – I co się wydarzyło?

Mała wzruszyła znów lekko ramionami.

– Drzwi trzasnęły, a tatuś powiedział kilka brzydkich słów. A potem podszedł do biurka i wyjął swoją brandy. Usłyszałam, jak stawia butelkę na blacie i wyjmuje korek. Słychać wtedy takie *czink*!

– Tak, wiem. – Pożałował, że świadkowie, z którym miał do czynienia w pracy, nie mają tak doskonałej pamięci. – Doskonale ci idzie, Beo.

– Potem ktoś zapukał do drzwi i okazało się, że to Diana.

– Ach. I oni też się kłócili?

Dziewczynka wydawała się znów mocno zaniepokojona.

– Nie od razu – powiedziała. – Diana tylko płakała. A potem powiedziała, że nie chce wychodzić za niego za mąż.

– Rozumiem. Podsłuchałaś już wcześniej tego rodzaju rozmowę?

Bea skinęła z zapałem głową.

– Tak – odparła ponuro. – Ale tym razem Diana powiedziała, że go błaga. I że zrobi wszystko, byle tylko powiedział ciotce.

– Co konkretnie miał jej powiedzieć?

– Że nie chce jej poślubić.

– Ach tak.

Miało to sens. Diana była przez lady Hepplewood zastraszana. Jej ojciec pracował u Hepplewoodów, a nawet u nich mieszkał.

– I co twój tata na to? – kontynuował.

– Powiedział, że to przedślubne nerwy i że Diana się uspokoi, gdy złoży przysięgę małżeńską. I jeszcze, że postara się być delikatny. Wtedy ona zaczęła płakać jeszcze głośniej i powiedziała, że tego nie zniesie. Że go nie kocha, nigdy nie pokocha i nie chce, by jej dotykał. Sama myśl o tym wydaje się jej odstręczająca, czy jakoś tak.

– Odstręczająca?

– Właśnie.

Napier się skrzywił. Mocne słowa... i niemiłe. Dobrze, że Bea nie pojmuje w pełni, co oznaczały.

– Rozumiem – powiedział cicho. – Wszystko to jest dość niefortunne, Beo. Myślę, że mamy wszelkie prawo zachować całą sprawę w sekrecie.

– A potem dopiero zaczęli się kłócić! – mówiła dalej Bea. – I krzyczeć. Diana powiedziała, że go nienawidzi i że nie jest klaczą rozpłodową, cokolwiek miałoby to znaczyć.

– Hm... – mruknął Napier ostrożnie.

– Tatuś też zaczął krzyczeć, a on nigdy nie krzyczał. Powiedział, że kompletnie zwariowała i że dżentelmen nie błaga, a ona może równie dobrze powiedzieć ciotce sama.

Jezu Chryste!

Napier przymknął na chwilę oczy.

– I co było później?

– Usłyszałam, jak krzyknął – powiedziała. – A potem brzęk rozbijanego szkła. Diana wybiegła. Krzyczała, że tatuś leży nieprzytomny. Skłamała, że już go takiego znalazła. Ale... to ona zadręczyła go na śmierć. Tak myślę.

Napier ujął znów dłoń dziewczynki.

– Beo, chciałbym zawsze wiedzieć, kiedy coś cię zaniepokoi. Jednak doktor Underwood zapewnił mnie, że twój tata dostał ataku apopleksji. Tego nie da się przewidzieć.

Wzruszyła po raz kolejny szczupłymi ramionami i westchnęła.

– Tak czy inaczej, nie żyje, prawda? – zauważyła smutno. – A teraz zastanawiam się, czy...

– Tak? O co chodzi, skarbie?

Rzuciła mu mroczne spojrzenie.

– Co będzie, jeśli ktoś zacznie dręczyć dziadka? – spytała cicho. – I jeśli on... – Buzia podejrzanie się jej wykrzywiła i dziewczynka

wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

– Nie zrobią tego – zapewnił, ściskając znowu jej rękę. – Obiecuję.

Spojrzała na niego i widać było, że trochę jej ulżyło.

– Cóż – powiedziała. – Nadal uważam, że Gwen jest po prostu podła. I dalej nienawidzę Diany.

Napier przyciągnął dziewczynkę do siebie i objął ramieniem. Jako człowiek odpowiedzialny i dorosły wiedział, że powinien powiedzieć dziecku, iż nie należy nikogo nienawidzić. Jako policjant wiedział jednak, że wiele osób zasługuje na to, by dostać swoją miarkę nienawiści.

Czy Gwen była jedną z nich? Lub Diana?

Nie. Gwen była może trochę zbyt bezpośrednia i męska w zachowaniu, a Diana utknęła po prostu w roli ubogiej krewnej, zmuszonej okazywać nieustająco wdzięczność. Nie miała władzy nad swoim losem i być może to doprowadzało ją do rozpaczy.

– Powiem ci, co powinniśmy zrobić – wstał i pomógł wstać Bei. – Musisz pozwolić, żebym to ja się tym martwił i ufać, że sobie poradzę. Dasz radę to zrobić?

Dziewczynka skinęła głową.

– Możesz na mnie liczyć, Beo – zapewnił ją tak stanowczo, jak tylko umiał. – A jutro może przeszlibyśmy się spacerem do wioski? Ty, ja i panna Jansen?

– Do wioski?

– Tak. Może chciałabyś zebrać trochę kwiatów na grób taty? Zaniesiemy je we troje. Robiłem tak, gdy umarł mój ojciec. Zwłaszcza kiedy nie byłem pewny, jak postąpić. Szedłem na jego grób i mówiłem do niego.

– On też nie żyje?

Napier skinął głową.

– Tak – powiedział. – To był twój wujek Nicholas. Żałuję bardzo, iż nie żył wystarczająco długo, aby cię poznać. Lecz nadal możemy do nich mówić, Beo. Mogę cię też zapewnić, że twój tata jest szczęśliwy w niebie i czuwa nad tobą.

– W porządku – powiedziała cicho.

Poklepał ją niezdarnie po głowie.

– A kiedy już odwiedzimy grób, wstąpimy do piekarni. Do tej, gdzie pieką ciasteczka, o których mi opowiadałaś.

– Te z sezamem? – spytała, spoglądając na niego szeroko otwartymi oczami.

– Zdecydowanie – odparł, ujmując jej dłoń. – Właśnie te.

Rozdział 14
Głos zza grobu

Zdyszana Lisette wbiegła na górny podest wschodniej klatki schodowej. W korytarzu było równie cicho jak wtedy, gdy biegła rankiem do swego pokoju, praktycznie naga, by paść niby kupka nieszczęścia na łóżko i szlochać bez opamiętania, zdecydowana stawić czoło bezlitosnej prawdzie.

Jej miłosna przygoda z Napierem dobiegła końca.

Wiedziała, oczywiście, że romans nie przetrwa... i że namiętność w końcu ją spali. Mimo to pozwoliła, aby pragnienie bliskości stępiło jej rozsądek. Wybrała jednak swoją drogę już dawno i choć jej starsze, mądrzejsze ja tęskniło za tym, by na nią wrócić – zmienić ten okropny kurs, jaki obrała ostatnio – nie było to jeszcze możliwe.

Nie potrafiła jednak żałować chwil spędzonych w jego ramionach. Ani nawet kłótni. Będzie miała przynajmniej co wspominać, kiedy Napier zniknie już z jej życia.

Minęła pospiesznie drzwi jego pokoju, zastanawiając się, czy powinna zapukać. Nie była jednak w stanie stawić mu czoła, póki nie rozezna się dokładniej w swoich uczuciach. Zamiast tego

wpadła do własnej sypialni i przekonała się, że Fanny już tam jest.

Wyjmowała ubrania, które miały zostać spakowane.

– Och, dzień dobry, panienko – powiedziała. – Proszę zostawić drzwi otwarte. Pan Prater poszedł do lamusa po kufry.

Lisette ledwie ją słyszała.

– Fanny – powiedziała bez tchu – gdzie moje folio z brązowego marokinu?

Fanny ściągnęła brwi.

– Ach! – powiedziała, po czym odwróciła się i weszła do garderoby. – Chyba w ogóle nie wyjęłam go z torby.

Lisette podążyła za nią, przyglądając się, jak pokojówka buszuje w bagażach. Wreszcie Fanny krzyknęła triumfalnie i wyjęła wąską, cienką książeczkę. Lisette niemal wyrwała ją dziewczynie z rąk. Podeszła do okna, otworzyła folio, usiadła na parapecie i zaczęła przerzucać gorączkowo wycinki, które zbierały z Fanny pilnie od lat. Folio nie było niczym innym jak kompendium dziennikarskich osiągnięć Jacka Coldwatera.

– Czego panienka szuka? – spytała Fanny, zaciekawiona.

– Starego artykułu z „Examinera” – odparła. – Tego o pożarze na „Złotym Orle”.

Fanny położyła jej dłoń na ramieniu.

– Proszę się uspokoić. Teraz nigdzie się nie pali. Artykuł musi być gdzieś na początku.

Lisette zaczęła jeszcze raz i znalazła wycinek niemal natychmiast.

– Nie, nie ten – powiedziała, przebiegając pospiesznie wzrokiem tekst. – Chodzi o ten z następnego dnia. A może jeszcze

późniejszy. O pani Stanton.

Fanny przewróciła spokojnie stronę.

– Tu jest, panienko – powiedziała. – Ale to dosyć stara historia.

Lisette przeczytała pospiesznie artykuł, po czym wyrwała go jednym ruchem z portfolio – wycinek i stronę, do której był przyklejony. Jej umysł pracował gorączkowo. Pani Stanton umarła szybko z powodu, którego z początku nikt nie był w stanie odgadnąć. Lord Hepplewood niedomagał przez dłuższy czas. A potem, nagle, przyszedł koniec.

– Ołówek – zażądała, wyciągając rękę i nie przerywając czytania.

– Już się robi – odparła Fanny.

Lisette usiadła przy biurku i jęła zakreślać istotne akapity.

– Nie rozumiem, dlaczego znów tak się panienka uczepiła biednej pani Stanton – powiedziała Fanny, zaglądając jej przez ramię.

– To przez ten przeklęty sen – wymamrotała Lisette, bazgrząc na marginesie. – Prześladuje mnie, Fanny.

Prawdę mówiąc, był to raczej koszmar nawiedzający ją, w różnych wariantach, od lat. Zazwyczaj widziała w nim Ashtona wykrzykującego coś po pijanemu i wyciągającego rękę, by wyrwać jej artykuł. Innym razem litery znikały równie szybko, jak je stawiała.

Czasami jednak – ostatnio zdarzało się to coraz częściej – sen zaczynał się na nabrzeżu widokiem pani Stanton, bliskiej śmierci w konwulsjach. Od przybycia do Burlingame niemal co noc śniło jej się to samo. Pierwszy raz można byłoby uznać za przypadek.

Jednak kolejne? Cóż, nikt nie wiedział dokładnie, jak działa ludzki umysł.

Skończyła notować, poskładała artykuł i jęła się zastanawiać, co powinna zrobić. Nie miała wielu możliwości i żadna nie wydawała się szczególnie pociągająca. Pozostanie bierną nie wchodziło w rachubę. Pokazanie artykułu niosło ze sobą ryzyko, lecz jeśli nie może odpowiedzieć Napierowi na pytanie, które zadawał jej w kółko, czy nie powinna dać mu przynajmniej tego?

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, postukując palcami w blat.

– Masz pojęcie, Fanny, gdzie może być teraz pan Napier? – spytała w końcu.

Fanny wróciła do składania ubrań.

– Pan Jolley wspomniał, że wybiera się do Wiltshire.

– Ach tak – mruknęła przygnębiona Lisette.

Lecz czego się spodziewała? Że znajdzie kochanka pogrążonego w rozpaczy rankiem na progu swojej sypialni? Prychnęła głośno. Royden Napier nie znał prawdopodobnie takiego uczucia.

Mimo to obiecała kiedyś, że mu pomoże. Nie była z pewnością aniołem, zazwyczaj dotrzymywała jednak słowa.

Czy zdoła rozwiązać zagadkę przed jego powrotem i udowodni, że śmierć Hepplewooda była przypadkowa? Diana, choć niezbyt lotna, mogłaby z pewnością pomóc.

Musiała się jednak pospieszyć. Wyjeżdżała rankiem, a temat z pewnością nie nadawał się do omawiania podczas kolacji.

Wepchnęła pospiesznie artykuł do koperty i umieściła na niej nazwisko Napiera. Jeśli podczas rozmowy z Dianą coś się wyjaśni, zdecyduje, czy mu go przekazać.

Zerwała się z krzesła i chwyciła szal.

– Mogłabyś przygotować mi na wieczór żółtą jedwabną suknię, Fanny?

– Pewnie – odparła Fanny. – A dokąd to panience tak spieszno?

Lisette zmierzała już jednak ku drzwiom.

– Odszukać Dianę – powiedziała. – Chciałabym zapytać ją o...

Wszedł Prater, niosąc masywny kufer podróżny Lisette i balansując nim na ramieniu.

– Och, Prater, dziękuję – powiedziała. – Prawdziwy z ciebie siłacz.

Lokaj postawił kufer obok łóżka, a potem wstał i się zarumienił.

– Dziękuję panience.

Nagle uświadomiła sobie, że ma przed sobą potencjalne źródło informacji.

– Pracowałeś w sypialni lorda Hepplewooda, prawda? – spytała, odwróciwszy się. – Zdejmowałeś jedwab ze ścian?

– Tak, panienko. – Przyglądał się jej zaintrygowany.

– Zastanawiałam się, jak to robiłeś. To znaczy, materiał był przyklejony, czyż nie?

Młodzieniec wzruszył szerokimi ramionami.

– Nie wiem, panienko. Zwilżaliśmy ściany gąbką zamoczoną w ciepłym occie. Piekielna robota, gdyby mnie kto pytał.

– Walton pracował dłużej niż ty, prawda? Zdejmował także zasłony w oknach i przy łóżku?

– Zgadza się, panienko.

– I co się później z tym stało?

Przez chwilę przyglądał się jej skonsternowany.

– Och, zostało spalone – powiedział. – To znaczy, tapeta. Była okropnie podarta. Co się tyczy reszty, nie bardzo wiem.

– Ach. – Lisette postukała przez chwilę stopą. – Posłuchajcie, Prater, muszę porozmawiać z doktorem Underwoodem.

– Przykro mi, że nie czuje się panienka dobrze.

Fanny natychmiast zaczęła przyglądać się jej podejrzliwie.

– Cóż, to zapewne nic takiego – odparła Lisette, zarzucając szal – ale czy moglibyście poprosić Marsha, aby po niego posłał?

Młody człowiek pociągnął za lok na głowie.

– Natychmiast, panienko.

A potem, jakby dopiero teraz przyszło jej to na myśl, odwróciła się i zapytała:

– A tak przy okazji, Prater, nie widzieliście przypadkiem panny Jeffers?

– Wyszła jakiś czas temu, pod ramię z panną Willet. Powiedziała chyba, że zejdą nad jezioro.

– Dziękuję, jakoś ją znajdę – powiedziała. – Och, Fanny, nie pakuj sukni podróżnej w kolorze burgunda, przyda mi się na jutro. Spróbujemy złapać najwcześniejszy pociąg.

Zostawiła służących, by uporali się z ciężkim wiekiem kufra i wyszła do ogrodu. Kiedy minęła róg domu, poryw silnego wiatru szarpnął skrajem szala i rozwiał jej włosy. Pomaszerowała niecierpliwie w dół wzgórza, lecz kiedy podeszła bliżej hangaru, przekonała się, że nikogo tam nie ma.

Odwróciła się więc i spojrzała na wzgórze za sobą, przyglądając się ścieżce wiodącej do lasu. Już miała zrezygnować, kiedy dostrzegła wysoko na wieży błysk żółci. Znikł jednak równie

szybko, jak się pojawił. Ptak? Coś przyniesionego tam przez wiatr?

Zerknęła z żalem na delikatne pantofelki i zaczęła wspinać się na wzgórze, wiedziona ciekawością. Pokazywanie gościom widoków ze szczytu wieży nie było co prawda zabronione – Gwyneth zabrała ją tam wkrótce po przyjeździe – lecz niezbyt bezpieczne, zwłaszcza przy silnym wietrze.

Po dziesięciu minutach, nieco zdyszana, wypadła z lasu. Znalazła się u stóp wieży, stała pod takim kątem, że niewiele mogła zobaczyć. Okrążyła budowlę, zasłoniwszy oczy dłonią przed słońcem. Z drugiej strony kamieniarze Craddocka wznieśli rusztowanie. Najwidoczniej rozpoczęto prace remontowe i posuwano się od dołu ku szczytowi i krenelażom.

Zawróciła i podeszła do ciężkich, grubo ciosanych drzwi. Jak się spodziewała, były otwarte. Pchnęła je i wstąpiła w chłodny mrok wieży. Wysoko na górze wiatr zawodził, wpadając przez otwory strzelnicze, jednak niżej powietrze było takie jak w starych kościołach – przesycone kurzem, nieruchome i chłodne z powodu grubych, kamiennych ścian.

Zaczęła wspinać się krętymi schodami, stąpając cicho w miękkich pantoflach. Z każdym mijanym zakrętem ryk wiatru się nasilał – ewidentnie wyjście na podest mogło okazać się ryzykowne. Lecz Diana jakoś tego dokonała, wlokąc za sobą biedną pannę Willet. Najwidoczniej obu brakowało rozumu.

Pokonywała kolejne stopnie, walcząc z zawrotem głowy oraz przeczuciem, że dzieje się coś złego. Po pokonaniu wielu kondygnacji niemal zabrakło jej tchu. Minęła ostatnią i zobaczyła,

że drewniane drzwi na podest stoją otworem, a na kamienne stopnie pada promień słońca.

– Diano? – krzyknęła. – Jesteś tam?

Odpowiedział jej tylko wiatr.

* * *

Napier zostawił Beatrice w pokoju lekcyjnym pod czujnym okiem pani Jansen. Przygotowywały się do popołudniowej lekcji geometrii, ponieważ lord Duncaster, cześć mu za to i chwała, wyznawał staroświecki pogląd, iż kształcenie kobiet ma sens i nie jest wyłącznie stratą czasu.

Nie była to jedyna rewelacja na temat dziadka, jaką odkrył ostatnio. Chrząknął, zakłopotany, zamykając za sobą drzwi. Duncaster był upartym starym diabłem i jak większość ludzi ze swojej klasy, nieco aroganckim. Jednak podczas całego pobytu w Burlingame Napier nie zauważył w jego zachowaniu niczego, co kazałoby nie ufać, czy choćby go nie lubić.

Czuł się tym trochę zakłopotany, gdy kroczył przez galerię, a jego buty stukały głośno o marmurowe płytki posadzki. Coraz bardziej wyglądało mu na to, że wszystko, w co wierzył i na czym oparł swoje życie, zostało podczas tej wizyty podkopane.

Tylko patrzeć, a skończy jako opiekun dziecka, które zdążył już bardzo polubić. Poza tym odkrył w sobie zamiłowanie do świeżego powietrza i przekonał się, że nadmiar złoceń, marmuru i przesadnie ozdobnych francuskich mebli raczej go nie zabije, a ojciec, którego idealizował i którego śladem podążał, był nie tyle niezłomnym krzyżowcem, ile niezbyt świetlaną postacią z szekspirowskiej tragedii.

A jakby tego było mało, musiał się jeszcze zakochać. Rozpaczliwie, do bólu – w kobiecie, która, pomimo całego złota i marmurów, raczej nie zgodzi się zostać baronową Saint-Bryce.

Och, nie poddał się jeszcze, i nie zamierzał. Miał jednak złe przeczucia i ciążyła mu świadomość, że sam jest sobie winien, że popełnił błąd, jakiego nie dopuściłby się świeżo upieczony konstabl. Naciskał, kiedy powinien był po prostu słuchać.

Lata praktyki nauczyły go, że ludzie rzadko potrzebują, aby coś z nich wyduszać. Każdy oficer godny tego miana dowiedziałby się więcej, pozwalając indagowanej osobie mówić. Wszyscy pokazywali wcześniej czy później, na ogół wcześniej, jacy naprawdę są.

Lecz wiedział już, jaka jest Elizabeth Colburne. Uczciwa.

Był absolutnie pewien, że jest kobietą, na którą czekał przez całe życie. I że musi znaleźć sposób, by ją przy sobie zatrzymać.

Wszedł na piętro, gdzie znajdowała się jego sypialnia i zobaczył, że drzwi pokoju Lisette stoją otworem. Słońce padało stamtąd na podłogę, oświetlając korytarz. Prater zszedł schodami dla służby, niósł dwie torby.

– Dzień dobry, Prater – powitał go.

– Dzień dobry panu. – Lokaj wniósł torby do pokoju Lisette.

Serce Napiera ścisnęło się przeczuciem.

Minął swój pokój i ruszył, niczym przyciągany magnesem, ku drzwiom sypialni Lisette, czując się z każdym krokiem coraz bardziej przygnębiony. W promieniu słońca, wpadającym na korytarz, tańczyły drobinki kurzu. Wszedł, podążając śladem lokaja. Nie przyszło mu do głowy, aby zapukać.

W środku ciepłe powietrze przesycone było zapachem perfum Lisette. Na podłodze stał otwarty kufer. Prater postawił torby w nogach łóżka. Fanny składała ubrania, leżące na materacu. Nie trzeba było detektywa, aby domyślić się, co to oznacza.

– Kiedy wyjeżdża? – Słowa zabrzmiały głucho, jakby dobywały się z głębokiej studni. Ledwie zdawał sobie sprawę, że się w ogóle odezwał.

Fanny podniosła na niego wzrok zaskoczona.

– Rankiem, sir – odparła z uniesioną brodą. – Pierwszym pociągiem. Tak powiedziała.

– Rozumiem. – Zmusił się, by myśleć. – Tak. Doskonale. A gdzie jest teraz?

Fanny zawahała się, lecz Prater nie był tak dyskretny.

– Poszła poszukać panny Jeffers – powiedział. – Nad jezioro.

Napier nie odrywał wzroku od pokojówki.

– Ona nie może wyjechać, Fanny – powiedział głucho. – Nie mogę jej pozwolić. Nie beze mnie. Rozumiesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– To, co ja rozumiem, nie ma znaczenia.

Jakiej odpowiedzi oczekiwał? Była służącą Lisette i bez wątpienia jej powiernicą.

Odwrócił się na pięcie, czując, jak w piersi rośnie mu gniew. Nie na Lisette, lecz na okoliczności. Na własną nieposkromioną głupotę. Boże, czy nie będzie miał już szansy, by wszystko naprawić? Nie zamierzała mu jej dać?

Nie był w stanie nawet o tym myśleć. Nic takiego nie miało prawa się zdarzyć. I do diabła z szukaniem jej na krańcach świata!

Wrócił po swoich śladach na parter i wyszedł na taras, ledwie zauważając, że silny wiatr szarpie jego krawatem. Tuż obok ogrodnik wysypywał z taczki żwir, a potem przesuwał rytmicznie szpadlem, rozrzucając go.

– Czy przechodziły tędy panna Jeffers i panna Colburne? – zapytał wprost.

Ogrodnik podniósł dłoń do czapki.

– Panna Colburne, proszę pana – odparł, wskazując gestem dół zbocza. – Zobaczyłem ją, jak tylko wyszedłem.

– Dziękuję – odparł Napier i przyspieszył. W alejce wiatr szarpał korony przyciętych ozdobnie cisów. Nad jeziorem nie zauważył nikogo, jednak na zboczu powyżej coś mignęło przelotnie wśród drzew. Ktoś wspinał się dróżką prowadzącą do wieży.

To nie może być Lisette, pomyślał. Nie była tak niemądra, by wchodzić na wieżę w tym wzmagającym się wietrze.

Szukała jednak Diany.

Przyspieszył, schodząc ze wzgórza.

* * *

Lisette wdrapała się na przeklętą wieżę na próżno. Kiedy wołała, odpowiadał jej tylko świst wiatru. Uspokoiwszy oddech, chwyciła za żelazną poręcz, podciągnęła się, wydostała na podest i weszła prosto w zalaną słońcem przestrzeń.

Później, spoglądając wstecz, zastanawiała się, czy przeczuwała wówczas, że dzieje się coś złego. Coś – jakiś przerażający dźwięk – sprawiło, że odwróciła się i zobaczyła bladą twarz Felicity Willet. Dziewczyna pojękiwała skulona pod niskim murkiem. Po skroni ciekła jej strużka krwi.

Przez chwilę Lisette nie była w stanie się ruszyć. A potem otrząsnęła się z szoku i krzyknęła, rzucając się w przód:

– Diano, nie!

Diana odwróciła ku niej głowę. W jej oczach płonęło szaleństwo, a w dłoni połyskiwał dwunastocalowy nóż. Lisette zatrzymała się, wyhamowując niemal w ostatniej chwili.

– Nie podchodź, Lisette – powiedziała Diana swoim słodkim, lekko zdyszanym głosem. – Zaraz będzie miał tu miejsce tragiczny wypadek.

– Diano. – Lisette wyciągnęła przed siebie dłoń. – Diano, na miłość boską, zastanów się, co robisz!

– Próbowałam – odparła. Jej głos brzmiał tak, jakby sama się sobie dziwiła. – Ciągle próbuję. Ale dlaczego ją tu przywiózł? Dlaczego...? Okłamał mnie, Lisette.

– Diano, pozwól jej wstać – powiedziała Lisette cicho. – Ten podest zaraz się zawali.

– Wiem – odparła Diana łagodnie. – Lecz gdyby po prostu skoczyła... Cóż, nic by nie poczuła. Skręciłaby sobie kark. Och, Felicity, tak mi przykro.

Panna Willet zaskomlała znowu.

– Diano! – wykrztusiła Lisette w panice.

– Proszę, pozwól mi wstać. I odejść. – Panna Willet zacisnęła dłoń na kamieniu, posyłając w dół małą lawinę kamyków i skruszałego cementu.

– Panno Willet, proszę się nie ruszać. – Lisette zmusiła się, aby zachować spokój i przesunęła odrobinę w kierunku Diany. – To nieporozumienie. Diano, oddaj mi nóż.

– Nie – odparła Diana lodowatym tonem. – Chcę, żeby skoczyła.

Lisette rozejrzała się błyskawicznie. Murek zabezpieczający szczyt wieży zdążył zupełnie zmurszeć i mógł w każdej chwili się rozpaść. Nawet posadzka z kamiennych płyt pod stopami panny Willet wydawała się zmurszała. Dziewczyna odsunęła się jak najdalej od noża i znajdowała teraz tak blisko krawędzi, że najmniejszy ruch mógł ją posłać w dół w lawinie kamieni.

Zaczęła szlochać, powtarzając błagalnie:

– Och, proszę, ja go nie chcę. – Oszalała ze strachu spojrzała na Lisette. – Przysięgam.

Diana zesztywniała.

– Nie wierzę ci! – krzyknęła. Dźgała nożem powietrze, póki panna Willet nie cofnęła się gwałtownie. Wielki kamień za nią zagrzechotał złowróżbnie i spadł.

– Boże! – Strach wykrzywił rysy dziewczyny. – Nie chcę umierać! Weź go sobie!

– Diano – powtórzyła Lisette. – Oddaj mi nóż.

Diana zdawała się nie słyszeć.

– Ale on jest zbyt honorowy, Felicity – powiedziała, jakby tłumaczyła coś dziecku. – Nie rozumiesz? Dżentelmen nie może zerwać zaręczyn. Muszę zatem mu pomóc. Ponieważ on mnie kocha. Zawsze mnie kochał.

– Tak, on cię uwielbia – przytaknęła gorączkowo panna Willet. – Powiedział mi. A ja... chcę tylko wrócić do domu. Do Londynu. Proszę.

Lecz Diana pochylała się ku niej coraz bardziej, wpatrując się jak zahipnotyzowana w strużkę krwi. Lisette znów przysunęła się odrobinę, zgięta pod naporem wiatru.

– Diano – powiedziała, wyciągając rękę. – Tony ci nigdy nie wybaczy. Nie chciałby tego.

Diana drgnęła, jakby miała się odwrócić, zrezygnowała jednak.

– Tony nie wie, czego chce – wrzasnęła – póki ta dziwka jego matka mu nie powie!

– Chcesz zabić Felicity? – spytała Lisette cicho. – Pragniesz zemsty. Rozumiem to. Ale co potem? Spróbujesz zabić też mnie?

Rzeczywistość zaczęła przenikać z wolna w otumaniony umysł Diany, zdesperowana kobieta próbowała jednak trzymać się swego.

– Jeśli będę musiała – warknęła – to i owszem.

– Szkoda – powiedziała Lisette, przysuwając się jeszcze bliżej – ponieważ przekonasz się, że ja nie stchórzę.

– Zobaczymy. – Nóż w dłoni Diany zadrżał niczym wąż, który szykuje się do ataku. – Kiedy potnę ci twarz, wtedy zobaczymy.

Lisette wyciągnęła dłoń, balansując na chwiejnej płycie.

– Nie życzę ci źle, Diano – zapewniła chłodno – ale wierz mi, nie masz szans. Jeśli ją zranisz, tylko jedna z nas zejdzie z tej wieży. I to nie będziesz ty.

– Cicho bądź! – warknęła Diana, tocząc dookoła szalonym spojrzeniem. – To nie twoja sprawa! Nie będę cię słuchać!

Lisette była szybka. Wiedziała, iż zdoła rzucić się na Dianę, odebrać jej nóż i zepchnąć za murek, jeśli będzie trzeba. Tylko czy panna Willet da radę się utrzymać? Nie spanikuje? A może posadzka zarwie się pod nimi trzema i wszystkie spadną?

Złagodziła ton i powiedziała jedyną rzecz, która mogła dotrzeć do Diany, przedrzeć się przez opar szaleństwa.

– Widziałaś już, jak ktoś umiera, Diano? – spytała spokojnie.

– Cicho bądź! – wrzasnęła Diana.

– Ja widziałam – mówiła dalej Lisette drżącym głosem. – Zabiłam kiedyś człowieka. Ponieważ byłam wściekła. Pragnęłam zemścić się za to, co mi odebrał. Przystawiłam mu więc pistolet do głowy, zmusiłam, aby uklęknął, tak właśnie jak Felicity teraz, i kazałam się modlić. Powiedziałam, że zamierzam go zabić. I tak naprawdę było. Chciałam tego, z całego serca. Pragnęłam zobaczyć, jak umiera.

– Jeśli odebrał ci coś, co kochałaś – rzuciła Diana przez ramię – zasłużył na śmierć.

– Odebrał mi wszystko, co kochałam. – Zmusiła się, aby jej głos brzmiał spokojnie. – Całe moje życie. I zemsta wydaje się taką pociechą, czymś tak słusznym, póki się jej nie dokona. Potem jest niczym rak, Diano. Zjada cię od środka. Niszczy całkowicie.

– Nie wierzę ci.

– Wierz sobie, w co chcesz – odparła Lisette. – Ale nie ma dnia, bym nie żałowała, że wyjęłam pistolet z torebki. A jeśli ją zabijesz, stracisz wszystko. Rzeczy, o których nawet nie wiedziałaś, że ich pragniesz. Lecz kiedy to sobie uświadomisz, będzie za późno. I stracisz Tony'ego.

– Ty nie straciłaś niczego! – wrzasnęła Diana. – Nadal masz Napiera.

– Tylko dlatego że on nie wie – odparła Lisette. – Nie na pewno. Jesteś gotowa stracić wszystko, co kochasz?

– Nie. – Po policzku Diany spłynęła łza. – Nie, i nie stracę – wyszeptała. – Nie mogę. On jest jedyną osobą, która mnie kiedykolwiek chciała.

– Ale już nie będzie – zauważyła Lisette łagodnie. – Nikt cię nie zechce. Jaki mężczyzna chciałby mieć w łóżku morderczynię? I w swoim sercu? Pomyśl o tym, Diano. I o tym, że twój czyn wszystko zniszczy.

– Nie mogę pozwolić, by ona go dostała! – Diana szlochała teraz głośno. – Jest mój! Powtarzał w kółko, że się pobierzemy. Że nikt nas nie powstrzyma. A potem sprowadził tu ją. Nie dopuszczę do tego, za nic!

– Lecz Felicity rozumie teraz, jak wygląda sytuacja. Ona chce wrócić do domu, Diano. Pozwól jej, a potem porozmawiaj z Tonym. Możesz to naprawić.

Diana nadal na nią nie patrzyła.

– Nie mogę! – zaszlochała. – Jego matka... nastawiła go przeciwko mnie! Boże, nie widzisz tego? Czekałam i czekałam. Byłam taka dobra. Posłuszna. Lizałam jej buty i całowałam tyłek, aż omal się nie zakrztusiłam.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniła ją pospiesznie Lisette. – Anne powiedziała tak dziś rano. A także to, iż Cordelia wie, że poślubisz Tony'ego. I że się zgodziła.

Diana opuściła nieco nóż i oblizała niepewnie wargi.

– Tak, tak powiedziała. Lecz potem zmieniła zdanie. Dawno temu. Rozmawiała z lordem Hepplewoodem, a później z Tonym. To, co powiedziała, to była trucizna. Wszystko się zmieniło.

– Ale lord Hepplewood nie żyje – powiedziała Lisette, przekrzykując wiatr.

Diana zaszlochała i chwyciła się za brzuch.

– Wiem, wiem, wiem! – zawodziła, zgięta wpół, trzymając kurczowo nóż. – Nie chciałam tego! Kochałam go. Ja... chciałam

tylko, żeby mnie potrzebował! I żebyśmy wrócili do domu! Kiedy zachorował, powinna była pozwolić nam wyjechać, prawda? Ale Gwen, głupia, głupia krowa... Ona go zabiła!

Boże w niebiesiech, zatem Diana wie?

Wiedziała przez cały czas? Czajnik nad paleniskiem, zatruci lokaje, czy wszystko to mogło być częścią...

Diana szlochała teraz histerycznie, zbliżając się cal po calu do Felicity z nożem wymierzonym w jej szyję. Nagle Lisette dostrzegła kątem oka jakiś ruch. Zerknęła przez ramię.

Napier. Stał na najwyższym stopniu, miał pobladłą twarz i twarde spojrzenie. Poczuła przypływ ulgi, a zaraz potem strachu. Potrząsnęła niemal niedostrzegalnie głową. Jeszcze cal, a Diana go zobaczy. I może wpaść w panikę.

Wiatr wył teraz jak potępieniec, po niebie przepływały ciężkie chmury.

– Mów do mnie, Diano – błagała ją, powstrzymując gestem Napiera. – Jestem twoją przyjaciółką, pomogę ci.

– Za późno – załkała Diana. – Gwen zabiła już połowę ludzi, których kochałam.

– Ale to był wypadek – zaprotestowała Lisette. – Ona nie wiedziała. Musisz wrócić, Diano. Powiedzieć Gwen, że to, co zrobiła, było niebezpieczne. Wyprostować sprawy z Tonym.

Nóż obniżył się nieco.

– Nie mogę – wyszeptała Diana, przesuwając się w kierunku muru. – Nie potrafię. Wszystko poszło źle. A oni... Nie powiedzą mi, co...

Wzdrygnęła się, jakby zamierzała podejść bliżej zmurszałej krawędzi wieży. Nagle Lisette zrozumiała, na co się zanosi.

Zamierzała skoczyć.

Wszystko wydarzyło się naraz. Napier rzucił się i chwycił Dianę w talii. Wydała z siebie okrzyk cierpienia i zaczęła uderzać na oślep nożem – krótkimi, brutalnymi pchnięciami.

Napier zaklął. Lisette obejrzała się i zobaczyła, że ciągnie opierającą się szaleńczo dziewczynę ku zejściu.

Odwróciła się i wyciągnęła dłoń do panny Willet.

– Proszę podać mi rękę! – krzyknęła.

Z tyłu dobiegł ją brzęk noża, uderzającego o kamienie.

– Uważaj, Lisette! – krzyknął Napier, ani o chwilę za wcześnie. Stanęła na chwiejącej się płycie. Panna Willet szlochała, niezdolna się poruszyć, osłaniając rękami głowę.

– Daj rękę! – poleciła stanowczym tonem Lisette.

W końcu dziewczyna posłuchała. Lisette szarpnęła i pociągnęła ją ku sobie.

Nagle usłyszeli głośny trzask. Zmurszała ścianka runęła z hukiem. Kamienna płyta, na której stała Lisette, zaczęła usuwać się jej spod nóg. Dziewczyna upadła na kolana, szukając rozpaczliwie czegoś, czego mogłaby się uchwycić. Poczuła, że zsuwa się ku przepaści. Nagle coś chwyciło ją za nadgarstek, niemal wyrywając rękę ze stawu.

Kiedy huk ustał, poniosła wzrok i utkwiła go w chmurze pyłu nad sobą.

Napier zaciskał dłoń wokół jej nadgarstka.

– Nie ruszaj się – powiedział przez zaciśnięte z wysiłku zęby.

Lisette zamrugała, żeby oczyścić oczy z pyłu. Leżała pod niebezpiecznym kątem, a jej nogi zwisały nad próżnią. Poczuła na

grzbiecie dłoni wilgotne ciepło. Podniosła wzrok i zobaczyła, że z rany Napiera tryska krew.

– Jesteś ranny! – krzyknęła.

Napier chrząknął z wysiłku i wzmocnił uścisk na jej nadgarstku. Nóż Diany przeciął materiał surduta i ciało wzdłuż prawego przedramienia. Boże święty, jeszcze chwila i spadną oboje. Zaczęła macać gorączkowo wokół siebie, szukając czegoś, czego mogłaby się uchwycić.

– Odpychaj się! – wykrztusił, ciągnąc mocniej.

Nie ustępował i Lisette zwalczyła panikę. Kamień na pewno zaraz spadnie. Zaczęła przesuwać się powoli ku górze, instynktownie wbijając kolana, a potem czubki pantofli w gruz, czepiając się wolną ręką kamienia.

Cal po calu przesuwała się w górę, ciągnięta przez Napiera. Mur był tak zniszczony, że nietrudno było czegoś się uchwycić. Jednak to nieubłagana siła Napiera sprawiła, że wylądowała w końcu poza krawędzią osuwiska.

Spostrzegła mocniej osadzoną płytę i wpełzła na nią. Napier chwycił ją w talii i pociągnął ku schodom. Nagle podłoga wieży zapadła się znowu i dwie kolejne jej stopy zniknęły w chmurze pyłu.

Lisette zamrugała i fragment posadzki, na którym stali, usunął się im spod nóg.

Rozdział 15
W którym na scenie pojawia się Jane

Wyglądało na to, że pani Boothe nie mogła wybrać sobie lepszego poranka, by zdzielić w łeb swego małżonka, ani lepszej broni, by to uczynić.

– Waga pocztowa – burknął doktor Underwood, otwierając czarną torbę. – Solidny mosiądz, osadzony w dębinie. Musiałem założyć mu osiem szwów z tyłu głowy. Ale dzięki temu, że mnie do niego wezwano, byłem akurat na podorędziu, prawda? W dodatku z odpowiednim wyposażeniem.

Napier siedział w czarnym fotelu dziadka, zachowując stoicki spokój, i nawet się nie skrzywił, kiedy doktor odcinał rękaw surduta. Lisette przyglądała się temu z sercem w gardle.

Kwadrans wcześniej wepchnęła Napiera do zbrojowni, pierwszego pomieszczenia, jakie zastała otwarte. Młody Horton czyścił tam właśnie broń rozłożoną schludnie na kocu.

Gajowy posłał natychmiast lokajów, by poszukali Diany, i natknął się w holu na doktora Underwooda wymieniającego plotki z Duncasterem.

– Paskudna robota – wymamrotał doktor. Odrzucił ucięty rękaw i zanurzył ramię Napiera w misce z gorącą wodą. – Zamierzam przepłukać ranę, milordzie. Zapewne niepotrzebnie, ale taka zapanowała ostatnio moda.

Napier zacisnął szczęki. Lisette przysunęła sobie stołek i usiadła obok, nadal drżąc z ulgi.

– Okropna sprawa! – Duncaster przemierzał pokój wzdłuż francuskich okien. – Okropna! Boże, mogłeś zginąć! I gdzie byśmy wtedy byli?

– Niech pan się lepiej zajmie Lisette – odparł Napier, zerkając na nią. – To ona o mało nie zginęła. A gdyby tak się stało, nigdy bym sobie nie wybaczył.

– Doprawdy, trzeba zapełnić jak najszybciej pokój dziecinny! – Starszy pan, ewidentnie wstrząśnięty, sprawiał wrażenie, jakby mówił do siebie. – Nie wolno marnować czasu.

– Rzeczywiście, jeśli członkowie rodziny zamierzają biegać z nożami, dźgając się nawzajem – odparł Napier chłodno.

Duncaster odwrócił się natychmiast.

– Ta piekielna kobieta nie ma w sobie kropli naszej krwi – odparował. – To tylko daleka kuzynka Hepa.

– Och, nie postawiłbym na to ani szylinga – powiedział Napier i syknął z bólu.

Nóż Diany zagłębił się w mięsień przedramienia, a potem zjechał w dół, wycinając dwie podłużne, na szczęście cienkie rany. A kiedy doktor wbił igłę w ciało obok rany, Lisette, chociaż nieskłonna do omdleń, poczuła, że robi jej się słabo.

Czuła się tak, jakby to było jej ciało. Jakby w głęboki, niewytłumaczalny sposób stali się jednością, połączyli tysiącem

kawałków kości i ścięgien.

A gdyby go straciła? Dobry Boże...

Nagle jej oczy zaszły mgłą i wydawało się, że zaraz zemdleje.

– Duncaster...? – Underwood skinął głową, wskazując Lisette.

Starszy pan skoczył ku niej z zadziwiającym wigorem.

– Pochyl się, drogie dziecko. Jak najniżej – powiedział, klękając obok krzesła. – Oprzyj czoło na mojej dłoni. Tak, właśnie tak.

– Ale ja nigdy nie mdleję! – wyszeptała Lisette z twarzą wtuloną w spódnicę, zakrwawioną teraz i podartą.

Dłoń Duncastera była rozkosznie chłodna.

– Winię za to siebie – wymamrotał.

– Jeśli już mamy obarczać kogoś winą za to, że ją w tę sprawę wciągnął – Napier zamilkł i zacisnął na chwilę zęby, kiedy igła przebiła po raz kolejny ciało – to tylko mnie.

Lisette zaczerpnęła głęboko oddechu, nie podnosząc głowy. Pył, zmieszany z wonią zakrzepłej krwi przypomniał jej, co udało im się przeżyć. A skoro przetrwała coś takiego, z pewnością da radę przyglądać się, jak lekarz zszywa ramię Napiera. Oparła dłonie na poręczach krzesła i wyprostowała się.

– Już wszystko dobrze, proszę pana – wykrztusiła. – Naprawdę.

Duncaster wstał niechętnie, a Napier wyciągnął zdrową rękę i uścisnął mocno dłoń Lisette. Nie bacząc na obecność pozostałych, uniosła dłoń do ust i ucałowała knykcie.

Nagle masywne dębowe drzwi otwarły się i do pokoju wpadł Tony.

– Boże święty! – zawołał. – Gdzie ona jest?

– Na górze – odparła Lisette. – Przestraszyła się, ale poza tym nic się jej nie stało. Posłałam Fanny, żeby się nią zajęła.

– Nie, do diaska! Nie Felicity. – Tony wszedł głębiej do pokoju. – Diana. Boże w niebiesiech, nie skrzywdzili jej, prawda?

– Przepraszam bardzo – przerwała mu oburzona Lisette – to Napier ucierpiał, gdy go pocięła.

Tony zatrzymał się gwałtownie.

– Jezu! – Zagapił się na częściowo zszytą ranę. – Napier, chłopie. To okropne. Lecz Diana... Boże, na pewno tego nie chciała! Biedna dziewczyna nie skrzywdziłaby muchy!

– Zaczynam się zastanawiać, jak dobrze ją znasz – wymamrotała Lisette ponuro.

– Och, to wszystko moja wina! – wykrztusił Tony, wsuwając dłonie we włosy. – Powinien był dostrzec, domyślić się... Och, do diabła z tym! Muszę do niej iść.

– Zważaj na język, chłopcze! – zagrzmiał Duncaster.

Zirytowany Underwood powiódł wzrokiem dookoła.

– Przydałaby mi się odrobina spokoju, jeśli łaska.

– Usiądź, Tony, i bądź cicho – polecił Duncaster. – Służący znajdą Dianę.

Podszedł do stolika pod ścianą i jął napełniać kieliszki brandy. Dziwnie było patrzeć, jak stary arystokrata niesie osobiście tacę, by podać trunek wpierw Napierowi, a potem Lisette i nawet Tony'emu.

Przystojny młodzieniec opadł na krzesło w pobliżu Lisette. Twarz miał pobladłą, a pełne, niemal dziewczęce usta zaciśnięte w wąską kreskę. Kiedy podszedł do niego dziadek, podniósł wzrok, wziął brandy, skinął na znak podziękowania głową i opróżnił kieliszek jednym haustem.

Siedzieli tak we trójkę, przyglądając się, jak Underwood wykonuje swoją robotę. Napier krzywił się od czasu do czasu, ale poza tym poddawał się zabiegom ze stoickim spokojem. Nim lekarz skończył, do pokoju weszła, opierając się na lasce, lady Hepplewood, a pięć minut po niej Gwyneth. Wystarczyło jedno gniewne spojrzenie Duncastera, aby usiadły obok siebie na sofie w milczeniu.

– No dobrze, skończone – powiedział w końcu Underwood, wrzucając do miski chirurgiczne nożyczki po tym, jak przyciął ostatni kawałek zakrwawionej nici. – Dwanaście szwów, żeby zamknąć najgorszy odcinek rany. To czyste cięcia, milordzie i tylko jedno sięgnęło w głąb mięśnia. Mimo to zamierzam opatrzyć rany i założyć temblak.

– Żadnego temblaka – sprzeciwił się Napier ponuro. – Poproszę tylko o bandaż. Musimy pozałatwiać ważne sprawy i zrobimy to, zanim ucierpi ktoś jeszcze. Ktoś poza biedną dziewczyną Willetów, którą to, co dziś przeszła, będzie prześladowało zapewne do końca życia.

Dopiero wtedy lady Hepplewood zalała się łzami, pochyliła ramiona i schowała twarz w dłoniach. O dziwo, nikt nie zareagował. Nawet Tony, choć można by przypuszczać, iż ruszy pocieszyć matkę. Choć raz Lisette także zabrakło siły, aby coś zrobić.

To Gwyneth spróbowała w końcu uspokoić starszą damę, poklepując ją współczująco po ramieniu.

– No już, już! – napomniała ciotkę łagodnie. – Nie jest tak źle, jak wygląda.

– Och, doprawdy? – zapytał Tony głosem ochrypłym z bólu.

Gwyneth rozejrzała się szybko po pokoju.

– A tak przy okazji, schwytali Dianę – oznajmiła z satysfakcją. – Marsh powiedział mi o tym, kiedy schodziłam. Hoxton znalazł ją skuloną w jednym z boksów.

– W stajni? – spytał zaszokowany Tony. – Gdzie jest teraz? Co z nią zrobią?

– Zapewne nie to, na co zasłużyła – odparła Gwyneth bezlitośnie. – A teraz, czy ktoś byłby na tyle uprzejmy i poinformował nas, co właściwie zaszło? Słyszałam najdziksze pogłoski.

Napier wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Lisette.

– Nie jestem pewna – odparła. – Podobnie jak tego, czy powinniśmy rozmawiać o tym tutaj.

– Rozmawiać! – Tony zerwał się z krzesła. – Do wszystkich diabłów, mam już dosyć sekretów!

– Tony...! – krzyknęła z płaczem jego matka.

– Nie! – Odwrócił się na pięcie i spojrzał na nią. Twarz miał bladą jak płótno. – Nie, mamo, z całym szacunkiem, to wszystko twoja wina! Ty i twoje przeklęte sekrety, twoja przesadna duma doprowadziły tę biedną dziewczynę niemal do szaleństwa.

– Niemal? – spytała Gwyneth drwiąco. – Próbowała zabić biedną Felicity.

– Chyba jednak nie. – Autorytatywny głos Napiera uciszył wszystkich. – Podejrzewam, iż zamierzała rzucić się z wieży. Tak sądzę. – Odwrócił się i spojrzał twardo na Lisette. – Moja droga? Byłaś bliżej niż ja.

– Tak, bez wątpienia – poparła go zdecydowanie. – Chyba masz rację. Diana nie chciała zabić Felicity, nie naprawdę. Lecz gdyby

skoczyła, zabrałaby ze sobą część podłogi, przypieczętowując los Felicity.

– I twój – uzupełnił ponuro Napier. – Łatwo mi być wielkodusznym, Hepplewood. Nadal mam narzeczoną. Ale ty... Obawiam się, że straciłeś swoją. Panna Willet zamierza wyjechać. Jeszcze tego popołudnia. I nie sądzę, byś kiedykolwiek ją zobaczył.

Tony wzruszył ramionami.

– Niech robi to, co dla niej najlepsze.

– Anne pakuje już jej rzeczy – dodała Gwyneth z niejakim zadowoleniem. – Wyjedzie, jeśli nie jest potrzebna jako świadek.

Napier zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Obawiam się, że będziemy musieli podjąć trudne decyzje, sir – powiedział, spoglądając na dziadka, który stał teraz za lady Hepplewood. – Plotek nie da się całkowicie wyciszyć. Pogłoski o odwołanym ślubie panny Willet dotrą do Mayfair najdalej jutro.

– W rzeczy samej – przytaknął Duncaster poważnie. – Chyba masz rację. Ale o czym tu jeszcze decydować?

Napier rozejrzał się po pokoju.

– O kilku sprawach rodzinnych – odparł ponuro. – Zwłaszcza o tym, dlaczego Diana wyobraziła sobie, że jest potajemnie zaręczona z Hepplewoodem? I co należy teraz z nią zrobić?

– Posłać do więzienia, prawda? – odparła Gwyneth.

Napier pochylił głowę ostrzegawczym gestem.

– Nie spieszyłbym się tak z decyzją – powiedział – chociaż nie wątpię, że byłbym w stanie doprowadzić do skazania, jeśli tego sobie życzycie.

– A dlaczego nie mielibyśmy...? – wtrącił zagniewany Duncaster. – Nie jest naszą krewną. Nie naprawdę.

Lisette przyglądała się, jak twarz Napiera zastyga w wyrazie czujności.

– Na pańskim miejscu zapytałbym o to siostrę, *sir*. A jeszcze lepiej, proszę zadać bratankowi pytanie, które postawiłem przed chwilą. Co sprawiło, że to biedne, szalone stworzenie uznało, że kiedyś go poślubi?

– Ponieważ zadzierał jej spódnicę od lat. – Gwyneth wskazała kuzyna palcem. – Dalej, Tony, powiedz im! To dlatego nie postąpiłeś tak, jak nakazywał ci ojciec, i nie poślubiłeś Anne, prawda?

– Boże, Gwen, jesteś po prostu obrzydliwa! – krzyknął Tony, zrywając się z krzesła. – Czy nikt tu nie dba o biedną Dianę? Tak, powiedziałem raz, że się z nią ożenię! Pragnęła tego rozpaczliwie i była mi bliska. Jest taka krucha, zawsze była. Czy nikt z was tego nie rozumie? A może jesteście tak pozbawieni uczuć, że ona was nic nie obchodzi?

– Mnie obchodzi – powiedziała cicho Lisette. – Ale zostałeś lordem Hepplewood już przed kilkoma miesiącami. Jeśli chciałeś poślubić Dianę, dlaczego tego po prostu nie zrobiłeś?

Lady Hepplwood wstała i podeszła chwiejnie do okna. Oparła jedną dłoń o framugę i wyglądała, jakby chciała odlecieć, zniknąć. A potem pochyliła głowę i zaczęła znów przejmująco szlochać.

– Mamo! – ostrzegł ją Tony. – Nie zaczynaj. To już nie działa. Przykro mi. Nie chcę, byś czuła się upokorzona, lecz Diana nie może ponosić konsekwencji tego, co się kiedyś wydarzyło! Nie jest silna i dobrze o tym wiesz. Nie tak odporna jak ty.

Lady Hepplewood odwróciła się gwałtownie, prezentując zebranym twarz zastygłą z gniewu i poznaczoną śladami łez.

– Nie, nie jest taka jak ja! – odpaliła. – Jest kapryśna i pozbawiona charakteru. Ale mów dalej. Jeśli chcesz rzucić biedną matkę na żer plotkarzom, by rozszarpali ją na strzępy, nie mogę cię powstrzymać.

– Może powinienem wyjść – wymamrotał Underwood i się podniósł.

Napier chwycił go za ramię.

– Nie – powiedział ostrzegawczo. – Może pan być jeszcze potrzebny.

Lecz Tony nadal wpatrywał się w matkę.

– To nasza rodzina, mamo – kontynuował spokojnie. – Underwood jest naszym lekarzem, a Duncaster twoim bratem.

– Zabrzmiało to tak, jakby coś ciągnęło się już zbyt długo – zauważył wicehrabia ponuro. – A sprawy trzymane w tajemnicy zaczynają po jakimś czasie gnić. Co zrobiłaś Dianie?

Lady Hepplewood wyprostowała się i zesztywniała z oburzenia.

– Jak możesz, akurat ty ze wszystkich ludzi, sugerować, że chciałabym jej zaszkodzić? – odparła ostro. – Kiedy umarła jej matka, wychowywałam ją razem ze swoim synem. I aby mi odpłacić, wymyśliła sobie, że się w nim kocha! Oczywiście, obawiałam się tego od lat, gdyż uwielbiała chłopca.

– Tak, tak – wtrącił Duncaster niecierpliwie. – Dlatego Hep życzył sobie, by Tony poślubił Anne. Chciał zniechęcić dziewczynę. A ja to popierałem.

– I dlatego wysłał Tony'ego do szkół – kontynuowała lady Hepplewood – a potem do Londynu. Ale ty, Tony, pozwalałeś się

bałamucić i wracałeś do domu. Nie potrafiłeś przeciwstawić się jej manipulacjom. Ja robiłam co mogłam. Nie pozwolę obwiniać się za to, że uznałam, iż nie była dla ciebie dość dobra, bo nie była. Mimo to spełniłam swój obowiązek. Wychowałam ją i wprowadziłam w świat, w wielkim stylu.

Lisette coś sobie przypomniała.

– Zrobiła pani nie tylko to – zauważyła. – Mąż pani dał jej dwadzieścia tysięcy funtów.

– Przeciwstawiałam się temu – odparła lady Hepplewood z goryczą. – Mąż podpisał jednak papiery i wydawało się, że z takim posagiem nietrudno będzie wydać ją za mąż. Lecz Diana odrzucała wszystkich starających się, póki... – zamilkła i potrząsnęła głową.

– Póki pewnego dnia Anne nie powiedziała pani, co zobaczyła? – naciskała Lisette. – Tak było, prawda? Powiedziała, że przyłapała Tony'ego, jak całował Dianę.

– Całował? – Lady Hepplewood spojrzała na syna z pogardą. – Jeśli Anne tak to określiła, to jest rzeczywiście damą.

– Nie słuchaj ohydnych aluzji Gwyneth – powiedział Tony. – Nie zrobiłem nic więcej, jak tylko ją pocałowałem.

– Lecz narzucała ci się potajemnie przez cały czas – prychnęła jego matka. – Grała na twoim poczuciu winy, aż w końcu powiedziałeś mi: Diana albo żadna.

Tony rozłożył ręce i wzruszył z lekka ramionami.

– Postąpiłam więc tak, jak chciałeś – kontynuowała jego matka. – Poszłam do twego ojca. Powiedziałam, że sprawa z Anne ani jakąkolwiek inną dziewczyną nie ma szans powodzenia. W grę

wchodzi jedynie Diana, a skoro tak, chciałabym ogłosić od razu zaręczyny. Uległam, i spójrz, ile mnie to kosztowało!

– Przykro mi mamo, naprawdę.

– Wcale nie! – wybuchła. – Nawet teraz możesz myśleć tylko o niej! Jesteś jak twój ojciec, oby smażył się w piekle!

– Cordelio! – Duncaster poruszył się niespokojnie. – Wystarczy, moja droga!

Napier siedział w milczeniu, wsparłszy łokcie na kolanach, w pozie, którą tak dobrze znała i lubiła. Przybierał ją, kiedy chciał coś przemyśleć lub zdecydować, jak postąpić. Był twardym mężczyzną, lecz nie bezdusznym.

Teraz wyprostował się, sygnalizując, że decyzja została podjęta.

– Czy nikomu z was nie przyszło na myśl – powiedział spokojnie – że Diana zasługuje na to, aby się dowiedzieć, kim był jej ojciec? I że gdyby o tym wiedziała, oszczędziłoby to nam tej tragedii?

– Ale jej ojcem jest Edgar Jeffers – odparła Gwyneth niewinnie. – Kuzyn Hepplewooda.

Napier potrząsnął z wolna głową.

– Nie sądzę – powiedział cicho. – Myślę, że zmarły lord Hepplewood uczynił brzemienną swoją kochankę, której imię brzmiało, jak przypuszczam, Jane, a potem skłonił kuzyna, aby się z nią ożenił. Być może oferując w zamian stanowisko zarządcy Loughford.

Lodowaty uśmiech wykrzywił wargi lady Hepplewood. Nie wyglądało na to, by zamierzała znów się rozpłakać. Nie tym razem.

– Gratulacje, komisarzu Napier – powiedziała cicho. – Jesteś o wiele szybszy i bystrzejszy niż ja. Doprawdy, żadna kobieta nie

była tak ślepa na zdradę męża. Człowieka bardziej lojalnego wobec swego lokaja niż wobec mnie. Mężczyzny, którego pokochałam od pierwszego wejrzenia.

– On zaś odwdzięczył się pani, idąc do łóżka z guwernantką waszego syna – powiedział Napier – a potem umieszczając ją w domu tuż pod pani nosem i żądając, by wychowała pani ich dziecko. Gorzka pigułka, *madame*, nie przeczę.

– Jane Jeffers była dziwką, nie guwernantką.

Napier wzruszył ramionami.

– Wielu szlachetnie urodzonych nadal wierzy w prawo pierwszej nocy – powiedział na pozór obojętnie. – A każdy medal ma dwie strony.

Lady Hepplewood wyprostowała się jeszcze bardziej i jęła potrząsać gniewnie laską.

– Mój mąż nie zmusił do uległości żadnej kobiety – powiedziała lodowatym tonem. – Nie musiał. To ona go uwiodła.

– A potem wezwał młodego kuzyna do Loughford i zaoferował mu posadę, jakiej tamten rozpaczliwie potrzebował – kontynuował Napier. – A wraz z nią kandydatkę na żonę, której nie mógł odrzucić. Nie oceniam tego, *madame*. Nauczyłem się w bolesny sposób, że nie mam prawa sądzić innych. Stwierdzam po prostu fakt.

Gwyneth siedziała jak skamieniała na sofie.

– Boże święty – wyszeptała. – Zatem Diana jest... siostrą Tony'ego? I nikt jej o tym nie powiedział? To... na Boga, to po prostu bezduszne.

Teraz wszystko nabrało dla Lisette sensu. Rozpaczliwa tęsknota Diany za domem. Jej nieśmiałość. Kłótnia w galerii z Tonym...

– Myślę, że Diana czuła się odsunięta, a nawet wzgardzona. Oszalała z rozpaczy – powiedziała. – A można było tego uniknąć, wyjaśniając jej, dlaczego nie może wyjść za Tony'ego. Uważała Loughford za swój dom, a Tony'ego i jego zmarłego ojca za jedyne osoby, które ją kiedykolwiek kochały. Jej ojciec, pan Jeffers, z pewnością też ją odrzucił. Powinna była poznać prawdę.

– Powinienem był powiedzieć jej tego samego dnia, gdy sam ją poznałem. – Tony zwiesił głowę. – Zrobię to jeszcze dziś.

Zamiast tego uległ naciskom matki, by niczego nie mówić. Który syn nie odczułby takiej pokusy? Utrzymano sekret, ale za jaką cenę? Zdrowia psychicznego Diany?

Doktor Underwood obawiał się jednak czegoś gorszego.

– Z całym szacunkiem, lordzie Hepplewood, może być już za późno – zauważył ostrożnie. – Kiedy słaby umysł raz się załamie, dziś nazywają to psychozą, często nie potrafi wrócić potem do rzeczywistości.

Lady Hepplewood odwróciła się i znowu zapatrzyła na ogród. Duncaster potrząsał głową.

– Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy – stwierdził z żalem. – Jednakże, Cordelio, wszyscy mężowie miewają od czasu do czasu romanse.

Odwróciła się od okna i spojrzała na niego z gniewem.

– Ty, Henry, nie miewałeś. Nasz ojciec także nie. I mój mąż, póki Jane go nie uwiodła. To szczyt hipokryzji: aprobowanie cudzołóstwa, jakby było zaledwie drobnym uchybieniem. Tymczasem coś takiego jest zgubne. Potrafi zniszczyć nawet najbardziej udane małżeństwo.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić – powiedział Napier spokojnie. – Co prowadzi nas do kolejnej smutnej sprawy.

Tony zaśmiał się ostro.

– Do licha! Jeszcze jedna?

Napier spojrzał spod oka na Lisette.

– Obawiam się, że tak, choć dotąd nie zdołałem jej rozwikłać. Lisette, moja droga, chciałabyś coś wyjaśnić?

Boże, zapomniała o arszeniku!

W całym tym zamieszaniu ledwie miała czas, by wspomnieć Napierowi o swoich podejrzeniach. Teraz spojrzała na Gwyneth, nieszczęśliwa z powodu tego, co będzie musiała powiedzieć. Zaczerpnęła jednak głęboko oddechu i zaczęła:

– Dziadek Diany był właścicielem fabryki włókienniczej. Jej wujek nadal ją posiada. Dlatego Diana zna się bardzo dobrze na wytwarzaniu tkanin i na nich samych.

– Tak, często o tym rozprawia, a przynajmniej rozprawiała. – Tony zerknął spod oka na Lisette. – Co ma to wspólnego z czymkolwiek?

– Istnieją substancje chemiczne służące do farbowania zwane zieleń paryska i zieleń Scheelego – wyjaśniła. – Tej ostatniej rzadko się dziś używa, lecz obie mogą być bardzo groźne.

– Słyszałem o nich – prychnął niecierpliwie Tony. – Zawierają chyba wodoroarsenian miedzi. Uważa się jednak, że są bezpieczne. Co próbujesz powiedzieć?

– Są bezpieczne w określonych okolicznościach – przyznała, spoglądając na jego matkę. – Lady Hepplewood, przywiozła pani Dianę do Burlingame, aby odseparować ją od Tony'ego, prawda? Pomimo sprzeciwu męża?

Lady Hepplewood odwróciła się od okna. Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Nie mogłam pozwolić, by mieszkali razem w Loughford – powiedziała. – Nie po tym, jak Hepplewood wyznał mi prawdę. Błagałam Edgara Jeffersa, aby odesłał dziewczynę, ale on tylko wzruszył ramionami. Zatem, tak, przywiozłam ją tutaj. Wiedziałam, że Saint-Bryce wkrótce owdowieje, a jeśli Diana pragnęła pieniędzy i statusu... Cóż, pomijając pozycję, ten majątek wart jest trzy razy tyle co Loughford.

– A Tony?

Zmrużyła oczy.

– Poleciłam mu stanowczo, aby wyjechał, znalazł sobie narzeczoną i trzymał się z dala od Diany, póki się nie ożeni – stwierdziła gorzko. – Londyn czy Loughford, wszystko jedno, chodziło jedynie o to, aby przebywał z dala od niej, póki nie znajdzie odpowiedniej kandydatki. Zamiast tego zmarnował rok, włócząc się po szulerniach, a pewnie i gorszych miejscach.

– Z pewnością był to wszechstronny plan – zauważył Napier. – Mimo to wątpię, by pomysł zamieszkania niemal na stałe w Burlingame spodobał się pani mężowi.

– Zgodził się, ponieważ nie miał żadnego planu – wycedziła. – Narobił bałaganu, a potem zostawił mnie z nim, bym posprzątała. I wychowała, nieświadoma, jego bękarta.

– Lecz Diana źle się tu czuła – powiedziała Lisette. – Kiedy zdała sobie sprawę, co pani planuje, stała się nerwowa i zaczęła grać na uczuciach Hepplewooda. Błagała go, byście wrócili do domu. A skoro zabroniła mu pani powiedzieć prawdę, próbował jakoś ją uspokoić.

– Tak – podsumowała lady Hepplewood. – Co z tego? Zależało mu na niej.

– Powiedział zatem, iż może odnowić wszystkie pokoje – kontynuowała Lisette – i tak właśnie zrobiła, używając neutralnych kolorów. Wszędzie, poza jednym miejscem. W jego sypialni wystrój utrzymany był w bogatej, królewskiej zieleni.

– Do licha! – wyszeptał Tony z niepokojem. – Co próbujesz powiedzieć?

– Że Diana go truła – stwierdził Napier ponuro. – Prawda, moja droga?

Zwrócił się tak do niej już trzeci raz. Zdusiła jednak nadzieję i zajęła się sprawą.

– Myślę, że Diana chciała po prostu, by źle się poczuł – odparła. – Trucizna była w tapetach, a także w zasłonach i kotarach przy łóżku.

Twarz Tony'ego zbielała jeszcze bardziej.

– Nie masz chyba na myśli... wodoroarsenianu miedzi?

– To albo mieszankę trójtlenku arsenu – powiedziała Lisette. – Nie jestem pewna, ale każda z tych substancji pozostaje stabilna, póki jest sucha. W wilgotnym klimacie – lub jeśli się ją zwilży – może okazać się szkodliwa, a przy bezpośrednim kontakcie zabójcza, zmienia się bowiem w czysty arszenik. Diana o tym wiedziała. Dlatego tak się zdenerwowała, gdy usłyszała, że spałeś w tamtej sypialni.

Doktor Underwood ocknął się z oszołomienia.

– To dlatego lokaje zachorowali!

Lisette skinęła głową.

– Zwilżali tapetę, a potem ją zrywali. Wdychali opary i wynosili oderwane kawałki, a potem je palili.

– Boże! – westchnął doktor. – To cud, że żyją!

– Ktoś jednak umarł – powiedziała Lisette cicho. – Gwyneth znalazła trochę zielonego aksamitu. Zmoczyła go i używała jako kompresu chłodzącego na czoło wuja, póki Diana tego nie zobaczyła i nie zabrała materiału. Dlatego przez kilka dni źle się czułaś, Gwyneth.

– Och! – Gwyneth położyła rękę na sercu, podnosząc się lekko z sofy. – O, nie! Nie mogłam... Ja... znalazłam materiał. Wydawał się taki miękki. A Diana powiedziała, że wilgotne powietrze dobrze zrobi mu na płuca. Ona... trzymała nawet nad ogniem parujący czajnik.

– Zapewne celowo – wyjaśniła Lisette. – Chciała, aby lord Hepplewood poczuł się trochę słabo i zechciał wrócić do domu. Ponieważ, jak kiedyś mi powiedziała, każdy woli umrzeć we własnym łóżku.

– Co prawda, to prawda! – przytaknął Underwood, robiąc mądrą minę.

– A gdyby wrócił do domu – prawdopodobnie wzywając syna – nastąpiłoby cudowne uzdrowienie – zauważył Napier sucho. – Tak przynajmniej to sobie wyobrażała. Rodzina byłaby znów razem w Loughford i wszystko wróciłoby do poprzedniego stanu.

– Ale... chcesz powiedzieć, że to ja go zabiłam? – Gwyneth przycisnęła dłoń do serca i krew odpłynęła jej z twarzy. – Och, Boże! Otrułam wujka Hepplewooda? – Wypadła z pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

– Cóż – stwierdziła lady Hepplewood zgryźliwie – mam nadzieję, że jesteście wszyscy zadowoleni. Nasze życie legło w gruzach.

– Podobnie jak życie Felicity Willet albo prawie – zauważył Napier. – Dwaj lokaje o mało nie umarli i nawet Gwyneth chorowała. Nie chodzi tylko o tę, o naszą, rodzinę, *madame*, lecz o to, co jesteśmy winni naszej pozycji w świecie. O poczucie tego, co słuszne i być może zdolność wybaczania.

Wstał z krzesła ze smokami. Podarty rękaw zwisał mu bezwładnie. Przyciskał do boku zranioną rękę niczym ptak złamane skrzydło.

– A teraz, jeśli mi wybaczycie – dodał – lepiej was zostawię.

Odwrócił się i podał zdrową dłoń Lisette.

Ujęła ją i wstała.

– Pomogę ci się położyć.

Ich oczy spotkały się i w jego spojrzeniu dostrzegła znużenie, pustkę, lecz także – o ile się nie pomyliła – wielką czułość.

– Dziękuję, moja droga.

– Czekajcie! – zawołał Duncaster. – Co powinniśmy teraz zrobić?

Napier odwrócił się i wzruszył zdrowym ramieniem.

– Nie mam pojęcia – odparł spokojnie.

– Ale ty... jesteś z policji – mówił dalej zaniepokojony starzec. – Jesteśmy winni wyjaśnienie biednej pannie Willet. I trzeba zrobić coś z Dianą.

Och, teraz, gdy było im to na rękę, Napier był nagle „z policji”, pomyślała Lisette kwaśno.

Lecz Napier nie odpowiedział ostro, jak się spodziewała.

– To chyba lord Hepplewood powinien złożyć wyjaśnienia swej narzeczonej – powiedział cicho. – Wybaczcie, jeśli nie jestem w stu procentach pewny, ale czy nie tego oczekuje się od dżentelmena?

– Oczywiście, że tak – przyznał pospiesznie Tony. – I owszem, powinienem to zrobić. Powiem jej wszystko i poproszę o wybaczenie.

I o dyskrecję, dodała w myślach Lisette. O ile dziewczyna się zgodzi.

– A Diana? – zapytał Duncaster niepewnie. – Co byś proponował?

Po raz pierwszy, odkąd go poznała, wicehrabia wydał się Lisette niepewny. Uświadomiła sobie, że nie chodzi jedynie o to, że Napier był wysokiej rangi funkcjonariuszem policji: starszy pan liczył się z jego zdaniem i na nim polegał. Dopraszał się wręcz porady. Schowała zatem pazurki i czekała wraz z innymi na to, co powie Napier.

– Dyskretny, spokojny zakład dla umysłowo chorych byłby najlepszy – zasugerował. – We Francji znajduje się kilka doskonałych, prywatnych, choć nie są tanie. Doktor Underwood wyszuka coś dla was.

– Ale czy nie powinniśmy jej aresztować? – Duncaster uniósł krzaczaste brwi.

– Nie zamierzam tego zrobić – odparł Napier spokojnie. – Wezwijcie miejscowe władze, jeśli chcecie, aby stanęła przed sądem, ale wpierw dobrze się zastanówcie. Pomyślcie o tym, czy ta rodzina nie jest dziewczynie czegoś winna. A także, czy zdołacie dowieść premedytacji, i o skandalu, jaki spadnie na rodzinę i biedną pannę Willet. Już i tak będzie musiała stawić

czoło plotkom. Wątpię, czy życzyłaby sobie, by jej nazwisko było powiązane ze sprawą kryminalną. Co się zaś tyczy mnie, nauczyłem się ostatnio, i to z korzyścią, iż w życiu zdarza się wiele spraw, które lepiej zamieść pod dywan.

– Ale co z panem, milordzie? – zapytał Underwood. – Panna Jeffers pana zaatakowała.

– Och, minie miesiąc i się zagoi – powiedział. – Wyzdrowieję akurat do czasu, aż zostaną ogłoszone nasze zapowiedzi. Jak słyszeliście, Duncaster nie może się doczekać, bym ruszył dalej ze swoim życiem i zaczął wykonywać obowiązki związane z tytułem, zanim pojawi się kolejny problem.

– Zapowiedzi? – wtrącił Duncaster. – Nonsens! Otrzymasz specjalne pozwolenie.

– Cóż, zobaczymy – powiedział Napier i zerknął na Lisette.

– Wielkie nieba! – zawołał doktor Underwood, wstając. – Zapomniałem zabandażować pańskie ramię!

Lisette poczuła przypływ ulgi, zmieszanej z nadzieją. Wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Proszę dać mi ten bandaż, może powinnam od razu zacząć się nim opiekować.

Napierowi ulżyło bardziej, niż gotów był przyznać, kiedy zostawił członków rodziny samym sobie i mógł schronić się w bezpiecznym, zalanym słońcem pokoju, mając u boku Lisette. I oby nikt nie odważył się im przeszkadzać!

Nie powiedział nawet, by nie wchodziła: Lisette nie była dzieckiem, a on świętym.

Co więcej, przeżył tego ranka prawdziwy koszmar i nie wstydził się do tego przyznać. Przez mniej więcej sześć sekund –

wieczność, doprawdy – stał wobec realnej możliwości życia bez niej. I podczas tych kilku sekund uświadomił sobie z przerażającą jasnością, iż takie życie nie byłoby wiele warte.

Zamknął więc drzwi, przyciągnął ją do siebie i całował długo i bardzo, bardzo namiętnie. A kiedy skończył, przyciągnął ją jeszcze bliżej i oparł czoło o jej czoło.

– Boże – powiedział, wdychając zapach jej perfum. – Nie chciałbym drugi raz tego przeżywać. Słyszysz, Lisette? Nigdy więcej.

Nie odpowiedziała, ale pocałowała go znowu, muskając wargami usta. Miał nadzieję, że pocałunek stanowi jedynie obietnicę.

– Usiądź na łóżku – powiedziała.

– Mam tak po prostu usiąść? I nic więcej? – powtórzył z niedowierzaniem. – Piękna kobieta wpada do mojej sypialni i każe mi tylko usiąść na łóżku? Muszę być wyjątkowo kiepskim kochankiem, Lisette, jeśli to wszystko, o co mnie prosisz.

Uśmiechnęła się do niego – właściwie nie był to nawet uśmiech, lecz delikatnie wygięcie warg – i popchnęła go na łóżko.

– Siadaj – poleciła znowu – muszę zabandażować ci ramię. Nadal istnieje ryzyko infekcji, nie odgrywaj mi tu więc przeklętego bohatera.

– Uwielbiam, kiedy przeklinasz – powiedział.

Usiadł jednak i przyglądał się z uwagą, a właściwie bliską cierpienia miłością, jak Lisette przyciąga krzesło i bandażuje ostrożnie ranę. Zajęło jej to trochę czasu, ponieważ bardzo się starała. A kiedy skończyła, rozdarła końce bandaża, owinęła je wokół nadgarstka i zawiązała na supeł.

– Gotowe – powiedziała, nie podnosząc twarzy.

Napier wyciągnął zdrową rękę i uniósł jej brodę. Oczy Lisette pełne były łez.

– Och, kochanie – wyszeptał. – Nie płacz.

Ramiona jej opadły, a twarz jakby się skurczyła.

– Nie mów tak! – krzyknęła. – Ten nóż mógł cię zabić! Mogę wiele znieść, Roydenie. Naprawdę wiele. Lecz to? Byłoby lepiej, gdyby Diana wycięła mi serce.

– Ach, nie mogłabyś zatem beze mnie żyć? – zapytał, wpatrując się w jej zamglone od łez oczy. – Pytam tylko dlatego, że... Cóż, wygląda na to, że jest nas dwoje w tym żałosnym stanie.

Przesunęła dłonią po wilgotnym policzku.

– Mogłabym żyć bez ciebie, gdybym musiała – odparła. – Nie zniosłabym tylko, gdyby coś ci się przytrafiło. Jesteś najbardziej żywotnym, najsilniejszym człowiekiem, jakiego znam. Dla mnie jesteś... niezwyciężony, naprawdę. Ale ten nóż... Boże!

Chwycił jej wilgotną od łez dłoń i przycisnął do ust. Milczał. Nie wiedział nawet, od czego zacząć. Tyle było rzeczy, które niekoniecznie musiały zostać wypowiedziane...

Lisette ocaliła go przed skutkami tej introspekcji.

– Dziękuję – powiedziała, pociągając nosem. – Dzięki, że mnie uratowałeś.

– Byłem przerażony – przyznał.

– A ja nie. Wiedziałam, że mnie ocalisz. Lecz potem zobaczyłam krew. Och, tak mocno krwawiłeś...

I znowu zapanowało milczenie. Nie było ani trochę krępujące, nie. Jakże często, gdy byli razem, nie odczuwał potrzeby, aby wypełnić pustkę słowami, prowadzić niepotrzebną rozmowę. Ona

zaś... cóż, zastanawiała się właśnie, co powiedzieć. Domyślał się tego, ponieważ ją znał. I tym razem zamierzał cierpliwie czekać.

Nadal trzymał jej dłoń, małą i ciepłą, w swojej. Chciał ucałować ją znowu, przycisnąć do niej wargi i przyrzec wieczne oddanie. Nie zrobił tego jednak.

– Jak długo tam stałeś? – spytała w końcu.

– Wystarczająco długo – odparł.

– No tak. – Westchnęła cicho. – Wiesz zatem wszystko.

– Owszem. – Ucałował jednak jej dłoń, patrząc Lisette w oczy.

Parsknęła lekkim, drżącym śmiechem.

– Zatem pozwolisz wymknąć się dziś dwóm morderczyniom? – spytała z fałszywą beztroską. – Widzę, że nie jesteś taki, jakim mi cię opisywano, Bezlitosny Royu.

Wzruszył ramionami.

– Zabiłaś człowieka, który na to zasłużył – powiedział. – Wiem, że powinno bardziej mnie to obchodzić. Mimo to jakoś nie czuję się oburzony. Uważam także, iż wystarczająco już odpokutowałaś.

– Myślę o tym codziennie – wyszeptała, spuszczając wzrok.

Napier nie rozumiał.

– Nie chciałbym naciskać – powiedział – ponieważ jak dotąd, nie przyniosło mi to niczego poza cierpieniem. Ale czy nie chciałabyś opowiedzieć mi, jak doszło do tego, że go zastrzeliłaś?

– Zamierzałam zastrzelić Lazonby'ego – odparła.

– Cóż – przerwał jej. – Nie wiem, czy bym cię powstrzymywał.

Zaśmiała się słabo.

– Oczywiście, że byś mnie powstrzymał. Masz gwałtowne usposobienie, lecz w pełni nad nim panujesz.

– Dziękuję za uznanie.

– Wracając do tamtych wydarzeń: wszystko przez to, że nabrałam zwyczaju noszenia przy sobie kieszonkowego pistoletu tatusia – powiedziała, ściągając brwi. – Chciałam zastrzelić Lazonby'ego, naprawdę. Ale nosiłam go też dlatego... Cóż, pracując w „Chronicle", trzeba było odwiedzać różne paskudne miejsca, a ja byłam... – Zachłysnęła się i zamilkła.

– Zapomnij o tym – wyszeptał. – To już nie ma znaczenia.

Potrząsnęła głową, zamknęła oczy i przycisnęła palec do jego ust.

– ...byłam Jackiem – przyznała w końcu. – Nareszcie to powiedziałam. Byłam Jackiem Coldwaterem. To było tylko... nazwisko. Używałam go od lat.

Ścisnął jej dłoń.

– Wiem o tym – powiedział. – Jednak pewnego dnia, jeśli zechcesz, chciałbym usłyszeć, jak do tego doszło.

Lisette zaczerpnęła głęboko oddechu.

– To się po prostu stało – powiedziała. – Chyba dlatego że mam talent do pisania.

– To nie mogło być aż tak proste – odparował. – Otrzymałaś starannie wykształcenie.

– Po prostu dużo czytałam. I pomagałam w redakcji. A potem wuj zaczął coraz więcej pić. Pewnej nocy zdarzył się w porcie okropny wypadek. Statek stanął w ogniu.

– To o tym rozmawialiście z sir Philipem przy kolacji? – zapytał. – Ty napisałaś tamten artykuł?

Podniosła wzrok i spojrzała na niego.

– Nie było nikogo innego – powiedziała po prostu. – Ashton był kompletnie pijany i nie zapłacił pracownikom, więc sobie poszli.

Pisywałam już wcześniej za inne osoby. Ciotka błagała mnie... włożyłam więc czapkę, bryczesy i ruszyłam do portu zobaczyć, co da się zrobić. Wtedy dowiedziałam się o arszeniku.

– Jak to? – zapytał zdziwiony.

– Jedna z pasażerek miała na sobie wełnianą suknię, która zupełnie przemokła. Wyciągnięto ją z wody dość szybko i wydawało się, że jest bezpieczna. Nie chciała jednak zdjąć mokrego ubrania, póki nie znajdą jej męża, a nim zwieziono wszystkich łodziami na brzeg, minęły godziny. Do tego czasu zdążyła już się zatruć.

– I po tej nocy – stwierdził Napier ponuro – kochany wujek Ashton zaczął zrzucać na barki młodego Jacka coraz więcej obowiązków.

Skinęła jedynie głową, unosząc dłonie niczym w geście poddania.

* * *

Napier wrzał z gniewu, choć starał się tego nie okazywać. Gniewało go, że musiała stawiać czoło tak okropnej sytuacji. I że zmuszono ją, by wzięła na siebie ciężar zbyt duży jak na jej wiek i dźwigała go w zasadzie samotnie.

Jego podejrzenia okazały się słuszne. W życiu Lisette nie było nikogo, komu mogłaby zaufać, czy na nim polegać. Zamiast tego utknęła z ojcem łajdakiem i wujem alkoholikiem, starając się utrzymać jakoś na powierzchni.

– To nie było w porządku, że wuj skłonił cię, byś zajmowała się czymś tak ponurym i niebezpiecznym – powiedział szczerze. – Przez kontrast musiałaś tęsknić za ojcem jeszcze bardziej.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Tęskniłam za całą moją rodziną – powiedziała. – Oczywiście, brakowało mi ojca. Któremu dziecku by nie brakowało?

Pochylił się i przycisnął usta do jej czoła.

– Wiem, że go kochałaś – powiedział. – Lecz w pewnym sensie cię zawiódł i nie zaszkodzi o tym pamiętać.

Milczała tak długo, że zaczął się już obawiać, iż nie odpowie.

– Cóż – powiedziała jednak po chwili. – Zboczyliśmy z tematu, prawda? Wyjaśniałam, co zaszło w domu sir Wilfreda. Jeśli pominąć Jacka, wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak powiedział Lazonby. Nawet wtedy nie kłamał. Muszę przyznać, acz niechętnie, że jest uczciwy.

Jedno nie miało dla Napiera sensu.

– Poszłaś tam za Anishą?

– Tak. Spostrzegłam, jak wślizguje się do ogrodu z tyłu domu, i uznałam, że poszła spotkać się z Lazonbym.

– Logiczne założenie – przyznał.

– Lecz kiedy ujrzałam, jak sir Wilfred wciąga ją do mleczarni, wiedziałam już, że dzieje się coś bardzo złego – kontynuowała. – Zakradłam się do otwartego okna i zobaczyłam, że jest ranna. A kiedy usłyszałam, jak Leeton chwali się tym, że wrobił Lazonby'ego i próbował pozbyć się tatusia, po prostu coś we mnie pękło.

– Każdy by się zdenerwował – powiedział Napier pocieszająco.

– Tylko że ja zbiegłam po schodkach i powiedziałam mu, że zamierzam go zabić – wyznała. – Nie byłam jedynie zdenerwowana, Royden. Kompletnie oszalałam.

I, wierz mi, naprawdę chciałam to zrobić. Zmusiłam go, by ukląkł i założył dłonie za głowę.

– Niech zgadnę – wtrącił – i wtedy pojawił się Lazonby.

Lisette skinęła głową.

– Najpierw próbował mi to wyperswadować, po chwili powiedział jednak, chłodno, jak to on, żebym zrobiła swoje i zastrzeliła drania. Chciał tylko wejść i wynieść wpierw lady Anishę, na wypadek gdybym chybiła.

– Bardzo rozsądnie – zauważył Napier lodowatym tonem.

– Odsunęłam się więc, by mógł przejść pomiędzy mną a sir Wilfredem – wyszeptała – a kiedy Lazonby dotarł do lady Anishy i się odwrócił, sir Wilfred skoczył i mnie zaatakował. Upadłam na marmurowe obmurowanie, a pistolet... po prostu wypalił. Ale to ja go zabiłam. Ja. Z rozmysłem.

– Lisette – powiedział Napier stanowczo – to był wypadek, a w najgorszym razie samoobrona.

– Właśnie to powtarzał mi przez cały czas Lazonby – wyszeptała, wpatrując się w swoje otwarte dłonie. – Ale ja znam prawdę. Wiem, co miałam wtedy w sercu. Wiedziałam także, iż tylko człowiek, którego uczyniłam swoim śmiertelnym wrogiem, może mnie obronić.

– Nie Anisha?

Lisette potrząsnęła głową.

– Wątpię, by była na tyle przytomna. Poza tym twarz miała wtuloną w surdut Lazonby'ego. Nie mogła nic zobaczyć. I chyba wtedy zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam i krzyczałam. Nie mogłam przestać. Było tak, jakby broń, a nawet moja ręka już do mnie nie należały.

– Ponieważ to był wypadek – powtórzył, tym razem z większą dozą współczucia.

– Tylko przypadkiem – powiedziała, spoglądając na niego żałośnie. – Ja naprawdę chciałam go zabić, Royden. I myślę... nadal myślę, że bym to zrobiła. W tamtej chwili byłam zupełnie szalona. Nie mniej niż Diana dzisiaj. I zastanawiam się, jak to się dzieje? Jak życie zmienia cię w kogoś takiego? I czy potem już taki zostajesz?

Nawet teraz wydawała się przerażona. Przerażona sobą. Tym, do czego byłaby zdolna.

Lecz każdy człowiek zdolny jest w pewnych okolicznościach – zazwyczaj skrajnych – do brutalnych zachowań. Praca w policji dobitnie mu to uświadomiła.

– Chodź tutaj, Lisette.

Obrócił się na łóżku i poklepał miejsce obok siebie. Dołączyła do niego, uśmiechając się słabo, przytuliła się i położyła mu głowę na ramieniu.

Przycisnął wargi do jej skroni.

– Wydaje mi się, że jednak byś go nie zabiła – powiedział. – W końcu załamałabyś się jak Diana. Ale i tak o to nie dbam.

– Ależ, Roydenie, jesteś...

– Nie dbam – powtórzył. – Rozumiesz? Wiem, że się bałaś: tego, że będę cię oceniał. Milczał dlatego, że cię kocham, a potem żałował przez resztę życia. Ale ja wierzę w to, co powiedziałem Duncasterowi. W życiu nic nie jest tylko czarne lub tylko białe, a szkoda.

– Ale ja naprawdę zamierzałam...

– Poza tym, czy jestem od ciebie lepszy? – przerwał jej. – Milczę, by chronić dobre imię mojej rodziny i jej dziedzictwo. Czy postępuję słusznie? Zapewne nie. Lecz skoro nie ma sposobu, aby naprawić wyrządzone krzywdy, zabiorę tę tajemnicę ze sobą do grobu. Co zaś się tyczy sir Wilfreda, był człowiekiem podłym, okrutnym, istnym uosobieniem zła, i gdybyś go nie zastrzeliła, z pewnością w końcu i tak by zawisł.

– Cóż – powiedziała cichym głosikiem – nie opłakuję lorda. Przykro mi jednak, że przyczyniłam się do jego śmierci.

Uświadomił sobie, iż Lisette przeżyła horror i nic w tym dziwnego, że nie ma ochoty wracać do tamtych wydarzeń.

– Sir Wilfred przypieczętował swój los – stwierdził ponuro. – A ja jestem wściekły, że zostałaś pozostawiona sama sobie i bez ochrony. Nie powinnaś była w ogóle znaleźć się w takim położeniu.

Wiedział, że nadal jest irracjonalnie wściekły na jej ojca, przeciwnie niż sama Lisette. Ale tak to już było z przystojnymi łajdakami. Unikali odpowiedzialności, umierali młodo, a potem byli niemal wynoszeni na ołtarze przez rodzinę, święcie wierzącą, że gdyby tylko ich ukochany krewny dłużej żył, zmieniłby swoje postępowanie. Sir Arthur Colburne jednak nigdy by się nie zmienił, a Lisette zapłaciła za jego słabość.

Jak zwykle, zdawała się czytać w jego myślach.

– Nie współczuj mi, Roydenie – ostrzegła. – Nie jestem głupia. Wiem, że gdyby tatuś żył, w końcu byłabym dla niego bardziej jak rodzic niż jak dziecko. Ellie zostałaby lady Percy, perłą socjety, a ja dożyłabym swoich dni, prowadząc łódź tatusia i wylewając z niej wodę.

– Jest na to nazwa, Lisette: przekleństwo kompetencji – powiedział. – Ludzie odpowiedzialni z natury, którzy sobie radzą, są zawsze obarczani obowiązkami przez tych, którzy nie potrafią lub nie chcą im podołać.

Wzruszyła z lekka ramionami.

– Klątwa polega raczej na tym, że robimy to wszystko i nie potrafimy gardzić tymi, którzy nas wykorzystują – powiedziała. – Kochałam ojca pomimo jego wad. A ty nie? Nawet wiedząc...?

– Wiedząc o tym, o co oskarżył go sir Wilfred? – Westchnął. – Tak, po części.

Choć on miał przynajmniej ten luksus, że kiedy łuski spadły mu z oczu, był już dorosły. Nawet teraz mógł zaledwie podejrzewać, jaki naprawdę był Nicholas Napier.

W głębi serca znał jednak prawdę.

– Być może podejrzewałem coś jeszcze, zanim sir Wilfred wytoczył oskarżenia. – Po raz pierwszy był w stanie wypowiedzieć to na głos. – Przez większą część życia czciłem go, Lisette – pomimo iż był zawsze chłodny i zdystansowany, a czasami nawet groźny i odpychający. Był, na dobre czy złe, moim idolem. Przykładem tego, jaki powinien być mężczyzna.

– To godne podziwu idealizować swego ojca – zauważyła. – I chcieć być takim jak on.

– Mnie się udało – powiedział. – Objąłem nawet jego dawne stanowisko. I zastanawiam się... zastanawiam, czy nie zacząłem podejrzewać w pewnym momencie, jak wygląda prawda? A Lazonby nigdy nie dał za wygraną. Zatem jeśli chcesz rozmawiać o ciemnych stronach ludzkiej natury, to może o tym?

A jeśli nie chciałem słuchać, co miał mi do powiedzenia Lazonby po części dlatego, że bałem się zmierzyć z prawdą?

Potrząsnęła głową i masa rudych loków zabłysła w popołudniowym słońcu.

– Nie wierzę w to – powiedziała. – Jesteś zbyt prawy, żeby tak postępować.

Wzruszył ramionami.

– Uważam, że mój ojciec został przekupiony, i to nie raz czy dwa. Och, wykonywał swoją pracę na tyle dobrze, by zyskać uznanie. Lecz kiedy było mu to na rękę, z jakiegokolwiek powodu... Tak, myślę, że puszczał czasem przestępców wolno. A raz, modlę się, żeby było tak rzeczywiście tylko raz, pozwolił, aby skazano niewinnego człowieka. To powinno być nie do wybaczenia.

Zamilkł i nie odzywał się przez kilka minut.

– Powinno, lecz nie jest, prawda? – przemówiła w końcu Lisette. – To znaczy, nie do wybaczenia. Nie rozumiesz, Roydenie, że do pewnego stopnia dlatego zbliżyliśmy się do siebie? W ciągu tych kilku ostatnich tygodni, od śmierci sir Wilfreda, musieliśmy stawić czoło prawdzie o tym, jacy byli naprawdę nasi ojcowie. A także temu, że i tak ich kochamy. I że zawsze będziemy ich kochali.

– Chciałbym w to wierzyć – powiedział ponuro.

– Taka jest prawda. Cokolwiek zrobił, Nicholas Napier był przede wszystkim twoim ojcem. Nosił cię na rękach, gdy byłeś mały, pomagał się podnieść, kiedy upadłeś. Łajał cię, to prawda, ale i zmuszał do wysiłku, byś stał się lepszym człowiekiem.

Odnosił sukcesy. – Uśmiechnęła się i objęła dłonią jego twarz. – I ochronił cię przed tą przerażającą... jakże się nazywała ta dama?

Teraz on także się uśmiechnął.

– Minter – powiedział. – Pani Minter o bujnych kształtach. Choć tak naprawdę dżentelmen nie powinien opowiadać o swoich podbojach.

Lisette spojrzała na niego i mrugnęła.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny.

Odwrócił się bokiem i przesunął spojrzeniem po doskonałym owalu jej twarzy, szeroko rozstawionych niebieskozielonych oczach, zamglonych teraz uczuciem. Po nadzwyczajnych kościach policzkowych. Pełnych wargach w kształcie łuku Kupidyna, dopraszających się wręcz, by je całować.

Lecz wszystko to bladło w porównaniu z tym, co znajdowało się pod porcelanowobiałą skórą: sercem, które przetrwało tyle rozczarowań, a mimo to pozostało czyste, mocne jak stal i doskonałe.

– Nie sądzę, byśmy mieli jeszcze przed sobą jakieś sekrety, Lisette – powiedział cicho. – A teraz, czy zgodzisz się uczynić mnie, a także najwidoczniej mojego dziadka, najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi? Poślubisz mnie czy będę musiał ścigać cię na skraj świata?

Spojrzała na niego zaszokowana.

– Poślubić cię? – powtórzyła. – Och, Roydenie, czy przemyślałeś do końca...

Tym razem to on przyłożył jej palec do ust.

– Myślałem o tym, jak puste byłoby moje życie bez ciebie – powiedział stanowczo. – Uświadomiłem to sobie z pełną jasnością

dziś rano, kiedy wisiałaś nad przepaścią. Prawdę mówiąc, myślałem o tym, odkąd wyjechaliśmy z Londynu, a może nawet znacznie dłużej.

Zamrugała niewinnie.

– Co to znaczy: znacznie dłużej?

Postukał w jej wargi palcem.

– To, czego teraz od ciebie oczekuję, to proste „tak" albo... „tak". Obawiam się, że nie masz innego wyjścia, inaczej oskarżę cię o Całowanie z Zamiarem Pozbawienie Mężczyzny Jego Serca. A może nawet naruszenie Aktu o Kradzieży z roku 1827, ponieważ już mi je ukradłaś.

– Słyszę, jak bije mocno w twojej piersi – zaprotestowała.

– Cóż, pozostaje zatem Kuszenie z Zamiarem Spowodowania Poważnych Obrażeń Ciała – powiedział. – Mógłbym przywiązać cię do łóżka na całe tygodnie już choćby za to.

– Poważnych obrażeń ciała? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Nie jestem odpowiedzialna za to, że rozcięto ci ramię.

– Nie, przeciwnie niż za tę ciągłą, pulsującą erekcję, na którą cierpię od czasu, kiedy rozpięłaś w moim gabinecie parę guzików...

– Nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, prawda?

– Chcę usłyszeć „tak" – powtórzył.

– Kusi mnie, żeby to powiedzieć i do diabła z konsekwencjami – przyznała. – Chciałabym jednak wiedzieć, od jak dawna męczysz się z tym nawracającym pożądaniem?

Zaklął cicho pod nosem, a potem wyciągnął zdrową rękę i otworzył szufladę nocnego stolika.

– Proszę bardzo – powiedział – jeśli skłoni cię to, aby wyrazić zgodę.

Lisette ściągnęła z wdziękiem brwi i przechyliła się na bok, by zajrzeć do szuflady.

– Widzę twój nóż – powiedziała – i przyznaję, że w przyszłości mogę odczuwać pokusę, by cię nim dźgnąć.

– Dziękuję bardzo, lecz tego akurat na razie mam dość – mruknął. – Przesuń go.

Nóż wylądował z głośnym stukiem na blacie.

– Wielkie nieba! – krzyknęła, wyjmując długi kremowo-szmaragdowy ozdobny sznur.

– Nie zgub go znowu – powiedział mrocznym tonem. – Bo kiedy następnym razem będziesz miała ze mną do czynienia, może być ci potrzebny.

– Tak, rozumiem – powiedziała cicho. – Cóż! Co my tu jeszcze mamy? Ktoś bawił się w zgubione–znalezione, czyż nie?

Wyjęła delikatne satynowe pantofelki – te, które zrzuciła przed kominkiem w jego sypialni – a potem pół tuzina spinek do włosów. Następna była biała taśma, przytrzymująca w talii jej majtki – wyciągnął wtedy zębami. Spomiędzy zwojów bieli wypadł złoty kolczyk z małym czerwonym kamieniem.

– Mój kolczyk z granatem! – wykrzyknęła. – Nie wiedziałam nawet, że go zgubiłam.

– Zaplątał się w mój krawat – powiedział, mając nieco głupią minę – kiedy zerwałem ci perukę. Podobnie jak dwie spinki.

– Ach, a to co? Hm... Czy nie należą aby do innej damy? – Wyjęła parę rękawiczek i trzepnęła go nimi po nadgarstkach. – Kremowa koźla skórka? Nie miałam takich.

– Zapewniam, kochanie – powiedział cokolwiek zmieszany – że miałaś. Nie mam zwyczaju kolekcjonować rzeczy osobistych innych dam.

Spojrzała na niego zaintrygowana i uniosła brwi.

– Zapomniałaś? Zostawiłaś je w moim gabinecie tego dnia, gdy przyszłaś mnie zbeształ. Są chyba zupełnie nowe.

Teraz sobie przypomniała.

– Tak, nie pozwolisz mi zapomnieć – powiedziała zażenowana. – Rzeczywiście, są moje. Należały do mnie przez jeden dzień. Zgubiłam poprzednie i kupiłam nowe w sklepie obok Liverpool Station.

– A teraz – powiedział cicho – należą do mnie. Pokazałem ci je wyłącznie jako...

– Trofea? – podsunęła ze śmiechem.

– Ach, dżentelmen nie chwali się czymś takim – odparł – chyba że dama powie „tak" lub... „tak".

– Cóż, zatem – odłożyła rękawiczki. – Chyba lepiej to powiem. To całkiem porządne rękawiczki i mogę odzyskać je chyba tylko na mocy prawa: Ustęp Trzeci, Paragraf Szósty Ustawy o Własności Małżeńskiej.

Już miał powiedzieć jej, że w prawie angielskim nie ma niczego takiego, a ona znów zmyśla, ale Lisette zaczęła go całować i pulsujący ból w ramieniu jął w końcu zanikać. A właściwie, raczej się przemieszczać.

Ku miejscu zdecydowanie na południe od jego prawego ramienia...

Epilog
Skrzynka dobrego szampana

Jesień krążyła wokół Mayfair i drzewa w Hyde Parku zaczęły zmieniać barwę. Wiatr, początkowo słaby, przybrał znacznie na sile, zmuszając Lisette, by przytrzymała dłonią kapelusz, kiedy jej mąż skręcał otwartym powozem na plac Belgravia.

Napier zerknął na żonę z miłością, a potem, poddając się impulsowi, pochylił się i pocałował ją lekko w policzek.

– Promieniejesz – powiedział.

Lisette odwróciła się, nie puszczając ronda kapelusza. Spojrzała na męża i zaparło jej dech. Oczy Napiera były dziś ciemne niczym indygo – i jak zwykle, odrobinę nieodgadnione. A potem uśmiechnął się nagle i jej serce stopniało.

– A tak nawiasem mówiąc – zapytał – co takiego dał ci przed chwilą Jolley?

– Och, jakiś list. – Lisette sięgnęła do torebki, pogrzebała w niej chwilę i wyjęła kopertę, którą Jolley wcisnął jej do rąk, gdy wychodzili. – Boże, to od Gwyneth!

Napier zerknął na adres.

– Ach – powiedział cicho. – Nadal przebywa w Bordeaux?

Lisette przebiegła wzrokiem linijki tekstu.

– Przynajmniej przebywała tam w piątek – odparła. – Pisze, że szpital to raczej coś w rodzaju zakładu dla rekonwalescentów prowadzonego przez siostry karmelitanki. Znajduje się na wsi, w bardzo spokojnym otoczeniu. I posłuchaj tylko! Diana uczy się haftować i odnawiać kobierce. Na kontynencie musi to być ceniona umiejętność, prawda?

– Brzmi całkiem dobrze – mruknął Napier.

Lisette nadal czytała.

– A oto najbardziej obiecująca część: Diana zaczyna mówić trochę o tym, co się wydarzyło. Rozumie, że lord Hepplewood był jej ojcem. Gwen sądzi, że prawda stanowi dla niej niejaką pociechę.

– Domyślam się, że bardzo go kochała.

– A on ją, tak przynajmniej sądzę – zauważyła Lisette spokojnie. – Na tyle, na ile samolubny mężczyzna może kochać. Troszczył się o nią i starał zabezpieczyć.

Za radą doktora Underwooda zgodzili się, że najlepiej będzie, jeśli Diana wyjedzie z Anglii. Gdyby prawda o tym, co zrobiła, wyszła poza rodzinę, dziewczyna mogłaby zostać oskarżona o próbę zabójstwa. Co więcej, nie spodziewano się, by wróciła kiedykolwiek do stanu sprzed tamtych wydarzeń. Doktor Underwood twierdził, że jej delikatny umysł załamał się pod ciężarem napięcia, smutku, a w końcu poczucia winy.

Kiedy wyszło na jaw, kto był ojcem Diany, pan Jeffers opuścił posadę w Loughford i odmówił utrzymywania dalszych kontaktów z nią i ze swoimi kuzynami.

Panna Willet, postawiona w obliczu horroru, jakim byłaby dla niej sprawa w sądzie, nie wniosła zarzutów. Podobnie jak były zarządca Hepplewoodów, nie chciała mieć już nic wspólnego z narzeczonym i jego rodziną. Lady Hepplewood wróciła do posiadłości syna w Northumberland, a Tony podjął na nowo hulaszczy żywot w Londynie, staczając się coraz bardziej.

Najdziwniejsze było zaś, że to Gwyneth okazała się tą najbardziej odpowiedzialną. To ona, z pomocą pielęgniarki wyszukanej przez doktora Underwooda, odwiozła Dianę do Francji. I tam pozostała.

– Zamierza wrócić do Anglii w przyszłym tygodniu – powiedziała Lisette, składając starannie list. – Musimy modlić się za nie i ufać, że podjęliśmy słuszną decyzję.

– Była przede wszystkim miłosierna – zapewnił ją Napier. – Czasami miłosierdzie to wszystko, na co można mieć nadzieję. Diana odzyska spokój i kto wie? Może pewnego dnia wyzdrowieje.

Nie odzywali się już, siedząc w przyjaznym milczeniu, kiedy powóz mijał Belgravię, a potem Mayfair, by skręcić na koniec w Upper Grosvenor Street. Zajechali przed dom Ruthveyna i przekonali się, że podjazd jest pusty. Zasłony w oknach były jednak szeroko rozsunięte, a frontowe stopnie wyglądały na świeżo zamiecione.

– Chyba są w domu – powiedziała Lisette, poklepując męża po ramieniu, by dodać mu otuchy. – Gotowi?

– Jak najbardziej – padła spokojna odpowiedź. Napier błysnął uśmiechem, głównie po to, aby zapewnić żonę, iż wszystko będzie dobrze.

Pomógł jej zsiąść i wydał instrukcje forysiowi, nim ruszył ku drzwiom i chwycił za kołatkę. Zauważył, że porusza się jak zwykle szybko i pewnie. Nie należała bowiem do osób, które bladłyby w obliczu nieprzyjemnego obowiązku.

Otworzył im młodziutki lokaj i wziął bez wahania wizytówkę. Nim Napier zdążył choćby się odwrócić, do holu wbiegła lady Anisha ubrana w jedną ze swoich powiewnych tunik, rozkładając ramiona w powitalnym geście.

– Napier! – zawołała, pochylając się, by pocałować go w policzek. – I panna Ashton! – Zamilkła i uśmiechnęła się szelmowsko.

– Ale zaraz... Zmieniła pani nazwisko, odkąd się poprzednio widziałyśmy, prawda?

– Dwukrotnie – przyznała Lisette, czując, że się rumieni. – Jak się pani ma, lady Lazonby?

– Anisho – poprawiła ją, odwracając się znów do Napiera, który podawał jej właśnie butelkę wina, udekorowaną wstążką.

– Gratulacje z okazji ślubu – powiedział i się skłonił. – Jak obiecałem kilka miesięcy temu.

Wzięła butelkę i spojrzała na etykietkę.

– Boże, *Perrier Jouët!* – powiedziała z podziwem. – Widać, że traktujesz obietnice poważnie!

– Nie mógłbym znieść myśli, że Lazonby zakrztusi się tanim szampanem – odparł Napier sucho. – Mój foryś zanosi właśnie resztę do kuchni.

– Jesteście oboje bardzo mili. Może przejdziemy do oranżerii? – Ruszyła przodem, odwróciła się do nich, by rzucić przez ramię: – Lazonby gra w ogrodzie z Tomem w kulki i jest w tym równie dobry jak każdy ulicznik. Zawołam go.

– Może lepiej mu nie przeszkadzać – powiedział Napier.

– Nonsens – odparła Anisha, otwierając drzwi do wysokiego, słonecznego pomieszczenia. – Ale wpierw każę podać herbatę. Wejdźcie i się rozgośćcie.

Lisette, z Napierem u boku, weszła do olbrzymiej, bogato wyposażonej oranżerii. Ponad jej głową, na belce spowitej winoroślą, zielona papuga czyściła właśnie pióra. Poniżej, między wachlarzowatymi palmami i pierzastymi paprociami, ustawiono komplet mebli rattanowych. Za szklanymi ścianami roztaczał się widok na tylny ogród.

– Co, u licha? – wykrztusił Napier.

Obróciła się lekko i zobaczyła Lazonby'ego.

Dżentelmen kucał na czworaka na trawniku, z głową przekrzywioną pod dziwnym kątem, wypiętymi pośladkami i jednym okiem tuż przy ziemi. Przed nim, na kawałku ułożonego starannie chodnika, zakreślono kredą duże koło. Naprzeciw Lazonby'ego klęczał jego przeciwnik – chłopiec, mniej więcej ośmioletni z włosami przypominającymi wiązkę pakuł i rękami założonymi stanowczym gestem na piersi.

– Najmłodszy syn Anishy – wymamrotał Napier.

Oceniwszy odległość wzrokiem, Lazonby wrzucił kulkę do koła tak sprytnie, iż uderzyła w drugą, po czym obie wyturlały się z chodnika i spadły na trawnik. Lazonby potrząsnął pięścią w geście triumfu. Chłopiec opadł na plecy na trawę. A potem zaczęła się gorąca dyskusja, niepozbawiona gestów wzajemnej sympatii.

Lisette zerknęła na męża.

– I to ma być – stwierdziła chłodno – morderca i pan Zło Wcielone. Zabawne, nie wygląda ani trochę groźnie, gdy rzuca kulki.

Napier chrząknął.

– Cóż – powiedział, obejmując żonę. – Skoro już mam się ukorzyć, wolę zrobić to w twoim towarzystwie, moja droga.

Właśnie wtedy w ogrodzie pojawiła się Anisha. Musiała wyjść kuchennymi drzwiami. Lazonby dostrzegł ją, wstał, potrząsnął dłonią chłopca i ruszył za żoną do domu.

– Powitajcie wielkiego zwycięzcę – oznajmiła Anisha z humorem, wchodząc przez drzwi oranżerii.

Lazonby podążył za nią. Nie miał na sobie surduta, poluzował też mocno krawat.

– Proszę mi wybaczyć, lady Saint-Bryce – powiedział, kłaniając się elegancko. – Nie powinno się przyjmować świeżo upieczonej baronowej w samej koszuli. Pójdę i się przebiorę.

– Nic podobnego, niech pan zostanie – poprosiła.

– Och, nie musimy traktować się nawzajem tak oficjalnie – powiedziała Anisha. – Przysuńcie sobie krzesła.

Zamiotła podłogę spódnicą i usadowiła się na rattanowej sofie. Niemal natychmiast na kolana wskoczył jej szary, pręgowany kot. Tunika przywarła mocniej do ciała damy i Lisette otworzyła szeroko oczy.

Anisha błysnęła uśmiechem.

– Ojej! Satynek zdradził mój sekret – powiedziała cicho, rumieniąc się. – Jednak, o ile się nie mylę, nie jestem tu dziś odosobniona?

– Słucham? – Lisette zerknęła pospiesznie na męża, Napier był jednak zajęty ustawianiem krzesła na nierównej posadzce.

– Szybko, proszę podać mi rękę – powiedziała Anisha, wyciągając swoją. Bransoletki na jej ramieniu zadźwięczały, uderzając jedna o drugą.

Lisette wyciągnęła niechętnie dłoń, pamiętając, co się wydarzyło, kiedy zrobiła to poprzednio. Anisha odwróciła jej rękę grzbietem do dołu i jęła uważnie się w nią wpatrywać.

– Zatem – powiedział Lazonby, zwracając się do Napiera – słyszałem, że zamierzasz odejść ze służby.

– Gdybym tego nie zrobił, pewnie sami by mnie zwolnili – odparł Napier, krzywiąc się z lekka.

– Doprawdy? Hm... Szkoda. – Lazonby poruszył się na krześle. – Doskonale. Zatem, jaka pogoda na zewnątrz?

– Słoneczna i wietrzna – odparł Napier sucho. – A tutaj?

– Podobnie. – Lazonby się skrzywił. – To dziwne, staruszku, rozmawiać tak o pogodzie po wszystkich tych latach, kiedy skakaliśmy sobie do gardeł, czyż nie? Zaczekaj... Mam zwracać się teraz do ciebie: Saint-Bryce?

– Wszystko mi jedno – odparł Napier znużony. – Posłuchaj, Lazonby, może wreszcie z tym skończymy? Dawno powinienem był to powiedzieć: przepraszam, że nazwałem cię kłamcą. I za to, że nie chciałem słuchać, gdy zapewniałeś o swojej niewinności. I za perfidię mojego ojca...

Lazonby wyrzucił w górę dłoń.

– O nie, chłopie! Nie jesteś za to odpowiedzialny. Nie bardziej niż ja za... cóż, za cokolwiek, co knuje właśnie moja żona. – Zerknął podejrzliwie na Anishę, a potem spojrzał znów na

Napiera. – Co zaś się tyczy reszty, przepraszam, że nazywałem cię bękartem z nosem jak siekiera, a także wieloma innymi przezwiskami, których nie wypada powtarzać w obecności dam.

Napier wyciągnął rękę.

Lazonby ujął ją i mocno uścisnął.

Lisette cofnęła dłoń i odwróciła się na krześle, by spojrzeć na gospodarza.

– Ja także winna jestem panu przeprosiny – powiedziała cicho. – Traktowałam pana okropnie, Lazonby. I bardzo tego żałuję.

– A ja żałuję, że zwabiłem panią do slumsów i tam zostawiłem – powiedział Lazonby, skłoniwszy się lekko. – I że cisnąłem panią o ścianę... eee, dwukrotnie? I próbowałem udusić.

– Próbowałeś ją udusić? – Anisha spojrzała z niedowierzaniem na męża.

Lazonby wzruszył ledwie dostrzegalnie ramionami.

– Nie tylko – przyznał. – Kilka razy przeszukałem też jej mieszkanie i próbowałem doprowadzić do tego, aby zwolniono ją z „Chronicle".

– A ja przekupiłam pańskiego lokaja – przyznała Lisette z zażenowaniem – i podpaliłam pańską dwukółkę.

– Co takiego? – Lazonby wyprostował się na krześle. – Na Jowisza, to też pani dzieło? Dobra robota, wcale się nie domyśliłem!

– Proszę mi przypomnieć – powiedział Napier, zwracając się do Anishy – abym nie wchodził więcej w drogę żadnemu z nich.

– Tak będzie z pewnością najlepiej – odparła Anisha, spoglądając z gniewem na męża.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

– Powściągliwość zazwyczaj przychodzi mi z trudnością, Nish – przypomniał jej. – Nie wyrzucaj mi tego teraz. Wiedziałaś, jaki jestem, gdy za mnie wychodziłaś.

– W rzeczy samej – przyznała, złożywszy dłonie na brzuchu. – A oto, co musisz, wszyscy musimy, zrobić: postarać się osiągnąć stan *kshama*, to znaczy, spokoju, powściągliwości i tolerancji, i okazywać sobie odtąd jedynie uprzejmość. W ten sposób zadośćuczynimy, choćby w niewielkim stopniu, złym uczynkom z przeszłości.

– Ale ty nie zrobiłaś niczego złego – powiedział jej mąż, uśmiechając się od ucha do ucha. – Jedynie nasza trójka to zatwardziali dranie.

Złajała go wzrokiem.

– Nauk wedyjskich nie należy traktować dosłownie – powiedziała. – A złe mogą być nie tylko uczynki, ale i myśli.

– Miewasz złe myśli, kochanie? – droczył się z nią Lazonby. – Ty?

– Czasami – odparła.

Do oranżerii wszedł młody lokaj, niosąc tacę z zastawą i oszczędzając Anishy dalszych indagacji. Następny kwadrans minął im przyjemnie na popijaniu mocnej, ciemnej herbaty i niezobowiązującej konwersacji.

Pomimo iż obawiała się wizyty u Lazonbych – choć za nic nie przyznałaby się do tego mężowi – Lisette czuła, że to spotkanie jest potrzebne, by mogła wyprostować na dobre sprawy i zostawić przeszłość za sobą.

I tak się stało, pomyślała, kładąc instynktownym gestem dłoń na brzuchu, wdzięczna Napierowi za siłę i nowe życie, jakie dała

jej jego miłość. Czuła się tak, jakby stała się nagle znów sobą, taką, jaka była, nim się to wszystko zaczęło.

Głośny śmiech, jakim pozostała dwójka zareagowała na żarcik Lazonby'ego, wyrwał ją z zamyślenia.

Wyglądało na to, że jej obawy się nie sprawdziły. Dżentelmen był po prostu zbyt miły z natury – i zbyt szczęśliwie żonaty – aby hołubić w sobie urazę.

Anisha sięgnęła ponad stołem i uniosła pokrywę półmiska z kanapkami. Lisette poczuła silny zapach łososia i nagle zrobiło się jej niedobrze.

Anisha spojrzała na nią domyślnie i zakryła natychmiast półmisek.

– Proszę nam wybaczyć – powiedziała Lisette – lecz chyba zajęliśmy wam już dość czasu.

– Nic podobnego – zaprotestowała Anisha, lecz mimo to wstała. – Rozumiem jednak, że musicie już iść. Młodzi małżonkowie mają zazwyczaj mnóstwo towarzyskich zobowiązań. Może przyjdziecie któregoś dnia na kolację? Oczywiście, za kilka miesięcy.

Lisette spojrzała na nią z bezmierną wdzięcznością, a po chwili stali już w holu, czekając na powóz Napiera. Na progu Napier odwrócił się jednak i powiedział do gospodarza:

– Chciałbym, żebyś wiedział, Lazonby, iż spędziłem ostatnie dwa miesiące, przeglądając akta spraw ojca.

– Boże święty, człowieku! – Lazonby zrobił przerażoną minę. – Można by się spodziewać, że młody żonkoś będzie miał coś przyjemniejszego od roboty niźli grzebanie w papierach.

Lisette, nadal nieco wytrącona z równowagi, parsknęła nerwowym śmiechem.

– Ach, tak! – Lazonby uniósł ciemne brwi. – Rozumiem, żona się nie skarży. Czapki z głów, staruszku. Musiałeś być ostatnio bardzo zapracowany.

– Cicho bądź, kochanie – zganiła go Anisha. – Napier próbuje coś powiedzieć.

Napier się uśmiechnął.

– W rzeczy samej. Chodzi o to, Lazonby, że o ile zdołałem się zorientować, a szukałem bardzo starannie, byłeś jedyną ofiarą świadomie fałszywego oskarżenia.

– Ach tak. – Lazonby spoważniał. – Ucierpiałem więc tylko ja?

Napier potrząsnął głową.

– Niezupełnie. Wiele spraw nie zostało poprowadzonych tak jak należało. Lecz nie ma na to dokumentów, nie mogę więc w żaden sposób naprawić wyrządzonej krzywdy ani wsadzić za kratki tych, którzy zostali niesłusznie uniewinnieni.

– Cóż – zauważył Lazonby. – Na twoim miejscu aż tak bym się nie martwił. Przestępcy rzadko poprzestają na jednej zbrodni. Większość zostanie zapewne znowu schwytana.

– Trzeba mieć taką nadzieję – odparł Napier.

A potem Anisha całowała ich już – oboje – na pożegnanie.

Napier pomógł Lisette wsiąść do powozu, przyglądając się jej uważnie na swój mroczny, badawczy sposób. Nie powiedział jednak nic, póki nie zajechali przed dom przy Eaton Square i nie weszli do rozkosznie cichego holu.

– No, mamy to za sobą! – powiedziała, wyciągając szpilkę przytrzymującą kapelusz. – Niezmiernie mi ulżyło.

Napier przyciągnął ją najbliżej, jak tylko się dało.

– Dobrze, że przynajmniej tobie – powiedział, a potem zaczął ją całować. Po chwili odsunął się i spojrzał Lisette w oczy.

Poznawała to spojrzenie.

Patrzył tak, kiedy zmierzał o coś ją wypytać.

– Co...? – zaczęła.

– No, wyduś to z siebie, moja droga – powiedział z nutką ostrzeżenia w głosie. – Mam się niepokoić? Czy nie?

– Och, Royden! – uśmiechnęła się z trudem. – Nie wiem. Myślę jednak... tak, chyba powinieneś.

– Ha! – pochwycił żonę w talii i zaczął z nią wirować. – Wiedziałem.

– Podobnie jak twoja przyjaciółka Anisha – odparła Lisette, gdy ją postawił. – Jak ona to robi?

– Nie mam pojęcia. – Uśmiechnął się szeroko, a potem pocałował ją znowu. – Idź się pakować, kochanie.

– Naprawdę? – zamrugała. – A dokąd pojedziemy?

– Z powrotem do Burlingame – odparł. – Powietrze jest tam czystsze, a otoczenie bardziej spokojne. Jednym słowem: doskonałe miejsce, byś jeszcze raz uczyniła mnie, może na równi z Duncasterem, najszczęśliwszym z ludzi.

Ciepło męskiego ciała, nawet jego namiętność, nie mogły zniweczyć prawdziwej samotności. Ale czy nie mogłyby przynajmniej złagodzić jej na jakiś czas?

Posępny i bezlitosny komisarz Royden Napier podejrzewa piękną Elizabeth Colburne o zbrodnię. Chcąc dowieść jej winy, a jednocześnie odczuwając niepokojącą fascynację urodą i niecodzienną śmiałością dziewczyny, postanawia nie spuszczać z niej oka, mimo iż obowiązki względem arystokratycznej rodziny nakazują mu wyjazd. Proponuje więc Elizabeth udział w maskaradzie: dziewczyna ma odgrywać rolę jego narzeczonej i pomóc mu rozwikłać rodzinną zagadkę. Przyparta do muru Elizabeth przyjmuje ofertę komisarza i wkrótce znajdzie się w prawdziwym niebezpieczeństwie, może bowiem stracić głowę dla człowieka, który jest zdolny ją zniszczyć...

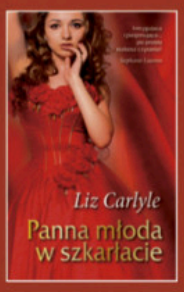

www.wydawnictwobis.com.pl